

**HERBERT
CROWDER**

ZASADZKA

**PRZERAŻAJĄCO
REALISTYCZNY
TECHNOTHRILLER!**

DC
DIGITAL

HERBERT CROWDER

ZASADZKA

Przełożył
Paweł Lipszyc

Wydawnictwo Da Capo
Warszawa 1993

Tytuł oryginału *AMBUSH AT OSIRAK*

Copyright © 1988 by Herbert Crowder

Redaktor Urszula Przasnek

Opracowanie graficzne,

skład i łamanie

FELBERG

Projekt graficzny okładki „Fototype”, Milanówek

For the Polish translation Copyright © 1993 by Paweł Lipszyc

For the Polish edition Copyright © 1993 by Wydawnictwo Da Capo

Wydanie I

ISBN 83-85373-67-5

DRUK I OPRAWA

Układy Graficzne w Gdańsku

(058) 32-58-43

*Mojej żonie Valerie,
za jej nieustające wsparcie.
Nigdy nie wątpiła,
że jestem w stanie tego dokonać.*

Podziękowania

Memu synowi George'owi,
który razem ze mną stawiał pierwsze kroki
w pisarstwie beletrystycznym.

Mojej siostrze Barbarze,
która pierwsza zasugerowała,
bym spróbował sił w dreszczowcu.

Marjorie Miller.
Ta książka rozwijała się pod jej wprawnym okiem,
podczas warsztatów prowadzonych
przez Marjorie w Westwood.

Uczestnikom warsztatów za pomoc;
szczególnie Janis Laden Shiftman,
której wkład w książkę jest znaczny.

PROLOG

Zmierzch zapadł wcześniej.

W ostatnich promieniach słońca mury sędziwego miasta nad Tygrysem wyglądały jakby zawieszzone w ciemności. Wraz z mrokiem nadciągał przenikliwy chłód pustynnej nocy. Po pustkowiu niesły się zawodzące tony *azanu*: muezzin wzywał wiernych na wieczorną modlitwę.

Mężczyzna w khaki leżący w trawie na mokradłach, twarzą do ziemi, poczuł na plecach dreszcz. Wiedział, że to nie zimno nadciągającej nocy ani ryzyko misji, jaka przywiodła go w to zakazane miejsce. Dźwięki *azanu* często wywoływały u niego podobny efekt - w tym gardłowym, orientalnym, tajemniczym, a jednak znajomym wibrowaniu było coś pokrewnego głosowi kantora śpiewającego w tej samej, melancholijnej tonacji. *Azan* opowiadał o dwóch wielkich semickich narodach, o ich wspólnych początkach i dziejach, o losach nierozzerwalnie splątanych. Śpiewał o ich dzisiejszym podziale religijnym i odmiennych sojuszach, o rozpaczliwej walce, zagrażającej istnieniu jednego z przeciwników.

Oto bowiem tu, na równinie Osirak, w cieniu starożytnego Babilonu, gdzie Izraelici odmówili niegdyś pokłonenia się ohydному złotemu baranowi wzniesionemu przez Nabuchodonozora, stała teraz nowo wzniesiona ohyda. Podobnie jak niegdyś złoty baran, została już raz zniszczona przez ognisty miecz Jehowy, z niejaką wprawdzie pomocą izraelskich odrzutowców, zrzucających tonowe bomby. Odkąd ją jednak odbudowano, wznosiła się nienaruszona i złowroga: zwiastun nieszczęścia - reaktor atomowy w Osiraku. Arsenał atomowy armii islamu, w ich zaprzysiężonej kampanii mającej na celu zetrzeć Izrael z powierzchni ziemi.

Osirak. Dla mężczyzny, znającego mitologię egipską, czytelna była

ironia ukryta w tej nazwie. Ozyrys, bóg Nilu. Zamordowany przez złego brata, wysłany do piekieł, Sędzia Umarłych. Rzeczywiście przyjdzie sędzić niezliczone rzesze zmarłych, jeśli ludobójczy arabscy fanatycy użyją energii atomowej przeciwko synom i córkom Izraela.

Teraz można już chyba bezpiecznie się przybliżyć. Pod osłoną zapadającego zmierzchu podczołgał się sposobem komandosów na kolanach i łokciach, trzymając przed sobą niezastąpionego nikona z potężnym teleobiektywem i superczułym filmem. Niezbite dowody. Wiedział, że dowództwo izraelskie nie uwierzy niczemu innemu. Nie dadzą wiary słowom cywilnego szpiega, zwłaszcza jeśli okażą się one sprzeczne z doniesieniami Amanu, ich własnego wywiadu wojskowego. On nie miał jednak wątpliwości. Obserwacja, którą przeprowadził wcześniej z oddali z pomocą teleobiektywu, ujawniła coś, co zupełnie nie przypominało stanowisk artylerii przeciwlotniczej, o których donosił Aman. Pod siatką maskującą, która strzegła obiektu przed wścibskimi oczami satelitów i samolotów zwiadowczych, ujrzał duży pojazd na gąsienicach, wspierający pojedynczy radar oraz pionową sześcienną konstrukcję wznoszącą się na wysokość trzech lub czterech metrów nad pojazdem. Cień rzucany przez ogrodzenie zasłaniał znaczną część obiektu, jednak jedno nie budziło żadnych wątpliwości: ze środka ogrodzonego prostokątnego obszaru sterczały ostre czubki pocisków.

Nowa instalacja typu SAM! Ale co to mogły być za pociski? W niczym nie przypominały kobylistych SA-6, z ich dwoma rzucającymi się w oczy radarami i potrójnymi wyrzutniami, każdą na oddzielnym pojeździe. To, co widział, nie przypominało żadnego systemu raketowego, nawet tych, które oglądał na zdjęciach izraelskiego wywiadu, ukazujących również broń radziecką.

Wniosek mógł być tylko jeden, a starania Irakijczyków, by ukryć tajną broń, potwierdzały go: przy pomocy radzieckiego „wielkiego brata” wokół odbudowanego reaktora Irak instalował nowy typ pocisków ziemia-powietrze. I nie była to mało skuteczna artyleria ani przestarzałe pociski SA-6, tak łatwo niszczone podczas kampanii libańskiej. Irakijczycy instalowali SAM-X, radzieckie pociski szybkiego reagowania i o krótkim

czasie zapłonu, będące, jak się uważało, najnowszym osiągnięciem techniki. Byli świadomi, że Izraelczycy muszą ponowić nalot na reaktor atomowy, inaczej ich pierwszy sukces mógł się łatwo zamienić w katastrofalną klęskę.

Inteligentny kamuflaż mógł oszukać czujniki zwiadowcze lustrujące teren z dużej wysokości, nie był jednak w stanie oszukać aparatu fotograficznego wycelowanego z bliska. Widok ze szczytu leżącego przed nim wzniesienia będzie idealny: zarys nowej instalacji pocisków na tle wciąż jasnego zachodniego nieba. Jeszcze jeden tuzin kroków i...

Ledwie słyszalne brzęczenie dochodzące gdzieś z góry przerwało ciszę zmierzchu; skradający się mężczyzna znieruchomiał. Rozpoznał ten dźwięk: sygnał Dopplera wysyłany przez wykrywacz radarowy, używany przez piechotę w celu wychwycenia ruchów wroga w ciemnościach. Mężczyzna wiedział, że aparaty często reagowały na ruchy małych zwierząt - psów, kotów, zajęcy, a nawet ptaków. Powoli i bezgłośnie przeczłogał się w lewo, aż dotarł do gęstej kępy trzciny i sitowia. Leżał tak, dysząc cicho, walcząc o odzyskanie zwykłego tempa oddechu. Przyjdą szukać. Nadzieja w tym, że nie okażą się zbyt drobiazgowi.

Nie musiał czekać długo. Najpierw rozległ się szelest ciężkich butów w trawie, a potem snop latarki zaczął ślizgać się po podmokłym terenie. W nienickim świetle zachodzącego słońca na wzniesieniu pojawiły się sylwetki dwóch strażników, z karabinami maszynowymi przerzuconymi przez ramiona; jeden dźwigał też niewygodny plecak. Mężczyzna wstrzymał oddech podczas gdy światło migotało po trawach, niemal ocierając się o niego. Wreszcie strażnicy rozmawiając odeszli za wzniesienie. Jego znajomość arabskiego była uboga, ale uchwycił to, co najważniejsze: - ...znowu ten przeklęty pies!

Leżał bez ruchu, dopóki głosy nie ucichły w oddali. Wtedy dopiero podjął powolne czołganie się ku szczytowi małego pagórka. Posuwał się jeszcze wolniej niż przedtem – drugi alarm wykrywacza radarowego mógłby się okazać fatalny, a mężczyzna wiedział, że urządzenie reaguje na ruchy szybsze niż metr na sekundę. Musiał jednak dotrzeć do celu przed

zapadnięciem całkowitych ciemności. Od identyfikacji pocisków zależało powodzenie izraelskiego ataku. Podobna okazja mogła się już nie nadarzyć.

Zdarzało się, że wspinaczka po zboczu trwa bez końca; zapadająca ciemność była namacalna jak całun. Kiedy jednak wyrzwał wreszcie ponad grzbietem wzniesienia, zarys instalacji SAM majaczył wciąż na tle nieba. Czuły film zdoła ją uchwycić.

Nigdzie nie widział nawet śladu strażników. Rozstawił niski statyw, umocował na nim aparat, z pewnym trudem umiejscowił wyrzutnię pocisków w obiektywie i nastawił ostrość. Pomimo zapadających ciemności obraz był wyraźny i ostry. Teraz ze znacznie bliższej odległości widział kontury czterech smukłych, stożkowatych pysków wycelowanych w niebo.

Nastawiwszy aparat na dziesięć sekund przycisnął migawkę i zmówił cichą modlitwę, by cykanie czasomierza nie dotarło do wrogich uszu. Kiedy ustało, przez kilka sekund nasłuchiwał czujnie. Nic. Skierowawszy obiektyw na kontur radaru nastawił aparat powtórnie. Po chwili, ze sprzętem schowanym do futerału przewieszzonego przez ramię, rozpoczął mordcze zejście ze zbocza. Wciąż musiał uważać, by nie posuwać się zbyt szybko. Wykrywacz Dopplera reagował zarówno na zbliżające się obiekty, jak i na te, które się oddalały.

Kiedy dotarł do stóp wzniesienia, miejsce czujności zaczęło zastępować uniesienie. Udało się! Wyobrażał sobie wyraz zdumienia na twarzach generałów i członków wywiadu wojskowego; już słyszał gratulacje szefa. Rywalizacja pomiędzy wywiadem wojskowym a cywilnym była bardzo silna. Jego wyczyn to prawdziwy cios zadany wojskowym. Jednak najważniejszy, przypomniał sobie, jest fakt, że zdjęcia pozwolą izraelskiej sile uderzeniowej wybrać broń i taktykę, umożliwiające zniszczenie nowych pocisków, a tym samym zneutralizowanie atomowego arsenału wroga.

Miał już pewność, że znalazł się poza zasięgiem wykrywacza radarowego. Urządzenie to działało skutecznie tylko na małych odległościach, a teraz mężczyzna był też chroniony przez niskie wzgórza. Wstał i pod osłoną już niemal całkowitej ciemności ruszył szybciej. Musiał odnaleźć własne ślady, wyjść tą samą drogą, którą wszedł, na wypadek, gdyby były tu

miny. Wątpił, żeby zadawali sobie trud i ponosili koszty rozmieszczania min, ale ostrożność nigdy nie zawadzi.

Noc była bezksiężycowa i chociaż zdawało mu się, że gwiazdy lśnią jaśniej niż kiedykolwiek, rzucały cudownie mało światła. Tak jest bezpiecznie, pomyślał. Jego oczy przywykły do ciemności, ale teren wyglądał obco i niesamowicie. Zdawało mu się, że rozpoznaje kępę bazi wierzbowych, która była wcześniej jego znakiem rozpoznawczym, więc skręcił w lewo. Jeszcze tylko niecały kilometr dzielił go od miejsca, gdzie czekał na niego w wynajętym samochodzie jego współnik. Wkrótce będą pędzić w stronę lotniska.

Jego myśli pobiegły ku mającemu wkrótce nastąpić atakowi powietrznemu na reaktor. Wyobrażał sobie ryczące myśliwce F-16, ich bomby hamowane wbijające się w diabelską konstrukcję, tona po tonie TNT ścierające reaktor na proch, i baterie SAM stojące bezradnie, pokonane przez jakieś ściśle tajne elektroniczne urządzenie, na temat którego mógł tylko spekulować. Czy może najpierw zniszczą pociski uderzeniem likwidującym obronę, jak to zrobili z pociskami SA-6 zainstalowanymi przez Syryjczyków w libańskiej dolinie Bekaa? Boże, czegoż by nie dał, żeby to widzieć!

Jednak Icchakowi, od siedmiu lat pracownikowi Izraelskiej Służby Wywiadowczej, znanej powszechnie jako Mosad, nie było to przeznaczone. Ciemność, która sprawiła, że zablądził pośród irackich bagien, była też przyczyną przeoczenia cienkiego drutu przeciągniętego kilka centymetrów nad ścieżką. Ziemia zapadła mu się pod stopami z ogłuszającym łoskotem, stanowiącym nazbyt realistyczny podkład dźwiękowy do scen zniszczenia, które dopiero co sobie wyobrażał.

Rozbity aparat fotograficzny spadł na ziemię i legł w kępę traw. Pył Mezopotamii skrywał go powoli, przysypując też skurczoną postać leżącą w pobliżu. Po kilku sekundach znowu zapadła cisza rozgwieżdżonej nocy. Nie zakłócało jej więcej żadne tchnienie czy ruch.

1.

Rzecznik prasowy Mosadu starannie wytarł ręce, rzucając zadowolone spojrzenie na odbicie w lustrze. Bez widocznego efektu kilkakrotnie przesunął grzebieniem po nabrylantynowanej czuprynie kręconych włosów. Wziąwszy teczkę z dokumentami wyszedł z toalety. Przy pojemniku z wodą zatrzymał się, by napełnić mały papierowy kubek.

Ociągnięcie się nie leżało w jego zwyczaju, czekał go jednak obowiązek, którego szczególnie nienawidził: powiadomienie krewnych. Treść dokumentu sprawiała, że czuł się jeszcze gorzej. Kobieta siedząca w jego biurze była sierotą; ojca straciła w wojnie Jom Kipur, a niecały rok później jej matka zmarła na raka. Teraz miała się dowiedzieć, że jej najbliższy krewny, starszy brat, został uznany za zaginionego i najprawdopodobniej zginął.

Widział ją przez okno swego biura; siedziała prosto, z rękami na kolanach. Jej wygląd nie dodawał mu pewności. Była ładna, o ciemnych włosach, jasnej cerze, taka delikatna i kobieca. I krucha. Nie sposób przekazać jej takiej wiadomości w łagodny sposób.

Wchodząc do biura przedstawił się i pośpiesznie wyrzucił z siebie najgorsze, zbierając się w sobie przed teatralną sceną, która musiała nastąpić. Jednak jedyną oznaką, że kobieta go zrozumiała, było powolne skiniecie głową; ogromne brązowe oczy bez śladów łez wpatrywały się w niego nieprzerwanie.

- Oczywiście - odparła spokojnym, modulowanym kontraltem, zbyt silnym jak na ciało, z którego się wydobywał. - Po cóż innego ściągalibyście mnie tutaj? A teraz proszę mi powiedzieć resztę. Jak zginął? Gdzie to się stało?

- Obawiam się, że nie wolno nam wyjawiać... - przerwał w połowie

zwyczajowego wykrętu, zdając sobie sprawę, że jednak będzie musiał przedstawić kobiecie kilka szczegółów. Wyjaśnić chociażby, dlaczego nie ma ciała.

- Mogę powiedzieć tylko tyle: pani brat zginął podczas służby w obcym kraju. Niestety, ponieważ nie utrzymujemy z tym krajem stosunków dyplomatycznych, nie ma możliwości domagania się zwrotu zwłok. Rozumie pani, znajdował się tam nielegalnie. Od początku wiedział: w razie niepowodzenia będziemy musieli zaprzeczyć, że jest jednym z naszych ludzi, że to myśmy go tam wysłali.

- Chce pan powiedzieć, że został zabity przez Arabów w jednym z krajów, gdzie szpiegował. - Kiedy rzecznik uniósł brwi, w głosie kobiety zabrzmiała nuta zniecierpliwienia. - Przecież to właśnie robicie, prawda? Szpiegujecie Arabów? Pozostaje więc tylko pytanie: w którym z krajów arabskich?

Rzecznik prasowy nie był w stanie znieść jej żarliwości i bezpośredniości. Unikał wzroku kobiety.

- Nie, nie spodziewałam się, że mi pan odpowie. Domyślałam się, który to kraj i po co wysłano tam mojego brata.

Brwi mężczyzny ponownie skoczyły w górę.

- Pani wybacz...

- Och, proszę się nie martwić, Icchak nic nie powiedział. Po prostu moja praca dla rządu umożliwia mi wgląd w... Ale mój brat nigdy by czegoś takiego nie zdradził. Wierzył w to, co robi. - Jej głos znowu złagodniał. - Wierzył, że w ten sposób ocali życie innym. Nie można wymarzyć sobie lepszego życia ani umrzeć lepszą śmiercią, prawda?

Patrzył, jak pierwsze łzy zaczynają szklić brązowe oczy; odpędziła je niecierpliwym mrugnięciem.

- Może być pani z niego bardzo dumna - powiedział. - Oddał życie za Izrael. Zostanie za to odznaczony.

- Jak? - spytała. - Nie będzie nawet grobu, który by można odznaczyć. - Przygryzła wargi. - Czy może mi pan chociaż powiedzieć, w jaki sposób zginął? Czy został zastrzelony, zadźgany, powieszony...?

Zawahał się, ale potem odparł:

- Sądzymy, że wyleciał w powietrze.

- Boże! Te krwiożercze...! - Dreszcz wstrząsnął jej drobnym ciałem. - Nie wiem, po co o to pytałam. Właściwie chciałam wiedzieć, czy jego misja się powiodła, czy to wszystko nie poszło na marne. - Wpatrywała się pytająco w twarz rzecznika.

- Młoda damo, nie mógłbym pani tego powiedzieć, nawet gdybym wiedział. Najwyraźniej w tej kwestii nie ma jeszcze pewności. Polecono mi poprosić panią o pomoc w utrzymaniu śmierci brata w tajemnicy. Nie chcemy, żeby wróg dowiedział się, iż wiemy o tym, przynajmniej na razie. Prosimy, by uroczystości pogrzebowe oraz wszelkie jawne oznaki żałoby zostały odłożone. Czy sprawi to pani trudność?

- Właściwie nie - odparła. - Podczas *szlwy* będę siedziała sama u siebie w domu. A poza tym nie mieliśmy już żadnych bliskich krewnych, nikogo, kto zmówiłby *kadisz*. Brat miał tylko mnie.

I vice versa, dodały jej zażawione oczy. Rzecznik pchnął w jej stronę formularz.

- Potrzebny mi pani adres i podpis. Prześlemy niewielki czek, a także kilka rzeczy osobistych brata.

Napisała adres, złożyła podpis i ruszyła do wyjścia. Rzecznik wstał.

- Jeśli jest coś, co moglibyśmy... co mógłbym zrobić...

Potrząsnęła głową. W progę zatrzymała się i odwróciła.

- Może jedna rzecz.

- Tak?

- Proszę mi powiedzieć: co trzeba zrobić, żeby zostać agentem Mosa-du?

Proszę tędy, panie Llewellyn. Prezydent przyjmie pana. - Sekretarz nie był wysoki, ale nie był też aż tak niski, na jakiego wyglądał w towarzystwie mężczyzny, którego eskortował. Gdyby nie ślady przedwczesnej siwizny w falujących ciemnych włosach, gość mógłby uchodzić za atletę z ekskluzywnego stowarzyszenia uniwersyteckiego Ivy League. Prążkowany krawat i swobodny krój garnituru sugerowały Harvard lub Princeton. Poła płaszcza odsłaniała szczupłą, ale muskularną sylwetkę o ramionach na tyle

szerokich, że poduszki na ramionach marynarki były zbyt ciężkie. Mężczyzna szedł żwawym krokiem zdradzającym niewyczerpane zasoby energii czekające tylko na uwolnienie.

Dawid Llewellyn był dotąd w Gabinetcie Ovalnym tylko raz. Miało to miejsce przed wieloma laty, podczas zwiedzania Białego Domu, zorganizowanego przez Departament Stanu dla obiecujących młodych dyplomatów. Dawid dotąd pamiętał uczucie zawodu. Bez żywego prezydenta pomieszczenie wydało mu się salą muzealną: wspaniale zdobioną, ale duszną, sterylną, pozbawioną charakteru. Duchy prezydenckiej przeszłości nie unosiły się z misternie rzeźbionych mebli, a lęk, jaki Dawid czuł przed wizytą w „miejscu, dokąd płyną pieniądze”, szybko się ulotnił.

Tym razem było jednak inaczej. Kiedy wprowadzono go do gabinetu w Skrzydle Zachodnim, Llewellyn poczuł wielkie emocje wywołane widokiem szefa państwa, siedzącego za masywnym biurkiem po przeciwnej stronie drogiego, błękitnego dywanu z wytłoczonym złotym emblematem prezydenckim. Twarz mężczyzny, który wstał na powitanie, była mu bowiem jeszcze lepiej znana niż podobizny prezydentów na amerykańskich banknotach: twarz człowieka, którego przyjaźń on i jego rodzina pielęgnowali od czasów szkolnych Dawida. Nowo wybrany czterdziesty pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych miał właśnie mianować Dawida na stanowisko, mogące stać się ukoronowaniem jego kariery dyplomatycznej.

- Dawidzie, mój chłopcze! - Prezydent ujął jego dłoń w swoje i uściśnął ciepło; zmarszczki w kącikach oczu, pozostałość po kampanii wyborczej, promieniowały radością. - Ile to już czasu?

- Ponad dwa lata, panie prezydencie. Kolacja w Londynie.

- Tak, tak. Kolacja w Claridge's, teatr. Ty miałeś przy sobie Katherine, a ja umierałem z nudów. Jak nazywało się to przedstawienie...?

Prezydent ujrzał niespokojny błysk w oczach Llewellyna.

- Przepraszam. To stało się wkrótce potem, prawda? - Położył dłoń na ramieniu gościa. - Nie sposób zapomnieć kogoś takiego jak Katherine. Trudy i ja często o niej mówimy. Cóż to za tragedia...

- Tragedia? - Llewellyn ściągnął wargi w cienką ponurą linię. - „Parodia” byłaby właściwszym słowem. Parodia wszystkich wartości tego kraju.

Żeby niewinne życie można było zdmuchnąć z taką... bezkarnością.

Prezydent unikał palącego wzroku Dawida.

- Nigdy nie schwytano zabójcy?

- Człowieka, który pociągnął za spust? - Llewellyn wzruszył ramionami. - On był tylko narzędziem; zaprogramowanym, manipulowanym przez swoich szefów, tak jak i ja miałem być przez swoich. Zanim powiedziałem im, gdzie sobie mogą...

Odwrocił oczy pełne winy.

- Wie pan, że te kule były przeznaczone dla mnie. Z powodu moich dawnych diabelskich konszachtów z tymi...

- Dawidzie, Dawidzie. - Prezydent wzmocnił uścisk dłoni na muskularnym ramieniu gościa. - Obwinianie siebie nie przywróci ci Katherine. Najwyższa pora pogodzić się z tym; masz przed sobą resztę życia, obiecującą karierę. Może zaczniemy od nowa?

Prezydent wskazał gościowi sofę obitą jedwabiem, a sam usiadł naprzeciwko na bliźniaczej.

- O twojej pracy w Sztokholmie słyszałem same dobre rzeczy. Czytałem twoje akta, opinie twoich przełożonych. Były ambasador w Szwecji - zapomniałem jego nazwiska - rozplęwał się po prostu z zachwytu.

- Sorenson. - Dawid wymienił nazwisko niskiego, łysego mężczyzny o szerokim uśmiechu i jeszcze szerszym sercu, który podczas pracy Llewellyna w Sztokholmie traktował go jak syna. Dwa lata temu na pogrzebie Sorensona Dawid czuł się tak, jakby powtórnie stracił ojca.

- Opanowałaś wszystkie języki skandynawskie - ciągnął prezydent wpatrując się w podłogę, jak gdyby czytał z niewidzialnego skryptu. - Po szwedzku mówisz jak rodowity Szwed.

Nadzieje Dawida skoczyły w górę. Stanowisko ambasadora w Szwecji było niezwykle atrakcyjne. Od śmierci Sorensona pełnił wszystkie obowiązki ambasadora, wystarczyło teraz, żeby prezydent mianował go oficjalnie.

- Nie posłę cię tam z powrotem - oświadczył krótko prezydent. - Potrzebuję cię gdzie indziej.

Dając Dawidowi znak, żeby poszedł za nim, zbliżył się do wbudowanej w ścianę Gabinetu Owального mapy świata.

- Sytuacja na Bliskim Wschodzie staje się krytyczna. Te wydarzenia mogą się okazać największym wyzwaniem dla mojej administracji. - Palec wskazujący prezydenta odnalazł miejsce na mapie. - Tutaj cię potrzebuję, Dawidzie. Właśnie tutaj.

Dawid z niedowierzaniem patrzył na wskazany punkt.

- Izrael? Ależ ja nie jestem Żydem. Nie potrafię nawet czytać po hebrajsku.

- Nauczysz się, synu, nauczysz. Tymczasem mam tam osobistego wysłannika, który jest w stanie dokonywać oceny sytuacji i przekazywać mi swe własne zdanie.

- Ale, panie prezydencie...

- Będziesz człowiekiem numer dwa w naszej nowej ambasadzie w Jerozolimie. Ambasador Abrams poleciał już do Tel Awiwu, by przejąć sprawy po swym poprzedniku i poczynić przygotowania do przeprowadzki. To wspaniały człowiek. Poznałeś go?

Walcząc z goryczą zawodu Dawid potrząsnął głową. Izrael, myślałby kto! Czemu właśnie jego wybrano na takie stanowisko? To bez sensu. Chyba że...

- Wiem, że znajdziecie wspólny język. Abrams był zawsze zagorzałym zwolennikiem Izraela, zna dobrze kraj i ma tam wielu przyjaciół. Ale będzie potrzebował wszelkiej pomocy, na jaką może liczyć. Planujemy nową ofensywę pokojową na Bliskim Wschodzie. Potrzebujemy człowieka dysponującego twoją energią i zdecydowaniem, który wygładzi ostre kany, nawiąże kontakty z frakcjami opozycyjnymi.

- Panie prezydencie - przerwał mu Dawid. - Znamy się od dawna. Zawsze potrafiliśmy rozmawiać szczerze i otwarcie. Z pewnością znalazłby pan dziesiątki kandydatów lepiej kwalifikowanych na to stanowisko. Więc dlaczego ja? Co pan przede mną ukrywa?

Początkowe niezadowolenie na twarzy prezydenta ustąpiło miejsca wyrazowi podziwu.

- Dobrze, Dawidzie, będę z tobą szczerzy. Dokonując oceny twoich zdolności w dziedzinie dyplomatycznej, nie oszukiwałem. Jednak potrzebny nam jest także ktoś, kto tak jak ty Wykazał się umiejętnościami w innego

rodzaju zadaniach. Zadaniach niezwykle delikatnej natury, które nie byłyby możliwe do wykonania, gdyby pewne kręgi wiedziały, że ci je zlecono. Masz idealne krycie: doskonały dyplomata, zasługujący na awans i przeniesienie.

- Szpiegostwo! Wie pan, jak tym gardzę! I wie pan, czemu się wycofałem, przyrzekłem, że nigdy nie wrócę...

- Poczekaj, Dawidzie! Pozwól mi dokończyć. - Prezydent położył mu dłoń na ramieniu. - Wiem, jakie żywisz uczucia w stosunku do pracy wywiadowczej i szanuję je. Gdyby sytuacja nie była rozpacзлиwa, nie prosiłbym cię o to. - Ściszył głos. - W Izraelu mamy kryzys. W ambasadzie amerykańskiej jest przeciek. Ktoś przekazuje drugiej stronie ściśle tajne informacje.

- No więc? Macie zawodowych hydraulików, którzy zajmują się takimi przeciekami. Cały wachlarz możliwości: CIA, DIA, NSA. Co z Operacjami Konsularnymi? Muszą mieć w ambasadzie przynajmniej jednego agenta.

- Owszem, owszem mają, ale dotychczas nie udało mu się niczego wykryć. Najwyraźniej wtyczka zna go zbyt dobrze; ten agent jest spalony. Co się tyczy zawiadamiania większych agencji w rodzaju CIA, mogłoby to przynieść przeciwny skutek. Chcemy zachować tę wiadomość w tajemnicy. Najgorsze, co mogłoby się zdarzyć, to gdyby Izraelczycy dowiedzieli się o przecieku.

- Dlaczego? - spytał Dawid. - Są naszymi sojusznikami, prawda?

- Właśnie. I chcemy, żeby tak pozostało. W Izraelu toczy się obecnie zakulisowa walka o władzę; w rządzie istnieje radykalna frakcja, która pragnie zerwać wszelkie więzy z Ameryką. Gdyby ci ludzie dowiedzieli się, że pewne tajemnice izraelskie wydostały się na zewnątrz z powodu przecieku w amerykańskiej ambasadzie, dostaliby do ręki groźną broń przeciwko Szamirowi.

- Tajemnice izraelskie? Jakiego rodzaju?

Prezydent spojrział na niego bacznie.

- Nie wolno mi o tym mówić. Wystarczy, jeśli powiem, że chodzi o izraelski program zbrojeń nuklearnych.

- Jaki program nuklearny? Nie wiedziałem, że coś takiego mają.

- O, jak najbardziej. - Prezydent znowu ściszył głos. - Będę z tobą szczerzy, Dawidzie. Gdybym zawczasu wiedział to, czego się dowiedziałem podczas jednego tylko dnia posiedzenia Rady Bezpieczeństwa Narodowego, zastanowiłbym się poważnie, czy nadal brać udział w wyścigu. Na Bliskim Wschodzie dzieją się za kulisami rzeczy, przy których wojna libańska czy którakolwiek wojna między Żydami a Arabami wygląda jak szkolna majówka. Bomba! Oto największe niebezpieczeństwo, jakie stamtąd zagraża. Potencjalny załazek światowej katastrofy atomowej. Obie strony mają bombę albo są już bliskie jej uzyskania. Kiedy to się stanie...

Spojrzenie prezydenta stało się dziwnie obce. Widać było, że jego myśli są gdzie indziej, daleko od Gabinetu Owального. Patrzył na pustą ścianę, jak gdyby ujrzał coś niewymownie ohydneho.

- Czy widziałeś kiedykolwiek efekt eksplozji nuklearnej na terenie zaludnionym? Nie, oczywiście, że nie; jesteś za młody. To było czterdzieści lat temu. Nawet spośród starszego pokolenia Amerykanów niewielu to widziało, najwyżej na kronikach filmowych czy zdjęciach w gazetach. Większość z nich zdążyła zresztą już wymazać ten widok z pamięci. Gdybyś jednak był w Hiroszynie czy Nagasaki zaraz po wybuchu, gdybyś zobaczył to na własne oczy, nie zapomniałbyś. Nigdy.

- Czy pan tam był, panie prezydencie?

- Tuż po zakończeniu wojny. Uczestniczyłem w inspekcji wojskowej. Zdążono już uprzątnąć znaczną część gruzów, ale odór śmierci wciąż unosił się nad miastem. Brakowało całych kwartałów ulic, które zostały zrównane z ziemią. Nie można było uprzątnąć tego, co zostało z ludzi. Szpitale wciąż były pełne śmiertelnie rannych, okaleczonych, umierających. Najgorszy widok przedstawiali ci chodzący, których obrażeń żadne lekarstwo nie było w stanie uleczyć. Żywe trupy.

Prezydent odwrócił się do Dawida i utkwiał w nim nagłące spojrzenie.

- Nie możemy dopuścić, żeby to się kiedykolwiek, w jakimkolwiek miejscu na świecie powtórzyło. Taka właśnie potworna odpowiedzialność wisi nad tym fotelem, nad tym stanowiskiem. Nikomu, kto je zajmuje, nie wolno się nawet na moment zdrzemnąć. Musi wiedzieć, co się dzieje, musi

trzymać rękę na pulsie każdego punktu świata, który jest potencjalnym zapalnikiem dla nowej Hiroszimy. W chwili obecnej, mój młody przyjacielu, najbardziej niebezpiecznym z tych punktów jest mały kraj na wschodnim wybrzeżu Morza Śródziemnego, w którym kłopoty naszej własnej ambasady mogą przerodzić się w zgubną iskrę. Koniec przemówienia.

Prezydent czekał na reakcję młodszego mężczyzny. Llewellyn czuł silne poruszenie. Wyścig nuklearny na Bliskim Wschodzie i Stany Zjednoczone w samym jego centrum. Prognozy przedstawiały się zatrważająco, powaga sytuacji nie podlegała dyskusji. Dawid nadal miał jednak opory w stosunku do prośby, z jaką się do niego zwrócono.

- Więc chce pan, żebym wykrył tę wtyczkę w ambasadzie, uszczelnił przeciek. Czy nie przypomina to zamykania drzwi stajni, kiedy koń już uciekł? Skoro te drażliwe informacje znalazły się już w niepożądanym rękach, jest już chyba za późno.

- Niekoniecznie. Widzisz, nie mamy pewności, która z informacji wy dostała się na zewnątrz ani dokąd. Jedyne rozwiązanie, żeby się dowiedzieć, to schwycić wtyczkę i przesłuchać go. Naszym nadrzędnym celem jest powstrzymanie go, zanim zdradzi dalsze tajemnice. Udzielimy ci wszelkiej pomocy, zawiadomimy agentów Operacji Konsularnych, że przyjeżdżasz...

- Nie! - przerwał mu Llewellyn. - Nie mogą o niczym wiedzieć. Nikt w ambasadzie nie może wiedzieć, że jestem kimś innym niż tylko dyplomatą. Tylko pod tym warunkiem się zgodzę. Będę wolnym strzelcem. Będę działał na własną rękę.

- Załatwione! - Prezydent zerwał się z sofy. - Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć, Dawidzie. - Wyjął z kieszeni wizytówkę i wręczył ją Llewellynowi. - Zadzwoni do mnie pod ten numer powiedzmy w dzień po przyjeździe na miejsce. Chcę poznać twoje wrażenia. To bezpośrednia linia z Gabinetem Ovalnym; omija się w ten sposób centralę w Białym Domu. Możesz dzwonić o każdej porze.

Ponownie uściśnął dłoń Dawida.

- Zawsze pamiętaj o jednym, mój chłopcze. Kraj, do którego cię posyłam, należy do naszych najbardziej oddanych przyjaciół i sojuszników. Myśl ta powinna ci przyświecać nawet wtedy, gdy będziesz robił te wasze

dypomatyczne sztuczki, chcąc wyrzeć wpływ na zaprzyjaźniony rząd, nawet kiedy posunięcia tego rządu będą ci się wydawały niezrozumiałe i irytujące.

- Zgadzam się w stu procentach, panie prezydencie - odparł Dawid, kiwając z emfazą głową. - Może jednak warto poinstruować w tej kwestii CIA. Słyszałem pogłoski...

- Ja również je słyszałem. - Ton prezydenta stał się ostrzejszy. - CIA zostaw mnie.

Pojawił się znowu sekretarz i wyprowadził Dawida z gabinetu. Ostatnie słowa prezydenta wciąż pobrzmiwały mu w uszach. Ponad dwadzieścia lat wcześniej te same słowa wypowiedział inny prezydent: John Fitzgerald Kennedy.

Siergiej Brastow zszedł z mostu Al-Dzumhurija i wszedł do małego parku położonego na krętym, wschodnim brzegu rzeki Tygrys. Odbywał właśnie codzienną późnopołudniową przechadzkę dla zdrowia; kroczył żwawo, stosując się do zaleceń lekarza, by kilka razy w tygodniu ćwiczyć serce. Ten park był jego ulubionym miejscem w stolicy Iraku, jedynym, które trochę przypominało mu ojczyznę. Było coś uniwersalnego w zapachu trawy i kwiatów, w odgłosach bawiących się dzieci, mimo że ich język brzmiał obco.

Oczami wyobraźni ujrzał parki moskiewskie: Dzierżyńskiego, Izmaiłowo, Sokolniki i jego ulubiony - Gorkiego; długi i wąski jak ten, także ciągnący się wzdłuż rzeki. Poczul ukłucie nostalgii, która półtora roku temu towarzyszyła pierwszym tygodniom pobytu w Bagdadzie. Jednak uczucie tęsknoty trwało tylko chwilę. Pomyślał, że parki moskiewskie musiały być teraz skute lodem, musiały tam szaleć zawieje śnieżne i mroźne wiatry, a tutaj - cud cudów - styczniowy dzień niczym wiosna.

Plac zabaw położony najbliżej mostu wprost kipiał dziećmi wykrzykującymi radość, oblegającymi zjeżdżalnie, huśtawki i drabinki. Kiedy podszedł powoli, sycąc się ich zadowoleniem, dzieci nie poświęciły mu zbyt wiele uwagi. Inaczej było, kiedy pojawił się w parku po raz pierwszy. Wciąż pamiętał wpatrzony w niego oczy, które sprawiały, że poczul się jak

przybysz z kosmosu. Czy przywykły do niego, czy też on zmienił się i zaadaptował, przestając tak bardzo rzucać się w oczy? Nie sposób pojąć dzieci, zdecydował, zastanawiając się, czemu tłum wpatrzonych w niego malców tak bardzo mu wtedy przeszkadzał. Jemu, który w ojczystym kraju przywykł do tego, że się na niego gapiono.

Chruszczow. Ludzie stale brali go za Nikitę Chruszczowa. Ale i to niemal się skończyło, kiedy były pierwszy sekretarz przestał występować publicznie i jego obraz zaczął się w pamięci ludzi zacierać. Siergiej Brastow mógłby się teraz przyznać do czegoś, czego nigdy wcześniej by nie powiedział. Fakt, że brano go za głowę państwa, napełniał go skrytym zadowoleniem. Podobieństwo fizyczne było niezaprzeczalne, chociaż dawniej Brastow starał się je umniejszać. Oczywiście, że twarz sekretarza była pulchniejsza, przypominała cherubina; uszy bardziej odstające; krótko przystrzyżona grzywka siwych włosów nad łysiejącym czołem rzadsza niż u Brastowa. Jednak przenikliwe spojrzenie stalowobłękitnych oczu było takie samo. W dniach swej świetności Nikita Chruszczow uchodził za dynamicznego, nowatorskiego przywódcę, zręcznego taktyka, podstępnie walczącego z wrogami. Brastow lubił sądzić, że wszystkie te cechy są i jego cechami.

Wizerunek własny Siergieja zyskał znacznie na tym podobieństwie, a co za tym szło, także jego kariera. Ze stopnia pułkownika w wywiadzie wojskowym awansował na generała brygady, jeszcze zanim szczęście odwróciło się od pierwszego sekretarza i przeniesiono go na emeryturę do podmoskiewskiej daczy. Emerytura? Raczej wygnanie. Wysłanie na zieloną trawkę. Wyglądało na to, że wraz z odejściem Chruszczowa także kariera Brastowa załamała się. Koniec awansów. Nie miał też wątpliwości, że rywale traktowali wysłanie go do tego nieznanego, drugorzędnego kraju jako rodzaj wygnania. Głupcy! Czyż nie widzieli, że była to życiowa szansa? Okazja do przeprowadzenia wielkiego zamachu w bliskowschodniej partii szachów, którą Związek Radziecki rozgrywał z takim sprytem i talentem?

Brastow od najmłodszych lat grał w szachy i miał zwyczaj przeprowadzania analogii między swymi machinacjami w działalności wywiadowczej

a strategią i taktyką na szachownicy. Otwarcie w grze międzynarodowej okazało się szczególnie trudne. Stosunki z Irakiem, niegdyś oddanym sojusznikiem Związku Radzieckiego, którego hojna pomoc obejmowała dostawy broni, popsuły się, a podczas wojny z Iranem osiągnęły kamieniste dno. Sowietci postanowili się zabezpieczyć i zaczęli grać na dwa fronty, potajemnie zaopatrując wroga Iraku w broń.

Kiedy Brastow pojawił się na scenie, zetknął się z gorzką falą antyradzieckich nastrojów, podsycanych ujawnionymi niedawno informacjami o skali radzieckiej pomocy dla Iranu. Wyglądało na to, że praca Siergieja będzie niemożliwa, przeciągająca się jednak wojna z państwem ościennym pozostawiła iracki skarb państwa w opłakanym stanie, do tego doszło przesylenie rynku ropą naftową. Utęskniony zastrzyk gotówki wraz z obietnicami nowych dostaw broni pomogły odwrócić antysowiecką burzę. Osobiste wysiłki Brastowa mające na celu zjednanie sobie wpływowych polityków i przywódców wojskowych zaczynały wreszcie przynosić owoce. Słuchano go, a minister obrony, któremu poświęcał najwięcej „pozaoficjalnej” uwagi, między innymi ucząc tego przeraźliwie tępego człowieka gry w szachy, traktował teraz Brastowa jak bliskiego przyjaciela.

Westchnął myśląc o czasie i energii, które zainwestował w całe przedsięwzięcie. I o cenie tego. Nie znaczy, że rozłąka z rodziną była aż tak wielką ofiarą. Katia już dawno straciła zainteresowanie seksualnymi aspektami życia małżeńskiego, chociaż pilnie starała się to przed nim ukrywać. Brastow nie wątpił, że żona z ulgą przyjęła przymusową separację. Pisywała radosne listy, pełne wiadomości o synu i córce, obojgu już z własnymi dziećmi. Siergiej tęsknił za nimi, ale nigdy nie odpowiadała mu rola dziadka rozplływającego się z zachwyty nad wnukami. Za bardzo przypominało mu to o starości i zbliżającej się emeryturze, której bał się panicznie. Poza tym Katia rozplływała się w wystarczającym stopniu za dwoje.

Z koniecznością innych wyrzeczeń trudniej było mu się pogodzić: z utartą towarzystwa przyjaciół, z miłymi chwilami pełnymi radości i obfitych strumieni wódki. Franc, Sasza i Jewgienij, trzej najbliżsi przyjaciele,

teraz byli tylko trzema szachownicami w jego bagdadzkim mieszkaniu, na których, z każdym z osobna, prowadził korespondencyjnie grę. Już tylko przy takich okazjach pił; sączył wódkę w zaciszu pokoju, przesuwał figury, planował przyszłe ruchy i wspominał nieobecnych przyjaciół. W Bagdadzie i tak nie było nikogo, z kim chciałby się napić. Żadnego godnego partnera do szachów.

Zaczynało się ściemniać. Jaskrawokolorowe lampiony migotały po obu stronach ścieżki, barwiąc soczystą roślinność na czerwono, żółto i zielono. Minął wszystkie place zabaw i zbliżał się do kafejek i restauracji rybnych nad brzegiem; neony przyzywały przechodniów ornamentacyjnymi arabskimi napisami. Na moment zatrzymał się przy barierce, patrząc na rybę pieczoną na ruszcie nad otwartym ogniem; lekka bryza znad rzeki przywiewała aromat pieczonego mięsa. Zapach *mezgufa*, karpia z Tygrysu, obiecywał rozkosze podniebienia. Jednak Siergiej przekonał się kiedyś, że ryba jest w istocie mdła i nijaka; prawie całą porcję zostawił na talerzu. To tak jak z wieloma innymi rzeczami w życiu, pomyślał ruszając w dalszą drogę; radość leży głównie w antycypacji, nie w spełnieniu.

Czy tak samo będzie z przedsięwzięciem irackim, w które tyle zainwestował? Czy zwycięstwo, kiedy wreszcie nadejdzie, przyniesie choć trochę słodyczy? Czy może rozkosz tkwi w samej grze, w umysłowym pojedynku z godnym adwersarzem? W szachowych zwycięstwach Brastowa, zamotowanie przeciwnika czy jego kapitulacja nieodmiennie kładły kres podnieceniu. Najwyższą przyjemność odczuwał zawsze wtedy, gdy odnajdywał kluczowe posunięcie lub sekwencję posunięć gwarantujących zwycięstwo. W rozgrywce między Irakiem a Izraelem taki moment już nadszedł.

Wszystko obracało się wokół reaktora atomowego w Osiraku, dwadzieścia kilometrów na południowy wschód od Bagdadu. Reaktor zbudowali dla Iraku Francuzi, jako część wielomiliardowej transakcji, na mocy której Irak otrzymał też myśliwce, pociski i inną broń w zamian za gotówkę oraz pożądaną iracką ropę. Oficjalnie reaktor przeznaczony był do badań naukowych, wszyscy jednak wiedzieli, że „Tamuz 17”, jak nazwano całe przedsięwzięcie, wymaga wysoko wzbogaconego uranu stosowanego do

otrzymywania plutonu dla celów wojskowych. A kiedy później grupie włoskich specjalistów zlecono skonstruowanie przy reaktorze „komory gorąca” do ekstrakcji plutonu ze zużytego paliwa, potwierdziły się obawy wielu ludzi obserwujących poczynania Iraku.

Podobnie jak jego rząd, sygnatariusz paktu o nierozprzestrzenianiu broni nuklearnej, także Brastow miał poważne opory co do długoterminowych zastosowań „Tamuza 17”. Jednak ani on, ani jego rząd nie mieli zamiaru pozwolić, by stały one na drodze do osiągnięcia szybkich korzyści kosztem Zachodu. Zamiary Iraku nie budziły wątpliwości, podobnie jak akcje odwetowe, jakie musiały wywołać działania Bagdadu. Siergiej cofnął się pamięcią do początków przedsięwzięcia w Osiraku.

Kiedy na początku roku 1980 Irak zakupił w Brazylii dużą ilość wysoko wzbogaconego uranu, nastąpiła seria brudnych wydarzeń. Jahia El Meszad, Egipcjanin z pochodzenia, kierownik irackiego programu nuklearnego został pobity na śmierć w paryskim pokoju hotelowym. Przypuszczalny świadek tego zajścia wkrótce zginął w wypadku samochodowym; kierowca zbiegł. Następnie we wrześniu 1980, kilka miesięcy po wybuchu walk między Iranem a Irakiem, dwa irańskie myśliwce typu Phantom bez powodzenia usiłowały zbombardować „Tamuz 17”.

W tych okolicznościach Saddam Hussein, bezwzględny prezydent Iraku postąpił nieostrożnie; chcąc zapewnić Irańczyków, że reaktor atomowy nie powinien ich napełniać obawami, poinformował, że wszelka wyprodukowana tam broń zostanie użyta nie przeciwko nim, ale przeciwko syjonistom. Najwyraźniej syjoniści prowadzili pilny nasłuch, bo w sierpniu 1981, tuż przed uruchomieniem „Tamuza 17”, w biały dzień, podczas śmiałego nalotu został on wprost zasypany izraelskimi bombami. Rdzeń reaktora, trafiony niemal bezpośrednio, zawałił się do basenu studzenia. Zginął wtedy czołowy fizyk francuski, Damien Chassepied.

Według ostrożnych szacunków, Irak potrzebował trzech lat na odbudowanie reaktora, nawet gdyby Francuzi nie wycofali się z przedsięwzięcia. François Mitterand, nowo wybrany prezydent, długo zwlekał, zanim w

końcu postanowił kontynuować dzieło swego poprzednika i fabryka dopiero teraz zaczynała produkować pluton. Rząd Brastowa zgodził się z Irakijczykami, że Izrael zechce powtórzyć nalot na „Tamuz 17”. Tym razem jednak Bagdad nie da się zaskoczyć. To właśnie Brastow opracował system obronny oparty na nowoczesnych radzieckich pociskach SA-10, zamaskowanych przed samolotami szpiegowskimi i satelitami. On także odegrał kluczową rolę w kontaktach z radzieckimi ekspertami wojskowymi.

Nietrudno było ich przekonać. Rosyjscy wojskowi wciąż boleśnie odczuwali zakłopotanie po izraelskim wypadzie w głąb Libanu, kiedy to osławiona radziecka broń w rękach Syryjczyków i Palestyńczyków zebrała bezlitosne cięgi. Dopiero co zainstalowane pociski SA-6, mające stanowić syryjską obronę przeciwlotniczą w libańskiej dolinie Bekaa, zostały zmiecione przez izraelskie bombowce i artylerię przy minimalnych stratach własnych. Sowietci z utęsknieniem czekali na okazję odwetu, toteż propozycja Brastowa padła w odpowiednim momencie.

Istnienie pocisku SA-10 otoczono ścisłą tajemnicą. Kraje NATO wiedziały wprawdzie o nowej broni, jednak nie znały jej działania i zakresu możliwości. Pilnie strzeżona podczas testów na Syberii, dotychczas nigdzie indziej nie zainstalowana, stanowiła duży znak zapytania dla Zachodu. Ale nie dla Brastowa, jednego z niewielu wtajemniczonych Sowieców. Wyniki testów okazały się sensacyjne. SA-10 był najlepszym z kiedykolwiek wynalezionych pocisków ziemia-powietrze, przewyższającym wszystko, co produkowali Amerykanie. Zasadzka w Osiraku zdawała się idealną okazją do debiutu.

Samo przygotowanie obrony nie podlegało bezpośrednio Brastowowi, podobnie jak i odbudowa reaktora, jednak jako najwyższy rangą oficer radzieckiej misji w Iraku czuł się odpowiedzialny za całość operacji - pogląd, którego niestety nie podzielał rosyjski pułkownik dowodzący akcją rozmieszczania pocisków SA-10. Po pierwszym spotkaniu, podczas którego autorytet Brastowa został zakwestionowany, Siergiej postanowił się wycofać i pozwolić pułkownikowi na wykonywanie jego obowiązków. Brastowa wszak interesowała tylko strategia na wielką skalę, orkiestracja

wydarzenia lub serii wydarzeń, jakie miały nastąpić. W jego umyśle bowiem zasadzka zastawiona na izraelskie bombowce za pomocą zabójczych pocisków SA-10 stanowiła tylko preludium do jeszcze potężniejszego posunięcia powiązanego z nieuniknionym kolejnym izraelskim atakiem na Osirak.

Po pierwsze, musi sformułować idealnie szczelny plan, każdą możliwość przemyśleć do końca, wygładzić każdy szczegół. Po drugie, musi sprzedać plan Irakijczykom oraz dowództwu swego własnego wywiadu wojskowego.

Wiedział, że ostatnia część zadania będzie łatwiejsza, jeśli dla swego projektu pozyska wcześniej Irakijczyków. Dlatego właśnie skoncentrował się na dobrym przyjacielu, Amahlu Zahadim, ministrze obrony. To Zahadi zainspirował Brastowa, bezwiednie wyjawiając mu istnienie irackiego szpiega w izraelskich siłach zbrojnych. Ostrożne i delikatne badanie wykazało, że agent ów był oficerem, pilotem myśliwca F-15, który bez wątpienia weźmie udział w nalocie na Osirak, a zatem będzie wcześniej znał dzień i godzinę ataku - informacja niezwykle cenna dla irackiej obrony. Nasiono pomysłu zaczęło kiełkować w żyznym i przebiegłym umyśle Brastowa, by w końcu rozwinąć się w projekt śmiałego gambitu. Im więcej możliwości analizował, im więcej sprawdzał szczegółów, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że plan musi się powieść.

Dopiero w zeszłym tygodniu przedstawił plan ministrowi obrony, i odniósł niewielki sukces przekonując go do zalet projektu. Dzisiaj jednak Brastow ma kolejną szansę. Zahadi zgodził się zwołać posiedzenie najbliższych doradców i członków dowództwa w celu przedyskutowania planu.

Brastow doszedł do schodów prowadzących z powrotem na most i przyspieszył kroku. Stawka była zbyt wysoka, by mógł sobie pozwolić na spóźnienie.

Napór młodych na izraelskie kadry oficerskie znajdował odbicie w wygładzie ludzi siedzących wokół stołu, na tradycyjnym poniedziałkowym posiedzeniu Naczelnego Dowództwa w Tel Awiwie. Zniknęły znane od lat twarze ludzi sprawdzonych i wysłużonych, wygodnych niczym para starych

butów niechętnie wyrzucanych na śmietnik; każda ich zmarszczka wskrzeszała pamięć pierwszych decydujących bitew o przetrwanie. Obecnie najstarsi członkowie Naczelnego Dowództwa nie mieli wiele więcej niż czterdzieści lat, włącznie z zajmującym czołowe miejsce mężczyzną w generalskim mundurze z czterema gwiazdkami. Był to szef sztabu, były dowódca batalionu w wojnie Jom Kipur z 1973 roku, który wstawił się w kampanii na wzgórzach Golan. Nazywał się Igal Tuchler.

Łagodność i cierpliwość, z jakimi generał Tuchler prowadził posiedzenie, były mylące, o czym dobrze wiedzieli wszyscy obecni. Ani trochę nie przestał być tygrysem, jakim był ponad dziesięć lat temu w tych decydujących dniach, kiedy poprowadził swój batalion czołgów przez zaimprovizowany most nad Kanałem Sueskim. Po tej akcji wojna, która do tego momentu toczyła się ze zmiennym szczęściem, nagle zakończyła się druzgocącą klęską Arabów. Teraz Tuchler słuchał uważnie, jak siedzący dwa krzesła dalej generał z dwiema gwiazdkami opisywał plan zbliżającego się nalotu na odbudowany reaktor atomowy pod Bagdadem. Minister obrony wywierał silny nacisk na Tuchlera, by przeprowadzić tę operację.

Koalicja partii Likud sformowana przez Menachema Begina, a teraz kierowana przez jego następcę, Icchaka Szamira, miała kłopoty. Od przejścia Begina na emeryturę, konflikty frakcyjne coraz bardziej osłabiały rząd, a jego popularność malała wraz z utrzymującą się inflacją. Władzy szybko potrzebny był zastrzyk wzmacniający. Tuchler wiedział, że minister obrony nie ścierpi dalszej zwłoki.

- Tym razem nie pójdzie tak łatwo. - Generał lotnictwa był wysoki, jasnowłosy, o ujmującej chłopięcej twarzy. Jak wskazywały baretki nad lewą kieszenią, został też wielokrotnie odznaczony. - Za pierwszym razem, podczas operacji „Babilon”, element zaskoczenia działał na naszą korzyść. Mogliśmy wystartować z bazy na Synaju i ominąć główne linie obrony jordańskiej i irackiej. Kiedy nasz samolot został w końcu wykryty nad wrogim terytorium, fortel powiódł się w stu procentach: nasi lotnicy udawali, że są jordańskimi pilotami odbywającymi lot szkoleniowy; rozmawiali po arabsku, korzystali z jordańskich częstotliwości i sygnałów wywoławczych.

Nie powinniśmy jednak liczyć na to, że te same sztuczki udadzą się po raz drugi. Ponadto, tym razem mogą się nas spodziewać. Dalej, istnieje problem samolotów systemu AWACS stacjonujących teraz w Arabii Saudyjskiej. Podczas pierwszego przelotu nad Pustynią Arabską nie musieliśmy się ich obawiać.

Szef sztabu skinął głową.

- Rozumiem więc, generale Lansburg, że nie proponuje pan dokładnej kopii planu nalotu na Osirak z roku 1981. Czy opracował pan inną metodę posłużenia się myśliwcami F-16?

- Zgoła inną. - Jasnowłosy generał uśmiechnął się. - Tym razem w ogóle nie zamierzamy użyć F-16.

Generał Tuchler uniósł brwi, podobnie jak większość zebranych.

- Żadnych F-16? Ależ to nasz najnowocześniejszy myśliwiec. Chyba nie zamierza pan użyć tych waszych steranych F-4?

Generał Lansburg podszedł do olbrzymiej podświetlonej mapy wiszącej na ścianie naprzeciwko stołu konferencyjnego. Podniósł wskaźnik i włączył światło; kraje Bliskiego Wschodu natychmiast rozjarzyły się rozmaitymi barwami. Mapa przedstawiała Izrael jako charakterystyczny skrawek błękitu na wschodnim krańcu Morza Śródziemnego. Kraik wyglądał miniaturowo w porównaniu z dużą plamą koloru szartrezy przedstawiającą Irak oraz jeszcze rozleglejszą Arabią Saudyjską barwy sepii.

- Mamy problem z myśliwcami F-16 - wyjaśnił generał Lansburg, zniżając wskaźnik do południowej granicy Izraela, gdzie kolor pustyni Synaj zmieniono z izraelskiego błękitu na egipską barwę pomarańczową. - Okrążenie Jordanii od południa, jeśli wystartujemy z tej bazy na pustyni Negew zamiast, jak poprzednio, z południowego Synaju, wydłuży trasę o ponad dwieście kilometrów. Nawet z zewnętrznymi zbiornikami paliwa szesnastki nie dadzą rady wrócić bez tankowania w czasie lotu, a taka operacja nad wrogim terytorium jest niezwykle niebezpieczna. - Odłożył wskaźnik na stojak i odwrócił się do wyczekujących słuchaczy. - Dlatego proponujemy użyć Eagle F-15.

Kilku członków dowództwa wydało okrzyki zdumienia. Tuchler zmarszczył ze zdumienia brwi.

- Eagle stanowią zazwyczaj osłonę ataku powietrznego. Czy proponuje pan, by tym razem także zrzuciły bomby?

- Zawsze mieliśmy taką możliwość, sir, chociaż zazwyczaj wolimy nie narażać naszych najlepszych myśliwców w nalotach bombardujących. Teraz jednak dysponujemy konfiguracją o znacznie zwiększonej zdolności uderzeniowej. - Jasnowłosy generał lotnictwa nacisnął przycisk, obniżając ekran do wyświetlania slajdów. Z kabiny projekcyjnej wystrzelił snop złotego światła, rzucając na ekran obraz samolotu.

- Oto nowa, wielofunkcyjna wersja myśliwca F-15, tak zwany Eagle Strike. Nie jest jeszcze wykorzystywany w Stanach Zjednoczonych, więc możecie go nie znać. - Wskazał dolną część kadłuba. - Główna modyfikacja polega na dodaniu tych oto zbiorników paliwa, tak zwanych Fastpaks, umieszczonych między dwoma silnikami, a tym samym stanowiących część kadłuba. W znacznym stopniu zwiększają one zasięg Eagle, nie zmieniając jednocześnie jego zdolności manewrowych. Na dodatek... - przerwał przed największą rewelacją - możemy na nich zawiesić dwie nowe bomby typu Mark 84, te same, których użyto podczas operacji „Babilon”.

Generał Lansburg odwrócił się twarzą do słuchaczy, krzyżując ręce na piersiach.

- Panowie, posiadamy tuzin takich samolotów wyposażonych w odpowiednie zbiorniki paliwa i bomby i co najważniejsze gotowych do lotu.

Siedzący wokół stołu odpowiedzieli pomrukiem aprobaty. Igal Tuchler, na którym krótki wykład wywarł równie silne wrażenie jak na pozostałych, musiał jednak zbesztać podwładnego.

- Generale Lansburg, wie pan, że nie cierpię niespodzianek. Czemu nie poinformowano mnie o tych planach?

- Zamówienie na Fastpaksy złożono kilka lat temu, sir. Ze zrozumiałych względów nie wspominaliśmy o bombach; dodaną część określano po prostu jako zbiornik paliwa zwiększający zasięg nowej wersji myśliwca. Montaż i testy trzymaliśmy w tajemnicy, dopóki nie uzyskaliśmy pewności, że zmodyfikowane Eagle są gotowe do akcji. Ustaliliśmy to dopiero niedawno.

Szef sztabu, nieco uspokojony, naciskał dalej.

- Twierdzi pan, że te - te Eagle Strike są w stanie przenieść bomby, dotrzeć do celu, zniszczyć go, a następnie wrócić bez tankowania w czasie lotu?

Generał Lansburg skinął potwierdzająco głową.

- Przez wiele miesięcy eskadron przygotowywał się wyłącznie do tej akcji.

- Ale nadal potrzebujecie innych, standardowych F-15 w celu osłony, na wypadek gdyby Irakijczycy zaatakowali?

Wysoki chłopięcy dowódca lotnictwa potrząsnął głową.

- To właśnie jedna z zalet Eagle Strike: jako wielofunkcyjny myśliwiec może się sam bronić. Oprócz bomb każdy z Eagle zabierze po dwa pociski typu Sparrow, dzięki czemu oddzielna eskorta myśliwców będzie zbędna. Możemy więc przeprowadzić akcję przy użyciu mniejszej, trudniejszej do wykrycia siły niż podczas operacji „Babilon”. Nawiasem mówiąc, proponujemy nazwę „Ognisty Piec”.

Ostatnia informacja wywołała uśmiechy na twarzach zebranych, którzy rozpoznali ironię: kryptonim operacji nawiązywał do biblijnej zemsty Nabuchodonozora na Dzieciach Izraela, która okazała się niewypałem. Jednak umysł Tuchlera koncentrował się wokół mniej ezoterycznych kwestii.

- Irakijczycy mają rozlokowanych wzdłuż waszej drogi do Bagdadu ponad dwieście myśliwców MiG-21 oraz MiG-23. Wspominał pan o groźbie ze strony saudyjskiego systemu AWACS. Jeśli wykryją waszą obecność na północy Arabii Saudyjskiej, postawią na nogi cały iracki system obrony. Jak macie zamiar tego uniknąć?

Generał Lansburg był najwyraźniej na to przygotowany.

- Z wielką ostrożnością - odparł, wywołując uśmiechy na twarzach kilku obecnych, ale zmarszczenie brwi u Tuchlera. Pośpieszył z wyjaśnieniem.

- Prawdą jest, że saudyjskie samoloty systemu AWACS patrolują północną część Pustyni Arabskiej, ale robią to tylko sporadycznie. Obecnie istnieją cztery takie samoloty stacjonujące pod Rijadem, które patrolują pustynię dwadzieścia cztery godziny na dobę. Najwięcej uwagi poświęcają obszarowi sąsiadującemu z południowym Iranem oraz północnej części

Zatoki Perskiej, włącznie z polami naftowymi od Bahrajnu do Kuwejtu. AWACS-y prawie zawsze lecą tym samym kursem: prosta trasa do ośmiuset kilometrów od Rijadu w kierunku północ-północny wschód, potem z powrotem i znowu na pomoc.

Lansburg wrócił do mapy, wziął wskaźnik i zakreślił długi owal na zachód od Zatoki Perskiej, biegnący równolegle do granicy między Arabią Saudyjską a Irakiem.

- Samoloty saudyjskie stanowią dla nas zagrożenie tylko pod koniec tego lotu na północ. Jeszcze przed połową kursu na południe tracą na ponad godzinę kontakt z północną częścią Pustym Arabskiej i Irakiem.

- A czy można przewidzieć moment ich powrotu z północy na południe? - spytał szef sztabu.

- Nie, sir. Zmienia się on z dnia na dzień, z godziny na godzinę. Będziemy polegać na agencie, który powiadomi nas o czasie powrotu.

- Hmm. - Szef sztabu zamyślił się. - Jak długo wasze samoloty będą się znajdować w zasięgu systemu AWACS?

- Przez około godzinę od startu.

Generał Tuchler zagwizdał cicho.

- Wobec tego wymagana jest precyzja niemal co do sekundy.

- Słyniemy z niej. - Przystojny dowódca sił lotniczych uśmiechnął się pewnie.

- A podczas drogi powrotnej?

- AWACS wykryje nas gdzieś w okolicach granicy Iraku z Arabią Saudyjską; zbyt późno, by jakikolwiek samolot mógł nas przechwycić.

Tuchler skinął głową, najwyraźniej zadowolony.

- Co z obroną w Osiraku?

- Sir, otrzymaliśmy kompletny raport od wywiadu wojskowego, potwierdzający wcześniejsze relacje Irańczyków, którzy zetknęli się z pociskami SA-6 podczas ich nieudanego nalotu na Qsirak w 1980 roku. W trakcie operacji „Babilon” nie spotkaliśmy się z żadnymi wyrzutniami SA-6, tylko sporadyczne strzały konwencjonalnej artylerii przeciwlotniczej, która nie wyrządziła nam żadnej szkody. W każdym razie SA-6 nie powinny stanowić dla nas zagrożenia, jeśli będziemy się trzymać tej samej taktyki

zrzutów z małej wysokości, jaką stosowaliśmy w poprzedniej akcji. Kiedy nasze odrzutowce pojawią się nad horyzontem, będzie już za późno.

- Generale Lansburg, jakie jest prawdopodobieństwo, że ten lokalny system obrony został wzmocniony? Czy dysponujemy aktualnymi danymi?

Lansburg zwrócił się do siedzącego po jego lewej ręce łysiejącego oficera w okularach.

- Może generał Falkowitz zechce to skomentować.

Szef Amanu, Centralnego Wywiadu Wojskowego, wstał, podszedł do ekranu, dając znak w stronę kabiny projekcyjnej. Na ekranie pojawiła się czarno-biała fotografia wykonana z lotu ptaka, a generał Falkowitz skierował wskaźnik na jej lewy dolny róg.

- To jest najnowsze zdjęcie rejonu Bagdadu zrobione przez amerykańskiego satelitę; pochodzi z zeszłego czwartku. Następny slajd przedstawia powiększenie rejonu Osiraku, na południowy zachód od stolicy Iraku.

Na ekranie pojawiła się druga fotografia, ziarnista, nieostra, charakterystyczna dla nadmiernie powiększonych zdjęć zwiadowczych.

- Tu w centrum znajduje się reaktor atomowy w Osiraku. Widać dwie wyrzutnie SA-6, jedną tu na zachodzie, drugą na południu. Przy zbliżeniu można dostrzec pod osłonami cztery wyrzutnie na gąsienicach, a pod oddzielną osłoną radar i jednostki sterujące, również na gąsienicach.

Wskaźnik oficera wywiadu dotykał nieostrych plam, ledwo rozpoznawalnych dla siedzących z dala od ekranu.

- Dokładniejsza analiza zdjęcia wykazuje, że wyrzutnie stoją w potrójnej konfiguracji typu „Korzyść”, i że jednostka sterująca zaopatrzona jest w charakterystyczną podwójną antenę talerzową radaru typu „Strumień Bezpośredni”. Krótko mówiąc, nie ma wątpliwości, że patrzymy na wyrzutnie SA-6, które, jak wyjaśnił generał Lansburg, nasza siła uderzeniowa potrafi ominąć przy zastosowaniu odpowiedniej taktyki.

Falkowitz odłożył wskaźnik i ruszył na miejsce.

- Jedną chwileczkę, generale. - Szef sztabu uniósł dłoń, a generał wywiadu stanął w miejscu. - Czy porównał pan to najnowsze zdjęcie

zwiadownicze z poprzednimi fotografiami, czy w okolicy reaktora nie pojawiły się zmiany? Zmiany mogące wskazywać na dodatkową obronę przeciwlotniczą, być może ukrytą przed pańskim „okiem na niebie”? - Było to pytanie trudne, pułapka zastawiona na biednego Falkowitza, jednak Tuchler miał w tym swój cel.

- Tak, sir - brzmiała odpowiedź. - Tego rodzaju porównań dokonujemy rutynowo. Od czasu ostatniego nalotu dokonano daleko posuniętych zmian; Irakijczycy uszczelnili lokalny system zabezpieczeń oraz wzmocnili obronę wokół reaktora. Sądzimy, że działania te mają na celu głównie ochronę obiektu przed penetracją. Jednak na naszym ostatnim zdjęciu satelitarnym wykonanym w podczerwieni widnieje kilka podejrzanych plam, które rzeczywiście mogą być maskownicami. Tego rodzaju maskownic używa się powszechnie w celu ukrywania artylerii przeciwlotniczej. Poinformowaliśmy więc generała Lansburga, że w tych punktach może się spodziewać stanowisk karabinów ZSU-23-4, najczęściej używanych przez Sowieców.

- Te karabiny nie stanowią problemu - wtrącił Lansburg. - Jeśli zbliżymy się na małej wysokości, radar nie zdąży nas wykryć.

- Niepokoi mnie coś innego - oświadczył Tuchler. - Generale Falkowitz, proszę mi powiedzieć: czemu Irakijczycy zadawaliby sobie trud, by ukryć stanowiska karabinów maszynowych, a zostawili na widoku znacznie bardziej zabójcze wyrzutnie pocisków?

- Maskowanie stanowisk artyleryjskich to standardowa procedura - odparł uprzejmie generał wywiadu. - Są one stosunkowo nieduże i łatwe do ukrycia. Wyrzutnie SA-6 to zupełnie inna historia. Mogą zajmować obszar o powierzchni akra; maskowanie ich byłoby całkowicie niepraktyczne.

Szef wywiadu pokiwał głową. Wyjaśnienie brzmiało przekonująco. Jednak wciąż coś nie dawało mu spokoju. Zwrócił się do mężczyzny w cywilnym ubraniu, siedzącego przy końcu stołu.

- Jaka jest pańska opinia, panie Szilo? Czy pod tymi maskownicami może się kryć coś innego niż niegroźne pukawki?

Odpowiedź zastępcy szefa Mosadu była ostrożna.

- Możliwe. To podejrzanie kazało nam oczywiście wysłać tam człowieka.

Niestety, jak panu wiadomo, nie udało mu się wrócić. Miał za zadanie zrobić zdjęcia z bliskiej odległości i, według relacji jego współnika, miał na to wystarczająco dużo czasu. Przypuszczamy, że nasz agent nastąpił w drodze powrotnej na minę i zginął. Drugi agent usiłował przeprowadzić rekonesans, ale okazało się to niemożliwe, ponieważ na miejscu momentalnie zaroilo się od tajnej policji. Od tamtej pory liczbę strażników potrojono. Wysłanie kolejnego agenta nie wchodzi w grę.

- Jak pan myśli, co przedstawiały zdjęcia wykonane przez pańskiego agenta? - nalegał Tuchler. - Czy zaryzykowałby pan przypuszczenie?

- Nie, sir - odparł szybko zastępca szefa wywiadu. - Nie zajmujemy się układaniem zagadek; nasza praca polega na ich eliminowaniu.

Tuchler zabębnił palcami po stole. Indagacja szła jak krew z nosa, jednak w rozmowie z Szilo, jedynym z obecnych, który nie podlegał szefowi sztabu, cierpliwość zazwyczaj popłacała. Jako dyrektor Centralnego Instytutu Wywiadu i Bezpieczeństwa, znanego lepiej jako Mosad, Mordechaj Szilo miał bezpośredni kontakt z premierem. Tuchler spróbował inaczej.

- Według pańskiej relacji w chwili wybuchu panowała prawie zupełna ciemność, a pański agent był nieobecny grubo ponad godzinę. Zadajmy sobie pytanie, co mogło mieć taką wagę, by agent wyjątkowo długo pozostawał na silnie strzeżonym terenie?

Szilo zawahał się chwilę.

- Jak powiedziałem, generale, czyste domysły w podobnych kwestiach zupełnie nie należą do mojej domeny.

Na twarzy szefa sztabu po raz pierwszy odmalowała się irytacja. Dyrektor Mosadu coś ukrywał. Tuchler postanowił, że spotka się z nim prywatnie i wyciągnie z niego tę informację. Ponownie zwrócił się do dowódcy lotnictwa.

- Generale Lansburg, czas nagli. W każdej chwili spodziewam się przyzwolenia premiera. Możemy uznać, że operacja »Ognisty Piec» weszła w końcową fazę. Pańscy ludzie mają być w każdej chwili gotowi do akcji.

2.

Dawid Llewellyn poruszył się, a wiklinowe krzesło zaskrzypiało niepokojąco. Wywołało to natychmiast szybkie spojrzenie izraelskiego ministra spraw zagranicznych. Śmieszne. Czemu czuł się tak skrzępowany? Człowiek światowy, doświadczony dyplomata amerykański, który uczestniczył już w wielu podobnych „zmianach warty”. No tak, przypomniał sobie, ale nigdy dotąd stawka nie była równie wysoka; nigdy sytuacja nie była mniej sprzyjająca. Pierwszy nieżydowski poseł w czterdziestoletniej historii państwa żydowskiego. Na dodatek obarczony tajną misją; nie było ani jednego człowieka, do którego mógłby się zwrócić o pomoc.

W takiej sytuacji dyplomatyczna część jego misji miała zasadnicze znaczenie. Jeśli chciał skutecznie funkcjonować jako specjalny wysłannik, musiał ułożyć sobie dobre stosunki z ministrem spraw zagranicznych, który pozostanie głównym jego łącznikiem z rządem izraelskim. Jak na razie, podczas pierwszego spotkania, Llewellyn słuchał wiele, a mówił bardzo mało, z zadowoleniem pozostawiając główny ciężar rozmowy drugiemu Amerykaninowi, ustępującemu ambasadorowi, który powoli powinien zacząć schodzić ze sceny. Jednak znając od wielu już lat Martina Singera Dawid wiedział, że nie należy on do typu ludzi, którzy kiedykolwiek schodzą ze sceny. Marty nie znał nawet znaczenia tego określenia.

Dawid przyglądał się twarzy poprzednika zdumiony, jak niewiele się zmienił w ciągu tych sześciu lat, które minęły od czasu wspólnej pracy w amerykańskiej ambasadzie w Szwecji. Połyskująca, emanująca żywotnością twarz jak zwykle była ciemnobrązowa - Marty nawet w Szwecji potrafił utrzymać opaleniznę. Świdrujące niebieskie oczy, które zawsze przywoływały Dawidowi na myśl Paula Newmana, błyskały i krzeszały iskry, w miarę

jak słowa i gesty Singera stawały się coraz bardziej ożywione. Nie, Marty nie zamierzał odchodzić potulnie jak baranek. Miał ostatnią szansę, by wyrzucić z siebie kilka spraw, które go gnębiły, i dopiero się rozkręcał.

- Nie chcę twierdzić, Szymonie, że te osiem lat nie były interesujące. Obawiam się tylko, że rozczarowania znacznie przewyższają dokonania. Mój rząd i ja żywiliśmy nadzieję na znalezienie wyjścia z panującej tu gmatwaniny. Wierzyliśmy, że nasza inicjatywa pokojowa przyniesie skutek. Co się jednak stało? Twój rząd napluł na nią i odwrócił się do nas plecami, przyspieszając plany kolonizacji Zachodniego Brzegu. Na miłość boską, kiedy zrozumiecie, że nie możecie tak dłużej postępować; jesteście otoczeni przez wrogów, a gryziecie rękę waszego jedyne go przyjaciela.

Dawid Llewellyn poruszył się niespokojnie, czekając na reakcję ministra spraw zagranicznych, ale Szymona Kedara niełatwo było wytrącić z równowagi. Uśmiechnął się i zwrócił do nowego wysłannika.

- Panie Llewellyn, musi pan wybaczyć Martinowi i nie czuć się zakłopotany jego wybuchem. Widzi pan, jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, co daje mu prawo zwracania się do mnie tonem strofującego wujka. Korzysta zresztą z tego prawa z pełną swobodą. Ja jednak jestem z nim nie mniej szczerzy i szczerzy będę także teraz. Nasz naród cieszy się przyjaźnią z Ameryką, ale widzi też, że niektóre działania rządu amerykańskiego, chociaż być może ich intencje są dobre, nie leżą w naszym interesie. Sprzedaż broni naszym wrogom jest w najwyższym stopniu irytująca; to najlepszy sposób, by zatruć stosunki między naszymi rządami. A jednak taki był właśnie pierwszy oficjalny akt podpisany przez administrację, która przysłała tu Martina osiem lat temu.

Nagły rumieniec na twarzy Martina był widoczny nawet pod ciemną opalenizną.

- Tyle hałasu z powodu sprzedaży Saudyjczykom AWACS-a, czysto obronnego systemu, nie obejmującego żadnej broni. Nigdy nie mogłem pojąć, dlaczego zareagowaliście na to tak wybuchowo. Nie podnieśliście nawet w połowie takiego krzyku, kiedy administracja Cartera sprzedała im myśliwce F-15.

Drobny mężczyzna z krzaczastymi siwymi brwiami uśmiechnął się ponuro.

- Te F-15 także nazwano „czysto obronnymi”. Już wtedy wasi wojskowi, w chwili gdy przekonywali o tym wasz Kongres, wiedzieli o możliwości przekształcenia samolotów w zabójcze bombowce. Nie daliśmy się nabrać na podobną bajkę podczas sprzedaży systemu AWACS. A jednak pomimo naszych protestów sprzedaliście go Saudyjczykom i teraz AWACS tkwi tam, jak gigantyczne oko na niebie, śledząc nas i informując naszych wrogów o wszystkim, co robimy. Wiemy też, że AWACS jest w stanie wysłać na nasze terytorium hordę F-15 przekształconych w bombowce.

W tym momencie Martin prychnął i wyrzucił ręce w górę, w geście apelaacji do wyższej instancji. Minister spraw zagranicznych ponownie zwrócił się do nowego wysłannika.

- A jakie jest pańskie zdanie w tej kwestii, panie Llewellyn? Żywimy gorącą nadzieję, że kraj, który był naszym najbardziej nieugiętym sprzymierzeńcem, jest gotów pokonać wszelkie dzielące nas różnice - naturalnie jeśli obietnice składane podczas kampanii wyborczej można traktować poważnie.

Bez błędnie, pomyślał Dawid, oceniając swego nowego partnera. I bardzo zręcznie. Każdy, kto potrafił przegadać Marty Singera, natychmiast zdobywał podziw Dawida. Zdawał sobie też jednak sprawę z potrzeby okazania solidarności, więc postanowił wyminąć klin, który minister usiłował wbić między niego a Martina.

- Prezydent oczywiście pragnie utrzymać bliskie stosunki pomiędzy naszymi krajami, jednak nie jestem pewien, czy zauważy pan jakkolwiek zmianę w polityce - odparł, widząc błysk aprobaty w oku Martina. - Nadal będziemy poszukiwać pokojowych rozwiązań konfliktu na Bliskim Wschodzie, a także unikać rozprzestrzeniania zbrojeń i konfrontacji, które mogłyby wysadzić w powietrze tę beczkę prochu i doprowadzić do trzeciej wojny światowej. Pokonywanie różnic stosuje się do obydwu stron. Nasza administracja nie będzie patrzeć przychylnym okiem na żadne nowe „niespodzianki”, w rodzaju inwazji na Liban czy nalotu na Bagdad.

Natychmiast pożałował ostatniego zdania, widząc, że Kedar poczuł się nim dotknięty. Jednak twarz ministra zachowała kamienny spokój.

- Panie Llewellyn, będę z panem cierpliwy, bardziej cierpliwy niż bywałem wobec Martina, ponieważ jest pan tu nowy i - proszę mi wybaczyć - nie jest pan Żydem. Czy kiedy mówi pan o konfrontacjach, nie widzi pan, że sama nasza obecność jest ciągłą konfrontacją z krajami arabskimi, które uważają nas za wrzód na swym organizmie? „Przyjazne” stosunki utrzymujemy tylko z Egiptem i to tylko dlatego, że pokonaliśmy go w kilku kolejnych wojnach i przekonaliśmy Egipcjan, że nie mamy zamiaru się stąd wynosić. Oczywiście, że ta konfrontacja to „beczka prochu”, ale jak inaczej nazwać konflikt waszego kraju ze Związkiem Radzieckim, poparty niezliczonymi międzykontynentalnymi głowicami atomowymi? Jak może pan wierzyć w równowagę zbrojeń, nie widząc, że dotyczy ona także nas? Gdyby Arabowie dostali w swoje ręce broń atomową, ponieśliśmyby klęskę. Nie mamy wyboru, możemy jedynie samodzielnie podejmować kroki w celu utrzymania równowagi zbrojeń i tak właśnie postąpiliśmy z irackim reaktorem atomowym. Jest to okrutna gra o przetrwanie, którą musimy kontynuować.

- A wysyłanie szpiegów, by wykraść nam tajemnice, to także część gry? - włączył się mściwie Martin do rozmowy. Tym razem to Kedar się zarumienił.

- Powołujesz się na pojedynczy incydent. Przyznaliśmy, że to była pomyłka. Nasz rząd zrekompensował wyrządzoną szkodę, więc możemy puścić to zdarzenie w niepamięć.

Na rany Chrystusa, Marty, pohamuj się! mówił wzrok Llewellyna. Jednak Singer zapalał się coraz bardziej i nie sposób go było powstrzymać.

- Przyznajesz więc, że szpiegowanie nas było błędem. A co z libańskim *blitzkriegiem*? To była wasza największa wpadka, ale nigdy nie słyszałem, żebyście się do tego przyznali. Ci wszyscy pomordowani niewinni cywile - jaką groźbę stanowili dla suwerennego państwa Izrael? Czy jesteśmy lepsi niż faszyci, kiedy stosujemy ich metody walki? Mojżesz musi się przewracać w grobie: „naród wybrany przez Boga” złamał przykazania!

Oczy Martina i Kedara spotkały się.

- Nie wątpię - odparł minister - że jesteś ekspertem w kwestii łamania przykazań, prawda? - Singer znowu się zaczerwienił, a Kedar odwrócił się na pięcie. Dawid poczuł niepokój; Marty posunął się za daleko. To byłaby katastrofa, gdyby mister spraw zagranicznych wyszedł ze spotkania.

Ale Szymon Kedar nie miał zamiaru wychodzić przed powiedzeniem ostatniego słowa. Odwrócił się, oparł dłonie na stole, a Dawid patrzył, jak pod siwymi włosami na skroniach grają mięśnie jego twarzy. Kedar nie był już drobnym człowiekiem; jego postać dominowała i wypełniała pokój.

- Nie potrzebuję niczych pouczeń na temat Dziesięciorga Przykazań - zaczął spokojnie. - Pozwólcie jednak, że ja wam coś powiem... - Przez długą chwilę patrzył w oczy Dawidowi.

- O innym przykazaniu, którego nie wryto na tych tablicach, ale które Jahwe bez wątpienia dał Mojżeszowi, żeby ten przekazał je narodowi razem z pozostałymi dziesięcioma. Oto powód, dla którego Żydzi wciąż jeszcze istnieją, po niezliczonych prześladowaniach i pogromach, po inkwizycjach i holokaustach. Niepisane przykazanie, nie wypowiedziane, ponieważ jest tak głęboko zakorzenione, że nie ma potrzeby go wypowiadać. Nadzędne przykazanie, poprzedzające wszystkie inne: „Przetrwacie!”

W bramie Jaffo prowadzącej na Stare Miasto roili się turyści i pielgrzymi; samochody i autobusy wypuszczały pasażerów na owalnym parkingu przed zachodnim murem.

- Chodź! - popędał Martin, idący szybko kilka metrów w przodzie.

Kiedy przebili się przez tłum pod portalem, Dawid spojrział w górę na zwieńczenia Cytadeli, kamiennej twierdzy wzniesionej przez krzyżowców. Była to jego pierwsza wizyta w Świętym Mieście i najchętniej nigdzie by się nie śpieszył. Nagle uzmysłowił sobie, że odkąd pamiętał, Marty zawsze gdzieś pędził.

- Po co ten pośpiech? - spytał, doganiając Singera i pociągając go za rękaw.

- Towarzystwo - odparł natychmiast Martin, nie zwalniając kroku. - Czy nie mówiłem ci, że jesteśmy z kimś umówieni na lunch?

- Cholernie dobrze wiesz, że mi nie mówiłeś. - Odpowiedź Dawida utonąła w zgiewku. Przyspieszając, by nie zostać w tyle, zastanawiał się, jaką niespodziankę szykuje jego żwawy przyjaciel. Ulica prowadząca od Bramy Jaffo w głąb Starego Miasta okazała się raczej wąskim zaułkiem. Przejście do starej części miasta było w pierwszym momencie wstrząsające. Z nowoczesnego, czystego otoczenia Dawid został wrzucony w enklawę arabską: zaniedbaną, smrodliwą i niemal nie do wytrzymania głośną. Hałas tłumu wzmożony przez krzyki sprzedawców z niezliczonych sklepików wywrzaskujących ceny przypominał Dawidowi bazyry i pchle targi w innych mużłańskich miastach, które dawniej zwiedzał. Podobnie było z drażniącym uczuciem zagrożenia, wrażeniem, że ktoś go ukradkiem obserwuje.

Zawsze czuł się niezręcznie w takich miejscach, jednak tu, w arabskiej dzielnicy Jerozolimy, wrażenie to się spotęgowało. Towarzyszyło mu przemożne uczucie, że jest śledzony, ale opanował chęć obejrzenia się. Co za głupota! Nikt w Jerozolimie nie mógł wiedzieć o jego tajnej misji.

Uczucie zagrożenia osłabło, ustępując miejsca zaraźliwemu podnieceniu. Dawid nie pamiętał, by kiedykolwiek widział w jednym miejscu taki natłok rozmaitych barw lub słyszał taką różnorodność języków i dialektów. Żydzi i Arabowie, biznesmeni w garniturach i krawatach, kapłani różnych religii w charakterystycznych szatach, turyści z całego świata w mniej oficjalnych strojach. Upchnięci razem w ludzką rzekę, która jakimś cudem nieprzerwanie płynęła uliczką, niekiedy przewężaną przez mury czy średniowieczne łuki lub blokową przez rozładowywany wózek zaprzężony w osiołka. Tłum ten wytwarzał własną muzykę, wolną od ostrych dźwięków samochodów okupujących zachodnie ulice. Symfonia głosów ludzi rozmawiających, sprzeczących się, zachwalających, w językach obcych i znajomych jego uszom. Uliczni sprzedawcy i sklepikarze konkurowali o względy przechodniów, wołając z ciągnących się po obu stronach uliczki kramów pełnych biżuterii, dywanów, kurtek z owczej skóry, polci mięsa, różańców i narodowych strojów palestyńskich.

Wydawało się, że najwięcej jest tu Arabów; mężczyźni głównie w zachodnich ubraniach, marynarkach i swetrach, w koszulach rozpiętych

pod szyją; jedyny widoczny element tradycji stanowiły *kafije* w najróżniejszych barwach i wzorach: białe oraz w kratkę, jedna jaskraworóżowa w białe grochy. Kilka osób nosiło zamiast *kafiji fezy* lub arabskie czapki, mycki o jasnych barwach przypominające żydowskie jarmułki. Kobiet mużłańskich było tu niewiele; odziane w długie szaty szale lub zawoje, niektóre miały całkowicie zakryte twarze. Dominowała czerń, choć niektóre Palestynki nosiły barwne spódnice haftowane w kwieciste wzory.

W pewnej chwili Dawid ujrzał stukającego laską niewidomego biednego Araba odzianego w stare łachmany; tłum natychmiast poniósł go dalej. Minęło ich też dwóch chasydów, bladych mężczyzn z pejsami i zmierzwionymi siwymi brodami, w długich czarnych płaszczach i kapeluszach z szerokimi rondami, pogrążonych w rozmowie i całkowicie głuchych na otaczający ich rozgadany tłum. Chłopiec od piekarza ubrany w barwną zachodnią koszulkę przepychał się przez tłum, balansując na głowie tacą pełną arabskiego chleba, posypanego ziarnem sezamowym. Aromat świeżego pieczywa doleciał do nozdrzy Dawida, tłumiąc na moment mniej apetyczne zapachy wdeptanego w bruk osłego łajna i spoconych w pustynnym skwarze ciał ludzkich.

Poczuł szarpnięcie za ramię.

- Tędy. - Martin skierował go na prawo, przez bramę prowadzącą do malowniczego, prawie pustego korytarza.

- Gdzie jesteśmy? - spytał Dawid, kiedy gwar tłumu zaczął cichnąć.

- W Dzielnicy Ormiańskiej. Tu jest moja ulubiona restauracja.

- Dzielnica Ormiańska w murach Starej Jerozolimy?

- Znajduje się tu zaledwie od kilku ostatnich wieków, mówiąc dokładnie od piętnastu. - Martin przeszedł przez wąską bramę pod wielobarwnym szyldem zawieszonym na misternym żelaznym kroksztynie, wystającym z kamiennej ściany. Nie będąc w stanie odczytać podświetlonych liter cyrylicy, Dawid ruszył za przyjacielem. Znaleźli się na małym zamkniętym podwórzu, wybrukowanym szorstkimi nieregularnymi kamieniami. Stoliki i krzesła stały po przeciwnej stronie podwórza; stoliki nakryte białymi

lnianymi obrusami, migoczące srebrem i kryształami.

Wąsaty właściciel w barwnym tradycyjnym stroju, kłaniając się i uśmiechając, powitał Martina jak dawno nie widzianego krewnego. Martin zrewanżował się, przedstawił Dawida jako nowego wysłannika amerykańskiego, wypowiadając przy tym kilka słów po ormiańsku z tak potwornym akcentem, że właściciel wybuchnął śmiechem.

- Ormianie mają wspaniałe poczucie humoru - chichotał Martin, kiedy usadzono ich przy stole obok ogromnego, lśniącego polerowanym mosiądzem, zdobionego ekspresu do kawy.

- Muszę przyznać, że mimo odprawy, którą właśnie dostałeś, jesteś w wyśmienitym nastroju. - Dawid pragnął dokończyć sprawę spotkania z izraelskim ministrem spraw zagranicznych, a ten moment wydawał się mu równie dobry jak każdy inny.

- Odprawa? Dzisiaj był wyjątkowo łagodny. Powinieneś zobaczyć Szymona Kedara, kiedy się rozkręci. Zresztą bez wątpienia nie ominie cię ta okazja. Icchak Szamir, który piastował ten urząd, kiedy przyjechałem do Izraela, to baranek w porównaniu z Szymonem. Kedar jest straszny.

- Robi wrażenie. - Dawid wciąż miał przed oczami twarz ministra i słyszał jego potężny głos. Zapadło mu w pamięć spojrzenie, które przykuło jego wzrok. - Ma zniewalającą osobowość. Sprawia, że czujesz to, co on, jak gdyby drogą osmozy.

- Albo hipnozy. Nie daj się nabrać, przyjacielu. To ty byłeś głównym widzem dzisiejszego przedstawienia. Szymon wie, że jestem przypadkiem beznadziejnym, więc machnął na mnie ręką. Ty jesteś nowym mięsem do zmielenia w maszynce Kedara. Już próbuje cię zmiękczyć. Zauważyłeś, jak szybko podjął kwestię twego pochodzenia? Będzie próbował to wykorzystać, wpędzić cię w takie poczucie winy, że rzucisz się na kolana.

- Możliwe, ale to ty sprowokowałeś jego wybuch. Między wami latały iskry, nie mające ze mną nic wspólnego. Coś znacznie bardziej osobistego niż Prawa Mojżeszowe czy wykroczenia rządu Likudu.

Martin z podziwem spojrział na przyjaciela.

- Proszę, proszę, Dawidku! A więc zauważyłeś to? Wszystko się jednak

samo wyjaśni, kiedy nadejdzie nasz gość. - Niecierpliwie spojrzął na zegarek. - Już powinna tu być. O, idzie.

Dawid podniósł wzrok i ujrzał wchodzącą na podwórze szczupłą, młodą, elegancko ubraną kobietę. Ostrożnie stawiała na kamieniach nogi w szpilkach, patrzyła w skupieniu na szorstki chodnik i jeszcze ich nie zauważyła. Jej ciemne, niemal kruczoczarne włosy spływały miękkimi lokami na ramiona, uwydatniając bladość twarzy, najwyraźniej nietkniętej palącym słońcem pustyni.

- Tutaj, Daniela!

Podniosła wzrok, zdejmując okulary, a Dawida uderzyła jej naturalna uroda. Ciemne, lśniące oczy przyłączyły się do pełnych nie uszmiokowanych ust w uśmiechu promieniejącym wewnętrznym ciepłem. Potem uśmiech zniknął, jak słońce skryte chmurą. Ponieważ w tym momencie w sercu Daniela Zadik wcale nie było ciepło. Czuła się opuszczona, mimo wcześniejszych postanowień, że tego nie okaże. Co robił tu ten drugi mężczyzna, czemu w takiej chwili Martin przyprowadził go w „ich miejsce”? W chwili, która miała być ich ostatnią. Kiedy patrzyła na wysokiego, dystygowanego mężczyznę, który wstał od stolika i przyglądał się jej, w jej sercu wrzały sprzeczne uczucia. Ich oczy na moment się spotkały, po czym zwróciła wzrok na swego kochanka. Był go kochanka. Nagle zrozumiała, co Martin knuł, i jej źrenice błysnęły ogniem.

Spojrzenie to nie umknęło uwagi Martina, który podszedł szybko do kobiety i powitał ją pośpiesznym uściskiem.

- Ty draniu! - mruknęła mu do ucha przez zaciśnięte zęby.

- Zachowuj się grzecznie - szepnęła w odpowiedzi. - Wyjaśnię ci później. - Kiedy się rozłączyli, wyraz twarzy kobiety mówił Martinowi, że nie musi się obawiać.

- Daniela, pozwól, że przedstawię ci mego bliskiego przyjaciela, Dawida Llewellyna, nowego wysłannika amerykańskiego. Dawidzie, to Daniela Zadik z gabinetu ministra spraw zagranicznych. Daniela była tu, w Jerozolimie, moją prawą ręką.

I czymś znacznie więcej, pomyślał Dawid, wyczuwając prąd przepływający między nimi. Prąd wystarczająco silny, by wytworzyć iskry, podobne

do tych latających podczas spotkania z Kedarem. Dawid czekał, aż Daniela wyciągnie rękę; wyczuł krótkie wahanie. Nagle chmura odpłynęła, a uśmiech wrócił na jej twarz. Energicznie potrząsnęła dłonią Dawida.

- Witam, panie Llewellyn. Oczekiwaliśmy pana. Minister spraw zagranicznych ma nadzieję na ułożenie bliskich stosunków z waszym nowym rządem. Czy spotkał się pan z nim dzisiaj rano?

Dawid skinął głową, odwzajemniając uśmiech.

- Wywarł na mnie ogromne wrażenie. Silna osobowość i intelekt. Wspaniała prezencja.

- Tak. I ciepło. Jak na tak silnego człowieka, jest też bardzo czuły i delikatny. Jest dla mnie jak ojciec.

- Daniela straciła ojca w wojnie 1973 roku - wyjaśnił Martin. - Daniela jest *sabra*, urodzoną i wykształconą tutaj, rodowitą Izraelką.

Dawid nie mógł oderwać od niej oczu.

- Czym się pani zajmuje w gabinecie ministra spraw zagranicznych, panno Zadik?

Jej krótki śmiech zabrzmiał jak muzyka.

- Myślę, że wszystkim po trochu. Oficjalna nazwa mojego stanowiska to „specjalna asystentka ministra spraw zagranicznych”. W rzeczywistości to niewiele więcej niż wasza amerykańska „dziewczyzna do wszystkiego”.

- Daniela jest stanowczo zbyt skromna - wtrącił Martin. - Nikt w gabinecie nie jest w stanie załatwić tego, co ona. Szymon całkowicie polega na niej, a przekonasz się Dawidzie, że z tobą będzie tak samo. Dlatego właśnie chciałem, żebyście się poznali. - Zerknął na zegarek. - Powinniśmy coś zamówić. Muszę zaraz wracać do Tel Awiwu i skończyć się pakować.

Uśmiech zniknął z twarzy Daniela i przez chwilę Dawid widział inną kobietę, pogrążoną w nie skrywanym żalu. Ale tylko przez moment.

- Może zamówisz i dla nas, Martin? Ty zawsze wiesz, co jest najlepsze.

- Dawid ujrzał, jak Martin gwałtownie podniósł wzrok znad menu, jednak spokojna twarz Daniela nie zdradzała ironii.

- To wieczne kursowanie do Tel Awiwu i z powrotem jest tak nieznośne - ciągnęła. - Przynajmniej panu zostanie to oszczędzone, panie Llewellyn, teraz, kiedy wasza ambasada przenosi się do Jerozolimy.

- I będziesz spał w chłodnym powietrzu Wzgórz Judejskich, zamiast w dusznej parówce Tel Awiwu. - W głosie Martina brzmiała szczerza zazdrość. - Powinniśmy byli zrobić to wcześniej. Teraz, kiedy przesyta ropy naftowej zlikwidował groźby bloku arabskiego wobec państw mających tu ambasady, wszyscy z powrotem zaczną się przenosić. Jedyne rozsądne posunięcie. Próba robienia interesów z rządem izraelskim z Tel Awiwu to jak uprawianie miłości przez zdalne sterowanie.

Niefortunny dobór metafory, pomyślał Dawid, kątem oka obserwując reakcję Daniela. Jednak kobieta nie zdradzała oznak urazy. Martin skinął na kelnera trzymającego się w pobliżu i łamanym ormiańskim złożył zamówienie. Prawie natychmiast na stole pojawiły się przystawki i karafka różowego wina. Kiedy Martin napełniał kieliszki, Daniela ponownie zwróciła się do Dawida.

- Czy podczas waszego spotkania z ministrem miało miejsce jakieś spięcie? Wrócił niedawno potwornie rozdrażniony.

- Naprawdę? Przykro mi to słyszeć. Możliwe, że byliśmy nieco zbyt... elokwentni. - Dawid spojrział na Martina.

- Do diabła, Daniela, wiesz, jakie są układy między Szymonem a mną. Zawsze byliśmy ze sobą szczerzy. Poza tym on uwielbia dyskusje; czuje wtedy, że żyje. Kiedy jest podekscytowany, jest w najlepszej formie.

Uniósł kieliszek.

- Za nieobecnych przyjaciół; dawnych i przyszłych.

Dawid dostrzegł tęskne spojrzenie Daniela i uzmysłowił sobie, że oczekiwała bardziej osobistego toastu, znacznie intymniejszej „ostatniej kolacji”. Oczekiwała, że spotka się z Martinem sam na sam. Mimo to Dawid podjął grę, trącając się z Martinem kieliszkiem.

- Za dawnych przyjaciół. I za uroczych nowych - dodał, zwracając się do Daniela, która nawet nie drgnęła.

- Tak - powiedziała - byłabym bardzo szczęśliwa, mogąc nazywać pana przyjacielem, panie Llewellyn.

Jej zachowanie było miłe, ale chłodne jak różowe wino w kryształowych kieliszkach, które zadzwięczały czysto, kiedy się trącili. Patrzył, jak

delikatnie podniosła swój do ust, unikając wzroku Dawida.

- Gdyby prawda wyszła na jaw, okazałoby się pewnie, że stary Szymon zgadza się ze mną bardziej, niż jest skłonny przyznać - zachichotał Martin, podejmując wcześniejszy wątek rozmowy. - Dobrze wie, że jeśli rząd będzie kontynuował politykę twardej ręki, politykę jednostronnych, prowokacyjnych zachowań, jeśli nadal będzie się izolował od tych nielicznych przyjaciół, jacy pozostali mu w wolnym świecie, wtedy przyjdzie dzień zapłaty. A dzień ten zbliża się szybko. - Wrzucił do ust wzięty z tacy smakowity kęs i mówił dalej, żując nieprzerwanie. - Jestem pewien, że zgadzamy się co do jednego: co do powagi groźby, jaka zawisła nad Izraelem, oraz niestabilności sytuacji w regionie. Istnieje z tuzin rozmaitych punktów zapalnych, które w każdej chwili mogą doprowadzić do wybuchu.

- Co byś chciał, żebyśmy robili? - zaprotestowała Daniela. - Mamy siedzieć i czekać, aż się to stanie? Nie kiwać nawet palcem, kiedy Arabowie szykują na nas broń atomową?

Martin wyjął z ust pestkę oliwki i bezceremonialnie rzucił ją na kamienie.

- Do cholery, Danielo, wiesz, że nie możecie się dalej zachowywać jak rewolwerowcy z Dzikiego Zachodu. Nawet jeśli nie wykończą was Arabowie, w końcu zrobi to wolny świat. Stany Zjednoczone pragną za wszelką cenę utrzymać pokój na Bliskim Wschodzie. Dlatego chcemy zbliżenia z bardziej umiarkowanymi krajami arabskimi, chcemy rozpowszechnić „ducha Camp David”.

Daniela potrząsnęła żarliwie głową.

- Jeśli o nas chodzi, nie istnieją umiarkowane kraje arabskie. Wszystkie pragną naszego upadku, chcą, żebyśmy się wycofali albo zginęli. A jeśli chodzi o waszego ducha Camp David, zamiast zalecać się do Jordanii i Arabii Saudyjskiej, powinniście podreperować nieco sytuację w Egipcie. Odkąd zwróciliśmy im Synaj, resztki ducha doszczętnie się ulotniły.

Brawo, pomyślał Dawid, podziwiając jej otwartość. Mimo że jego opinia w poruszanych kwestiach była bardzo zbliżona do zdania Martina, z przyjemnością słuchał, jak Daniela odplaca mu pięknym za nadobne.

Jednak Martin bynajmniej nie skończył.

- Omijasz sedno sprawy. Co chcecie robić, walczyć przeciwko całemu światu? Przeciwko nam? Wiesz, że do tego właśnie by doszło. W chwili obecnej mamy misje wojskowe w trzech krajach arabskich. W wypadku wojny nasi ludzie znaleźliby się w pułapce.

- Nie powinno ich tam być. W dzisiejszych czasach pokój na Bliskim Wschodzie to iluzja. Jak możemy zapewnić im bezpieczeństwo?

- Mam brata w Rijadzie, młodszego, najmłodszego w rodzinie. - Dawid wbił wzrok w karafkę z winem, jakby nagle zobaczył tam twarz nastoletniego brata. Ciągle w ten sposób myślał o Richie'em, obecnie zbliżającym się do trzydziestki. - Jest inżynierem, pracuje przy systemie AWACS. Nawet uczestniczy w lotach. Czy mam rozumieć, że może mu grozić niebezpieczeństwo?

Martin i Daniela wymienili spojrzenia.

- Na twoim miejscu byłbym spokojny. - Martin zbył pytanie lekkim tonem. - Kontrakt z AWACS-em wygasa za kilka miesięcy. Twój brat wyjedzie pewnie stamtąd, zanim cokolwiek się zacznie.

Dawid szukał potwierdzenia w oczach Daniela, ale ona wpatrywała się w stół z wymijającym wyrazem twarzy.

- Nie widziałem go od ponad trzech lat. Myślałem o tym, żeby do niego wpaść.

Podszedł kelner oznajmiając, że główne danie gotowe, ale Martin kazał mu się wstrzymać i zamówił więcej wina.

- Muszę znaleźć telefon - poinformował przyjaciół. - Umilajcie sobie czas winem i resztą przystawek. Za moment wracam.

Odszedł przez podwórze, a oczy Daniela słały za nim sztylety spojrzeń. Dawid poczuł się niezręcznie.

- Słuchaj - powiedział - zawadzam tutaj. Nie wiedziałem... Martin mi nie powiedział...

- Źe pieprzy jakąś *sabrę*? - Furia wprost biła z jej ciemnych oczu, a Dawid miał teraz wrażenie, że jest wymierzona w niego. - Czyżby był pan aż tak ślepy? Nie widzi pan, co on wyprawia? To oczywiste: kojarzy nas ze sobą. Wyznaczył pana na swego zastępcę, więc będzie miał czyste sumienie i

żadnych zmartwień z powodu porzucenia „małej róży Negewu”. Tak wszystko zorganizował, że uniknie nawet łzawych pożegnań.

Dawid patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Ależ na pewno nie zrobiłby...

- Jak najbardziej, to do niego podobne. Nie wiem, jak dobrze zna pan Martina, panie Llewellyn. Ja znam go bardzo dobrze. Za dobrze. Pomimo swego wdzięku Martin to tchórz w kwestiach moralności. Angażuje się tylko do pewnego stopnia i ucieka, kiedy sytuacja staje się zbyt poważna. Byłam tylko przerywnikiem w jego życiu, a teraz wróci do żony i będzie udawał, że nic się nie wydarzyło.

W udręce wyrzucała z siebie potok słów.

- Och, wiedziałam zawsze, że to nie będzie trwać wiecznie, że pewnego dnia musi się skończyć. Postanowiłam nawet, że nasze rozstanie będzie wesołe, ostatnia scena zapadająca w pamięć. Przygotowałam się, ale nie na coś takiego! Nie na to, żeby przekazano mnie jak worek mąki!

Łzy napłynęły jej do oczu; otarła je zaciśniętą prawą pięścią. Dawid odepchnął swoje krzesło w tył.

- Zostawię was samych. Tylko...

- Proszę poczekać. - Chwyciła go za rękę. Znowu otarła oczy uspokajając się. - Jeśli odejdzie pan teraz, przed jego powrotem, będzie pewien, że to z mojej winy.

Mówiła już znacznie spokojniej; ton jej głosu złagodniał.

- Może mi pan pomóc coś uratować. Kiedy Martin wróci, proszę mu powiedzieć, że musi pan natychmiast odejść. Niech pan wymyśli jakąś wymówkę, jakąkolwiek. Muszę z nim porozmawiać sam na sam. Nie pozwolę, by mi to podstępnie odebrano.

- Oczywiście - zgodził się Dawid.

Wydawało się, że po raz pierwszy zauważyła jego przygnębienie.

- Przepraszam. Proszę mi wybaczyć mój wybuch. Obawiam się, że jest pan tym niewinnym przechodniem, który zawsze pada ofiarą wypadku.

Spotkała jego zatroskany wzrok i w szarych oczach odnalazła współczucie.

- Dam panu radę, panie Llewellyn. Na pana miejscu nie odkładałabym

zbyt długo podróży do Arabii Saudyjskiej. Pana brat wiele dla pana znaczy, prawda?

Dawid bez słów skinął głową.

- Tak, poznałam to po pana oczach, kiedy pan o nim mówił. Wobec tego proszę nie zwlekać z podróżą.

- To znaczy, że jest w niebezpieczeństwie. Coś pani przede mną ukrywa!

Potrząsnęła głową.

- Nic szczególnego. Nazwijmy to kobiecą intuicją. Ale radzę panu, by szybko odwiedził pan brata, panie Llewellyn. Niech pan tego nie odkłada.

Według wszelkich światowych kategorii rezydencja ministra obrony była luksusowa, granicząca z przepychem, według kategorii irackich, był to pałac. Potomek jednej z najbogatszych rodzin tego do niedawna biednego kraju - dopiero ostatnio ożywionego przez wpływy ze sprzedaży ropy naftowej - Amahl Zahadi umeblował mauretańską różową, stiukowaną posiadłość dziełami najzdolniejszych artystów i rzemieślników Arabii. Orientalne dywany mogły konkurować z najwspanialszymi egzemplarzami, jakie Brastow widywał na południu w naftowych emiratach. Podczas poprzedniej wizyty dowiedział się, że lśniące miedziane samowary i ogromne donice są dziełem brodatych rzemieślników z rojnych bazarów Bagdadu.

Zaprowadzono go do przestronnego salonu przylegającego do gabinetu i prywatnych apartamentów ministra. Pomieszczenie, w którym znalazł się Brastow, było puste; przybył pierwszy. Wzdłuż trzech ścian stały miękkie adamszkowe kanapy i Brastow rozparł się na jednej z nich, podziwiając zajmujący znaczną część przeciwległej ściany pejzaż jednego ze starych mistrzów, oprawiony w złoczoną ramę. Było to jedno z nielicznych dzieł z dorobku kultury zachodniej widocznych w rezydencji Zahadiego, ale Brastow wiedział, że są też inne, ukryte: lodówki, zamrażarki, telewizory i pralki - wszystkie pułapki zachodniego konsumpcjonizmu. Minister obrony posiadał najnowocześniejsze modele, włącznie z radioodbiornikiem zdolnym odbierać na falach krótkich połowę stacji światowych; jego antenę ukryto pod postacią stiukowanego minaretu.

Nagły gwar w holu oznajmiał nadejście ministra obrony wraz z gośćmi. Po chwili wszedł do salonu, a za nim tłumacz prezydenta oraz najwyższy doradca, znany w pewnych kręgach jako „zastępca prezydenta”. Umundurowani szefowie sztabu armii i lotnictwa, obaj w stopniu generała majora, trzymali się w pobliżu. Byli ludźmi potężnej budowy, przy których piąty gość ministra wyglądał jak liliput: Hammud al Fawzi, szef wywiadu - zbyt imponujący tytuł jak na człowieka, którego wzrost nie wynosił wiele ponad metr pięćdziesiąt.

- O, generale Brastow. - Amahl Zahadi ruszył z uśmiechem w stronę Rosjanina, który wstał, skłonił się lekko i uściśnił dłoń ministra. - Jak zawsze jest pan punktualny.

Tłumacz zaczął przekładać, ale Brastow odrzucił jego usługi, odpowiadając po arabsku.

- Sprawa ta ma kluczowe znaczenie dla obu naszych rządów.

- Słusznie. - Minister obrony skinął głową, a jego uśmiech zbiegł się do cienkiej kreski pod niewielkim wąsikiem. Był przystojnym mężczyzną, młodym jak na tak odpowiedzialne stanowisko. Sądząc z wyglądu, mógł mieć około trzydziestu pięciu lat. W przeciwieństwie do trzech pozostałych cywilów odzianych w białe, bawełniane szaty do kostek, Zahadi miał na sobie garnitur i krawat; prosty biały zawój na głowie był jego jedynym ustępstwem na rzecz tradycji.

- Może przejdziemy do mojego gabinetu? - Ruszył ku drzwiom po lewej.

Brastow szedł do pokoju wykładanego zdobioną boazerią na końcu grupy, przyglądając się plecom mężczyzn idących przed nim. Halim, tłumacz, był młody i inteligentny; jego oczy lśniły nie skrywaną ambicją. Nie można mu było ufać; dla własnych korzyści potrafił przekręcić wypowiedź. Właśnie to skłoniło radzieckiego wysłannika do zdwojenia wysiłków w celu opanowania trudnego irackiego dialektu języka arabskiego.

Generałów Brastow znał tylko przelotnie. Występowali jako przedstawiciele dwóch głównych pionów sił zbrojnych kraju i mieli wziąć udział w głosowaniu, czy przedstawić prezydentowi plan Brastowa. Jednak nie ich zdanie będzie decydujące. Ten honor miał przyspaść wysokiemu, posępnemu mężczyźnie idącemu tuż przed nimi.

Brastow domyślał się, że Ali Mustafa jak zwykle okaże się postacią kluczową. Prezydent Hussein polegał na nim całkowicie. Mustafa był kimś w rodzaju wróżbity czy wielkiego wezyra, reliktem królestwa przekształconego w republikę. Doradca prezydenta był człowiekiem wysokiej inteligencji, nie wypowiadającym swego zdania, dopóki nie miał pewności, na czym stoi. Kiedy Mustafa przemawiał, mogłeś być pewien, że jego słowa zostały poprzedzone głębokimi przemyśleniami i że rozpatrzył wszelkie możliwe aspekty, dodając własne opinie.

A więc tak wygląda układ, pomyślał Brastow Tego się mniej więcej spodziewał. Po pierwsze, musiał się pozbyć tłumacza. Szepnął kilka słów na ucho ministrowi obrony i Halim szybko został odesłany. Na odchodnym rzucił mroczne spojrzenie Brastowowi.

Zahadi otworzył posiedzenie, prosząc al Fawziego o bieżące informacje wywiadu na temat planowanego izraelskiego nalotu na reaktor w Osiraku. Niski człowieczek w białym fezie z czerwoną kitą podszedł do ściany i rozwinął dużą, barwną mapę Bliskiego Wschodu. Brastow nie miał wielkiego pożytku z tak zwanego szefa wywiadu. Człowiek ten był nadętym osłem, pedantycznym do granic możliwości. Jego całe zachowanie dawało wyraz wysokiemu mniemaniu, jakie miał o sobie; uważał się za wszechwiedzącego i wszechwidzącego znawcę tajemnej dziedziny, w której panował. Brastow, który dzięki prywatnym źródłom wyprzedzał go zazwyczaj o kilka kroków, z trudem zachowywał cierpliwość, ilekroć al Fawzi przemawiał. Tym razem jednak szef wywiadu go zaskoczył.

- Przed omówieniem planowanego przez syjonistów ataku, chciałbym przedstawić państwu szczegóły najnowszej próby przedarcia się agenta syjonistycznego przez strefę obronną reaktora w Osiraku.

Serce Brastowa zabiło niespokojnie. Obawiał się takiego posunięcia ze strony Mosadu, ale nie powiadomiono go o żadnym tego rodzaju wypadku.

- Jak państwu niewątpliwie wiadomo - ciągnął al Fawzi - próba, która miała miejsce wczoraj wieczorem, zakończyła się niepowodzeniem. Agent zginął odminy, znajdując się jeszcze w strefie zakazanej. Wywołaliśmy wyjęty z jego zniszczonego aparatu film, który okazał się wykonany z

bliska zdjęciami nowych wyrzutni. Agent syjonistyczny nie miał przy sobie krótkofalówki ani żadnych innych urządzeń służących do komunikacji. Natychmiast po wybuchu cały teren został przeszukany przez nasze siły bezpieczeństwa. Nie znaleziono śladów współników. Mamy obecnie pewność, że agent działał sam, i że jego tajemnica przepadła razem z nim.

Brastow odetchnął z ulgą. Przedwczesne odkrycie przez Izraelczyków wyrzutni SA-10 mogło zagrozić całej operacji. Pytanie ministra obrony uprzedziło ostatni problem Brastowa.

- Jakie środki podjęliście, by zapobiec kolejnym próbom infiltracji?
- Potroiliśmy liczbę strażników i poszerzyliśmy pas strefy chronionej - odparł niski człowieczek. - Zainstalowaliśmy też dodatkowe czujniki elektroniczne. Nikt więcej nie zdoła się zbliżyć na taką odległość.

Wracając do mapy, szef wywiadu rozpoczął przedstawianie izraelskiego planu ataku.

- Spodziewamy się, że ponownie użyją samolotów F-16 z tonowymi bombami, a myśliwce F-15 będą stanowić osłonę. Prawdopodobnie posłużą się taką samą siłą uderzeniową: osiem bombowców i sześć myśliwców. Aby nie przegapić celu, nalot, podobnie jak za pierwszym razem, nastąpi w dzień. Znowu oblecą Jordanię, by ominąć ciężką artylerię przeciwlotniczą na południe od Ammanu, i przelecą nad północną częścią Pustyni Arabskiej. Nalot w roku 1981 rozpoczęto z bazy lotniczej na Synaju, który dziś należy już do Egiptu. Tym razem wyruszą z tej oto bazy na pustyni Negew.
- Dotknął wskaźnikiem punktu położonego około stu kilometrów na południe od Jerozolimy. - W ten sposób trasa lotu, włącznie z drogą powrotną, wydłuży się o kilkaset kilometrów. Po dotarciu do naszej granicy zmniejszą wysokość, by uniknąć wykrycia przez radary, i pozostaną na niskim pułapie, zanim dotrą do celu. Tak więc widzą państwo: powtórka pod każdym względem. - Odłożył wskaźnik i podniósł dłonie w górę. - Oczywiście z wyjątkiem końcowej fazy gry. - Uśmiechnął się znacząco.

- Niezupełnie. - Szef sztabu lotnictwa kiwał z powątpiewaniem głową. - Te kilkaset kilometrów może znacznie zmienić sytuację. Nasze dane dotyczące bombowca F-16 wskazują, że w drodze powrotnej skończyłoby się im paliwo.

- Może tankowanie w locie? - podsunął szef wywiadu.

Obydwaj wojskowi spojrzeli na niego jak na szaleńca.

- Nad wrogim terytorium? - prychnął dowódca sił lądowych. - Z myślami trzech krajów postawionymi w stan pogotowia i naszymi radarami namierzającymi ich samoloty-tankowce? To byłoby samobójstwo.

Brastow zdecydował, że nadszedł czas, by zabrać głos. Miał nadzieję, że postępy, jakie poczynił w arabskim, pozwolą mu stawić czoło oponentom.

- Być może uda im się zwiększyć zasięg bombowców F-16, na przykład przez zainstalowanie dodatkowych zbiorników paliwa. Ta kwestia nie zaprzęta mojej uwagi w tym stopniu, co inne zagadnienie. W jaki sposób przemkną się niezauważenie ponad terytorium Arabii Saudyjskiej? System AWACS przeczesuje obecnie przestrzeń powietrzną dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zawsze w powietrzu jest jeden z czterech samolotów.

Generałowie wymienili spojrzenia, podczas gdy szef wywiadu szperał w notatkach. Po chwili wynurzył się z wyrazem triumfu, wymachując wykresem.

- AWACS działa według wzoru owalnego „toru wyścigowego”, który koncentruje się na polach naftowych, Dhahran i Ras Tanura, oraz północnym krańcu Zatoki Perskiej. Północny fragment Pustyni Arabskiej jest przeszukiwany tylko sporadycznie, kiedy samolot osiąga północny wierzchołek swej trasy. Znając ten plan lotów zwiadowczych, syjoniści mogą przelecieć nie zauważeni ponad terytorium Arabii Saudyjskiej.

Brastow skinął głową.

- Jest wysoce prawdopodobne, że taki właśnie mają zamiar. Ponieważ jednak Bagdad dowie się od agenta w izraelskich siłach powietrznych o dokładnym terminie nalotu, wasz rząd będzie mógł ostrzec Saudyjczyków. Dzięki temu mogą zmienić trasę AWACS-ów tak, by znalazły się we właściwym miejscu i czasie, żeby wykryć izraelską siłę uderzeniową.

Szef wywiadu patrzył na Brastowa nic nie pojmując. Z wyjątkiem ministra obrony, który wiedział, co zaraz powie Rosjanin, twarze wszystkich zebranych wrażały zdumienie.

- Ale dlaczego mielibyśmy to robić? - wyraził powszechny zarzut generała lotnictwa. - Zastawiamy na nich pułapkę, zasadzkę. Chcemy, żeby dotarli do Osiraku.

- Miałem na myśli inną, dodatkową pułapkę.

Brastow wstał od stołu konferencyjnego i podszedł do masywnego biurka, w którego rogu stał biało-czarny komplet szachów, odbijających ciepły, żółty blask lamp rozstawionych w gabinecie. Kunsztowne szachy były prezentem Brastowa dla ministra obrony. Szachownica z najczystszeo białego alabastru była wysadzana kwadratami z obsydianu. Figury wykonano z polerowanej kości słoniowej i mahoni.

- Jeśli Wasza Ekscelencja pozwoli...

Zahadi skinął przyzwalająco głową, a Rosjanin przeniósł szachy na stół i położył przed zebranymi. Sprawnie ustawił figury w klasycznym układzie obrony królewsko-indyjskiej.

- Białe atakują. My, czarne figury, wiemy, że się zbliżają. Czekamy na nich, przygotowując obronę. Na pozór wygląda to na klasyczną obronę, jaką widzieli już wielokrotnie. Jednak w zanadru trzymamy niespodziankę, kluczowy ruch, który wykonamy dopiero wtedy, gdy białe siły rozwiną się w takim stopniu, że nie będą się już w stanie wycofać.

- Oczywiście pociski SA-10. - Generał wojsk lądowych sam był wielbicielem szachów. - Zniszczymy ich bombowce, kiedy będą nadlatywać na małej wysokości, bezbronne i niezdolne do ucieczki.

- A co później? - Brastow zwrócił się do generała. - Bombowce to tylko pionki. Zbijamy kilka, ale gra toczy się dalej. Wynik wcale nie jest przesądzony; Amerykanie mogą dostarczyć Izraelczykom brakujących samolotów. Uzyskalibyśmy tylko chwilową przewagę, krótką chwilę triumfu. Za to stracilibyśmy okazję do mistrzowskiego uderzenia.

Mówił z niezwykłą siłą i bezpośredniością. Generał oblał się rumieńcem.

- Nie widzę, jak...

- Proszę spojrzeć. - Brastow zaczął szybko przesuwać figury. Białe maszerowały naprzód, zagrażając czarnemu królowi, czarne rozpierzchały się bez wyraźnego systemu czy celu. W tym procesie padło kilka białych

pionków, ale białe uzyskały inicjatywę, okrążając króla przeciwnika, grożąc mu szybkim matem.

- Strata kilku pionków nie zmartwiła zbytnio białych, co? Dają mata w jednym posunięciu.

Ci spośród zebranych, którzy potrafili grać w szachy, przyglądali się szachownicy, kiwając głowami. Radziecki doradca uśmiechnął się chytrze.

- Tylko teraz to nie białe mają ruch, ale czarne. - Chwycił jednego z czarnych skoczków i postawił go na polu, skąd szachował on białego króla, ale jednocześnie groziło mu bezpośrednie pobicie przez biały pionek. - Szach! A jednocześnie garde!

W sytuacji poprzedzającej ruch, czarny skoczek stał między białą królową a czarnym gońcem, co chroniło skoczka przed pobiciem przez królową. Teraz przekątna między białą królową a czarnym gońcem otwierała się, pozostawiając czarną figurę nie bronioną. Białe mogłyby pobić gońca królową, gdyby nie pewien drobny szczegół: ich król znalazł się pod szachem. Pozostawało im tylko jedno: pobić skoczka, uwalniając króla od szachu. Wtedy czarny goniec bił białą królową.

- Dramatyczny obrót sytuacji, prawda? - Brastow wziął białego króla i położył go na szachownicy. - U progu zwycięstwa białe tracą królową, ich sytuacja staje się beznadziejna i zmusza je do kapitulacji. Dlaczego? Ponieważ grający białymi tak bardzo skupił się na zadaniu szybkiego ciosu, że przeoczył zastawioną na niego pułapkę. Jego królowa stała w tyle na drugiej linii, stosunkowo ukryta. Czuł się bezpieczny. Proponuję taką właśnie pułapkę, panowie. Nie zadowolimy się kilkoma pionkami. Nam chodzi o królową! - Spojrzał po twarzach zebranych, ale tylko minister obrony zdradzał oznaki zrozumienia.

- Pomyślcie, panowie. Jaka jest najsilniejsza figura Izraelczyków, bez której nie są w stanie atakować ani się bronić, bez której ich położenie jest beznadziejne?

- To proste - rzucił generał wojsk lądowych. - To ich jedyny potężny sojusznik, Stany Zjednoczone. W 1973 miażdżyliśmy ich, dopóki prezydent Nixon nie przyszedł Izraelczykom z pomocą, wspierając ich drogą powietrzną. - Generał z coraz bardziej zaszępiłą miną przyglądał się

uśmiechniętemu, kiwającemu głową Rosjaninowi. - Co pan proponuje? Jak można schwytać w pułapkę Stany Zjednoczone?

- Zbyt dosłownie potraktował pan mój mały przykład szachowy. - Brastow ujrzał błysk zrozumienia w oczach Ali Mustafy i skupił całą uwagę na „Wielkim Wezyrze”. - Nie musimy zbijać amerykańskiej królowej, żeby pozbawić Izrael jej pomocy. Możemy to osiągnąć przez spowodowanie zdarzenia tak niesmacznego dla Amerykanów, że wbije ono klin między nich a ich syjonistycznego sprzymierzeńca. Stosunki między obydwojma krajami ostatnio ciągle się pogarszały. Nowy amerykański prezydent obiecał ich poprawę, by zapewnić sobie żydowskie głosy. Drugi miesiąc miodowy, co? Postaramy się, żeby nie trwał długo.

W tym momencie wszyscy spijali słowa z ust Rosjanina.

- Kluczem jest wasz agent w izraelskich siłach zbrojnych. Gratuluję, to było mistrzowskie posunięcie. - Rzucił szefowi irackiego wywiadu kilka okruchów, po czym natychmiast zagarnął je z powrotem. - Umieściliście go poprawnie, ale nie wykorzystujecie jak należy; ma wam tylko dostarczyć informacji o terminie nalotu. Jak musi się czuć, zmuszony do udziału w nalocie na własną ojczyznę? Możecie mu tego oszczędzić i zlecić znacznie chlubniejsze zadanie. Takie, które może zmienić układ sił i skłócić między sobą naszych przeciwników.

Brastow podszedł do mapy i ujął wskaźnik.

- Wasz pilot myśliwca F-15 startuje z izraelskiej bazy gdzieś na Negewie, jako osłona siły uderzeniowej złożonej z F-16. Będzie uzbrojony w dwa reagujące na ciepło pociski Sidewinder oraz dwa sterowane radarem pociski typu Sparrow. Gdzieś nad północną częścią Pustyni Arabskiej wasz pilot opuszcza formację i udaje, że zawraca. Podaje dowolny powód: kłopoty z silnikiem czy wadliwy radar. Znalazłszy się poza zasięgiem wzroku pilotów z formacji, skręca na południe, przyspiesza z użyciem dopalacza, po czym leci na spotkanie z AWACS-em, lecącym na północ w odpowiedzi na ostrzeżenie waszego rządu. Pilot znajdzie go bez trudu; liczne sygnały radarowe AWACS-a są odbieralne w promieniu wielu setek kilometrów. Kiedy wasz człowiek znajdzie się w zasięgu strzału, odpali oba Sparrowy jednocześnie. Spudłowanie nie wchodzi w rachubę: AWACS to olbrzymi

cel dla radaru. Gdyby jednak zaistniała taka konieczność, myśliwiec podleci bliżej i wykończy ogromny samolot pociskami Sidewinder. Potem po prostu zniknie.

Generał lotnictwa zachłysnął się gwałtownie.

- Czy dobrze usłyszałem? Zestrzelić saudyjskiego AWACS-a? Czy pan oszalał? - Pozostali patrzyli na Brastowa w osłupieniu. Tylko Zahadi i Mustafa zdawali się pogrążeni w rozmyślaniach.

- Pomyślcie tylko - ciągnął Rosjanin. - Na pokładzie będą się znajdowali amerykańscy cywile: technicy i inżynierowie. Wina za atak spadnie oczywiście na Izrael. Kiedy tylko świat dowie się o ich drugiej próbie ataku na Osirak, nikt nie będzie miał wątpliwości, że to izraelski myśliwiec zestrzelił AWACS-a, aby ten nie wykrył siły uderzeniowej i nie wszczął alarmu. Amerykanie będą wściekli i to z dwóch powodów: że ich gorliwy sojusznik nie podzielił się z nimi informacją o planowanym nalocie i ponieważ wykazał tak jawną pogardę dla życia Amerykanów. W Stanach podniesie się krzyk, nawet pośród Żydów. Wreszcie osiągnięty zostanie ten punkt zwrotny, na który czeka cały świat islamski: Amerykanie odwrócą się od Izraela, pozostawiając go bezbronnym i izolowanym.

- Ale Saudyjczycy - zaprotestował generał wojsk lądowych. - Przecież finansują nasz program nuklearny. Gdyby się dowiedzieli, że to my zestrzeliliśmy ich AWACS-a, nie zobaczylibyśmy już więcej ani rijala.

- Nie ma potrzeby, żeby się dowiedzieli. Jak powiedziałem, pilot po prostu zniknie. Nikt, poza obecnymi w tym pokoju oraz oczywiście waszym prezydentem, nie musi o niczym wiedzieć. Ale nawet gdyby Saudyjczycy kiedyś się dowiedzieli, czy nie sądzicie, że król Fahd i jego bracia uznaliby ten wypadek za opłacalny? Spuścizna po Beginie, obecna twarda polityka rządu izraelskiego wciąż torpeduje wysiłki Saudyjczyków zmierzających w kierunku utworzenia państwa palestyńskiego na zachodnim brzegu Jordanu i zwrócenia Arabom świętych miejsc we Wschodniej Jerozolimie. Ten rząd bez wątpienia upadnie, otwierając drogę sponsorowanemu przez Rijad planowi przesiedlenia Palestyńczyków. Ponadto - dodał, zwracając się bezpośrednio do doradcy prezydenta - system AWACS

oficjalnie nadal należy do Amerykanów. Własnością Saudyjczyków stanie się dopiero po przejściu odpowiednich testów. Amerykanie będą się musieli pogodzić ze stratą i uzupełnić ją, bez obarczania rządu saudyjskiego dodatkowymi kosztami.

Spojrzał na nieprzenikloną twarz Mustafy, ale nie potrafił odczytać z niej żadnej odpowiedzi. Obaj generałowie zaniemówili. Szef wywiadu, wciąż marszcząc brwi, wylał na Brastowa kubek zimnej wody.

- Obawiam się, że nie docenia pan syjonistów. Bez wątplenia odkrywają tożsamość naszego agenta, kiedy zdezerteruje ze swym cennym samolotem. Powiadomią świat, że AWACS-a zestrzelił agent iracki.

- Kto im uwierzy? - zaśmiał się Rosjanin. - Na pewno nie Saudyjczycy. Nie ma pilota, nie ma dowodu. Co się tyczy Amerykanów, przypomną sobie przypadek „Liberty”, amerykańskiego okrętu patrolowego, który podczas wojny 1967 roku zatopili Izraelczycy, chcąc obarczyć winą swoich wrogów.

Szef wywiadu zamilkł i spojrzał na ministra obrony w oczekiwaniu na wskazówki. Amahl Zahadi, wciąż z beznamytnym wyrazem twarzy, obserwował reakcje zebranych. Ali Mustafa przerwał długie milczenie.

- Wspaniałe! Generale Brastow, ma pan niezwykły dar przekonywania, a ponadto starannie odrobił pan pracę domową. Wydaje się, że pański plan ma wiele zalet, jest naprawdę śmiały i imponujący. Mam kilka pytań co do pewnych szczegółów, ale odłożymy to na później. Jeśli minister obrony wyraża zgodę, przygotuję spotkanie z naszym szanownym prezydentem. Tylko on, rzecz jasna, może zaangażować nasz naród w operację o tak daleko idących skutkach.

Zahadi skinął głową.

- To bez wątplenia słuszne posunięcie. A zatem wszyscy się zgadzamy? - Nie czekając na odpowiedź wstał, dając znak, że spotkanie dobiegło końca. Rozległ się szmer głosów; zebrani zaczęli dzielić się nie wypowiedzianymi wcześniej wątpliwościami. Minister odwrócił się i nakazał gestem ciszę.

- Mała uwaga. Nie zapadła jeszcze decyzja, że przeprowadzimy proponowaną operację. Gdyby jednak miało się tak stać, jest sprawą nadrzędnej

wagi, by za wszelką cenę zachować tajemnicę. Tylko wy jesteście zapoznani z tajnym planem. Z nikim nie wolno wam się nim dzielić. Jeśli pojawi się przeciek, wina spadnie na was.

Brastow był zachwycony. Uściśnął dłoń Zahadiego i Mustafy, po czym ruszył do drzwi. Kątem oka dostrzegł, jak Ali Mustafa pociąga ministra za rękaw i zatrzymuje go. A więc teraz odbędzie się posiedzenie rady w ścisłym składzie. Brastow dałby wiele, by móc się przysłuchiwać.

Prezydent Saddam Hussein jest człowiekiem bardzo podejrzliwym. - Ali Mustafa popijał słodką, mocną kawę, a jego gospodarz ze zrozumieniem kiwał głową. - Jego pierwsze pytanie będzie brzmiało: „Co my będziemy z tego mieli?” Natomiast drugie: „Co zyskają Sowietci?”

- Myślę, że na pierwsze pytanie potrafię odpowiedzieć bardziej niż dokładnie - mówił pośepny Arab. - Jeśli na pozorne zastrzelenie AWACS-a przez syjonistów Amerykanie zareagują tak, jak przewiduje nasz rosyjski przyjaciel - a nie mam podstaw, żeby w to wątpić - wówczas przynajmniej pozbędziemy się rządu utworzonego przez terrorystę Begina. Prezydent Hussein nienawidzi tego człowieka i obarcza go osobistą odpowiedzialnością za dostarczanie broni Iranowi, atak na Bagdad oraz inwazję na Liban.

Wróg syjonistyczny zostanie na dłuższą metę poważnie osłabiony przez utratę amerykańskiego poparcia i w końcu będzie musiał ulec zespolonej arabskiej ofensywie, bez względu na to, czy przeprowadzona będzie środkami ekonomicznymi i politycznymi, czy też militarnymi. Nie powinien nas zrażać fakt, że Irak nie od razu będzie mógł przypisać sobie za to zasługi. Lukier - zniszczenie izraelskich bombowców - i tak przypadnie nam w udziale, osładzając nam okres oczekiwania, zanim będziemy mogli zjeść resztę tortu.

Minister obrony uśmiechnął się, jakby już teraz smakował tę słodycz. Ali Mustafa ciągnął dalej:

- Istnieje też inny aspekt tej strategii, który ma jeszcze bardziej bezpośredni wpływ na przyszłość Republiki Irackiej. Jeśli uda się nam skłócić Amerykanów z syjonistami, rozwiążemy największy na dzisiaj problem prezydenta oraz członków Rady Rewolucyjnej. Świat dowie się wcześniej

czy później tego, czego Izraelczycy wciąż nie są w stanie udowodnić: że nasze zakłady atomowe są zdolne do uzyskiwania plutonu ze wzbogaconej rudy uranowej sprowadzanej z Brazylii, i że znajdujemy się o krok od produkowania głowic atomowych o mocy wielu kiloton. Znaleźlibyśmy się w wielkim niebezpieczeństwie, gdyby Amerykanie zareagowali dostarczeniem Izraelowi materiału rozszczepialnego, w celu utrzymania równowagi sił na Bliskim Wschodzie. Nie można mieć wątpliwości, że Żydzi dysponują już technologią, w krótkim czasie zdolną przekształcać taki materiał w bomby. Nie możemy do tego dopuścić. Plan Rosjanina jest jak najbardziej na czasie; wydaje się idealnym sposobem wykopania między Amerykanami a syjonistami pożądanej przepaści, która uprzedziłaby podobny rozwój wypadków.

- Zastanawiają mnie jednak motywy Sowietów. - Nietypowa zmarszczka pojawiła się na pogodnym zazwyczaj czole doradcy prezydenta. - Nie znaczy to bynajmniej, że chęć działania na szkodę syjonistów kłóci się z ich charakterem. Rosjanie byli zawsze wściekłymi antysyjonistami, krytycznie wypowiadającymi się o Beginie i jemu podobnych.

- W znacznej mierze postępowali tak, aby przypodobać się islamowi i rzucić cień na Amerykanów, jako na sojuszników syjonistów.

- Właśnie. Dlaczego więc mieliby proponować plan, który w ostatecznym efekcie rozjaśniłby ten cień, doprowadził do zbliżenia między Ameryką a islamem, a tym samym zmniejszył rosyjskie wpływy w tym rejonie? Przecież to byłoby na rękę Amerykanom.

Amahl Zahadi wzruszył ramionami.

- Obawiam się, że nie potrafię na to pytanie odpowiedzieć.

- Ani ja, przyjacielu, przynajmniej na razie. - „Wielki Wezyr” opróżnił filiżankę i ostrożnie odstawił ją na delikatny spodek. - Ale tej kwestii należy poświęcić jeszcze trochę uwagi. Wiele uwagi, zanim pozwolimy sobie na pełne zaangażowanie się w ten plan Brastowa.

Gdzie jest ten pierdolony Llewellyn? - Potężnie zbudowany mężczyzna o ciemnych brwiach, ubrany w oliwkowy mundur roboczy, zerknął na zegarek, a potem rzucił groźne spojrzenie młodszemu, jasnowłosemu mężczyźnie siedzącemu za biurkiem naprzeciwko. - Ten bezmyślny sukinsyn

pewnie jeszcze kima.

Młodszy, pochylony w skupieniu nad biurkiem, nie zareagował ani nie podniósł wzroku, dolewając w ten sposób oliwy do ognia.

- Chryste, Hanson, sam nie dam sobie rady z tym gównem. Masz podobno kierować tą pierdoloną operacją. Kurwa, jeśli chcesz, żeby ten zasrany AWACS działał, zmusz lepiej tego skurwysyna do współpracy.

Blondyn podniósł znad biurka zmęczony wzrok.

- Hauser, masz bez wątpienia najbardziej niewyparzoną gębę po tej stronie Piccadilly. Dałem ci siedemdziesiąt dwie godziny na skończenie pracy przed przyjazdem naszej pani inżynier. - Spojrzał na zegarek. - Zostały ci dokładnie czterdzieści dwie minuty.

- Nie zmieniaj pierdolonego tematu.

Kruchy barak zatrzęsł się od nagłego podmuchu wiatru, jakby został chwycony nagle przez cierpiącego na paraliż olbrzymia; tysiące ziarenek piasku zagrało szorstkim staccato na ścianach z blachy falistej. Obydwaj mężczyźni skierowali niespokojny wzrok na widoczny za oknem krajobraz pobrązowały od tumanów piasku. Blondyn wstał i wyjrzał. Trzy olbrzymie samoloty E-3A, stojące w odległości czterystu metrów na betonowym pasie startowym, były ledwo widoczne.

- Pierdolona Arabia Saudyjska - mruknął pod nosem. - Co za pomysł, żeby w takiej zabitej dechami dziurze próbować dokonać jednego z cudów nowoczesnej techniki.

Hauser nie zrażał się łatwo.

- Co z Llewellynem?

- Zaraz przyjdzie. Kiedy pukałem do jego drzwi, grzmiała już Piąta Beethovena. Pewnie mnie nie usłyszał.

- Lulusiowaty sukinsyn. Ma się za coś więcej niż my. Myśli, że jest Zasranym Królem.

Hanson wrócił od okna i stanął przed biurkiem Hausera.

Nachylił się, wsparty na dłoniach, przysuwając twarz na odległość paru centymetrów od twarzy drugiego.

- On jest Zastranym Królem. To jego radar i Llewellyn zna go jak własną kieszeń. A w systemie AWACS, przyjacielu, radar jest pępkiem wszechświata. Nie jest nim twój komputer, ani nawet mój samolot, ale jego radar. Bez niego nie damy rady skończyć. Dlatego jeśli nie chcesz tkwić jeszcze rok czy dwa w tej zakazanej dziurze, radzę ci, żebyś nauczył się go tolerować.

- Znacznie łatwiej byłoby go tolerować, gdybyś co pewien czas kopnął go w dupę, Hanson. Ale na to masz za mało jaj; zawsze bierzesz jego stronę. Boeing powinien był się dobrze zastanowić, zanim powierzył kierownictwo takiej sprawy pieprzonemu dzieciakowi, który ma jeszcze mleko pod nosem.

Hanson przygryzł wargę i usiadł z powrotem za biurkiem. Pieprzony dzieciak. Z wyjątkiem Hausera, który był po trzydziestce, oraz jednego ze starszych techników, wszyscy tu byli dzieciakami. Inżynierowie to w większości młodzi kawalerowie, niekiedy rekrutowani natychmiast po szkole. Praca mogła być dobrą praktyką, a dniówka połączona z dodatkiem sprawiała, że początkowe warunki płacowe przedstawiały się kusząco. Starsi, żonaci inżynierowie niechętnie podpisywali długoterminowe kontrakty na pracę w miejscu, dokąd nie mogli zabierać żon i dzieci.

Myśl o żonie sprawiła, że Hanson po raz kolejny w tym miesiącu zapragnął rzucić wszystko w diabły. Jezu, jak za nią tęsknił. Od ostatniego urlopu minęło już ponad sześć miesięcy. Nie wróci do domu przed ukończeniem całej pracy, co powinno nastąpić lada moment. Większość personelu pomocniczego już odleciała. Jednak, jak zwykle, prawo Murphy'ego dawało się we znaki. W końcowej fazie lotów próbnych wyniknęły nieprzewidziane problemy, anomalie, które nie występowały podczas żadnych wcześniejszych prób z AWACS-em. Hanson był przekonany, że dadzą radę. Gdyby tylko mógł utrzymać swój mały zespół razem, uchronić ludzi od autodestrukcji. Ale jak? Jego autorytet był tak słaby. Inżynier Boeinga, oficjalnie kierujący pracą, próbujący narzucić wolę inżynierom i technikom, którym płacił Westinghouse, IBM i Northrop.

Jego urok osobisty - dowcip i wdzięk, którym zawdzięczał dotychczasowe

powodzenie - w zastraszającym tempie ulegał dewaluacji. Jego mały zespół pracujący nocami i podczas weekendów, znajdował się na skraju wyczerpania. Takie tempo można utrzymać tylko przez pewien czas. Dzisiaj, w niedzielę, dał wolne wszystkim z wyjątkiem kierowników grup, Hausera i Llewellyna. IBM i Westinghouse. Komputer i radar. To połączenie stanowiło sedno problemu. Coś popsło się między tymi dwoma; wzajemnym oskarżeniami i wytykaniu palcami nie było końca.

Naprawdę nie mógł winić Llewellyna. Facet był technicznym geniuszem, najlepszym jakiego znał. Brał udział w przeprowadzanych przez NATO na terenie Niemiec próbach, poprzedzających instalacje saudyjskie. Znał ten system lepiej niż ktokolwiek inny. Hanson rzadko spotykał się z inżynierami, których zdolności w dziedzinie software dorównywały ich wiedzy o hardware. Llewellyn był tym cennym połączeniem i osobiście napisał nowy program, dzięki któremu ominęli niektóre trudności. Gdyby tylko bliżej współpracował z Hauserem. Ale z Hauserem trudno było wytrzymać, a i sam Hanson miał zastrzeżenia co do jego kompetencji.

Zaśmiał się na głos, nieco gorzko, przypominając sobie swe przedhauserowskie naiwne wyobrażenie o inżynierze z IBM. Maniery dżentelmena, cicha kompetencja, krawat, biała koszula zapięta na ostatni guzik, umysł zapięty na ostatni guzik. Ha! Hauser nie tylko zszargał to wyobrażenie, Hauser je zniszczył. W ostatnim czasie Hansonowi kilkakrotnie przychodziła ochota, by zwrócić się do IBM po kogoś innego, ale zniechęcała go perspektywa wdrażania nowego człowieka w końcowej fazie prac. A teraz, o ironio, miał zostać obarczony koniecznością wdrażania pani inżynier. Tego tylko mu brakowało. Okaze się pewnie, że nowa nie ma żadnego doświadczenia, za to ma do pokonania barierę językową. Właściwie lepiej, żeby nie mówiła po angielsku. Trudno by jej było znieść rynsztokowe słownictwo i sprośne dowcipy zespołu, a Hanson nie łudził się: nie zdołałby ich utemperować w jeden wieczór.

Ocknął się z zamyślenia, zobaczył, że Hauser ma zamiar nadal utyskiwać, więc postanowił uciszyć grubasa.

- Jeśli kogokolwiek kopnę w dupę, to ciebie, Hauser. To twój komputer

nawala, kiedy przechwytujemy tam w górze sygnały.

Obsceniczna odpowiedź Hausera utonęła w podmuchu wiatru pełnego piasku, który wdarł się przez otwarte drzwi, rozrzucając papiery z jego biurka po pokoju.

- Zamknij te pierdolone drzwi! - wrzasnął Hauser, rzucając się na podłogę.

Człowiek, który stanął w drzwiach, nie śpieszył się z wykonaniem wściekłego rozkazu. Znieruchomiał na moment, rozbawiony komicznym widokiem ociążałego mężczyzny w roboczym mundurze, uganiającego się za rozwiewanymi przez wiatr dokumentami. Rozbawiona twarz spoglądająca spod kaptura ocieplanego kombinezonu była młodszą wersją brata, dyplomaty, a sylwetka, nieco drobniejsza i mniej muskularna, nie ustępowała tamtemu wzrostem. Richard-Llewellyn niemal leniwie sięgnął po klamkę, którą wiatr wyrwał mu z ręki, pociągnął drzwi, aż szczerknął zamek.

- Pieprzony niedorozwój! - Rozdrażniony Hauser segregował i wygładzał zmięte arkusze papieru.

- Hauser, jeśli mój umysł jest niedorozwinięty, twój chyba nie istnieje. Twój komputer wart milion dolarów rozpada się na naszych oczach, a ty nawet nie wiesz, dlaczego. Czy to gorączkowe polowanie na notatki oznacza może, że znalazłeś tam wreszcie jakieś odpowiedzi?

Hanson nie mógł stłumić uśmiechu słysząc kąśliwą uwagę specjalisty od radarów. Llewellyn nie był człowiekiem szczególnie złośliwym; uciekał się do sarkazmu tylko wtedy, kiedy czuł się krytykowany lub zagrożony, ale wtedy naprawdę potrafił dopieć. Hauser nie miał szans.

- Pierdol się, Llewellyn!

- Rozczarowujesz mnie, Hauser. Nie chodzi mi o twoje przekleństwa, w tej dziedzinie także można być prawdziwym artystą, a twoje sprośności są tak łatwe do przewidzenia, tak często się powtarzają. Skoro już musisz nawiązywać wciąż do tego samego aktu, dorzuć przynajmniej dla urozmaicenia kilka synonimów, jak kopulować czy spółkować.

- Nie ma nic gorszego niż pierdolona mądrała - mruknął Hauser z takim wyrazem twarzy, jakby chciał udusić Llewellyna gołymi rękami. Ale Richy już się odwrócił i rozpinając suwak kombinezonu podchodził do biurka Hansona.

- Westinghouse znowu przybywa na pomoc - ogłosił, wyjmując z wewnętrznej kieszeni gruby pakiet i dramatycznym gestem rzucając go Hansonowi na kolana.

- Co to, do diabła? - Hanson otworzył pakiet i przechylił nad biurkiem. Wyspało się kilka rolek taśmy magnetycznej oraz wydruk komputerowy na papierze perforowanym. Hanson spojrział w zdumieniu na Llewellyna.

- Kazałem, żeby przysłali mi to z Geilenkirchen. To są taśmy Westinghouse, których używaliśmy podczas początkowych prób dla NATO, kiedy instalowaliśmy procesor radarowy. Wtedy oprogramowanie Boeinga i IBM nie było jeszcze gotowe. Działy jak złoto, a w radarze zostało nam dostatecznie dużo wolnej pamięci.

Zdumienie Hansona wzrosło.

- Co nam z tego przyjdzie? Nie możemy dać tego programu Saudyjczykom, nie został zabezpieczony. Poza tym, cała logika systemu zależy od centralnego procesora.

- Wiem o tym. - Głos Llewellyna zdradzał wystudiowaną cierpliwość. - Ale jutro mamy lot, tak? Ponaglają nas; potrzebujemy jednej udanej próby. Poza tym te taśmy pozwolą nam stwierdzić, w czym tkwi problem. Jeśli program zadziała i uda nam się określić wielokrotności, raz na zawsze ustalimy, że problem nie leży w radarze, ale w komputerze albo, w oprogramowaniu. Możemy zaprogramować te same algorytmy, puścić je na centralnym procesorze i...

- O nie! - Hauser, który podsłuchiwał, postanowił domagać się swoich praw. - Nie na moim pierdolonym komputerze!

Przerwało im głośnie łomotanie do drzwi i pełne przekleństw żądania wpuszczenia do środka. Richy zdał sobie sprawę, że zamykając drzwi, bezwiednie zapiął łańcuch. Skoczył, żeby otworzyć.

- Co, u licha, to Rybałt i Tłuscioch - obwieścił, kiedy dwie postaci w wiatrówkach z kapturami wpadły do środka wraz z kolejnym piaszczystym podmuchem. - Myślałem, że dałeś im wolne.

- Ja też tak myślałem - odparł Hanson, patrząc, jak przybysze zdejmują kaptury i strzepują piasek. - Postanowiliście spędzić z nami swój pierwszy od pięciu tygodni dzień urlopu? Jesteśmy wzruszeni.

- Nie zostajemy. - Niższy z dwóch mężczyzn, ten o zębach aż żółtych od tytoniu, mówił z akcentem brooklińskim. Technik firmy Sperry, dawniej nazywany „Brownsville”, na cześć części Brooklynu, gdzie się urodził i wychował, został przemianowany przez Hansona, kiedy zaprzyjaźnił się z grubasem. Przewisko „Rybałt” nie oddawało pełnej sprawiedliwości spróśnym opowieściom, jakie snuł drobny, żyłasty technik; jego repertuar składał się przede wszystkim z opisów, a humor występował sporadycznie. Jego zasoby zdawały się niewyczerpane. Llewellyn, który krzywił się razem z innymi podczas częstych występów, nie pamiętał, żeby dwa razy słyszał tę samą historię. Rybałt nazywał się w rzeczywistości Jules Berger, ale oficjalnie zmienił nazwisko na Julius Bergstrom. W poszukiwaniu nazwisk żydowskich Saudyjczycy dokonywali lustracji list personelu pomocniczego.

Tłuścioch był jego nieodłącznym kompanem i najbardziej zagorzałym fanem. Podczas gdy inni jęczeli, słuchając opowieści drobnego technika, Frank Waterhouse zaśmiewał się do rozpuku i nie krył entuzjazmu. Uprzejmy Teksasczyk, który przeniósł się do Kalifornii, gdzie zatrudnił się jako inżynier u Northropa, zachował upodobanie do muzyki country i westernowej. Często umiłał towarzyszyć swoim tubalnym, zazwyczaj fałszującym głosem oraz dźwiękami starej gitary, na której nie umiał grać. Richy wołał muzykę klasyczną; nie znosił utworów w stylu country, nawet tych wyśpiewywanych poprawnie, rozrywek jednak w Arabii było niewiele, a dziwaczna para dostarczała wytchnienia po monotonnej pracy.

- Przyszliśmy tu, żeby poznać tę perską dziwkę - ciągnął Rybałt swoim żargonem z Brownsville - i, no wiecie, powitać ją na pokładzie.

- Ha! - ryknął Hauser. - Ładny komitet powitalny. Wystarczy jedna twoja pieprzna historyjka, żeby spadły jej pierdolone spodnie.

- Dokładnie to miałem na myśli - odparł drobny człowieczek, szczerząc się obscenicznie do Hausera. Jego towarzysz poczuł się w obowiązku wyjaśnić.

- Założyliśmy się, rozumiecie? O tę nową panią inżynier. Postanowiliśmy, że przyjdziemy, poznamy ją i przekonamy się, kto wygrał. - Z rozba-wieniem spojrzął na drobnego kompana. - Julie jest pewien, że to będzie

seksbomba. Nie wie, jakie to suki, te inżynierki. Poznałem ich już masę; wszystko to suki.

- Nie ona. - Rybałt energicznie kręcił głową. - Mój horoskop nigdy się nie myli. Dziś mam poznać bombową Rybę. Któż inny mógłby to być?

- Ty naprawdę wierzysz w te astrologiczne brednie? - zaśmiał się pogardliwie Hauser. - Tłuscioch ma rację: to musi być suka. O ile się zakładacie? Chciałbym wejść.

- Dwadzieścia dolców? - Technik od Sperry'ego wyciągnął rękę, którą Hauser uściskał. - Umowa stoi.

Rybałt podniósł się na wysokość całych swoich stu siedemdziesięciu pięciu centymetrów uśmiechając się przebiegle.

- Nie wiecie tylko, że ja już ją widziałem.

- Co? Jak...? - Hauser wyczuł, że dał się nabrać.

- Ma na myśli te swoje fantazje - wyjaśnił Tłuscioch. - Julie zawsze fantazjuje. W ten sposób pieprzył już połowę gwiazd hollywoodzkich.

- To nie była żadna pierdolona fantazja - tłumaczył się Rybałt. - Widziałem jej twarz we śnie, kapujecie? A sny nie kłamią. Spytajcie, kogo chcecie. Prawda, Hanson?

Jasnowłosa kierownik zignorował pytanie. Miał uczucie, że sprawy wymykają mu się spod kontroli.

- Słuchajcie, wy wszyscy. Panna Razmari może tu wejść w każdej chwili, a mówicie o niej jak o zwykłej dziwie. Słyszeliście o kobietach muzułmańskich: nie są takie jak amerykańskie dziwki; żyły w izolacji i nie miały do czynienia z takimi sprośnymi świrami jak wy. Nie są przyzwyczajone do tego, żeby się na nie gapić, więc, na rany Chrystusa, nie rozbierajcie jej wzrokiem. I liczcie się ze słowami. Hauser, ciebie dotyczy to podwójnie. Rybałt - żadnych historyjek, nawet jednolinijkowych. Wiem, jak bardzo jesteście chłopcy napaleni, ale nie wyżywajcie się na jakiejś biednej, bezbronnej arabskiej dziewczynie.

Llewellyn, który właśnie nalewał kawę do kubków, powitał przemowę Hansona głośnymi oklaskami. Przysłuchiwał się rozmowie z rozbawieniem i dopiero teraz się włączył.

- Niech żyje Hanson, obrońca muzułmańskich kobiet. A poza tym - zwrócił się do pozostałych - ten wasz zakład nie ma sensu.

- Jak to? - Rybałt strzelił w jego stronę niespokojnymi ciemnymi oczami.

- Jak chcecie się dowiedzieć, czy to suka, czy nie? Jesteście tak wygłodzeni, że spodoba się wam wszystko, co nosi spódnicę. Równie dobrze już teraz możecie zapłacić Rybałtowi.

- Hej, on ma rację. - Hauser spojrzął na pozostałych. - Potrzebny nam bezstronny sędzia. Co powiecie na Hansona? On ostatni spośród nas był na urlopie, będzie najbardziej obiektywny.

Rybałt i Tłuścioch szybko wyrazili zgodę.

- O, nie! - zaprotestował Hanson, podczas gdy Richy uśmiechał się pod nosem. - Nie dam się wciągnąć w nic tak... - przerwał mu odgłos samochodu parkującego przed barakiem. W ślad za Rybałtem wszyscy rzucili się do małego okienka.

Przed drzwiami stał kryty gazik; pasażerowie nie byli widoczni. Z ciasnego wnętrza wysiadł wysoki wąsaty oficer saudyjskiego lotnictwa i przeszedł na drugą stronę samochodu.

- To pułkownik Fuu-ad - zachłysnął się podniecony Rybałt.

- Kim on jest, jej gorylem?

- To tak, jakby lis pilnował kurczaków - zaśmiał się Hauser.

- Óóó! - syknął Tłuścioch, walcząc łokciami o lepszy widok.

- Wysiada.

- Nie wierzę - wykrztusił Hauser niemal z szacunkiem. Richy stał przy oknie wyciągając szyję tak jak i pozostali. Spodziewał się ujrzeć zakwefioną postać w ciemnych szatach, podobną do beduińskich kobiet, jakie widywał podczas nielicznych wypadów do miasta. Był zupełnie nie przygotowany na to, co zobaczył: przez otwarte drzwiczki gazika wysunęły się zgrabne nogi w dżinsach i skórzanych butach na wysokim obcasie. To co ujrzeli ponad spodniami, okazało się równie miłe dla oka; panna Razmari stanęła w pełnym kurzu blasku słońca. Głowę, dla ochrony przed piaskiem, owinęła kilkakrotnie kolorową chustą. Luźna niebieska kamizelka, nie zapięta na obcistej białej bluzce, odsłaniała obfite piersi. Richy nie widział jeszcze jej twarzy, wciąż skrytej w cieniu.

Wtedy to kobieta zamknęła drzwiczki gazika i odwróciła się wprost do okna.

- To ona! Jezu, to ona! - Rybałt zbladł i wyglądał tak, jakby miał zemdleć.

- Ale laleczka! - Hauser zagwizdał cicho.

- Nie potrzebujemy sędziego. - Tłuścioch sięgnął po portfel i wyciągnął dwudziestkę. - Trzymaj, stary. Warto było.

Wręczył banknot oszołomionemu towarzyszowi, który przyjął go, wciąż nie mogąc dojść do siebie.

- Dostałem gęsiej skórki, popatrz na moją pierdoloną rękę!

- Spokój, świry, wchodzą tutaj. - Hanson podszedł do drzwi. - Odsuńcie się od okna i starajcie się zachowywać jak cywilizowani ludzie.

Pułkownik Fuad pierwszy wpadł przez drzwi, a panna Razmari tuż za nim. Richy czuł, że nigdy nie przyzwyczai się do obyczajów świata arabskiego, dających mężczyźnie pierwszeństwo przed kobietą.

- Dzień dobry, pułkowniku Fuad. - Hanson nie lubił nadętego oficera, ale starał się to ukryć. Pułkownik był jego oficjalnym łącznikiem z saudyjskim lotnictwem, z którym Hanson chciał utrzymać dobre stosunki, zwłaszcza w obliczu problemów i opóźnień. Pułkownik Fuad bez słowa zasalutował, wszedł sztywno do pokoju, a młoda kobieta stanęła w drzwiach, niepewna, co ma zrobić. Hanson uśmiechnął się do niej uspokajająco, a ona odwzajemniła uśmiech.

Stojąc przed biurkiem Hansona, plecami do małej tablicy, pułkownik Fuad wyjął z kieszeni złożoną kartkę i zaczął z niej czytać mocnym głosem zdradzającym dobre opanowanie brytyjskiego angielskiego. Zachowywał się niezwykle formalnie; jego twarz wyrażała śmiertelną powagę. Ten facet nie ma za grosz poczucia humoru, pomyślał Rybałt.

- Panie Hanson i pozostali członkowie amerykańskiego personelu pomocniczego, pozwólcie, że wam przedstawię pannę Roxanę Razmari, która wejdzie w skład waszej grupy na czas pobytu państwa w naszym kraju. Panna Razmari jest wykwalifikowanym specjalistą w dziedzinie komputerów i posiada stopień doktora nauk komputerowych. Ze względu na kwalifikacje panny Razmari oraz na potrzebę dysponowania wyspecjalizowanym personelem po odjeździe waszej grupy, nasz rząd ominął przepis zakazujący kobietom pracy w jednym pomieszczeniu z mężczyznami. Mimo iż

panna Razmari nie jest obywatelką naszego kraju, należy ją uważać za przedstawicielkę naszego rządu w projekcie integracyjnym E-3A. Przywiązujemy wielką wagę do przekazania naszej przedstawicielce wszelkiej wiedzy, toteż mają państwo współpracować z nią i pomagać we wszystkich kwestiach. Czy są jakieś pytania?

Zrobiwszy tylko krótką przerwę, sugerującą Richy'emu, że w istocie nie ma nastroju do udzielania odpowiedzi, pułkownik Fuad zwinął kartkę z przemówieniem i schował do kieszeni.

- A zatem, dobrze. Gdybym mógł być w czymś pomocny, proszę dać mi znać. - Ponownie zsalutował i ruszył do drzwi, po raz pierwszy racząc rzucić spojrzenie na tę, z powodu której przygotował swą mowę. Drganie wąsów pułkownika oraz nieznaczny wyraz niesmaku nie pozostawiały Richy'emu wątpliwości, że Fuad nie pochwalał jej stroju. W końcu wyszedł, a panna Razmari została sama w otoczeniu mężczyzn.

Zdjęta z głowy chustę, a ciemnokasztanowe włosy opadły jej na ramiona, okalając twarz bez śladu makijażu; zresztą nie był jej potrzebny. Hanson, stojący najbliżej, wyciągnął rękę i przedstawił się, a pozostali ruszyli tłumnie. Ścisnęła dłonie entuzjastycznie i z uśmiechem. Richy był ostatni. Jej silny uścisk dłoni i sposób, w jaki spojrzała mu prosto w oczy, wywarły na nim wrażenie. Nie miał do czynienia z żadnym kruchym kwiatuszkiem, z żadną nieśmiałą arabską córką wychowaną na odludziu. Ta kobieta znała życie. Co takiego migotało w tych ciemnych oczach? Na pewno obietnica inteligencji. Może także lekka skłonność do psikusów?

- Bardzo pragnę wszystkich was poznać - zapewniła ich śpiewnym sopranem. Mówiła z lekkim, nieznanym akcentem, ale jej nienaganny angielski nie miał nic brytyjskiego. - Proszę, nazywajcie mnie Roxana. I proszę, nie traktujcie mnie ulgowo; chcę być jedną z was, członkiem grupy. Postarcie się zapamiętać, że jestem kobietą.

- To - pisnął Rybałt - nie będzie, kurwa, takie łatwe.

Hanson spiorunował go wzrokiem, ale Roxana Razmari bez najłagodszego rumieńca czy spuszczenia wzroku przyłączyła się do ogólnego śmiechu.

3.

Kiedy zadzwonił telefon, Dawid Llewellyn był pogrążony w tak głębokim śnie, że dopiero po pewnym czasie dzwonek przeniknął do jego świadomości. To był długi, frustrujący dzień. Pragnąc jak najszybciej rozpocząć swą tajną misję, wstał o świcie, przejechał sto pięćdziesiąt kilometrów do Tel Awiwu, gdzie zameldował się w ambasadzie amerykańskiej. W momencie kiedy przestąpił próg, wiedział; że popełnił błąd.

Przeprowadzka do Jerozolimy sprawiła, że ambasada znajdowała się w stanie kompletnego zamętu. W gabinetach stały sterty pudeł do pakowania i meble przygotowane do transportu; ani śladu personelu. Spośród osób, z którymi Dawid zamierzał się spotkać, tylko dwie udało mu się wykreślić ze swej listy. Zmęczony i sfrustrowany po powrotnej podróży przez zatłoczone ulice, zrezygnowany pogodził się z myślą, że jego praca detektywistyczna będzie musiała poczekać, aż cały personel przeniesie się do Jerozolimy. Nie przebrawszy się, wyciągnął długie ciało na łóżku chcąc trochę odpocząć, po czym szybko zasnął.

Sygnał telefonu dobiegał z karetki pogotowia, która mknęła przez jego sen; w miejscu czerwonego krzyża na samochodzie widniała niebieska gwiazda Dawida. Kogo wieziono? Czyżby jego? Zbudził się, nie wiedząc, wciąż lekko zaniepokojony snem i jego możliwym znaczeniem.

- Przypuszczam, że jestem ostatnią osobą, którą spodziewał się pan usłyszeć. - Na jego senne „halo” odpowiedział melodyjny, jakby znajomy głos. Zrozumienie sensu tych słów zajęło Dawidowi kilka sekund. - Halo, jest pan tam? - dopytywał się troskliwy kobiecy głos. Głos Daniela.

- Tak... tak, jestem. Musiałem się zdrzemnąć.

- O dziewiątej wieczorem? - W jej chichotaniu brzmiało czyste rozba-
wienie. - Panie Llewellyn, wysłannik nie może sobie na to pozwolić. Za-
sadnicza część pracy dyplomatycznej odbywa się po zmroku.

Przytomniejąc powoli, zastanawiał się nad treścią jej słów.

- Ma pani rację. Nie spodziewałem się, że się pani do mnie odezwie, po
tym...

- Po tym, jak pana potraktowałam, wiem. Miałam wyrzuty sumienia.
Dzwonię, żeby pana przeprosić i spróbować wynagrodzić panu szkody.

- Nie ma potrzeby przeproszać. - Co miała na myśli mówiąc „wynagro-
dzić szkody”? - Czy miała pani... - szukał w myślach dyplomatycznego
sformułowania. - ...swoją ostatnią scenę z Martinem?

- Tak, dziękuję. Okazała się znacznie krótsza, niż się spodziewałam -
dodała pospiesznie. - To ja odeszłam, ale wcześniej wyrzuciłam z siebie
kilka rzeczy.

- Bardzo dobrze. Należało mu się.

- Tak. Cóż, to zamknięty rozdział. - Miejsce początkowej wesołości za-
stąpiła w jej głosie rezygnacja. Szybko mówiła dalej: - Powiedziałam panu
okropne, niesprawiedliwe rzeczy. Co pan sobie musi o mnie myśleć? Nie
miałam prawa odreagowywać na panu swoich problemów.

- Proszę o tym zapomnieć. Pani reakcja była w pełni zrozumiała. By-
łem... zawadą.

- Nie. Chcę, żeby pan wiedział, że faktycznie nie jestem taka... że nie
byłam sobą. Proszę spróbować zapomnieć o moim zachowaniu i pozwolić
mi zacząć od nowa.

- Już zapomniałem. - Dawid już w pełni się rozbudził i rozkoszował
perspektywą zaczynania od nowa z dziewczyną o melodyjnym głosie. I
lirycznym imieniu. Daniela.

- Jutro jest szabas - ciągnęła. - Myślałam, że może chciałby pan zwie-
dzić Stare Miasto. Pomyślałam, że mogłabym być pana przewodniczką. Są
miejsca, do których turyści rzadko trafiają - dodała tonem namowy.

- Doskonale! - Wystarczyło, że ona będzie, nie potrzebował żadnej na-
mowy. Poza tym w ten sposób zapomniał chociaż na krótko o irytującym

opóźnieniu swej naglącej misji. - Rano muszę jednak spędzić około godziny tu, w ambasadzie.

- A ja w synagodze. Powiedzmy: południe? Mogłabym przyjść do ambasady.

- Zgoda, południe. To strasznie miło z twojej strony, Danielo. - Z przyjemnością wymówił jej imię.

- Ależ skąd, panie Llewellyn. Proszę to uważać za część pokuty.

- Proszę mówić do mnie Dawid. Pan Llewellyn to mój ojciec.

Zaśmiała się.

- Pana ojciec nie jest amerykańskim wysłannikiem. W środowisku dyplomatycznym należy przestrzegać protokołu, prawda? A zatem, do jutra, panie Llewellyn?

- Do jutra, panno Zadik - odparł żartobliwie formalnym tonem. Odkładając słuchawkę postanowił, że do jutrzejszego lunchu muszą sobie mówić po imieniu.

Obiecał ambasadorowi, że wpadnie do nowej ambasady i sprawdzi, czy przeprowadzka posuwa się sprawnie. Nowa ambasada amerykańska mieściła się przy ulicy Rachel Imenu - okazałym, szerokim i zadrzewionym bulwarze w nowej Jerozolimie. Zdobioną trzypiętrową posiadłość zbudowali w połowie lat siedemdziesiątych jako swoją ambasadę Holendrzy. Holenderski architekt użył bloków miejscowego piaskowca, by stworzyć najbardziej imponującą budowlę w szeregu ambasad. W roku 1980, w obliczu groźby arabskiego embargo na ropę, Holendrzy niechętnie spakowali się i przenieśli do Tel Awiwu. Teraz Stany Zjednoczone podpisały długoterminową umowę o dzierżawę, na warunkach satysfakcjonujących obydwie kraje.

Wchodząc po kamiennych schodach wiodących do wejściowej fasady, Dawid wciągnął do płuc rześkie, pachnące sosnami powietrze Wzgórz Judejskich. Był przepiękny zimowy poranek. U szczytu schodów odwrócił się i ujrzał święte miasto, rozpostarte przed nim w panoramie zatykającej dech w piersiach. Promiennie słoneczne właśnie zaczynały przenikać dolne partie budzącego się miasta, tkając czarodziejski gobelin światła i cienia; nierówną fakturę i pagórkowatość zabudowań wzmacniał trójwymiarowy efekt horyzontalnego światła. Dolina przecinająca miasto z północy na południe

wciąż spała w niemal całkowitej ciemności, podczas gdy grzbiety po jej obu stronach skąpane były w słońcu.

Uwagę Dawida przykuła aureola światła w pobliżu wschodniego muru, gdzie na szerokiej równinie, położonej znacznie wyżej niż okoliczny obszar, wznosiła się złota kopuła. To musi być Kopuła Skały, o której tyle słyszał. Monolit skalny, święty dla trzech religii. Po prawej lśniła mniejsza, srebrna kopuła, niczym element tego samego kompletu biżuterii. To pewnie Meczet Omara, trzecie po Mekce i Medynie najświętsze miejsce mużłmanów.

Stał urzeczony widowiskiem, czując podniecenie w związku z czekającym go zwiedzaniem miasta. Wschodzące słońce wprawiło go w niezwykle ożywienie. Patrzył na budzącą się do życia bezkształtną pustkę we wschodniej części miasta; iglice, dachy i migoczące jak klejnoty okna pojawiały się na obrazie jak wyczarowane zręcznymi pociągnięciami pędzla niewidocznego artysty.

Z trudem oderwał się od widoku i ruszył dalej. Przechodząc przez drzwi obrotowe, z zadowoleniem ujrzał strażnika na służbie. Mężczyzna powitał Dawida radosnym „Dzień dobry, sir”, sprawdzając jego dokumenty. Jednak hol wejściowy okazał się istnym rumowiskiem skrzyń i mebli porzucanych gdzie popadnie. Ani śladu pracowników. Spojrzał na zegarek. Powinni byli się stawić godzinę temu. Wrócił do strażnika.

- Domyślam się, że szuka pan ludzi od przeprowadzki. - Strażnik wskazał na schody prowadzące do piwnicy. - Drugi dżentelmen zatrudnił ich na dole.

- Jaki drugi dżentelmen? - Dawid nie spodziewał się tu zastać nikogo. Ambasada oficjalnie była zamknięta do poniedziałku, kiedy miał przybyć nowy personel.

- Pan Abernathy, sir. Był już tutaj, kiedy otwierałem rano.

Oczywiście, człowiek z wywiadu. Sprawdza swój system bezpieczeństwa i nadajnik. Dawid poznał go dopiero wczoraj, w Tel Awiwie, a już darzył antypatią. No tak, może się pożegnać z ekipą porządkową. Schodził do piwnicy, przeskakując po dwa stopnie.

Mimo iż nigdy przedtem tam nie był, piwnica ambasady amerykańskiej

wyglądała aż zbyt znajomo. Korytarze bez dywanów i gabinety bez okien to typowe terytorium służb bezpieczeństwa. Ten świat podziemny, po którym kroczył, zostanie wkrótce zajęty przez Operację Konsularną, oddział Departamentu Stanu odpowiedzialny za zbieranie informacji.

Pomyślał, że chłód i surowość tych pomieszczeń była jak najbardziej odpowiednia. Zdjęło go dawne obrzydzenie. Nie lubił, by przypomniano mu o tej części jego przeszłości, jego dawnej roli w tajnych operacjach prowadzonych w podobnych pomieszczeniach. Ten epizod swego życia pragnął pogrzebać razem z Katherine, czując gorycz w stosunku do pozbawionej uczuć i twarzy organizacji, którą obwinił za śmierć żony. Ale epizod ten nie dawał się pogrzebać; wrócił i upomniał się o Dawida. Bo przecież nie mógł odmówić prezydentowi, który był także wieloletnim przyjacielem.

Nietrudno było odszukać ekipę porządkową. Z dużego gabinetu w głównym korytarzu dobiegał nieziemski hałas, nad którym górował głos Abernathy'ego.

- Tędy, tędy, przekręć róg. Ostrożnie, ostrożnie! Nie upuście tego, przeklęte brudasy!

Czterech młodych Arabów, aż mokrych, ugięło się pod ciężarem dużej skrzyni, która, sądząc po strugach ich potu, musiała zawierać ciężki sejf.

Słyszając akcent Abernathy'ego, Dawid wziął go początkowo za Anglika, ale dowiedział się, że to rodowity Amerykanin, który pracował dla MI-6, wywiadu brytyjskiego, w różnych placówkach na Bliskim Wschodzie. Dziwne, jak niektórzy ludzie nieświadomie przejmują wymowę i idiomy nowego otoczenia, często te najbardziej naganne, pomyślał Dawid.

- Nie ma potrzeby, żeby zwracać się do nich w ten sposób - powiedział Dawid, gdy nieszczęśni pracownicy szykowali się do postawienia nieporęcznego ciężaru.

- O, witam, Llewellyn. - Abernathy ledwo na niego spojrział. - Do kogo, do tych cholernych brudasów? Nie ma obawy, nie znają ani słowa po angielsku ani praktycznie w żadnym innym języku. Ostrożnie! Na dół, na dół! Jeśli pęknie, każe was do krwi wychłostać!

Nie chcąc przygnieść sobie palców, bagażowi upuścili ciężar i odskoczyli w tył. Ciężki sejf spadł z wysokości około trzydziestu centymetrów;

cały budynek się zatrzęsł, a z dna skrzyni oderwało się drewniane, krzyżowe zabezpieczenie. Agent wywiadu zaklął, a młodzi Arabowie spojrzeli na niego niespokojnie, otrzepując dłonie z kurzu i ciężko dysząc. Ich stroje stanowiły pstrokatą zbieraninę; na nogach mieli sandały, a ubrani byli w łachmany: resztki koszulek z krótkimi rękawami oraz dżinsy niejasnego pochodzenia.

- W Tel Awiwie można było przynajmniej znaleźć przyzwoitych pracowników, Żydów, którzy rozumieli po angielsku. Tutaj dostajesz brudasów! - Abernathy z niesmakiem potrząsnął głową. - Trzeba to przesunąć dalej, pod tamtą ścianę. - Skinął ręką, po czym odegrał pantomimę ilustrującą przeniesienie sejfu pod ścianę. - W ten sposób, cholerne jołopy!

Jeden z bagażowych, przypuszczalnie szef grupy, powiedział kilka słów po arabsku i chwycił za spód skrzyni. Pozostali niechętnie przyłączyli się do niego i wspólnymi siłami przesunęli nieporęczny przedmiot na miejsce.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym teraz wziąć swoją grupę. - Dawid starał się nie okazywać niechęci.

- Wszystko we właściwym czasie. Zostało mi jeszcze trochę sprzętu i kilka biurka. Potem są twoi.

Abernathy wyprostował się, z wyniosłym uśmiechem podparł się pod boki i czekał na reakcję Dawida. Jego ton wskazywał jasno, że nie ma zamiaru słuchać poleceń wysłannika. Llewellyn, człowiek numer dwa w ambasadzie, przewyższał agenta rangą, jednak Abernathy podlegał bezpośrednio ambasadorowi. Podobnie jak organizacja, którą reprezentował, sam ustanawiał dla siebie prawa. To małe zajście można byłoby potem określić jako usadzenie podrzędnego dyplomaty. Dawid szybko podjął decyzję.

- Dobrze, zatrzymaj połowę grupy, ale spiesz się. Mam czas tylko do południa, a w holu stoi jeszcze sterta mebli, które trzeba przenieść. - Klepnął szefa grupy i stojącego przy nim młodzieńca. - Wy dwaj, za mną.

„Bradas numer jeden” i „bradas numer dwa” ruszyli za nim posłusznie, szczęśliwi, że mogą się wydostać ze szponów miotającego obelgi Anglo-Amerykanina. Dawid wyobrażał sobie, jak agent stoi z rozdziawioną gębą, ale nawet się nie odwrócił.

Grainger, zarządzający biurem, obiecał przyjść przed południem z całociowym planem. Dawid kazał swojej ekipie otwierać skrzynie i skoncentrował się na poszukiwaniu mebli ambasadora. O dziesiątej trzydzieści Grainger jeszcze się nie pojawił, a dwuosobowa ekipa ledwie napoczęła olbrzymią stertę pudeł i skrzyń. Abernathy nie śpieszył się ze zwróceniem dwóch pozostałych Arabów.

Kiedy zarządzający biurem pojawił się po jedenastej, Dawid dyszał z wściekłości. Kazał Graingerowi zadzwonić do firmy przeprowadzkowej po posiłki, a sam ze spisem sprawdził meble ambasadora. W południe gabinet wyglądał znośnie, ale reszta budynku to było istne pobojoowisko. Wydał swemu zastępcy ostatnie pospieszne instrukcje, po czym pognął do holu. Daniela już tam była; w białej sukience, na widok której Dawidowi oczy wyszły na wierzch. Miała też towarzystwo - Abernathy'ego, który łąsił się do niej i zachowywał, jakby byli starymi przyjaciółmi.

- Nie powiedziałaś, z kim się spotykasz w południe - zaskomlą z lubieżnym uśmiechem, pasującym do znaczącego tonu jego wypowiedzi. - Nic dziwnego, że tak ci się paliło.

Dawid zignorował agenta biorąc Danielę za rękę i witając w nowej ambasadzie amerykańskiej.

- Oprowadziłbym cię trochę, ale jak widzisz, mamy tu niezły kocioł. W przyszłym tygodniu powinno być lepiej.

- O, byłam tu już kilkakrotnie. Prowadzimy sporo interesów z Holendrami. - Daniela ujęła Dawida pod ramię. - Idziemy?

Wyszli i zeszli po schodach.

- Gardzę tym człowiekiem - szepnęła Daniela - i wszystkim, co reprezentuje.

A więc wiedziała o jego pracy.

- Jak go poznałaś? - spytał.

- Przez Martina. To raczej długa historia. Czy moglibyśmy porozmawiać o czymś przyjemniejszym?

- Jasne - zgodził się. - Na przykład o tym, dokąd pójdziemy na lunch. Całe to rozpakowywanie zaostrzyło mój apetyt, nie mówiąc o pragnieniu.

- Mogę coś polecić: Bar Finka. To jerozolimska instytucja, jedno z miejsc, które każdy musi odwiedzić.

- Bar Finka - powtórzył z powątpiewaniem. - Niezbyt obiecująca nazwa. Co w tym miejscu jest takiego niezwykłego?

- To autentyczny angielski pub, otwarty wiele lat temu przez Dawida Rotszylda, który wślawił się tym, że odmówił Kissingerowi, kiedy ten, podczas jednej ze swych misji dyplomatycznych, chciał wynająć pub na prywatne przyjęcie. Poza tym - przedstawiła decydujący argument - to jeden z niewielu lokali w mieście, gdzie w sobotę przed zachodem słońca podają alkohol.

- To wyjaśnia sprawę. - Dawid wyszczerzył zęby w uśmiechu i uściśnął rękę Daniela. - Strzeż się, Fink, nadchodzimy.

Kątem oka ujrzał, jak w oknie holu ambasady poruszyła się zasłona. Pojawiła się czyjaś głowa, po czym znowu zniknęła. Agent wywiadu wciąż obserwował ich odejście.

Popołudniowe słońce grzało, jakby uzupełniając ciepło, które czuł w środku. Ciepło zrodzone tylko po części z dobrej szkockiej whisky. Okazało się, że Bar Finka doskonale przełamuje wszelkie lody, mimo że Daniela wzdrgnęła alkoholem na rzecz mocnej czarnej kawy. To z powodu szaba-su, domyślił się Dawid, pamiętając o winie obficie lejącym się podczas lunchu z Martinem. Zresztą Daniela alkohol nie był potrzebny. Kipiała życiem i podnieceniem związanym z oprowadzaniem nowego amerykańskiego wysłannika po mieście, z przedstawianiem mu jego fascynującej historii i dziedzictwa kulturowego. Wiedza Daniela wywarła na Dawidzie wielkie wrażenie; z zaskoczeniem odkrył, że źródłowe teksty muzułmańskie i chrześcijańskie są jej równie dobrze znane jak żydowskie.

Dawid, który miał się za człowieka znającego historię, odkrył, że jego wiedza o Ziemi Świętej jest żałośnie uboga. Zawsze uważał okres wypraw krzyżowych za odległą, ukrytą w mrokach przeszłość, niemal zbyt dawną, by nadawała się do badań. Danielę rozbawiła ta opinia.

- Krzyżowcy byli, jak wy mówicie w Ameryce, „spóźnialskimi”. Wyprzedzili ich Żydzi, Babilończycy, Persowie, Grecy, Syryjczycy, Rzymianie, Bizantyjczycy i muzułmanie. Do wieku jedenastego, kiedy rozpoczęła się pierwsza wyprawa krzyżowa, miasto założone przez Dawida zostało

podbite co najmniej tuzin razy, a większość najeźdźców uważało się za „krzyżowców”. Świątynię Salomona odbudowywano już dwukrotnie, zanim została zburzona przez Rzymian.

W jej oczach pojawił się smutek.

- Nigdy nie zostanie odbudowana. Dlatego tak rozpaczliwie trzymamy się jej jedynej pozostałości - Ściany Płaczu, zachodniego muru Wzgórza Świątynnego. Okazał się zbyt solidny nawet dla Rzymian. Ten mur jest jak sami Żydzi: podbijani, paleni, wypędzani, niewoleni w ciągu ponad trzech tysięcy lat istnienia miasta Dawidowego, zawsze wracaliśmy.

Przypomniał sobie o jedenastym przykazaniu ministra spraw zagranicznych. Lekcja historii udzielona mu przez Danielę sprawiła, że Dawid pojął sens wypowiedzi Kedara. To coś więcej niż instynkt samozachowawczy narodu. To głębokie przekonanie o przeznaczeniu i niezniszczalności narodu, zrodzone z wiary w jedną łaskawą istotę wyższą.

Podczas żarliwego przedstawiania uroków swego ukochanego miasta, impulsywnie i, był pewien, nieświadomie, kilkakrotnie dotknęła jego ręki. W pewnym momencie dłoń Daniela spoczęła swobodnie na dłoni Dawida. Intymność dotyku wprawiła go w podniecenie. Szybko i równie swobodnie położył na jej dłoni swoją. Nie cofnęła ręki. Stali tak, trzymając się za ręce nieskrępowani, na zalanych słońcem dachach Dzielnicy Żydowskiej, zahipnotyzowani rozpościerającą się przed nimi perspektywą.

Tuż przed nimi znajdował się wielki plac wyłożony kamieniami koloru miodu, schodzący w dół ku szerokiemu, dwudziestometrowemu zbocz, zachodni mur Wzgórza Świątynnego, na szczycie którego wznosiła się niegdyś świątynia założona przez Dawida i rozbudowana przez Salomona. Przez stulecia było to tradycyjne miejsce żałoby po utraconej świątyni i mieście Dawidowym. Po zakończeniu mandatu i wycofaniu się Brytyjczyków po Drugiej Wojnie Światowej, Żydzi nie mieli dostępu do Ściany Płaczu. Odzyskali ją dopiero w Wojnie Sześciodniowej. Po lewej, nad murem zdawała się unosić potężna złota kula - ta sama Kopuła Skały, która przykuła jego wzrok, kiedy rano patrzył ze stopni ambasady.

Trzymając się za ręce w milczeniu zeszli po zboczku ku Ścianie Płaczu.

Wielki plac był prawie pusty, poza obszarem tuż przy murze. W jednym końcu kulminacyjny moment uroczystości Bar Mycwy - radosny taniec ludowy; młodzi chłopcy śpiewając wesoło posuwali się do wyjścia wężowym korowodem. Chasydzi w długich czarnych kapotach i kapeluszach z szerokim rondem nie zwracali uwagi na tańczących; stali tuż pod ścianą albo opierali się o nią, zatopieni w modlitwie. Inni jak wrośnięci w ziemię siedzieli na krzesłach, nieruchomi poza kiwającymi się głowami. Brodaty rabin w długich białych szatach i białej jarmułce z przenośnej czarnej ambony odprawiał nabożeństwo dla małej grupy wiernych. Nie opodał dwaj mężczyźni, młodszy i starszy, stali razem pod jedną chustą modlitewną; silne podobieństwo nie pozostawiało wątpliwości, że to ojciec i syn.

Kiedy podeszli bliżej, Dawid był zdumiony rozmiarami poszczególnych bloków, z których zbudowano potężny mur. Nic dziwnego, pomyślał, że ten mur, jak i naród, który symbolizował, był niezniszczalny. Podziwiał pracę rąk ludzkich potrzebną do ustawienia monolitów jeden na drugim. Czas odcisnął swe piętno na pomarszczonej twarzy budowli; kanty i krańce bloków uległy erozji, tworząc między nimi głębokie szczeliny. Podchodząc bliżej Dawid zauważył, że każda ze szczelin zdawała się pełna zwiniętych lub złożonych kartek papieru. Spojrzał pytająco na swą przewodniczkę.

- Modlitwy?

Daniela skinęła głową.

- *Kwitlach*, proszę. Wierzę, że ściana zanieśie je prosto do Boga.

Zauważył jej uśmiech.

- Nie wierzysz w to?

- Och, tak - odparła szybko. - Wierzę w modlitwę, ale niekoniecznie w specjalne przesyłki.

Dawid zachichotał, a Daniela odpowiedziała spontanicznym śmiechem - miła odmiana w nabożnym nastroju, z jakim zbliżała się do świętego miejsca. Dotarli do stóp wzniesienia, gdzie niski łańcuch odgradzał dziedziniec pod ścianą. Daniela odwróciła się do Dawida, puszczając jego dłoń.

- Dalej nie możemy iść razem. Jeśli chcesz podejść bliżej, musimy się

rozdzielić. Wejście dla mężczyzn jest tam, po lewej. Od tego człowieka w budce możesz pożyczyć nakrycie głowy.

Krucho wyglądający płótek z plastikowych słupków przedzielał dziedziniec pod ścianą na dwa sektory, większy z przodu, mniejszy po prawej. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że na większym dziedzińcu, któremu się przyglądał, nie było śladu kobiet. Najwyraźniej dla nich przeznaczono obszar za kruchym płótkiem.

- Nie, dzięki - odparł, znowu biorąc Danielę za rękę. - Wolę, żebyśmy się nie rozdzielali. Poza tym, czy nie mamy jeszcze wiele do przejścia? - Szukał wzrokiem złotej kopuły, zasłoniętej jednak przez wysoki mur.

Przytaknęła, a jej białe zęby błysnęły w nagłym uśmiechu.

- Po prostu strasznie chciałam zobaczyć, jak wyglądasz w jarmułce.

Poprowadziła go na prawo, ku szerokiemu podejściu prowadzącemu do długich schodów. Schody ginęły w łukowatej bramie. To była długa wspinaczka. W połowie drogi Kopuła Skały wyłoniła się ponad murem, przyciągając jego wzrok niczym magnes.

Daniela powiodła oczami za wzrokiem Dawida.

- Fascynujące, prawda? U szczytu tych schodów minie mur, największą świętość dla Żydów, i momentalnie wkroczymy w święte miejsce muzułmanów. To ich Haram-as-Szarif - Szlachetne Sanktuarium, gdzie, jak wierzą, znajduje się skała, z której Mahomet wstąpił do nieba. Ta sama skała, na której stała Świątynia Salomona. Wielu ludzi wierzy również, że tu właśnie Abraham miał złożyć w ofierze syna, na znak pełnego posłuszeństwa wobec Boga.

Jej słowa wprawiły Dawida w pełen zdumienia podziw. Biblijna skała, święta zarówno dla Żydów jak i muzułmanów, centralne miejsce w liczącej cztery tysiące lat historii starożytnego świata. Dotarli do szczytu schodów, weszli w krótki, ciemny korytarz, który wyprowadził ich na częściowo nasłoneczniony dziedziniec, ocieniony pachnącym zagajnikiem sosen i cyprysów. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak ciężko oddycha.

Daniela, nie zdradzając żadnych oznak zmęczenia długą wspinaczką, przyglądała się Dawidowi z rozbawieniem.

- Czy chciałbyś chwilę odpocząć?

- Nic mi nie jest. - Potrząsnął z zakłopotaniem głową. - Po prostu trochę wyszedłem z formy. Idźmy dalej.

Pośród drzew zamajaczyła kopuła. Nagle wyszli na otwartą przestrzeń, a złota kula wznosiła się nad nimi, spokojna, majestatyczna i wprost porażająca. Po raz pierwszy zobaczył budowlę w całości. Podstawa kopuły była regularnym ośmiościanem, ozdobionym z zewnątrz wielobarwnymi perskimi płytkami ceramicznymi, wśród których dominowała akwamaryna. Efekt był oszałamiający: olbrzymie pudełko wysadzone klejnotami i zwieńczone złotem. Islamskie Pudełko Klejnotów.

Jednak faktyczny skarb znajdował się wewnątrz - bezcenna wiekowa skała. Przeszli przez masywne drzwi z brązu, pod łukiem zdobionym mozaikami pełnymi wersetów z Koranu. Koncentrycznie biegły dwa kręgi marmurowych, niebiesko żyłkowanych kolumn, zwieńczonych złożonymi kapitelami. Kolumny bliżej środka wspierały potężną kopułę. Zewnętrzny krąg był wyłożony orientальnymi dywanami barwy ciemnej zieleni, a wewnętrzny - ciemnopurpurowymi.

- Spójrz w górę - szepnęła. Dawid podniósł wzrok ku szczytowi: widok zapierający dech w piersiach. Wnętrze kopuły liczącej ponad dwadzieścia metrów wysokości było ozdobione złotymi i czerwonymi orientальnymi mozaikami. Przyćmione światło sączące się przez przepyszne witraże położone w niższej części kopuły, oświetlało sufit i opadało niżej ku skale.

- Panuje zwyczaj, by okrążyć skałę zgodnie z ruchem wskazówek zegara - szepnęła Daniela, pociągając go za rękę.

- Poczekaj chwilę. Najpierw chcę popatrzeć. - Przeszli przez wewnętrzny krąg kolumn i wyjrzeli ponad niskim wykuszem.

Prawie cały obszar pod kopułą pokrywał szarobrazowy kamień. Dawid jak zahipnotyzowany wpatrywał się w sędziwą skałę. Jej liczne blizny i nacięcia, świadczące o wielu okaleczeniach poniesionych z rąk rozmaitych opiekunów w ciągu lat, sprawiały, że emanowała własnym życiem, jakby czerpanym z otaczających ją niezliczonych istnień. Daniela czekała w milczeniu, poruszona szacunkiem i nabożną czcią, jakie czytała w oczach Dawida. Kiedy się ocknął, uściśniła jego dłoń.

- Żydzi modlili się tu, przy skale, przez wiele stuleci, nawet po zburzeniu świątyni. Trwało to aż do opanowania Jerozolimy przez chrześcijan, za czasów Cesarstwa Bizantyjskiego. Uznali to miejsce za nieczyste i założyli tu wysypisko śmieci. - Uśmiechnęła się na widok jego zszokowanej miny. - Kiedy w ósmym wieku muzułmanie zajęli Jerozolimę i kalif Omar szukał skały, by wznieść na niej meczet, znalazł miejsce pełne śmieci i odpadków. Był wściekły na Bizantyjczyków. Według niektórych historyków kazał im oczyścić to miejsce gołymi rękami.

Wstąpili na czerwony dywan i zaczęli tradycyjny obchód; Dawid wciąż pogrążony w rozmyślaniach.

- Jakie to ironiczne, że Żydzi i ich najbardziej zagorzali wrogowie czczą ten sam kawał skały.

- Nie tylko skała jest wspólna, ale także wielu żydowskich patriarchów. Noe, Abraham, Mojżesz. Koran czerpie z Biblii pełnymi garściami. Nawet Chrystus jest czczony jako jeden z prawdziwych proroków.

- W takim razie... w takim razie Allah jest tym samym Bogiem, Bogiem Biblii, Bogiem Żydów!

- Oczywiście, że tak. Allah, Elohim, Jahwe, Jehowa, wszyscy są jednym i tym samym. W to wierzą muzułmanie, tego naucza Koran.

Dawid potrząsnął głową. To, co słyszał, przekraczało jego możliwości zrozumienia.

- Jak mogą wypowiadać świętą wojnę narodowi, który wierzy w tego samego Boga?

- Cóż, my nadal jesteśmy niewiernymi, tak jak i wy, chrześcijanie. Nie wierzymy w prawdziwego i ostatniego proroka - Mahometa, w pozostałe nauki Koranu. Zagarnęliśmy siłą trzecie pod względem świętości miejsce islamu. To największa obelga, niewybaczalne zbezczeszczenie.

- Ale rozumiałem, że Arabowie sami zarządzają tym miejscem, że wasz rząd zrzekł się praw do tego terytorium na rzecz muzułmanów.

- Tak, zgodziliśmy się na to zaraz po Wojnie Sześciodniowej.

Wyszli przez południowy portyk zwany Bramą Mekki, a Daniela wskazała budynek położony niedaleko zachodniego krańca dziedzińca.

- Tam mieści się Najwyższa Rada Muzułmańska. Zarządza Haramem i

ma nadzór nad wszystkim, nawet bezpieczeństwem. Ale kiedy coś się stanie, wina zawsze spada na nas.

Kiedy w roku 1969 australijski fanatyk podpalił meczet Al Aqsa, obwiniono nas. Jak gdybyśmy zaplanowali ten incydent jako celowe zbezczeszczenie.

Długimi schodami w dół zeszli w południowym kierunku, ku zwyczajnie wyglądającemu prostokątnemu budynkowi, wyróżniającemu się jedynie srebrną kopułą, imponującą, ale o połowę mniejszą od złotego sąsiada. Meczet Al Aqsa, legendarny meczet Omara.

- Tylko muzułmanom wolno tam wchodzić - wyjaśniła Daniela. - Inaczej niż Kopuła Skały, otwarta dla wszystkich zwiedzających. Ale jeśli chcesz, możemy go obejrzeć z zewnątrz.

Nie nadszedł jeszcze czas popołudniowej modlitwy i na terenie meczetu było niewielu wiernych. Minęli fontannę ablucji, gdzie kilku Arabów przycupnęło na kamiennych ławkach, zdejmowało buty i nakrycia głowy, po czym starannie myło dłonie, głowy i stopy przed wejściem do meczetu. Stojąc w odległości kilku metrów od wejścia, przez gotyckie łuki marmurowej fasady frontowej zajrzeli do środka. Wysoko sklepiony sufit wsparto równoległymi rzędami kamiennych łuków, które przypominały Dawidowi rzymskie akwedukty, jakie widział w kilku krajach Europy. Tylko że łuki, na które teraz patrzył, były podparte wspianymi marmurowymi kolumnami, odbijającymi światło wpadające przez boczne okna. Podłogę wyściełano setkami orientalnych dywanów koloru ciemnej morwy. Wnętrze meczetu zdawało się ogromne, nieliczni klęczący wierni tonęli w bezmiarze. Dawid podzielił się tym spostrzeżeniem z Danielą, a ona się uśmiechnęła.

- Podczas świąt meczet Aqsa pęka w szwach; teraz trudno w to uwierzyć. Cały dziedziniec jest zapełniony pielgrzymami. - Skinęła ręką w stronę wybrukowanego placu otaczającego Kopułę Skały. - Wszyscy klęczą, zwrócenie twarzami na południe do Mekki. Przybywają z całego świata. Jednak przywódcy nie przyjeżdżają. Szefowie państw arabskich, głowy rodzin królewskich, złożyli przysięgę, że nie będą się tu modlić, dopóki będą musieli prosić o pozwolenie władz izraelskich, by wejść do Jerozolimy.

Tylko Sadat złamał ten ślub i modlił się tutaj. Nie mogli mu tego wybaczyć i zabili go.

Patrzył na nią z niedowierzaniem.

- O, tak, panie Llewellyn... Dawidzie. Zapewniam cię, że to był główny powód. Miejsce, na którym stoisz, potrafi nadal wzbudzać namiętności i nienawiść równie silną jak podczas wypraw krzyżowych. Przez czterdzieści wieków walczone o ten kraj. Żydzi i Arabowie nadal za niego umierają. Nic nie wskazuje na to, by miał nadejść kres.

W jej głosie nie słychać było goryczy, a tylko smutek i rezygnację. Ujął jej dłoń i spojrzął w wilgotne oczy.

- Nie czujesz do nich nienawiści, prawda? Arabowie zabili ci ojca, a mimo to nie ma w tobie nienawiści!

- Proszę spojrzeć jeszcze raz, panie Llewellyn. Musi pan spojrzeć głębiej. Widzi pan, moja nienawiść ogranicza się tylko do ludzi, którzy na nią zasługują. Do arabskich fanatyków, terrorystów, spiskowców i szpiegów, którzy zrobią wszystko, żeby wypędzić nas z naszego kraju. Ale te żałosne dusze?

Wyswobodziła dłoń i skinęła nią na procesję obdartych wiernych wchodzących i wychodzących z meczetu.

- Niech pan tylko na nich spojrzy. Jakiż to żałosny tłum, ubrany w łachmany i w większości pozbawiony środków do życia. Wielu straciło wszystko, włącznie z dumą, szacunkiem do siebie, nawet nadzieją. Wygląda na to, że nie zostało im nic poza religią. Jak można ich nienawidzić, czuć do nich cokolwiek poza litością?

- Litość dla Arabów? U sabry?

- Myśli pan, że nie mamy współczucia, tylko dlatego, że urodziliśmy się i wychowaliśmy tutaj? - Ściągnięte brwi ponad zamysłonymi oczami uczyniły jej twarz jeszcze piękniejszą. - Czy wie pan, skąd pochodzi nazwa „sabra”? To owoc kaktusa, twardy i kolczasty na zewnątrz, ale miękki w środku.

Powodowany impulsem delikatnie pocałował jej rozdrażnione usta.

- Ten jest w dotyku miękki także na zewnątrz. Jesteś zdumiewającą kobietą, Danielo. Otworzyłaś mi dzisiaj oczy; sprawiłaś, że wejrzałem w sedno tutejszych spraw. Więcej nawet, sprawiłaś, że je poczułem.

- Musisz więc być uczuciowym, wrażliwym człowiekiem.

- Przynęła twarz blisko do twarzy Dawida. Czuł na wargach jej ciepły oddech. - Jak bardzo różnisz się od Martina. Z nim nie mogłam się dzielić takimi rzeczami. Zawsze był... niezależny. I niespokojny. - Łzy napłynęły jej do oczu i przygryzła wargi. - Dlaczego wciąż o nim mówię? Czemu nie mogę go z siebie wyrzucić?

Objął Danielę, a ona przytuliła się do niego, nie zwracając uwagi na niechętnie spojrzenia muzułmanów wchodzących i wychodzących z meczetu.

- Wiesz, co robię - szepnęła mu na ucho. - Dokładnie to, czego obiecałam nie robić. Posługuję się tobą. Posługuję się tobą, żeby się na nim odegrać.

- Ćśś! - szepnął w odpowiedzi, rozkoszując się dotykiem jej wibrującego młodego ciała, odurzony zapachem jej włosów.

- Więc co powinnaś robić, kiedy stracisz najbliższą osobę? Wycofać się z życia? Unikać ludzi? Zamknąć się we własnej skorupie? Wierz mi, to nie działa. Próbowałam.

Odchyliła się w tył w jego ramionach i popatrzyła Dawidowi w twarz.

- Kto to był? Twoja żona?

- Zginęła dwa lata temu. Nigdy nie przestałem za nią tęsknić.

Uścisnęła go po raz ostatni, wyzwoliła się z jego uścisku, biorąc go za rękę.

- Dawidzie, nagle poczułam się trochę zmęczona. Przełóżmy lepiej resztę zwiedzania na inny dzień. Czy mógłbyś mnie odprowadzić do domu? Możemy złapać taksówkę przy Bramie Damasceńskiej.

Daniela mieszkała sama w jednym z nowoczesnych wysokich bloków, które wznosiły się na północ i na zachód od Starego Miasta. „Miasto na Skarpie”, pomyślał Dawid, kiedy taksówka zbliżyła się do ciężkiej gęstwiny wień i utonęła w cieniu dżungli, gdzie słońce prawie nie docierało. Kontrast ze Starą Jerozolimą był rażący i przypominał Dawidowi o innym mieście na skarpach, które podpełzało pod jego dom dzieciństwa w dzielnicy Queens w Nowym Jorku. Identyczne, czterdziestopiętrowe bloki wyrastały

kwartał za kwartałem i zmieniały na zawsze łagodny krajobraz Forest Hills.

Taksówka zatrzymała się przed mało okazałym wejściem do jednego z typowych budynków. Czy zaprosi go, czy sam powinien się wprosić? Nie był jeszcze gotowy, żeby się rozstać, przerwać to niezwykle uczucie bliskości, zrodzone ze wspólnie spędzonego popołudnia. Daniela musiała czuć to samo, bo kiedy zapłacił taksówkarzowi i odesłał go, nie zaprotestowała. Wzięła Dawida za rękę. W całkowitym milczeniu szli do wejścia. Czuli łączącą ich więź, milczące zrozumienie. Otworzył drzwi.

- Mieszkam na dziewiątym piętrze. Zazwyczaj wchodzę, dla kondycji.
- Zgoda - odparł, tłumiąc jęk.
- Ale pojedźmy windą. Oboje jesteśmy zmęczeni po spacerze.

Z uczuciem ulgi czekał, aż winda zatrzymała się z jednostajnym buczeniem. Przytrzymał drzwi starszej kobiecie, która stała przed nimi. Wtoczyła się do windy, po czym odwróciła się, spojrzała na nich ostro, a na jej twarzy o masywnej szczęce pojawił się wyraz potępienia.

- *Szalom, giweret* Szmuel. - Daniela zmusiła się do uśmiechu, nie puszczając dłoni Dawida. Kobieta odpowiedziała: - *Szalom* - co zabrzmiało bardziej jak warknięcie niż pozdrowienie, po czym odwróciła wzrok. Wysiadła na drugim piętrze.

- Jenta! - zachichotała Daniela, kiedy winda nabrała szybkości. - To główna plotkara w bloku. Jutro będziemy na językach wszystkich.

- Czy to będzie dla ciebie kłopotliwe?

- Ani trochę. Robię to, na co mam ochotę. Ona nie wie, kim jesteś, więc nie będzie żadnym reperkusji dyplomatycznych.

Przed mieszkaniem numer 1023 wyjęła z torebki klucz i otworzyła drzwi. Przytrzymał je, a Daniela weszła pierwsza. Zamykając drzwi usłyszał jej cichy okrzyk, a potem przybiegła z powrotem, rzucając mu się w ramiona.

- Och, Dawidzie! Ktoś się włamał! Moje piękne mieszkanie!

Ponad ramieniem Daniela widział lampę przewróconą na podłogę. Zamknął drzwi na łańcuch.

- Poczekaj tu, zanim upewnię się, czy już ich nie ma.

Mieszkanie przewrócono do góry nogami. Niecierpliwy i niezwykle nieporządny intruz poprzewracał meble, porozrzucił poduszki, przedmioty z półek i zawartość szuflad. Nie słyszał żadnych odgłosów, nie dostrzegł też śladów obecności sprawcy. Sprawdził sypialnię, łazienkę i małą kuchnię.

- Ktokolwiek to był, zniknął. Okna wyjścia przeciwpożarowego są zamknięte od środka. Musieli mieć klucz albo się włamali.

Potrząsała głową w oszołomieniu.

- Nie mogę sobie wyobrazić, kto ani dlaczego. Wszelkie cenne przedmioty, jakie tu trzymam, przedstawiają wartość tylko dla mnie.

Wciąż wstrząśnięta, trzymając go kurczowo za ramię, wróciła z Dawidem do małego salonu, z niedowierzaniem przyglądając się pobojuwisku. Wstrząsnął nią dreszcz.

- Już dobrze. - Pocieszająco poklepał ją po dłoni. - Teraz nie wróć. - Zdjął marynarkę, okrył Danielę, po czym zaczął ustawiać meble. - Sprawdź, czy czegoś nie brakuje. Powinniśmy zawiadomić policję.

Daniela dokonała pośpiesznego przeglądu. Mały stylizowany telewizor wciąż stał na podstawce. Swoją skromną kolekcję biżuterii odnalazła pośród przedmiotów porozrzucanych po podłodze w sypialni. Po szybkiej inspekcji w kuchni znalazła drewnianą skrzynkę z kompletem sztućców i srebrnym talerzem z inicjałami babci. Wróciła do salonu, gdzie padła na fotel, który Dawid dopiero co postawił.

- Wygląda na to, że nic nie zabrali. W takim razie po co to robili?

- Musieli czegoś szukać. - Usiadł na podłodze obok jej fotela. - Może czegoś związanego z twoją pracą w ministerstwie spraw zagranicznych? Musiałaś mieć do czynienia z tajnymi dokumentami. Czy przynosisz urzędowe papiery do domu?

- Nic tajnego; to niedozwolone. Minister spraw zagranicznych stanowczo nam tego zabrania. Kiedy musimy coś skończyć, pracujemy do późnych godzin w biurze.

Wstał i wziął ze stołu książkę telefoniczną. Była po hebrajsku. Wręczył ją Danieli ze słowami:

- Nie mam kłopotów z cyframi, ale litery mnie wykańczają. Jak się pisze po hebrajsku „policja”?

- Daj mi to! - Wzięła książkę z udanym niesmakiem. - Wysłannik do Izraela, który nawet nie zna hebrajskiego!

Szukała numeru, a on pchnął ku niej telefon. Właśnie miał jej wręczyć słuchawkę, kiedy powstrzymała go ruchem ręki.

- Dawidzie, może poczekamy z tym do rana? Oboje jesteśmy bardzo zmęczeni, a jeśli przyślą tu kogoś w nocy, będziemy musieli odpowiadać na masę pytań. To chyba nie takie pilne. W końcu, niczego nie zabrano.

Skinął głową na znak zgody.

- Pomogę ci posprzątać.

Skończył sprzątać salon, a Daniela kuchnię. Wróciła ze znacznie pogodniejszą miną.

- Stłukli tylko dwa talerze i szklankę. Sądziłam, że będzie znacznie gorzej.

Pochwalająco rozejrzała się po salonie.

- Nie byłem pewien, gdzie co ma stać - tłumaczył się Dawid. - Obawiam się, że poustawiałem rzeczy gdzie popadnie.

- W porządku. Myślę nawet, że jest lepiej niż przedtem. - Stała przed nim, z uczuciem wdzięczności w ciepłych brązowych oczach. - Nie... nie wiem, co bym zrobiła, gdyby nie ty. To słodkie, że zostałeś mi pomóc.

Uśmiechnął się i poklepał jej dłoń.

- Drobiazg. Mamy jeszcze sporo pracy. Sypialnia to dopiero pobjowisko.

Na podłodze, do góry nogami, pośród kłębowiska koców, ubrań powyciąganych z szafy i przedmiotów z szuflad komody leżał materac. Daniela jęknęła.

- Nie dam sobie rady w tym obcisłym ubraniu. Proszę cię, Dawid, odwróć się na chwilę.

Spełnił jej prośbę, jednak nie mógł się oprzeć, żeby nie zerknąć w lustro stojącej przed nim toaletki. Ujrzał atłasowo gładkie opalone plecy, z białym paskiem w miejscu stanika. Kiedy sięgnęła do szafy po szlafrok, Dawidowi mignęła pełna biała pierś z różowym czubkiem. Poruszenie w lędźwiach przypomniało mu, jak dawno po raz ostatni spał z kobietą.

- Znacznie lepiej. - Wydała głośne westchnienie ulgi. - Możesz już patrzeć.

Przebrała się w jasnozielony welurowy szlafrok, związany ciasno w wąskiej talii. Na bosaka była niższa, sprawiając wrażenie kruchej i bezbronnej. Przez chwilę zapragnął podnieść Danielę i poczuć jej lekkość w ramionach.

- Zaczynamy? - Jej nieśmiały uśmiech powiedział Dawidowi, że mu się przyglądała.

Uklękała na podłodze i zaczęła zbierać porozrzucane buteleczki z perfumami i kosmetykami. Klęknął obok niej.

- Co mam zbierać?

- Może zacznij od pończoch i bielizny. Ich miejsce jest w komodzie.

Na czworakach ruszył po podłodze, zbierając pończochy i osobistą bieliznę. Właśnie miał się jej spytać, w jaki sposób powinien je poskładać, kiedy Danielę uderzyła absurdalność całej sceny i wybuchnęła niekontrolowanym śmiechem.

- Nowy wysłannik amerykański rozpoczyna nową misję - wykrztusiła, dusząc się ze śmiechu. - Och, gdybym tylko mogła zrobić ci zdjęcie. Czegoż by nie dały mi za nie gazety!

Nieco sposepniały przyłączył się do śmiechu, wyczuwając komiczność swego wyglądu.

- Daj - wykrztusiła. - Pokażę ci, co z tym zrobić.

Podczołgała się do niego i zaczęła składać bieliznę w małe, zgrabne kostki. Szlafrok był luźny na ramionach i Dawid zapatrzył się w niezwykle ponętny fragment nagiej skóry poniżej karku. Nie będąc w stanie się powstrzymać, nachylił się i przycisnął do niego usta.

- Och!

Poczuł dreszcz przebiegający po jej plecach, ale nie zaprotestowała ani się nie odsunęła. Przesuwał usta w dół po jedwabistej skórze pleców. Całował ją nieprzerwanie, rozwiązując pasek i zsuwając szlafrok z ramion Danieli. Wysunął język, by poczuć smak skóry, a ona jęknęła znowu, osuwając się i wreszcie przylegając brzuchem do podłogi. Usta Dawida dotarły do niewielkiego wgłębienia u dołu pleców; zgłodniały język wdarł się w nie szybko. Z cichym okrzykiem obróciła się na plecy, a szlafrok opadł całkowicie.

Poruszała się jak wąż, z zamkniętymi oczami: horyzontalna tancerka brzucha. Nie ma dwóch zdań, jej ciało było do tego stworzone - patrzył zafascynowany, rozpinając koszulę i ściągając spodnie. W pojedynczym, doskonale skoordynowanym ruchu osunął się na kolana, a ona wyciągnęła do niego ręce. Taniec brzucha rozpoczął się na nowo, początkowo powoli; wślizgiwała go w siebie rozkosznie. Jego penis przyłączył się spontanicznie, odnajdując rytm, nabierając prędkości. Tempo wzrosło, stając się szaleńcze. Uczucie pełnej rozkoszy było nieodparte, obezwładniające.

Łkanie Daniela przywołało go do rzeczywistości. Dziwny rodzaj łkania: jej oczy były suche. A potem się uśmiechnęła i zaczęła go całować. Tuliła go do siebie mocno, żeby jej nie uciekł. Tak jakby tego pragnął.

Kiedy wrócił do ambasady, zapadł już zmrok. Zapłacił kierowcy i ruszył na tyły budynku do swego samochodu, potem jednak zmienił zdanie. Skoro już tu przyszedł, może sprawdzić postępy pracowników firmy przeprowadzkowej.

Strażnik kończył służbę; zamykał drzwi i włączał system alarmowy. Przypomniał wysłannikowi, by wyszedł tylnymi drzwiami. Dawid spytał o swego asystenta, Graingera.

- Wyszedł około godziny temu, sir. Nie ma już nikogo poza panem Abernathym.

Sterna mebli w westybulu stopniała, ale resztki pozostały: szpetny stos połamanych skrzyń do pakowania i papierów, piętrzący się w końcu wielkiej poczekalni. Dawid zaklął głośno, a pusta przestrzeń odpowiedziała mu echem. Zostawił instrukcje, by śmieci zgromadzić na tyłach budynku.

Wszedł na półkoliste schody wznoszące się zgrabnie z holu, by sprawdzić swe biuro na piętrze. W łydkach czuł zmęczenie. Jego kroki rozbrzmiewały echem w pustym, słabo oświetlonym korytarzu. No, przynajmniej jedną rzecz Grainger zrobił jak należy. Meble Dawida były wszystkie, poustawiane tak, jak sobie życzył. Osunął się na wygodny skórzany fotel obrotowy, który towarzyszył mu przez pół świata; obrócił się, by sprawdzić nocny widok z okna swego gabinetu.

W dole migotały światła Starego Miasta. Czy to możliwe, że zaledwie

dzisiaj rano patrzył, jak rozpłomieniają je pierwsze promienie słońca? Wydawało się raczej, że minęło kilka dni niż godzin. Umysł Dawida powrócił do przygód upływającego dnia, ponownie zaabsorbowany bogactwem doświadczeń. Znowu znalazł się we władzy zaklęcia Miasta Dawida, we władzy jej zaklęcia.

- Tak wcześnie wróciłeś? Pierwsza randka musiała się zakończyć klęską.

Poderwał się, obracając w fotelu. Skąd on się tu wziął. Dawid nie słyszał kroków w holu i dlatego podejrzewał, że Abernathy celowo się podkraść. Ignorując jego lodowate spojrzenie agent wywiadu dyplomatycznego usadowił się na rogu biurka, pociągając ostentacyjnie i z roztargnieniem z dużej fajki z morskiej pianki.

- Słuchaj, Abernathy, wyjaśnijmy sobie coś na samym początku. To, co robię poza ambasadą, jest moją osobistą sprawą i nic ci do tego. Czy wyrażam się jasno?

- O, tak, jak najbardziej. - Agent ściągnął usta i kiwał głową w górę i w dół. - Reakcja łatwa do przewidzenia. To samo powiedział twój poprzednik, kiedy próbowałem go ostrzec.

- Ostrzegałeś Martina? Przed czym?

- Przed tym, że jego życie prywatne nie jest tak prywatne, jak by sobie życzył. Przed niebezpieczeństwem wynikającym z kontaktów ze znanym agentem Mosadu.

- Agentem czego? Masz na myśli... Danielę?

Abernathy przytaknął, a na widok zmieszania Dawida w oczach pojawił się błysk triumfu. - To prawda, mam dowody. Daniela Zadik jest agentką Izraelskiej Centrali Wywiadowczej.

Dawid wpatrywał się w niego oniemiały.

- Oszalałeś! Ona nie jest agentką. Pracuje dla ministra spraw zagranicznych.

- To niezwykle skuteczna przykrywka; otwiera wiele drzwi. - Abernathy wypuścił idealne kółko dymu i patrzył, jak powoli wznosi się do sufitu.

- Nie wierzę. - Dawid wstał z fotela i z irytacją zaczął przemierzać pokój. Drugi mężczyzna śledził go wzrokiem.

- Podejrzewaliśmy ją już od pewnego czasu. Jej brat od dawna pracuje

dla Mosadu. Właśnie uzyskaliśmy dowody na jej współpracę. Z przyjemnością ci pokażę.

Dowody. Dawid nagle pojął.

- Abernathy, ty sukinsynu! To ty przeszukałeś dzisiaj jej mieszkanie. Wiedziałeś, że po południu wyjdzie... ze mną!

- Nonsens. - Agent zachował spokój, ignorując siłę stawianych mu zarzutów. - Pykał fajkę w zamyśleniu, a Dawid wpatrywał się w niego gniewnie. - A więc przyjeła cię już u siebie w mieszkaniu. Nie traci czasu. Czy nie przyszło ci na myśl, że sama mogła przewrócić mieszkanie do góry nogami, żeby upozorować włamanie?

- Po co, u diabła, miałyby to robić? Wykręcasz się, Abernathy. Czego szukałeś? Czemu przesładujesz tę dziewczynę?

Agent nie odpowiedział, patrząc na Dawida ze swej grzędy na biurku, pykając fajkę. Dym zaczynał irytować Dawida niemal w równym stopniu, co nieznośna osobowość tego człowieka.

- Abernathy, nie chodzisz po ziemi. Ty i te twoje melodramatyczne gierki szpiegowskie. Czyżbyśmy teraz szpiegowali Izraelczyków? Czyżby nagle stali się wrogami?

Abernathy potraktował pytanie poważnie.

- W tej robocie nigdy nic nie wiadomo. - Wstał z biurka i wypróżnił fajkę, dla podkreślenia swych słów stukając nią kilkakrotnie o ceramiczną popielniczkę. - Równie dobrze mógłbyś zapytać, czemu Izraelczycy szpiegują nas. - Przerwał, dając Dawidowi czas na zrozumienie sensu słów. - Pozwól, że zadam ci pytanie: jak daleko zaszły sprawy między tobą a tą dziewczyną? Czy już cię uwiodła?

Dawid nie był już w stanie znieść impertynencji Abernathy'ego.

- Wynocha! Wynocha z mojego biura! I trzymaj swój brudny nos z dala od moich spraw. Nie pozwolę, żebyś węszył za moimi plecami. Nie masz do tego prawa. - Ruszył groźnie w stronę niższego mężczyzny.

Abernathy wycofał się pośpiesznie, ale w drzwiach stanął.

- Przeciwnie, mam takie prawo, większe, niż ci się wydaje. Pewnego dnia zrozumiesz, co się tu dzieje. Tymczasem próbuję cię tylko chronić,

może uratować twoją karierę. Jeśli tylko zgodzisz się z nami współpracować, pomożesz nam dowiedzieć się od tej Zadik, co...

- Wynocha! - Ruszył w jego kierunku, a agent szybko zniknął, zamykając za sobą drzwi. Dawid stał nie odrywając od nich wzroku, zaciskając i otwierając pięści, a wściekłość paliła mu gardło jak witriol. Ten człowiek był godnym pogardy kłamcą. Musiał być. Daniela nie oszukiwała. Wiedział to, czuł każdą cząstką swego ciała. Nigdy by nie uwierzył, że jest w niej cokolwiek fałszywego czy podstępного.

Uwiodła. Właśnie to słowo tak bardzo rozsierdziło Dawida. To, co się wydarzyło między nim a Danielą, było piękne i naturalne. Nic sztucznego czy zaprogramowanego. Jeśli w jakimkolwiek stopniu można mówić o uwiedzeniu, stało się akurat odwrotnie: to on uwodził.

Jednak kiedy wrócił myślami do zdarzenia w jej mieszkaniu, poczuł lekkie ukłucie wątpliwości. Pozorne włamanie było niewątpliwie wygodne, przełamywało lody, dawało jej powód, by poprosić Dawida o pozostanie. I jej opór przed powiadomieniem policji. Czy możliwe, żeby wszystko zaaranżowała, tak jak to sugerował Abernathy? Nie. Nie mógł w to uwierzyć. Szczera, otwarta, bezpośrednia Daniela, jaką odkrył dzisiejszego popołudnia, nie uciekłaby się do takiego podstępu.

Jednak, przy całej pogardzie dla Abernathy'ego, było w nim coś szczerego, co wykluczało możliwość podstępu. Coś innego, jakaś żarliwość, której Dawid nie potrafił sprecyzować.

Wreszcie pojał. Akcent brytyjski. Zniknął całkowicie. Abernathy rozmawiał z nim czystym, nieskażonym amerykańskim.

4.

Siergiej Brastow widział dotąd Saddama Husseina tylko raz, i to nie z bliska. Znał jednak dobrze historię życia irackiego prezydenta i jego drogę do władzy. Hussein kierował zamachem stanu dokonanym w roku 1968 przez partię Baas, który obalił rząd Arifa i wyniósł Ahmeda Hassana al Bakra na stanowisko prezydenta.

Nazwano ten przewrót bezkrwawym, ponieważ obalonemu szefowi państwa i jego ludziom oszczędzono tradycyjnych egzekucji. Jednak za licznymi zabójstwami, które utorowały drogę do zamachu stanu, stał Saddam Hussein, były generał, który objął fotel prezydencki w roku 1981, kiedy al Bakr ustąpił ze względu na zły stan zdrowia. „Republika” Iraku, podczas wprowadzania w życie konstytucji, znajdowała się wciąż w fazie przejściowej. Prezydentów nie wybierano; rządzili oni na mocy dekretów.

Brastow stwierdził, że wygląd irackiego dyktatora jest nie mniej onieśmielający niż jego reputacja. O głowę wyższy od Rosjanina, Hussein miał na sobie zielony mundur wojskowy, a koszulę rozpiętą na grubej, byczej szyi. Krzaczaste czarne brwi marszczyły się ponad ponurą linią ust okolonych gęstymi, czarnymi wąsami, opadającymi nieco w kącikach. Prezydent nie wyciągnął ręki na powitanie i Brastow czuł się przez chwilę niezręcznie. Potem strzelił obcasami, złożył mały pokłon i wyrzekł po arabsku kilka słów stosownych, jak sądził, do okazji.

- O - powiedział prezydent, a czarne brwi podskoczyły na moment nad skośnymi szarymi oczami - mówi pan w naszym języku. To dobry znak. - Spojrzał znacząco na ministra obrony i swego osobistego doradcę, po czym wskazał trzy krzesła stojące wokół masywnego biurka z polerowanego

drewna tekowego, za którym sam usiadł. W charakterystyczny dla siebie sposób natychmiast przeszedł do rzeczy.

- Towarzyszu Brastow, ci dwaj dżentelmeni przedstawili mi już pokrótce pańską propozycję. Powiem panu o swojej pierwszej reakcji. Pańska sugestia, abyśmy celowo zniszczyli jeden z najdroższych i najskuteczniejszych samolotów, należący do naszego bliskiego islamskiego sąsiada, jest po prostu niedorzeczna! Wysoce ryzykowne i niebezpieczne przedsięwzięcie, mogące skończyć się naszą klęską, gdyby tajemnica wyszła na jaw albo gdyby operacja w pewien sposób się nie powiodła.

Rosjaninowi zrzedła mina; był świadom kropelek potu zbierających mu się na czole. Zimne, skośne oczy świdrowały go badawczo.

- Jednak po dalszej analizie - ciągnął Hussein - przewidywane nadzwyczajne rezultaty nakazują zastanowić się nad tym niedorzecznym planem.

Twarz Brastowa pojaśniała. Może jednak była jakaś nadzieja.

- Jest kilka pytań, na które, mam nadzieję, potrafi mi pan odpowiedzieć - ciągnął prezydent powoli w języku arabskim, wolnym od dialektu, aby Rosjanin wszystko zrozumiał. - Po pierwsze, przypuszczam, że pańska propozycja została uzgodniona z pana przełożonymi w Moskwie i spotkała się z ich aprobatą?

Brastow przytaknął żarliwie, a Hussein ciągnął, prawie nie robiąc przerwy.

- Czy istnieje niebezpieczeństwo ujawnienia sprawy z tej strony?

- Absolutnie żadnego - pośpiesznie zapewnił Rosjanin. - Plan został rozpatrzony wyłącznie na najwyższych szczeblach i jest otoczony najściślejszą tajemnicą.

Prezydent powoli skinął głową, a zmarszczka na jego czole się pogłębiła.

- Moje kolejne pytanie brzmi: dlaczego? - Brastow był zaskoczony, bo leśnie świadom oczu, które go świdrowały. - Dlaczego pana przełożeni wyrazili zgodę na ten ryzykowny plan? Do czego zmierzacie?

W pytaniu prezydenta brzmiało nie skrywane oskarżenie. Rosjanin przeniósł wzrok z ciemnego oblicza Husseina na twarze Zahadiego i Mustafy,

siedzących po lewej. Czy przedstawili jego plan w niekorzystnym świetle? Obydwaj unikali wzroku Rosjanina. Był zdany tylko na siebie; przyszedł czas na jego ruch, a najlepszą obroną był, jak zwykle, atak. Spojrzał prosto w świdrujące oczy.

- Z należnym szacunkiem, Wasza Ekscelencjo, sądzę, że odpowiedź jest oczywista. Na pewno zna pan stanowisko mojego rządu w tej kwestii. Dzielimy waszą odrazę wobec nadużyć Izraela, masakr w obozach palestyńskich, bezkarnej inwazji i zniszczenia Bejrutu. Mamy wspólny cel: osłabić Izrael i obalić reżim ustanowiony przez Begina, i wciąż funkcjonujący pod kierownictwem...

- Cisza! - Hussein wyciągnął gwałtownie dłoń, zasłaniając Brastowowi pole widzenia grubymi, krótkimi palcami. - W tych murach nie wymawiamy ich nazwisk. Nie dodajemy godności krajowi, który nie jest krajem, przez nadawanie mu nazwy. Ani osobie, która nie jest osobą, jest istotą nieludzką, przeklętym, obmierzłym psem!

Brastow pojął z ulgą, że wściekłość irackiego prezydenta nie jest skierowana przeciwko niemu, ale przeciwko znienawidzonemu człowiekowi, którego nazwisko nieopatrznie wymienił. Hussein zerwał się z krzesła i kontynuował tyradę zza biurka.

- Milionowe miasto zamienione w stertę gruzu. Niezrównane miasto, które kiedyś było jedną z najjaśniejszych, najcudowniejszych pereł islamu. Zamordowano tysiące niewinnych ludzi, których jedynym przewinieniem było to, że tam mieszkali. Zamordowani przez tego szaleńca pijanego władzę, byłego terrorystę Irgunu. Gdzie zatrzyma się on i jego siepacze? Bejrut był tylko przystawką. Potajemnie gromadzą bomby atomowe, zdolne do zrównania z ziemią wszystkich naszych miast.

Zaśmiał się gorzko.

- I on mnie nazywa *meszug... meszug...*

- *Meszugene*. - Doradca prezydenta podpowiedział trudne hebrajskie słowo.

- *Meszugene* - powtórzył Hussein. - Tak. Wariat. Tak mnie nazwał przed swoim marionetkowym parlamentem po nieuzasadnionym, przestępczym nalocie na Osirak. No, jeżeli szaleństwem jest się bronić, przygotowywać

cały świat islamski do obrony przed tą barbarzyńską złośliwą siłą, przekona się, jakim jestem *meszugene!*

Prezydent Iraku, już spokojniejszy, ponownie usiadł za biurkiem.

- Każde państwo arabskie, każdy kraj islamski, popiera nas w tym działaniu. Od masakry w Bejrucie otrzymujemy więcej pieniędzy na badania atomowe, niż możemy wydać. Dokonałiśmy niezwykłego postępu. Zaczynamy dościgać tych syjonistycznych szaleńców. Przegonimy ich. Pogrzebiemy!

Mięsiste pięści podkreślały słowa potężnymi uderzeniami w biurko. Brastow wzdrygnął się w głębi duszy. Rozprzestrzenianie broni atomowej w krajach arabskich mogło doprowadzić bliskowschodnią beczkę prochu do wybuchu. Problem zapobieżenia takiej katastrofie był tematem zbliżającego się tajnego radziecko-amerykańskiego spotkania na szczycie. Brastow umył w myślach ręce od tej sprawy, na którą nie miał przecież najmniejszego wpływu; czekał, aż Hussein wróci do rozważanego planu.

- Mam do pana jeszcze tylko jedno pytanie - podjął prezydent znacznie ciszej, znowu wbijając oczy w rosyjskiego doradcę. - Czy to się uda? Czy pańska sztuczka naprawdę przyniesie przewidywane przez pana rezultaty: skłócenie z Ameryką, upadek rządu syjonistycznego?

Brastow spojrział na prezydenta i z zapalem zaczął przedstawiać swój ulubiony scenariusz.

- Jeśli wasz agent w ich siłach lotniczych jest tak dobry, jak mnie zapewniano, plan pójdzie gładko. Pilot oskubie AWACS-a jak tłustą kurę, bezbronną i bezradną. Oto jak się to odbędzie: Wasz człowiek spotka się z AWACS-em w odległości sześciuset czy siedmuset kilometrów na północ od Rijadu; na tym obszarze nie ma żadnych lotnisk. Obsługujący radar wykryje zbliżający się nie zidentyfikowany samolot. Kiedy wasz pilot włączy swój radar, AWACS, używając identyfikacji elektromagnetycznej, rozpozna samolot jako F-15. Ta informacja zostanie przekazana do wieży kontrolnej, która szybko stwierdzi, że w pobliżu nie ma żadnych saudyjskich myśliwców F-15. Nie będzie trudno znaleźć odpowiedzi drogą dedukcji. Poza Arabią Saudyjską tylko jeden kraj na Bliskim Wschodzie

dysponuje myśliwcami tego typu, a mianowicie... Tym razem w porę ugryzł się w język.

- Syjoniści. W tym momencie wasz pilot zbliża się do AWACS-a z ogromną szybkością, ponad dwukrotnie przekraczającą prędkość dźwięku. Z najbliższej bazy wysłane zostaną samoloty przechwytyjące, a AWACS otrzyma rozkaz powrotu. Jednak na długo przed przybyciem posiłków, wasz pilot dogoni powolny samolot, który runie z nieba jak płonący meteor, zabijając całą załogę, włącznie z Amerykanami.

Myśliwiec F-15, ze znakami swego kraju, po przymusowym lądowaniu zostanie odnaleziony na Synaju; po pilocie zaginie wszelki ślad. Krzyk, jaki podniesie Arabia Saudyjska, zwróci uwagę świata na ten incydent. Po ustaleniu motywu - związku z Osirakiem - Ameryka nabierze pewności, że atak był rozmyślny i skandaliczny. Prezydentowi nie pozostanie nic innego, jak zerwać stosunki z obecnym rządem, powodując jego upadek.

Saddam Hussein milczał przez pewien czas, analizując to, co usłyszał. Rosjanin czekał, zastanawiając się, czy powinien wyjaśnić pewne punkty, zagłębić się w dalsze szczegóły planu. Co ci dwaj powiedzieli Husseinowi? Teraz praktycznie się nie odzywali. Instykt Brastowa mówił mu, że powinien dosyć, że powinien czekać.

Prezydent gwałtownie wstał i wyciągnął rękę.

- To by było na razie na tyle, towarzyszu Brastow. Zostanie pan powiadomiony o naszej decyzji. Tymczasem ma pan nie rozmawiać na temat planu z nikim poza obecnymi w tym pokoju, nawet z pańskim rządem.

- Ale, przygotowania... czas nagli. - Wyraz zawodu na twarzy Brastowa mówił wszystko.

- Jeśli postanowimy realizować plan, poczynimy niezbędne przygotowania. Będzie lepiej dla pańskiego rządu, jak i dla naszego, żeby nie brał pan bezpośredniego udziału. Musimy dopilnować, żeby w żaden sposób nie można było wpaść na pański ślad.

Rozczarowany Brastow pośpiesznie uściśnął ręce Mustafy i Zahadiego, po czym opuścił pokój. Oczami wyobraźni widział już siebie, kierującego całą operacją niejako spoza sceny.

Nie miał zaufania do kompetencji Irakijczyków. A jednak, mówił sobie, nie powinien się dziwić. Hussein, w charakterystyczny dla siebie sposób, całą zasługę zechce przypisać sobie. Nie padnie najmniejsza wzmianka o udziale Sowietów w incydencie wewnątrz świata arabskiego.

Mimo to wtajemniczeni ludzie będą wiedzieli - przede wszystkim wysocy oficerowie radzieccy, z którymi Brastow omówił już plan. A także kilka innych osób. W tych najbardziej znaczących kręgach właśnie Brastowowi zostanie przypisana zasługa opracowania całej akcji.

Nagle poczuł się znacznie lepiej. Reakcja Husseina mogła oznaczać tylko, że już się zdecydował. Brastow miał pewność. Plan AWACS, jego plan, zmierzał szybkimi krokami ku realizacji.

Nie było bezpośredniego lotu z Izraela do Arabii Saudyjskiej - pewnie nigdy nie będzie, pomyślał Dawid. Jedynym krajem arabskim obsługiwanym przez izraelskie linie lotnicze El Al był Egipt - w dosłownym sensie marginalna korzyść odniesiona przez podróżnych z porozumień z Camp David. Chcąc się dostać do Rijadu musiałeś polecieć El Al-em do Kairu, gdzie zmieniałeś samolot i linie lotnicze. Połączenia były okropne; najlepsze, co mógł zrobić, to poczekać w Kairze pięć godzin i złapać popołudniowy Boeing 747 linii Pan Am.

Z lotniska Ben Gurion w Tel Awiwie wystartowali o siódmej rano. Miał to być lot pierwszej klasy, co niestety oznaczało klasę turystyczną, która, jak wiedział, w liniach El Al to wąskie fotele, brak obsługi, posiłków i napojów. Przynajmniej na lotnisko jechał w wielkim stylu. Siedział wygodnie z tyłu eleganckiej Czarnej Piękności, limuzyny ambasadora Abramsa; flagi dyplomatyczne dumnie powiewały nad przednim zderzakiem długiego lśniącego Lincolna. Był to przejaw dobrej woli staruszka wobec nowego wysłannika, podobnie jak jego zgoda na wariacką podróż Dawida do Rijadu, w celu odwiedzenia młodszego brata.

- Nie będzie lepszej okazji niż dzień dzisiejszy, Llewellyn - poradził ambasador, kiedy Dawid przedstawił mu swą prośbę w poniedziałek. - Najlepiej zrobić to teraz, w czasie przeprowadzki. W tej branży nigdy nic

nie wiadomo. Jutro może zawalić się dach i nie będę mógł się bez ciebie obejść.

To samo, pomyślał Dawid, można powiedzieć o jego innej pracy, o zleceniu, w które ambasador nie został wtajemniczony. Poszukiwanie wtyczki zostało przełożone na czas przenosin ambasady do Jerozolimy, czyli do końca tygodnia. Najwcześniejsze wolne miejsce było w środę rano. Postanowił lecieć.

Z wysiłkiem skupił się na celu podróży. Dobrze będzie znowu zobaczyć Richy'ego. O osiem lat młodszy brat, dziecko rodziców w podeszłym wieku - „cud menopauzy”, jak Richy sam siebie cynicznie nazywał - zajmował wyjątkowe miejsce w sercu Dawida. Przed poznaniem Katherine z nikim nie czuł takiej bliskości. To uczucie przetrwało jakoś długie okresy rozłąki, spowodowane pracą w różnych krajach. Innym ludziom trudno było ich zrozumieć.

- Jak możesz mówić, że jesteście sobie bliscy, skoro już prawie się nie widujecie? - Dziwiła się Katherine. - Prawie nigdy do siebie nie pisujecie, nie rozmawiacie przez telefon.

- Bliskość to kwestia uczucia. - Pamiętał, że odpowiadał, szukając właściwych słów, sam w pełni nie pojmując. - Kiedy czujesz z kimś bliskość, wcale nie musisz być z nim blisko w sensie fizycznym. Istnieje aspekt tej drugiej osoby, świadomość, która pokonuje odległość.

Jeszcze dziś pamiętał, jak kręciła głowę w ten swój czarujący sposób, pytając, czy to samo czuł w stosunku do niej; była nieco urażona, kiedy odpowiadał, że nie, ich łączyła inna bliskość, a poza tym, nigdy się nie rozstawali. Kochana Katherine! Gdyby tylko wiedziała. Teraz, kiedy los rozdzielił ich na zawsze, nie mijał dzień, żeby o niej nie myślał.

Ale z nim i Richym naprawdę było inaczej. Czy Richy czuł podobnie, zastanawiał się Dawid?

Dojmująca troska o jedyne go brata, niewytłumaczalne uczucie niepokoju popchnęło go do nagłej podróży do Rijadu. Do decyzji tej przyczyniła się także Daniela, dzieląc się z nim własnym niepokojem i przekonaniem o potrzebie pośpiechu. Daniela; co, na Boga, stało się z Danielą?

Po sobotniej rozmowie z Abernathym zadzwonił do niej. Kiedy nie

odpowiadała, uznał, że musiała wyjść w sprawach służbowych. Telefował przez następne dwie godziny. Czy nic jej się nie stało? Czyżby intruz wrócił? Nie mogąc zasnąć, ubrał się i pojechał. Widział światło pod drzwiami, ale nie słyszał w środku żadnych odgłosów i nikt nie odpowiedział na dzwonek.

Wiedział, że była zmęczona po długim dniu, po szoku powrotu do splądrowanego mieszkania. Czy możliwe, żeby zasnęła przy zapalonym świetle, i to tak twardym snem, że nie słyszała telefonu ani dzwonka u drzwi? Walił w drzwi i wołał jej imię, ale odpowiedział mu tylko stłumiony protest dobiegający z sąsiedniego mieszkania: hebrajskie słowa były dla Dawida niezrozumiałe, ale ich sens nie pozostawiał wątpliwości.

Wrócił do domu mówiąc sobie, że głupotą jest martwienie się o nią, sama na pewno potrafi się o siebie zatroszczyć. Ale następnego dnia rano nadal nikt u niej nie odpowiadał. Dzwonił przez całą niedzielę, znowu do niej pojechał. Ani śladu. W poniedziałek zadzwonił do biura ministra spraw zagranicznych, rozmawiał z sekretarką. Powiedziano mu, że panna Zadik wzięła w tym tygodniu wolne. Czy wyjechała? - spytał. - Sekretarka nie wiedziała.

Skoro planowała urlop, czemu mu nie powiedziała? Próbował się z nią skontaktować także następnego dnia, próbował jeszcze dziś rano. Jak można wytłumaczyć jej trzydniową nieobecność?

Wszystko zaczęło się jak powieść szpiegowska: telefon w środku nocy, właśnie kiedy zapadała w sen. Głos kazał jej po prostu stawić się natychmiast. Opanowało ją podniecenie i zapomniała o zmęczeniu. Icchaku, kochany Icchaku! Wyruszam, podejmuję twoje zadanie!

Ale to było wiele godzin temu. Godzin spędzonych na wypełnianiu formularzy i czekaniu, które stępiły ostrze jej determinacji, i znowu okrył ją szary płaszcz zmęczenia. Wyglądało na to, że Mosad niezbyt różni się od innych znanych jej instytucji. Nawet tutaj najwyższą władzę sprawował Bóg Papieru. Wypełnij to! Wypełnij tamto! Pośpiesz się! Żebyś mogła usiąść i czekać. I czekać. I jeszcze trochę czekać.

Młody urzędnik odpowiedzialny za papierkową robotę wrócił po długiej nieobecności.

- Na co ja czekam? - spytała wyczerpana.
- Na twojego przełożonego - odparł. - Powinien lada moment przyjść.

Minuty przeciągnęły się w godziny i głowa kilkakrotnie opadła jej na piersi, zanim otworzyły się drzwi i do poczekalni wszedł niski mężczyzna w średnim wieku. W każdym razie tak go oceniła, widząc przygarbioną sylwetkę i brodę przyprószoną siwizną. Ale to było, nim ujrzała jego oczy. Młode, czujne, emanujące czystą inteligencją.

Studiował zawartość teczki - jej teczki, domyśliła się szybko - i nawet nie podniósł wzroku szybko przechodząc przez pokój i siadając na krześle za stołem naprzeciwko niej. Patrzyła, jak niespokojne oczy pożerają słowa; twarz pozbawiona wyrazu, palce przewracające kartki papieru. Widziała wśród nich formularze, które wypełniła wczesnym rankiem, ale były tam też inne strony, których nie poznawała.

Dopiero po minucie podniósł wzrok, wreszcie jakby ją dostrzegając. Wydawało jej się, że minęło znacznie więcej czasu. W gęstej brodzie przemknęło coś na kształt uśmiechu, ustępując miejsca nagłej eksplozji słów.

- Dobrze. Panno Zadik. Danielo. Bardzo mi przyjemnie.

Wygląda na to, że możesz mi się przydać. Jestem Baruch Szmona. Oczywiście nie jest to moje prawdziwe nazwisko. Będę twoim przełożonym. Wiesz, co to znaczy?

Nie czekał na odpowiedź.

- Znaczy to, że jestem twoim łącznikiem z Instytutem, twoim jedynym łącznikiem. Ode mnie otrzymujesz instrukcje. Składasz mi regularne raporty. Wszelkie informacje, jakie zbierzesz, przekazujesz bezpośrednio mnie. Krótko mówiąc, począwszy od dzisiaj, dla ciebie ja, Baruch Szmona, jestem Instytutem. Zrozumiano?

Zmarszczyła brwi.

- Myślałam, że odbędzie się coś w rodzaju szkolenia, kursu dla nowych agentów. Nie wiem prawie nic o...

Potrząsnął gwałtownie głową, a na twarzy pojawił mu się protekcyjny półuśmieszek.

- Och, Danielo! Fałszywe wyobrażenie, jakie ludzie mają o naszej branży!

Gdybyśmy umieścili was wszystkich w jakiejś klasie „szpiegów”, natychmiast poznalibyście swoje prawdziwe tożsamości. Stracilibyśmy wszelką możliwość skutecznego krycia. Nie, Danielo, sam nauczę cię wszystkiego, co musisz wiedzieć. Będę twoim instruktorem.

- W takim razie, mam zacząć natychmiast?

- W istocie, już zaczęłaś, choć może sobie tego nie uświadamiasz. Przypadkowo, kilka dni temu, zanim jeszcze skończyliśmy rozpatrywać twoją kandydaturę, rozpoczęłaś swoje pierwsze zadanie.

- Co...? - Próbowała zrozumieć, o co mu chodzi. - Jakie zadanie?

- Danielo, pozwól, że będę szczery. Posiadasz kilka potencjalnych atutów mogących się przydać w tej pracy, ale obecnie twoja przydatność dla nas wynika w niemałym stopniu z twojej pozycji w biurze ministra spraw zagranicznych i z kontaktów, które ci ona umożliwia.

- Chcecie, żebym szpiegowała swojego... ministra spraw zagranicznych?

- Niezupełnie, Danielo, niezupełnie. Nasza działalność nie ogranicza się, jak na razie, do szpiegowania swoich. Nie, miałem na myśli twój kontakt z ambasadą amerykańską; a zwłaszcza twój związek z nowo przybyłym specjalnym wysłannikiem.

- Dawid! - Imię wystrzeliło z jej ust, zanim zdołała je stłumić.

- A więc to „Dawid”? Świetnie, świetnie. Zwróciliśmy uwagę na tę znajomość dopiero wczoraj, podczas gruntownego sprzątnięcia w twoim mieszkaniu. Chcemy, żebyś...

- Ty! - Zdumienie Daniela szybko ustąpiło miejsca oburzeniu. - To ty splądrowałaś moje mieszkanie!

- Mogę cię zapewnić, że nie zrobiłem tego osobiście. Mamy w tym celu wyspecjalizowanych agentów. To standardowa procedura, która obejmuje wszystkich nowych kandydatów.

- Czy zawsze są tacy schludni?

- Ach, o to ci chodzi. Rozumiem, że zostawili twoje mieszkanie w nieładzie. Nawiasem mówiąc, to był mój pomysł. Sądziłem, że stworzy to sytuację sprzyjającą zacieśnieniu więzów z Llewellynem. Męski instynkt opieki, wywołany...

Z wściekłości ledwo mogła mówić.

- Jak śmiesz insynuować! Moje życie prywatne należy tylko do mnie! Jak śmiesz się wtrącać...!

Spokojnie przeczekał jej wybuch.

- Od teraz, droga Danielo, nie będziesz miała żadnego życia prywatnego. Instytut musi wiedzieć o wszystkim, przynajmniej dopóki dla nas pracujesz. Chcemy znać każdy szczegół misji tego Llewellyna. Mamy powody, by sądzić...

- Nie! - przerwała mu. - Odmawiam! Nie będę szpiegowała przyjaciół. Zgłosiłam się ochotniczo, żeby pracować przeciwko wrogom, nie przyjaciołom. Ameryka stoi po naszej stronie.

- Istnieją rozmaite odmiany Amerykanów, moja droga, i to po obu stronach. Twój pan Llewellyn może nie być tym, na kogo wygląda; nie mamy jeszcze pewności.

- W takim razie pozwól, że cię zapewnię: on jest dokładnie tym, na kogo wygląda, dyplomata do specjalnych poruczeń, osobistym przyjacielem amerykańskiego prezydenta, wysłanym tu w celu poprawy stosunków z naszym krajem i przygotowania gruntu pod nową konferencję pokojową. Minister spraw zagranicznych jest gotów to potwierdzić.

Mężczyzna przedstawiający się jako Szmona przyglądał się jej z uwagą, ważąc w myślach odpowiedź Danieli.

- To, co ci teraz powiem, otacza ścisła tajemnica. Nie wolno ci jej zdradzić nikomu, nawet twojemu ministrowi.

Z leżącej przed nim sterty papierów wyjął żółty formularz i zamachał nim przed Danielą.

- Mam tutaj twój podpis. Złożyłaś przysięgę zachowania tajemnicy i zostałaś powiadomiona o możliwych konsekwencjach jej złamania.

Przytaknęła, przełykając z trudem ślinę.

- Widzisz, w Instytucie zajmujemy się głównie tajemnicami. Ich oraz naszymi. Znaczną część czasu poświęcamy na odkrycie sekretów naszych wrogów. Nasze własne chcemy chronić. Niektóre sekrety wielkiej wagi dzielimy z naszym amerykańskim sojusznikiem. Ambasada amerykańska jest składnicą niektórych z tych drażliwych tajemnic. Gdyby dostały się one w niepowołane ręce, mogłyby skompromitować nasz rząd i zagrozić istnieniu całego naszego kraju.

- Co ma z tym wspólnego ambasador Llewellyn? - przerwała niecierpliwie Daniela.

- Zaraz do tego dojdę. Już wcześniej odbieraliśmy sygnały, niepokojące sygnały, o przecieku pewnych drażliwych informacji z ambasady. Jednak, jak dotąd, nie mamy niezbitych dowodów.

- Nadal nie rozumiem, jaki to ma związek z Dawidem. Przecież dopiero co przyjechał.

- Właśnie, panno Zadik, właśnie. Jego przybycie w tym szczególnym momencie zwiększyło nasz niepokój. Widzisz, dotarliśmy do pewnych danych o przeszłości pana Llewellyna. Podczas gdy jego dyplomatyczne referencje są w pełni prawdziwe, dowiedzieliśmy się, że kilka lat temu pracował jako agent kontrwywiadu przy Departamencie Stanu.

Krótko mówiąc, prezydent Stanów Zjednoczonych przysłał do ambasady w Izraelu specjalistę od kontrwywiadu. Chcemy, żebyś się dowiedziała dlaczego.

Richard Llewellyn podniósł wzrok znad powieści, by sprawdzić, czy na pasie lotniska w dole nie pojawił się Boeing 747 ze znakami Pan Am. Nic. Samolot z Kairu miał już spore opóźnienie. Tu, w Rijadzie to nic dziwnego. Samoloty spóźniały się czasem wiele godzin. W biurach linii lotniczych nie sposób było się czegokolwiek dowiedzieć. Pozostawało przyjechać punktualnie na lotnisko i czekać.

Pomyślał, że nie jest to najwygodniejsze miejsce na czekanie. Wykwintne bary, nieodłącznie związane z lotniskami na całym świecie, były tu oczywiście obłożone anatamą; zakazu alkoholu przestrzegano w Arabii Saudyjskiej rygorystycznie. Jednak, wiedząc o milionach petrodolarów wyłożonych na Międzynarodowy Port Lotniczy w Rijadzie, mogłeś przypuszczać, że przynajmniej stać ich było na porządne fotele. Zmienił pozycję na twardej, drewnianej ławce, próbując skupić się na drobnym druku.

Bez skutku. Był zbyt spięty, podniecony myślą, że znowu zobaczy brata - ile to już lat? Ponad trzy. Co za ironia, że po tak długiej rozłące spotykają się w obcym kraju, a trudno było sobie wyobrazić kraj bardziej obcy niż Arabia Saudyjska. Jednak odkąd zaczął pracować dla Westinghouse w

Baltimore, większość czasu spędzał za granicą, wdrażając system AWACS najpierw w krajach NATO, potem tu, w Arabii. Jego nieliczne urlopy w domu rodzinnym w Forest Hills nie zbiegły się z odwiedzinami Dawida, również zatrudnionego za granicą.

Trzy lata! Czy wygląda tak samo, czy też śmierć Katherine go zmieniła? Richy spróbował wyobrazić sobie wysokiego, jowialnego, ciemnowłosego mężczyznę zbliżającego się do czterdziestki, schodzącego lekkim krokiem po schodkach samolotu. Zawsze był dumny z wyglądu brata, dumny z dokonania Dawida. Boże, jak dobrze będzie znowu go zobaczyć, porozmawiać poważnie i powyglupiać się, jak za dawnych lat. Ostatnimi czasy był tak zajęty pracą, że nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo tęskni za tym facetem. Spójrz prawdzie w oczy: nadal istnieje między wami silna więź. Do diabła, przestań kręcić, po prostu go kochasz.

Nie zawsze tak było. W okresie między wiekiem dojrzewania a dorosłością Richard czuł do doskonałego brata piekącą urazę graniczącą z nienawiścią. Dawid był najlepszym uczniem, odnosił sukcesy w sporcie i wszystkich innych dziedzinach; cieszył się nie słabnącą popularnością. Po ośmiu latach wciąż go pamiętano w szkole średniej w Forest Hills, gdzie dawni nauczyciele i trenerzy Dawida stale porównywali Richarda z bratem, oczekując od niego, że sprostą wymaganiom.

Te same napięcia występowały w domu, gdzie rodzice przeprowadzali nieuniknione, choć bardziej powściągliwe, porównania. Z nagłym ukłuciem wstydu przypomniawszy sobie własny wybuch, który tak zaniepokoił matkę i rozgniewał ojca, kiedy tama się przerwała i Richard stracił panowanie:

- Nie mogę być Dawidem! Jestem kim innym! Czy nie możecie sobie tego wbić do głów?

Trudność polegała na tym, żeby sam wbił to sobie do głowy. Kiedy zaniedbał przykładania do wszystkiego miarki Dawida, kiedy zaczął iść za głosem własnych instynktów, rozwijać własne zainteresowania i zdolności, cień starszego brata zaczął ustępować. Richy odkrył w sobie talent do spraw technicznych i naukowych, nie będących mocną stroną Dawida. Uczył się elektroniki, naprawiając rodzinny telewizor, i opanował ją na wiele lat przed rozpoczęciem studiów. Jeszcze w szkole średniej

skonstruował prosty komputer i nauczył się go programować. Kiedy rozpoczęła studia, komputery i tajniki programowania były jego drugą naturą. Na drugim roku już się rozglądał za specjalizacją. Znalazł ją w radarze.

Z naukowej ciekawostki świeżo skonstruowanej w laboratoriach drugiej wojny światowej, radar rozwinął się w superskomplikowane połączenie radiowych elementów wysokiej mocy z cyfrowymi procesorami i monitorami, całość kierowana przez komputer. Firmy produkujące radary przyznawały otwarcie, że ich potomstwo stało się zbyt skomplikowane, by pojedynczy człowiek mógł pojąć całość systemu radarowego. Richy, absolwent nauk inżynierskich zatrudniony przez Westinghouse przy skomplikowanym radarze AWACS, postanowił udowodnić, że się mylą.

W ciągu jednego tylko roku opanował cały system radarowy, poznając zasady funkcjonowania każdego elementu: od przekaźników wysokiej mocy, przez układ anten rotodomowych, po potężną baterię komputerów i monitorów. Jednak największy sukces odniósł w dziedzinie oprogramowania, w setkach tysięcy wersów programu, dzięki którym całość funkcjonowała jako najnowocześniejszy w świecie system obserwacji. Zanim z ekipą wdrażającą AWACS w krajach NATO został wysłany do Europy, osobiście napisał znaczną część programu; znał każdą jego linijkę. Był nie mniejszym cudem niż system, którego stał się światowym ekspertem i z którego był tak dumny.

Niech tylko Dawid to zobaczy! myślał. Gdy tylko padło słowo o ewentualnej wizycie brata, zaczął planować pokaz i poczynił wszystkie niezbędne przygotowania, by oprowadzić amerykańskiego dyplomatę po jednym z samolotów AWACS-a. Czuł, że musi ujrzeć wyraz podziwu na twarzy Dawida, ten nabożny lęk, jaki widywał na twarzach wszystkich zwiedzających, kiedy stawali przed jednym ze współczesnych cudów techniki. To było dla niego ważne, dla niego, który tak długo żył w cieniu brata.

Przygotował dla Dawida jeszcze jedną niespodziankę: kolację w Tangerze, w najprzystulniejszym nocnym klubie w Rijadzie, niestety, bez alkoholu. Będą tylko we troje, oni dwaj i Roxana.

Z Roxaną rozumieli się świetnie. Do obowiązków Richarda należało nauczyć ją podstaw radarowego oprogramowania. Okazało się, że Roxana jest pojętną uczennicą. Łączyła w sobie naturalne piękno z niezwykle inteligencją, nie mówiąc o talentach technicznych. Mówili tym samym językiem, obejmującym komputery, literaturę i muzykę klasyczną. Czuł, że dobrze już ją zna; nie do wiary, że dołączyła do grupy zaledwie tydzień temu.

To miała być ich pierwsza randka, nie licząc wieczoru spędzonego w jego pokoju na testowaniu kolekcji płyt oraz prywatnego zapasu whisky, przemyconej na pokładzie samolotu AWACS numer trzy, dzięki pomocy przyjaciela z Seattle. Wieczór ten okazał się całkiem niewinny, aczkolwiek wiele obiecujący na przyszłość. Wiedział, że teraz chce wykorzystać wizytę brata jako swego rodzaju katalizator, pozwalający mu zbliżyć się do dziewczyny. Wyczuwał, że nie zaszkodzi, jeśli spłynie na niego część czaru Dawida. Zastanawiał się, na kim właściwie chce wywrzeć większe wrażenie: na starszym bracie czy na uroczej Irance?

W wyobraźni Richy'ego świat dyplomacji, w jakim obracał się brat, był olśniewający, pełen wystawnych przyjęć i pięknych, eleganckich, łatwo dostępnych kobiet. Istny raj dla przystojnego kawalera. Mimo że Richy nie widział się z bratem od tragicznej śmierci jego żony, wyobraźnia pozwoliła wypełnić białe plamy.

Teraz uzmysłowił sobie nagle, że oni dwaj niewiele rozmawiali o kobietach i seksie. W każdym razie od dnia, który tak mocno wyrył się w jego pamięci - pogadanki „o życiu” ponad dziesięć lat temu, kiedy Dawid zastępował ojca, uchylającego się od takich obowiązków. Richy pomyślał, że brat, który otworzył mu oczy na rozkosze seksu, nigdy nie widział go w towarzystwie kobiety i pewnie myślał o nim jako o swego rodzaju mnichu. Cóż, dzisiejsza kolacja z Roxaną rozwieje podobne wyobrażenia.

- *Pardonnez-moi, avez-vous une cigarette?*

Odwrócił się, by wytłumaczyć Francuzowi, że nie pali. Przed nim stał Dawid, uśmiechając się jak kot z Cheshire. Jak, u licha, mógł przeoczyć lądowanie samolotu?

Zerwał się na nogi, zaczął z werwą ścisnąć dłoń brata, po czym utonął w miażdżącym niedźwiedzim uścisku. Odwzajemniając równie gorący, poczuł w oczach piekące łzy.

Wynajęta Simca była mała, ale wystarczająca. Pojedyncza duża torba Dawida zajęła prawie całe tylne siedzenie. Richy włączył się do ruchu, tuż przed białym Rolls Roycem prowadzonym przez szofera, i skręcił na południe, ku miastu.

- Pomyślałem, że najpierw zameldujemy cię w hotelu, a potem wrócimy do bazy. Osobiście przygotowałem zwiedzanie AWACS-a. To znaczy, jeśli cię to interesuje.

- Ogromnie - odparł Dawid z zapalem. Pragnął zobaczyć samolot, który dla Begina stał się kością niezgody, kiedy administracja Reagana zaczęła go sprzedawać Saudyjczykom.

- W ten sposób zobaczysz też trochę Rijadu przed zmrokiem - ciągnął Richy. - To rodzaj współczesnego cudu świata: ponad milionowe miasto w miejscu, gdzie dwadzieścia lat temu stała przeludniona wioska lepianek.

- Wprost trudno uwierzyć - zgodził się Dawid. - Kiedy lądowaliśmy, rzuciłem okiem na miasto: te drapacze chmur w samym środku pustyni, to lotnisko. Niesamowite!

- Największe lotnisko na świecie - oznajmił Richy. - To znaczy, do czasu, kiedy Saudyjczycy ukończą lotnisko w Dhahran.

- W Dhahran będzie jeszcze większe? - spytał z niedowierzaniem brat. - Słyszałem, że przesylenie rynku ropą zmusza ich do pewnych cięć.

- Zaczynają trochę odczuwać - przyznał Richy - ale to raczej zwolnienie tempa niż cięcia. Główne inwestycje są kontynuowane. Tyle że teraz stali się nieco mniej rozrzutni; kilka lat temu po prostu nie znali umiaru.

Ruch uliczny, stosunkowo mały w okolicach lotniska, w miarę jak zbliżali się do miasta, zaczął się zagęszczać. Dawid zauważył większą liczbę taksówek i skłonność taksówkarzy do trąbienia przy najbardziej błahych okazjach.

- Nie potrafiliby jeździć bez klaksonów - zaśmiał się młodszy brat. - Wielu taksówkarzy to Arabowie; to jedna z nielicznych prac fizycznych,

które Saudyjczycy godzą się wykonywać. Nienawidzą pracy fizycznej; uważają to za poniżające. Wykonują ją przyjezdni, głównie z ościennych krajów muzułmańskich. Założę się, że ponad połowa mieszkańców Rijadu to obcokrajowcy.

- Czy nie powoduje to problemów?

- Ostatnio tak. Przede wszystkim przestępczość. Do niedawna mieli tu najniższy wskaźnik przestępczości na świecie. Większość przestępstw popełniają obcokrajowcy. Saudyjczycy mają wpojona wiedzę o karze śmierci, ale cudzoziemcom zajmuje trochę czasu, zanim się przyzwyczają. Złodziejom obcina się tu ręce. Mordercom ścina się głowy. Na głównym placu miasta. Nie dalej jak wczoraj odbyła się taka egzekucja, tysiące ludzi się przyglądało.

- Przyglądali się? - wzdrygnął się Dawid. - Czy są aż tak żądni krwi?

- Wcale nie, ale uważają, że to ich patriotyczny obowiązek, wkład w walkę z przestępczością.

Uśmiechnął się na widok niesmaku na twarzy brata.

- Saudyjczyków początkowo trudno zrozumieć, ale mają wiele wspaniałych cech. To wyjątkowy naród.

- Muszę ci wierzyć na słowo - odparł Dawid sceptycznie. - Jak dotąd poznałem tylko jednego; był zbyt zajęty przeszukiwaniem mojego bagażu, żeby powiedzieć grzeczne słowo.

- A, tak, celnicy. Są tutaj bardzo skrupulatni; powinienem był cię ostrzec. Szukali pewnie narkotyków i alkoholu. I pisemek.

- Pisemek? Masz na myśli pornografię?

- Niekoniecznie. Wszystkie gazety i czasopisma są cenzurowane. Choć wydzierają tylko reklamy alkoholu i zdjęcia skąpo odzianych kobiet.

- Ale jaki mają w tym cel? - zdumiał się Dawid. - Czego starają się dowieść?

- Celem jest ochrona narodu przed nadużyciami cywilizacji zachodniej. Dom Sauda uważa się za głównego obrońcę wiary muzułmańskiej w ortodoksyjnym duchu Koranu i nauk Mahometa. Przyznają, że potrzebują nas tutaj, naszych umiejętności i zdobyczy technicznych, by zmodernizować Arabię i przygotować ją na przyszłość. Jednak postanowili nie dopuścić do

tego, by poddani ulegli wpływom zachodnim, w sensie materialistycznym. Alkohol, filmy i inne formy frywolnej rozrywki takie jak tańce są surowo zakazane. Nie zobaczysz też sukienek z głębokim dekoltem ani krótkich spódnic, chociaż przepisy dotyczące zasłon na twarze zostały złagodzone.

- Można by przypuszczać, że młodsze pokolenie się zbuntuje. Co z młodzieżą studencką?

- To zabawne. - Zachichotał Richy. - Niektóre dzieciaki najgłośniej przestrzegają przed groźbą wpływów zachodnich. Wielu z nich wyjeżdża za granicę na studia i tam na pewno trochę szaleją, ale kiedy wracają, na powrót się przystosowują. Nie ma tu też śladów ruchu praw kobiet, chociaż są one nadal dyskryminowane pod wieloma względami, a duża część stanowisk jest dla nich zamknięta.

Dawid zamilkł, analizując to, co usłyszał i obserwując mijany krajobraz. Byli już w mieście. Ale jakim dziwnym mieście! Tak odmiennym od wszystkich, które widział, od tego, które niedawno opuścił. Jerozolima i Tel Awiw także były miastami unowocześnionymi, rzuconymi na pustyni. Ale otaczała je zieleń, pielęgnowana i nawadniana przez pracowitą, troskliwą ludność.

Kontrast z Rijadem był uderzający. Wysokie budynki, już ukończone i zamieszkane, otaczały sterty gruzu i śmieci; wszechobecne kurz i piach zasypywały nowe chodniki. To cudowne miasto, które tak nagle wyrosło na pustyni, było zaniedbane; wywoływało uczucie szorstkości, tak niepokojącej i drażniącej po izraelskiej harmonii. Wszystko razem składało się na złe samopoczucie, jakie towarzyszyło mu, odkąd wysiadł z samolotu i zetknął się ze wścibskimi, nieprzyjaznymi celnikami.

Kłucie w karku kazało się Dawidowi odwrócić. Biały Rolls z lotniska nadal jechał za nimi; arabski szofer był nierozpoznawalny w tradycyjnym zawoju i okularach przeciwsłonecznych, szyba z matowego szkła skrywała ewentualnych pasażerów siedzących z tyłu. Czemu tak go to rozdrażniło? Nikt poza ambasadorem nie wiedział o jego przyjeździe; myśl o tym, że jest śledzony, nie miała sensu. Odepchnął ją. A jednak pozostało uczucie niepokoju, wrogości otoczenia. Wyobraź sobie, co musiałby czuć Żyd, gdyby tu przyjechał, myślał Dawid. Wyobraź sobie, co czułaby Daniela.

Oto moje dziecko, numer C-103. - Richy wskazał oznakowanie na ogonie najbliższego samolotu E-3A, a duma w jego głosie mieszała się z podnieceniem.

Dawid spojrział na lśniący biały kadłub noszący czarne arabskie oznakowania Królewskich Saudyjskich Sił Powietrznych. A więc to jest AWACS, broń, która spotkała się z takim protestem ze strony rządu Begin. Dawid spodziewał się czegoś znacznie wspanialszego.

Zobaczył bardzo zwyczajnie wyglądający transportowiec odrzutowy przeciętnej wielkości, o kształtach przypominających, jeśli nie identycznych, Boeinga 707, pierwszy odrzutowiec, który zaczął pracować dla wojska prawie trzydzieści lat temu. Dzisiaj odrzutowiec ten został wyparty przez szerokokadłubowce i nowoczesne airbusy, a obok swego brata, Jumbo Jeta 747, wyglądał jak karzeł. Jedynym znakiem szczególnym samolotu, na który patrzył Dawid, był dziwny dodatek sterzący w niebo tuż nad ogonem - olbrzymi, horyzontalnie umocowany dysk na dwóch krucho wyglądających podpórkach, przez co maszyna wyglądała niezgrabnie, jakby była garbata. Szybko zrozumiał, że musi to być radar, mieszczący szeroką, wirującą antenę obserwującą niebo we wszystkich kierunkach w poszukiwaniu wrogich samolotów.

Wchodząc po schodkach zauważył inne odstępstwo od Boeinga 707; w bocznych ścianach maszyny nie było ani okien, ani iluminatorów. Powód stał się dla Dawida jasny, kiedy wszedł za bratem do środka. Dla ludzi, którzy wymyślili AWACS-a, ciemność była środowiskiem naturalnym.

W nikłym świetle kabiny wielobarwne symbole na dużych ekranach migotały jak klejnoty w onyksowej oprawie. Pełne tablic rozdzielczych, klawiatur, niezliczonych przełączników, pokręteł i monitorów pomocniczych, rzędy konsol zdawały się ciągnąć aż do ogona samolotu. Przy każdej z nich, w wyciszonej kabince siedział przygarbiony operator w mundurze, ze słuchawkami na uszach i przyłączonym mikrofonem. Ich skupione miny, oczy przykute do wędrujących wielobarwnych plam przypominały nastolatków rywalizujących w salonie gier.

Przekrzykując równomierne brzęczenie prądnicy i sporadyczne trajkotanie operatorów, Richy usiłował wyjaśnić bratu, co się dzieje.

- Saudyjscy kandydaci na kontrolerów trenują na symulatorze przechwycenia. Kiedy ten samolot nie lata, prowadzimy w nim szkolenia.

Wskazał na pulsujący czerwony symbol na najbliższym monitorze.

- To jest wróg. Niebieski trójkąt to saudyjski myśliwiec, naprowadzany głosem kontrolera. Jego zadaniem jest naprowadzić samolot przechwytyjący tak, by zbliżył się na sprzyjającym kursie do wroga, zidentyfikował go i zlikwidował.

Dawid patrzył zafascynowany, jak na wielkim ekranie zbliżają się do siebie czerwone i niebieskie symbole. Nagle, w miejscu gdzie znajdował się symbol wrogiego samolotu, błysnęło jasnożółte światło. Powiększało się przez kilka sekund, po czym zgasło. Czerwony symbol zniknął zupełnie.

Saudyjski operator odwrócił się i uśmiechnął się do braci, niezmiernie zadowolony z siebie.

- *Ka-blui!* - wykrzyknął.

- *Ka-blui!* - zawtórował Richy, kiwając entuzjastycznie głową i klepiąc kontrolera po plecach.

- *Ka-blui?* - uśmiechnął się Dawid. - A cóż to za arabskie słowo?

Richy wybuchnął śmiechem.

- W nagrodę za pomyślne przechwycenie wroga, na ekranie kontrolera pojawia się symulowany żółty błysk. Uczniowie to uwielbiają. Brakowało jednak odpowiedniego efektu dźwiękowego. „*Ka-blui!*” było moim pomysłem. Chyba się przyjęło.

Ujął brata za łokieć i zaprowadził na przód samolotu, gdzie było nieco ciszej. Dawid obejrzał się na saudyjskiego ucznia, znowu pochłoniętego przez konsolę, nie widzącego otoczenia.

- Są jak mali chłopcy grający w gry komputerowe.

- Nie daj się zwieść ich chłopięcemu entuzjazmowi. - W głosie Richy'ego zabrzmiały poważniejsze tony. - Kiedy startują i znajdują się w prawdziwych warunkach bojowych, dorastają bardzo szybko. Natychmiast pojmują, że gra, w którą grają, może się stać śmiertelna. Gdyby na tych monitorach pojawiło

się nagle pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt wrogich samolotów, życie ich kraju - oraz ich własne - mogłoby zależeć od ich umiejętności w naprowadzaniu licznych samolotów przechwytyjących.

- Czy to możliwe? To znaczy, kto niby miałby ich zaatakować - Rosjanie?

- Obecnie bardziej się martwią Iranem i tym stukniętym ajatollahem. Dlatego system AWACS koncentruje się na obserwacji północnej części Zatoki Perskiej. Ale nigdy nic nie wiadomo. Trzeba być gotowym na wszystko, na nieprzewidziane.

- Na przykład co? - nalegał Dawid.

Richy wyprowadził brata przez drzwi na główny korytarz, skąd weszli do małego pomieszczenia z wyspą ekranów i tablic rozdzielczych pośrodku.

- Na przykład co? Sam widziałeś, jak petrodolary odmieniły Rijad. Nawet przy przesycie ropą naftową, te dolary wyciekają z ziemi z ogromną prędkością. Pokusa, by podłączyć się pod ten strumień wielu milionów dolarów, może okazać się nieodparta. Kraje przeżywające kłopoty finansowe albo energetyczne, jeśli ich sytuacja stanie się naprawdę rozpaczliwa, mogą się skusić. Nawet Izrael.

- Och, daj spokój, Rich! Izrael?

- Nie drwij. Ktoś musi o tym myśleć. Niecały miesiąc temu nasze trasy zwiadowcze zostały zmienione i teraz obejmują północną część Pustyni Arabskiej. Któż inny mógłby atakować z tamtej strony?

Dawid się zamyślił. To nie miało sensu. Każde zakłócenie strumienia arabskiej ropy spowodowałoby wzrost jej ceny i doprowadziłoby do szoku w całej gospodarce zachodniej. Dowiodło tego, bardziej niż skutecznie, embargo na ropę wprowadzone przez króla Faisala w roku 1973. Izrael nic by nie zyskał; znalazłby się w takich samych tarapatkach finansowych jak amerykańscy przyjaciele i inne kraje uzależnione od gospodarki Stanów Zjednoczonych. Podzielił się spostrzeżeniami z młodszym bratem.

Richy zgodził się co do ekonomicznego wpływu na kraje zachodu.

- Teraz rozumiesz, po co tu jesteśmy. Wuj Sam nie może pozwolić, żeby to się stało.

- Nadal nie rozumiem, jak kilka waszych radarów może temu zapobiec. Gdyby kraj, taki jak Iran, zaatakował całą siłą zaopatrywanego przez Stany lotnictwa albo gdyby Związek Radziecki postanowił...

- Pokażę ci, jak. - Richy polecił Dawidowi usiąść w fotelu obrotowym przymocowanym do podłogi przed tablicą rozdzielczą. - To jest moje biuro lotów, moja wieża kontrolna. Mam tu swój własny odrębny komputer, który kieruje radarem i komunikuje się z dużym urządzeniem IBM zawiadującym resztą podsystemów AWACS-a.

Pstryknął guzik na tablicy rozdzielczej i natychmiast po ekranie zaczął w prawo krążyć zielony promień.

- Na górze, w rotodomie, obraca się antena - wyjaśnił Richy, wskazując na wirującą zieloną linię. - Jednak przekaźnik jest wyłączony. Mamy taką moc, że gdybyśmy uruchomili przekaźnik na ziemi, ugotowalibyśmy wszystko, co się rusza w promieniu kilkuset metrów od samolotu, dokładnie tak jak w kuchence mikrofalowej. Dlatego mamy blokady, które zapobiegają temu, kiedy znajdujemy się na ziemi. Kiedy jednak jesteśmy w powietrzu, na wysokości dziesięciu czy trzynastu tysięcy metrów, ta fenomenalna moc transmisyjna pozwala nam obserwować teren po sam horyzont. Za każdym razem, kiedy ta zielona linia wykonała pełny obrót, dokonaliśmy obserwacji ponad pięciuset tysięcy kilometrów kwadratowych, obszaru większego niż cały Teksas. Każdy pojazd zbudowany przez człowieka, poruszający się na tym obszarze - bombowiec typu Niedźwiedź na dużej wysokości albo MiG skradający się nisko, nawet czołg czy transporter opancerzony jadący po ziemi - pojawi się na tym ekranie, a na konsolach kontrolerów zostanie zakodowany odpowiednim kolorem jako wróg lub swój. Oto klucz całej sprawy, bracie. Wczesne ostrzeżenie, żeby unikać niespodzianek. Siedzisz wysoko, z widokiem na cały teatr działań, i wiesz dokładnie, co się dzieje.

Dawid zaczynał pojmować całość. Wiedział, że podczas działań wojennych widzenie miało znaczenie decydujące. Śledzenie położenia wroga, rozkładu jego sił, kierunek i szybkość, z jakimi się poruszał. AWACS umożliwił dowódcy spojrzenie z lotu ptaka na pole bitwy, widok nie zakłócony

chmurami, mgłą ani nawet wszechobecnym dymem. Kodowanie za pomocą kolorów pozwalało odróżnić wroga od przyjaciela. Z taką widocznością Napoleon bez wątpienia zwyciężyłby pod Waterloo. Albo, żeby podać przykład bardziej współczesny, podczas Wojny Sześciodniowej Egipcjanie spostrzegliby zbliżających się Izraelczyków, uratowaliby sprzęt, niszczone masowo przez izraelskie bombowce, i, co prawdopodobne, przechyliliby szalę zwycięstwa na swoją stronę.

Teraz rozumiał gwałtowność, z jaką rząd Begina protestował przeciwko przekazaniu systemu AWACS Saudyjczykom. Był to ogromny krok naprzód w sztuce wojennej, prawdziwy przełom. Jednak Dawid miał jeszcze jedno zastrzeżenie.

- Czy przez to wasza platforma AWACS-a nie staje się głównym celem? Nie macie na pokładzie żadnej broni. Jak zamierzacie przeżyć jeden z takich ataków?

- Dobre pytanie. - Richy usiadł na blacie i wyłączył radar; cienka zielona linia zatrzymała się, a potem zgasła.

- Oto, jak wygląda plan. Możemy wykryć zbliżające się siły z odległości kilkuset kilometrów. Ostrzegamy najbliższą bazę lotniczą, nakierowujemy naszych ludzi na napastników, jednocześnie się wycofując. Nie jesteśmy jednak wystarczająco szybcy, żeby uciec przed wrogimi myśliwcami, toteż całą nadzieję pokładamy w saudyjskich samolotach przechwytyjących. Z tego, co widziałem, są cholernie dobrzy. Dzięki Amerykańskim Siłom Powietrznym piloci są świetnie wyszkoleni i mają dobry sprzęt: F-4, F-5 i F-15.

- Ale czy mają go dosyć? - nalegał Dawid. - Czy zmasowany atak nie przerwałby waszej obrony?

Specjalista od radarów wzruszył ramionami.

- Na szczęście nie będę miał okazji przekonać się o tym. Myślę, że mogą sobie poradzić z Irańczykami za pomocą myśliwców, którymi już dysponują. W razie znacznie większego zagrożenia będą oczywiście potrzebowali naszej pomocy. W tym miejscu ma się włączyć Siła Szybkiego Reagowania. Musiałeś o niej słyszeć.

Słyszał. Program Departamentu Obrony opracowany za administracji Reagana, w znacznej mierze otoczony ścisłą tajemnicą, włącznie z położeniem baz. Nie było jednak tajemnicą, że pracowano nad nowym typem transportowca, pozwalającego na szybką i skuteczną interwencję w punktach zapalnych, gdzie zagrożone byłyby interesy Stanów Zjednoczonych. Niespokojny i nieprzewidywalny Bliski Wschód wymieniano często jako możliwe miejsce takiej interwencji. Miejsce, gdzie, po słabym albo żadnym ostrzeżeniu, wszystko może się zdarzyć.

- Rich, bez względu na to, jak szybko SSR może się pojawić, nie widzę, jak mogliby zdążyć na czas. Wasz biedny AWACS przeciwko hordzie wrogich myśliwców. Jak długo jeszcze musisz latać w tej cholernej rzeczy?

W głosie Dawida zabrzmiała taka troska, że Richy spojrzął na brata ze zdziwieniem.

- Coś podobnego, duży bracie! Myślę, że naprawdę się o mnie boisz! Bez obaw. Nie widzę na horyzoncie żadnych chmur wojennych, a ty? Poza tym jeszcze tylko tydzień lotów i kończymy robotę. Potem jeszcze tydzień albo dwa na ziemi, dla sporządzenia dokumentacji.

- Jeszcze tylko tydzień lotów? To dobra nowina. - Dawid odczuł ulgę. - Co się jednak tyczy tych chmur wojennych, Rich: przy tym rodzaju wojen, jakie się tu prowadzi, kiedy zobaczysz chmury, będzie już za późno.

5.

Pora kolacji w Rijadzie wypadła późno. Nie tak późno jak w Hiszpanii, gdzie główne danie, przypominał sobie Dawid, mogło się pojawić nawet około północy. Jednak na tyle późno, że jego żołądek, nie wzmocniony dawką wermutu z dżinem, zaczął niecierpliwie zrzędzić.

Bracia siedzieli na wygodnej niskiej kanapie, oparci o duże, nadmiernie wypchane poduszki. Pili drugą szklankę herbaty z miętą o temperaturze ukropu, *de rigueur* restauracji w stylu marokańskim, był to jednak zbyt słaby substytut wytrawnego martini czy lampki dobrze schłodzonego szampana. Mimo to Dawid musiał przyznać, że Tanger sprostął rekomendacjom Richy'ego: wykwintne dywany i gobeliny, drogie meble subtelnie oświetlone ciepłym złotym blaskiem lamp. Niezwykle kojące wnętrza, sprzyjające relaksowi i cichej rozmowie; przytłumione orientalne dźwięki instrumentów strunowych w sam raz zagłuszały gwar rozmów przy sąsiednich stolikach. Jednak młodszemu bratu daleko było do rozluźnienia. Odzywał się sporadycznie, raz po raz zerkając w kierunku wejścia. Roxana, z którą mieli się tu spotkać, jeszcze się nie pojawiła.

Dawid zamknął na chwilę oczy i pozwolił myślom odpłynąć. Czar egzotycznej muzyki wywołał w jego umyśle obraz zgrabnej tancerki brzucha, z twarzą zakrytą welonem, której pełne ciało kołysało się w rytm orientalnej muzyki. Znał to ciało; wiedział, że pod welonem kryje się twarz Daniela. Obraz rozpułynał się i Dawid wrócił do rzeczywistości. Tu, w purytańskim Rijadzie, nie będzie żadnych tancerek brzucha. Tego rodzaju publiczne obnażanie kobiecego ciała było surowo zakazane, nawet w tradycyjnym tańcu, który w innych krajach muzułmańskich cieszył się wielką popularnością.

Poczuł, że Richy go trąca, więc otworzył oczy. W drzwiach wejściowych stanęła kobieta w czerni, z twarzą i ramionami owiniętymi ciężkim czarnym zawojem. Zauważyła ich, podniosła rękę i ruszyła w ich stronę, powoli odwijając zawój.

Dawida opanowało niewytłumaczalne przecucie, że, tak jak w dopiero co skończonym śnie na jawie, ujrzy Danielę. Jednak spod zawoju wyłoniła się inna twarz, o pełnych, uszminekowanych ustach i oczach iskrzących się energią i witalnością. Zawój odwijał się nadal, odstaniając nagie, gładkie jak kość słoniowa ramiona i szyję obnażoną znacznie bardziej, niż pozwalały zasady saudyjskiej przyzwoitości.

Roxana złożyła zawój i położyła go obok torebki na kanapie stojącej naprzeciwko braci.

- Zawój to niewygoda, ale przynajmniej pozwala uniknąć spojrzeń na ulicy albo aresztowania za nieprzyzwoite obnażanie się. - Jej migoczące oczy spoczęły przez chwilę na Dawidzie, który nieco za późno wstał z kanapy, a potem przesunęły się na Richy'ego, stojącego za nim.

- Czy nie przedstawiś mnie?

- Och... oczywiście. - Richy z trudem odzyskał głos. Przywykł do tej Roxany z baraku i samolotu E-3A, nie uszminekowanej, w dżinsach i chusteczce na głowie, Roxy przygotowanej do lotu. Teraz miał przed sobą inną: seksowną, zwalającą z nóg kobietę, której nigdy dotąd nie widział.

- Panno Roxano Razmari, niech mi będzie wolno przedstawić mego brata, Dawida. Dawidzie, to jest Roxana.

- Panno Razmari, jestem zachwycony. - Dawid ujął wyciągniętą dłoń i został nagrodzony silnym uściskiem. Kiedy siadała na kanapie naprzeciwko; jej umalowane, piwnozielone oczy odwzajemniły jego spojrzenie.

- Sądziłam, że Amerykanie zawsze używają imion. Ludzie z ekipy nazywają mnie Roxy, ale wolę Roxana. Nie jest to wprawdzie moje prawdziwe irańskie imię, ale prawie. Czy wypada zwracać się do wysłannika po imieniu?

- Proszę. - Zabójczy uśmiech Dawida błysnął ciepłym zaproszeniem. - Ale, jeśli wybaczy mi pani uwagę, mówi pani raczej jak Amerykanka niż Iranka.

- Och, to wpływ studiów na politechnice kalifornijskiej - wyjaśniła pośpiesznie. - Myślę, że sporo Kalifornii weszło mi w krew. W każdym razie lepiej uchodzić za Amerykankę - dodała. - Irańczycy nie cieszą się obecnie zbyt wielką popularnością w Arabii.

- Właśnie mnie to zastanawiało - stwierdził Dawid. - Jak to się stało, że tutejszy rząd zgodził się, by brała pani udział w tak tajnym przedsięwzięciu?

Zdawało mu się, że jej oczy błysnęły czujnością. Jeśli jednak tak było, trwało tylko chwilę; znowu patrzyła przyjaźnie.

- Saudyjczycy bardzo potrzebują wyszkolonych kadr, zwłaszcza w dziedzinie komputerów. Mówię płynnie po arabsku. Poza tym w Iranie byłam ostatni raz wiele lat temu, jeszcze przed powrotem ajatollaha. Żyję na wygnaniu, podobnie jak wielu uchodźców irańskich w waszym kraju.

Richy z uwagą przysłuchiwał się rozmowie, z oczami lśniącymi zadowolaniem, odczuwanym wtedy, kiedy dwoje najbliższych ci ludzi spotyka się po raz pierwszy i natychmiast przypada sobie do gustu.

- Roxana jest rewelacyjną programistką - powiedział z entuzjazmem. - Uczy się fantastycznie szybko. Za parę tygodni będzie wiedziała wszystko to, co ja.

Roxana zaśmiała się z zażenowaniem, kręcąc energicznie głową.

- Nigdy nie będę wiedziała tyle o radarze AWACS. Nikt tyle nie będzie wiedział. - Zwróciła się do Dawida. - Twój brat jest światowym autorytetem. Z przerażeniem myślę o dniu, kiedy go tu zabraknie i nie będzie mógł odpowiadać na moje pytania.

- Jestem w stanie w to uwierzyć - przyznał Dawid. - Richard wprowadził mnie dzisiaj po samolocie. Robi wrażenie. Ilość wiedzy do opanowania musi być nieskończona.

- To prawda, ale na szczęście mam najlepszego nauczyciela. - Uśmiechnęła się z wdzięcznością do Richy'ego. - Chciałabym jednak usłyszeć o twojej pracy, Dawidzie. To fascynujące spotkać wysokiego amerykańskiego dyplomatę. Strasznie chciałabym się dowiedzieć, jak przyjęto w Jerozolimie wysłannika, który nie jest Żydem? Jeśli mogę cię oczywiście o to spytać.

- Dziękuję, jak dotąd bardzo dobrze. - Pytanie zaskoczyło Dawida. Bezpośrednie maleństwo, nie ma co. - Nie czułem, żeby mnie wykluczano czy dyskryminowano, jeśli o to pani pyta. Minister spraw zagranicznych zapewnił, że jego drzwi zawsze będą przede mną otwarte.

- Minister spraw zagranicznych, to Szymon Kedar, prawda? Opowiedz mi o nim.

Poza tym dobrze poinformowane maleństwo.

- Szymon Kedar jest drobnym mężczyzną o silnej osobowości i wielkiej inteligencji. Czy Izrael szczególnie panią interesuje, panno Razmari?

- Roxano - przypomniała mu słodko. - Interesuję się wszystkim, co się tam dzieje; ma to taki wpływ na resztę Bliskiego Wschodu. Tu w Rijadzie jesteśmy całkowicie odcięci od informacji. W Ameryce zostałam rozpieszczona; mogliśmy o tym czytać, oglądać w telewizji. Podczas wojny w Libanie byłam w Kalifornii. Wiadomości o niej były rzetelne. Człowiek miał niemal wrażenie, że tam jest.

Wydawało się, że słowa się z niej wylewają; zdania zachodziły na siebie. Zaczerpnęła tchu.

- Czy czekają nas dalsze niespodzianki w rodzaju inwazji na Liban?

- Nic mi o tym nie wiadomo. - Czemu miał wrażenie, że toczy z nią pojedynkę? - Oczywiście nie otrzymuję bezpośrednich informacji od izraelskiego rządu czy ministra obrony. Może się zdarzyć, że dowiem się jako ostatni.

- Och, Dawidzie. - Wciąż ten afektowany uśmiech. - Jestem pewna, że jesteś zbyt skromny. Ambasady mają sposoby na dowiadywanie się takich rzeczy, prawda? Na przykład w Teheranie, wszyscy ci agenci CIA w ambasadzie amerykańskiej. To było powszechnie wiadome.

Diabelna mała...! Czyżby podejrzewała go o bycie agentem? Nie, to śmieszne. Przystań się jeżyć! Odwzajemnił jej uśmiech.

- Moja droga Roxano, mogę cię zapewnić, że nie mamy w zwyczaju szpiegować własnych przyjaciół. - Wykręt wydał się Dawidowi pusty i nieprzekonywający; w wyobraźni ujrzał twarz Abernathy'ego.

Ku zadowoleniu wszystkich pojawił się kelner z parującą miedzianą miśką. Jak nakazywał obyczaj, ręczniki wręczono najpierw mężczyznom. Richy

zauważył lekki grymas, jaki to lekceważenie wywołało na twarzy Roxany.

- Duch rycerski musiał tu umrzeć - zauważył.

- Ha! - wybuchnęła Roxana. - jeszcze się tu nie narodził, podobnie jak w większości krajów arabskich. To przynajmniej jedna rzecz, jaką szach zrobił dla Iranu, a raczej pani szach.

Z determinacją wróciła do wcześniejszego tematu rozmowy, patrząc na Dawida z żartobliwym uśmiechem.

- A więc nie szpiegujecie własnych przyjaciół: to bardzo chwalebne. Ale czy w dzisiejszych czasach łatwo stwierdzić, kto jest przyjacielem?

Dawid mimo woli wybuchnął śmiechem.

- *Touche*, Roxano. Przyszaję, że nie jestem wtajemniczony w działania CIA ani w to, kogo obecnie uważają za wrogów, a kogo za przyjaciół. Mamy bardzo prosty układ: ja ich zostawiam w spokoju, a oni mnie.

Oplukał i wytarł dłonie, po czym przyjął od kelnera menu, z nadzieją, że temat został zamknięty. Menu było po arabsku. Roxana tłumaczyła im pozycję po pozycji, a Richy dzielił się z nimi uwagami o potrawach, które jadł już poprzednim razem.

Dawid słuchał jednym uchem, obserwując uroczą zamerykanizowaną Irankę o rozbrajająco bezpośrednim sposobie bycia i szybkim, dociekliwym umyśle. Czy jej pytania miały charakter przypadkowy, czy też zadawała je w konkretnym celu? Dawid zastanawiał się, jak daleko posunęły się sprawy między nią a Richym. Z tego, co wiedział, młodszy brat miał niewielkie doświadczenie z kobietami. A ta, chyba się nie mylił, z niejednego pieca chleb jadła. Obawiał się, że młodszy brat mógł odrobinę za bardzo stracić głowę.

Kolacja w Tangerze okazała się równie smaczna jak interesująca. Ich kelner, Ahmed, był urodzonym kłownem. Każdą podawaną potrawę okraszał historyjką, którą Roxana ze śmiechem tłumaczyła z arabskiego. Sztuczków było niewiele, ponieważ, jak zauważył Ahmad, Allah zaopatrzył człowieka w idealne przybory do jedzenia - palce. Należy jednak używać wyłącznie prawej dłoni, ponieważ lewa ma „inne przeznaczenie”, które ją czyni nieczystą. Pantomima kelnera sprawiła, że śmiali się do rozpuku,

pozostawiła bowiem niewiele wątpliwości co do „innego przeznaczenia” lewej dłoni.

Po zupie, sałatce oraz kus-kus, pojawiło się pieczone jagnię w cieście, nieco tłuste, ale soczyste. Dawid zauważył, że Roxanie dopisywał apetyt; bez skrępowania posługiwała się palcami. Jego żołądek, jeszcze niedawno wygłodzony, teraz niemal pękał. Trudno było znaleźć czyste miejsce na wilgotnym ręczniku Dawida; każdy z gości miał dla siebie taką serwetkę, którą czyścił „przybory do jedzenia” w przerwach między daniami.

Dawid nie ukrywał ulgi, kiedy Ahmed postawił przed nimi ostatnie danie, misę świeżych owoców i orzechów, po czym zabrał się do nalewania gęstej arabskiej kawy.

- Każde z was musi beknąć przynajmniej raz - powiadomił ich przez chichoczącą tłumaczkę. - W przeciwnym razie nasz kuchmistrz będzie śmiertelnie obrażony.

Kiedy nie udało im się wydać nawet jednego przyzwoitego beknięcia, Ahmed udał szczere oburzenie.

- Niech Allah ma w opiece wasze dusze. - Odwrócił się na pięcie i odszedł, trzęsąc głową.

- Zostawił nas sam na sam z deserem - stwierdził Richy. Jego towarzysze jęknęli cicho, a Roxana znalazła w sobie dość sił, by cisnąć w Richy'ego jedną z poduszek. Ta odbiła się od jego głowy i potoczyła na podłogę, zatrzymując przy sąsiednim stoliku.

Dawid, który siedział twarzą w tamtą stronę, już wcześniej zwrócił uwagę na siedzących tam dwóch mężczyzn, jedzących, w odróżnieniu od swoich rozbawionych sąsiadów, w ciszy. Kiedy trójka przebrała nieco miarkę w wesołości, Dawid zauważył wzniesione brwi mężczyzny siedzącego naprzeciwko, ale drugi, którego widział tylko od tyłu, nie zadawał sobie nawet trudu, żeby się im przyjrzeć.

Teraz odwrócił się po raz pierwszy, ukazując twarz tak wychudzoną, że skórą tak napiętą na łysej czaszce i czole, że skojarzenie z maską śmierci narzucało się samo. Podbite, zapadłe oczy potęgowały ten efekt, a kiedy ich właściciel się uśmiechnął - dziwacznie wymuszony grymas odsłaniający dwa rzędy pożółkłych zębów - złudzenie stało się całkowite.

Powoli i rozważnie niezgrabny szkielet, do którego przymocowana była czaszka, rozłożył się i wstał, dyndającą ręką podnosząc poduszkę z podłogi, jak olbrzymia modliszka sięgająca po niczego nie podejrzewający obiad. Jednym krokiem znalazł się przy ich stoliku, gdzie zwrócił się do starszego z braci Llewellyn.

- Sądzę, że pańska uroczą towarzyszką zgubiła poduszkę. Niech będzie mi wolno ją zwrócić i przedstawić się.

Dawid zamrugał i zaniemówił na chwilę, zaskoczony dźwięcznym, modulowanym głosem wymizerowanego chudzielca. Głosem zdradzającym angielskie szlacheckie pochodzenie.

- Jestem Sir Roger Tawkesbury-Cream. - Groteskowy uśmiech nadal utrzymywał się na twarzy, jakby zastygł na zapadłych wargach. - A pan musi być ambasadorem Llewellynem. To rzadki przywilej, móc pana poznać, sir, naprawdę rzadki przywilej.

Wyciągnął długą, kościstą rękę, którą Dawid przyjął ostrożnie, oczekując chłodnego dotyku bezcielesnych palców, a nie stalowego uchwytu, który kazał mu się skrzywić.

- Skąd pan mnie zna? - spytał podejrzliwie, pewien, że nigdy wcześniej nie widział tego człowieka. Takiej twarzy się nie zapomina.

- Ach, tak, przydałoby się małe wyjaśnienie. - Anglik spojrział wymownie na wolne miejsce na kanapie Roxany. - Czy mógłbym się dosiąść na chwilę?

Nie czekając na odpowiedź, niezdarny szkielet przełożył poduszkę i opadł na kanapę; Roxana usunęła się w ostatnim momencie. Dawid dokończył w myślach szybkiej oceny. Zachowanie przybysza o nieziemskim wyglądzie było nieomylnie arystokratyczne. Jeśli się nie mylił, modny mohеровy garnitur wiszący na Angliku jak na strachu na wróble, był dziełem krawców z Savile Row.

Roxana skuliła się wyraźnie, spoglądając bezradnie na Richy'ego, którego twarz wyrażała lekkie rozbawienie. Wyciągnął rękę.

- Jestem bratem wysłannika. Pracuję tu, w Rijadzie.

- Oczywiście. Ekspert od AWACS-a. - Szkielet uściśnił serdecznie dłoń Richy'ego. - A piękna dama z Iranu musi, jak sądzą, należeć do grupy pańskich współpracowników.

Całą moc swej osobowości skierował na Roxanę.

- Cieszę się niezmiernie, że panią poznałem, moja droga. Mam na imię Roger. Dla niektórych Wesoly Roger. - Mroźny uśmiech stał się jeszcze szerszy.

Roxana stłumiła dreszcz i nie zdobyła się na uściśnięcie wyciągniętej do niej odrażającej dłoni. Pod stołem odszukała rękę Richy'ego, a jej wesoly nastrój wyraźnie uleciał. Była przerażona faktem, że ten niesamowity obcy ją zna, że wie coś o niej. Co mieli wspólnego? Czego chciał?

Umysł Dawida zaprzętały podobne pytania. Wstęp trwał już dostatecznie długo.

- Wygląda na to, że wie pan o nas niemało, zważywszy że nikt z nas nigdy pana wcześniej nie widział. Kim pan jest, panie Cream, i co tu pana sprowadza?

- Tawkesbury-Cream - poprawił Dawida Anglik. - Wie pan, jaką wagę my, Anglicy, przywiązujemy do podwójnych nazwisk. Ale proszę mnie nazywać Sir Roger. To brzmi znacznie przyjaźniej.

Usadowił się na wygodnej kanapie i przywołał kelnera.

- Czy ktoś ma ochotę towarzyszyć mi przy herbatce?

Cierpliwość Dawida była już na wyczerpaniu.

- Myślę, że wolelibyśmy raczej usłyszeć, co ma pan nam do powiedzenia. - A potem się pana pozbyć, dodał w myślach.

Sir Roger westchnął.

- Widzę, że jest pan człowiekiem, który lubi natychmiast przechodzić do sedna sprawy. W takim razie, niech będzie mi wolno zrobić to samo. Dowiedziawszy się od naszego wspólnego znajomego w Jerozolimie, że przylatuje pan do Rijadu odwiedzić brata, przez całe popołudnie próbowałem się z panem skontaktować.

- Jakiego wspólnego znajomego? - nalegał Dawid. - Tylko ambasador wiedział...

- Ktoś inny z pańskiej ambasady - odparł Anglik. - Jeden z naszych informatorów, nieważne kto.

- Dla mnie to jest istotne. Nie lubię przecieków. - W oczach wysłannika błysnęła wzmożona wrogość. Co Sir Roger rozumiał pod określeniem „nasz informator”? Czyżby to była jakaś pułapka szpiegowska? Czy Abernathy

dowiedział się o jego podróży i zawiadomił jednego ze starych brytyjskich kumpli?

- Ach, to kwestia czysto dyplomatyczna - pośpiesznie zapewnił szkielet, dostrzegając zmianę w wyrazie twarzy rozmówcy. - Widzi pan, sir, reprezentuję ważnego członka tutejszej rodziny królewskiej, znanej jako Dom Sauda. Dowiedziawszy się, że pańska wizyta tutaj jest nieoficjalna, mój klient bardzo pragnie się z panem spotkać. Nieczęsto amerykański wysłannik do Izraela trafia w nasze strony - dodał chytrze.

- Spotkać? - Zmarszczki na czole Dawida pogłębiły się. - W jakim celu? Muszę wracać. Mam samolot wcześniej rano.

- Tak, tak, wiem. Ale, ostatecznie, sir, chodzi o rodzinę królewską. Mój klient ma wolny czas dziś wieczorem. W istocie, w tej właśnie chwili oczekuje pańskiej odpowiedzi.

Wzmianka o rodzinie królewskiej nie wywarła na Dawidzie szczególnego wrażenia. Jak słyszał, kilka tysięcy Saudyjczyków utrzymywało, że należą do królewskiego rodu.

- Kim dokładnie jest ten pański klient? - spytał.

Anglik się zawahał.

- Nie chciałbym, żeby ta informacja wydostała się poza grono waszej trójki. - Obsydianowe źrenice zapadniętych oczu skakały od twarzy do twarzy, podkreślając ostrzeżenie. Ściszył głos do konspiracyjnego szeptu.

- Mówimy tu ni mniej, ni więcej tylko o jednym z synów zmarłego króla Faisala.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął kopertę, którą wręczył Dawidowi. Była zaadresowana do „Ambasadora Llewellyna” i nosiła czerwoną woskową pieczęć z wizerunkiem skrzyżowanych mieczów pod palmą. Dawid złamał pieczęć. Krótki list napisano po angielsku; przeczytał go na głos.

Bardzo chciałbym spotkać się z panem podczas pańskiego pobytu w Rijadzie, w kwestii ogromnej wagi dla obu naszych rządów. Podpisano: Książę Turki al Faisal.

Jeśli Dawid nie był pod wrażeniem, jego towarzysze bez wątplenia tak. Roxana pociągnęła Richy'ego za rękaw, nachyliła się nad stołem i szepnęła mu do ucha:

- To dyrektor zagranicznego wywiadu, jeden z najpotężniejszych ludzi w rządzie. Twój brat musi się z nim spotkać.

- To brzmi poważnie, Dawidzie - zgodził się Richy. - Nie wahaj się z naszego powodu.

Dawid także słyszał o księciu Turkim i jego pozycji w rządzie. Zaczął podejrzewać, że wywiad amerykański, będący w dobrej komitywie z saudyjskim, postanowił w coś zamieszać Dawida. Pierwszy impuls powiedział mu, żeby uniknąć spotkania. Ale czy mógł sobie na to pozwolić? Nie zrobił jeszcze nic w celu wykrycia wtyczki w ambasadzie. Powinien zbadać każdy trop. Postanowił zaryzykować i towarzyszyć dziwaczemu posłańcowi księcia Turkiego.

Sir Roger natychmiast posłał swego towarzysza do telefonu, by powiadomił saudyjskiego księcia.

- Spotkanie może się przeciągnąć do późnych godzin nocnych - uprzedził Richy'ego. - Dopilnuję, żeby po jego zakończeniu odwieziono pana brata do hotelu. - Odszedł pośpiesznie, żeby wezwać limuzynę.

- Co za pajac! - stwierdził Richy, odprowadzając Anglika wzrokiem.

- Niezbyt typowy rzecznik - zgodził się Dawid.

- Czemu saudyjski książę miałby zatrudniać kogoś takiego? - zastanawiał się Richy.

- Dobre pytanie. Może spotkanie z księciem Turkim udzieli nam odpowiedzi. - Miał też nadzieję uzyskać kilka innych. Uścisnął ramię brata. - Przepraszam za tę zmianę planów. Może zjemy jutro razem śniadanie?

Odwrócił się do Roxany i uścisnął jej dłoń.

- Przepraszam, że muszę uciekać. Byłaś uroczą towarzyszką kolacji: piękną i dowcipną. Życzę powodzenia w twojej nowej karierze; wiem, że pójdzie ci świetnie. I zaopiekuj się tym dzieciakiem.

- Taki mam zamiar - odparła, ściskając dłoń Dawida.

Rozejrzał się w poszukiwaniu rachunku, ale Richy zdążył go już zabrać. Anglik ponaglał go od drzwi. Dawid wstał.

- A zatem, do jutra; śniadanie w moim hotelu. Mam nadzieję, że nie zepsułem wam planów na resztę wieczoru.

Richy wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Jestem pewien, że coś wymyślimy, prawda, Roxy?

Przytaknęła, odwzajemniając uśmiech, a Dawid zauważył, że w jej oczach znowu błysnęły figlarne iskierki.

Po pierwszym pocałunku Richy wiedział, że wylądują w łóżku i ta świadomość przeszła go jak prąd elektryczny, rozpłomieniając całe jego ciało. Nigdy przedtem nie całowano go w ten sposób, ustami szukającymi jego ust z tłumioną namiętnością, wargami przylegającymi do jego warg, aż do osiągnięcia pełni. Kiedy jej język wyruszył wreszcie na poszukiwanie jego, komunikując niedwuznaczne zaproszenie, wszystko stało się naturalne.

W niezbyt bogatej karierze miłosnej Richarda Llewellyna pocałunki stanowiły niezdarne, niewiele obiecujące wstępy do dalszych rozczarowań. Dość wcześnie zdecydował, że kobiety po prostu nie były jego specjalnością. Podboje miłosne wymagały niezwyklej pewności, śmiałości, która łamie opór. Nie potrafił tego; uznał, że jego wrodzona nieśmiałość stanowi przeszkodę nie do pokonania.

Nie znaczy to, że świat odbierał go jako człowieka nieśmiałego. Jeśli rodzisz się nieśmiały, walczysz o kompensację. Zmuszasz się do otwartości i towarzyskości; wykształcasz skorupę, która zarówno maskuje, jak i chroni twoją nadwrażliwość. Nie, nieśmiałości nie obnosi się przed całym światem; robi się wszystko, żeby ją ukryć. Podobnie jak ukrywasz fakt, że jesteś dziewicą, aż do tego pierwszego, nie dającego zadowolenia razu.

Teraz jednak wszystko było inaczej. Tutaj, na drugim końcu świata, trzymał w ramionach kobietę, będącą wszystkim, o czym kiedykolwiek marzył, zapraszającą go do miłości. Roxana, najbardziej pożądana z kobiet, pulsująca życiem, inteligentna, nieopisanie cudowna - i chciała go! Prawie nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Poczul przyptyw pewności. Z mocą, która go samego zaskoczyła, podniósł Roxanę i zaniósł na swoje łóżko.

- Jesteś bardzo silny. - Jarzące się oczy mówiły mu teraz o pożądaniu, które dorównywało jego pragnieniu. Delikatnym ruchem unióś jej głowę i plecy, odnajdując suwak głęboko wyciętej sukni. Mlecznobiałe piersi

wyskoczyły z wszytego stanika, a Richy, oszołomiony ich pięknem, uklęknął, by pocałować maleńkie pączki różane. Spod półprzymkniętych powiek przyglądała się rozmarzona, jak ostrożnie zdejmował jej suknię, zsuwał pończochy i majteczki. - I bardzo delikatny. W sekundę zrzucił własne ubranie na podłogę.

- I bardzo gotowy - szepnął jej na ucho, kiedy ich nagie ciała zetknęły się po raz pierwszy. Boże, jak bardzo był gotowy! Czekał całe życie.

- Ja także jestem gotowa - szepnęła w odpowiedzi. Więcej się nie odzywali; ich usta były zajęte. Dotyk jej aksamitnie gładkich ud na jego własnych był obezwładniająco prowokujący. Ich młode ciała szczepiły się w jedną, drżącą, pulsującą postać; jego dłonie i usta były wszędzie, odkrywając, pieszcząc. Nie mógł się nią nasycić, ciało bolało z pożądania, chęci pożarcia jej. Pragnął mieć więcej dłoni, dodatkowe usta.

A wtedy włączyły się jej delikatne ręce, dotykając, pieszcząc, wreszcie naprowadzając go nieomylnie; cudowne uczucie, jakie nastąpiło, rozplątało w nim niemożliwy do opanowania ogień. Za krótki lont, pomyślał bezradnie, oddając się rozdzierającej rozkoszy eksplozji. Jednak jej nieskrępowane krzyki spełnienia powiedziały mu, że się mylił.

Lekki dotyk opuszka palca, pocierającego jego usta, przywołał Richy'ego do rzeczywistości. Ocknął się i ujrzał Roxanę siedzącą na brzegu łóżka, ubraną tylko w jego koszulkę z krótkimi rękawami, którą podniosła ze sterty ubrań, pośpiesznie zrzuconych na podłogę. Uśmiechnęła się do niego, a Richy ziewnął i usiadł.

- Myślałem, że się trochę zdrzemniemy.

- Wy, mężczyźni! Potraficie natychmiast zasnąć. Ja jestem zbyt podniecona, żeby spać.

Sutki rysowały się wyraźnie pod białą koszulkę; beżowo-różowe krążki widoczne pod cienkim materiałem.

- Ja też jestem podniecony - odparł, wyciągając do niej ręce.

Pozwoliła mu na długi pocałunek, zanim wyswobodziła się z jego ramion.

- Cały wieczór był tak ekscytujący. Chyba ciągle jeszcze szybuję wysoko nad ziemią. Poznałam twojego brata - co za uroczy człowiek! Kolacja była wspaniała. A potem wyrósł spod ziemi ten ohydny Anglik, Sir Roger Jak Mu Tam. I list od księcia Turkiego. Czy zdajesz sobie sprawę, że właśnie w tej chwili Dawid rozmawia z księciem? Czy nie ciekawi cię, co się dzieje?

Richy przeciągnął się, usiadł na brzegu łóżka obok Roxany, obejmując ją w pasie.

- Oczywiście, że mnie ciekawi, ty mnie ciekawisz. Chcę wiedzieć o tobie wszystko, wszystko, co straciłem, nie znając cię dawniej. Kim była dziewczyna, z której wyrosła tak piękna i bystra kobieta?

Czule pocałował ją w kark. Roxy poklepała go po dłoni.

- Jestem pewna, że bardzo by cię to znudziło. Wolalabym raczej porozmawiać o audyencji twojego brata u księcia. Czy nie domyślasz się, o czym mogą rozmawiać?

Richy wzruszył ramionami.

- To pewnie zwykła formalność, protokół dyplomatyczny czy coś w tym rodzaju.

- Nie sądzę. Najmłodszy syn Faisala nie jest dyplomatą; księżę Turki zajmuje się ochroną kraju przed wrogami. Nie, czuję, że dzieje się coś ważnego. Czy Dawid nie wspominał ci o czymś w związku ze swoją pracą?

- Właściwie nie. On nie jest gadułą, jeśli chodzi o te kwestie. Poza tym, zaproszenie księcia zaskoczyło go nie mniej niż nas. - Spojrzał na Roxy pytająco. - To wszystko naprawdę cię podnieca, co? Skąd wiesz tyle o rządzie saudyjskim?

- Wcale nie wiem, ale bardzo mnie to interesuje. Życie w obcym kraju może być świetną okazją, by poznać go z pierwszej ręki. Ten kraj dopiero wyłania się z wielowiekowego snu. Przemiany ostatniego dziesięciolecia są niewiarygodne. Jesteśmy świadkami historii.

- A ja sądziłem, że jesteś tylko komputerowym kujonem w przebraniu ślicznej pani inżynier - zaśmiał się Richy. - Dzisiejszej nocy odkrywam mnóstwo rzeczy związanych z tobą. - Położył się, pociągając Roxy za sobą. - Odkryjmy jeszcze trochę.

Opierała się, chociaż bez przekonania.

- Richard, zaproś mnie jutro na śniadanie z twoim bratem. Muszę wiedzieć, co się wydarzyło podczas audiencji.

- Zgoda, to uczciwy układ. Ty spędzasz ze mną noc, a ja stawiam ci śniadanie.

- Głuptasie - zachichotała, tuląc się do niego. - Muszę wrócić do swego pokoju. Chcesz, żebym na śniadaniu wystąpiła w sukni wieczorowej? Zdradzilibyśmy się przed Dawidem.

- Dobrze - zgodził się Richy. - Żadnych sukni wieczorowych. Ta koszulka, którą masz na sobie, w zupełności wystarczy.

Dawid Llewellyn zaczął się zastanawiać, co go opętało, że przyjął zaproszenie księcia. Zdawało się, że podróż nigdy się nie skończy. Jak gdyby jazda obok Borisa Karloffa w półmroku nie wystarczyła, limuzyna opuściła względnie oświetlone ulice miasta, skręcając w noc pustyni. Czyżby dał się nabrać i wpadł w pułapkę? List od księcia wyglądał na autentyczny, ale teraz Dawid zaczął podejrzewać, że został podrobiony. Amerykańskich dyplomatów ustawicznie ostrzegano przed groźbą porwania w obcym kraju. Ciekawość i podniecenie możliwością odkrycia wtyczki stępiły jego czujność. Już sam widok limuzyny czekającej na niego przed Tangerem powinien wzbudzić podejrzenia.

Był to Rolls Royce koloru kości słoniowej, identyczny jak ten, który od samego lotniska jechał za ich wynajętym wozem. Dawid utwierdził się w przekonaniu, że oczekiwano go i śledzono od przylotu do Rijadu.

Czyżby został wrobiony? Jeśli tak, kto powiadomił Rijad o jego podróży? Na pewno nie ambasador; Abrams w nie mniejszym stopniu niż Dawid pragnął ukryć fakt, że dyplomata numer dwa w jego ambasadzie odwiedza kraj wrogi Izraelowi. Jediną osobą, wiedzącą zawczasu o jego planach, była Daniela, która później zniknęła. Czy istniał jakiś związek, czy była w to zamieszana? Nie, to absurd. Nawet gdyby przypuścić, że stawiane przez Abernathy'ego zarzuty o współpracy Daniela z Mosadem były słuszne, tym mniej logiczne wydawałyby się jej kontakty z Saudyjczykami.

Abernathy. Podejrzenia stale kierowały się w jego stronę. Był szefem

bezpieczeństwa w ambasadzie; telefon, z którego Dawid robił rezerwację lotniczą, mógł być na podsłuchu. Abernathy mógł się też dowiedzieć o podróży Dawida od szofera i zdążyć powiadomić dawnych kumpli z MI-6, do której to organizacji dziwaczny przewodnik Dawida prawie na pewno należał. Ale w jakim celu? Czego od niego chcieli? Czy miało to związek z tajną misją w Jerozolimie, powierzoną mu przez prezydenta? Czy Abernathy jakimś sposobem się o niej dowiedział? Jeśli to Abernathy był wtyczką, ta nocna przejażdżka mogła mieć na celu usunięcie Dawida. Na zawsze.

Jak gdyby chcąc rozproszyć wszelkie tego rodzaju lęki, jego towarzyszy podróży kontynuował przyjazną pogawędkę.

- Wydaje się, że to długa droga, prawda? Ale to już niedaleko. Księżę Turki, podobnie jak wielu członków rodziny królewskiej, przedkłada spokój pustyni nad zanieczyszczenia i zgiełk miasta. Ludzie zmuszeni mieszkać w mieście odbywają długie pielgrzymki na otwarte piaszczyste przestrzenie, gdzie mogą oddychać świeżym powietrzem, czuć na skórze pustynne wiatry, obcować ze swym koczowniczym dziedzictwem.

- Być zaproszonym do domu księcia to wielki zaszczyt - ciągnął Anglik. - Ja sam byłem tam dotąd tylko raz, choć nasza znajomość trwa już wiele lat. Księżę ceni sobie spokój i większość spraw woli załatwiać w mieście.

- Skąd więc to wyróżnienie? - spytał podejrzliwie Dawid. - Nigdy nie spotkałem tego człowieka. Co za sprawa może być tak nie cierpiąca zwłoki?

- Nie jestem upoważniony do odpowiedzi - odparł głos z oksfordzkim akcentem. - Obawiam się, że dowie się pan tego dopiero podczas audiencji.

Jeśli faktycznie dojdzie do jakiejś audiencji u księcia, pomyślał Dawid, wciąż niespokojny, czując, że włosy jeżą mu się nad kołnierzem. Uzmysłowił sobie, że od przylotu do Rijadu ani przez chwilę nie czuł się swobodnie. Coś w Arabach i w ogóle krajach arabskich przyprawiało go o dreszcze.

Kiedy limuzyna zwolniła i skręciła w wąski podjazd, widok rezydencji oświetlonej reflektorami samochodu bynajmniej nie uspokoił Dawida. Dom w najmniejszym stopniu nie przypominał księżęcej siedziby: mały, słabo

oświetlony bungalow. Światła samochodu omiotły najbliższe otoczenie. Ani śladu sąsiadów, żadnych domów ani zabudowań. Nic, tylko wydmy. Idealne miejsce na porwanie.

Szofer obszedł wóz i otworzył drzwiczki.

- Chodźmy - powiedział zachęcająco Sir Roger wysiadając pierwszy. - Przedstawię pana księciu. Przekona się pan, że jest wytworny i układny. To najbardziej wykształcony członek rodziny królewskiej. Edukowany w pańskim kraju: tytuły dwóch uniwersytetów amerykańskich i jednego brytyjskiego.

Dawid wysiadł na asfaltowy podjazd. Z wnętrza domku nadal nie dochodziły żadne oznaki życia. Ruszyli chodnikiem otoczonym białym zwierem pokrywającym całą powierzchnię frontowego podwórza - biały kamienny trawnik zamiast zielonej trawy. Jedynymi roślinami były kaktusy rozmaitych odmian. Miejsce to cierpiało najwyraźniej na niedostatek wody.

Nie było dzwonka. Sir Roger energicznie zapukał w ciężkie drzwi, które otworzyły się prawie natychmiast. Przygotowany niemal na wszystko, Dawid poczuł zaskoczenie. Zamiast ochroniarza czy służącego, w progu stał sam książę w skarpetkach. Dawid poznał go natychmiast po charakterystycznym orlim nosie Faisalów. Poza tym jednak nie było dużego podobieństwa między sławnym ojcem a jego najmłodszym synem, którego okulary z grubymi szklami nad zmierzwioną zaniedbaną brodą upodabniały księcia raczej do sowy niż orła. Średniego wzrostu, wyglądający nieco bardziej krucho niż krzepcy członkowie rodu al Saud, miał na sobie wyszywaną złotem czarną *thobe*, a na głowie tradycyjną saudyjską *kafiję* w biało-czerwoną szachownicę.

- O, pan Llewellyn. Cieszę się, że przyjął pan moje zaproszenie mimo tak niewygodnej pory i tak niewielkiego wyprzedzenia. - Serdecznie uściśniętą dłoń Dawida. - Właśnie posłałem mojego służącego spać, ale zdążył przygotować nam kawę. Czy przyłączy się pan? - Uściśniętą dłoń Sir Rogera. - I pan także, drogi przyjacielu. Witajcie w moim domu.

Anglik skłonił się głęboko.

- Jestem zaszczycony, Wasza Wysokość. - Trącił Dawida, który domyślił się, że ma postąpić podobnie. Jednak kłanianie się nie leżało w jego zwyczaju.

- To bardzo uprzejme, że Wasza Wysokość przyjmuje mnie o tak późnej porze. - Na tyle się zdobył. - W czym mógłbym się okazać pomocny?

- Och, wy Amerykanie. Tacy bezpośredni. Bez owijania w bawełnę. Brakuje mi tego. - Książę wskazał im wygodne krzesła i sofy stojące wokół niskiego stołu, na którym parował złoto-srebrny dzban do kawy. Kiedy usiedli, książę zaczął nalewać.

- Tęsknię do wielu rzeczy w Ameryce. A także w Anglii. Rzeczy, których nauczyłem się podczas pobytu w tych krajach. Gdybyśmy tam teraz byli, oprócz kawy poczęstowałbym was alkoholem, ale tu, w Rijadzie, musimy świecić przykładem. Dom Sauda ponosi odpowiedzialność za wypełnianie przykazań islamu, za wierność naukom Proroka. Jeśli my sami nie będziemy ich przestrzegać, jak możemy oczekiwać tego od naszego narodu? Widzicie, to nie czarne bogactwa ukryte pod piaskiem, to nasz naród jest prawdziwym skarbem Arabii Saudyjskiej, prawdziwą ostoją naszej panującej rodziny. - Podał gościom kawę i westchnął. - Bardzo się staramy, żeby nie stracić kontaktu z narodem. Czasem wymaga to wielkiej cierpliwości; ludzie tak powoli akceptują konieczne zmiany. Protestują przeciwko reformom, na przykład przeciwko edukacji kobiet. Znaczną część czasu poświęcamy na spotkania z ludem, na wysłuchiwanie żalów, żądań i skarg.

- *Majlis* - podsunął Sir Roger.

- Tak, przyjacielu, *majlis*. Otwarty sąd, który obraduje każdego ranka, z wyjątkiem szabasu - wyjaśnił Dawidowi - pod przewodnictwem samego króla. Każdy obywatel może złożyć zażalenie czy przedstawić wniosek; to część tradycji. Jesteśmy jej wierni nawet dzisiaj, w erze komputerów. Niekiedy sam się zastanawiam, jak mój wuj jest w stanie znajdować czas.

Dawid oparł się na krzesło, usiłując nadać twarzy wyraz całkowitego spokoju. Wiedział, że przed przejściem do interesów Arabowie mają zwyczaj prowadzić niezobowiązującą pogawędkę. Czy książę próbował go rozluźnić, czy też była to zasłona dymna? Wolał, żeby Turki al Faisal przeszedł do rzeczy.

Książę wyczuł zniecierpliwienie Dawida.

- Robi się późno. Niech mi będzie wolno wyjaśnić powód, dla którego tu pana poprosiłem. Jako dyrektor wywiadu zagranicznego jestem odpowiedzialny za ochronę mego kraju przed agresją lub interwencją z zewnątrz. Niedawno wpadliśmy na ślad grożącego nam wielkiego niebezpieczeństwa. Sądzę, że zgodzi się pan, panie Llewellyn, znając finansowe powiązania między naszymi krajami, że podobna katastrofa w Arabii Saudyjskiej musiałaby się także poważnie odbić na Stanach Zjednoczonych.

- I na Wielkiej Brytanii, i na całym Zachodzie - dorzucił Sir Roger. - Załamałyby się wszystkie banki, Bank Światowy.

Książę Turki zignorował słowa Anglika, zwracając oczy na Dawida.

- Aby uniknąć takiej katastrofy, potrzebujemy pańskiej pomocy. Moja organizacja wywiadowcza ściśle współpracuje z wywiadem brytyjskim i amerykańskim w celu wykrycia większej liczby szczegółów tego spisku. Jednak w chwili obecnej nasze działania utknęły w martwym punkcie. Pan, jako nowy wysłannik do Izraela, może nam oddać wielką usługę. Czy może nam pan uratować nasz kraj?

Bezpośrednie pytanie księcia zaskoczyło Dawida. Co się tu działo, w co go wrabiał ten sukinsyn, Abernathy?

- Wasza Wysokość - odpowiedział ostrzej, niż zamierzał - sprawy posunęły się już za daleko. Człowiek, z którym najwyraźniej się pan kontaktował, zdążył się już do mnie zwrócić. Złożył mi oburzającą propozycję, bym szpiegował jednego z naszych najbliższych sojuszników, kraj, do którego z misją wysłał mnie prezydent Stanów Zjednoczonych. Jest wysoce niestosowne, bym dyskutował z panem tę sprawę; dziwię się w ogóle, że się pan do mnie zwrócił. Podobne kwestie powinny być omawiane na szczeblu rządowym: sekretarz stanu, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego. Jednak skoro już pan poruszył tę sprawę, wyjaśnię raz na zawsze: nigdy nie rozważałbym nawet zrobienia czegoś takiego.

- Nawet gdyby wiązało się to z zapobieżeniem powszechnej katastrofie i uchronieniem połowy świata, z pańskim krajem włącznie, od ruiny finansowej? - Jeśli książę poczuł się urażony jego niestosownym wybuchem, ukrył to skutecznie. - Panie Llewellyn - ciągnął chłodno - w tych kwestiach nie mogę się kontaktować z Departamentem Stanu. Wiązałoby się to z

nieuniknionymi opóźnieniami i przeciekami, a nie możemy sobie pozwolić ani na jedno, ani na drugie. Aby zyskać na czasie i skuteczności musiałem się zwrócić bezpośrednio do pana, apelując do pańskiego sumienia i patriotyzmu. Surowe amerykańskie przepisy bezpieczeństwa zabraniają waszemu wywiadowi wtajemniczać pana w charakter i rozmiary grożącego nam niebezpieczeństwa. Jednak tu, w Arabii, nie jestem związany tego rodzaju zakazami.

Księżę Turki rozważał coś przez chwilę, po czym wstał.

- Zostańcie, proszę - powiedział, kiedy goście wstali. - Za moment wróćę. - Szybkim krokiem opuścił pokój. Dawid spojrzał pytająco na Anglika i zauważył błysk w jego oku.

- Czeka pana mały szok - szepnął Sir Roger. Księżę wrócił prawie natychmiast, trzymając złożone arkusze papieru.

- Zanim to panu pokażę, muszę pana prosić o zachowanie tej informacji w jak najściślejszej tajemnicy. Dokument ten został sporządzony przez rząd Izraela i zaklasyfikowany jako ściśle tajny. Zarówno pański rząd jak i nasz uznałyby wyjawienie jego treści osobie nieupoważnionej za najpoważniejsze przestępstwo. Za chwilę zrozumie pan drażliwość tej informacji. Czy mam pańskie słowo?

Dawid spojrzał w sobie oczy i skinął twierdząco głową, czując przyspieszone bicie serca. Czyżby to był jeden z tych dokumentów, które przeciekły, o których wspominał prezydent? Jeśli tak, musiał zostawić ślad, mogący go doprowadzić do wtyczki. Sięgnął po arkusze.

- Widzi pan, że są tu dwa dokumenty. Jeden, w języku hebrajskim, to kopia oryginału. Drugi jest angielskim tłumaczeniem wykonanym przez CIA i potwierdzonym przez moich specjalistów. Pan nie czyta po hebrajsku?

Dawid pokręcił głową, usiłując ukryć rozczarowanie. Tłumaczenie wykonane przez CIA, a następnie przekazane kanałami CIA wywiadowi brytyjskiemu i saudyjskiemu - taka droga wykluczała udział wtyczki jako źródła informacji. Przejrzał hebrajski rękopis, rozpoznając tylko słowa pieczęci przystawionej, przypuszczalnie przez CIA, na górze i na dole każdej

strony: ŚCIŚLE TAJNE - NOFORN. Drugi symbol, zakazujący rozpowszechniania za granicą, wydał mu się nie tylko niezwykle, ale i komiczny: dokument został sporządzony przez rząd obcego państwa i już doręczony przez CIA przynajmniej dwóm innym: angielskiemu i saudyjskiemu.

Przeszedł szybko do angielskiego tłumaczenia, noszącego identyczne oznaczenia, a także kombinację liter i cyfr, którą rozpoznał jako szyfr określający rękopis jako „czarny” dokument CIA. Na pierwszej stronie widniała także data publikacji: 4 lipca 1987; miejsce publikacji: Jerozolima; oraz autor: Biuro Izraelskiego Ministra Obrony.

Strona druga, tytułowa, stanowiła sensację; sapnięcie Dawida było słyszalne.

PLAN AWARYJNY OBALENIA DOMU SAUDA I PRZEJĘCIA PÓL NAFTOWYCH ARABII SAUDYJSKIEJ.

Dawid błyskawicznie przeleciał wzrokiem kolejne strony. Dokument zawierał listę warunków, w jakich zalecano przypartemu do muru Izraelowi przejście saudyjskich pól naftowych: niedobór ropy w Izraelu spowodowany embargiem nałożonym przez OPEC; groźba załamania finansowego spowodowana możliwością utraty pomocy finansowej ze strony Stanów Zjednoczonych w chwili pogorszenia się stosunków izraelsko-amerykańskich, a co za tym idzie rozmieszczenia we wrogim kraju Bliższego Wschodu Amerykańskiej Siły Szybkiego Reagowania; ewentualne sankcje nałożone na Izrael w celu wymuszenia utworzenia w granicach izraelskich państwa palestyńskiego; sponsorowane przez Arabię Saudyjską rozprzestrzenianie broni atomowej wśród wrogich państw arabskich.

Kolejne strony przedstawiały plan przejścia pól w wersji streszczonej, niemniej bardzo szczegółowej. Faza pierwsza obejmowała atak lotniczy na saudyjskie obiekty wojskowe, zaznaczone na towarzyszącej mapce. Dawid zauważył, że przedstawiała ona głównie bazy lotnicze, włącznie z bazą w Rijadzie, gdzie stacjonowały samoloty AWACS, a także bazy marynarki wojennej w Zatoce Perskiej i na Morzu Czerwonym. Faza druga zakładała nocny desant komandosów w Dhahranie, na największym lotnisku świata, w świetle ogni pobliskich pól naftowych. Po szybkim przejściu kontroli

nad głównymi polami naftowymi, miano dokonać porannego desantu komandosów na lotniskach pod Rijadem i Jeddą oraz w naftowych enklawach Kataru i Ras Tanury. Padała również wzmianka o towarzyszącej temu „Operacji Jasne Słońce”, która nie została jednak szczegółowo opisana.

Trzecią, końcową fazę nazwano po prostu „sprzątniem”. Obejmowała ona internowanie rodziny królewskiej i jej przedstawicieli w rządzie oraz ustanowienie rządu tymczasowego, opartego na „elementach opozycyjnych”. Na pola naftowe skierowano by ekspertów, w celu ograniczenia do minimum zakłóceń w produkcji ropy. Rząd tymczasowy przejąłby kontrolę nad Aramco, a odbiorcy ropy zostaliby zapewnieni o utrzymaniu „uczciwej” polityki dystrybucyjnej. Nowy zastępca szejka Jamaniego zostałby z kolei zastąpiony przez desygnowanego przez nowy rząd arabskiego ministra ropy naftowej i przedstawiciela w OPEC. Plan nie wspominał o polityce cenowej. Nie musiał. Kontrolując cenę blisko połowy światowego wydobycia ropy naftowej Izrael mógłby dyktować ceny wszystkim większym krajom, no, może z wyjątkiem Rosji.

Dawid podniósł wzrok znad dokumentu i spojrzął na wbite w siebie dwie pary oczu ludzi, oczekujących jego reakcji. Twarz Sir Rogera miała swój dziwny, intensywny wyraz „wesołości”; księżę Turki był ideałem beznamiętnego spokoju.

Pierwszą reakcją Dawida był sceptycyzm.

- Skąd się to wzięło? - Nie zdziwiłby się, gdyby CIA uciekła się do fałszerstwa, dla osiągnięcia własnych celów. Nie byłby to pierwszy raz. - Czy ktokolwiek może zagwarantować autentyczność tego dokumentu?

- Mamy niezbity dowód, że dokument jest prawdziwy - zapewnił pośpiesznie księżę. - Nie mogę wyjawić źródła, ale daję panu słowo, że to autentyk.

- Ale... to niedorzeczne! - Dawid kręcił głową, wciąż nie mogąc uwierzyć. - Takie zuchwalstwo! Jak mogliby marzyć, że uda im się coś podobnego? Cały świat wystąpiłby zbrojnie przeciwko nim.

Księżę pozwolił sobie na lekki uśmiech, który jednak szybko zniknął.

- Właściwy moment, panie Llewellyn. Element zaskoczenia. Oni są w tym mistrzami i mają odpowiednie narzędzia. Szybki atak bez ostrzeżenia. Mając nasze pola naftowe, szantażem mogą zmusić nie tylko nasz kraj, ale i wszystkie kraje zachodnie do ugody.

- Ale przecież macie system AWACS. Zauważylibyście, że nadlatują. Zdążylibyście ostrzec wasze bazy lotnicze i amerykańskie Siły Szybkiego Reagowania.

- To prawda, AWACS przedstawiałby dla nich problem, ma on jednak kilka słabych stron, które można wykorzystać. Nie możemy ryzykować, licząc na to, że Izraelczykom nie uda się zneutralizować AWACS-a. Obawiam się także, że wasze Siły Szybkiego Reagowania także nie są wolne od niedociągnięć, chociaż wasz rząd, przy współpracy z naszym, stara się je usunąć. W chwili obecnej Siły Szybkiego Reagowania można porównać do Świętego Cesarstwa Rzymskiego, o którym powiedziano kiedyś, że nie było ani święte, ani rzymskie, ani nawet nie było to imperium. Boję się, że wasza tak zwana Siła Szybkiego Reagowania okazałaby się niezbyt szybka w reakcji i trudno byłoby na niej polegać jako na rzeczywistej sile.

Dawid zamyślił się na moment, marszcząc czoło.

- Nie mogę uwierzyć, że naprawdę podjęliby takie ryzyko. Musieliby nie mieć innego wyjścia, a nawet wtedy - przeszkody, jakie by napotkali, konsekwencje porażki... - Ponownie przekartkował dokument, zaczynając od strony tytułowej. - Plan awaryjny. Wiele rządów sporządza plany awaryjne, których nigdy nie wciela w życie. Czy jest pan pewien, że nie panikujecie?

Tylko ślad zmarszczki pojawił się na czole nad grubymi szklami.

- Nie sądzę, żebym panikował, panie Llewellyn. Na pewno nie bardziej, niż mój ojciec panikował w roku 1974, kiedy wyszedł na jaw inny plan awaryjny zajęcia naszych pól naftowych przez obce państwo. Czy muszę panu przypominać, który rząd przygotował ten plan? Nasi dobrzy przyjaciele, Stany Zjednoczone Ameryki, panie Llewellyn. Wasz Departament Stanu celowo ujawnił go, aby drogą zastraszenia zmusić króla Faisala do zniesienia embarga. Wyjątkowo źle obliczony, nieporadny bluff. Rozzłościł

on mego ojca, który i tak podjął już decyzję o zniesieniu embarga, aby poprawić stosunki między naszymi krajami. Ostatecznie nie potraktował waszej groźby poważnie. Rozumie pan, uważał, że to byłoby tak niepodobne do waszego kraju.

- Ale nie Izraela?

- Dokładnie, panie Llewellyn. A mówiąc ściślej, byłoby to jak najbardziej podobne do reżimu Begina i jego zastępców. Ci ludzie dali wszystkim jasno do zrozumienia, że na Bliskim Wschodzie pójdą wszędzie i zrobią wszystko, co uznają za stosowne dla własnych interesów, i do diabła z opinią światową. Dzięki wydatnej pomocy Ameryki dysponują trzecią co do wielkości potęgą wojskową, aby tylko zrealizować swe zamiary.

- Ale czy zdecydowaliby się użyć siły w tak zuchwały sposób, wiedząc, że oznaczałoby to koniec wszelkiej pomocy, skłócenie z ostatnimi przyjaciółmi, jakich mają?

- Nie możemy sobie pozwolić na podobne ryzyko. Widzi pan, tu chodzi o nasz kraj. - Księżę przez chwilę patrzył w zamyśleniu na stół. - Czy gra pan w pokera, panie Llewellyn?

- Od czasu do czasu.

- Czy licytowałby pan przeciwko pewniakowi, przeciwko wygrywającym kartom?

- Oczywiście, że nie.

- A my wierzymy, że Izrael ma w rękach taką kartę, panie Llewellyn. Wzmiankuje o niej dokument, który trzyma pan w ręce. Zwrócił pan, jak sądzę, uwagę na „Operację Jasne Słońce”?

Dawid przytaknął.

- Jest to nowy kryptonim - ciągnął księżę - którego jak dotąd nie udało nam się rozszyfrować. Jednak charakter tej operacji nie pozostawia wątpliwości. Mówiąc krótko, chodzi tu o pewną formę nuklearnego szantażu.

Niech pan nie robi takiej zdumionej miny, panie Llewellyn. Tego rodzaju taktyka to żadna nowość dla państwa żydowskiego. Musiał pan słyszeć, że groźbą użycia broni atomowej posłużono się przeciwko Syryjczykom i Egipcjanom, by powstrzymać ich atak we wczesnej fazie Wojny Październikowej, kiedy to Izrael przegrywał. Fakt, że ostatecznie nie użył tej broni,

jest bez znaczenia. Nie wątpimy, że ją posiada. Zakłady w Dimonie na pustyni Negew produkują broń atomową już od ponad dziesięciu lat.

- Wiem, oczywiście, o reaktorze atomowym w Dimonie - powiedział zdumiony Dawid. - Ale faktyczna broń? Jakie macie dowody?

- A jakich dowodów potrzeba? - Książę Turki wzruszył ramionami. - Ostrzeżenie skierowane przeciwko Syrii i Egiptowi mówi samo za siebie. Dowiedziałem się o nim bezpośrednio od Anwara Sadata, a potem od prezydenta Syrii, Hafiza Assada. Obaj wierzyli, że ostrzeżenie miało pokrycie i że broń atomowa zostałaby użyta, gdyby wojna nie zakończyła się zwycięstwem Izraelczyków.

Wojna nuklearna na Bliskim Wschodzie, dokładnie ten scenariusz, o którym mówił prezydent! Dawid zbladł, przypominając sobie jego słowa. Oczami wyobraźni ujrzał sceny holokaustu: połowa światowych zasobów ropy naftowej zniszczona w ciągu jednej nocy, pożarta przez rozpalone do białości kule ognia, zostawiające po sobie tylko gigantyczne grzyby atomowe. I koszmarnie konsekwencje, z których chaos finansowy byłby niewątpliwie jedną z pomniejszych, w porównaniu z groźbą eskalacji nuklearnej, mogącej ogarnąć całą planetę. Niezbędne składniki już tu są: suche drewno, czekające na iskrę zapalającą. Iskrę, której trzeba unikać za wszelką cenę.

Powrócił do rzeczywistości; śmiertelna maska Anglika w ponury sposób podkreśliła jego wizję zagłady. Spojrzał na dyrektora saudyjskiego wywiadu zagranicznego. Czy mógł ufać temu człowiekowi? Czy książę Arabii był tak szczery, jak to deklarował, oddany wyłącznie swemu krajowi i narodowi? Twarz za grubymi szklami nic nie wyrażała; maska.

Nie ufaj nikomu, powiedział do Dawida wewnętrzny głos. *Po prostu rozgrywaj dalej.*

Nowo mianowany wysłannik amerykański do Izraela westchnął ciężko.

- Czego miałbym się dowiedzieć?

6.

Pędzący ulicą Dizengoff w Tel Awiwie taksówkarz poczuł na ramieniu dłoń i odwrócił się pytająco.

- Wsiądę tutaj.

Zaprawiony w bojach taksówkarz zaklął pod nosem i zwolnił, przygotowując się do przebicia się przez ruch uliczny ku krawężnikowi.

- Myślałem, że powiedział pan...

- Tak powiedziałem. Zmieniłem zdanie.

Taksówka przemykała między pędzącymi pojazdami odprowadzana wyciem klaksonów, na które kierowca szukający wolnego miejsca przy krawężniku odpowiadał starannie wybranymi przekleństwami w języku jidysz, Pasażer wyskoczył z samochodu lekko, z gracją urodzonego atlety. Nie był wysoki, ale dobrze zbudowany, w błękitnym mundurze Izrealskich Sił Lotniczych z insygniami kapitańskimi. Przez uchylone okno wsunął dwa banknoty.

- Powinno wystarczyć. *Szalom*.

Nie widząc z bliska bez okularów, taksówkarz odsunął pieniądze na długość ręki, mrużąc oczy. Dwa banknoty dziesięcioszeklowe. Duży napiwek jak na wojskowego.

- *Szalom* - odpowiedział, wyjmując z ust mocno zzute cygaro i wyglądając przez okno. Jednak pasażer zniknął już w tłumie przechodniów.

Kapitan Zew Lieb zatrzymał się na chwilę, by ostentacyjnie obejrzeć bogatą wystawę Gucciego. W jej dużych oknach widział panoramiczne odbicie ulicy biegnącej za nim. Zadowolony, że żaden pojazd nie śledził taksówki, ruszył żwawo, skręcił na zachód w pierwszą boczną ulicę, po czym zwolnił kroku. Nie ma pośpiechu, przypomniał sobie, przybył wcześniej. Od

Centrum Namiru leżącego na brzegu Morza Śródziemnego dzieliło go najwyższej piętnaście minut drogi piechotą. Po podróży z bazy lotniczej przechadzka dobrze mu zrobi. Był piękny dzień, równie idealny na spacer, jak na latanie. Spojrzał w błękitne niebo z delikatną koronką białych chmur pierzastych i poczuł się trochę jak uczeń na wagarach. To tam powinien teraz być, razem z resztą eskadry, tak jak planował. Zanim otrzymał list.

Z kieszeni na piersi wyjął kopertę, a z niej kartkę z dwiema kolumnami liter i cyfr. Dla nie wtajemniczonego oka był to zwykły zapis partii szachowej. 1 e4 d5 - otwarcie pionkami królewskimi. 2 Sc3 Ge6 - białe wyprowadzają skoczka, a czarne gońca. Ale kapitan Zew Lieb był wtajemniczony. Kilka miesięcy wcześniej nauczył się na pamięć szyfru, w którym cyfry oznaczały datę i godzinę spotkania, a litery jedno z ustalonych miejsc schadzki. Szachownica stojąca w jego pokoju w bazie stanowiła tylko atrapę; ledwo potrafił grać. Poza tym, w rzeczywistości nie nazywał się Zew Lieb, ale Adnam Ibrahim al Amiri, obywatel Iraku, tajny agent. Nosił pseudonim „El Auren”.

Nie zwalnając kroku ponownie przejrzał kartkę, odszyfrowując jej treść. Nie popełnił błędu. Data była dzisiejsza, godzina jedenasta, a miejsce - Kek Csillag, węgierska kawiarnia na plaży, w Centrum Namir. Godzina, jaką wybrali, dziwiła go i nieco irytowała. Czemu nie mogli się z nim spotkać wieczorem, kiedy mógł bez trudu wyjść z bazy? Uzyskanie porannego zwolnienia nie przyszło mu łatwo. Szkolenie przed planowaną akcją stało się intensywniejsze; najwyraźniej zbliżał się początek odliczania. Musiał udać ostry ból zęba, by pozwolili mu na wizytę u dentysty w mieście. Był jakiś powód by nie wystarczył.

„Oni”. To była kolejna sprawa. Wiadomość nie wspominała, z kim miał się spotkać. Nigdy nie było o tym wzmianki; system „nie szukaj nas, my znajdziemy ciebie”. Podczas poprzednich spotkań miał do czynienia z różnymi ludźmi. Nie wiedział, kim są, poza tym że posługiwali się właściwym hasłem i najwyraźniej go znali. Domyślał się, że nie przedstawiali mu się, by uniknąć ewentualnej wpadki. Cały system wydawał się nieporadny. Fakt, że nie znał ludzi, z którymi miał się spotkać, mógł ułatwić jakiemuś

agentowi kontrwywiadu podszycie się pod Zewa. Gdyby wróg kiedykolwiek odkrył jego prawdziwą tożsamość...

Jednak nie zastanawiał się nad tym głębiej. Gdyby do tego doszło, trudno, jakoś by sobie poradził. Jego praca dawała mu radość; lubił słony smak niebezpieczeństwa, euforię adrenalinową związaną z ryzykiem. Miał wrażenie, że od dzieciństwa całe jego życie było serią groźnych przygód, a ocieranie się o śmierć stanowiło ich nieodłączny element. Wyszedł cało ze wszystkich opresji, stopniowo wyrabiając sobie przekonanie o własnej niezniszczalności. Od czasu kiedy we wczesnej fazie swej lotniczej kariery o mały włos nie zginął w katastrofie samolotu szkoleniowego, miał obsesję wyjątkowej więzi ze Stwórcą. Allah był jego tarczą i obrońcą. Allah będzie go chronił.

Latanie było jego pierwszą miłością i to ono nadal dawało Zewowi najwięcej przyjemności. A latanie w charakterze tajnego agenta w siłach wroga jeszcze dodawało temu pikanterii. Poza tym, służąc w lotnictwie izraelskim, latał na najlepszym myśliwcu świata, F-15, zamiast na jakimś przestarzałym radzieckim MiG-u, latał najbardziej nowoczesnym samolotem, jakim dysponował jego kraj.

To, co osiągnął, kosztowało go niemało wysiłku. Odgrywanie roli Izraelczyka było stosunkowo najłatwiejsze. Ostatecznie, świadomie lub nie, przygotowywał się do tej roli przez całe życie. Młodość spędził w Hajfie, pośród Izraelczyków. Osierocony muzułmanin, w najbardziej obskurnym z sierocińców, zazdrosny o względny dostatek dzieci żydowskich i nienawidzący ich za to, nienawidzący własnego nędznego życia. Do czasu aż uciekł i odnalazł drogę do ojczyzny rodziców. To dlatego wybrano go do tej misji. Przygotowywano go nieprzerwanie od jego przybycia do Bagdadu, kiedy tylko władze zwróciły uwagę na warunki, w jakich wyrósł.

Najpierw dziesiątki testów, określających inteligencję i kwalifikacje do zadań, jakie go czekały. Potem nauka, wpajanie podstaw wiedzy, w żałosny sposób zaniedbanych w ubogim systemie szkolnym sierocińca w Hajfie. Wraz z grupą innych wysłano go do szkoły hebrajskiej, by wyszlifował język dzieciństwa; potem mieszkał z żydowskimi renegeatami, którzy

dokonali reszty. Kiedy rozpoczęto naukę latania, wykazał nadzwyczajne zdolności i one okazały się decydujące. Otrzymał nowe nazwisko, Zew Lieb, sfalszowane izraelskie świadectwo urodzenia i dokument ukończenia studiów, po czym został przekazany do Izraela. Mógł tylko spekulować, jaka kombinacja łapówek i znajomości doprowadziła do przyjęcia go na kurs szkoleniowy w powietrznych siłach zbrojnych.

Kariera pilota myśliwca była ogromnym wyzwaniem. Izraelskie wymagania były wysokie, a konkurencja ostra. Udawało się tylko najlepszym. Pozostali odpadali; wracali do rodzin czy kibuców, by szukać szczęścia w mniej olśniewających zawodach. Najwięcej kłopotów przysporzyła mu sama nauka; latanie przychodziło mu bez trudu. Aż do dnia, kiedy zaciął się ster jego samolotu szkoleniowego, wprawiając maszynę w nie kontrolowany wir. Udało mu się wyskoczyć, jakimś cudem pokonać kombinację grawitacji i siły dośrodkowej, i bezpiecznie wylądować ze spadochronem.

Obawiał się, że strata samolotu okaże się wystarczającym powodem do wydalenia go z kursu, jednak badania wraku samolotu wykazały wadliwe funkcjonowanie układu sterowniczego i Zew został oczyszczony z zarzutów, stając się wśród kolegów i oficerów, już wtedy dostrzegających jego niezwykle umiejętności lotnicze, kimś w rodzaju bohatera. Potwierdził je później podczas potyczek z syryjskimi MiG-ami. Na dziobie jego F-15 wymalowano czarną sylwetkę, zaświadczającą, że strącił wrogi samolot.

Sam był zdziwiony zadowoleniem, jakie odczuwał po tym zestrzeleniu, a także brakiem wyrzutów sumienia po zabiciu muzułmanina. Jednak w tym okresie jego kraj uważał Syrię za wroga; prezydent Hafiz Assad występował z ostrą krytyką rządów Saddama Husseina i otwarcie dążył do jego obalenia. A poza tym, czyż strącenie syryjskiego odrzutowca nie stanowiło części jego maski?

Jak daleko mógłby się posunąć, by ją chronić? Czy nie cofnąłby się przed zestrzeleniem MiG-a z Irakijczykiem na pokładzie? Mogło przecież do tego dojść podczas nalotu na Bagdad, w którym miał uczestniczyć jako eskorta. W myślach wzruszył ramionami, odpędzając niepokojące myśli.

Kiedy nadejdzie czas, będzie wiedział, co robić. Jeśli w ogóle taki czas nadejdzie.

Znajdował się już blisko plaży, czuł zapach słonego powietrza, słyszał szum fal. Zaczął się zastanawiać nad przyczyną dzisiejszego spotkania. Nie wysłał żadnej wiadomości z prośbą o kontakt ani nie wykazał chęci przekazania nowych informacji, wciąż czekając na ujawnienie daty i godziny nalotu na Osirak. Znaczy, że tamci mieli mu coś do powiedzenia; ważna informacja lub zmiana rozkazów. Co to mogło być i kto okaże się łącznikiem? Ten sam człowiek, co ostatnio - gruby mężczyzna o wygładzie biznesmena, zachowujący się w sposób pewny siebie i komiczny, nie zdejmujący ogromnych okularów przeciwsłonecznych nawet w zamkniętym pomieszczeniu? Czy może jego poprzednik, młodzieniec o ascetycznym wygładzie, w koszulce Levisa i tenisówkach - niepisany mundurze izraelskiej młodzieży? Czy ktoś jeszcze inny, jakiś nowy? Zawsze byli to ludzie posługujący się wyłącznie językiem hebrajskim, by nie zwracać niepotrzebnie uwagi, a Zew nie potrafił stwierdzić, czy ma do czynienia z prawdziwymi Żydami, czy z podstawionymi, takimi jak on.

Tuż przed nim, ponad barierką wyrosło morze masztów. Doszedł do wschodniego krańca krótkiej linii zabudowań nadmorskich. Spojrzał na rzędy jachtów podskakujących niespokojnie na cumach. Symbolizowały beztroskie życie bogatych Żydów; przypominały Zewowi o młodości w sierocińcu, o kontraście między jego ciężką egzystencją na krawędzi głodu a dobrze odżywionymi, rozpieszczonymi żydowskimi dziećmi z sąsiedztwa. Ruch na brzegu był niewielki, brakowało tylko kilku jachtów. Nawet ich nie używają, pomyślał pogardliwie. To tylko symbole statusu, którymi bogaci Żydzi mogą się popisywać.

Poszedł dalej, w stronę wielkiego basenu wykopanego w piaszczystym brzegu. Gdyby to było lato, basen roiłby się od izraelskiej młodzieży, a powietrze rozbrzmiewałoby jej krzykami. Teraz jednak panowała cisza, basen był pusty, podobnie jak plaża, gdzie tylko kilka zahartowanych osób w kostiumach kąpielowych korzystało ze styczniowego słońca.

O tej godzinie także w Centrum Namir panowała cisza; tylko grupka kupujących przechadzała się między szpalerami sklepów i butików z ich jaskrawymi neonami i przyciągającymi wzrok wystawami. Dalej restauracje wylegiwały się leniwie w przerwie między śniadaniem a lunchem, niektóre jeszcze nie otwarte. Były ich wszelkie rodzaje: od żydowskich do ormiańskich, europejskich, nawet chińskich; mieszanina kuchennych aromatów sprawiała, że ślina napływała do ust. Na dalekim końcu plaży, pod gwiazdą z niebieskich żarówek zauważył lokal węgierski; krzesła rozstawiono na patio wychodzącym na plażę.

Kiedy podszedł, kobieta w barwnym fartuchu zamiatała wejście.

- Zamknięte - oznajmiła. - Niech pan wróci o wpół do dwunastej.

Doskonałe planowanie, pomyślał z niesmakiem. Nie było jeszcze jedenastej. Usiadł przy jednym ze stolików pod gołym niebem.

- Mogę tu poczekać?

Kobieta wzruszyła ramionami i wróciła do zmiatania, wzbijając chmurę kurzu. Poczul ulgę, kiedy skończyła i weszła do środka. Stolik, który wybrał, stał w cieniu; przeniósł się na słońce i siadł tyłem do plaży, żeby uniknąć odbłasku morza. Słońce miło ogrzewało mu plecy. Poczul senność.

Nie usłyszał zbliżających się kroków i zdumiał się na widok mężczyzny siedzącego przy stoliku. Nadszedł od strony plaży, ubrany tylko w kąpielówkę; stąpał bezszelestnie bosymi stopami. Z wyglądu typowy plażowicz, członek sekty czczącej słońce, który nie zmarnowałby takiego pięknego zimowego dnia. Legitymował się opalenizną.

- Czy mogę się dosiąść? - spytał w języku hebrajskim z silnym obcym akcentem. Na nosie miał okulary przeciwsłoneczne, a w rękę trzymał małą torbę plażową w jaskrawe pasy. - Wygląda na to, że musimy trochę poczekać. Umieram z głodu, rano nie jadłem śniadania.

- Proszę. - Irakijczyk nie potrafił rozpoznać akcentu. Na pewno nie pochodził z żadnego z krajów arabskich, do tego rzadko spotykało się też jasnowłosych Arabów. To najprawdopodobniej Europejczyk. Musi być łącznikiem. Czy powinien wymówić hasło, czy czekać? Postanowił, że pozwoli przybyszowi uczynić pierwszy krok.

- Papierosa? - Opalony plażowicz wyjął z torby srebrną papierošnicę. Była to stara jak świat szpiegowska zagrywka, wykorzystywana w wielu filmach, a mimo to skuteczna. Naturalny gest, który musi się wydać niewinny każdemu nieproszonemu obserwatorowi, przypadkowemu, albo i nie. Hasło mogło zostać przekazane na dowolnie wiele sposobów, niezauważalnych dla podglądacza: inicjały na papierošnicy, szczególna obręczka na częstującej dłoni, słowa wymówione po przyjęciu papierosa. Tylko wtajemniczeni mogli znać właściwe hasło wybrane zawczasu na to konkretne spotkanie.

Irakijczyk szukał go i znalazł - na paznokciu kciuka, położonego na wierzchu wyciągniętej przez blondyna papierošnicy. Na krawędzi paznokcia widniał brzydki fioletowy siniak, jak po uderzeniu młotkiem.

- Dziękuję. - Irakijczyk wziął papierosa prawą dłonią, a lewą wyjął zapalniczkę z kieszeni spodni. - Ognia? - Na kciuku, którym skrzesał iskrę, widniał podobny znak w kształcie półksiężyca. Rano, przed wyjściem z bazy Zew wymalował go flamastrem.

- Przejdźmy do rzeczy. Mam ci wiele do powiedzenia. Są nowe rozkazy. Bardzo szczegółowe i daleko idące; musimy je uważnie omówić - mówił blondyn normalnym głosem. W pobliżu nie było żywego ducha; sąsiednie stoliki jak zwykle puste o tej godzinie. Szum fal bijących o brzeg zapobiegał niesieniu się słów do niepożądanych uszu. To jednak dobrze zaplanowane spotkanie, przyznał Irakijczyk, zelektryzowany wzmianką o nowych rozkazach.

Podczas gdy łącznik ciągnął tym samym monotonnym tonem, Zew słuchał w milczeniu i uważnie, wytrzeszczając oczy ze zdumienia. Wreszcie nie mógł powstrzymać.

- Ależ to szaleństwo, całkowite szaleństwo! Niszczymy wszystko, co wypracowaliśmy: moje zamaskowanie; stracę użyteczność! I w imię czego?

- Do ciebie należy nie kwestionowanie rozkazów, a ich wykonywanie. - Głos blondyna brzmiał spokojnie, ale mocno i autorytatywnie; najwyraźniej przyzwyczajony był do wydawania poleceń i egzekwowania ich.

Irakijczyk uzmysłowił sobie nagle, że nie miał do czynienia ze zwykłym łącznikiem. - Twoi przełożeni są w pełni świadomi wyjątkowych korzyści strategicznych wynikających ze stanowiska, które zajmujesz. Nie poświęciliby ich, gdyby nie zostali przekonani o potencjalnej korzyści, spowodowaniu incydentu, który rzuciłby naród syjonistyczny na kolana.

- Nie rozumiem. - Nieco skruszony po wymówce, pilot usiłował zrozumieć szerszy obraz, który tamten usiłował przed nim namalować.

- Po prostu mnie wysłuchaj. Wina za zuchwałą napaść na bezbronny samolot spadnie na Izraelczyków. Na pokładzie AWACS-a znajdują się Amerykanie. Ich śmierć nie zostanie lekko przyjęta przez kraj, który już dziś waha się w poparciu dla obecnego reżimu. Liczymy na to, że śmierć Amerykanów stanie się kroplą przepełniającą czarę; doprowadzi do przewrótka pomocy dla Izraela, a co za tym idzie, do upadku rządu Likudu.

Spokojny głos zamilkł, pozwalając, by jego rozmówca pojął w pełni jego słowa.

- Wyświadczysz ogromną przysługę całemu islamowi. Twoja użyteczność nie zostanie, jak mówisz, zaprzepaszczone. Przeciwnie, wrócisz do kraju, gdzie twoje umiejętności lotnicze i znajomość sił powietrznych wroga zostaną doskonale wykorzystane.

Ostatnie stwierdzenie otworzyło przed irackim pilotem świetlaną przyszłość. Wyobraził sobie swój triumfalny powrót do Bagdadu: bohater i fetowany ekspert wojskowy - szpieg, który przyszedł wprost z paszczy wroga, wyzwolony od wiszącej nad każdym szpiegiem groźby demaskacji. Tylko kilka osób wiedziałoby o wszystkim, ale i to by wystarczyło.

- Polecono mi zadać ci tylko jedno pytanie - mówił blondyn - ściśle technicznej natury. Czy według ciebie ten plan jest technicznie poprawny? Uda się, możesz zestrzelić AWACS-a?

Irakijczyk zastanawiał się tylko przez chwilę i błysnął białymi zębami w gwałtownym uśmiechu.

- To ogromny cel, zupełnie bezbronny. Nie mogę chybić.

Zauważył, że łącznik nie odwzajemnił uśmiechu. Pilot wpatrywał się w Pozbawiona wyrazu twarz, chcąc przeniknąć maskę za ciemnymi okularami.

Ten akcent. I coś w tym człowieku. Oczywiście. To było to.

- A teraz ja mam pytanie dla ciebie - zripostował pilot myśliwca. - Czemu Amerykanin przyłącza się do nas w przedsięwzięciu, w wyniku którego zginą Amerykanie?

Jedyną reakcją blondyna było zdjęcie okularów i wpatrzenie się w Irakijczyka świdrującymi niebieskimi oczyma. Odpowiedzi nie było.

- Może na wszelki wypadek omówimy wszystko jeszcze raz? - zapytał Martin Singer.

Martin Singer odprowadzał wzrokiem oddalającą się postać w błękitnym mundurze, aż zniknęła w gęstniejącym w Centrum Namir tłumie gości schodzących się na lunch. Irakijczyk szedł z lekkością i muskularną gracją przywodzącymi na myśl drapieżnego kota. Faktycznie musi posiadać sporo kociego instynktu samozachowawczego, pomyślał z podziwem Martin, żeby tak długo wytrwać w niebezpiecznej maskaradzie. Nie wątpił, że ten agent poradzi sobie z niebezpieczną misją. Co za wspaniałe zwierzę! Jaka szkoda, że musi zostać zniszczone.

Jednak nie można było pozwolić Irakijczykowi na powrót do ojczyzny, gdzie jego ponowne pojawienie się wzbudziłoby podejrzenia i spekulacje; istniała możliwość, że zostanie rozpoznany przez niewłaściwą osobę, a plan zwalenia winy na Izraelczyków spali na panewce. Nie, stawka była zbyt wysoka. Plan wymagał, aby iracki pilot zniknął po ataku na AWACS-a. Bez obawy, zginie na dobre. Kiedy będzie dolatywał do odległej bazy na Synaju, oczekując bezpiecznego przejścia, spotka go nieszczęśliwy wypadek. Egipskie odrzutowce, których piloci zostaną ostrzeżeni tylko o naruszeniu ich przestrzeni powietrznej przez izraelski myśliwiec, zestrzela go w powietrzu. Wspólnicy Singera w Egipcie poczynili już niezbędne przygotowania, obejmujące także zapobieżenie identyfikacji spalonego wraka izraelskiego myśliwca F-15.

Ta część planu była, oczywiście, nie znana Irakijczykom, których bardzo martwiłaby perspektywa straty nieocenionego, świetnie wyszkolonego agenta-pilota. Kto wie, czy nie wycofali by się z całej operacji, gdyby

wiedzieli o wszystkim zawczasu. Nie mówiąc już o tym, co by zrobili, gdyby wiedzieli, że ich zaufany agent i informator od czterech lat, były amerykański wysłannik do Izraela, przez cały czas pracował dla CIA.

Karierę jako podwójny agent rozpoczął na życzenie Firmy. Jego celem miała być infiltracja wywiadu irackiego. Zaczął od przekazywania Irakowi izraelskich tajemnic wojskowych znajdujących się w aktach ambasady, za pełną zgodą i wiedzą przełożonych z CIA, ale nie Izraelczyków, ani, jak się później dowiedział, żadnych amerykańskich wysokich urzędników państwowych. Kiedy sprawdził się w tych zadaniach, zaczęto mu powierzać bardziej odpowiedzialne zlecenia. Już od ponad roku, korzystając z krycia jako pracownik ambasady, był głównym łącznikiem i koordynatorem grupy agentów w Izraelu będących na usługach Bagdadu.

Dziwne towarzystwo, pomyślał. Amerykański Żyd konspirujący z Arabami przeciwko państwu żydowskiemu. Tak by to przynajmniej wyglądało dla niewtajemniczonego świata, gdyby się kiedykolwiek wszystko wydało - naturalnie dla otwartego, jawnego świata. Prawdziwego? Martin widział to odwrotnie. Prawdziwym światem był ten, w znacznej mierze niewidoczna w którym żył i poruszał się - świat zdecydowanych, oddanych ludzi. Ludzi poinformowanych, świadomych rosnącej groźby wiszącej nad całym światem, istniejącej tak długo, jak długo klocki domina będą przewracać się na siebie, doprowadzając w końcu do ostatecznej katastrofy. Ludzi z silną motywacją, wierzących, że są w stanie popchnąć klocki domina z powrotem, złamać wzór, sprawić, że upadną w inną stronę. Wykorzystując w tym celu wszystkie dostępne środki. I do diabła z towarzyszami. To jest wojna, wojna o przetrwanie. Nie tylko dla starych dobrych Stanów Zjednoczonych ani młodego Izraela, który od tak dawna cieszył się pełnym, ślepym poparciem Ameryki. W tej wojnie wrogiem był Armageddon.

Martin Singer nie uważał się za zwykłego żołnierza w tej wojnie, za jeden z niezliczonych pionków manipulowanych przez pozbawioną twarzy CIA. Znał swych przełożonych, został wtajemniczony w pełny obraz sytuacji i na bieżąco konsultował się z twórcami polityki Firmy. Całym sercem popierał scenariusz bliskowschodni, zgodnie z którym Firma zaczęła bardziej interesować się tym rejonem niż Ameryką Środkową. Oczywiście

wniosek nasuwał się sam: decydująca konfrontacja będzie miała miejsce w pobliżu Izraela, ojczyzny jego przodków. Od czasu drastycznej eskalacji cen ropy naftowej dziesięć lat temu, finansowy środek ciężkości Ziemi skupił się na obszarze zaledwie kilkudziesięciu kilometrów kwadratowych na zachodnim brzegu Zatoki Perskiej. Obszar zawierający połowę światowych zasobów ropy, produkujący miliardy dolarów dziennie dla kraju, którego flaga powiewała nad krajobrazem pełnym szybów. Jeśli porównałeś wartość poszczególnych obszarów świata z ich stopniem obronności, jak to zrobili eksperci z CIA, prawda narzucała się sama. Zatoka Arabska nie mieściła się nawet na wykresie. Owoc tak kruchy, tak słabo broniony, że aż się prosił, by jakaś obca siła, dostatecznie potężna i pozbawiona skrupułów, sięgnęła i go zerwała.

Rezultatem byłby powszechny chaos, groźba wojny atomowej. Nie wolno do tego dopuścić. Aby zapobiec podobnej katastrofie, kraj Martina wydawał miliardy dolarów, tworząc największy ruchomy system obronny, jaki kiedykolwiek istniał, dwustutysięczne Siły Szybkiego Reagowania. Natychmiast po wybuchu konfliktu piechota morska, komandosi, całe dywizje lotnicze mogły zostać przerzucone na pokładach supertransportowców, przystosowanych do lądowań na krótkich pasach lotniczych.

Na przeszkodzie stanęły jednak nieprzewidziane problemy logistyczne. Dla pełnej skuteczności SSR potrzebna była na terenie Arabii Saudyjskiej stała baza operacyjna, mogąca magazynować amunicję i cały sprzęt pomocniczy, niezbędny dla pomyślnej operacji wojskowej. Wyznaczono takie miejsce i wynegocjowano zgodę Saudyjczyków: Rub' al-Khali, rozległy „Pusty Obszar” w centralnej Arabii Saudyjskiej. Aby zapobiec przedostaniu się na zewnątrz informacji o lokalizacji bazy, cały program prowadzono jako akcję wywiadowczą, której kierownictwo powierzono CIA. Miała to być największa operacja w historii Agencji, a na jej czele postawiono Singera.

Teraz jednak król Fahd zaczął się wahać, zaniepokojony przedłużającą się koniecznością ukrywania przed własnym narodem istnienia bazy amerykańskiej. Wśród Saudyjczyków rosła nieufność do Amerykanów, spowodowana głównie amerykańskimi dostawami broni dla Izraela, zwłaszcza

w obliczu negocjacji o autonomię palestyńską, zablokowanych przez nieprzejednane stanowisko rządu Likudu. Udzielenie zezwolenia na rozbięcie bazy odłożono na czas nieokreślony. Może później, mówiono Amerykanom. A czas naglił.

Firma nie miała w zwyczaju siedzieć z założonymi rękami. Głównemu agentowi w Izraelu polecono pchnąć sprawę z martwego punktu. Dla Martina Singera, wieloletniego dyplomaty, który spędził ostatnie osiem lat w ambasadzie amerykańskiej w Tel Awiwie pracując z rządem Begina, pierwszy krok był oczywisty. Twarda linia koalicji Likudu zatruwała stosunki saudyjsko-amerykańskie. Konieczna była zmiana rządu.

Jeden klocek domina po drugim, padające na siebie. Pierwszym będzie incydent, który obali Likud i otworzy drogę do rozmów opozycji z Palestyńczykami. Ale jak? Odpowiedzi dostarczył szyfr szachowy, który przyszedł pocztą dyplomatyczną tydzień temu, kiedy Singer był jeszcze w ambasadzie. Kiedy odczytał wiadomość, opanowało go niezmierne podniecenie. W sam raz! Ten plan się powiedzie. Szkoda, że trzeba stracić kilku Amerykanów, ale wyższe dobro usprawiedliwia ofiarę.

Jako wysoki rangą agent iracki w Tel Awiwie, Martin nadzorował kierowaną przez Bagdad siatkę sześciu agentów. Celowo wyznaczył sobie rolę łącznika z irackim pilotem, aby mieć okazję ocenić go w trakcie przekazywania rozkazów. Był pod wrażeniem tego, co zobaczył i usłyszał. Z tej strony nie groziły wpadki.

Bardziej niepokoił się, że jakiś wścibski pracownik kontrwywiadu może wpaść na trop przed przeprowadzeniem operacji. Oczywiście od początku było wiadomo, że przecieki tajnych informacji z ambasady zostaną w końcu odkryte. Jednak odkrycie to zdarzyło się w niekorzystnym momencie. Na wiele tygodni przed opuszczeniem ambasady Martin wiedział o dochodzeniu wszczętym przez Abernathy'ego, pracownika wywiadu dyplomatycznego. Nie miał się wówczas czego obawiać. Znajdował się poza wszelkimi podejrzeniami; dokładnie zacierał ślady, a Abernathy odznaczał się niezwykłą głupotą.

Teraz jednak otrzymał wiadomość od irackiego agenta w Jerozolimie, że ten stary głupiec na coś jednak wpadł; w dochodzeniu pojawiło się

nazwisko Martina. Nadeszła też inna niepokojąca informacja. Jego była dziewczyna pracowała dla Mosadu i istniały dowody, że izraelski wywiad także wie o przeciekach informacji z ambasady amerykańskiej.

Zaczynali deptać po piętach. Czy uda mu się wytrwać do przeprowadzenia ataku na AWACS-a? Musi! Abernathy i Daniela. Gdyby tych dwoje zeszło się i porównało notatki, nastąpiłaby katastrofa. Źrenice świdrujących niebieskich oczu zwężyły się. Możliwe, że coś trzeba będzie z tym zrobić.

Chyba po raz dwunasty w ciągu ostatniej godziny samochody na zatłoczonej szosie między Tel Awiwem a Jerozolimą utknęły w korku. Na zirytowany okrzyk pasażera siedzącego na tylnym siedzeniu taksówkarz wyrzucił ręce w górę w geście bezradności. Mrużąc oczy w zapadających ciemnościach Dawid Llewellyn usiłował odczytać godzinę na swym zegarku. Nie zdąży już złapać ambasadora w biurze. Miał tylko nadzieję, że zastanie Abernathy'ego. Musiał wyrzucić z siebie kilka spraw i nie chciał z tym czekać do rana.

Podróż powrotna z Arabii Saudyjskiej okazała się koszmarem. Zamiast pół dnia, trwała od świtu do zmierzchu. Zaczęło się od informacji o bombie podłożonej na lotnisku w Rijadzie. Wszystkie bagaże wyniesiono z samolotu i drobiazgowo przeszukano, co zajęło dwie godziny. Zaledwie kilka minut spóźnił się na przesiadkę w Kairze i parę godzin musiał czekać na kolejny samolot odlatujący późnym popołudniem. Kiedy wreszcie dotarł na lotnisko Ben Gurion, po limuzynie ambasadora, która miała na niego czekać, nie było ani śladu. Jego informacja o zmianie godziny przylotu najwyraźniej nie dotarła.

Nie pozostawało nic innego, jak wydać pieniądze na taksówkę; tylko w ten sposób miał szansę zastać jeszcze kogokolwiek w ambasadzie. Już miał zamiar wybuchnąć z powodu opóźnienia, kiedy taksówkarz wydostał się z zatłoczonych okolic lotniska. Śmieszne, Dawid mógłby przysiąc, że w tłumie przechodniów dostrzegł swego kolegę dyplomatę, poprzednika na placówce w Izraelu, który przed kilkoma dniami miał przecież wrócić do Ameryki. Kiedy jednak opuścił okno ledwo pełznącej taksówki i zawołał

Martina po imieniu, blondyn w ciemnych okularach, stojący zaledwie kilka kroków od niego, spojrział na Dawida i odszedł. Czyżby się mylił? Nie sądził; chyba że Martin miał brata bliźniaka.

Samochody na autostradzie zaczynały się posuwać. Nareszcie! Dawid nie jadł nic od śniadania, a burczenie w żołądku nie poprawiało mu nastroju. Także jego umysł burczał, wciąż na nowo obracając rewelacje usłyszane od saudyjskiego księcia. Jednak tu, w Jerozolimie, wszystko to wydawało mu się tak niewiarygodne i nierzeczywiste. Zdał sobie sprawę, że nie może w to uwierzyć, podobnie jak nie mógł uwierzyć, że motywacje Daniela były nieszczerze, że wykonywała tylko swoją pracę jako agentka Mosadu. Musiało istnieć inne wytłumaczenie, jakaś większa całość, która wyjaśniałaby także fakt, dlaczego Abernathy, ten sukinsyn cierpiący na niedobór personelu, wypaplał o nim Saudyjczykowi. Jeszcze tej nocy wycisnie z niego prawdę. A potem odszuka Danielę.

Kiedy wreszcie ujrzał światła ambasady amerykańskiej, dał znak taksówkarzowi, żeby zajechał od tyłu, gdzie zostawił samochód. Czy to naprawdę było wczoraj rano? Boże, zdawało się raczej, że minął tydzień. Wóz stał tam, gdzie go zaparkował, w rogu niemal opustoszałego parkingu. Tylko dwa inne samochody dotrzymywały mu towarzystwa. W jednym z nich rozpoznał ciemnoniebieskiego Fiata i poczuł przyspieszone bicie serca. To samochód Abernathy'ego.

Po wyjęciu bagaży zapłacił taksówkarzowi z sowitym napiwkem; taksówka odjechała, a Dawid ruszył do tylnego wejścia. Nie ma sensu wchodzić od frontu; strażnik dawno już odszedł. Przed drzwiami zawahał się, próbując bezskutecznie przypomnieć sobie szyfr, którego nauczył się zaledwie dwa dni temu. Odprężył się i kombinacja wróciła z niepamięci. Przycisnęła cyfry na mechanicznym zamku i drzwi ze szczękiem ustąpiły.

Cisza panująca w opustoszałej ambasadzie, a także skąpe oświetlenie niczym w grobowcu przywodziły Dawidowi na myśl jego pierwszą nocną wizytę, akurat tydzień temu: noc pierwszej konfrontacji z Abernathym. Tamten podkraść się wtedy, zaskoczył Dawida w nowym gabinecie i rzucił cień wątplenia na Danielę. Dziś Dawid postanowił odwrócić sytuację i wycisnąć kilka odpowiedzi z krzykliwego agenta. Nagle, uświadamiając

sobie echo własnych kroków, zaczął celowo stukać obcasami o polerowaną, kamienną posadzkę. Idę do ciebie, Abernathy, a kiedy chcę z kimś porozmawiać, nie zakradam się do niego jak złodziej.

Gruby dywan wyściełający schody stłumił staccato jego kroków. W piwnicznym korytarzu miejsce jarzeniowego światła wyższych pięter zastępował zimny, nieziemski blask nielicznych lamp fluorescencyjnych. Dawid pomyślał, że surowe oświetlenie jak najbardziej pasuje do sanktuarium Operacji Konsularnych; w pomieszczeniu panowała atmosfera sprzyjająca dziwnym, skrytym spiskom, jakie tu knuto.

Z gabinetu Abernathy'ego nie dochodził żaden odgłos, ale agent musiał tam być. Przez otwarte drzwi światło wydostawało się na pusty mroczny korytarz. Nagły odgłos sprawił, że Dawid odwrócił się gwałtownie, czując przyspieszone bicie serca. Zrozumiał, że był to trzask tylnych drzwi ambasady. Ktoś opuścił budynek, pewnie właściciel trzeciego samochodu stojącego na parkingu. Wziął głęboki wdech. Czemu był taki spięty?

Dwa kroki od drzwi gabinetu poczuł przyczynę i serce ponownie załomotało. Zapach przypominający drewno sandałowe połączone z innym egzotycznym składnikiem. Jej zapach - Daniela. Nie mógł się mylić. Zapach zbyt głęboko wrył mu się w pamięć, nie opuszczał go od tamtego spędzonego razem popołudnia; przenikał jego myśli, jego sny. Wpadł do gabinetu.

Abernathy czekał na niego, wyprostowany w fotelu z wysokim oparciem, z nieodłączną fajką z morskiej pianki w zębach, wpatrzony w drzwi. Dawid rozglądał się szukając Daniela, ale pozostał tylko ten zapach. Wiedział, że tu była. Ze złością odwrócił się do pracownika wywiadu dyplomatycznego.

- Gdzie ona jest? Gdzie Daniela? Gdzie, do diabła, jest...

Coś w wyglądzie Abernathy'ego przykuło uwagę Dawida. Ten człowiek ani drgnął. Jego oczy były zbyt rozwarte, zbyt puste, skoncentrowane nie na Dawidzie, ale na czymś, co działo się daleko, o całą nieskończoność dalej: agent Operacji Konsularnych nie odpowie na żadne jego pytanie. Ani niczyje. Już nigdy.

Fajka wypadła nagle z niemych szczęk i z grzechotem spadła na biurko.

Znieruchomiały z przerażenia Dawid patrzył, jak Abernathy zaczyna się przechylać, początkowo prawie niezauważalnie i osuwa się na bok z krzesła. Wraz z przyśpieszeniem ruchu głowa ześlizgnęła się ze skórzanego zagłówka i trup zleciał z fotela, znikając z łoskotem za biurkiem. Dawid podszedł i zajrzał za biurko. Ciało leżało na piersiach, z groteskowo skrzyconą głową wpatrzoną w Dawida pustymi oczyma przypominając wszystko, tylko nie istotę żywą.

Wstrząsnął się, nachylił i poprawił głowę do bardziej naturalnej pozycji. Co za głupota. Trupowi to bez różnicy. Cofnął dłoń i ujrzał na niej krew; plecy Abernathy'ego całe były nią wymazane. Cofnął się z obrzydzeniem, wyprostował się i nagle otrzymał potężne uderzenie w tył głowy.

Przez czaszkę przemknęła mu oślepiająca błyskawica, a głowa eksplodowała rozdzierającym bólem. Sięgnął w stronę biurka, minął się z nim i poszybował niczym piórko ostatnie centymetry dzielące go od podłogi. Odpywa w zanikającym zapachu perfum, który ukołysał go i złagodził upadek.

Z gęstej mgły, z kolażu psychodelicznych świateł przyplłynęła ku niemu twarz Daniela, jednak jej oczy były ciemne z niepokoju, mokre od łez. Jej usta wypowiadały słowa, których nie rozumiał, bezdźwięczne słowa, do których sensu pragnął się przebić. Z wysiłkiem walczył o odzyskanie przytomności.

- Nie próbuj się jeszcze ruszać. Leż spokojnie. - Melodyjny głos był dziwnie stłumiony, w tonacji minorowej. To nie były halucynacje - Daniela naprawdę tu była; opuchnięty, pulsujący balon, w jaki zmieniła się jego głowa, leżał miękko w jej ramionach. Nie posłuchał troskliwej rady i natychmiast pożałował; ogarnęły go mdłości i zawroty głowy. Wstrząs mózgu. Znał te objawy. Pozwolił głowie opaść w miękkie chłodne ramiona i zamknął oczy.

- Skąd się wzięłaś? Gdzie, na Boga, się podziewałaś? - Jego głos porbrzmiewał pustym echem, jakby dochodził z głębokiej studni.

- Ćśś! Nic nie mów, leż spokojnie - powiedziała kojąco, kołysząc go delikatnie w ramionach. - Zobaczyłam to ciało przy biurku. To było potworne. Wybiegłam, zobaczyłam twój samochód i wróciłam.

Czekał na dalszy ciąg, ale Daniela zamilkła, jakby jej słowa wyjaśniały wszystko. Albo cokolwiek. Wewnątrz jego głowy setka pytań domagała się odpowiedzi; myśli zaczęły mu się przejaśniać. Wtedy zadał to jedno, najważniejsze pytanie:

- Morderca, ten, kto mnie trzasnął. Widziałaś go?

- Nikogo nie widziałam - odparła kręcąc głową. - Korytarz był pusty. Na górze też nie widziałam nikogo.

Usiadł, walcząc z mdłościami.

- On tu wciąż może być, kryć się gdzieś w piwnicy. W jednym z gabinetów w korytarzu. Nie ma stąd innego wyjścia. Musimy...

- Ktokolwiek tu był, już zniknął - przerwała mu. - Zaraz po tym, jak cię znalazłam, usłyszałam na górze trzask drzwi. Musiał się gdzieś kryć, kiedy szłam korytarzem.

Dawid jęknął i usiłował wstać. Zakręciło mu się w głowie; gwałtownie usiadł w fotelu Abernathy'ego.

- Musimy zawiadomić władze, ambasadora. Zapieczętować ten pokój. Zadzwoń na policję?

- Nie. - Wstała z podłogi, wygładzając sukienkę w miejscu, gdzie spoczywała jego głowa. Z ulgą zauważył, że nie zaplamiał jej krwią. - Dawid, muszę cię prosić o przysługę, dużą przysługę. Nie mogę być w to zamieszana. Chodzi o moje stanowisko w biurze ministra spraw zagranicznych. Mogłabym stracić pracę.

Którą pracę? chciał zapytać, przypominając sobie słowa Abernathy'ego o związkach Daniela z Mosadem. Teraz, kiedy agent leżał przed nim martwy na podłodze, jego ostrzeżenia nabrały większej wiarygodności. Daniela będzie musiała z niejednego się wytłumaczyć.

- Co tu robiłaś? - spytał. - Po co tu przyszłaś? I jak weszłaś do zamkniętej ambasady?

- Zaprosił mnie Abernathy. Podał mi szyfr. Mówił, że wpadł na jakiś trop i że musimy wymienić informacje. Wspomniał o jakimś spisku antyrządowym.

- Sądziłem, że nie cierpisz Abernathy'ego. Czemu nagle mu zaufałaś?

- Nie zaufałam mu, ale postanowiłam przyjść, z nadzieją że dowiem się czegoś, co mogłoby pomóc mojemu... krajowi.

Dawid zastanowił się nad jej słowami. Coś tu nie pasowało. Zaledwie kilka dni wcześniej agent Operacji Konsularnych określił Danielę jako niebezpieczną. Czemu nagle miałby się jej zwierzać?

- Nie wierzysz mi - stwierdziła, odgadując jego wątpliwości.

- To nie ma sensu. Czemu miałby do ciebie dzwonić? Gdyby zechciał powiadomić ministerstwo spraw zagranicznych, zwróciłby się bezpośrednio do twego szefa, Kedara. Albo zrobiłby to przez ambasadora.

Zawahała się, wpatrując się w twarz Dawida.

- Obawiam się, że jest coś, czego nie powiedziałam ci o mojej pracy.

A więc jednak. Nadszedł czas wyznań. Ponownie zebrało mu się na mdłości, tym razem bez związku ze wstrząsem mózgu. Daniela była jedną z nich, cholernym szpiegiem. Przez cały czas nim igrała. Szaleńczy romans okazał się zabawą.

- Chciałam powiedzieć ci wcześniej, ale, widzisz, kazali nam przysiąc, że nie wyjawimy tego nikomu, nawet... rodzinie. Dla mnie nie był to problem, bo nie mam żadnej rodziny.

Zawahała się. Wyznanie przychodziło jej z trudem. Wyręczył ją.

- Daruj sobie wyjaśnienia - przerwał jej chłodno. - Abernathy już mi powiedział. Przejrzał cię.

- Co ci powiedział? - Podniosła ze zdumieniem brwi.

Z piersi Dawida wydobył się krótki, głuchy śmiech. A więc gra miała toczyć się dalej.

- Powiedział mi, że twoja praca w ministerstwie spraw zagranicznych to tylko przykrywka - ciągnął tym samym apatycznym tonem. - Że jesteś agentką Mosadu. Że do twoich obowiązków należy szpiegowanie nas, waszych amerykańskich przyjaciół.

Daniela odzyskała głos.

- Nie, Dawidzie, nie! Nie możesz w to wierzyć. To nieprawda. - W jej głosie zabrzmiała rozpacz. Sięgnęła po jego dłoń, chcąc go zapewnić poprzez fizyczny kontakt, potwierdzić prawdziwość intymności, jaka ich wcześniej łączyła. Dawid przyjął jej dłoń obojętnie, nie odpowiadając na gorący uścisk.

Unikał jej wzroku.

- Martina też pewnie szpiegowałaś. - Mówił gorzko, nie mogąc się opanować. - Historia o tym, że cię rzucił - było akurat na odwrót, co? Nie mógł już ci się przydać. Ale ja tak.

- Dawidzie, przestań! Jak możesz...

- A przy okazji, jeśli będzie to dla ciebie jakimkolwiek pocieszeniem: twój kochanek nie wrócił jednak do żony. Wciąż tu jest; widziałem go dzisiaj w Tel Awiwie. Ale pewnie o tym wiedziałaś.

- Co? - Niekłamanie zaskoczenie w głosie Daniela kazało Dawidowi ponownie spojrzeć jej w oczy. Były szeroko rozwarte; ostatnia wiadomość zatrzymała łyż wywołane zarzutami Dawida. - Martin? Jesteś pewien? Ale to znaczy... Dawid, musimy ostrzec...

Reszta jej wypowiedzi utonęła w potoku słów wykrzykiwanych przez megafon w korytarzu. Dawid nie rozumiał sensu hebrajskich okrzyków, ale ujrzał, że Daniela kuli się ze strachu. Kiedy wiadomość powtórzono po angielsku, zrozumiał dlaczego.

- Tu policja. Jesteście aresztowani pod zarzutem morderstwa. Budynek jest otoczony, nie dacie rady uciec. Wyrzucicie broń przez drzwi. Potem wychodźcie na czworakach. Dalej!

Atramentowa ciemność stopniowo ustępowała blademu blaskowi na horyzoncie. Martin Singer patrzył, jak biała aura rozciąga się i nabiera intensywności. Światła Tel Awiwu. Lotnisko Ben Gurion musi być niedaleko.

Wyciągnął szyję, wpatrując się w ciemność po obu stronach samolotu. Kiedy dostrzegł migoczący świetlny sygnał lotniska, jego napięcie zaczęło ustępować. Nocne latanie nie należało do jego specjalności. Zbyt łatwo stracić orientację, zabłądzić, nawet na takiej krótkiej trasie jak ta.

Położył samolot na lewym boku i zaczął schodzić do lądowania. Pod prawym skrzydłem pojawił się utęskniony widok lotniska: rzędy skrajnych niebieskich świateł otaczające żółte, oznaczające pasy startowe. Niebieskie i żółte światła przypominały Martinowi o Hanuce. Festiwal Świateł nigdy nie wyglądał cudowniej.

Po raz pierwszy od nieoczekiwanego spotkania z Dawidem Llewellynem na lotnisku, umysł Martina zaczął się rozluźniać. Wtedy pomyślał, że

to bardzo niefortunny przypadek. Zmusił Martina do wcielenia w życie planu, który się jeszcze w pełni nie ukształtował. Nie mógł ryzykować ewentualności, że tamten go rozpoznał i powiadomi ambasadę o fakcie, że Martin wciąż jest w Izraelu. Abernathy miałby się wtedy na baczności.

Jednak spotkanie z Llewellynem okazało się pomyślnym zrządzeniem losu. Zdopingowało Martina do natychmiastowego działania; musiał dotrzeć do ambasady przed Llewellynem. Dzień zwłoki, nawet godzina mogłaby się okazać zgubna w skutkach. Abernathy był gotowy do zadania ciosu; dysponował wystarczającą liczbą dowodów i danych, by przeszkodzić całej operacji. Spotkanie z Danielą byłoby decydujące; potwierdziłoby podejrzenia Abernathy'ego, a także, poprzez dziewczynę, wywiad izraelski dowiedziałyby się o wszystkim. Martin nie mógł do tego dopuścić.

Włączył radio i nadał do wieży kontrolnej:

- Wieża Ben Gurion, tu Cessna A7744Y, proszę o pozwolenie na lądowanie. Odbiór. - Mówił po hebrajsku, gardłowym głosem prawdziwego właściciela samolotu. Wiedział, że, w razie konieczności, ten człowiek przysięgnie, że leciał dzisiejszej nocy.

- Pozwolenie udzielone - odpowiedziało z trzaskami radio. - Ląduj na pasie północno-zachodnim, kierunek zero cztery dwa. Barometr trzydzieści przecinek jeden cztery. Wiatr północ na północny zachód, zero dwanaście węzła.

Podszedł do lądowania, opuścił koła i włączył światła.

Nie, nie miał innego wyjścia. Stawka była zbyt wysoka; Abernathy'ego trzeba było uciszyć. Szkoda. Przestań zgrywać hipokrytę, upomniał się, wiesz dobrze, że nigdy nie mogłeś znieść tego nadętego małego skurwiela i jego idiotycznych afektacji. Ostateczną decyzję podjął w momencie, kiedy ujrzał mały samochód Danieli parkujący tuż przed nim na parkingu ambasady. Przez chwilę bał się, że ją także będzie musiał zabić. To naprawdę byłaby szkoda. Jednak szczęśliwie weszła do toalety, dając mu czas na zaskoczenie Abernathy'ego. Czysta robota. Jedna kula w tył głowy. Śmierć na miejscu.

Widok agenta wyprostowanego sztywno w fotelu, z szeroko rozwartymi oczami, wywarł na Danieli pożądany efekt. Wydała stłumiony okrzyk i

wybiegła z ambasady, dając Martinowi czas na znalezienie w biurku i gabinecie wszelkich materiałów mogących zagrozić operacji. Nie dość jednak czasu, jak się okazało. Ledwo zaczął poszukiwania, kiedy kolejny gość nie w porę - Llewellyn - obwieścił swe przybycie ciężkimi krokami na marmurowej posadzce westybuli piętro wyżej.

Ukrył się za szafką, poczekał na stosowny moment, po czym dokończył poszukiwań, pomagając sobie kolbą pistoletu automatycznego. Rozbiwszy zamek szuflady biurka, znalazł to, czego szukał - kopertę z raportem o prywatnym dochodzeniu Abernathy'ego w sprawie przecieków tajnych informacji z ambasady. Koperta leżała teraz obok niego na siedzeniu pilota. Przeczyta jej zawartość później, w wolnej chwili. Na razie miał okazję tylko ją przejrzeć, ale i to mu wystarczyło. Aż zbyt dobrze rozpoznał nazwy dokumentów, o których sądzono, że zostały wyjawione. Na kilku dalszych stronach dostrzegł własne nazwisko.

Szafki z dokumentami agenta wywiadu dyplomatycznego sprawiały wrażenie niemożliwych do sforsowania. A znajdowała się tam jedna teczka, którą Martin szczególnie pragnął dostać w swoje ręce. Rozważał możliwość odstrzelenia zamka, kiedy stukot szpilek na korytarzu odwiódł go od tego pomysłu. Ukrył się w gabinecie obok do czasu, kiedy Daniela odeszła w głąb korytarza, po czym zdecydował się na taktykę zmylenia i opóźnienia: anonimowy telefon na policję. Aresztowanie pod zarzutem morderstwa mogło pozbawić Danielę jej krycia i przeszkodzić w pracy szpiegowskiej. Musiał zrobić cokolwiek, by opóźnić proces ujawniania informacji, jaki musiało uruchomić zabójstwo Abernathy'ego. Do czasu, kiedy będzie już zbyt późno, by ktokolwiek czy cokolwiek mogło Martinowi przeszkodzić.

W miarę jak lekki samolot obniżał lot, patrzył na światła pasa startowego, biegnące mu na spotkanie najpierw wolno, potem coraz szybciej. Schodził łagodnie, redukując przepustnicę. Jak wysoko mógł się znajdować, pięć, piętnaście metrów? W nocy prawie nie sposób było ocenić odległości. Gdyby samolot wytracił prędkość zbyt wysoko nad pasem...!

Przednie koła ze zgrzytem dotknęły ziemi, a koło ogona osiadło gładko na betonie; Martin przyciągnął do siebie drążek i przycisnął pedały steru.

Lądowanie przy dwóch i pół punktu. Nieźle jak na niedzielnego pilota.

Jego umiejętności pilotażowe stanowiły pilnie strzeżony sekret; nie padała o nich wzmianka nawet w obszernych aktach dyplomatycznych. Nawet CIA o nich nie wiedziała. Odbył kurs na własną rękę tu, w Izraelu, wykradając to rano, to popołudnie ze swej pracy w ambasadzie, aż otrzymał licencję pilota. Niemało go kosztowała, pomyślał, i nadal go kosztuje. Układ z właścicielem Cessny nie był tani, jednak dzisiejszej nocy się opłacił.

Dotarłszy do końca pasa startowego lekki samolot skręcił na parking dla prywatnych maszyn i zatrzymał się między dwoma Commanderami. Silnik chrząknął i zgasł; zapadła nagle cisza. Martin Singer podniósł klapę, wziął głęboki wdech chłodnego nocnego powietrza i wypuścił je powoli. Po wszystkim. Został zmuszony do działania pod wpływem impulsu; nie miał dość czasu, by powiadomić przełożonych z CIA ani wywiadu irackiego. Nie muszą o niczym wiedzieć. To sprawa Martina.

Iracki *slik* przeniesiono całkiem niedawno. Teraz znajdował się na tyłach koszerne targu mięsnego. Singer uśmiechnął się na myśl o ironii. Hebrajskie słowo „slik” oznaczało sekretną kryjówkę. *Slików* używał w Tel Awiwie kilkadziesiąt lat temu wywiad Hagany, Szai; tę hebrajską sylabę zawsze wymawiano szeptem, w obawie przed brytyjskimi szpiclami w końcowym okresie Mandatu. Budowano fałszywe ściany kryjące ukryte pomieszczenia. Anglicy nigdy ich nie odkryli.

Ludzie z Szai byliby dumni z ostatniego irackiego *sliku*. Małe, niewidoczne drzwi w chłodni, za wiszącymi półciami mięsa, prowadziły do ukrytego pomieszczenia, ledwo mieszczącego biurko, krzesło, szafkę i radio odbierające krótkie fale. Właścicielem targu mięsnego był iracki rzeźnik, także agent, udający Izraelczyka. Sprzedawców obsługujących klientów nigdy nie wpuszczano do chłodni, zamkniętej, kiedy jej nie używano. Byli przyzwyczajeni do inspektorów i hurtowników, których rzeźnik wprowadzał niekiedy do środka.

O tej godzinie w sklepie był tylko jeden sprzedawca, obsługujący

samotnego klienta. Szeleszcząc papierami wyglądającymi jak oficjalne dokumenty, Martin wszedł i spytał o rzeźnika. Zwalisty właściciel pojawił się natychmiast, wycierając dłonie o poplamiony krwią fartuch. Spojrzał na Singera, potem na zegarek.

- Spóźniłeś się dziś - zauważył zrzędliwie. - Właśnie zamykamy.

Martin wzruszył ramionami i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Może powinienem zrobić rezerwację? Znasz naszą procedurę. Możemy wpaść bez zapowiedzi o każdej godzinie. Lepiej, żebyś nie wiedział, kiedy przyjdziemy.

- Nie wiem, co masz nadzieję znaleźć. Sprzedaję wołowinę tylko najwyższej jakości. Nie tak, jak ten sprzedawca koniny ulicę dalej. - Mrugnął do sprzedawcy i klienta, którzy się uśmiechali. - No, wejdz do środka. - Otworzył drzwiczki prowadzące za ladę i zaprosił „inspektora” za zasłonięte drzwi prowadzące do chłodni.

- Jesteś lekko ubrany. Tam jest zimno.

- Przeżyję. Jestem przyzwyczajony. - Mężczyźni zniknęli w chłodni, a ciężkie, izolowane drzwi zatrzasnęły się za nimi.

- Przyszedł dziś do ciebie list - powiadomił rzeźnik gościa cichym głosem. - Ten specjalny, w kwadratowej kopercie. Położyłem go na stoliku.

- Czemu mnie nie zawiadomiłeś? - zachnął się Singer. - Wiesz, że powiedziałem...

- Próbowałem - przerwał mu tamten. - Zostawiłem wiadomość u twojej gospodyni. Powiedziała, że nie było cię przez cały dzień.

Zniknął za rzędem półki wiszących na hakach i mięsistą ręką sięgnął do podpórki podtrzymującej pręt z hakami. Z cichym, prawie niesłyszalnym warkotem elektrycznego silnika ściana rozsunała się, odsłaniając niski otwór, w którym mógł się zmieścić człowiek tylko zgarbiony lub pochyłony.

Rzeźnik odsunął się, by przepuścić Martina.

- Wracam zamknąć sklep. Zadzwon, kiedy będziesz gotów do wyjścia.

Singer wszedł do kryjówki i przycisnął guzik, który jednocześnie włączył światło i automatycznie zamknął drzwi. Z szaleńczo bijącym sercem

nakręcił kombinację liczb na zamku sejfu. „Specjalnych” kwadratowych kopert używał iracki pilot-szpieg. Czy okaże się, że wiadomość, która nadeszła, ogłasza początek ostatecznego odliczania przed operacją „Ognisty Piec” i zawiera dokładną datę, godzinę oraz inne szczegóły związane z nalotem? Gwałtownym szarpnięciem otworzył szufladę, chwycił list i rozdarł kopertę.

Ku rozczarowaniu Martina, wiadomość zaszyfrowana za pomocą zapisu szachowego była bardzo krótka. Jego wzrok przesunął się momentalnie ku trzem ostatnim posunięciom, których wzór znał już na pamięć: prośba o natychmiastowe spotkanie. Chciwie odszyfrował wcześniejszą część notatki. Nie powiedziała mu zbyt wiele. „Zmiana planów. Moja rola zmieniona. Uderzenie się zbliża. Szczegóły podczas spotkania.”

Dobre i złe wiadomości. Zastanowił się nad tymi drugimi. O jakiej zmianie planów i roli była mowa? Czy coś, co mogło zniweczyć starannie przygotowaną przez Martina operację? Musi poczekać na spotkanie z Irakińczykiem. Niecierpliwie chwycił kartkę papieru i zaczął szkicować zaszyfrowaną odpowiedź ustalającą datę i miejsce spotkania. Skupił się na dwóch innych zdaniach. „Uderzenie się zbliża. Szczegóły podczas spotkania.” Ustalono czas ataku! Musi istnieć więcej szczegółów, niż można przekazać w szyfrogramie. Znacznie praktyczniej zrobić to osobiście; uzyskać słowne potwierdzenie, że wszystko zostało zrozumiane.

Martin Singer skończył szyfrowanie odpowiedzi, po czym zaadresował kopertę, którą jeszcze tego wieczora miał osobiście dostarczyć do bazy lotniczej. Następnie podniósł mikrofon i przycisnął guzik nad zestawem czarnych skrzynek zawierających nadajnik krótkofalowy. Bardzo szczególny zestaw czarnych skrzynek, który rozrzuci jego głos i przekaże go do Bagdadu w „szerokim spektrum”, niemożliwym do wychwycenia przez nasłuch izraelski. Zapaliło się światelko i Martin zaczął mówić przerywanym głosem, po arabsku.

- Abu, tu Akhiwija. Ojczy, tu mały brat. Przygotowuje się barana na rzeź. Zagubiona owca została odnaleziona i jutro wraca do stada. Reszta wełny zostanie ostrzyżona i odesłana do domu.

7.

Kiedy kilka minut po północy zadzwoniono z rezydencji ministra obrony, Zahadiego, Brastow właśnie się golił. Zazwyczaj o tej godzinie głęboko spał, teraz jednak był całkiem ubrany.

Sekretarz oznajmił łaskawie, mówiąc wolno po arabsku, że za godzinę zbierze się specjalne posiedzenie Rady Obronnej.

- Będę tam - odparł krótko Brastow, po czym odłożył słuchawkę, nie udzielając sekretarzowi satysfakcji i nie prosząc o wyjaśnienia, czego tamten na pewno się spodziewał. Zresztą, gdyby poprosił, usłyszałby pewnie wyniosłe pouczenie, że podobnych spraw nie omawia się przez publiczny telefon.

Brastow domyślał się, że nadęty sekretarz był tylko posłańcem, który w nic nie został wtajemniczony. W odróżnieniu od Rosjanina, który ponad pół godziny wcześniej został uprzedzony przez jednego ze swoich ludzi za pomocą prostego szyfru. Przez ten sam publiczny telefon.

Wróciwszy do łazienki wziął lśniąca prostą brzytwę, zgarnął resztki piany z twarzy, po czym wytarł ją świeżym parującym ręcznikiem z podgrzewanej srebrnej miski. Pierwsza wiadomość zarówno go zaniepokoiła, jak i podnieciła. Ci Izraelczycy są naprawdę nieprzewidywalni. Kiedy już myślisz, że ich przycisnąłeś, wymyślają nowy numer. To godny przeciwnik; zawsze możesz liczyć na ciekawą rozgrywkę.

Wieść o zmianie strategii tylko umocniła opinię Brastowa o tym i naostrzyła apetyt na nadchodzącą rozgrywkę. Ale czy te wiadomości spotkają się z taką samą reakcją Irakijczyków? Czy może zachwieją ich wiarą w powodzenie planu AWACS? Zwołanie specjalnego posiedzenia w środku nocy wskazywało na stan pogotowia. Czy spanikują i postanowią się wycofać?

Zadał to pytanie chytrym oczom patrzącym na niego z lustra. Pulchna twarz cherubina, zaróżowiona po goleniu, nie знаła odpowiedzi.

Ci sami aktorzy, zauważył Brastow siadając za gładkim hebanowym stołem konferencyjnym Amahla Zahadiego. To samo miejsce. Czy także ta sama akcja? Wrócił myślami do posiedzenia, które odbyło się w gabinecie ministra obrony zaledwie kilka tygodni temu, kiedy po wystąpieniu Brastowa zebrani wyrazili poparcie dla jego śmiałego gambitu. Spojrzał na dwóch ludzi, którzy, wiedział to, musieli już znać werdykt: Zahadiego i al Fawziego, szefa wywiadu. Na obu twarzach widział niepewność, obaj unikali wzroku Rosjanina. W razie jakichkolwiek wątpliwości będzie je musiał zdusić w zarodku. Zsunął ze stóp za ciasne półbuty. Ta sytuacja może wymagać starego, dobrego walenia butem w stół, w stylu Chruszczowa. Obcasem z twardej skóry w polerowany stół.

Tym razem Zahadi nie marnował czasu na wstęp.

- Wezwałem was tutaj o tej niewygodnej porze, ponieważ musimy podjąć ostateczną decyzję i mamy na to bardzo mało czasu. Zaledwie kilka godzin temu otrzymaliśmy wiadomość od naszego głównego agenta w Tel Awiwie, który dopiero co wrócił ze spotkania z El Aurenssem. Posiadamy kompletny plan ataku syjonistycznego. Nalot na Tamuz 17 zaplanowano na piątek, najbliższy piątek, panowie! Za trzy dni!

Podniecenie wstrząsnęło zebranymi jak fala uderzeniowa. Udzieliło się nawet Brastowowi, mimo że dla niego nie była to nowina. Obserwował reakcje i słuchał inwektyw rozbrzmiewających w sali.

- Zniszczymy ich! - krzyczał generał lotnictwa. - Już są martwi!

- Szabas! - ryczał wściekle naczelny dowódca. - Atakuj nas w szabas!

Zahadi uciszył zebranych gestem dłoni.

- Tak, panowie, w szabas. Można było przewidzieć, że atak nastąpi w piątek lub w sobotę, kiedy personel w kompleksie Osirak jest ograniczony do minimum. Syjoniści zechcą umknąć protestów, z jakimi spotkali się po

poprzednim nalocie; zwłaszcza ze strony Francuzów, który stracili jednego z czołowych naukowców. Tamten atak, jak zapewne pamiętacie, miał miejsce w chrześcijański szabas. Nie można oczekiwać, że syjoniści drugi raz popełnią ten sam błąd.

- Jeśli był to błąd. - Gniewne pomruki zawtórowały generałowi. Minister obrony ponownie nakazał spokój.

- Mam wam do zakomunikowania znacznie więcej; rozwój wydarzeń może w dużej mierze wpłynąć na nasze starannie przygotowane plany. Niech mi będzie wolno przedstawić wam informacje, a potem je przedyskutujemy. Mamy bardzo mało czasu. Prezydent Hussein został powiadomiony i jeszcze dziś oczekuje zdecydowanej odpowiedzi, zaraz po południowej modlitwie.

W sali zapanowała pełna oczekiwania cisza, a Zahadi mówił dalej:

- Przedstawię skrót, a potem poproszę szefa wywiadu o zaznajomienie was ze szczegółami. Syjoniści wprowadzili w swym planie dwie zmiany, które wpłyną na nasze przygotowania. Po pierwsze, ataku nie przeprowadzą samoloty F-16, jak oczekiwaliśmy, ale specjalnie zmodyfikowane F-15 ze zwiększoną ilością paliwa. Każdy z tych Eagle Strike, jak je nazywają, ma na pokładzie po dwie dwutonowe bomby oraz rakiety, dzięki którym samoloty same sobie zapewniają ochronę. W nalocie weźmie udział tylko dwanaście maszyn, by zmniejszyć do minimum ryzyko wykrycia przez nasze radary. To mała siła, panowie, ale nie należy jej lekceważyć. Czy muszę wam przypominać o zniszczeniu, jakiego dokonała tylko jedna z tych potężnych bomb, która dotarła do rdzenia reaktora?

- Nie tym razem! - krzyknął naczelny dowódca sił zbrojnych. - Piętnastki czy szesnastki, to bez różnicy. Jesteśmy przygotowani. Tym razem nie zbliżą się do Tamuza 17. Nasze pociski...

- Jedną chwileczkę, Hammud. - Siedzący obok generała Ali Mustafa, położył mu dłoń na ramieniu. - Mówił pan o dwóch zmianach - zwrócił się do ministra obrony. - Czy mogę zapytać o drugą?

- Ta może być dla nas większym problemem - odparł Zahadi z ponurym skinieniem głowy. - Syjoniści wykryli, że wzmocniliśmy obronę Tamuza

17. Podejrzewają, że zainstalowaliśmy radzieckie wyrzutnie pocisków SA-8. Ich samoloty będą wyposażone w specjalny sprzęt zagłuszający, zdolny do neutralizacji naszego radaru.

Na twarzach dwóch wojskowych odmalowała się konsternacja; ich zaskoczone miny świadczyły o respekcie, jakim darzyli izraelski sprzęt neutralizacyjny.

- Te przeklęte zagłuszarki! - wybuchnął szef lotnictwa. - W Libanie unieszkodliwiły syryjskie pociski SA-8.

- W jaki sposób dowiedzieli się o naszych wyrzutniach? - spytał generał. - Zapewniano nas o najwyższych środkach ostrożności! - Spojrzał oskarżycielsko na niskiego szefa wywiadu, którego twarz pokryła się rumieńcem.

Brastowa kusiło włączenie się do akcji, ale się powstrzymał. Niech ci nerwowi Irakijczycy kruszą lepiej kopie między sobą.

- Panowie, panowie! - Zahadi uciszył zebranych, wyrzucając ramiona w górę. - Wspomniałem, że doktor al Fawzi przedstawi szczegółowy raport wywiadu i odpowie na wasze pytanie. Oddaję mu teraz głos.

Szef wywiadu podniósł się z krzesła i wyprostował na całą wysokość swych stu pięćdziesięciu centymetrów. Na jego twarzy o masywnych szczękach wciąż widniała uraza, jaką odczuł po wyzwaniu rzuconym mu przez generała, ale zapanował nad sobą i przyjął wyniosłą postawę.

- Nie ma potrzeby panikować - zaczął uszczypliwie. - Nie nastąpił żaden przeciek. Wróg nie wie o niczym. Gdyby wiedział, chyba nie wysyłałby broni, która jest przestarzała i nieskuteczna w walce z pociskami, które faktycznie instalujemy wokół Tamuza 17, czyli SA-10. - Spojrzał na Brastowa, oczekując na potwierdzenie. - Czy mam rację, towarzyszu doradco wojskowy?

Brastow miał ochotę ucałować drobnego człowieczka.

- Ma pan całkowitą rację, towarzyszu dyrektorze wywiadu. Wyrzutnie pocisków SA-10 niwelują wszelkie niedociągnięcia SA-8. Ich radar jest w pełni odporny na izraelskie zagłuszarki, które w Libanie uporały się z wyrzutniami SA-8. Zostało to udowodnione podczas testów na Syberii.

- Jednak nigdy nie zademonstrowano tego podczas działań wojennych.

- Generał lotnictwa w niebieskim mundurze nie ustępował. - Czemu mielibyśmy ryzykować? Wiemy już, kiedy nadlecą. Moje myśliwce mogą ich przechwycić znacznie wcześniej, zanim dotrą choćby w pobliże reaktora.

Brastow miał gotową odpowiedź, jednak mały buldog go uprzedził.

- Ach tak? A jak macie zamiar ich zlokalizować? Nie posiadamy konkretnych informacji, ale wiemy, że zamierzają lecieć nisko, pod naszym parasolem radarowym. Te nowe Eagle Strike są zaopatrzone w - przeczytał z kartki - system radarowy reagujący na ukształtowanie terenu, umożliwiający lot na małej wysokości z dużą prędkością. - Spojrzał z ukosa na generała. - Jeśli tylko nie załataliście dziur w waszym systemie radarowym, problem pozostaje nie rozwiązany. Bombowce będą siedziały wam na karku, zanim zorientujecie się, gdzie są. Kiedy zechcecie wysłać myśliwce, oni będą już nad Bagdadem.

- Samolot zwiadowczy - zaproponował generał lotnictwa.

- Możemy kazać zwiadowcom patrolować cały teren...

- I zawiadomić wroga, że czekamy z zasadzką, że zawczasu wiedzieliśmy o nalocie? - Tym razem dowódca sił zbrojnych włączył się do dyskusji ze swym kolegą z lotnictwa.

- W chwili kiedy wykryją wasze samoloty patrolowe, po prostu zawrócą i poczekają na stosowniejszą okazję. Poza tym, rozumieją, że wśród nich działa wtyczka. Podpisałibyśmy wyrok śmierci na El Aurensa.

- Dokładnie tak. - Twarz drobnego szefa wywiadu płonęła mściwością.

- Nie powinniśmy sobie pozwolić na zboczenie z pierwotnego planu. Zmiany w ostatniej chwili zawsze powodują kłopoty. Zasadzka, którą z takim trudem przygotowaliśmy przy pomocy rosyjskich przyjaciół, jest sprawna i gotowa do działania. Niepotrzebne są żadne zmiany.

Generał lotnictwa zamyślony zamilkł, ale jego mina nie była już tak otwarcie wroga. Wyglądało na to, że nie ma innych oponentów. Brastow odetchnął swobodniej. Pierwszą przeszkodę pokonano pomyślnie. Z radością powitał wiadomość, że miejsce myśliwców F-16 zajmą Eagle Strike. Informacje o przeprowadzanych w Ameryce pracach nad Eagle były tylko fragmentaryczne, a nie słyszał nic o udziale Izraelczyków w tym

programie. Jedno jednak było pewne. Eagle Strike są z pewnością najnowocześniejszymi samolotami amerykańskiego lotnictwa, maszynami posiadającymi najlepsze parametry myśliwców w połączeniu z najnowocześniejszą na świecie bronią powietrze-ziemia.

Teraz miały przejść test w rękach sprawnych izraelskich pilotów; chrzest bojowy w ogniu zabójczych pocisków SA-10. Najlepsze przeciwko najlepszym. Przełożeni Brastowa na placu Dzierżyńskiego będą zachwyce- ni. Reputacja, która ucierpiała po nieudanej demonstracji broni radzieckiej w kampanii libańskiej, zostanie odzyskana w nagłej, dramatycznej konfron- tacji; opinia światowa z dnia na dzień zmieni zdanie. Było to pewne, Bra- stow nie miał wątpliwości co do rezultatu. Na Syberii widział zniszczenie, jakie siała nowa radziecka broń o niezwyklej szybkości i łatwa w obsłudze.

- Mam kilka dodatkowych pytań, doktorze al Fawzi. - Oczy wszystkich zwróciły się na Ali Mustafę, którego głos w każdej dyskusji miał decydują- ce znaczenie. „Oto nadchodzi”, pomyślał Brastow, zbierając się w sobie przed ostateczną próbą.

- Nie mówiliśmy jeszcze o drugiej części naszego planu - mówił posęp- ny doradca prezydenta - o ataku na AWACS-a, w którym nasz agent El Aurens ma odegrać kluczową rolę. Wróg najwyraźniej wycofał z planu sześć myśliwców. Nie poinformował nas pan jeszcze o sprawie podstawow- ej. Czy El Aurens poleci w jednym z dwunastu Eagle Strike?

- Właśnie do tego zmierzałem - odparł szef wywiadu nieco defensyw- nie. - Możliwe, że będziemy musieli odwołać tę historię z AWACS-em. El Aurens nadal jest na liście, ale tylko jako rezerwowi, na wypadek, gdyby jeden z dwunastu pilotów zachorował lub gdyby stało się coś nieprzewi- dzianego.

Rosjanin poczuł skurcz żołądka; o tym go nie uprzedzono. Jego błysko- tliwy plan mógł zostać wyrzucony na śmietnik!

Jednak Mustafa był także całym sercem oddany sprawie ataku na AWACS-a. To był teraz również jego plan; w końcu on przedstawił go Saddamowi Husseinowi.

- Hmm - mruknął w zamyśleniu. - Choroba lub wypadek. Nie powinno być z tym trudności. Twój agent jest człowiekiem sprytnym i ma kontakt

z innymi pilotami, czy tak? Na pewno ćwiczą razem, wspólnie jedzą, śpią w tym samym budynku. Może po prostu każcie El Aurensowi dopilnować, by jeden z pilotów był... niedysponowany.

Drobny człowiek spojrzął na doradcę prezydenta, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Zwrócił wzrok na ministra obrony, ale i od niego nie uzyskał pomocy.

- Istnieją inne problemy - zaprotestował. - Uzbrojenie atakujących, broń powietrze-powietrze została drastycznie zredukowana. - Zajrzał do notatek. - Zrezygnowano z działka, a zamiast sześciu rakiet - dwóch Sparrowów i czterech typu Sidewinder - samoloty zostaną zaopatrzone tylko w dwie.

- Które dwie? - Pytanie wydostało się z ust Rosjanina, zanim to sobie uświadomił. To mogło się okazać istotne. Dwa Sparrowy w zupełności wystarczyły; dwa Sidewindery tylko w ostateczności.

Szef wywiadu ponownie sięgnął do notatek.

- To musi gdzieś tu być. - Wertował kartki, marszcząc czoło z irytacją. - Każdy z Eagle Strike będzie wyposażony w dwie rakiet. - Przeleciał wzrokiem tekst, po czym oświadczył sfrustrowany: - Nie ma tu wzmianki, jakiego typu.

- Towarzyszu Brastow, z pańskiego pytania wnoszę, że typ uzbrojenia ma tu decydujące znaczenie? - Doradca prezydenta wbił wzrok w Rosjanina, czekając na odpowiedź.

Brastow przeklął się w duchu, za pochopne wyskoczenie z pytaniem. Plan trzeba kontynuować, bez względu na typ rakiet, skoro istnieje szansa zestrzelenia AWACS-a i obarczenia winą rządu izraelskiego.

- Oczywiście wołałbym Sparrowy, które mają większe głowice - odparł. - Jednak moi radzieccy doradcy do spraw artylerii zapewniają mnie, że dowolny typ spełni zadanie. Przy tak kruchym celu, jakim jest AWACS, salwa z dwóch Sidewinderów wystarczy aż nadto.

- Mimo to radzę, żeby nasz człowiek w Tel Awiwie wyjaśnił kwestię typu broni. - Mustafa spojrzął na ministra obrony, czekając na potwierdzenie, podobnie jak szef wywiadu, który skończył składać raport i usiadł.

Amahl Zahadi skinął głową.

- Zdecydowanie tak, i najszybciej, jak to tylko możliwe. Zajmiesz się tym? - Kiedy al Fawzi potwierdził, minister zwrócił się do wszystkich zebranych.

- A zatem wszyscy się zgadzamy? Kontynuujemy pierwotny plan w wersji przyjętej podczas ostatniego spotkania. Nie ma potrzeby dokonywania żadnych większych zmian, musimy tylko polecić naszemu agentowi, El Aurensovi, żeby starał się znaleźć za sterami jednego z dwunastu atakujących samolotów. - Znowu spojrzął na al Fawziego. - Czy przekażesz mu to polecenie?

- Załatwione, Ekscelencjo.

- Rozumiem, że jesteście zgodni? - Minister obrony przesunął wzrokiem po twarzach zebranych, w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak sprzeciwu. Brastow wstrzymał oddech. Al Fawzi najwyraźniej dał się przekonać Mustafie. Ale co z dwoma generałami? Szef sztabu był zamyślony, ale wydawało się, że ustąpił. Jego kolega z lotnictwa wpatrywał się w stół, marszcząc czoło. Brastow patrzył i czekał, cisza stawała się nie do zniesienia, aż lotnik przerwał ją, podnosząc wzrok.

- Mam złe przeczucia. Każda broń może zawieść. Widziałem to wielokrotnie podczas działań wojennych; przytrafiało się to nawet doskonałemu sprzętowi produkowanemu w pańskim kraju, towarzyszu generale. - Generał lotnictwa posłał Brastowowi wymowne spojrzenie.

- Jeśli te dwie rakiety, bez względu na typ, okażą się niewypałami, nasz człowiek nie będzie już mógł zestrzelić AWACS-a. Na darmo stracimy najlepszego agenta.

Minister obrony wymienił spojrzenie z doradcą prezydenta. W końcu Zahadi zabrał głos.

- Generale Haddad, czy to nie pan sugerował, że dni El Aurensa i tak mogą być już policzone, i że powinniśmy go wyciągnąć, zanim zostanie zdemaskowany, osądzony i skazany? Wtedy naprawdę byłaby to ofiara, ponieważ stracilibyśmy go na zawsze, a cała wiedza o wrogu, jaką zebrał przez lata, przepadłaby razem z nim. Tymczasem plan, który proponujemy, zakłada ocalenie naszego cenionego szpiega i sprowadzenie go z powrotem do kraju. Jego wiedza, tajemnice syjonistycznego lotnictwa będą do

pańskiej dyspozycji, a ponadto będzie miał pan prawdziwego bohatera, mogącego świecić przykładem dla pańskich ludzi i przyciągać młodych do lotnictwa. Ugłaskany generał lotnictwa zamilkł. Minister obrony spojrzął po twarzach wokół stołu.

- Jeśli nie ma dalszych pytań, realizujemy nasz plan. Dzisiaj mam poinformować prezydenta o rozwoju wydarzeń i o naszym werdykcie. Módlmy się do Allaha o powodzenie tego wielkiego przedsięwzięcia. Zebranie skończone.

Brastow odetchnął głęboko. „Wielkie przedsięwzięcie” - jego wielkie przedsięwzięcie - przetrwało kolejną burzę. Miał pewność, że to już ostatnia. Kości zostały rzucone. Od piątku dzieliły ich już tylko trzy krótkie dni.

Nasz prezydent nie przestaje mnie zdumiewać. - Ali Mustafa przytrzymał drzwi ministrowi obrony, kiedy wychodzili z nowoczesnego wieżowca ze szkła i stali, w którym mieściły się biura rządu irackiego.

- Jak zwykle, nieprzewidywalny - zgodził się Zahadi. - Jednak dziś rano przeszedł samego siebie. Co za wspaniały zwrot! Czemu sami na to nie wpadliśmy?

- Ponieważ, przyjacielu, myślimy defensywnie: nie wyłamywać się z szeregu, trzymać się wytyczonego planu. Saddam Hussein to tygrys. Dostrzegł otwarcie i wszystkie instynkty powiedziały mu: „atakuj!” Dlatego nas wyprzedził.

- Okazał się śmielszy od nas, a bałem się, że jesteście zbyt śmiali - zachichotał minister obrony. - Co powiedziałyby ten Rosjanin, gdyby wiedział?

Mustafa uśmiechnął się, ale potem spoważniał i chwycił ministra za ramię.

- On nie może się dowiedzieć, nasz prezydent postawił sprawę jasno. I, Amahl, te specjalne rozkazy dla El Aurensa - nie wolno ich przekazywać przez naszego człowieka w Tel Awiwie. Tym razem trzeba posłać specjalnego kuriera. Możesz to załatwić?

- Oczywiście, że można to zrobić - odparł Zahadi, marszcząc brwi. - Ale po co tyle zachodu, skoro dysponujemy bezpiecznym kanałem informacyjnym? Czego się obawiasz? Czy podejrzewasz...?

- Nic konkretnego, przyjacielu. To pewnie tylko szósty zmysł starego człowieka. Ale nauczyłem się słuchać takich głosów. A ponieważ ten plan to dziecko naszego prezydenta, nie zaszkodzi przedsięwziąć nadzwyczajnych środków ostrożności, prawda?

Młody detektyw izraelski w czarnym golfie i lewisach, który zjawił się wkrótce po sfotografowaniu i zabraniu ciała, od razu przystąpił do rzeczy. Przedstawił się jako porucznik Ziffer. Natychmiast rozdzielił dwoje podejrzanych, by móc ich oddzielnie przesłuchać i porównać zeznania, jak to leży w zwyczaju policji. Kiedy mundurowy wyprowadzał Danielę do gabinetu obok, rzuciła Dawidowi pośpieszne spojrzenie. Zrozumiał pilną wiadomość. „Nie mów im o mnie; nie zdradz, dla kogo pracuję.”

Nie musiała się obawiać. Nie miał zamiaru mówić policji tego, czego nie musiał. Znajdowali się na wątpliwym terenie; w sensie technicznym ambasada należała do terytorium Stanów Zjednoczonych.

- Proszę mi powiedzieć, panie Llewellyn, co pan tu robił w nocy? - zaczęła porucznik.

- Pracuję tu - odparł krótko. - To amerykańska ambasada. Przebywanie tu należy do moich obowiązków.

Detektyw wyczuł sarkazm, ale przełknął go i ciągnął tym samym gładkim głosem.

- Czy zatem zawsze zostaje tu pan do tak późnych godzin?

- Wracałem z podróży. Miałem tu zaparkowany samochód. Przyjechałem tutaj z lotniska taksówką.

- A młoda dama, panna Zadik - czy towarzyszyła panu?

Potrząsnął głową.

- Co więc tutaj robiła?

- Będziecie musieli ją zapytać.

- Zrobimy to, panie Llewellyn, zrobimy. Ale państwo się znają, czy tak?

Llewellyn skinął twierdząco głową.

- Pracuje dla ministra spraw zagranicznych. Nasza ambasada ma wiele kontaktów z tym urzędem.

- A zatem zna pan ją tylko na gruncie zawodowym? Nie umawiał się pan z nią na randki?

- To nie pański interes! - wybuchnął Dawid. - Poza tym wasze prawodawstwo tutaj nie sięga. Nie mam zamiaru odpowiadać na więcej pytań, zanim porozumiem się z ambasadorem.

Detektyw wręczył mu telefon stojący na biurku.

- Zna pan numer?

Nie odpowiadając, Dawid nakręcił numer rezydencji ambasadora; nauczył się go na pamięć jeszcze przed podróżą do Arabii Saudyjskiej. W słuchawce usłyszał pstryknięcie. Jeden z ludzi Ziffera będzie podsłuchiwał.

Nieprzytomny Abrams, zerwany ze snu w środku nocy, słuchał z niedowierzaniem zwięzłej relacji Llewellyna o zamordowaniu agenta wywiadu dyplomatycznego przez nieznaną sprawców. Obiecał przyjechać natychmiast i polecił podwładnemu w pełni współpracować z władzami.

Porucznik wymienił kilka słów z kimś za drzwiami, po czym podjął przesłuchanie. Porzucił temat Danieli, koncentrując się zamiast tego na podróży, z której właśnie wrócił wysłannik. Kiedy usłyszał, że Llewellyn odwiedził Arabię Saudyjską, zareagował ostro, jakby samo to już stanowiło zbrodnię.

Zabawa się skończyła. Detektyw zachowywał się coraz bardziej wrogo i agresywnie; niektóre pytania graniczyły z oskarżeniami. Dawid znosił to, póki mógł, odpowiadając spokojnie, usiłując zachować kontrolę. Jednak kiedy detektyw wrócił do tematu Danieli, Dawid miał dość.

- Wyjaśnijmy sobie jedno, poruczniku. Czy jestem podejrzany o dokonanie tego morderstwa? Czy panna Zadik jest podejrzana? Czy chcecie nas aresztować?

- Zdecydujemy o tym we właściwym czasie, kiedy porównamy wasze zeznania.

- Poruczniku, jest pan cholernym głupcem! Czy znaleźliście narzędzie zbrodni? Oczywiście, że nie. Morderca zabrał je ze sobą. Podczas kiedy marnujecie tu czas, on ucieka. Jesteśmy całkowicie niewinni; zeznanie panny Zadik pokryje się z moim. Żądam, aby natychmiast nas wypuszczono!

Wstał z krzesła. Detektyw błyskawicznie zerwał się na równe nogi.

- Proszę usiąść, panie Llewellyn! Natychmiast...

Konfrontację przerwało przybycie ambasadora. Dawid z radością ujrzał, jak jego lśniaca łysa głowa wynurza się z ponurego światła jarzeniowego piwnicznego korytarza. Abrams miał wpływy i siłę przekonywania. Można było liczyć, że doprowadzi do zwolnienia Dawida i Daniela.

Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek czuł się bardziej zmordowany. Z tyłu głowy pulsował bólem guz wielkości orzecha włoskiego. Z utęsknieniem myślał o zaciszu swego mieszkania, o gorącym prysznicu, który zmyłby kurz i pot po podróży do Arabii Saudyjskiej i jej szokującym zakończeniu. Wciąż miał wrażenie, że czuje na rękach krew Abernathy'ego. Najpierw gorący prysznic, potem chłód pościeli, gdzie ból głowy ustąpi, pozwalając mu wreszcie myśleć. Musiał sporo przemyśleć, odpowiedzieć sobie na pewne pytania. Inne, niż te, zadawane Dawidowi przez izraelskiego detektywa.

Niektóre pytania były prostsze niż pozostałe. Dawida zastanawiało natychmiastowe przybycie policji. W jaki sposób tak szybko dowiedzieli się o zabójstwie Abernathy'ego? Jak udało im się wejść do pilnie strzeżonej ambasady? Teraz, w chwili wytchnienia, kiedy detektyw rozmawiał z ambasadorem, odpowiedź eksplodowała w umyśle Dawida. To oczywiście zabójca - anonimowy telefon. Musiał poinformować policję, rzucić podejrzenie na Dawida i Danielę, opóźniając tym samym pościg. Tylne wejście do ambasady zostawił otwarte, aby policja zdążyła przyłapać ich na „gorącym uczynku”.

Pytaniem, na które musiał z kolei znaleźć odpowiedź, było nazwisko zabójcy. Ponieważ w umyśle Llewellyna morderca Abernathy'ego i wtyczka, na którą on sam polował, zły się nagle w jedno. Wszystko na to wskazywało. Morderstwo musiał popełnić ktoś z wewnątrz, kto miał dostęp do ambasady i potrafił się po niej poruszać. Nie było śladów rabunku. Dawid miał pewność, że Abernathy zginął, ponieważ odkrył coś, co zagrażało zabójcy. To coś było najprawdopodobniej źródłem przecieków tak bardzo niepokojących wywiad Stanów Zjednoczonych i ich izraelskiego sojusznika.

Kim jednak był morderca-wtyczka? Po śmierci Abernathy'ego Dawid stracił wszelkie poszlaki. A może. Przypomniał sobie nagle reakcję Daniela

na wiadomość, że Martin Singer nadal jest w Izraelu. Nieoczekiwane pojawienie się policji i przeciągające się przesłuchanie chwilowo wyparło tę kwestię z umysłu Dawida. Daniela zamierzała powiedzieć mu coś ważnego. Gdyby tylko mógł z nią porozmawiać!

Czy Martin mógł być w to zamieszany? Nie, to nie miało sensu. Znał Singera od lat. Był on całkowicie otwartym człowiekiem, bez śladu przebiegłości. Może czasami irytującym, ale nie podstępny. Martin - tajnym szpiegiem? To po prostu nie pasowało. Poza tym, czy nie widział go na własne oczy pięćdziesiąt kilometrów stąd i to niedługo przed morderstwem?

Głos ambasadora Abramsa przerwał rozmyślenia Dawida.

- Chodź chłopcze, idziesz do domu. - Położył mu dłoń na ramieniu, mrużąc oczy krótkowidza za okularami w oprawie ze skorupy żółwia, przyglądając się guzowi za lewym uchem.

- Co za śliwa! Możesz mieć wstrząs mózgu. Poruczniku, dlaczego temu człowiekowi nie udzielono pomocy lekarskiej?

- Nie prosił o nią, sir. Jeśli jednak pan sobie życzy, odwieziemy go na pogotowie.

- Nie! - krzyknął Dawid. - Nic mi nie jest. Po prostu chcę iść spać.

- Nie czujesz mdłości ani zawrotów głowy? - nalegał ambasador.

- Nie, sir, wszystko w porządku.

Wstał i ruszył do drzwi. Detektyw powstrzymał go unosząc dłonie w górę.

- Zwalniam pana za poręczeniem ambasadora Abramsa. Jednak wkrótce mogę chcieć znowu z panem pomówić. Pod żadnym pozorem nie wolno panu opuszczać kraju. Żadnych podróży do krajów w rodzaju Arabii Saudyjskiej przed zakończeniem śledztwa. Czy to jasne?

Dawid skinął głową, która rozboleła go na nowo po nagłym wstaniu z krzesła. Pokój zafalował; chciał tylko stąd wyjść, oddalić się od miejsca zbrodni, wyjść na świeże powietrze. Ale zaraz, co z Danielą?

- Daniela, panna Zadik. Chyba jej nie zatrzymujecie?

- Została zwolniona pół godziny temu. Przyjechał po nią sam minister spraw zagranicznych i odwiózł ją do domu.

Uspokojony Dawid ruszył do drzwi.

- Odwiozę pana do domu - zaproponował ambasador.

- Nie, dziękuję, sir. Mam tu swój samochód.

- Chwileczkę, panie Llewellyn, pana rzeczy. - Detektyw wrócił do gabinetu, po czym wrócił z kopertą, której zawartość wysypał na biurko.

- Będą panu potrzebne. - Na blacie pojawiły się portfel, paszport i klucze, odebrane mu przez policję.

Dawid wrzucił klucze i portfel do kieszeni spodni, ale kiedy chował do marynarki paszport, na podłogę wypadła z niego złożona kartka papieru. Podniósł ją niedbałym ruchem i przeczytał.

Muszę z tobą pomówić. Śniadanie w King David, 8 rano. Podpisano pojedynczą literą, D.

Dla wtajemniczonych turystów śniadanie na świeżym powietrzu w hotelu King David stanowiło miłe preludium do zwiedzania Starego Miasta. Z tarasu rozciągał się widok na zachodni mur starożytnej metropolii, na wznoszące się nad nim intrygujące iglice i kopuły, wzmagając ciekawość turystów przed czekających ich zwiedzaniem.

Kiedy Dawid dotarł do hotelu, mimo wczesnej godziny na tarasie siedziało już sporo osób, rozkoszując się widokiem blanków i wałów obronnych cytadeli wzniesionej przez krzyżowców. Stoły zastawione były soczystymi owocami, pieczywem, naleśnikami, jajkami i marynowanymi śledziami.

W rogu, pod palmą w donicy znalazł mały stolik dla dwojga i usiadł tak, by móc widzieć zarówno wejście, jak i Stare Miasto. Był piękny, słoneczny zimowy dzień; lekka bryza niosła obietnicę wiosny - romantyczne miejsce na randkę z piękną kobietą. Jednak w tej chwili w Dawidzie nie było śladu romantyzmu, a tylko gniew potęgowany bólem z tyłu głowy i chęcią szybkiego schwytania sprawcy. Miał już pewność, że to ten sam człowiek, którego miał odszukać i zdemaskować.

Jeśli chodzi o Danielę, to jego uczucia w stosunku do niej były w tej chwili zbyt ambiwalentne, by mogły zostać wypowiedziane. Wciąż przypominał sobie oskarżenie Abernathy'ego, który zarzucał Danieli współpracę

z Mosadem i insynuował, że jej stosunek do Dawida był tylko grą. Fakt, że agent nie żył, w pewien sposób dodawał wiarygodności jego oskarżeniom. Dawid wciąż nie mógł się z nimi do końca pogodzić, jednak kiedy zeszłej nocy postawił jej zarzut, Daniela nie zaprzeczyła.

Spojrzał na zegarek na lewym przegubie: ósma dziesięć; już się spóźniała. Zastanawiał się leniwie, czy to leży w jej zwyczaju. Spóźniła się także na ich pierwsze pamiętne spotkanie: na pożegnalny lunch z Martinem.

Ze swego miejsca na tarasie widział kontury Bramy Jaffo, przez którą wszedł na Stare Miasto za tym pierwszym razem; widział przylegającą do bramy twierdzę krzyżowców, obok której szedł wtedy z Singerem na lunch. Przypomnił sobie zaraźliwe podniecenie, jakie poczuł, kiedy wielobarwna fala ludzi poniosła go przez wąskie przejście ku centrum czcigodnego miasta. I swe zdziwienie na widok Dzielnicy Ormiańskiej z małą restauracyjką na świeżym powietrzu w ukrytym, bocznym korytarzu. A potem pierwsze spotkanie z Daniellą, ostrożnie idącą ku nim w szpilkach po brukowanym dziedzińcu.

Spojrzał na wejście i aż się zachłysnął, tak silne było wrażenie, że przeżywa tamten moment ponownie. Miała na sobie ten sam elegancki dwuczęściowy kostium co tamtego dnia. Weszła na taras i spoglądała spoza okularów przeciwsłonecznych, omiatając wzrokiem stoliki z tą samą zmarszczką koncentracji, jaką pamiętał z pierwszego spotkania. I ten sam uśmiech rozjaśnił jej twarz, kiedy odnalazła go pod palmą.

Pomachał ręką i wstał, patrząc jak płynie ku niemu, stukając szpilkami, już bez okularów, odsłaniając te wielkie, brązowe, wabiące oczy. Niech to szlag! Była wspaniała. Czy była aktorką, czy kimś prawdziwym?

- *Szalom*, Dawidzie. - Podąła mu miękką, chłodną dłoń i uściśniła mocno, w oczekiwaniu na podobny uścisk. Zawiodła się. Spojrzała mu w oczy, ale i tam nie znalazła odpowiedzi. Schylił się, by wysunąć jej krzesło i ujrzała mały opatrunek z tyłu głowy.

- Och, Dawidzie! Musi cię potwornie boleć. Czy lekarz to widział?

- Nie, nie miałem czasu na lekarza. Opatrzyłem to sam.

- Powinieneś pójść do lekarza - nalegała. - Z przyjemnością ci jakiegoś polecę. Mógłby przepisać ci jakieś leki przeciwbólowe.

- Nie, dziękuję. Tylko jedna rzecz uśmierzy ból - schwywanie faceta, który to zrobił.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Chyba nie myślisz o ściganiu go osobiście? Tego... mordercy?

- Dokładnie o tym myślę. - Błysk determinacji w spokojnych szarych oczach powiedział Danieli, że Dawid nie żartuje. - Szczerze mówiąc, od zeszłej nocy o niczym innym nie potrafię myśleć.

Zatroskany wyraz nie opuszczał jej twarzy, nawet wtedy kiedy kelnerka przyniosła kawę, którą Dawid dla nich zamówił, oraz talerz gorących bułeczek. Daniela odczekała, aż kelnerka się oddali.

- Ale, Dawidzie, to może być niebezpieczne. Morderca jest uzbrojony; nie zawahałby się pewnie zabić ponownie. Czy nie powinieneś tego zostawić odpowiednim władzom?

- W rodzaju Ziffera i jego śmiazków? - Zaśmiał się pogardliwie. - Nie odkryliby śladu, nawet gdyby się na nim poślizgnęli. Czy zdajesz sobie sprawę, że ty i ja jesteśmy głównymi podejrzanymi?

Ujrzał na jej twarzy nagły niepokój.

- Nie powiedziałaś im...

- Nie, nie musisz się obawiać.

Sarkazm w jego głosie był czytelny. Czy po to spotkała się tu z nim rano, żeby upewnić się, czy jej nie wydał? Poczul nagle wzbierający gniew.

- A poza tym, co mogłem im powiedzieć? Co takiego o tobie wiem? Oprócz tego, że jeśli faktycznie dla nich pracujesz, jesteś cholernie dobra. Dałem się nabrać jak złoto.

- Nadal myślisz, że ja...? - W jej oczach pojawił się ból. Chwyciła go za rękę. - Nie, Dawidzie! Nie pozwolę, żebyś w to wierzył! To nieprawda!

Odsunął rękę.

- Zaprzeczasz, że jesteś agentką Mosadu?

Obejrzała się uważnie za siebie. Jednak goście przy sąsiednim stoliku byli bardziej zajęci obfitym śniadaniem i widokiem Starego Miasta, niż rozmową toczącą się przy stoliku w rogu.

- Proszę cię, nie mów tak głośno - poprosiła przyciszonym głosem. - Wiesz, że gdybym dla nich pracowała, musiałabym zaprzeczyć. W przeciwnym razie przestałabym być użyteczna.

- Nie musisz mówić nic więcej. - Zaśmiał się szyderczo. - Potwierdziłaś już moje podejrzenia.

- Nie, Dawidzie, proszę cię, posłuchaj. - Zrozpaczona chwyciła go za rękę. - Kiedy byłam z tobą, w to cudowne popołudnie i wieczór, to było zanim...

Urwała, zagryzając wargi, walcząc ze sobą. Na twarzy Dawida widziała ból i zwątpienie. Podjęła decyzję.

- Opowiem ci historię, prawdziwą, o kimś, czyjego nazwiska nie wymienię. Nazwijmy ją moją przyjaciółką, jest *sabraq*, która opuściła *kibuc* i doszła do odpowiedzialnego stanowiska w rządzie.

- Czy przypadkiem nie w ministerstwie spraw zagranicznych? - wtrącił. Skinęła głową prawie niezauważalnie i ciągnęła dalej.

- Miała tylko jednego brata, który znaczył dla niej wszystko. Oboje rodzice nie żyli; ojciec zginął w jednej z wojen arabskich. Brat służył krajowi żarliwie, pełniąc tajne i bardzo ryzykowne obowiązki. Zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa i dopilnował, żeby także była tego świadoma. Chciał ją przygotować na to, co mogło się wydarzyć. Jednak na coś podobnego nie można być przygotowanym. Kiedy moja przyjaciółka dowiedziała się o śmierci brata, zareagowała w nieprzewidziany sposób. Zgłosiła się na ochotnika... wstąpiła do tej samej organizacji.

- Kiedy? - Dawid chwycił jej ramię w stalowy uścisk.

- Dwa dni temu, kiedy wyjechałeś w podróż.

- Więc nie była... nie byłaś...

- Nie, wtedy nie; dopiero później. - Uśmiechnęła się uspokajająco, czując, jak napięcie opuszcza jego mięśnie, widząc, jak surowe oczy łagodnieją.

- To wyjaśnia, dlaczego nie mogłem się z tobą skontaktować. Musiałaś się właśnie dowiedzieć. - Ujął jej dłoń w swoje. - Przykro mi z powodu twego... z powodu brata twojej przyjaciółki.

Z oczu Daniela spłynęły łzy; otarła je.

- Najgorsze, że nie można o tym mówić. Jego śmierć trzeba zachować w tajemnicy; moja przyjaciółka musi ukrywać żalobę.

Otarła oczy serwetką.

- Powinniśmy zjeść śniadanie. Kawa stygnie.

Wyswobodziła dłoń z jego uścisku i naląła z dzbanka do porcelanowych filiżanek aromatyczny płyn.

Tręcili się filiżankami, a Dawid wpatrywał się, w łagodne brązowe oczy, aż napotkały jego wzrok.

- To płaskie i banalne, a poza tym nie pijemy szampana, ale mimo to powiem: za nas.

- A zatem: za nas. Na dobre i na złe.

Pili w milczeniu, pochłonięci sobą, oczarowani zawartą ugodą. Dawid pierwszy przerwał czar.

- Ten szaleniec, Abernathy! Wiesz, on mnie przed tobą ostrzegał, mówił, że twoja praca w ministerstwie spraw zagranicznych to tylko atrapa, że ty... Wszystko pokręcił. Powiedziałem mu, że nie wierzę.

- Oskarżenie na zasadzie skojarzenia. Prawdopodobnie dowiedział się o moim bracie i dokonponował sobie resztę.

Dawid znowu chwycił ją za rękę.

- On musiał odkryć coś jeszcze, przez co zginął! Co to było? Co chciałaś mi powiedzieć, wtedy kiedy wpadła policja?

Jej twarz znowu się zachmurzyła; odwróciła wzrok.

- Nic. Sądziłam przez chwilę, ale się myliłam.

- Danielo, mów! - Dlaczego nagle przestała być szczerą? Sięgnął ponad stołem, chwycił ją za ramiona i odwrócił ku sobie. - To było wtedy, kiedy wspomniałem, że widziałem na lotnisku Martina. Powiedziałaś...

- Wiem, co powiedziałam. Spanikowałam. Martin zachowywał się tak podejrzanie; dawał wszystkim do zrozumienia, że wyjeżdża z kraju. To nie było do niego podobne. Przyszło mi na myśl, że może istnieje inna strona Martina, ciemniejsza, której mi nigdy nie pokazał. To by tłumaczyło, dlaczego Abernathy skontaktował się ze mną - związkiem byłaby moja dawna znajomość z Martinem, o której wiedział. - Powoli potrząsnęła głową. - Ale nie miałam racji.

Puścił jej ramiona i opadł na krzesło.

- Pomyślałem dokładnie to samo. Ale to bez sensu; znam Martina od dawna. Nigdy nie zajmował się niczym podstępny. Poza tym w chwili zabójstwa Abernathy'ego znajdował się kilkadziesiąt kilometrów stąd.

Znowu się nachylił, ujmując jej dłonie.

- Zastanówmy się jeszcze raz. Co dokładnie powiedział ci Abernathy?

- On nie mówił, on pytał - odparła, marszcząc brwi.

- O co? Czasami w pytaniu może się kryć mnóstwo odpowiedzi.

- Nie tym razem. To pytanie dotyczyło mnie, co robiłam w dwa konkretne dni w ciągu dwóch ostatnich miesięcy. Powiedziałam mu, że to bezczelność i odłożyłam słuchawkę.

Teraz Dawid zmarszczył brwi.

- Podejrzewał cię o coś?

- Tak początkowo sądziłam. Był taki agresywny, wiesz, tak jak to on potrafił. Kiedy jednak zadzwonił znowu, mówił znacznie bardziej pojednawczo. Powiedział, że ta sprawa nie ma związku ze mną, że nie jestem przesłuchiwana, ale że ta informacja może mieć decydujące znaczenie dla odsunięcia niebezpieczeństwa zagrażającego obu naszym krajom.

- Jakiego niebezpieczeństwa? Czy podał szczegóły?

- Nie. Próbowałam wyciągnąć z niego coś więcej, ale zastrzegł, że nie może mówić przez telefon i poprosił, żebym natychmiast przyjechała do ambasady. Podał mi szyfr do tylnego wejścia.

- I co wtedy zrobiłaś?

- Zadzwoniłam do mojego przełożonego, powiedziałam mu o telefonie Abernathy'ego i poprosiłam o instrukcje. Poleciał stawić się na spotkanie, a potem o wszystkim go poinformować.

- Co niewątpliwie zrobiłaś, kiedy policja cię zwolniła.

Przytaknęła z niejaką skruchą, a Dawid nie mógł się powstrzymać od zjadliwego uśmiechu.

- To musiał być dla niego szok: minęły zaledwie dwa dni, a jego nowa podwładna już jest zamieszana w morderstwo.

Nowa myśl przysłała mu do głowy. Czy możliwe, że to Mosad ponosi za wszystko odpowiedzialność, że właśnie oni z niewiadomych powodów

usunęli Abernathy'ego? Nie, nic na to nie wskazywało; błędził po omacku. Równie dobrze mógł podejrzewać CIA. Najbardziej prawdopodobne pozostawało jego pierwsze intuicyjne przeczucie. Morderstwo miało związek z przeciekiem informacji z ambasady. Prawie na pewno kryła się za nim wtyczka, której poszukiwał.

Dowody, poszlaki - jak dotąd nie było tego wiele. Na co natknął się zamordowany?

- Wróćmy do pytania Abernathy'ego. Te dwa dni, o które pytał: czy potrafiłaś zrekonstruować, co robiłaś, z kim się spotykałaś?

- Dopiero dziś rano. Nie prowadzę dziennika, jedynie w kalendarzu zapisuję swoje spotkania, ale trzymam go w biurze i zeszłej nocy nie miałam do niego dostępu. Jadąc do ambasady szperałam w pamięci, usiłując sobie przypomnieć cokolwiek niezwykłego, co zdarzyło się w ciągu tych dwóch dni, obu będących dniami pracy. Nie mogłam nic wymyślić.

- Chodźmy po ten kalendarz! - krzyknął, zrywając się z krzesła. Daniela powstrzymała go.

- Mam go tu, w torebce. Dlatego się spóźniłam: wstałam po niego do biura.

- Czy mogę go zobaczyć?

- Tak, ale to bezcelowe. Już go przejrzałam. W żaden z tych dni nie wydarzyło się nic godnego uwagi. To musiały być najbardziej puste i pozbawione wydarzeń dni w moim życiu. Żadnych ważnych spotkań, wywiadów ani konferencji. Nie spotkałam się nawet z Martinem. Nasz lunch został odwołany. Jeśli sobie dobrze przypominam albo miał konferencję, albo wyjechał z miasta.

Ujrzała rozczarowanie na twarzy Dawida.

- To ostatecznie przekonało mnie, że moje intuicyjne przeczucie co do Martina musiało być błędne. Żaden z dni wymienionych przez Abernathy'ego nie ma z nim nic wspólnego.

- Chyba że... - Oczy Dawida nagle rozbłysły. - Danielo, czy nie rozumiesz? To właśnie może być to, fakt, że nie ma o nim wzmianki, że nie było go z tobą!

Patrzyła na niego nie pojmując.

- Przypuśćmy, że Martin posługiwał się tobą jako alibi. Może Abernathy chciał to sprawdzić.

Zmarszczyła czoło, wciąż sceptyczna.

- Dlaczego w takim razie po prostu nie spytał mnie, czy w ciągu tych dwóch dni jadłam z Martinem lunch, kolację czy cokolwiek?

- To proste. Mogłabyś powiadomić Martina, że jest podejrzany. Abernathy nie podejmowałby takiego ryzyka.

W jego umyśle rysował się scenariusz, oparty częściowo na odpowiedziach, jakie uzyskał od Danieli.

- Które to były dni?

- Piętnasty grudnia i dziesiąty stycznia. Czy te daty są istotne?

- Być może.

W istocie nie było żadnego „być może”. Daty wymienione przez Abernathy'ego przypadały na okres, w którym, jak podejrzewano, nastąpił przeciek ściśle tajnych informacji z ambasady. Przypuśćmy, że śledztwo Abernathy'ego ograniczyło okres tych dwóch dni do dokładnych godzin, w których dokumenty były nie strzeżone. W takiej sytuacji robiłby właśnie to, co sugerował jego telefon do Danieli: ustalałby alibi poszczególnych pracowników ambasady, mających dostęp do akt. A Martin Singer nie miał alibi.

Podniósł wzrok i ich oczy się spotkały. Twarz Danieli miała posępny wyraz.

- Fałszywe alibi; powinnam była o tym pomyśleć. Chyba po prostu nie chciałam wierzyć, że mogło chodzić o Martina. Czyżbyśmy oboje mylili się co do niego? Czy możliwe, że Martin...?

- Istnieje sposób, żeby się przekonać. - Gestem dłoni poprosił kelnerkę o rachunek. - Zeszłej nocy moja taksówka jechała prosto z lotniska do ambasady i rozwijaliśmy największą prędkość, na jaką pozwalał znaczny ruch na autostradzie. Jeśli Martin dojechał przede mną, wyruszając po mnie, musiał lecieć. Prywatny samolot, może helikopter; w każdym razie musi istnieć ślad na lotnisku Ben Gurion.

Rzucił okiem na rachunek, po czym rzucił na stół kilka banknotów. Daniela spojrzała na zegarek.

- Obawiam się, że spóźnisz się do pracy.

- O tak, może w ogóle się tam dziś nie pokażę. - Wstał i wsunął na miejsce jej krzesło.

- Jedziesz na lotnisko? - spytała. - W takim razie jadę z tobą.

- Nie ma potrzeby, żebyśmy oboje wagarowali. Poza tym, co by powiedział twój „dobry wujek”? Już mu podpadłaś, każąc wyciągać się wczoraj z rąk policji.

- Minister oczekuje mnie dopiero później. Nie podpadłam mu też, mówiąc twoimi słowami. Wykazał wielką wyrozumiałość; dał mi dziś wolne przedpołudnie. - Położyła mu dłoń na ramieniu. - Nie zapominaj, że mnie również zależy na znalezieniu mordercy. Jestem podejrzana tak jak i ty.

- No, dobrze, skoro chcesz mi towarzyszyć. Nie zanosí się jednak na wielkie atrakcje; po prostu rutynowe sprawdzanie. Pojedziemy moim samochodem.

Ramię w ramię ruszyli przez zatłoczony turystami taras. To śmiała hipoteza, myślał. Martin Singer - mordercą? Jednak trzeba to wyjaśnić, znaleźć dowody za lub przeciw. Musi też pilnować, żeby nie wyjawíć swej uroczej towarzyszce prawdziwego powodu poszukiwań. Niech nadal myśli, że jego jedyną motywacją jest zemsta i chęć oczyszczenia się, ich obojga, z zarzutu morderstwa.

Daniela Zadik zajmowała się w tym momencie swym własnym małym szachrajstwem; jej sumienie było dalekie od czystego. Nie usłuchała rozkazów, złamała przysięgę, informując Dawida o śmierci brata i wstąpieniu do Mosadu. Jednak nie powiedziała mu wszystkiego.

Szpiegowała człowieka, którego kochała. Zgodnie z instrukcją przełożonego, nie odstępowała go na krok. Dawid Llewellyn miał pewien sekret. Jej praca polegała na odkryciu go.

8.

Wielopiętrowy budynek kontroli lotów, na szczycie którego znajdowała się wieża kontrolna, był położony blisko geometrycznego środka kompleksu lotniska Ben Gurion. Okrążając mały parking w poszukiwaniu wolnego miejsca, Dawid zaczął mieć obawy co do wyznaczonego sobie zadania. Uzyskanie informacji mogło się okazać nie tak łatwe, jak sobie wyobrażał. Przy wejściu do budynku stał uzbrojony strażnik, który sprawdzał odznaki i dokumenty wszystkich wchodzących.

- Potrzebna nam jakaś historyjka, którą poprzemy naszymi oficjalnymi papierami - zauważył Dawid.

- Czemu po prostu nie powiedzieć prawdy? - spytała Daniela. - Jesteś wysłannikiem amerykańskim i usiłujesz odszukać współpracownika, którego zgubiłeś tu wczoraj w nocy. Sądzisz, że mógł wynająć prywatny samolot, żeby polecieć do Jerozolimy.

- Może być - zgodził się Dawid - ale nie chcę wymieniać nazwiska Singera. Powiedzmy po prostu, że to turysta amerykański. Jeśli spytają o nazwisko, będę im musiał podać zmyślane. A co z tobą; jakie jest twoje miejsce? Jeśli nie będą mówić po angielsku, ty z nimi będziesz rozmawiać.

- Powiem prawdę. Pracuję w ministerstwie spraw zagranicznych, co potwierdzą moje dokumenty. Dla dobra stosunków izraelsko-amerykańskich, pomagam wysłannikowi, który nie zna hebrajskiego.

Minięcie strażnika okazało się najłatwiejszą częścią przedsięwzięcia. Oczarowany uśmiechem Daniela, młody żołnierz izraelski obejrzał legitymację rządową, wysłuchał krótko przedstawionej historyjki, po czym otworzył przed nimi drzwi i wskazał na recepcję.

Z matrona siedzącą za biurkiem nie poszło im już tak łatwo. Była bardzo konkretna; szorstkim, nieprzyjaznym gestem wzięła od Daniela legitymację i zmierzyła wzrokiem towarzyszącego jej wysokiego Amerykanina. W połowie opowiadki Daniela, recepcjonistka zażądała:

- Proszę o dokumenty tego pana. - Mówiła po angielsku z silnym akcentem, ale Dawid ją rozumiał. Ton kobiety nie pozostawiał wątpliwości co do tego, kto tu rządzi. Była twardym orzechem do zgryzienia. Dawid wręczył jej legitymację Departamentu Stanu i użył uroku osobistego.

- Pani angielski jest bardzo dobry. Chciałbym móc powiedzieć to samo o moim hebrajskim. Próbuję się uczyć, ale to bardzo trudny język.

- Zawsze miałam dalek do języków. - Kobieta rozpogodziła się trochę, oglądając legitymację ze zdjęciem. - Wysłannik, taką pan pełni funkcję?

- Człowiek numer dwa w ambasadzie, tuż po ambasadorze.

Najwyraźniej nie zrobiło to na niej wrażenia. Zwróciła Dawidowi dokumenty bez komentarza. Przywołał na twarz uśmiech, jaki widziała na fotografii.

- Może potrafi mi pani pomóc. Próbuję odnaleźć innego Amerykanina, który przyleciał tu wczoraj wieczorem. Docelowo zmierzał do Jerozolimy. Sądźmy, że mógł tam stąd polecieć.

Recepcjonistka zmarszczyła brwi.

- Nie ma owicjalnych lotów do Jariuszalem. Wszyscy jadą autobusem albo zamochoDEM.

- Tak, wiem. Ale ten człowiek się śpieszył. Mógł wynająć prywatny samolot.

Zwariowani Amerykanie! mówił wzrok kobiety.

- Jag sie nazywa?

- Marcus. - Dawid wymienił pierwsze nazwisko, jakie mu przyszło do głowy. - Ben Marcus. Muszę go znaleźć. Mam dla niego pilną wiadomość: jego żona miała ciężki wypadek samochodowy. Gdybym tylko mógł zajrzeć do rejestru lotów wieży kontrolnej...

- Wieża kontrolna? - Recepcjonistka gwałtownie pokręciła głową. - Niemożliwe. A zresztą tam by go pan nie znalazł. Nie prowadzimy spizu

nazwisk pasażerów, tylko numerów zamolotów. Jeśli ten Marcus zaginął, niech pan idzie na bolicję. Oni panu pomogą.

Ta kobieta była upiorna!

- Byłem już na policji - skłamał, choć niezupełnie. - Nie zrobią nic przed upływem czterdziestu ośmiu godzin. Mówią, że zaginione osoby zazwyczaj odnajdują się w tym czasie. Ale ja nie mogę tyle czekać. Jego żona umiera. - Spojrzał na nią błagalnie. - Gdybym tylko mógł rzucić okiem na rejestr lotów i sprawdzić, czy wczoraj, między siódmą a ósmą wieczorem, były jakieś loty do Jerozolimy. Miałbym przynajmniej jakąś wskazówkę.

- Wskazówkę-śmazówkę. Wy Amerykanie myżlicie, że jesteście Koja-kiem, Nancy Drew. To nie delewizja. Niech pan posłucha mojej rady. Niech pan wraca na bolicję. Oni bardzo dobrze odnajdują ludzi.

Jej dalsze protesty przerwało wejście dwóch mężczyzn, którzy zbliżyli się do biurka i wpisali się na listę gości. Dawid czekał niecierpliwie, aż recepcjonistka sprawdzi ich dokumenty, wręczy im identyfikatory i udzieli jakichś instrukcji po hebrajsku. Ruszyli do windy, a kobieta odwróciła się z powrotem do Dawida.

- Przepraszam. Dakie przepisy. Bez nakazu bolicji, nie mogę pana wpuścić na górę. Musi pan...

Po raz pierwszy zauważyła nieobecność jego towarzyszk i tłumaczki.

- Da pani, która z panem przyszła - gdzie jest?

Odwrócił się: ani śladu Daniela. Starannie ukrył zaskoczenie.

- Musiała się zmęczyć czekaniem. Pewnie wyszła, kiedy zjawili się ci dwaj ludzie. Zobaczyła, że nie musi tłumaczyć, skoro pani tak świetnie mówi po angielsku.

Wyciągnął rękę nad biurkiem i uściśnął jej dłoń.

- Dziękuję za wysłuchanie mojego problemu. Posłucham pani rady, przekażę tę sprawę policji.

Zadzwoił telefon i recepcjonistka poszła go odebrać. Dawid ruszył do drzwi, starając się nie wyglądać na zbyt podnieconego ani nie śpieszyć się zbytnio. Otworzył drzwi.

- A, tu pani jest, panno Zadik.

Nie było tam nikogo poza strażnikiem, który uśmiechnął się nieśmiało, sądząc, że Amerykanin zwraca się do niego.

- Nie mówić po angielski - wyjaśnił przepraszająco.

Llewellyn odwzajemnił uśmiech, zsalutował i ruszył do zielonej Simki. Otworzył drzwiczki od strony kierowcy, wsiadł i zatrzasnął je za sobą.

- Dzielną dziewczyna! - Krzyknął do tapicerki i obicia imitującego drewno. Jeśli Daniela była tam, gdzie przypuszczał, Kojak i Nancy Drew mogą już wkrótce rozpocząć swe pierwsze prawdziwe śledztwo.

Po upływie pół godziny Dawid wiercił się i kręcił. Co zajmowało jej tyle czasu? Wsiadł z samochodu i rozprostował nogi. Do wejścia budynku podjechała ciężarówka z napojami, a kierowca zatrąbił trzy razy, obwieszczając swe przybycie.

Dawid ruszył wolno w jej stronę, szukając w kieszeniach drobnych. Kubek kawy pomógłby znieść czekanie. Kierowca otworzył tył ciężarówki. Był to ruchomy bar samoobsługowy; Dawid okazał się pierwszym klientem. Bez słowa napełnił papierowy kubek i wręczył kierowcy garść monet, z których ten wybrał dwie.

W chwilę później drzwi budynku otworzyły się i pracownicy tłumnie ruszyli ku ciężarówce z napojami; poranna przerwa. Daniela! To dla niej idealna okazja, by przemknąć się obok groźnej recepcjonistki.

Stał w cieniu ciężarówki, obserwując twarze wychodzących. Ani śladu Daniela. Ujrzał jednak inną znajomą twarz i szybko ukrył się za zaparkowanymi samochodami. Nie kto inny, tylko właśnie recepcjonistka wychodziła na kawę. Kiedy stała w kolejce, skoncentrowana na drugim śniadaniu, Dawid ujrzał szczupłą postać, wymykającą się z budynku i pędzącą w stronę Simki.

Pognał do samochodu.

- Widziałaś rejestr? Znalazłaś coś?

Skinęła twierdząco głową, próbując złapać oddech. Zajęła miejsce obok kierowcy i odwróciła się w stronę budynku.

- Uciekajmy stąd!

- Chyba nikt cię nie ściga?

- Nie, nie sędę. Ale nie chcę tu być, kiedy ta okropna kobieta odkryje, że się przekradłam i rozmawiałam z ludźmi na górze. Moglibyśmy mieć nieprzyjemności.

- Czego się dowiedziałas? Czy wczoraj były jakieś loty do Jerozolimy, w takich godzinach, że Martin mógł mnie wyprzedzić?

Usiadła wygodniej i zaczęła oddychać swobodniej.

- Najpierw nic takiego nie znalazłam. W ciągu pół godziny od twojego wyjazdu stąd, było kilka lotów, ale żaden do Jerozolimy. Spytałam kontrolera, czy możliwe, żeby pilot zmienił trasę lotu. Odparł, że robią to stale. Poradził mi sprawdzić w rejestrze przylotów, czy któryś z tych samolotów wrócił.

- Uśmiechnęła się. - Był bardzo pomocny. I miły. Dziś wieczorem mam z nim randkę.

- Do rzeczy - ponaglił ją Dawid. - Znalazłaś coś, tak?

Rozczarowana odgarnęła z czoła kosmyk włosów.

- Nie jesteś ani trochę zazdrosny, co? Może i pójdę na tę randkę.

- Dobrze, dobrze, przyznaję, jestem zazdrosny. A teraz przestań mnie utrzymywać w napięciu, zgoda?

- W rejestrze przylotów figuruje tylko jeden samolot. Wyleciał o siódmej czterdzieści dziewięć, a wrócił o dziewiętej dwadzieścia. Wpisano, że leciał do Hajfy. Jednak mój nowy chłopak twierdzi, że to wątpliwe, żeby w tak krótkim czasie zdążył wylądować w Hajfie, dostarczyć ładunek czy pasażerów i wrócić. Mógł zamiast tego polecieć do Jerozolimy.

- Wylot o siódmej czterdzieści dziewięć? To by się zgadzało! Zapisalaś numer i opis samolotu?

- Nawet więcej. Poprosiłam mego nowego chłopca, żeby sprawdził w spisie prywatnych właścicieli samolotów. Mają to wszystko w komputerze. Wpisał numer samolotu i prosił: mamy właściciela. Ten samolot to dwusilnikowa Cessna zarejestrowana na Linie Frachtowe Dowa, których siedziba mieści się tu, na lotnisku Ben Gurion.

Dawid przycisnął hamulec, zjechał na prawą stronę szosy, szykując się do zawrócenia. Daniela powstrzymała go ruchem ręki.

- Nie, Dawid. To nie tam. To po drugiej stronie, na terenie lotniska dla

prywatnych samolotów. Kontroler pokazał mi z wieży drogę. Jedziemy aż do skrzyżowania przy wjeździe na lotnisko, a tam skręcamy w lewo.

Zawrócił z powrotem na szosę, wpatrując się w ruch uliczny, błędząc myślami wokół innych spraw. Jeśli fałszywa trasa lotu była kamuflażem, napotkają także inne. Musieli ułożyć plan działania.

- Nie możemy tam tak po prostu wpaść. Ci ludzie nie podadzą nam nawet godziny, jeśli nie wymyślimy czegoś przekonującego.

- Może powiemy to samo, co w kontroli lotów? - zaproponowała. - Nawet jeśli nie przekonaliśmy recepcjonistki, to z kontrolerem dałam sobie radę. Tym razem natrafimy może na kogoś bardziej przychylnego.

- To nie wystarczy. Mogą się zasłonić obowiązkiem strzeżenia tajemnicy klienta. Potrzebna nam mocna karta. - Twarz pojaśniała mu nagle. - A twój Mosad? To by wystarczyło. Czy nosisz przy sobie jakąś legitymację?

Daniela była przerażona.

- Dawidzie! Nie mogę chodzić i ogłaszać wszem i wobec, że jestem agentką. Działam pod fałszywym nazwiskiem; legitymacją wolno mi się posłużyć tylko w ostateczności. Mój przełożony wyraźnie to podkreślił.

- Nie sądzisz, że to ostateczność? Jesteśmy podejrzani o dokonanie morderstwa, którego nie popełniliśmy. Jeśli nam się nie uda, prawdziwy zabójca może zbiec.

- Tak, ale... nie mogę się zdradzić.

- Proszę cię tylko, żebyś mignęła właścicielowi swoją legitymacją Mosadu, żeby zgodził się z nami współpracować. W jaki sposób miałabyś się zdradzić?

- Czy to nie oczywiste? Jeśli przeczyta moje nazwisko, zapisze je albo zapamięta, fakt, że Daniela Zadik jest agentką Mosadu, przestanie być tajemnicą.

- Wobec tego zmienimy ci nazwisko! - Zahamował gwałtownie na poboczu. - Pokaż tę legitymację.

- Jest po hebrajsku. Nie przeczytasz.

Dawid wyciągnął rękę gestem nie znoszącym sprzeciwu. Niechętnie wyjęła z torby portfel, a z niego kartę.

Przyjrzał jej się uważnie. Karta była zatopiona w ciężkim, grubym plastiku. Zauważył, że Daniela nie wyszła korzystnie na kolorowym zdjęciu. Tuż pod fotografią widniało jej nazwisko; tyle razy widział je już po hebrajsku, że potrafił rozpoznać. Duże drukowane litery u szczytu karty musiały oznaczać Mosad, Centralny Instytut Wywiadu i Bezpieczeństwa. To powinno wywrzeć wrażenie na właścicielach Linii Frachtowych Dowa.

Zgasił silnik, wyjął kluczyk ze stacyjki i otworzył mały scyzoryk przy-mocowany do kluczy.

- Co... co ty robisz? Chyba nie zamierzasz tego rozcinać?

- Podważę tylko plastik, żebyśmy mogli zmienić nazwisko. - Operując ostrzem zręcznie rozdzielił warstwy plastiku.

- Gotowe. Teraz musimy znaleźć budkę telefoniczną i wybrać ci z książki nowe nazwisko.

- Właśnie jedną minęliśmy, tam przy ostatnim budynku lotniska. - Patrzyła zatroskana na zmaltretowaną kartę. - Mój szef mnie zabije.

Uruchomił silnik i zawrócił. Od budynku, gdzie Daniela widziała telefon, dzielił ich zaledwie kilometr. Zaparkował w poprzek i oboje popędzili do budki.

Dawid dopadł do niej pierwszy.

- Świetnie! - krzyknął, wertując książkę telefoniczną. - Druk jest mniej więcej tej samej wielkości. Masz, wybierz nazwisko, jakiegokolwiek.

Otworzyła książkę na końcu, na literze Z.

- Tu jest jedno. Zold. Rachela Zold. Zawsze chciałam mieć na imię Rachela.

Wyrwał całą kartkę i położył ją na ciężkiej plastikowej okładce książki.

- Które to nazwisko?

Wskazała na środek lewej kolumny. Ze starannością chirurga zrobił równoległe nacięcie nad i pod nazwiskiem.

- Dobrze, że zawsze ostrzę ten scyzoryk, w przeciwnym razie to by się nam nie udało.

Krótkie szarpnięcie obu końców uwolniło wąski pasek papieru. Czubkiem noża Dawid na zawsze wyjął Rachelę Zold z dwieście trzydziestej strony książki telefonicznej Tel Awiwu.

Po powrocie do samochodu poślinił skrawek papieru, po czym umieścił go pod plastikiem legitymacji, wsuwając czubkiem scyzoryka na miejsce tuż pod fotografią.

- Powinno wystarczyć. - Ścisnął z powrotem plastikowe brzegi i pokazał Danieli.

- Rachela Zold - przeczytała, mrużąc z podziwem oczy. - Wiesz, jeśli się jej zbyt dokładnie nie przyglądać, sprawia wrażenie autentycznej.

- Nie wypuszczaj karty z rąk - poradził. - Trzymaj ją za otwarty koniec, żeby twoje nowe nazwisko się nie wysunęło, i machnij nią, żeby ten ktoś zdążył zobaczyć twoje zdjęcie i przeczytać nazwę Mosadu. W ten sposób nikt nie będzie miał okazji, żeby zbadać kartę zbyt dokładnie.

Wręczył Danieli sfałszowany dokument, a ona wsunęła go starannie do portfela.

- Co mam im opowiedzieć? Dlaczego Mosad poszukuje Martina?

- Nie wymieniałbym nawet jego nazwiska. - Uruchomił silnik i ruszył. - Prowadzisz dochodzenie w sprawie człowieka, który wymknął się wczoraj wieczorem władzom na lotnisku Ben Gurion. Na początek chciałabyś wiedzieć, dokąd leciał wynajęty samolot, kto pilotował, kim byli pasażerowie.

- A co, jeśli Martin posłużył się fałszywym nazwiskiem? W tych okolicznościach pewnie by tak postąpił.

- Poproś ich o opis. W Tel Awiwie nie może być wielu jasnowłosych, błękitnookich Amerykanów, przypominających Paula Newmana.

- Mógł się przebrać - zauważyła Daniela z uśmiechem.

- Jeśli miał na to czas. Samolot wystartował o siódmej czterdzieści dziewięć. To niecałe dziesięć minut po tym, jak go zobaczyłem. Możliwe, że przygotował już wcześniej samolot, ale...

- Ale co?

- Mógł też podjąć decyzję pod wpływem impulsu, kiedy mnie zobaczył. To mogła być improwizacja! W końcu fakt, że go tam widziałem, dawał mu idealne alibi.

- Rozumiem, do czego zmierzasz - powiedziała, kiwając głową. - Mógł nie mieć dosyć czasu na przebranie się. Jednak Martin jest sprytny. Na pewno zatarłby ślady.

- Tak - potwierdził Dawid w zamyśleniu. - Jestem pewien. Mógł zapłacić komuś za milczenie, dlatego musimy się posłużyć Mosadem. Musimy nastraszyć ludzi z linii lotniczych, żeby zaczęli mówić.

- A jeśli nie zechcą mówić?

- Jeśli nie zechcą, zobaczymy, co zrobią. Może spróbują ostrzec Martina, że Mosad siedzi mu na karku.

- Być może - stwierdziła, marszcząc brwi. - Ale na pewno nie zrobią tego na naszych oczach.

- Nie będą wiedzieli, że jesteśmy razem. Wejdę tam piętnaście minut przed tobą. Powiem, że chcę wynająć samolot dla jakiejś ważnej osobistości, poproszę, żeby pokazali mi swój sprzęt, znajdę pretekst, żeby zostać tam po twoim wyjściu.

Dotarli do wjazdu na lotnisko i skręcili w lewo, na drogę prowadzącą na prywatne pasy startowe. Daniela milczała, pogrążona w rozmyślaniach. Z posępnym wyrazem twarzy patrzyła się przed siebie.

- Zdenerwowana? - spytał. - Niepotrzebnie. Nic nam nie grozi.

- Nie, to nie to. Właśnie zdałam sobie sprawę, że mówimy o Martinie, jakby naprawdę popełnił morderstwo. Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Chyba modłę się, żeby to nie była prawda.

Położył dłoń na jej dłoni.

- Wiem. Ja też nie chcę w to wierzyć. Ale musimy się przekonać, prawda?

I jeszcze dziś się przekonamy, pomyślał. Jeśli Martin Singer nie był mordercą, wracali do punktu wyjścia. Jeśli był, był też kimś innym: wtyczką działającą w ambasadzie amerykańskiej. Handel, jaki uprawiał tajnymi dokumentami, zagrażał bezpieczeństwu zaprzyjaźnionego państwa; stanowił bombę zegarową, zdolną zniszczyć stosunki między oboma krajami. Tak czy inaczej, wkrótce się dowiedzą.

Siedziba Linii Frachtowych Dowa okazała się jeszcze mniej imponująca niż ich nazwa. Przed niskim, zardzewiałym hangarem, zdolnym pomieścić zaledwie średniej wielkości prywatny samolot, stało jeszcze mniejsze, walące się drewniane biuro. Na przedpolu za hangarem Dawid dostrzegł

kilka samolotów pomalowanych na jaskrawe barwy. Najwyraźniej podstawową część majątku Dowa stanowiły skrzydlate maszyny.

Zaparkował Simkę w odległości pół kilometra od hangaru i ruszył piechotą; Daniela została w samochodzie. Nikt nie mógł się domyślić, że przyjechali razem, ani że ich wizyty miały ze sobą jakikolwiek związek. Po piętnastu minutach Daniela miała podjechać Simką do hangaru.

Drzwi do biura Dawid zastał otwarte na oścież, niewątpliwie ze względów wentylacyjnych. Czuł ciepły strumień powietrza wiejący z budynku, a wewnątrz słyszał cichy warkot wentylatorów. Klimatyzacja najwyraźniej nie była na kieszeń Dowa. Dawid pociągnął siatkowe drzwi i wszedł do środka.

Szybko zlustrował pomieszczenie: jeden pokój, kilka biurek za kontuarem, żadnych prywatnych gabinetów. Taki rozkład odpowiadał mu idealnie. Stojąc przy kontuarze, pozornie zajęty wynajmowaniem samolotu, mógł mieć oko na wszystko, co działo się w środku. Byleby tylko ktoś mówił po angielsku.

W tym momencie personel Dowa składał się z dwóch osób. Dziewczyna siedząca za biurkiem sekretarki nie przerwała pisania na maszynie, nie podniosła nawet wzroku, kiedy siatkowe drzwi zamknęły się z ostrym trzaskiem. Na lewo od dziewczyny rozwalony na krześle wylegiwał się gruby mężczyzna, czytając gazetę, z nogami na blacie biurka. Na moment podniósł wzrok, po czym powrócił do lektury. Dawid chrząknął.

- Golda! - Na wezwanie grubego dziewczyna podniosła wzrok znad maszyny, spojrzała na wysokiego przybysza stojącego za kontuarem, po czym wstała z krzesła.

- *Szalom.*

- *Szalom* - odpowiedział. - Obawiam się, że nie mówię po hebrajsku. Pracuję dla ambasady amerykańskiej. Czy ktoś tutaj mówi po angielsku?

- Tak, sir, oboje mówimy po angielsku.

- Och, to doskonale. Nazywam się Llewellyn. Jestem nowym wysłannikiem do Jerozolimy.

Wręczył sekretarce wizytówkę. Czytała, poruszając cicho ustami.

- Czym mogę panu służyć, panie Llewellyn.

- Mam VIP-a, to znaczy bardzo ważną osobistość - wysoki dyplomata

przylatuje w przyszłym tygodniu z Waszyngtonu na spotkanie w ambasadzie. Jego czas jest bardzo ograniczony, a przylatuje w popołudniowej godzinie szczytu. Chciałbym się dowiedzieć o możliwość przelotu prosto do Jerozolimy, żeby mógł ominąć ruch na autostradzie.

- Owszem, panie Llewellyn, możemy zorganizować taki lot. - Dziewczyna zerknęła na mężczyznę skrytego za gazetą. - Nie będzie to jednak tanie. Czy to będzie lot w jedną stronę, czy także z powrotem?

- Nie, w jedną stronę wystarczy. Najważniejsze to dostarczyć naszą grubą rybę do ambasady przed rozpoczęciem spotkania. Czy to ma według pani sens? Czy zaoszczędzimy czas, w porównaniu z przejazdem samochodem?

- Ależ tak, sędzę, że tak. - Sekretarka zastanowiła się chwilę. - W godzinie szczytu podróż samochodem zajmuje blisko godzinę, ale samolotem...

Podeszła do mapy o dużej skali i wskazała na lotnisko Ben Gurion.

- Starujemy stąd i lądujemy na lotnisku Oalandija, o tu, na północnym krańcu Jerozolimy. Nasza Cessna pokonuje tę trasę w najwyżej dziesięć minut. Gdzie znajduje się pańska ambasada?

- Na ulicy Rachel Imenu.

- Czyli tutaj. - Opuściła wskaźnik na dół mapy. - Nie więcej niż dziesięć minut drogi limuzyną lub taksówką. Dodajmy pięć minut na formalności przy starcie i lądowaniu, jeszcze pięć na przewiezienie pańskiego pasażera i jego bagażu z lotniska do nas; podstawimy limuzynę, będzie na niego czekać.

Zapisała liczby, zsumowała je i podniosła triumfalnie wzrok.

- Zaoszczędzi pan przynajmniej pół godziny.

- Chce pani powiedzieć, że mój ważny gość znajdzie się w ambasadzie o pół godziny wcześniej, lecąc samolotem, niż gdyby jechał limuzyną? - Dawid miał powody, żeby upewnić się co do tego punktu.

- Możemy to prawie zagwarantować - odparła dziewczyna.

Oto miał niezbity dowód, potwierdzający jego hipotezę, że człowiek, którego widział zeszłej nocy na lotnisku, człowiek z morderczymi zamiarami, mógł polecieć samolotem i znaleźć się w ambasadzie przed Dawidem

i w ten sposób zrealizować swój niegodziwy plan.

- Czy zechciałby pan obejrzyć nasz sprzęt? - spytała sekretarka.

- Ależ tak. - Na Danielę trzeba było jeszcze poczekać; musi zostać w biurze jeszcze kilka minut. - Dlatego właśnie przyszedłem tu osobiście - dodał.

Sekretarka wyszła zza kontuaru i pchnęła siatkowe drzwi.

- Tędy.

Minęli mocno zardzewiałą blaszaną ścianę hangaru i ruszyli ku przedpolu, gdzie stały trzy dwusilnikowe samoloty. Dawidowi wydawały się one identyczne, różniąc się tylko kolorami i oznakowaniami. Przyglądał się ich ogonom, szukając numerów, jakie Daniela znalazła w rejestrze lotów. Znalazł je na pionowym stateczniku niebiesko-białej maszyny - samolotu, który wystartował wczoraj wieczorem o siódmej czterdzieści dziewięć, przypuszczalnie do Hajfy, a zamiast tego mógł polecieć na lotnisko Oalandija w Jerozolimie. Czy Martin Singer był na pokładzie?

- Który jest najszybszy? - spytał.

- Niebieski. Polecałabym go panu. Rozwija prędkość o pięćdziesiąt kilometrów na godzinę większą niż dwa pozostałe.

Otworzyła drzwiczki po lewej stronie i Dawid wszedł do samolotu. Wnętrze było czyste; jeśli wcześniej istniały jakiegokolwiek ślady wczorajszej eskapady, zostały wytarte. Usiadł w jednym z foteli dla pasażerów, niedbale badając obicie.

- Bardzo wygodne. A teraz sprawa pilota. Chciałbym najlepszego, jakiego macie.

- W takim razie Dow Grüner, właściciel. Jestem pewien, że zechce się tym zająć osobiście. Spytamy go po powrocie.

- Ten człowiek w biurze?

Skinęła głową, uśmiechając się na widok zdziwionej twarzy Dawida.

- Niech pan się nie da zwieść jego wyglądowi. To doskonały pilot.

Przez boczne okienko samolotu ujrzał zieloną Simkę podjeżdżającą do biura. Wysiadł z samolotu i stanął z powrotem na polu startowym.

- Piękny, prawda? To nasz najnowszy nabytek. - Sekretarka starannie zaniknęła drzwiczki.

- Tak, tak. Ten się nada. - Patrzył, jak Simka parkuje przed biurem, a w chwilę później usłyszał trzask zamykanych drzwiczek. Obeszli hangar. Daniela zniknęła już za siatkowymi drzwiami. Kiedy weszli, stała za kontuarem, spokojna i opanowana, a na dźwięk zatraskiwanych przez Dawida drzwi, ledwo w jego kierunku spojrzała.

Gruby mężczyzna, Dow, odłożył gazetę i zabrał się do wstawiania. Odpowiedziawszy *Szalom*, podniósł się z krzesła i ruszył wolno w stronę kontuaru. Mimo że Llewellyn nie rozumiał wypowiedzianych słów, domyślał się, o czym rozmawiała Daniela z Dowem. Właściciel spytał, czym może jej służyć. Daniela oświadczyła, że kogoś szuka, po czym się przedstawiła. Wyjęła sfalszowaną legitymację Mosadu i wyciągnęła ją na chwilę do Dowa Gruñera.

Dawid uważnie przyglądał się twarzy grubasa. W jego oczach błysnęło coś na kształt strachu, kiedy przenosił wzrok z legitymacji na Danielę, a potem z powrotem na dokument. Strach, czy może poczucie winy? Trudno było stwierdzić.

- Panie Llewellyn, nie rozmawialiśmy jeszcze o cenie. - Sekretarka patrzyła na niego zdziwiona. Dawid uzmysłowił sobie, że zbyt natarczywie przyglądał się wyczynom Daniela. Musiał uważać.

- To prawda, jeszcze nie rozmawialiśmy. - Udał, że poświęca sekretarce całą swą uwagę. - A zatem, ile kosztują usługi, o których rozmawialiśmy?

Dziewczyna sięgnęła po mały kalkulator.

- Dodałam wszystko. Przelot w jedną stronę do Jerozolimy, plus przejazd limuzyną z lotniska do nas, wyniesie dwieście sześćdziesiąt dwa szekle.

- Dobrze, zgoda. Myślę, że damy radę.

Od momentu, kiedy Daniela machnęła legitymacją Mosadu, właściciel prywatnych linii lotniczych nie przestawał mówić. Wprowadził Danielę za kontuar, do swego biurka oddalonego o kilka kroków; Dawid domyślał się, że po to, by uzyskać nieco więcej prywatności. Zerkając ponad ramieniem sekretarki widział, że korpulentnemu Dowowi usta się nie zamykają. Daniela siedziała naprzeciwko niego, robiąc notatki w małym notesie. Choć Grüner najwyraźniej starał się mówić cicho, Dawid słyszał wszystko.

Cholera! Gdyby tylko rozumiał ten język!

- Proszę tylko wypełnić ten kontrakt. - Sekretarka pchnęła formularz w stronę Dawida, wręczając mu też długopis. - Potrzebne nam też nazwisko pasażera, numer lotu, godzina i, oczywiście, data.

- Przylatuje w przyszłą środę. Zapomniałem numeru lotu. Koło piątej, z Genewy albo Paryża. Będę musiał do pani zadzwonić.

Udał, że zajął się wypełnianiem formularza. Sekretarka rzuciła na szefa zaciekawione spojrzenie, rozproszona odgłosem rozmowy, toczącej się przy biurku. Wyglądało na to, że dopiero teraz zwróciła uwagę na niecodzienną scenę: jej szef był najwyraźniej przesłuchiwany przez atrakcyjną brunetkę w eleganckim kostiumie. Llewellyn zauważył, że Dow stara się wyglądać swobodnie i uprzejmie. Jednak przed przyjściem Danieli, nie miał na czole tych kropelek potu.

Sekretarka nie kryła już zainteresowania rozmową. Kiedy Dawid trącił ją w ramię, dziewczyna aż podskoczyła.

- Tak?

- Tu jest miejsce oznaczone jako „warunki dodatkowe”. Chciałbym wpisać nazwisko „Dow Grüner” jako pilot. Dobrze?

- Wygląda na to, że pan Grüner jest chwilowo zajęty - zauważyła. - Potwierdź to, jak tylko będzie wolny.

Wypełniając ostatnie pozycje formularza, Dawid nie przestawał przyglądać się parze rozmawiającej w drugim końcu pokoju. Dyskusja znacznie się ożywiła; mówił i gestykulował głównie właściciel. W końcu Daniela podniosła torebkę, chowając do niej notes i długopis. Wstała od biurka i wyciągnęła rękę. Grüner podniósł się z wysiłkiem, uściśnął dłoń Danieli z dobrodusznym uśmiechem, żegnając ją rozbrajająco wylewnymi słowami. Teraz!

Dawid wyjął z kieszeni spodni miniaturowy magnetofon i włączył go, wysuwając wbudowany mikrofon. Trzymając magnetofon tuż pod konturem, dostosował głośność nagrania do głosu mężczyzny.

Właściciel skończył przemowę i Dawid patrzył, jak jego współpracowniczka wychodzi z biura, w odległości zaledwie kilkudziesięciu centymetrów od niego. Spojrzał na jej twarz, pragnąc odgadnąć rezultat wywiadu, ale

Daniela unikała jego wzroku i nie dała mu żadnego sygnału.

- *Szalom* - pożegnała ją słodko sekretarka.

- *Szalom*. - Daniela odwzajemniła uśmiech i zamknęła za sobą siatkowe drzwi.

- Olśniewająca kobieta - zauważyła sekretarka, czekając na reakcję Dawida.

- Niezła - zgodził się, nie podnosząc wzroku, kończąc wypełniać kontrakt. - Proszę, powinno wystarczyć.

Sekretarka podeszła do szefa z wypełnionym formularzem kontraktu. Dow Grüner osunął się z powrotem na krzesło, a jego przymilny uśmiech zniknął. Zbył sekretarkę ostro; maska uprzejmości opadła nagle z jego twarzy. Sięgnął po telefon.

Sekretarka wróciła do kontuaru, nieco zarumieniona po nieoczekiwanej odprawie.

- Przepraszam. On musi najpierw załatwić pewną pilną sprawę. To nie powinno długo trwać.

- Nie ma problemu.

Wydawało się, że gruby mężczyzna kręci numer w nieskończoność. Na jego twarzy malowało się zniecierpliwienie, rosnące, kiedy czekał, aż telefon zacznie dzwonić, wzmagające się wraz z każdym sygnałem. Cisnął słuchawkę na widełki.

Llewellyn zauważył, że był to stary telefon z tarczą, niemal zabytek. To tłumaczyło powolność wybierania numeru. Ten fakt stał się też nagle powodem zachwyty Dawida, mimo początkowego poczucia zawodu, kiedy nikt się nie zgłosił po drugiej stronie i nie można było sporządzić obciążającego nagrania.

To, co udało mu się nagrać, mogło się okazać jeszcze bardziej użyteczne: odgłos wykręcanych numerów. Dawid zrozumiał, że jedyne, co musi zrobić, to odtworzyć nagranie na zmniejszonej prędkości i porównać odstępy pomiędzy poszczególnymi wybieranymi cyframi. Zrekonstruowanie numeru telefonicznego człowieka, do którego Dow Grüner miał taką pilną sprawę, będzie dziecinnie proste. A tam, gdzie jest telefon, jest też i adres.

Simka barwy leśnej zieleń czekała, zgodnie z umową, za szopą, kilka przecznic od biura prywatnego przedsiębiorstwa lotniczego. Siedząc z

przodu, Daniela przeglądała notatki.

Wsiadł, natychmiast uruchomił silnik i ruszył z powrotem ku wjazdowi na lotnisko.

- Byłaś wspaniała - pochwalił Daniłę. - Mosad ma naprawdę świetną nową agentkę.

- Zmienisz zdanie, kiedy usłyszysz rezultat. - Potrząsnęła głową z rezygnacją. - Obawiam się, że czeka cię duży zawód.

- Żadnych nazwisk pasażerów ani opisu, zgadłem?

- Żadnych pasażerów, koniec, kropka. Pan Dow Grüner upiera się, że zeszłej nocy sam pilotował samolot i przewoził tylko ładunek. - Zmarszczyła brwi. - Muszę powiedzieć, że nie wyglądasz na zbytnio zaskoczonego.

- Bo nie jestem. Spodziewałem się, że będzie się krył. A co z celem podróży? Nadal utrzymuje, że poleciał do Hajfy?

- Początkowo tak twierdził, ale wyciągnęłam z niego prawdę. - Pozwoliła sobie na mały uśmiech triumfu. - Podałam mu dokładną godzinę odlotu i przylotu, które uzyskałam na lotnisku. Oświadczyłam, że bez trudu możemy to sprawdzić na lotnisku w Hajfie. Przyznał wtedy, że zmienił plany po starcie i poleciał do Jerozolimy. Zastrzegł się, że to nie przestępstwo, że wszyscy robią to stale.

- Brawo! Wtedy właśnie musiał zacząć się pocić. Przyłapałaś go na kłamstwie, zepchnęłaś do defensywy. Wyciągnęłaś z niego coś jeszcze?

- Próbowałam, ale w żadnym innym punkcie nie zmienił zeznań. „Żadnych pasażerów”, powtarzał, „żadnych pasażerów”. Wciąż z tym samym nieodłącznym uśmiechem.

- Chcesz powiedzieć, że sztucznym. Uśmiech zniknął, kiedy tylko wyszłaś. - Poklepał dłoń Daniela. - Doskonała robota. Napędziłaś mu strachu.

- Na co nam się to przyda? - spytała, marszcząc czoło.

- Nadal nic nie mamy. Nie rozumiem, co cię tak cieszy. Czy coś wydarzyło się po moim wyjściu? Powiedz!

- Zrobię nawet więcej. - Zwolnił i zaparkował na poboczu. - Dam ci posłuchać.

Położył magnetofon nad kierownicą i przewinął taśmę. Po kilku sekundach stanęła. Ustawił głośność i włączył.

Daniela usłyszała niski głos Dowa Gruñera wypowiadającego ostatnią kwestię, po czym swój własny kontralt; zakończyła rozmowę i szykowała się do wyjścia. Dawid wyłączył magnetofon.

- O czym tu była mowa?

- Powtórzył to, co mówił wcześniej: że leciał sam i nie miał żadnych pasażerów. Że jeśli nie mam innych pytań, on jest bardzo zajęтым człowiekiem. Widziałam, że nie ma sensu tego ciągnąć. Poinformowałam go, że może zostać wezwany w celu złożenia oficjalnego zeznania.

Dawid ponownie włączył magnetofon. Dały się słyszeć *szalom* Danieli, wymieniane z właścicielem i sekretarką. Trzask siatkowych drzwi. Komplement wypowiedziany przez sekretarkę, a po nim powściągliwy komentarz Dawida wywołały kwaśny uśmiech na twarzy Danieli.

- „Nieźła”, tylko tyle?

- Óśś. Słuchaj. - Usłyszeli, jak sekretarka zwraca się do szefa. Z magnetofonu ryknął bas inwektyw. Daniela zachłysnęła się zdumiona i znów wyłączyła magnetofon.

- Teraz rozumiem, co miałeś na myśli. Jaka zmiana zaszła w tym człowieku! O mały włos nie urwał jej głowy.

- Co dokładnie powiedział?

- Żeby mu nie zwracać głowy. Że musi zadzwonić w pilnej sprawie. - W głosie Danieli zabrzmiało podniecenie. - Nagrałeś rozmowę telefoniczną?

Skinął głową, włączając magnetofon. Sekretarka przeprosiła po angielsku za zwłokę, Dawid odpowiedział: „Nie ma problemu”. Potem cisza, przerywana tylko odgłosem wykręcanego numeru: siedem terkoczących dźwięków różnej długości. Nastąpiła krótka chwila ciszy, a potem gniewne przekleństwo; Dow Grüner cisnął słuchawkę na widełki. Koniec nagrania. Dawid wyłączył magnetofon.

- To wszystko? - spojrzała na niego pytająco, a on skinął twierdząco głową.

- Och, co za pech. Nikt nie odebrał. A już byłam pewna, że coś mamy.

- Owszem, mamy numer telefoniczny, pod który dzwonił Dow Grüner.

Przewijał taśmę przez dwie lub trzy sekundy, a potem maksymalnie zmniejszył prędkość odtwarzania. Znowu włączył magnetofon.

Dały się słyszeć zwolnione głosy: surrealistyczna parodia ludzkiej mowy. Takiego niskiego basu nie potrafił wydobyć żaden człowiek.

- Czy twój zegarek ma sekundnik? - spytał, a Daniela kiwnęła głową. - Wobec tego pomóż mi zmierzyć czas. Zapisuj liczbę sekund, jaką trwa każdy z tych dźwięków.

Rozpoczęło się kręcenie numeru; już nie terkotanie, ale sekwencja długich, niskich, chropawych dźwięków, oddzielanych przerwami. Dwoje ludzi wpatrywało się uważnie w zegarki, zapisując długość trwania poszczególnych dźwięków.

- Co masz? - Wziął notes Daniela i porównał wyniki, dokonując jednej czy dwóch poprawek w swoich cyfrach. - Przydałby się nam stoper, ale chyba dam sobie radę.

Zdumiona, patrzyła w milczeniu, jak zapisywał kartkę cyframi, całkowicie pochłonięty zabawą.

- Nadal nie pojmuję, skąd możesz wiedzieć, jaki numer...

- Chwileczkę! Już prawie mam!

Pisząc gorączkowo, sporządził kolumnę siedmiu liczb, które szybko dodał.

- Gotowe! - Napisał numer na kartce w notesie, wyrwał ją i wręczył Danieli.

- Trzy sześć siedem, osiem cztery dziewięć cztery - odczytała na głos. - Pod ten numer dzwonił Grüner? Jak tego dokonałeś? - spytała z podziwem.

- Już kiedyś to robiłem. Żadna sztuka: szukasz wspólnego mianownika. Kiedyś ci pokażę. Teraz musimy znaleźć telefon.

Włączył silnik i ruszyli.

- Masz zamiar zadzwonić pod ten numer? - spytała.

- Czemu nie? - Wzruszył ramionami. - Może rozpoznamy głos. Ale tak naprawdę, chciałbym, żebyś podała ten numer komuś z Mosadu. Jestem pewien, że mają wsteczną książkę telefoniczną. W ten sposób zdobędziemy adres!

- Chyba mogłabym poprosić szefa - powiedziała Daniela z wahaniem. - Wiem, że policja robi takie rzeczy, ale ja nigdy nie...

- Nie możemy zwrócić się do policji. Postanowiliby nas zamknąć - stwierdził, marszcząc brwi. - Wolałbym też nie włączać w to twego szefa. Chciałby nam zadać zbyt wiele pytań. Czy w Mosadzie nie ma jakiejś jednostki pomocniczej, do której mogłabyś się zwrócić?

- Wydział Służbowy - rozjaśniła się Daniela. - Oczywiście, mówiono mi o tym podczas szkolenia. Na życzenie agentów dokonują szybkich badań.

- Doskonale! Czy potrzebne ci zezwolenie szefa?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Wystarczy, że podam swój numer identyfikacyjny. Jednak później mój szef się o tym dowie.

- To nic, bylebyśmy dotarli tam pierwsi.

Zaparkował przy budce telefonicznej, z której skorzystali wcześniej.

- Najpierw zadzwonimy pod ten numer i zobaczymy, co się wydarzy.

Weszła za nim do budki, ściskając słuchawkę, kiedy przyciskał numery. Słyszał bicie jej serca.

- Dzwoni!

Sygnal nie przestawał dzwonić. Po dwunastym dźwięku Dawid odwiesił słuchawkę, wyjął monetę i wręczył ją Danieli razem z kartką z numerem.

- Nikt się nie zgłasza. Nasz człowiek wyszedł. Teraz twoja kolej. Sprawdźmy, jak dobra jest ta szpiegowska organizacja, dla której pracujesz.

Zwolnij, Dawidzie, zbliżamy się. - Daniela obserwowała numery domów po swojej stronie ulicy. - Siedemset pięćdziesiąt trzy, siedemset siedemdziesiąt jeden. To powinno być za następną przecznicą.

Zwolnił do dwudziestu kilometrów na godzinę, wyglądając przez upstrzone deszczem okno na wałące się sklepiki i zrujnowane domy. - Ta dzielnica w ogóle nie wygląda na zamieszkaną. Jesteś pewna, że to tutaj?

- Dwadzieścia siedem... trzydzieści jeden. To tu, Dawidzie, ulica Brandeiss osiemset trzydzieści trzy. Ten z markizą. Nie zatrzymuj się, na wypadek gdyby ktoś nas obserwował.

Budynek przypominał sklep. Wiszący nad wejściem szyld z hebrajskim napisem bujał się leniwie w chłodnym powiewie.

- Co to jest? Sklep warzywniczy? - spytał Dawid.

- Ciepło. To rzeźnik koszerny.

Zaparkował przy krawężniku na rogu.

- Rzeźnik? Co Martin robiłby w takim miejscu? To musi być pomyłka.

Podali ci zły adres.

- Mosadowi nie wolno popełniać pomyłek. Zaraz się przekonamy. - Daniela otworzyła drzwiczki. - Poczekaj tu. Jedna osoba zadająca pytania wzbudzi mniej podejrzeń.

- Nie ma mowy! - Mocno chwycił ją za rękę. - Idę z tobą. Jeśli jest tam Martin, może ci grozić niebezpieczeństwo.

Wahała się przez chwilę, potem uśmiechnęła i skinęła głową.

- Zgoda. Widzę, że nic cię nie powstrzyma. Ale pozwól mi mówić. Mam pewien plan.

Powoli ruszyli z powrotem wzdłuż budynku. O tej porze, poza nielicznymi kupującymi, ulica była pusta. Jednak piekarnia obok rzeźnika zdawała się prosperować doskonale; przy stolikach tłoczyli się ludzie raczący się na śniadanie świeżymi wypiekami, reszta stała przy kontuarze. Kiedy się zbliżyli, doleciał ich zapach, od którego ślina napłynęła im do ust.

Z piekarni wybiegła młoda dziewczyna, minęła ich i skręciła do rzeźnika. Domyślając się, że zamierzają wejść, otworzyła im drzwi.

- *Szalom* - pozdrowiła ją Daniela z rozbijającym uśmiechem.

- *Szalom, madame*. - Sprzedawczyni odwzajemniła uśmiech, po czym szybko stanęła za ladą, gdzie nieco starsza dziewczyna obsługiwała gospodynię w średnim wieku. - Czego pani sobie życzy, *madame*? - spytała Daniellę. - Mięsa jagnięcego jeszcze nie dowieźli, ale wołowina jest najwyższej jakości. Mamy doskonały szponder.

- Nie, dziękuję. Chodzi mi o coś innego... to sprawa sercowa. Szukam narzeczonego, który zniknął. Powiedziano mi, że można go tu znaleźć. - Wyjęła z torebki zdjęcie i wręczyła sprzedawczyni. - Może go pani widziała?

Dziewczyna przyjrzała się fotografii.

- Zobacz - zwróciła się do drugiej sprzedawczynie, pokazując jej czarno-białe zdjęcie. - To inspektor, prawda?

Starsza dziewczyna odłożyła mięso, które owijała w papier, i mrużąc oczy, podniosła zdjęcie do światła.

- A jakże - zachichotała, obrzucając Danielę spojrzeniem.

- A więc takie z niego ziółko. Myślałyśmy, że interesuje się wyłącznie jakością mięsa.

- Kiedy go panie widziały po raz ostatni? - spytała gorączkowo Daniela.

- Czy pokazywał się tu ostatnio?

- Bardzo przepraszam! - włączyła się ostro gospodyni. - Czy mogłabym dostać swoje mięso.

Przeniosła oburzone spojrzenie ze sprzedawczynie na Danielę, na koniec wpatrując się pytająco w Dawida. Wzruszył ramionami i rozłożył ręce na znak, że to nie jego sprawa. Zrozumiał wystarczająco dużo, by domyślić się, że odnieśli sukces: dwie dziewczyny rozpoznały na zdjęciu Martina.

- Przepraszam, *madame*. - Sprzedawczynie wręczyła pakunek ponad ladą i odprowadziła wychodzącą niecierpliwą klientkę. - Niektórzy ludzie za nic mają romanse - westchnęła, zwracając Danieli fotografię. - Pani narzeczony to przystojny mężczyzna. Przychodzi tu często zbadać mięso w chłodni. Był dziś rano.

- Był? - spytała zawiedziona Daniela. - To znaczy, że już wyszedł?

Sprzedawczynie wymieniły spojrzenia.

- Nie widziałam, żeby wychodził - stwierdziła młodsza - ale przez kilka minut byłam w sklepie obok.

- Musiał już wyjść - zauważyła druga. - Nigdy nie zostaje dłużej niż pół godziny. Zimno, rozumie pani.

- Jeśli istnieje szansa, że jeszcze jest... - Daniela się zawahała. - Czy mogłyby panie sprawdzić jeszcze raz? To tyle dla mnie znaczy...

Sprzedawczynie sprawiały wrażenie szczerze współczujących.

- Przykro nam, ale nie możemy wchodzić do chłodni - odparła starsza. - A rzeźnik nie lubi, żeby mu przeszkadzać, kiedy tam jest. Może pani jednak zaczekać, aż wyjdzie. To nie powinno długo trwać.

Daniela szybko wyjaśniła Dawidowi sytuację.

- Cholera, pewnie, że poczekamy - odparł. Po reakcji sprzedawczyń zrozumiał, że poznały na zdjęciu Martina. Zbliżali się do celu. W tej chwili nic nie skłoniłoby go do odejścia.

- Jeśli zajdzie potrzeba, poczekamy, aż piekło zamarznie!

Nie musieli czekać aż tak długo. Odgłos zatraskiwanych ciężkich drzwi uprzedził ich o zbliżaniu się rzeźnika. W chwilę później wyszedł zza zasłony za ladą, tupiąc nogami i chuchając w dłonie.

Był zwalistym, krzepkim człowiekiem o gęstych, czarnych brwiach i czerwonej twarzy. Na jego twarzy odmalował się niepokój, kiedy ujrzał elegancko ubraną parę, tak nie pasującą do obskurnego wnętrza sklepu.

- Panie Ben-Lewi - odezwała się starsza sprzedawczyni - ta pani szuka inspektora. - Przepraszający ton jej głosu świadczył o lęku, jaki budził srogi właściciel.

Rzeźnik wyszedł zza lady, wycierając dłonie w poplamiony krwią fartuch.

- Nie ma go. - Obrzucił Danielę wrogim spojrzeniem. - Wyszedł jakiś czas temu.

- Proszę. - Daniela zdobyła się na uśmiech. - Bardzo zależy mi na kontakcie z nim. Czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie go mogę zastać?

- To jej narzeczony - wyjaśniła młodsza sprzedawczyni.

Rzeźnik spiorunował ją wzrokiem, po czym znowu zwrócił się do Daniela.

- Nic o nim nie wiem. Pracuje dla rządu. Niech pani ich zapyta. A teraz, proszę wybaczyć, jestem bardzo zajęty.

Tego człowieka nie da się oczarować. Daniela spróbowała innej taktyki.

- Dziwne, że żadna ze sprzedawczyń nie widziała, jak wychodził. Czy moglibyśmy zajrzeć do środka?

- Powiedziałem pani, że wyszedł. Proszę opuścić mój... - Rzeźnik urwał w pół zdania, kiedy Daniela wyjęła legitymację.

- Tak, panie Ben-Lewi, pracuję dla Mosadu. Pokaże mi pan chłodnię, czy mam wrócić z nakazem rewizji?

Rzeźnik patrzył to na legitymację, to na zdeterminowane oczy jej właścicielki. Wzruszył ramionami.

- Nie chcę żadnych kłopotów z rządem. Zrobię wszystko, żeby was przekonać. Proszę za mną.

Dawid wszedł za Daniela i rzeźnikiem za ladę i zasłonę, świadom podnieconych szeptów sprzedawczyń, omawiających nieoczekiwany obrót wydarzeń. Czuł, że jest coś fałszywego w tym rzeźniku. Jednak czy pozwoliliby im przeszukać sklep, gdyby miał coś do ukrycia? Możliwe, jeśli stawiał jakąś pułapkę.

Mosiężnym kluczem dyndającym na kółku przymocowanym do brudnego fartucha rzeźnik otworzył kłódkę i zdjął ją z zamka. Pchnął do góry sztabę i masywne drzwi otworzyły się do środka. Poczuli na twarzach podmuch mroźnego powietrza, na korytarz wypadł obłok szronu. Przez umysł Dawida przemknęły przerażające obrazy ludzi uwięzionych w chłodni; ich ciała zamienione w bryły lodu. Będzie obserwował każdy ruch tego rzeźnika; nie pozwoli, żeby stanął między nim a drzwiami.

Rzeźnik wszedł pierwszy, Daniela za nim; Dawid ruszył ostrożnie, trzymając się blisko drzwi, kiedy gospodarz zamykał je za nim.

- Widzicie! - Zwalisty mężczyzna skinął ręką na rzędy haków pełnych mięsa. Nic, tylko krwawe połcie wołowiny pokryte szronem. - Jest tak, jak mówiłem. Nikogo tu nie ma. Nawet Eskimos nie wytrzymałby tu tak długo.

Dawid pojął sens słów rzeźnika i nie widział powodu, żeby w nie wątpić. Jednak Daniela zamierzała przeszukać chłodnię dokładniej. Podeszła do połci mięsa i zaczęła zaglądać za wszystkie po kolei, aż upewniła się, że nie kryją się tam żadne tajne przejścia. Spojrzała na Dawida z zawodem. Skinął w stronę wyjścia.

- Zadowoleni? - Rzeźnik pociągnął sztabę, otwierając drzwi i gasząc światło. W tym momencie na tyłach chłodni rozległ się głuchy warkot; odwrócili głowy. Nikłe światło nagiej żarówki rzucało niesamowity blask na połcie mięsa zwisające z niskiego sufitu. Na lewej ścianie pojawiła się wąska smuga jasnego światła. Patrzyli zafascynowani, jak smuga stopniowo się powiększa, przy akompaniamencie równomiernego warkotu dochodzącego z tej samej strony.

- Nie! - krzyknął rzeźnik. - Nie teraz! Wracaj!

- To drzwi! - zawołał Dawid. - Kryjówka. Ktoś wychodzi!

Warkot ucichł. Światło w nowo powstałym otworze w ścianie zasłoniła poruszająca się sylwetka, całkowicie ukryta w cieniu. W niskiej wnęce pojawiła się głowa i ramiona; rysy twarzy były niewidoczne w skąpym świetle, a jednak Dawid natychmiast poznał mężczyznę; przekrzywienie głowy, sama sylwetka nie pozostawiały wątpliwości.

- Witaj, Martinie. Jak ci się powodzi w interesie mięsnym?

Postać zatrzymała się, mrużąc oczy w półmroku.

- Niech mnie, Dawidku! Co za spotkanie. I Daniela - co za miła niespodzianka. Boję się tylko, że wybraliście raczej chłodne miejsce na spotkanie.

- Martin Singer wyprostował się, wygładzając ubranie.

- Wybór nie należał do nas, Martinie, ale do ciebie. - Lodowaty ton Daniela doskonale pasował do otoczenia.

Rzeźnik również miał coś do powiedzenia Martinowi.

- Wybrałeś wyjątkowo niestosowny moment na wyjście. Ta młoda dama pracuje dla Mosadu.

Dawid nie rozumiał słów, ale groźba w głosie rzeźnika była wyraźna. Wykonał błyskawiczny obrót. Masywna postać blokowała wyjście, trzymając w dłoni niebieski pistolet maszynowy, wyglądający potężnie i superzabójczo.

- Postanowiłem jeszcze nie wychodzić, Isser. - Głos Martina brzmiał zupełnie spokojnie. Chuchał w dłonie i zacierał je energicznie. - Może wejdziemy do mojej norki i omówimy sprawę? Tam jest znacznie przytulniej. Może trochę skromnie, ale przecież jesteśmy dobrymi znajomymi, prawda?

Schylając głowę pierwszy wszedł w niski otwór. Daniela zawahała się i rzuciła Dawidowi pytające spojrzenie. Kryjówka wyglądała jak ślepy zaułek, zasadzka. Gdyby weszli, mogliby już nigdy nie wyjść.

Musieli zaryzykować. Skinął głową i dał Daniela znak, żeby poszła za Martinem; lufa pistoletu dotykająca jego karku była zbędnym argumentem. Wtyczka, którą ścigał przez pół świata, znajdowała się teraz w zasięgu ręki, zapędzona do własnej nory. Nie spuści Martina z oczu, zanim zobaczy go za kratkami.

I co, znacznie przytulniej, prawda? - Martin Singer przysiadł na niskim sejfie, oparty o ścianę, z rękami skrzyżowanymi niedbale na piersiach. -

Powiedzcie, jak mnie znaleźliście?

Dawid siedział spięty na krawędzi małego biurka, wpatrzony w Martina. Było jasne, że zostali więźniami; posępny rzeźnik z morderczym pistoletem czaił się gdzieś za drzwiami. Rozejrzał się po małym pokoju: sądząc po dokładnym zamaskowaniu, znaleźli się w swego rodzaju nielegalnej kryjówce szpiegowskiej. Dwie czarne skrzynki na półce nad głową Martina potwierdziły jego podejrzenia. W większej z nich rozpoznał nowoczesną radiostację nadawczo-odbiorczą.

- Mówisz: przytulnie? - spytała Daniela, siadając na jedynym krześle. Wpatrywała się groźnie w człowieka, który tak nagle zniknął z jej życia, by teraz powrócić, niosąc zemstę.

- Wygląda na to, że jesteś w świetnej komitywie z niewłaściwymi ludźmi. Jak daleko to zaszło, Martin? Dlaczego nas zdradziłeś?

Jej bezpośrednie słowa nie wytrąciły Martina z równowagi.

- Czy nie przesadzasz odrobinę? Zdrada zakłada wspólną sprawę. Twoja sprawa, Danielo, nigdy nie była moją - ślepe posłuszeństwo wobec fanatyka, terrorysty, który rządził krajem tak, jakby nadal kierował Irgunem. Jego partia prowadzi was do zagłady, waszej zagłady. Trzeba było ich powstrzymać.

- A ty znalazłeś sposób, żeby ich powstrzymać. - Jej zrozpaczone oczy ujrzały błysk triumfu we wzroku Martina. - Ty, zagraniczny dyplomata, mieszający się do spraw naszego kraju. Nie masz prawa! Sami zdecydujemy, kto będzie nami rządził. Proces demokratyzacji, o którym wy, Amerykanie, tak bardzo lubicie mówić.

Martin pozostał niewzruszony.

- Czasami proces demokratyzacji potrzebuje pomocy, małego popchnięcia. Ja tylko wykonuję swoje obowiązki. Niedługo, bardzo niedługo, zobaczysz rezultaty. Na dłuższą metę przyniesie to korzyść Izraelowi. Początkowo trudno będzie ci to zrozumieć, Danielo. Jednak jestem pewien, że Dawid zrozumie, co...

Głowa Singera grzmotnęła o ścianę, kiedy pięść Llewellyna wylądowała mu na szczęce. Miejsce zadowolenia zastąpił na jego twarzy wyraz zdumienia.

- Zrozumiem? To za uderzenie mnie w głowę! Wiem, wykonywałeś tylko obowiązki. A zamordowanie Abernathy'ego również do nich należało?

Rozcierając tył głowy, Singer wpatrywał się w stojącego nad nim Amerykanina. Ostrożnie pomacał szczękę.

- Dawidzie, naprawdę musisz się nauczyć zachowywać zimną krew.

- Dopiero się rozgrzewam. - Dawid wciąż zaciskał pięści. - Chcemy szybko usłyszeć kilka odpowiedzi. Ta kryjówka, te numery z filmów płaszcza i szpady - dla kogo pracujesz? Na czym dokładnie polega twój spisek antyrządowy? Zamach? Wygląda na to, że zabójstwo pasuje do twego stylu.

- Mój drogi Dawidzie, nie doceniasz mnie. - Na opaloną twarz powrócił uśmiezek, ale oczy patrzyły lodowato. - Widzisz, to nie jest takie proste, jak ci się wydaje. Zabicie Szamira tylko zrobiłoby z niego męczennika; jego następcą zostałby ktoś tego samego pokroju albo jeszcze gorszy - pewnie Szaron. Dążymy do całkowitej zmiany rządu. Izraelczycy muszą zrozumieć, że nie można dłużej wspierać polityki Begin'a i jego następców. Ostatnie rażące nadużycie przeciwko krajowi, będącemu najzagorzalszym sojusznikiem - i naród odrzuci tę całą bandę, zastępując ją bardziej rozsądnym, pokojowo nastawionym rządem partii pracy. Oto genialne posunięcie, które zaplanowaliśmy.

- A któż to taki, owi „my”? Pozwól, że zgadnę. - Dawid wskazał na radiostację nad głową Martina. - Nie zdziwiłbym się, gdybyś miał tu bezpośrednie połączenie z Moskwą.

- Znowu mnie rozczarowujesz. Jestem wierny tym samym wartościom, co zawsze, odkąd mnie znasz. Jestem wierny memu krajowi oraz planecie, na której on przypadkowo leży. Nie mam zamiaru stać z boku i patrzeć, jak grupa szaleńców wysadza tę planetę w powietrze. Ale przypomniałeś mi... - Zerknął na zegarek. - Przepuścimy jeden z moich ulubionych programów. - Sięgnął w górę i włączył radio.

Pokój wypełniły głośne trzaski. Rozległy się strzępy dialogu, w języku, który nie był wprawdzie hebrajskim, ale równie niezrozumiałym dla Llewellyna. Spojrzał pytająco na Danielę, która marszczyła brwi w skupieniu.

- Brzmi jak arabski. Arabscy piloci porozumiewają się przez wewnętrzny telefon. - Rzuciła pytające spojrzenie Martinowi.

- Jedna poprawka: izraelscy piloci rozmawiają po arabsku.

Enigmatyczny uśmiech Singera rozwścieczył Dawida.

- Dobra, Martin, zabawieś się trochę. Nie mamy nastroju na zgadywanki. Co się dzieje?

- Czemu nie zapytasz przyjaciółki? Jestem pewien, że ona wie.

Na twarzy Daniela odmalowało się zrozumienie. Zaczęła mówić, ale zamilkła, prowadząc ze sobą jakąś wewnętrzną walkę.

- Najwyraźniej jest związana tajemnicą. - Martin uśmiechnął się szeroko. - No dobrze, Dawidzie, zdradzę ci nasz mały sekret. Nasze radio działa na częstotliwości izraelskich sił powietrznych; obecnie przygotowują się do niespodzianego ataku na iracki reaktor atomowy pod Bagdadem. Mówią po arabsku, żeby zmylić przeciwnika.

- To była ściśle tajna informacja! - W wybuchu Daniela dało się słyszeć zarówno zaskoczenie, jak i ton oskarżycielski. - Nawet Mosad nie wiedział, kiedy to nastąpi. Skąd ty...?

- Moja droga Danielo. Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, dla kogo naprawdę pracuję? - W krótkim śmiechu Martina brzmiała pogarda. - Ty i ja pracujemy dla podobnych organizacji, oboje posługujemy się działalnością dyplomatyczną jako zasłoną.

- CIA! Powinienem był się domyślić. - Dawid wiedział, że w każdej ambasadzie jest przynajmniej jeden pracownik tej organizacji, ale nigdy nie sposób było stwierdzić, kto to. Ostatnie wydarzenia wskazywały, że nie wiedział tego nawet Abernathy, pracujący w wywiadzie dyplomatycznym. Biedny Abernathy.

- Brudne sprawy, mieszanie się do spraw innych krajów. Wszystko się zgadza. Pracujesz dla „Firmy”. Ale nawet Firma nie pochwaliby zabójstwa amerykańskiego dyplomaty. To było działanie fanatyka. Przebrałeś miarę, co Martin? Zrobiłeś to na własną rękę. Abernathy musiał cię przejrzeć. Powstrzymałby cię, więc musiałeś go uciszyć, prawda?

Oczy Singera zwięzły się; uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Ten głupiec miał zamiar wszystko wypaplać, zawiadomić Waszyngton i Mosad. Zlikwidowanie go było jedynym praktycznym sposobem na rozwiązanie problemu. Nie miałem czasu na zwoływanie „rady” w celu przeprowadzenia głosowania. Należało podjąć autorytatywną decyzję. - Mówił zdecydowanym głosem, jakby relacjonował zawarcie rutynowej transakcji. - Mylisz się jednak w jednym punkcie. Firma wyraziłaby zgodę, gdybym miał czas się z nią skonsultować. Mieli zbyt dużo do stracenia, by pozwolić pośledniemu urzędnikowi z konkurencyjnej organizacji wywiadowczej na przeszkodzenie w ostatniej chwili ich operacji.

- A przypuśćmy, że Abernathy zdążył mnie wtajemniczyć, zanim go zlikwidowałeś. - Daniela patrzyła zimno na Martina, cedząc słowa. - W takiej sytuacji mnie również musiałyby się pozbyć. Musiałbyś mnie zlikwidować, prawda?

Jej wzrok napotkał oczy Martina i odczytał w nich odpowiedź.

- O, Boże! - Daniela odwróciła wzrok.

- Ty zwariowałeś! Oszalałeś, straciłeś wszelkie poczucie dystansu! - Llewellyn chciał potrząsnąć Singerem, z powrotem wstrząsnąć w niego rozsądek, zagrzecotać jego kośćmi, aż cały ohydny spisek wyjdzie na jaw. - Powiedz nam resztę, Martin. W jaki sposób Firma chce obalić obecny rząd? No, dalej!

- Przemoc jest tu zbędna - odparł Martin, mierząc Dawida wzrokiem. - Przecież ci mówię. Radio ci mówi. Posłuchaj.

- Nalot na Bagdad! - zachłysnęła się Daniela. - Musieli uprzedzić Irakijczyków. Nasze samoloty zostaną zmiecione!

Dawid szukał na twarzy Martina potwierdzenia lub zaprzeczenia, ale nie znalazł nic. Według niego taka wersja nie miała sensu.

- To niemożliwie, Danielo. W wyniku takiej akcji ludzie czuliby tylko większą nienawiść w stosunku do Arabów, a pozycja Likudu by się wzmocniła. To musi być coś innego, może coś wywołanego atakiem na Bagdad.

- Mądry chłopiec. Zawsze twierdziłem, że świetnie się zapowiadasz, Dawidku. Nie będę was jednak trzymał w napięciu: to się zdarzy już wkrótce. - Martin wstał i wyregulował radio, by zlikwidować trzaski. - Za

kilka minut jeden z izraelskich myśliwców odłączy od grupy i skręci na południe. Po półgodzinie, ponad północną częścią Pustyni Arabskiej, napotka saudyjskiego AWACS-a lecącego na północ. Zadaniem izraelskiego myśliwca jest zestrzelenie AWACS-a, zanim ten zdąży wykryć Izraelczyków i ostrzec Bagdad.

- Richy! - wykrzyknął przerażony Dawid. - Mój brat jest w tym samolocie! - Spojrzył oskarżycielsko na Daniełę. - Wiedziałaś...?

- Nie! To nie należało do planu. To jakiś podstęp, Dawidzie. Lotnictwo... rząd nigdy by na coś takiego nie pozwolił. Nie widzisz, że to byłoby szaleństwo?

Llewellyn odwrócił się z wściekłością do agenta CIA.

- Ty skurwysynu! Wiedziałaś, że Richy będzie na pokładzie AWACS-a. Sam ci o tym mówiłem.

- No, tak. - Martin wzruszył ramionami. - Zupełnie zapomniałem. To zresztą bez różnicy. Nic nie mógłbym poradzić.

- Poradzisz coś, i to zaraz. - Dawid stanął groźnie nad Singerem. - Nie wiem, jak ty i ta twoja diabelska Firma to namotała, ale teraz wszystko odwołasz. Użyjemy twojej zgrabnej radiostacji, żeby ostrzec AWACS-a. Tak się szczęśliwie składa, że byłem na jego pokładzie. Znam częstotliwość i hasło.

- Nie bądź głupi, Llewellyn. Myślisz, że pozwoliłbym ci wszystko zepsuć, kiedy znajdujemy się o krok od sukcesu. Wy dwoje żyjecie tylko dlatego, że wprowadziłem was tutaj, zanim rzeźnik was wykończył. Widzicie, on nie jest jednym z nas. To Palestyńczyk, prawdziwy fanatyk. Wystarczy, że nacisnę przycisk na tym oto kablu, który trzymam w ręce, a wpadnie tu ze swoją armatą.

- Naciśnij ten przycisk i jesteś martwy. - Mały pistolet, który trzymała Daniela, w porównaniu z pistoletem rzeźnika wyglądał jak dziecięca zabawka, ale Martin wiedział, że z małej odległości może być równie groźny. Patrzył w nieruchomą lufę małego kalibru wymierzoną prosto w jego czoło i w równie nieruchome oczy właścicielki. - Nie zawaham się go użyć, Martin. Podobnie jak ty byś się nie zawahał, gdybym weszła ci w drogę. Puść ten przewód, o tak. A teraz podejź tu i usiądź na biurku, na którym siedział Dawid. Powoli. Ten spust reaguje na najmniejsze drgnienie.

Jej czujne oczy śledziły każdy ruch Martina; lufa odprowadzała go przez pokój.

- Dobrze, Dawidzie, możesz nadawać.

Nie musiała mu mówić; już ustawiał częstotliwość AWACS-a na cyfrowej klawiaturze nadajnika.

- Poczekaj, Danielo, zastanów się, co robisz! - Martin Singer w niczym już nie przypominał chłodnego agenta CIA. Opalone czoło pokryło się potem, a w niebieskich oczach czaiła się rozpacz. - Lot AWACS-a śledzą wszystkie kraje arabskie. Irakijczycy odbiorą wasze ostrzeżenie. Wszystkie wasze myśliwce w drodze do Bagdadu - skazecie je na śmierć!

- Zamknij się, Martin! - Dawid skończył ustawiać częstotliwość i przygotowywał się do przejścia z odbioru na nadawanie.

- On... ma rację, Dawidzie. Nie mogę ci na to pozwolić. Proszę cię, zostaw ten przełącznik. Odsuń się od radiostacji.

Z niedowierzaniem odwrócił się i ujrzał mały pistolet zwrócony w jego stronę; lufa mierzyła w jego pierś.

- Danielo, nie możesz...

- Dalej! - Zaciśnięte usta i determinacja w głosie Daniela powiedziały mu, że dalsza dyskusja nie ma sensu. Mimo to nie spełnił polecenia, nadal trzymając dłoń na przełączniku.

- Czekajcie! - krzyknął Martin. - Słuchajcie!

Głośny szum wydobywający się z odbiornika ponownie przerwała rozmowa prowadzona po arabsku. Daniela skupiła się na słowach, ze wzrokiem skierowanym na Dawida, jednak zwracając też uwagę na drugiego mężczyznę. Zmarszczka na jej czole się pogłębiła.

- Jeden z samolotów odłącza się od grupy, tak jak przewidział Martin. Ale... pilot mówi, że zawraca, że ma kłopoty z silnikiem. Co to może znaczyć?

Llewellyn wpatrywał się w Singera, obserwując jego reakcję. Jego twarz miała obojętny wyraz, ale w oczach malował się nie skrywany triumf.

- Sądzę, że wiem, co to znaczy. - Dawid mówił powoli; wytłumaczenie dopiero formowało się w jego umyśle. - Kłopoty z silnikiem to tylko pretekst. Ten pilot stara się wykiwać pozostałych. Kiedy tylko zniknie im z

oczu, skręci prosto ku Arabii Saudyjskiej. Musisz pozwolić mi ostrzec AWACS-a!

Przełączył radiostację na nadawanie i podniósł mikrofon.

- AWACS C-103, tu Tel Awiw. Tu Dawid Llewellyn z ambasady amerykańskiej. Zgłoś się. - Przełączył na odbiór. Odpowiedź nie napłynęła.

- Na miłość boską, powstrzymaj go! - krzyknął agent CIA.

- On nie ostrzega Saudyjczyków, ale Bagdad!

- Dawidzie, poczekaj chwilę, pozwól mi się zastanowić.

- Daniela się zawahała. - Atak na Bagdad ma dla Izraela kluczowe znaczenie. Musi się powieść. Mój brat oddał życie...!

- Dopóki mogę coś poradzić, mój brat nie odda swojego! - Dawid uruchomił mikrofon i kontynuował nadawanie.

- AWACS C-103, mam dla ciebie pilną wiadomość. Potwierdź, że mnie słyszysz. Odbiór.

Tym razem trzaski przerwał ledwo słyszalny głos, mówiący po angielsku z silnym akcentem.

- Tu AWACS C-103. Ambasadorze Llewellyn, słyszymy pana, proszę mówić.

Daniela uniosła ostrzegawczo pistolet.

- Dawidzie, proszę! Nie zmuszaj mnie, żeby cię powstrzymywała! Łzy napłynęły jej do oczu, kiedy zrozumiała, że mężczyzna, którego kocha, nie usłucha jej ostrzeżenia.

- AWACS C-103, grozi wam śmiertelne niebezpieczeństwo! Za moment...

Wystrzał małego pistoletu w ciasnym pokoju zabrzmiał ogłuszająco, odbijając się echem od ścian.

9.

Zdumiony Beduin ściągnął mocno lejce przestraszonego wielbłąda, kiedy lśniący samolot wojskowy przemknął z hukiem zaledwie kilkadziesiąt metrów ponad nim. Bez najmniejszego uprzedzenia pojawił się nad szczytem wydmy piaskowej, nurkując na Beduina niczym anioł zagłady. Wtedy dopiero rozległ się potworny hałas, rozdzierający jego wrażliwe uszy, paraliżując zmysły. Przerażone oczy Beduina odprowadzały oddalający się łukiem samolot; dysze wyrzuciły podwójny język ognia, huk rozbrzmiał po raz ostatni.

Maszyna zniknęła równie nagle, jak się pojawiła; pustynia wciąż jeszcze drżała. Samotny jeździec zszedł na ziemię, uspokoił przestraszone zwierzę, po czym padł na kolana, dziękując Allanowi za ocalenie.

Z kabiny mknącego Eagle Strike pilot dostrzegł sylwetkę pustynnego nomada. Kapitan Zew Lieb, z domu Adnan Ibrahim al Amiri, pseudonim El Aurens, uśmiechnął się ze zrozumieniem. Prostemu zabobonnemu Beduinowi przeraźliwa zjawia na niebie musiała się wydać żywą istotą, jakimś wojowniczym, mściwym posłańcem wszechmocnego pana niebios. Takie wyobrażenie nie było obce Irakijczykowi. On także widział w Eagle Strike żywą istotę, która reagowała skwapliwie na każdy jego rozkaz. Napawał się tym uczuciem, pędząc nad pustynią z zawrotną szybkością, tuż poniżej bariery dźwięku. On i jego wspaniała bestia stanowili jedno; wolny duch - nieposkromiony, niepokonany.

Jego euforia była spowodowana w dużej mierze gładkością, z jaką przebiegała misja. Najtrudniejszą część miał już za sobą: przekonanie kolegów z eskadry, że musi zawrócić z powodu kłopotów z silnikiem. Symulowane zgaśnięcie lewego silnika udało się doskonale. Nagła utrata wysokości,

kiedy ustawił maszynę do lotu na jednym silniku, oraz niepowodzenie przy ponownym wzniesieniu się, okazały się całkowicie przekonujące. Nie musiał nawet prosić - dowódca eskadry polecił mu zawrócić.

Kiedy zniknął formacji z oczu, ponowił manewr wznoszenia się, tym razem w odpowiednim momencie uruchamiając przepustnicę lewego silnika. Silnik zaskoczył, a F-15 rozpoczął powolny zwrot na południe, gwałtownie obniżając pułap. Operacja AWACS weszła w fazę penetracji. Wymagała ona, by Eagle Strike obniżył lot do poziomu wierzchołków drzew, pod parasolem radarów, i przeleciał nad ziemią jak najszybciej, zachowując ciszę radiową i radarową.

Poziom wierzchołków drzew, a to dobre. Ponury krajobraz uciekający w tył był pozbawiony jakiegokolwiek roślinności; żadnej zieleni, czy choćby błękitu, jak gdyby artyście skończyły się wszystkie farby z wyjątkiem szjenu i palonej umbry. Mimo że często latał nad terenami pustynnymi, przywykł do nawodnionych, obsadzonych roślinnością pustyń Izraela. Nawet na Negewie spotykało się niezliczone oazy. Jednak krajobraz pod nim składał się wyłącznie ze smaganych wiatrem skał i piasku; samotny Arab i wielbłąd były jedynymi żywymi istotami, jakie napotkał na przestrzeni kilkuset kilometrów, które już przemierzył. Żadnych znaków rozpoznawczych, żadnych przyjaznych placówek, skrzyżowań czy zakoli rzek. Nietrudno byłoby zabłądzić na tym pustkowiu. Poczul na plecach dreszcz; sprawdził kurs. Nafud, rozległy pusty obszar północnej Arabii Saudyjskiej. Pustynia zasługiwała tu na swą nazwę.

Natarczywe dzyń-dzyń-dzyń budzika przy zegarku przypomniało mu, że czas włączyć EST, elektroniczny system taktyczny. EST potrafił wykryć każdy promień radarowy uderzający w samolot i wskazać, z której strony jest wysyłany. Pilot liczył, że EST odbierze sygnał radarowy AWACS-a i naprowadzi go na nowoczesną saudyjską maszynę. Według jego obliczeń od łupu dzieliło go nadal co najmniej trzysta kilometrów. Wiedział jednak, że EST potrafi wykryć sygnał AWACS-a z jeszcze większej odległości niż nominalny zasięg pięciuset kilometrów radaru tamtego. Zlokalizuje swój łup, zanim jego myśliwiec zostanie zarejestrowany na radaroskopie

przeciwnika. Im szybciej, tym lepiej. W ten sposób zdoła wyostrzyć kurs i zacząć się wzbijać na dopalaczu, zmniejszając do minimum ryzyko zestrzeżenia przez ewentualne wrogie maszyny, które przeciwko niemu wysłano.

Jednostajny szum w słuchawkach powiedział mu, że EST zaczął działać. Każda przerwa jednostajnego dźwięku oznaczałaby, że na samolot padł promień radaru; będzie w stanie odczytać jego kierunek i częstotliwość. Lot we wskazanym kierunku był dziecinną igraszką, jak lot według kompasu. Jednak jak na razie nic nie było słychać ani widać. To może chwilę potrwać. Wiedział, że jego niski pułap umieszczał go w cieniu krzywizny ziemi, w stosunku do innego samolotu. Nie wykryje go ani tamten nie wykryje jego, zanim zdąży zbliżyć się na tyle, że wyjrzy ponad „horyzontem radaru”. Będzie miał dosyć czasu na odpalenie pocisków.

Jego radio nadal pracowało na częstotliwości wewnętrznej izraelskiej siły uderzeniowej. Przez ostatnie pół godziny na tym kanale panowała cisza. Zwiększył głośność, aż w słuchawkach rozległy się trzaski, po czym znowu ściszył. Czy eskadrę wciąż obowiązywała cisza w eterze, czy może znalazł się już poza zasięgiem ich nadajników? Powinni się już zbliżyć do granicy irackiej, gdzie, zgodnie z planem, mieli symulować jordańską eskadrę na ćwiczeniach, potem mieli obniżyć pułap i zniknąć. Ta strategia przyniosła powodzenie pierwszemu nalotowi na Osirak. Tym razem również miała się powieść, a w każdym razie na to się zanosilo. Uśmiechnął się pośepnie. Wszystko będzie pozornie działać, aż do ostatniej chwili, kiedy odkryją, co naprawdę czeka na nich w Osiraku. Odkryją to, kiedy będzie już za późno.

Jego koledzy piloci, jego towarzysze. Co będzie czuł potem? Dziwne, nie czuł, że coś traci, nie miał wyrzutów sumienia, kiedy opuszczając ich pojął, że odcina sobie wszelką drogę powrotu. Zakończył się trwający ponad cztery lata rozdział jego życia. Ani odrobiny żalu, tylko przemożne uczucie ulgi.

Ulgi, że skończyła się maskarada, udawanie jednego z nich, przy jednoczesnym gardzeniu tymi ludźmi. Każda pobudka stanowiła torturę; uświadamiał sobie, że gra musi toczyć się dalej. Że, jak znudzony gwiazdor, śmiertelnie znudzony przedstawieniem granym zbyt długo, musi nadal

wychodzić na scenę i powtarzać kwestie, od których zbiera mu się na młodości. I robić to przekonywająco. Najgorsze, że jedynym sposobem na dobre odgrywanie roli było ciągłe wcielanie się w nią. Im bardziej zaczynał o sobie myśleć jako o Zewie Liebie, kapitanie izraelskiego lotnictwa, tym głębiej kryła się jego prawdziwa osoba, aż poczuł, że grozi mu utrata tożsamości.

Nie, nie będzie czuł żalu, jednak w tajemnym zakątku umysłu zawsze będzie pieścił myśl, że ci lotnicy to elita, a on do niej należał.

Przypomniał sobie ostatnie tygodnie intensywnego szkolenia, osvajanie się z nowym Eagle Strike, ćwiczenia w zrzucaniu bomb. Jako pilot myśliwca miał niewielkie doświadczenie z bronią powietrze-ziemia. Znalazł się pod presją; jego udział w nalocie na Osirak został uzależniony od celności w bombardowaniu na ćwiczeniach. Początkowo miał trudności; obcy był mu manewr podrywania samolotu przed zrzuceniem bomb i jego atrapy padały daleko poza kręgiem.

Dotknięty pierwszym niepowodzeniem zdobył się na maksymalny wysiłek; zapisał się na dodatkowe ćwiczenia. Kiedy wreszcie wyczuł w czym rzecz, jego wyniki poprawiły się raptownie, aż wyprzedził niektórych weteranów. W przeddzień wielkiej operacji jego sukcesy na ćwiczeniach zapewniły mu miejsce pierwszego rezerwowego w dwunastoosobowej grupie uderzeniowej. Odrobina pewnej substancji dosypanej do zupy kolegi zapewniła Zewowi miejsce w grupie.

Powietrze-ziemia. Nudna, monotonna misja, nie mogąca się równać z walką powietrzną. Pojedynek w powietrzu - oto na czym polega latanie. Jeden na jednego, z godnym przeciwnikiem; zataczając mniejsze koła niż on, przechytrzając go. Kiedy jednak w grę wchodziło wygranie wojny, nie było wątpliwości, że wszystko zależało od chłopców walczących na maszynach „powietrze-błoto”. Podczas szkolenia Zew wyrobił w sobie szacunku dla „kierowców ciężarówek”. Przynosił sobie ich umiejętności, które bardzo mu się przydadzą po zakończeniu misji przeciwko AWACS-owi. Tym razem z prawdziwymi bombami, nie z atrapami.

W wyobraźni ujrzał gładkie czarne bomby Mark 84, które ładowano tego

ranka do jego samolotu, po jednej pod każdym skrzydłem. Kształtem przypominały rzutki używane w angielskich pubach, tylko że te rzutki miały zostać wykorzystane w znacznie bardziej zabójczej grze przeciwko jego ojczyźnie; każdą z nich nafaszerowano toną materiałów wybuchowych. No, jeśli chodzi o te dwie bomby, na szczęście ich przeznaczenie było inne. Wyznaczono im zadanie specjalne.

Przerwany sygnał w słuchawkach przywołał go do rzeczywistości. Radar! Spojrzał na wskaźnik EST w górnym prawym rogu tablicy rozdzielczej. Lampa katodowa rozbłysła światłem; pojedynczy promień wychylił się do trzystu trzydziestu stopni na szkiełku zegara. Zaledwie trzydzieści stopni od jego obecnego kursu i jeszcze spory kawał drogi przed nim, stwierdził na podstawie braku zauważalnych rotacji, kiedy kolejne promienie zastąpiły znikających poprzedników. Wstrzymując oddech, wcisnął guzik na małej tablicy pod wskaźnikiem EST oznaczony „częstotliwość”. Prawie natychmiast na czytniku pojawiła się liczba trzy i dwie dziesiąte, a obok prążki, migające wraz z kolejnymi rozbłyskami lampy katodowej: trzy i dwie dziesiąte megaherca. Pasma S! W tym odległym zakątku świata tylko jeden radar nadawał na tej częstotliwości, radar AWACS-a.

Przechylając się na lewe skrzydło, zaczął łagodnie nabierać wysokości, wciskając przepustnicę. Dopalacze zaskoczyły z nagłym rykiem, a gładki odrzutowiec oderwał się od pustyni i wzbił się w bezchmurne lazurowe niebo. Wskaźnik liczby Macha wychylał się powoli, po czym zadrżał, kiedy rozpędzony odrzutowiec przekroczył barierę dźwięku. Wpatrując się uważnie we wskaźnik EST, wyrównał skrzydła i ustawił maszynę tak, że jasne światło lampy katodowej padało na godzinę dwunastą - fluorescencyjne zielone światło oznaczające fale radaru AWACS-a, które w jego umyśle było już samym AWACS-em - światło przewodnie, które zaprowadzi go prosto do bezbronnej ofiary.

Richard Llewellyn podniósł wzrok od konsoly radaru, kiedy drobny pająkowany technik z Brooklynu stanął przed nim bez tchu.

- Llewellyn, dowódca każe ci się natychmiast stawić na pokładzie

załogi. Próbował cię wezwać przez słuchawki, ale widzę, że ich nie nosisz.

- Co się stało, Rybałt?

- Nie wiem, jakaś wiadomość przez radio. Nie rozumiem języka tego operatora.

Richard się roześmiał. Radiooperator był jego przyjacielem, jedynym członkiem załogi saudyjskiej, który mówił po angielsku i służył jako tłumacz pozostałych.

- On twierdzi, że nie rozumie twojej gwary brooklińskiej. Powiedziałem mu, że większość Amerykanów ma ten sam problem.

- Jasne. - Rybałt błysnął zębami żółtymi od tytoniu. - Wszyscy jesteście ofiarami niewłaściwego wychowania; wszyscy wyrosliście z dala od środka Dużego Jabłka. Nigdy nie nauczyliście się poprawnie mówić.

Udając oburzenie, Richy wymierzył cios otwartą dłonią w pośladki tamtego; zwinny technik umknął bez trudu.

- Brrawo! Założę się, że byłbyś świetny w podkręcanych piłkach.

- Świr! - krzyknął Richy za oddalającymi się plecami.

Ruszył korytarzem ku pokładowi lotniczemu, zauważając po drodze, że Roxana nadal siedzi z Hansonem w sąsiedniej kabynie. Drzwi zostawili szeroko otwarte i Richy ujrzał, jak popijają kawę i gruchają słodko. Poczuł w brzuchu zbyt dobrze znajome ukłucie bólu. Nie miał wątpliwości, że tych dwoje łączy intymny związek. Zainteresowawszy się żonatym pracownikiem Boeinga, olśniewająca uczennica Richy'ego porzuciła go jak gorący kartofel. Miała dołączyć do niego później, w celu wysłuchania ostatniej lekcji na temat radaru. Będzie to męczące dla nich obojga.

Otworzywszy drzwi do nowoczesnej kabiny, usłyszał potok arabskiego. Pilot i drugi pilot sprzeczali się zawzięcie, podkreślając głośne inwektywy wymachami rąk. Wyglądało na to, że żaden w najmniejszym stopniu nie interesuje się samolotem. Richy zauważył, że, na szczęście, maszyna leci sama, prowadzona przez pilota automatycznego.

- O co idzie? - spytał operatora, którego stanowisko znajdowało się tuż za drzwiami, za drugim pilotem.

- Drobną różnicą zdań. Drugi pilot twierdzi, że powinniśmy zawrócić. Masz, to właśnie nadeszło.

Operator wręczył Richardowi kartkę papieru z wydrukowaną krótką wiadomością. Richey wpatrywał się w radiogram z niedowierzaniem. Co, u licha? Jego brat najwyraźniej skontaktował się z AWACS-em przez radio z Izraela. Jakiś rodzaj ostrzeżenia. Przeczytał koniec wiadomości: „Grozi wam śmiertelne niebezpieczeństwo. Za moment...”

- Gdzie reszta? - spytał.

- To wszystko, co odebraliśmy - odparł Saudyjczyk, wzruszając ramionami. - Sygnał się urwał. Nadal nasłuchujemy, ale nic więcej nie nadeszło.

Richard studiował wiadomość, zastanawiając się, co ma o niej sądzić. Przed czym Dawid starał się ich ostrzec? Richarda zdumiewał fakt, że wiadomość nadano z Tel Awiwu.

- Jesteś pewien, że powiedział „Tel Awiw”? Ambasadę przeniesiono do Jerozolimy.

- Powiedział „Tel Awiw”. To od twojego brata, tak? Dowódca chce wiedzieć, co to znaczy.

Richard przypomniał sobie troskę Dawida o jego bezpieczeństwo. Przypomniał sobie rozmowę, odbytą niedawno w tym właśnie samolocie, kiedy jego brat wykluczał możliwość, by atak mógł nadejść ze strony Izraela. Czyżby natrafił na jakiś plan; czyżby nakryto go i przeszkodzone mu w trakcie nadawania ostrzeżenia?

Zauważywszy obecność Richarda, pilot i drugi pilot przerwali kłótnię i odwrócili głowy, czekając na jego reakcję.

- Mój brat nie nadałby takiej wiadomości, gdyby się o czymś nie dowiedział. Skoro mówi, że grozi nam niebezpieczeństwo, tak właśnie jest. Zgadzam się z drugim pilotem: powinniśmy zawrócić. Dlaczego dowódca się nie zgadza?

Operator żuł nerwowo gumę, zerkając na pilota spode łba.

- Niedługo przed nadejściem tej wiadomości postawiono nas w stan Czerwonego Pogotowia; polecono nam trzymać się kursu i czekać na dalsze instrukcje. Dowódca nie powiadomił jeszcze reszty załogi.

- Czerwone Pogotowie? O co tu chodzi? - Spojrzawszy na zegarek, Richard stwierdził, że część ich tradycyjnej trasy prowadząca na północ

wydłużała się nietypowo; już dawno powinni byli wykonać zwrot o sto osiemdziesiąt stopni na południe.

- Wieża kontrolna tego nie wyjaśniła - odparł operator ze wzruszeniem ramion. - To pewnie kolejne ćwiczenia.

Dowódca wtrącił się zniecierpliwiony do rozmowy, a operator zrelacjonował komentarz Richy'ego jemu i drugiemu pilotowi. Ten ostami zareagował żywo, zdążył dorzucić jeszcze swoje trzy grosze, zanim starszy stopniem oficer uciszył go, zwracając się z kolejnymi pytaniami do Richy'ego i operatora.

- On pyta, czy możesz wyjaśnić, o jakim niebezpieczeństwie mówi twój brat. Czy chodziło mu może o atak ze strony irańskich myśliwców?

- Albo myśliwców izraelskich. Rozmawialiśmy o tym podczas jego wizyty tutaj. Jeśli Izraelczycy planują jakiś nalot, zlikwidowanie AWACS-a byłoby ich pierwszym krokiem.

Operator szybko przetłumaczył słowa Richarda. Reakcja dowódcy była natychmiastowa: włączył radio i zaczął nadawać przez mikrofon. Operator słuchał przez słuchawki, robiąc jednocześnie notatki.

- Przekazuje twoje informacje wieży kontrolnej - poinformował Richarda. Słuchając dalszego ciągu rozmowy, zaczął zdradzać rosnące podniecenie. - Wieża kontrolna sądzi, że może istnieć związek między Czerwonym Pogotowiem a ostrzeżeniem nadanym przez twego brata. Rozkaz o pogotowiu wyszedł z Iraku. Właśnie się dowiedzieliśmy, że Bagdad w każdej chwili spodziewa się izraelskiego nalotu!

Wiadomość zelektryzowała Richy'ego. Ostrzeżenie Dawida miało sens: niebezpieczeństwo mogło być rzeczywiste! Czekał z niecierpliwością, podczas gdy rozmowa między dowódcą a wieżą kontrolną toczyła się dalej, a operator był zbyt zajęty robieniem notatek, by mógł mu ją relacjonować. Wreszcie dowódca się rozłączył, a operator wręczył notatki drugiemu pilotowi.

- Co jest? - spytał Richy, chwytając przyjaciela za ramię. - Jaką decyzję podjęli?

- Polecono nam lecieć ostrożnie dalej tym samym kursem, prowadząc ciągły nasłuch radarowy na dużym zasięgu. Po pierwszym kontakcie z

wrogim samolotem mamy wracać do domu.

Richard skinął ponuro głową; takiego rozkazu mogli się spodziewać. Był zgodny z przyjętą „partyjną linią” obrony praktycznie bezbronnego AWACS-a: przy pierwszych kłopotach podwin ogon i zmykaj. A tymczasem prowadź nasłuch, umożliwiając swojemu myślicywi przechwycenie wroga. I módl się, by myślicywi się to udało, zanim AWACS zostanie zestrzelony jak kaczka.

Rozważył problem. Dokonywał tych obliczeń już wielokrotnie. Jego radar mógł wykryć zbliżający się obiekt z odległości pięciuset kilometrów. Pokonanie takiego dystansu musiało zająć najszybszym wrogim odrzutowcom blisko pół godziny - wystarczający czas, by znacznie wolniejszy AWACS zdążył wezwać odrzutowce i nakierować je na cel.

Jednak w tym właśnie tkwił haczyk. Na północy Pustyni Arabskiej, nad którą lecieli, nie było żadnych baz lotniczych. AWACS minął już ostatnią bazę przechwytyjącą na północny-zachód od Dhahranu. Każda minuta ich obecnego lotu oddalała ich o kolejne dziesięć kilometrów od potencjalnych wybawicieli. Jeszcze godzina - może nawet pół - i nie można będzie mieć nadziei, że pomoc nadejdzie na czas. Będą zdani wyłącznie na siebie.

Po minach saudyjskiej załogi poznał, że zdawali sobie sprawę z powagi sytuacji. Odwrócił się do wyjścia, pragnąc szybko wrócić do radaru i rozpocząć nasłuchiwanie intruzów z północy. Dowódca o surowej twarzy powstrzymał go pośpieszną przemową po arabsku.

- Mówi, że masz pozostawać w kontakcie radiowym - przetłumaczył operator. - Masz stale nosić słuchawki i meldować o każdym samolocie znajdującym się przed nami, zarówno przyjaznym, jak i wrogim.

Richy skinął głową i zasalutował na znak, że zrozumiał polecenia. Dowódca miał rację: nie było sensu przedwcześnie niepokoić pozostałych. Wrócił szybko na stanowisko, rozważając wszelkie możliwości.

Dowódca dodał jeszcze jedno polecenie.

- Nie wolno ci rozmawiać o zaistniałej sytuacji z żadnym innym członkiem załogi.

Richy skinął głową i ponownie zasalutował: zrozumiał polecenia.

Istotnie, po co wprowadzać zdenerwowanie na pokładzie? Szybko wrócić na stanowisko, rozważając wszystkie możliwości.

Istniało prawdopodobieństwo, że ostrzeżenie było podstępem, zastawianym przez kogoś, kto podszywał się pod Dawida Llewellyna. Gdyby tylko usłyszał jego głos, miałby pewność. Ale skąd ktoś taki znałby częstotliwość i hasło AWACS-a? I ten moment nadania informacji, zbiegający się z ewentualnym nalotem izraelskim na Bagdad. Nie, zbyt duży zbieg okoliczności. Dawid wpadł na trop i starał się ostrzec brata, że najbardziej niesamowite fantazje, jakie snuli podczas jego krótkiej wizyty w Rijadzie, stały się rzeczywistością. Izraelskie myśliwce, wyprodukowane w Stanach Zjednoczonych i uzbrojone w amerykańskie pociski, w tym właśnie momencie pędziły na spotkanie z AWACS-em, prawdopodobnie na pełnym dopalaczu.

Myśliwce F-15 lub F-16. Najnowocześniejsze, jakimi dysponowało lotnictwo izraelskie. RHAWS, radarowy system naprowadzania i ostrzegania znajdujący się na pokładzie AWACS-a, powie im w końcu, z jakimi myśliwcami mają do czynienia. Najprawdopodobniej z Eagle F-15, z większym zapasem pocisków typu powietrze-powietrze: Sparrowy naprowadzane radarowo, Sidewindery pracujące w podczerwieni i reagujące na ciepło, a także karabin M-61 Gatling, zabójczy z małej odległości. Jaką szansę przetrwania miał bezbronny AWACS wobec takiej siły ognia? Praktycznie żadnej.

Kiedy mijał kabinę Hansona, zauważył, że intymne tête-à-tête trwało nadal, ale nie miał zamiaru go przerywać. Później Hanson będzie wściekły, kiedy dowie się, że jego specjalista od radarów był wtajemniczony i nie ostrzegł go przed niebezpieczeństwem, Richy miał jednak sporo do przemyślenia i ostatnią rzeczą, której potrzebował, był szef z Boeinga wierzący mu dziurę w brzuchu.

Wpadł do swej kabiny, nerwowo spojrzął na duży radaroskop, przygotowując się duchowo na widok ostrzegawczego światełka w pobliżu obwodu ekranu. Jednak radar nie wykrył żadnych obiektów przed nimi; jedyne światełka, na drugiej półkuli, oznaczały ruch powietrzny w trójkącie Rijad-

Dhahran-Ras Tanura - swoi. Patrzył dalej, a na ekranie pojawiło się kilka nowych światełek, wykwitłych za wolno obracającą się linią, poruszającą się zgodnie z obrotami ogromnej anteny zawieszanej ponad kadłubem samolotu. Wciąż nic. Jednak jego instynkt mówił, że pojawi się wkrótce - mała zielona plamka, wyglądająca równie niegroźnie, jak plamki oznaczające rutynowe loty handlowe na szlakach powietrznych za nimi. Tylko że ten samolot z ładunkiem podwieszonym pod skrzydłami niósł śmierć.

Gdyby saudyjską wersję AWACS-a zaopatrzone w system obronny, opracowany dla samolotów amerykańskich i europejskich, istniałaby szansa przetrwania takiego ataku. Jednak po to, by uzyskać zgodę Kongresu, z jego izraelskim lobby, na sprzedaż AWACS-a do Arabii Saudyjskiej, administracja zgodziła się wstrzymać z tego rodzaju „nowoczesnymi technologiami”. Richy wiedział sporo o systemie obronnym AWACS-a; występował on w wersji samolotu używanej przez NATO, na której Llewellyn latał podczas prób w Niemczech. Przeleciał w myślach zestaw obronny. Odbiorniki sygnałów ostrzegawczych oraz kierowane komputerowo zagłuszarki radarów. Wyrzutnia rakiet odciągających pociski reagujące na ciepło, używane przez kraje bloku radzieckiego, a skonstruowane na wzór amerykańskich Sidewinderów.

Rakiety sygnałowe - musieli mieć kilka takich na pokładzie AWACS-a! Uzmysłowiwszy to sobie, Richy poczuł podniecenie. Takich rakiet używano podczas lądowań awaryjnych i nocnych akcji ratunkowych; spuszczano je na spadochronach. Czy poradziłyby sobie z pociskami Sidewinder? Możliwe, gdyby spuścić je w krytycznym momencie. Promieniowanie musiało być rzędu trzech do pięciu mikronów, bo w takim obszarze pracował czujnik pocisku. Bardzo możliwe, że urządzenie naprowadzające Sidewindera odciągnęłoby pocisk ku gorętszemu celowi, zawieszonemu z tyłu i poniżej AWACS-a, i w ten sposób samolot wyszedłby cało.

Duże ryzyko, ale na pewno warto spróbować. Co można jednak zrobić z Sparrowem, pociskiem naprowadzającym radarowo? Kompletnie nic, pomyślał ponuro. Sparrowy miały większy zasięg. Bez wątplenia zostałyby wystrzelone pierwsze, a Sidewindery zostawiono by w odwodzie, do

późniejszego użycia, w razie potrzeby. Nie zaistniałaby taka potrzeba. Sparrow był zaopatrzony w znacznie większą głowicę, skuteczną nawet w spotkaniu z potężnie uzbrojonym celem. Zmodyfikowany samolot handlowy, bezbronny i o cienkiej powłoce, zostanie rozdarty na, strzępy przez metalowe pręty głowicy pocisku lecącego dzięki potężnemu środkowi wybuchowemu z prędkością ponaddźwiękową. Nie było innego sposobu na zmylenie radarowego urządzenia naprowadzającego Sparrowa, jak wysłanie fal odpowiedniej częstotliwości, a tak właśnie działała zagłuszarka używana przez NATO. Jednak na pokładzie AWACS-a nie znajdował się żaden nadajnik zdolny emitować fale choćby zbliżone częstotliwością do pasma radaru Sparrowa.

Co za ironia, pomyślał Richy. Oto siedzi przed najpotężniejszym na świecie radarem lotniczym, „promieniem śmierci” zdolnym spopielić każdą żywą istotę, która miała takiego pecha, że znalazła się w jego zasięgu, i cały ten sprzęt nie zda się na nic. Pracuje na niewłaściwej częstotliwości, trzykrotnie wyższej niż długość fal Sparrowa, o siedem milionów kiloherców większej niż częstotliwość radaru pocisku.

Trzykrotnie wyższej! Uchwycił się tej myśli, a w jego sercu rozbłysnął słaby płomyk nadziei. Złapał ołówek, papier i kieszonkowy kalkulator, dokonując pierwszych obliczeń w pamięci. Fale trzykrotnie wyższej częstotliwości miałyby wielki wpływ na Sparrowa, gdyby udało mu się trafić pocisk głównym promieniem! Musiał jednak wziąć po uwagę współczynnik osłabienia anteny. Pisał gorączkowo, wściekle wciskał małe guziki kalkulatora. Na ekranie pojawił się wynik końcowy, a Richy patrzył z niedowierzaniem na ośmiocyfrową liczbę. Ponownie sprawdził obliczenia. Uzyskał ten sam wynik. Jego radar był w stanie wysyłać miliwaty energii do pasma Sparrowa, kiedy pocisk znajdował się jeszcze półtora kilometra od AWACS-a. Nawet więcej niż potrzeba!

Jego radość była jednak krótkotrwała. Przypomniawszy sobie bowiem, że wersja Sparrowa AIM-7F została zaopatrzona w urządzenie naprowadzające. Potrafiło ono odwieść pocisk od obiektu wysyłającego słabszy sygnał, nakierowując go na cel emitujący mocniejszy, w tym wypadku na zwałisty samolot. Richy wrócił do punktu wyjścia.

Nagle uzmysłowił sobie, że przestał obserwować ekran, więc spojrzął i aż podskoczył. W sektorze północno-zachodnim, nieco dalej na wschód, niż przypuszczał, w pobliżu obwodu ekranu pojawiło się światelko. Gorączkowo napisał komendę na klawiaturze konsoli, a po kilku sekundach wokół nowego światelka pojawiły się cyfry i symbole.

Wyszkolone oko Richarda odczytało je momentalnie. 1.6 macha! Cokolwiek to było, leciało jak potępiona dusza do piekła! Pułap odpowiadający tej prędkości: jedenaście tysięcy metrów. Na wskaźniku kierunku odczytał kurs stu sześćdziesięciu stopni. Obiekt leciał prosto na nich.

Bez chwili zwłoki porozumiał się z radiooperatorem.

- Powiedz pilotowi, że mam kontakt radarowy. Położenie trzy-cztery-pięć, zasięg dwa-dziewięć-zero, prędkość jeden i sześć, pułap jedenaście tysięcy. Musiał nas już wykryć, skoro tak pędzi. Ma nas pewnie na odborniku ostrzegającym.

- Roger. - Richy wyobraził sobie, jak operator połyka gumę. - Połącz się z tobą później.

Patrzył na zbliżające się światelko. Przy tej prędkości myśliwiec zbliżył się do nich na odległość strzału za piętnaście minut. Najlepsza strategia to podwinąć ogon, wyłączyć radar i zmykać. Czemu pilot nie zawraca?

Drzwi otworzyły się z hukiem i do kabiny wpadł Hanson, a tuż za nim Roxana. Richy pomyślał, że podsłuchali przez radio.

- Co jest grane, Llewelyn? - W jego głosie brzmiała lekka uraza, ale ani śladu niepokoju. Działo się coś niezwykłego.

Hanson chciał zostać wtajemniczony. Zerkał na ekran, a Roxana zaglądała mu przez ramię, unikając wzroku Richarda.

Zanim zdążył odpowiedzieć, radio zatrzeszczało znowu.

- Nasz RHAWS nic z tamtej strony nie odbiera - zameldował operator.

Richy zaklął pod nosem.

- Pewnie, że nic nie odbieracie. Ten cwaniak tropi nas z wyłączonym radarem. Gdybyśmy zgasili swój, może on włączy. Poprosz o zezwolenie na czasowe zgaszenie radaru.

Po krótkiej przerwie nadeszła odpowiedź.

- Zezwolenie wydane, Llewellyn.

- Llewellyn, co się dzieje? - Hanson chwycił go za ramię z zatroskaną twarzą. Richy strząsnął jego dłoń.

- Przepraszam, ale jestem zajęty. - Przycisnął czerwoną zapadkę i radar przeszedł na „standby” - stan, w którym już nie emitował, ale nadal funkcjonował z minimalną mocą i w ciągu kilku sekund mógł zostać uruchomiony ponownie. Obracająca się świetlna linia na ekranie radaru stanęła w miejscu. Richy zacisnął w myślach kciuki. System ostrzegania AWACS-a, RHAWS, dostarczy im informacji, kiedy nieznany obiekt włączy radar. Jeśli okaże się, że to F-16, mają przynajmniej cię szansy. F-16 nie miał pocisków sterowanych radarowo, a tylko Sidewindery. Wyrzutnia rakiet może się uporać z pociskami reagującymi na ciepło. Jeśli jednak napastnik okaże się myśliwcem F-15, będą mieli do czynienia z Sparrowami.

Usiłował wyrzucić z pamięci obraz zniszczenia, jaki kiedyś widział: w zatoce Baltimore, niedaleko zakładów Westinghouse przyholowano i zacumowano wrak trafionego niszczyciela. Okręt został bezpośrednio trafiony jednym, wystrzelonym z powietrza pociskiem typu Sparrow. Mostek niszczyciela, w który uderzył pocisk, został zamieniony w rumowisko; wewnątrz nie pozostało nic, poza poskręcanyimi dźwigarami i powyginaną blachą. Szczątki zaścieniały kabinę, stanowiącą dawniej centrum systemu nerwowego okrętu, na wysokość kolan. Żaden człowiek stojący na mostku nie mógł przeżyć takiego wybuchu. A w porównaniu z grubo opancerzonym mostkiem tamtego niszczyciela, kadłub AWACS-a był skorupką jajka.

Nagle i bez ostrzeżenia duży samolot przechylił się na lewo, zmuszając ludzi przebywających w kabinie do chwycenia się najbliższych przedmiotów. Richy odetchnął z pewną ulgą; pilot wreszcie zawracał.

- Radiooperator do radaru - rozległ się napięty głos. - Odebraliśmy sygnał przez RHAWS. Mamy pozytywne rozpoznanie. Twój radar namierzył Eagle F-15. Wieża kontrolna potwierdziła, że to żaden z naszych.

Kiedy ekran EST zgasł, Irakijczyka zdjęła panika. Poczuł, jak gdyby nagle oślepl, tak bardzo polegał na zielonej linii na ekranie. Stracił kontakt

z AWACS-em. Musieli wyłączyć radar. Jak uda mu się znaleźć ich znowu?

Wtedy przypomniał sobie plan i odzyskując zimną krew wyłączył swój potężny radar. AWACS musiał go już wykryć, więc nic nie tracił, przerywając milczenie radarowe. Było do przewidzenia, że załoga wyłączy radar, kiedy tylko nabierze podejrzeń, że AWACS mógł stać się celem. Mimo to był zdziwiony; nie spodziewał się, że wyłączenie nastąpi tak wcześnie. Według jego obliczeń cel znajdował się blisko dwieście kilometrów poza zasięgiem jego broni; załoga nie miała powodu do niepokoju.

Włączył radar, nastawiając go na maksymalny zasięg dwustu pięćdziesięciu kilometrów. Dla tego typu radaru AWACS stanowił olbrzymi cel; powinien go wykryć ze znacznie większej odległości niż sto trzydzieści kilometrów, jak by to miało miejsce w przypadku maszyny o rozmiarach myśliwca. Jednak pionowa linia na ekranie przemieszczająca się wolno z lewa na prawo wciąż nic nie wskazywała. Jego łup nadal musiał znajdować się daleko. Pilot był jednak pewien, że światełko wkrótce się pojawi. Leciał z prędkością jednego i sześciu dziesiątych macha. Nawet gdyby AWACS zawrócił i zaczął uciekać, dogoni go szybko. Już wkrótce jego radar go namierzy.

Doprowadził do perfekcji zdolność posługiwania się radarem myśliwca F-15 i miał do niego wielkie zaufanie. Urządzenie służyło mu wiernie, odgrywając ważną rolę w jego lotniczych wyczynach, które zdobyły mu uznanie wśród kolegów. Mógł się tylko zdumiewać inżynierskimi talentami, które stworzyły to urządzenie i połączyły je z tym równie cudownym samolotem. Jaka szkoda, że Amerykanie byli po niewłaściwej stronie. Może jego ostatnia misja w ich niezrównanym Eagle Strike przyczyni się do zmiany tej sytuacji.

Jeden, dwa, trzy, cztery. Patrzył, jak linia wskaźnika radaru skacze w górę i w dół, odpowiadając kolejnym obrotom anteny. Bez względu na to, gdzie znajdował się cel i na jakiej wysokości, radar go wykryje. Zakres urządzenia rozciągał się od poziomu ziemi do wysokości znacznie przewyższającej maksymalny pułap AWACS-a.

Kiedy linia przesunęła się w przeciwną stronę, nieco poniżej i trochę na

prawo od środka ekranu, zieleń fosforu rozbłysła żółto. Pilot gwizdnął. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek widział tak duży sygnał z tak małej odległości. To musiał być AWACS.

Po niskim położeniu światełka na ekranie pilot poznał, że samolot musiał już zawrócić i lecieć w przeciwnym kierunku. Jego doświadczone oko oceniło szybkość zbliżania się na osiem dziesiątych macha. Jak blisko znajdował się AWACS? Nastawił radar, plamka świetlna pojawiła się znowu w górnej części ekranu i pilot odczytał odległość: dwieście trzydzieści kilometrów. Szybka kalkulacja w myślach powiedziała mu, że za piętnaście minut znajdzie się w zasięgu strzału.

Spojrzał w tył przez lewe ramię na olbrzymi kanał powietrzny pod skrzydłem. Czub Sparrowa wystawał poniżej rogu kanału; szybkie spojrzenie przez drugie ramię upewniło go, że bliźniaczy brat pocisku także znajduje się na miejscu. Potężny chwyt powietrza zasłaniał mu drugie stanowisko pocisków, gdzie zazwyczaj ładowano Sidewindery. Wiedział jednak, że obecnie ich tam nie ma; wyładowano je, by zmniejszyć obciążenie i zwiększyć promień balistyczny. Uznano, że Sparrowy zapewnią myśliwcom wystarczającą obronę podczas nalotu na Bagdad. Również jemu wystarczą. Aż nadto.

W normalnej sytuacji wystrzeliliby je jednocześnie, w jednej salwie, zachowując Sidewindery na później, gdyby zaszła taka konieczność. Nie posiadając jednak Sidewinderów reagujących na ciepło, zdecydował, że odpali Sparrowy pojedynczo; sprawdzi rezultat pierwszego strzału i, w razie potrzeby, powtórzy go.

Rozpoczął przygotowania do strzału, ustawiając AIM-7F i posyłając prąd do pocisku pod prawym skrzydłem. Po kilku sekundach zapaliła się lampka potwierdzająca, że wybrany pocisk pomyślnie przeszedł test. Ostatnie przygotowania poczyni tuż przed odpaleniem, kiedy radar będzie nieprzerwanie śledził cel na częstotliwości odpowiedniej dla Sparrowa.

Ma jeszcze mnóstwo czasu. Postanowił, że zostawi jeszcze radar w pozycji przeszukującej. AWACS obserwował go pewnie za pomocą swego radarowego systemu ostrzegania. Przedwczesne byłoby namierzyć ich już teraz i utwierdzić załogę w przekonaniu, że ich samolot jest celem, głównym

celem. Nie znaczy to, że mogliby coś na to poradzić. Informacje, jakie otrzymał przed akcją, potwierdziły, że saudyjski samolot nie posiada broni ani skutecznych środków zapobiegawczych; wiedział też, że AWACS znajduje się obecnie daleko poza strefą bezpieczeństwa, gdzie saudyjskie myśliwce startujące z baz mogłyby przyjść mu na czas z pomocą.

Patrzył, jak zielonożółte światelko powoli przesuwają się w kierunku granicy zasięgu Sparrowa.

- Leć, piękny ptaku, leć - szepnął. - Nie uda ci się uciec. Mój Eagle leci szybciej. - Wyobraził sobie, jak Amerykanie znajdujący się na pokładzie usiłują ocenić sytuację. Przypomniał sobie amerykańskie wyrażenie, którego nauczył się od Izraelczyków. Jeśli tamtym nie przyszło ono jeszcze do głowy, na pewno wkrótce to nastąpi. Ich AWACS był „martwą kaczką”.

Wiadomość w jakiś sposób się rozniosła. Ktoś ich ścigał. Richard Llewellyn siedział obłożony w swej i tak już zatłoczonej kabinie, kiedy pozostali Amerykanie przepychali się za Hansonem i Roxana, by spojrzeć na radar.

- Co się, kurwa, dzieje? - Hauser, który zjawił się ostatni, przepychał się po chamsku, wyciągając szyję ponad ramieniem Tłuściocha.

- Izraelski F-15 - odparł autorytatywnie Tłuścioch, który dopiero co uzyskał tę informację.

Hauser mrugnął i przepchnął się, by spojrzeć z bliska.

- Ściga nas?

Tłuścioch zostawił odpowiedź osobie wyższej rangą.

- Na to wygląda. - Obojętny ton Hansona zirytował Hausera.

- Skąd wiesz? - spytał wojowniczo. - Może być po prostu na manewrach, nie?

- Daj spokój, Hauser, w głębi Arabii Saudyjskiej? Poza tym wygląda na to, że dowódca został powiadomiony o jakiejś dużej izraelskiej operacji; postawili naszego AWACS-a w stan Czerwonego Pogotowia. Właśnie wyciągnąłem tę informację od Llewellyna. Dowiedziałem się też, że kilka minut temu z Tel Awiwu nadeszło przez radio ostrzeżenie od jego wielkiego brata.

- Ostrzeżenie? - Hauser spiorunował Richy'ego wzrokiem.

- Znowu coś przed nami kryjesz, co Llewellyn?

Richard podniósł wzrok znad notatek.

- Rozkaz dowódcy. Nie chciał przedwcześnie niepokoić załogi. - Tracił kontrolę. Musiał się ich pozbyć; musiał spokojnie pomyśleć. - Mój brat ostrzegał tylko przed niebezpieczeństwem; nie podał żadnych szczegółów. Teraz wiecie tyle samo, co ja, więc może będziecie wszyscy...

- Pierdolony dowódca! Za co on nas ma, za bydło? - Marszcząc ponuro brwi inżynier z IBM spojrział na radaroskop, na którym złowroga plamka coraz bardziej się przybliżała.

- Dogania nas! Gdzie, do kurwy, są saudyjskie myśliwce? Na radaroskopie nie ma nawet ich śladu.

- Dopiero co je zawiadomiono - odparł spokojnie Hanson. Postanowił, że ujadanie Hausera nie wytrąci go z równowagi. Musiał świecić przykładem dla innych. - Właśnie powinny startować.

- Ale czy zdążą na czas? - Hauser wbił natarczywe spojrzenie w eksperta Boeinga. Hanson odwrócił wzrok.

- Nie zdążą, prawda? - Czoło Hausera pokryło się potem. Złapał Hansona za ramię i obrócił go. - Musisz coś zrobić!

Hanson strącił gniewnie dłoń potężnego mężczyzny.

- Jasne, Hauser, jasne. Możemy go zestrzelić twoim komputerem. Co proponujesz?

- Połącz się przez radio z tym F-15, na rany Chrystusa! Powiedz, że jesteśmy Amerykanami, jego przyjaciółmi.

- Już o tym myśleliśmy. Saudyjski dowódca mówi, że nie ma mowy. Dumny sukinsyn woli chyba zlecieć razem ze swoją maszyną.

- Ale ja nie mam zamiaru spadać z tym pieprzonym złomem! - oświadczył żarliwie Hauser. - Idę po swój spadochron!

- Świetnie, Hauser, zrób to. - Hanson cieszył się, że pozbędzie się krzykacza. - A przy okazji rozdaj nam wszystkim spadochrony. Przećwiczymy sobie jeszcze raz sposób użycia.

- Ujrzał zatroskany wzrok Roxany i ścisnął jej ramię uspokajająco. - Tylko na wszelki wypadek.

- Zróbcie to gdzie indziej. - Richy tracił kontrolę nad własną irytacją.

Czas uciekał. Według niego wyskakiwanie nad pustynią wchodziło w grę tylko w ostateczności. Nie mieli doświadczenia ze spadochronami; obrażenia byłyby nieuniknione. A nawet gdyby wylądowali bezpiecznie na tym odległym krańcu pustyni, mogliby nigdy nie zostać odnalezieni. Musiał istnieć inny sposób.

Hanson po raz pierwszy zauważył notatki leżące przed Richardem.

- Nad czym pracujesz, Llewellyn? Masz zamiar ocalić nasze tyłki swoim czarodziejskim radarem?

Szyderstwo Hansona ubodło Richy'ego. Ich wzajemne stosunki pogorszyły się od chwili romansu z Roxaną. Jeśli grało tu rolę poczucie winy żonatego mężczyzny, Hanson nie robił nic, by je ukryć.

- To może być bardziej prawdopodobne, niż ci się wydaje, Hanson. - Czuł na sobie wzrok innych, także jej. - Spójrz, F-15 ma na pokładzie dwa rodzaje ptaków: Sparrowy naprowadzane radarowo i Sidewindery pracujące na podczerwieni. Oba rodzaje pocisków są w stanie nas strącić, ale wpadłem na sposób uporania się z Sidewinderem. Wyrzutnia rakiet AWACS-a. Tłusćcioch, umiesz obsługiwać wyrzutnię, tak?

Muskularny Teksaszczyk skinął głową, a na jego szerokim czole pojawiła się zmarszczka zdziwienia.

- Rakiety powinny odegrać rolę przynęty - wyjaśnił Richard - która odciągnie czujnik Sidewindera od celu. Jeśli twój kumpel mógłby zaobserwować błyski z pokładu za pomocą wykrywacza, dałby ci znak przez radio. Musiałbyś wystrzelić rakiety w pięć sekund po każdym odpaleniu pocisku. Czy wyrzutnia jest w stanie to zrobić?

- Jasne, cholera. - Twarz Tłusćciocha pojaśniała. - Dalej, moja Julio! - Rozejrzał się za swym współnikiem. - Gdzie on się podział? Stał tutaj. Pójdę go znaleźć. - Zniknął, nie czekając na zgodę Hansona.

Trzech z głowy, jeszcze dwoje, pomyślał Richy, któremu pilno było wrócić do swych obliczeń. Roxana do tej pory wyraźnie unikała go; teraz odezwała się po raz pierwszy.

- Te rakiety, czy naprawdę odciągną pociski? - Mówiła spokojnie, ale jej oczy zdradzały lęk i domagały się uspokojenia. Nie widział sensu w

rozbudzeniu nadmiernych nadziei.

- Być może. Tak sądzę.

- A co z Sparrowem? - Hanson wyglądał na zirytowanego faktem, że pominięto go w akcji z raketami. - Masz jakieś niespodzianki w swoim radarowym worku?

Richard zignorował sarkazm.

- Jeśli tylko się ode mnie odczepisz, Hanson, to może coś wymyślę.

- Chodźmy. - Roxana wzięła go za ramię, ale Hanson uparcie nie ruszał się z miejsca, udając, że znowu przygląda się ekranowi.

- Ile mamy czasu?

W tym samym momencie Richard usłyszał w słuchawkach prośbę z pokładu o tę samą informację. Ponownie rzucił okiem na konsolę i przeraził się odległością, jaką przemierzył już napastnik. Pokonał ponad połowę dystansu od centrum ekranu. Richy czekał na wyświetlenie aktualnej odległości.

- Odległość sto dwadzieścia kilometrów - zameldował przez radio. - Położenie jeden-siedem-pięć. Współczynnik zbliżania się pięć-osiem-zero. Przepuszczalny czas pierwszego odpalenia pocisku - pięć minut.

- Pięć minut! Gdzie ten cholerny Hauser ze spadochronami? - Hanson ruszył do drzwi; Roxana nie odstępowała go ani na krok.

Dzięki Bogu! Nie było czasu do stracenia. Richy zaczął gorączkowo przeglądać notatki, poszukując wskazówki, która mu umykała. Musiał istnieć jakiś sposób!

Zamieszanie w korytarzu ponownie go rozproszyło. Do kabiny wpadł Tłuścioch, ciągnąc za kołnierz opierającego się Rybałta.

- Zobacz, co znalazłem! - krzyczał, trzymając w górze coś, co mogło być przenośnym radiem albo magnetofonem. - Nadajnik. Ten mały sukinyś przyznał, że skontaktował się z Izraelczykami i podał im nasze położenie. Szpiegował dla nich! Złapałem go na gorącym uczynku!

- Puszczaj, ty gorylu! - Żyłasty technik wyslizgnął się z uchwytu grubasa i otrząsnął jak mokry szczur. - Ja tylko próbuję ocalić wasze marne tyłki! - Wskazał na światełko na radaroskopie. - To nie jest zgodne z planem, widzicie? To jakaś wpadka. Izraelczycy nie zestrzelą żadnego AWACS-a z

Amerykanami na pokładzie. Chciałem tylko ostrzec tego kolesia, ale nie udało mi się z nim skontaktować.

- A co było wcześniej, dwie godziny temu? - nalegał Tłuścioch. - Przyznałeś, że nadałeś im przez radio nasze położenie. Jesteś szpiegiem izraelskim!

- I co z tego! - Drobny brooklyńczyk wzruszył ramionami. - Nie martwię się, że wiecie; jestem z tego dumny. Nie mówcie tylko Saudyjczykom. Mogę wam powiedzieć resztę: mamy w toku dużą operację. Znowu rozwalamy arabską fabrykę bomb atomowych, tę w Iraku. Nasi chłopcy powinni ją zbombardować lada chwila. Musieli wiedzieć, kiedy AWACS zawróci na południe, żeby nie wszedł im w drogę. No i co, ciągle sądzicie, że chcą nas zestrzelić? A teraz oddajcie mi moje radio!

Sięgnął po nadajnik, ale Tłuścioch odsunął go i trzymał nad głową poza zasięgiem Rybałta.

- Oddaj mu to, Tłuścioch. To może nasza ostatnia szansa! - rozkazał Richy. - Niech Rybałt znowu spróbuje skontaktować się z pilotem F-15. Może wcześniej znajdował się poza zasięgiem; teraz jest bliżej.

Zbyt blisko, pomyślał, zerkając ponownie na ekran. Myśliwiec zbliżał się na odległość strzału Sparrowa. Pocisk mógł zostać wystrzelony w każdej chwili.

Odzyskawszy radio, Rybałt natychmiast przystąpił do działania. Uruchoił nadajnik, podłączył słuchawki, po czym przymocował zacisk do metalowego występu w ścianie samolotu.

- AWACS C-103 do izraelskiego F-15 - warknął do mikrofonu. - Tu agent Jules Berger z AWACS-a. Mamy na pokładzie pięciu Amerykanów, powtarzam: pięciu Amerykanów. Nie strzelać! Proszę potwierdzić. Odbiór.

Przełączył radiostację na odbiór. Cisza. Powtórzył wiadomość, tym razem po hebrajsku.

- No, dalej - zaklinał cicho Richy. - Odpowiedz!

Jedynym dźwiękiem płynącym z odbiornika był cichy szum alternatorów AWACS-a.

Rybałt wypuścił z siebie soczysty strumień brooklyńskich przekleństw.

- Wiem, że to właściwa częstotliwość, a tej maszynie nic nie brakuje.

Ten sukinsyn musiał wyłączyć radio.

- Próbuje dalej - rozkazał Richy, walcząc z ogarniającym go poczuciem beznadziejności.

Kiedy Rybałt zaczął ponownie nadawać po hebrajsku, drzwi do kabiny otworzyły się gwałtownie i do środka wpadł Hauser z dzikim spojrzeniem, a za nim Hanson i Roxana.

- Żadnych pieprzonych spadochronów - zagrzmiał Hauser barytonem. - Przeszukaliśmy cały samolot. Zniknęły. Nie ma też kamizelek ratunkowych. Ktoś musiał je wynieść przed dzisiejszym startem. Ktoś, kto wiedział, że będą nam potrzebne.

Zapanowała cisza.

- Celowo? Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał Tłuścioch.

- Nie rozumiecie? - Hauser wodził wzrokiem po twarzach zebranych w kabinie. - Oślepliecie? To podstęp. Mamy nie przeżyć. Ktoś chce, żebyśmy zginęli!

Podstęp! Rozmyślna pułapka! Richard rozważał konsekwencje takiej sytuacji. Dopilnować, żeby Amerykanie zginęli. Spowodujcie wypadek. Kto za tym stał? Kto skorzystałby na takiej katastrofie?

Nie dano mu spekulować. W lewej słuchawce rozległ się głos saudyjskiego radiooperatora.

- Ogłaszam alarm raketowy! RHAWS wskazuje na ciągłe namierzenie radarowe. Spodziewamy się wystrzału.

- Sparks, tu Llewellyn! - krzyknął Richard. - Mam propozycję dla dowódcy. Coś, dzięki czemu AWACS stanie się trudniejszym celem. Czy mnie słyszysz? Odbiór. - Cholera! Czemu wcześniej na to nie wpadł? Teraz może nie starczyć czasu.

- Mów, Llewellyn.

- Powiedz pilotowi, żeby zanurkował łagodnie i położył samolot na grzbiecie; wtedy radar Eagle będzie mniej skuteczny.

- Przyjąłem, Llewellyn. Powiem mu.

- Czy to się uda? - Roxana słyszała słowa Richarda i teraz jej oczy błagały choćby o cień nadziei.

- Nie wiem. Warto spróbować.

Czy pilot zgodzi się na współpracę? Saudyjski lotnik zachowywał się z dystansem wobec Amerykanów; jego reakcje były nie do przewidzenia.

Odpowiedź nadeszła tak nagle, że nie zdążyli się niczego chwycić. Podłoga AWACS-a uciekła mu spod stóp i poczuł, że szybuje w stronę sufitu; przez chwilę wisiał ponad swym fotelem obrotowym, a potem zgrabnie opadł na niego znowu. Niektórym nie dopisało aż takie szczęście. Ujrzał, jak Roxana odbija się od plastikowego sufitu, po czym pada na podłogę, razem z Tłuściochem i Rybałtem. Jakimś cudem żadne z nich nie odniosło najwyraźniej obrażeń; z trudem usiłowali się czegoś złapać.

Hauserowi udało się chwycić klamki, dzięki czemu uniknął szybowania.

- Pieprzony saudyjski świr! Wydaje mu się, że jest cholernym pilotem myśliwca!

- Trzymajcie się! - Rozległ się w słuchawkach spóźniony głos operatora.

- Wielkie dzięki! - sapnął Richy, zapinając pas bezpieczeństwa. Czuł, że jego żołądek unosi się wciąż w okolicy sufitu. Przynajmniej, mówił sobie, położyli się szybko na grzbiecie. Teraz odbicia od ziemi przysporzą radarowi F-15 trochę kłopotów.

Nie cieszył się jednak długo.

- Nadal nas ma - zameldował operator. - RHAWS wskazuje, że jego radar wciąż nas śledzi. Obniżyliśmy pułap do trzystu metrów i wyrównujemy. Czekaaj, on zmienia częstotliwość, przechodzi na wyższą częstotliwość.

- Nastąpiła złowroga przerwa, po czym głos operatora przemówił znowu, piskliwy i świdrujący. - Odebraliśmy sygnał wystrzału! Zarejestrowaliśmy błysk! Odpalił pocisk!

Richy nie musiał im mówić. Hauser i Tłuścioch mieli podłączone słuchawki i usłyszeli mrozącą krew w żyłach nowinę. Pozostali mogli ją odczytać na ich zaszokowanych twarzach.

- Wyrzutnia rakiet! - krzyknął Tłuścioch ruszając do drzwi. - Urucho mię ją.

- Nie zawracaj sobie głowy. - Głos Richarda zabrzmiał głucho, monotonnie. - Znajduje się zbyt daleko jak na Sidewindera. Musiał wystrzelić

Sparrowa. Potwierdza to zmiana częstotliwości przed wystrzałem.

- Ile czasu...? - spytała Roxana blednąc.

- Niecała minuta - odparł ochrypłym szeptem. Sprawdził położenie drugiej wskazówki na zegarku. Niecała minuta życia. Chyba że dopisze im szczęście. Chyba, że...

Chwycił za mikrofon.

- Sparks! Sparks! Słyszysz mnie?

- Co jest, Llewellyn?

- Sparks, powiedz pilotowi, żeby wszedł w ostry zakręt. Niech się naprawdę spręża!

Nie było odpowiedzi; Richard czekał, gotując się z gniewu. Wreszcie:

- Llewellyn, on chce wiedzieć, w którą stronę. I dlaczego? Odbiór.

- Obojętnie w którą, ty idioto! Musimy stanąć bokiem do kursu F-15, a potem zwiewać. Radar ma tam ślepy punkt. Nie ma czasu do stracenia! Skręćcie! Idę do was.

Odpiął pas bezpieczeństwa i zerwał się na równe nogi; pozostali patrzyli na niego, zastanawiając się „Co się dzieje? Co jest?” Śledzili Richy'ego wzrokiem, pragnąc ujrzeć choćby płomyk nadziei.

- Trzymajcie się mocno. - Skoczył do drzwi i wypadł na korytarz, odtrącając na bok zdumionego Hausera.

Zanim zrobił dwa kroki, rzuciło go gwałtownie na lewą stronę; AWACS skręcił ostro w prawo. Ulga, że pilot spełnił jego polecenie, zrekompensowała ból ramienia. Ale czy zdążą? Znowu spojrzął na zegarek. Sekundnik odmierzył już trzydzieści sekund. Jeszcze tylko pół minuty!

Siła skrętu wciskała go w podłogę; krew odpłynęła mu z głowy i górnej części ciała, przyprawiając o zawroty głowy. Czuł, jakby miał nogi z lane-go żelaza; odmawiały posłuszeństwa. Padł na kolana i zaczął iść na czworakach; posuwanie się po dywanie korytarza zdawało mu się przeraźliwie powolne. Odliczał w myślach sekundy, obliczając prędkość skrętu. Otrą się o włos.

Dotarł do przegrody pokładu, chwycił za klamkę i podniósł się z kłęczek. Otworzywszy drzwi ujrzął scenę zamętu. Radiooperator wykrzykiwał

do mikrofonu arabski odpowiednik sygnału „Mayday!”, a drugi pilot szukał na niebie smugi pocisku. Dowódca miał pełne ręce roboty, usiłując wykonać niezdarnym samolotem nietypowy manewr skrętu na niskiej wysokości; był najwyraźniej zbyt zajęty, by spojrzeć na wskaźnik RHAWS, na którym linia radaru zbliżała się do pozycji godziny trzeciej.

Richy rzucił okiem na wskaźnik, po czym skoczył do przodu, uderzając pilota w ramię.

- Prostuj, człowieku, prostuj! - Skinął na wskaźnik RHAWS i zademonstrował rękami manewr prostowania skrzydeł. Zaskoczony dowódca spełnił polecenie i Richy poleciał na prawo, zderzając się z operatorem.

Kiedy potężny samolot wyrównał lot, drugi pilot krzyknął ostrzegawczo, wskazując na prawo. Richy ujrzał to momentalnie - biały ślad, doskonale widoczny na jasnoniebieskim niebie; jego prawa część rozwiewała się w oddali, a lewa świeżo wyrzucenymi spalinami znaczyła kurs niewidocznego pocisku pędzącego wprost na nich. Zdawał się zawieszony wciąż w tym samym punkcie, wysoko na szybie ochronnej. Czyżby zastygł, czy czas stanął w miejscu? Wtedy Richy zrozumiał z przerażeniem, że pozorny brak ruchu pocisku oznacza, że ich namierzyl i zderzenie jest nieuchronne.

Ponownie spojrzął na RHAWS. Pojedyncza smuga fluoryzującego światła tkwiła nieruchomo, potwierdzając, że radar wciąż tropi AWACS-a, a jego potężna wiązka dostarcza pociskowi dość odbitej energii, by wciąż za nimi leciał. Richy wiedział, że Sparrow jest nieustępliwy niczym buldog; kiedy raz cię wytropi, nie zrezygnuje. Ich jedyną szansą było zmylenie radaru.

Przeniósł wzrok na górę szyby ochronnej, próbując dzielić uwagę między radarowe urządzenie naprowadzające a zabójczy pocisk. Pączkująca chmura gazów spalinowych zdawała się teraz znacznie większa, znacznie bliższa. Błyszczący punkt, z którego brały swój początek, stał się widoczny i na jego oczach zbliżał się z niewiarygodną wprost szybkością. Zaczynał nabierać kształtów, aż Richy widział wyraźnie trójkątne, krzyżowe skrzydła w połowie długiego, smukłego kadłuba zakończonego ostrym czubem. Nie mogło być wątpliwości. Wielokrotnie widywał pociski typu Sparrow,

leżące na pomostach ładowniczych, podwieszane pod skrzydłami myśliwców Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych. Nigdy jednak nie widział Sparrowa w takich okolicznościach: pędzącego na niego z zawrotną szybkością. Jeszcze kilka sekund i...

Ekran RHAWS eksplodował nagle tuzinem oddzielnych falujących promieni fluorescencji. Udało im się; zmylili radar! Jednak Sparrowowi było to najwyraźniej obojętne. Nadal się zbliżał, jak spadająca gwiazda lecąca prosto na nich; nic nie mogło jej powstrzymać! Czterech mężczyzn w kabinie wpatrywało się w pocisk bezradnie, czekając na nieuniknione uderzenie.

Niemal szybciej niż oko było w stanie dostrzec, biały kształt przeciął ich kurs, na moment spowijając samolot śnieżnym welonem. Jasny błysk rozświetlił poranne niebo, a zaraz potem samolot zakołysał się gwałtownie od dudniącego wybuchu. Detonacja nastąpiła gdzieś pod nimi, gdzie zbłąkany pocisk, tracąc w ostatniej chwili sygnał, zarył się w jedną z niezliczonych wydym na pustyni Nafud.

Dopiero po chwili uzmysłowili sobie nagłe ocalenie. Kabina wypełniła się potokiem arabskiego, kiedy tłumione emocje trzech członków załogi wreszcie znalazły ujście. Dowódca zwrócił się do Richarda z gestem „czapki z głów”, dziękując za jego wkład. Jednak Llewellyn wiedział, że nie czas na składanie samemu sobie gratulacji. Powinny być dwa pociski, nie jeden; standardowa procedura zakładała wystrzelenie obu pocisków w pojedynczej salwie. Dla Richarda stało się jasne, że pilot F-15 zachował drugi pocisk na później.

- Przygotować się do drugiego ataku! - krzyknął, pozostawiając operatorowi obowiązek tłumaczenia. Spojrzał na wskaźnik RHAWS i krew zastygła mu w żyłach. Radar F-15 namierzył ich znowu! Wylecieli z jego ślepej strefy; pojedyncza linia świetlna znajdowała się w pozycji godziny czwartej.

Krzyknął ostrzegawczo, wskazując na RHAWS. Dowódca zerknął na wskaźnik i zareagował błyskawicznie. Wiedział już, co ma robić. Bystry uczeń, pomyślał Richy z wdzięcznością. Dowódca przechylił maszynę na

prawo, patrząc jak jasna linia RHAWS przesuwana się wolno ku pozycji godziny trzeciej. Widać było, że dowódca myśli: taka strategia zdała już raz egzamin, czemu jej nie powtórzyć?

Richy położył dłoń na ramieniu operatora. Zauważył, że jego przyjaciel jeszcze nie doszedł całkiem do siebie po otarciu się samolotu o pierwszego Sparrowa.

- Obserwuj wykrywacz błysków - polecił mu Richard. - Ja będę obserwował RHAWS.

Sparks skinął głową.

Pilot wychodził z zakrętu; pojedyncza linia RHAWS ustawiała się w pozycji godziny trzeciej. Richy czekał na pojawienie się wielokrotnych linii na ekranie, oznaczających, że umknęli radarowi. Znowu znajdowali się w ślepej strefie. Zaraz powinno im się udać.

Czekał, wstrzymując oddech. To trwało zbyt długo! Pojedyncza linia na ekranie oznaczająca wiązkę radaru F-15 ani drgnęła. To niemożliwe, to się kłóciło z prawami fizyki! Radar nie mógł ich śledzić w swej ślepej strefie.

Kiedy wytłumaczenie zaświtało mu w głowie, było już za późno. Na ekranie RHAWS migał sygnał ostrzegawczy: zmiana częstotliwości tuż przed wystrzałem. Ostrzegł Sparksa, po czym skierował uwagę na wykrywacz błysków, usiłując wytłumaczyć rozwój wydarzeń.

Powinien był się tego spodziewać. Wiedział, że F-15 jest zaopatrzony w urządzenie zdolne do wysyłania znacznie szerszej wiązki niż antena radaru, w sytuacjach, kiedy Sparrowa odpalano z bliska. W pojedynkach powietrznych często brakowało czasu na namierzenie radarowe. Radar mógł zostać nakierowany optycznie; pilot sterował samolotem tak, by mieć cel na celowniku, a szeroka wiązka radarowa oświetlała łup w wystarczającym stopniu, by naprowadzić Sparrowa. F-15 musiał się już znajdować na tyle blisko, by móc użyć tej metody; pilot zauważył ich manewr po poprzednim strzale i teraz nie ryzykował.

Co mogli zrobić? Położenie AWACS-a zdawało się beznadziejne, cała radarowa wiedza Richarda - bezużyteczna. Radar działał teraz tylko jako niewolnik wzroku pilota. Llewellyn nie widział sposobu na rozerwanie pętli, jaka zaciskała się wokół ich szyi. Jeżeli pilot jakimś cudem nie spieprzy

- on albo pocisk - było po nich. Żadna z ewentualności nie wydawała się prawdopodobna.

Wykrywacz błysków zapalił się tak nagle, że Richy podskoczył.

- Wystrzał! Mamy nowy wystrzał! - krzyczał operator.

Richard wyobrażał sobie zamieszanie w tyle samolotu, gdzie Amerykanie wciąż pewnie cieszyli się niedawnym ocaleniem.

Biedna Roxana.

Ile czasu im zostało? Piętnaście sekund, dziesięć? Spojrzał w dół, na pustynię rozciągającą się przed AWACS-em. Jego ostatnie spojrzenie na świat? Świat, który opuścił niechętnie, świat piękny, nawet tu, w tym spalonym słońcem zakątku. Za nimi wznosiły się góry, ale teren, nad którym obecnie lecieli, był płaski i gładki. Fale ciepłego powietrza wznoszące się od piasku tworzyły fatamorgany; w przodzie widział migoczące niebieskie jezioro. Wyglądało tak prawdziwie, że przez chwilę miał wrażenie, że widzi w nim odbicie białego kadłuba AWACS-a.

Odbicie! Obraz! Coś zaskoczyło w jego umyśle. Zapomniana rozmowa z inżynierem od Raytheona. Sprawa obrazu! Sparrow. „Pocisk-tchórz”!

- Każ mu zanurkować! - krzyknął do operatora. - Musimy zejść na dół, tak blisko ziemi, jak tylko możliwe!

Nie czekając, aż zdumiony operator zacznie tłumaczyć, Richy klepnął pilota w ramię, wskazując w dół palcem, a drugą ręką demonstrując obniżanie.

Dowódca zrobił minę, jakby chciał zaprotestować; skinął na wysokościomierz wskazujący, że zeszli już poniżej trzystu metrów. Jednak przekonały go gorączkowe gesty Llewellyna. Pchnął drążek w przód, aż roziskrzona jezioro wypełniło szybę, grożąc, że ich pochłonie. Wtedy pilot wyprostował potężną maszynę i lecieli trzydzieści metrów nad powierzchnią złudnego jeziora. Dopiero wtedy drugi pilot zauważył kolejny pocisk.

Richy poszedł za jego wzrokiem. Z jasnego nieba, z prawej strony samolotu, leciał na nich pocisk, a jego falujący ślad znajdował się jeszcze bliżej niż za pierwszym razem. Drugi pocisk typu Sparrow, oznaczenie wojskowe AIM-7F: ptaszek przewany we wczesnej fazie testów przeciwko

niskim celom nad zbiornikami wodnymi oraz terenem powodującym znaczne odbicia „pociskiem-tchórzem”, ponieważ często w ostatniej chwili odwracał się od celu, unikając zderzenia. Zjawisko to tłumaczono tendencją pocisku, by przенosić radarowy sygnał na jego odbicie na gładkim terenie w dole. Narcyz świata pocisków - jego upodobanie do odbicia nigdy nie zostało w pełni wyjaśnione. Richy nigdy nie słyszał, by problem ten został rozwiązany. Teraz modlił się, żeby tak faktycznie było.

Lecieli tuż ponad pustynią; pilot był zmuszony koncentrować się na terenie przed samolotem, prowadząc AWACS-a na tej nietypowej, ryzykownej wysokości, oczy wszystkich pozostałych członków załogi skupiły się jednak na nadlatującym pocisku. Pędził na nich, zmierzając do zderzenia, kierowany wewnętrznym urządzeniem sterującym. Rósł im w oczach, nieublagany, bliźniaczy brat swego poprzednika. Bliżej i bliżej, aż każdy szczególnie białego kadłuba stał się widoczny, aż bystre oczy Richy'ego rozróżniały nawet cienkie linie graniczne pośrodku korpusu, oddzielające za-bójczą głowicę. W obliczu nadciągającego uderzenia jego mięśnie napięły się, jak gdyby napięcie mogło osłabić efekt wbijającego się w ciało metalu. Zamknął oczy, ścisnął oparcie fotela operatora, godząc się z tym, co nieuniknione.

Detonacja zakołysała AWACS-em jak zabawką. Richy poleciał na podłogę, wiedząc, że to koniec; urządzenia i odłamki posypały się wokół niego. Poczuł, jak samolot zakołysał się potwornie; otworzył oczy, by ujrzeć, jak ziemia znika, a jej miejsce zastępuje błękit nieba. Pokład był zasłany odłatkami, ale jakoś przetrwał; pilot mocował się z przyrządami, chcąc okiełznać samolot wyrrywający się w niebo. Wtedy Richy pojął, co się stało. Wstrząs potężnej eksplozji na ziemi, zaledwie trzydzieści metrów pod nimi, odrzucił AWACS-a w niebo. Narcyz zobaczył jednak swe odbicie na pustyni; „pocisk-tchórz” zrobił swoje. Chybił.

Richy spojrział szybko na ekran wykrywacza błysków. Pozostawały jeszcze Sidewindery. Najlepiej będzie ustawić się do nich przodem: powierzchnia rozgrzanych silników zmniejszy się do minimum, utrudniając zadanie czujnikom ciepła. Pośpiesznie wyjaśnił sytuację oszołomionemu

Sparkowski, który z trudem podnosił się z podłogi.

Dowódca udało się opanować wierzgającego AWACS-a i wyrównać lot na wysokości paru kilometrów. Szybko pojął przetłumaczoną instrukcję i skręcił ostro w prawo. Wciąż zerkając na wykrywacz błysków, Richy włączył swoje słuchawki, pożyczając mikrofon od operatora.

- Tłuścioch, czy mnie słyszysz? Tu Llewellyn. Czy nikomu nic się nie stało? Zgłoś się. Odbiór.

Odpowiedź nie nadeszła natychmiast. Potem w słuchawkach rozległ się powolny teksaski głos.

- Hurra! Wygląda tu tak, jakby wpadł piorun kulisty.

- Czy ktoś jest ranny? - Słyszał, jak Tłuścioch zadaje to pytanie innym; odpowiedzi nie sposób było zrozumieć.

- Jesteśmy nieźle posiniaczeni - odezwał się Teksasńczyk - ale chyba wszyscy cali. Przykro mi, że nie mogę powiedzieć tego samego o twojej kabinie. Panuje tu prawdziwa demolka.

Będziesz srać małymi zielonymi jabłkami, kiedy tu...

- Posłuchaj, Tłuścioch! - przerwał mu niecierpliwie Richy. - To jeszcze nie koniec. Zostały mu Sidewindery, pamiętasz?

Lepiej idź natychmiast do wyrzutni rakiet. Załóż słuchawki i zgłoś się, kiedy tam dotrzesz. Będę wypatrywał strzału i dam ci znać.

- Roger, bez odbioru.

Głos zamilkł. Richy skierował uwagę na wykrywacz błysków, znajdujący się pośrodku tablicy rozdzielczej. Zauważył, że dowódca także wpatruje się bacznie, oczekując, że zapali się w każdej chwili, ogłaszając kolejne wystrzelenie ponaddzwiękowego pocisku w stronę jego bezbronnego samolotu. Mimo że jego głowica była nieco mniejsza niż Sparrowa, Richy wiedział, że Sidewinder ma na sumieniu więcej zestrzelonych samolotów niż jakikolwiek inny pocisk. Salwa z dwóch Sidewinderów mogła bez trudu posłać AWACS-a na pustynię.

Co zatrzymało tego teksaskiego łązęgę? Powinien już być na stanowisku. Wystrzelone z odległości zaledwie kilku kilometrów pociski dopędzą ich w parę sekund. Po zapaleniu się wykrywacza błysków będą mieli niezmiernie mało czasu na zmylenie Sidewinderów. Wyrzutnia rakiet musi być gotowa.

- Wyrzutnia rakiet gotowa - rozległ się wreszcie głos. - Mamy sygnał „gotów”. Wszystko gra. Odbiór.

- Roger, Tłusciuch. Pamiętaj, rakiety w pięć sekund po tym, jak wykryję wystrzał.

Co za ulga! Nie odrywał mikrofonu od ust, wpatrując się w ekran wykrywacza, gotów zameldować o strzale, kiedy tylko nastąpi. Dziwił się, że jeszcze się to nie stało. F-15 już dawno musiał się znaleźć w zasięgu strzału Sidewindera. Richy pocieszał się, że przynajmniej w obecnej sytuacji brak wiadomości oznacza dobre wiadomości.

Czyżby? Drugi pilot krzyknął ostrzegawczo, wychylając się do połowy z fotela i wskazując na środek szyby. Na wprost przed nimi, nieco w górze, na jasnym północnym niebie rysowała się czarna sylwetka gładkiego myśliwca. Nurkował płytko, pędząc prosto na nich! Nie mogło być wątpliwości: bliźniacze pionowe stateczniki sterczały jak uszy królika za osłoną kabiny mieniającą się słońcem. Mieli przed sobą Eagle F-15.

- Próbuje nas staranować! - krzyknął Richy.

Jego ostrzeżenie było zbędne; pilot widział niebezpieczeństwo równie dobrze jak Llewellyn. Nic jednak nie mógł zrobić. Było za późno na unik. Skręt w tym momencie tylko ułatwiłby zadanie pilotowi myśliwca; ustawiliby się do niego większą powierzchnią. Jeśli postanowił ich staranować, nic nie mogło go powstrzymać.

Może z jednym wyjątkiem, uzmysłowił sobie nagle Richy. Mógł go powstrzymać „promień śmierci”! Promień śmierci, działający tylko z bliskiej odległości. Jedyna broń, jaką posiadał AWACS. Radar!

Czy radar pracował, czy zostawił go w pozycji „standby”? Richy nie pamiętał, to było tak dawno. Nie miał czasu na powrót na stanowisko kontrolne. Zaklął na głos, po czym przypomniał sobie o tablicy radaru w kabine. Spojrzał w jej stronę. Cholera! Lampka wskazywała na „standby”.

Wyrwał mikrofon operatorowi.

- Roxana! Czy mnie słyszysz? Odbiór!

Zgłosiła się natychmiast.

- Roxana, szybko! Włącz radar. Pośpiesz się!

Ujrzał, jak na tablicy radaru zapala się lampka ON. Dzielna dziewczyna! Dzięki Bogu, że była pilną uczennicą. Teraz pilot rozpędzonego myśliwca znalazł się w centrum potężnej wiązki radarowej. Jeśli miał zamiar ich staranować, musiał dalej w niej lecieć. Kiedy zbliży się dostatecznie, radar spali go na popiół!

Ale czy zdąży? Czy mikrofalowa kuchenka spełni swe zadanie na tyle szybko, by pilot chybił? Zbliżający się Eagle pędził na nich, nie zbaczając z kursu ani na milimetr. „Promień śmierci” nie zadziała; było za późno! Znaleźli się całkowicie na łasce pilota myśliwca. Jakim był człowiekiem? Czy wiedział, co to litość?

Odpowiedź, jakiej sam sobie udzielił, była pozbawiona nadziei. Ten człowiek wystrzelił już do nich dwa pociski; jego zadanie polegało na zniszczeniu ich. Był najwyraźniej oddany sprawie, którą cenił bardziej niż własne życie; na tyle fanatyczny, by dla wykonania rozkazów poświęcić życie i samolot. Richy widział już zarys jego głowy w kabinie; ostatnie sekundy przed zderzeniem.

Eagle Strike zamachał skrzydłami w pożegnalnym pozdrowieniu. Potem rozpędzony myśliwiec nagle zanurkował, a kiedy zniknął pod nimi, wyciągnięta w górę prawa ręka pilota uzupełniła pozdrowienie. Fala uderzeniowa zakołysała AWACS-em, rozległ się ogłuszający huk. Później nie pozostał już po nim żaden dźwięk ani ślad, jak gdyby to, co prześladowało ich przez ostatnie godziny, było tylko wytworem ich wyobraźni albo rozległej pustyni, nad którą lecieli: nic tylko miraż.

10.

Mój Boże! Coś ty zrobiła? -

Martin Singer patrzył przez smugi gryzącego białego dymu wypełniającego mały pokój; w uszach wciąż rozbrzmiewał mu huk wystrzału małego pistoletu. - Strzeliłaś w moje radio! Zniszczyłaś je!

Podbiegł do dymiącego sprzętu, wachlując go rękami. Daniela zignorowała Martina. Jej oczy, pełne skruchy, wpatrywały się w drugiego mężczyznę.

- Przepraszam, Dawidzie. Nie mogłam ci na to pozwolić. Rozumiesz, prawda?

Spojrzał na nią oszołomiony; rumieńce wracały mu na twarz, a wraz z nimi świadomość tego, gdzie się znajduje i kim jest ona. Chcąc za wszelką cenę ostrzec brata, przestał zwracać uwagę na wszystko inne, tylko podświadomie rejestrując pistolet wycelowany w jego głowę. Ogluszający wystrzał wybił go z transu; powróciła świadomość zagrożenia. Przez chwilę...

Prosiła o przebaczenie. Nie musiała tego robić. Nie było czego przebaczać; Dawid komunikował jej to wzrokiem. Zrobiła to, co musiała, tak jak i on.

- On był moim jedynym bratem.

Czemu mówił w czasie przeszłym? Czyżby uważał już Richarda za zmarłego? Ona także to zauważyła.

- Musieli słyszeć twoje ostrzeżenie. Może uciekną.

- Może - powiedział bez przekonania. Wiadomość, którą nadał, była niekompletna. Nie odebrał potwierdzenia.

Martin gorączkowo wciskał guziki i kręcił pokrętłami.

- Liczyłem na to radio - wściekał się. - Bez niego nie wiemy nic. Ani o ataku na AWACS-a, ani o nalocie na Bagdad. Będę zmuszony...

Przerwało mu głośne łomotanie do drzwi. Daniela odwróciła się, mierząc w drzwi dymiącym jeszcze pistoletem.

- To ten rzeźnik, Ben-Lewi. Musiał usłyszeć strzał.

Ostry głos, przytłumiony grubymi drzwiami, domagał się natychmiastowego wpuszczenia. Daniela skinęła pistoletem w stronę Martina.

- Powiedz mu, że nic ci nie jest. Pozbądź się go.

Martin krzyknął coś po hebrajsku. Łomotanie do drzwi ustało, ale nieprzerwana tyrada rzeźnika oznaczała, że nie zrezygnował z próby wejścia do pokoju. Dialog podniesionych głosów trwał jeszcze przez jakiś czas, aż wreszcie rzeźnik dał za wygraną. Po chwili usłyszeli, jak hałaśliwie odchodzi, zatrzaszkując za sobą drzwi chłodni.

- On wróci - zauważył sucho Martin. - Isser to podejrzliwy i uparty gość. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek do końca mi ufał. Na pewno skontaktuje się ze swym arabskim przełożonym i poprosi o instrukcje, jeśli już tego nie zrobił.

- Telefon! - krzyknęła Daniela. - Możemy wezwać pomoc. - Zdjęła telefon z haczyka i przytknęła słuchawkę do ucha.

- Nie działa!

Martin nie wyglądał na zaskoczonego.

- Może go rozłączyć z zewnątrz. Zrobił to pewnie jakiś czas temu. Możecie też być pewni, że z powrotem zamknął chłodnię na kłódkę.

Dawid spojrzał badawczo na obite drzwi wbudowane w masywną, ceglana ścianę.

- Czy mogą się tu włamać?

- Mało prawdopodobne. - Martin potrząsnął głową. - Ten pokój zbudowany jest jak sejf w banku. Bez dynamitu nie poradzisz. Zdają sobie sprawę, że taki wybuch sprowadziłby im na kark policję.

- A więc pat - podsumował Dawid. - Oni nie mogą wejść, a my wyjść.

Ciasny, przesycony zapachem kordytu pokój zaczynał mu grać na nerwach; ściany najeżdżały na niego niczym w opowiadaniu Edgara Allana Poe. Bynajmniej nie był to pat. Rzeźnik miał przewagę; nie mogli tu tkwić bez końca. Musieli się wydostać. W zachowaniu Daniela dostrzegł podobne

oznaki klaustrofobii, a Martin także musiał je na pewno odczuwać.

A jednak zachowywał spokój.

- Na to wygląda. Najwyraźniej utknęliśmy tu na czas nieokreślony. Chyba że, oczywiście, dojdziemy do jakiegoś porozumienia.

Jest zbyt spokojny, pomyślał Dawid.

- Jakiego porozumienia? - spytała podejrzliwie Daniela. - Do czego zmierzasz, Martin?

- Jest jakieś inne wyjście! - wybuchnął Dawid. - O to chodzi, tak? Stąd ten jego cholerny luz. Powinienem być się domyślić. Ten sukinsyn jest zbyt sprytny, żeby dać się zapędzić w kozi róg.

Singer zignorował jego wybuch, postanawiając odpowiedzieć na pytanie Daniela.

- Proszę tylko, żebyście na dwadzieścia cztery godziny wstrzymali się z doniesieniem na mnie Izraelczykom i władzom amerykańskim. Jeśli chodzi o Amerykę, to i tak sprawa CIA. Rząd jest w stanie wziąć na siebie odpowiedzialność za moje działania w Izraelu.

- Ty chyba śnisz! - krzyknął Dawid. - Z zimną krwią mordujesz znajomego dyplomate; pozwalasz, żeby niewinni Amerykanie zginęli w ataku na AWACS-a, o którym wiedziałeś, do którego pewnie sam przyłożyłeś rękę - a potem prosisz, żebyśmy puścili wszystko w niepamięć. Zapomnij, koleś, nie ma mowy! Są ludzie w Waszyngtonie, którzy zechcą ci zadać wiele pytań - ludzie nie mający związku z twoją wspaniałą Firmą.

- Nie mam zamiaru uciekać - odparł Martin z lodowatym spokojem. - Chętnie oddam się w ręce odpowiednich władz. Wszystko, o co proszę, to zwykły okres łaski, przyznawany każdemu oskarżonemu obywatelowi, by mógł uporządkować swoje sprawy. A także, by przy aresztowaniu był obecny świadek. W moim przypadku, „świadek” oznacza CIA.

- Dawidzie, nie możemy tu tkwić - wtrąciła Daniela. - Muszę pójść do biura i zameldować o tym, co się stało. Pragnę sprawiedliwości nie mniej niż ty, ale czy nie możemy przystać na dzień zwłoki, skoro Martin obiecuje, że jutro odda się w ręce władz?

- Nie ufam temu śliskiemu sukinsynowi.

Dawid omiatał wzrokiem ściany w poszukiwaniu śladu wyjścia awaryjnego. Jednak ze wszystkich stron otaczały ich cegły. W pomieszczeniu nie

było żadnych szpar: podłogę stanowił lity beton, a sufit zbudowano z surowych desek.

- Nigdy go nie znajdziesz. - Martin obserwował oczy Dawida. - Tę skrytkę zaprojektował ekspert. Izraelczyk - dodał w charakterze ukłonu w stronę Daniela. - Skopiował plan *sliku*, używanego przez Haganę w Tel Awiwie, w czasach Mandatu. Brytyjscy szpiedzy nigdy nie wpadli na trop kryjówki. No więc, dacie mi dwadzieścia cztery godziny, czy będziemy tu siedzieć w nieskończoność?

Przeniósł wzrok z twarzy Dawida na Danielę. Dawid przemyślał propozycję Singera.

- Pod jednym warunkiem. W ciągu tych dwudziestu czterech godzin nie odstąpię cię ani na krok. Nie pozwolę, żebyś zniknął mi z oczu.

Martin wzruszył ramionami.

- Jak sobie życzysz. Skoro nie masz nic lepszego do roboty. A zatem, umowa stoi?

Dawid powoli skinął głową, wpatrując się w oczy agenta CIA.

- Danielo, lepiej oddaj mi pistolet. Ten człowiek jest moim więźniem, dopóki nie znajdzie się za kratkami, gdzie jego miejsce.

- Robi się tu duszno. - Martin wziął głęboki wdech, po czym wypuścił powietrze. - Czas się wynosić.

Sięgnął za sejf, przesunął palcem wskazującym, aż znalazł właściwe miejsce w szczelinie między dwiema cegłami. Rozległ się mechaniczny warkot, podobny do tego, który Dawid słyszał, kiedy drzwi *sliku* otworzyły się po raz pierwszy. Wypatrywał przerwy w jednej ze ścian, ale nic takiego się nie pojawiło. Podniósł wzrok i zobaczył: w suficie w rogu pokoju zarysowała się szczelina, a potem wszystkie deski bezgłośnie odjechały.

Przez otwór napłynęło świeże powietrze, rozwiewając gryzące spaliny, pozostałość po strzale. Dawid z rozkoszą wciągnął powietrze. Martin już mocował się z biurkiem, przesuwając je na drugą stronę pokoju. Musieli na nim stanąć, żeby wyjść przez otwór w suficie. Warkot ustał, pozostawiając nad biurkiem otwór zaledwie trzydziestocentymetrowej szerokości. Martin skinął niecierpliwie na Danielę.

- Idź lepiej pierwsza. Trzeba cię będzie popchnąć.

Wdrapała się na biurko, po czym się zawahała.

- Zaraz, co tam jest? Jak się wydostanę?

- Jest tam wąski stopień - wyjaśnił pospiesznie Martin. - Wyczujesz go, kiedy się znajdziesz na górze. Biegnie pod krokwiemi dachu. Musimy się po nim przeczołgać około sześciu metrów, na końcu zobaczysz światło - otwór wentylatora. Wychodzi na dach sąsiedniego domu.

Wspólnymi siłami pomogli Danieli precyzyjnie się przez wąski otwór. Zatrzymała się na czworakach, tyłem do nich.

- Tu jest tak ciemno. Nic nie widzę. W którą stronę mam się czołgać?

- W lewo - odparł Martin. - Wypatruj smugi światła.

Zaczęła się posuwać.

- Teraz ty - rozkazał Dawid, dając znak pistoletem. Martin wszedł na biurko i wsunął głowę w otwór, opierając się rękami na stopniu w górze. Kiedy się podciągał, w dole rozległ się nagły głos, mówiący po arabsku.

Dawid okręcił się błyskawicznie, z bronią gotową do strzału.

- To tylko cholerne radio! - poinformował Martina z ulgą.

- Odbiornik musi jeszcze działać.

- Ćśś - uciszył go Martin. - Słuchaj!

- Co jest? - spytał Dawid po chwili. - Kto to mówi?

- To izraelscy piloci. Są już prawie nad Bagdadem. Za moment rozpocznie się nalot na Osirak.

Pułkownik Mosze Eitan, mrużąc oczy w porannym słońcu, wyrzwał przez osłonę kabiny swego F-15 prowadzącego eskadrę. Po jego prawej stronie rozciągał się eszelon identycznych białych odrzutowców; najbliższy w odległości zaledwie trzydziestu metrów. Na grubych bombach podwieszonych pod każdym ze skrzydeł widniały ślady kredy - obraźliwe epitety wypisane przez mechaników, przeznaczone dla wroga, który nigdy nie miał ich przeczytać. Gładkie dwutonowe bomby zaniósł swą własną wiadomość do świata arabskiego: nie zaczynajcie z nami! Jeśli podpis był konieczny, jego zadanie spełni czarna gwiazda Dawida widniejąca po obu stronach kadłuba.

Eitan znowu spojrzął na pusty radaroskop i podrapał się w głowę. Przedłużająca się nieobecność wrogich samolotów powinna napawać radością, jednak instynkt mówił mu, że coś było *lo beseder*, nie w porządku.

Jego eskadra tuzina Eagle Strike, uszczuplona nagłym zgaśnięciem silnika myśliwca kapitana Lieba, bez przeszkód pokonała pozostałe pięćset kilometrów saudyjskiej Pustyni Arabskiej. Kiedy zbliżali się do granicy irackiej, pojawiła się pierwsza przeszkoda w postaci kontrolera lotów z jordańskiej bazy na północy. Lecąc w zwartej formacji, pojawili się na ekranie jego radaru jako jeden wielki samolot, co w istocie było ich zamiarem. W odpowiedzi na wezwanie kontrolera Eitan zidentyfikował ten „samolot”, najpierw po angielsku, potem po arabsku, jako amerykański C-5A, lecący do Dhahranu i znajdujący się pod kontrolą saudyjską.

Wkrótce potem, po precyzyjnym zwrocie w prawo, znaleźli się na nowym kursie stu piętnastu stopni, biegnącym równoległe do granicy irackiej, jednak wciąż po stronie Arabii Saudyjskiej; pozornie zmierzali w stronę Dhahranu. Pozostając w zwartej formacji stopniowo obniżyli pułap, aż znaleźli się poza zasięgiem jordańskich radarów, po czym zwrócili się ku prawdziwemu celowi.

Kontroler lotów nie przestawał domagać się dalszej identyfikacji, grożąc zbrojnym przechwyceniem. Eitan był pewien, że to czcze pogrożki; jordańskie odrzutowce nie naruszyłyby bez zezwolenia saudyjskiej przestrzeni powietrznej. Rzeczywiste niebezpieczeństwo polegało na reakcji, jaką Jordańczyk mógł wywołać u Irakijczyków. Eitan zdał sobie sprawę, że w momencie kiedy kontroler porozumie się z Saudyjczykami, kłamstwo, jakie mu sprzedał, wyjdzie na jaw, a nagłe zboczenie eskadry z pierwotnego kursu na południe, na Bagdad, okaże się zwykłym unikiem. Iracka kontrola powietrzna prawie na pewno zostanie ostrzeżona. Nieważne, tymczasem zyskali nieco na czasie.

Po wdarciu się na obszar Iraku, Eitan rozbił formację, powracając do starej sztuczki: symulowania jordańskich lotników w czasie ćwiczeń. Kazał swoim ludziom rozmawiać wyłącznie po arabsku. Spodziewając się ataku irackich myśliwców zaraz po przekroczeniu granicy, Izraelczycy zachowywali czujność. Nie pojawił się jednak żaden, nawet pojedynczy samolot

przechwytyjący, zwyczajowo wysyłany w celu identyfikacji obcego obiektu. Początkowo Eitan czuł ulgę. Nie znaczyło to, by miał jakiegokolwiek wątpliwości, czy w razie potrzeby jego piloci dadzą sobie radę z irackimi MiG-ami. Miał jednak nadzieję, że taka potrzeba nie zaistnieje. Odciągnęłaby ich uwagę od nadrzędnego celu misji.

Zdaniem Eitana, ryzykiem było wysyłanie formacji złożonej wyłącznie z wielofunkcyjnych myśliwców, zamiast zasłużonych F-16 użytych w operacji „Babilon” oraz myśliwców F-15 w charakterze osłony. Będąc tradycjonalistą w tych kwestiach, wierzył święcie w rozdzielanie misji typu powietrze-ziemia od powietrze-powietrze. Weteran misji powietrze-ziemia, odpowiedzialny za szkolenie pilotów w tego rodzaju akcjach, Eitan był boleśnie świadom trudności w przyciąganiu zdolnych kandydatów do tej mniej efektywnej specjalności. Jego samoloty uczestniczące w nalotach nazywano pogardliwie „ciężarówkami”, a same akcje - „powietrze-błoto”. Każdy chciał być pilotem myśliwca, toczącym powietrzne pojedynki, strzelającym do MiG-ów jak do kaczek. W porównaniu z takimi akcjami, zrzućcie bomb na nieruchome cele zdawało się nudne i pozbawione splendoru. Mimo to Eitan wiedział, że to właśnie są misje lotnicze o największym znaczeniu.

Dobrych kierowców „ciężarówek” spotykało się rzadko; szkolenie było trudne, a absolwenci byli na wagę złota. Eitan wysoko cenił sobie swą załogę. Jeśli tylko uda im się dotrzeć do tej fabryki bomb atomowych, wyprują z niej flaki, ale gdy zaczną się szarpać z bandą MiG-ów, kto wie, co może się zdarzyć? Kiedy pilotom udzieli się podniecenie walki powietrznej, może mu się już nie udać wdrożyć ich do czarnej roboty. Nalot mógłby się zamienić w *michdal*, totalną klęskę.

Znowu spojrzął na radaroskop umieszczony po lewej stronie tablicy rozdzielczej. Dwie trzecie drogi do Bagdadu i ani śladu MiG-a. To prawdziwa niespodzianka. To także nie do uwierzenia. Nie napotkali nawet samolotów pasażerskich. Coś śmierzdziało w państwie irackim.

Jednak nie było czasu na rozmyślanie. W oddali pojawił się punkt zborny, gdzie mieli obniżyć pułap do poziomu wierzchołków drzew i na tej

wysokości pokonać ostatni odcinek drogi do Osiraku. W ten sposób do minimum zmniejszą czas reakcji pocisków SA-6 oraz wszystkich innych uruchamianych radarowo rodzajów broni, jakie mogły tam zostać zainstalowane. Przyciskając guzik mikrofonu, Eitan wydał rozkaz.

Niczym formacja olbrzymich ptaków wędrownych, idealnie ze sobą zsynchronizowanych, sznur jedenastu Eagle Strike zanurkował ku ziemi. Prawy eszelon zwarł zgrabnie szyk; każdy z ptaków leciał śladem przywódcy, ustawiając się pod odpowiednim kątem w stosunku do celu. Z wysokości niespełna trzydziestu metrów ponad spalonym słońcem, rzadko zamieszkanym obszarem, Eitan obserwował uciekające w tył piaszczyste drogi i rozpadające się domy.

Przed nimi rozciągał się żyzny półksiężyc Mezopotamii, gdzie w objęciach dwóch wielkich rzek znajdowała się kolebka ludzkości. Ziemia, skąd wywodził się ród Abrahama, którego niezwykła wędrówka na zachód przez ten sam ugó, nad którym leciały teraz odrzutowce Eitana, dała początek nowemu narodowi; dziedzictwo młodej republiki, noszącej dziś nazwę tego starożytnego królestwa dziesięciu plemion Izraelitów.

Poczuł oddech przeznaczenia, pędząc ku zielonym brzegom IV gysu i Eufratu, na spotkanie, do którego przygotowywał się pełny rok. A może znacznie dłużej, pomyślał. Może przez całe życie.

Stanowisko obserwacyjne znajdowało się w minarecie zniszczonego meczetu, nie używanego już do obrzędów religijnych, ale jego głośniki nadal pięć razy w ciągu dnia wzywały wiernych na modlitwę. Siergiej Brastow, zaprawiony codziennymi popołudniowymi przechadzkami, nie miał kłopotów z pokonaniem stromej spirali schodów.

Wdrapawszy się na szczyt, z trudem krył rozbawienie na widok zmagających pozostałych, zwłaszcza sapania i kaszlu korpulentnego szefa sztabu, który palił niemało. Nawet niepalący minister obrony i generał lotnictwa, obaj szczupli w porównaniu z szefem sztabu, sapali głośno. Drobnym al-Fawzi, dyrektor wywiadu, dusząc się, z wytrzeszczonymi oczyma pokonał ostatnie

stopnie. Tymczasem Ali Mustafa o wyglądzie ducha, pozornie zbyt chudy i słaby jak na taką wspinaczkę, uporał się z nią bez trudu; najwyraźniej radził sobie z wszystkimi sytuacjami.

U szczytu schodów okrągłe bizantyjskie łuki wychodziły w czterech kierunkach na otaczający minaret balkon. Brastow, który stanął na nim pierwszy, z uznaniem pomyślał o wyborze punktu obserwacyjnego. Z minaretu, najwyższej budowli w całej okolicy, rozciągał się widok na otoczone murem brązowe budynki kompleksu zwanego Tamuz 17. Jednocześnie meczet był oddalony od reaktora o co najmniej dwa kilometry, wystarczająco daleko, by ograniczyć do minimum ryzyko, że trafi tu zbłąkana bomba czy jakieś odłamki.

Ze szczytu widać też było jedną z nowych baterii SA-10 chroniących reaktor; jej pociski skrywała ciężka maskownica. Wokół wyrzutni uwijały się drobne figurki, przygotowujące się do nadciągającego nalotu. Okolice reaktora świeciła pustkami. Był piątek, mużulmański szabas. Na stanowiskach pozostało tylko kilku pracowników.

Brastow spojrział na zegarek: minuta po jedenastej. Do rozpoczęcia akcji pozostało jeszcze ponad pół godziny. Tego samego ranka otrzymali wiadomość potwierdzającą, że Izraelczycy lecą zgodnie z planem. Rosjanin usłyszał tę nowinę, kiedy kończył śniadanie złożone z owsianki i fig; Izraelczycy się zbliżają! Korzystając z własnych źródeł informacyjnych, upewnił się, że iracki agent, El Aurens, zgodnie z planem odłączył się od eskadry.

Podniecony wiadomościami, w doskonałym nastroju stawiał się w punkcie obserwacyjnym, by na własne oczy zobaczyć zakończenie fragmentu od dawna planowanej podwójnej operacji. Wynik drugiej połowy śmiertelnej rozgrywki usłyszą przez radio, krótkofalowy odbiornik, właśnie teraz montowany przez techników na balkonie. Radio zostanie nastawione na tajną częstotliwość, na której El Aurens zamelduje o spotkaniu z AWACS-em gdzieś po drugiej stronie granicy z Arabią Saudyjską.

Po zainstalowaniu przenośnej anteny, gdy operator szukał właściwej fali, odbiornik zaczął wyrzucać z siebie strzępy arabskich rozmów. Przez

ułamek sekundy Brastow sądził, że słyszy irackiego pilota i serce zabiło mu szybciej. Potem zrozumiał, że to tylko zbłąkana ciężarówka; technik wciąż nie znalazł odpowiedniej częstotliwości. W końcu usatysfakcjonowany mężczyzna w roboczym mundurze nastawił odbiornik na maksymalną głośność, aż trzaski stały się nie do wytrzymania, po czym ściszył do zwykłego poziomu. Nie było jeszcze żadnych komunikatów. Musieli się uzbroić w cierpliwość.

Najtrudniejszy fragment każdej tego rodzaju operacji to czekanie; kiedy wynik się wahał i nie można było zrobić nic, by na niego wpłynąć. Brastow wykonał już swe ostatnie posunięcie na szachownicy. Obecna część partii przypominała raczej *kriegspiel*, szachy z zawiązanymi oczyma; nie widzisz figur przeciwnika, a jego posunięcia możesz wydedukować tylko na podstawie tego, co dzieje się z twoimi figurami. Jeśli właściwie oceniłeś rozstawienie jego sił, twój ostatni ruch przyniesie ci zwycięstwo: szach i mat. Jednak zawsze istnieje element niepewności - to ostatnie nieznośne oczekiwanie - zanim zdejmą przepaskę z oczu, a arbiter obserwujący całą planszę i faktyczną pozycję figur oceni siłę twego posunięcia i poinformuje cię o wyniku.

Brastow postawił na ten wynik całą swoją przyszłość. Nie pojmował, jak pozostali mogą być tak rozluźnieni. Czyżby nie czuli tego napięcia, podniecenia? Zamiast nasłuchiwać nowin o spotkaniu z AWACS-em, paplali beztrąsko, jak uczniowie na majówce. A jednak niezupełnie. Generałów zdradzało to prawie niewidoczne napięcie mięśni: wyraźny podskórny niepokój mącił pozorne opanowanie. Te same objawy zauważył u ministra obrony, strzelającego oczami na wszystkie strony.

Jednak „asystent prezydenta” to zupełnie inna sprawa; wyglądało na to, że Ali Mustafa naprawdę dobrze się bawi. Przypominał kibica przed rozpoczęciem meczu sportowego, którego wynik był mu obojętny. A przecież Brastow wiedział, że Mustafa ma do stracenia więcej niż pozostali. Osobiście zarekomendował prezydentowi gambit z AWACS-em. Każdy, kto choć trochę znał Saddama Husseina, był świadom, do czego jest zdolny dyktator w razie niepowodzenia. Mustafa miał na pewno nie mniej do stracenia niż Brastow, ale nikt by po nim tego nie poznał.

O czym on teraz mówi? Brastow nastawił ucha. Prezydent Hussein chciał być obecny w punkcie obserwacyjnym. Uparcie odrzucał wszelkie argumenty członków Rady Rewolucyjnej kierujących się względami bezpieczeństwa i usiłujących go od tego odwieść. Przekonano go dopiero mówiąc, że obecność prezydenta w Osiraku w godzinie zero mogłaby zostać zauważona przez wrogów. Syjoniści mogliby zostać ostrzeżeni, że Irakijczycy się ich spodziewają i zdążyliby odwołać atak, wymykając się z misternej pułapki. Dlatego zawiedziony prezydent znajdował się teraz gdzie indziej. W tej chwili, wyznał Mustafa z błyskiem w oku, uczestniczył w zebraniu kobiet na brzegu Tygrysu, na pikniku ze smażonymi rybami, wydanym na rzecz dzieci osieroconych w wojnie z Iranem.

Rozległ się powszechny śmiech, w którym Brastow nie uczestniczył. Lekkomyślność w takim momencie irytowała go. Ponownie spojrzął na zegarek, a potem celowo wtrącił się do rozmowy.

- Czemu wasz pilot, El Aurens, się nie odzywa? Powinien już nawiązać kontakt z AWACS-em. Może powinniśmy zwrócić się do niego z pytaniem?

- Nie. - Dyrektor wywiadu, który najwyraźniej uważał, że to on odpowiada za komunikację, potrząsnął energicznie głową. - To zbyt ryzykowne. Sygnał nadany stąd mógłby zostać przechwycony przez syjonistów i zagrozić obydwu operacjom.

- Ale gdyby użyć odpowiedniego szyfru... - zaprotestował Brastow.

- Poza tym - dodał drobny szef wywiadu - nasz przenośny nadajnik jest zbyt słaby, by dotrzeć do El Aurensa. - Spojrzął na zegarek. - Polecono mi meldować się kwadrans po każdej godzinie. Do kolejnego raportu pozostało jeszcze pięć minut.

Brastow zagotował się w duchu ze złości. Co za niedbalstwo! Nie mają komunikacji w dwie strony. Gdyby to była radziecka operacja, nad którą on miałby pełną kontrolę, zorganizowano by to inaczej. Czego można się jednak było spodziewać po drugorzędnej organizacji wywiadowczej, kierowanej przez człowieka w rodzaju al Fawziego? Zmusił się do zachowania spokoju, zabijając czas rozwiązywaniem szachowego problemu z jednej z prowadzonych obecnie korespondencyjnych partii. Grał czarnymi i miał w

końcówce znaczną przewagą figur. Czarne powinny dać mata w sześciu posunięciach.

Minęło dalsze dziesięć minut, a El Aurens się nie zgłosił. Brastow szalał. Niektórzy z pozostałych także zaczęli zdradzać wzmożony niepokój.

- Co się mogło stać? - wybuchnął al Fawzi. - Co mu się mogło przydarzyć?

- Cierpliwości, przyjacielu - doradził mu wciąż niewzruszony Mustafa.

- Na polu bitwy nie wszystko toczy się zawsze zgodnie z planem. Twój człowiek jest teraz niewątpliwie bardzo zajęty. Na pewno wkrótce go usłyszymy.

Brastow stracił cierpliwość.

- Zaraz wracam - oznajmił, po czym zbiegł z powrotem po schodach, przeskakując po dwa stopnie. Jego źródła zawsze okazywały się bardziej wiarygodne i punktualne niż irackie. Po drodze do meczetu, w bramie jednego z domów, dwie przecznice dalej zauważył telefon publiczny.

Nieco zadyszany po biegu wrzucił monetę i wykręcił tradycyjny siedmiocyfrowy numer. Dzięki specjalnemu połączeniu, biegnącemu przez Syrię i Liban, porozumiewał się z informatorem w Tel Awiwie. Linię tę opracowali eksperci z KGB. Nie istniał sposób, by zlokalizować rozmowę z żadnej ze stron.

Korzystał z tego połączenia rzadko, ale na tyle często, by znać charakterystyczną serię dźwięków w słuchawce, sekwencję przerw, stuknięć i dzwonek, poprzedzających zawsze końcowy sygnał i głos po drugiej stronie. Tym razem jednak nie rozległ się ani końcowy sygnał, ani głos. Po początkowej sekwencji dźwięków w słuchawce zapanowała cisza.

Brastow zaklął głośno do słuchawki. Coś podobnego nigdy mu się wcześniej nie przydarzyło. To musiała być wina starego automatu. Kiedy odwiesił słuchawkę, by spróbować ponownie, telefon złośliwie odmówił zwrócenia mu monety. Wyszperał drugą w kieszeni spodni, wykręcił numer jeszcze raz i niecierpliwie czekał na połączenie. Końcowy rezultat był ten sam. Z irytacją grzmotnął słuchawkę na widełki i pospieszył na punkt obserwacyjny.

Co się mogło stać? Nigdy przedtem nie miał kłopotów z połączeniem.

Przy telefonie na drugim końcu zawsze ktoś czuwał. Czyżby Mosad odkrył linię i kazał ją rozłączyć? Mało prawdopodobne. Nie tknęliby jej i podłuchiwaliby rozmowy.

Tym razem wspinalczka na schody minaretu znacznie więcej go kosztowała. Z nieco zaczerwienioną twarzą wyszedł na balkon, w momencie kiedy radio kończyło wyrzucać z siebie potok arabskiego.

- El Aurens? - spytał Brastow. Te kilka słów, które usłyszał, nic mu nie powiedziało, tylko tyle, że rozmówca się rozłącza. Przygnębione twarze zebranych powiedziały mu znacznie więcej.

- Nie udało mu się? - W głosie Rosjanina brzmiało niedowierzanie. Jak jego plan mógł zawieść? Był dopięty na ostatni guzik; niemożliwe, by... - Co zawiodło?

Skierował pytanie do całej grupy, ale tylko Mustafa zgodził się odpowiedzieć.

- Najwyraźniej przeceniono nieco amerykańskie pociski. Oba chybiły. Taktyka zastosowana przez pilota AWACS-a mogła tu odegrać niemałą rolę. Nie obwiniaj siebie. To nie wina twojego planu.

Łaskawość prezydenckiego doradcy wydała się Brastowowi irytująca, jego półuśmiech - nie do zniesienia. Z czego ulepiony był ten człowiek? Czy tak zachowuje się ktoś, kto właśnie się dowiedział, że cała jego kariera poszła na marne? Rosjanin zauważył, że minister obrony także nie wygląda na zdruzgotanego. Nagle tknęło go przeczucie, że ci dwaj wiedzą coś, o czym on nie wie.

- El Aurens - dokąd on teraz leci? Co zrobi?

Mustafa wymienił spojrzenie z Zahadim; nastąpiło między nimi ciche porozumienie, kulminujące ledwo zauważalnym skinieniem głowy doradcy prezydenta. Tym razem to minister obrony odpowiedział Brastowowi, a błysk w jego oczach i podniosły ton zapowiadały coś ważnego.

- Zlecono mu misję alternatywną, drugorzędny cel. W tej chwili leci w stronę...

Brastow i inni czekali z niecierpliwością na informację, kiedy minister przerwał w pół zdania, wpatrzony w horyzont, skąd dobiegał warkot potężnych silników myśliwców.

- Nadlatują! - krzyknął podniecony. - Syjonistyczne myśliwce!

Brastow poszedł za jego wzrokiem. Na tle pól koloru zieleni i surowego płótna widać było wyraźnie białą smugę przesuwaną się w kierunku Tamuza 17. Jej trajektoria była tak niska, że smuga zdawała się sunąć po ziemi, ale szybkość znacznie przewyższała maksymalną prędkość każdego pojazdu naziemnego, a gniewne wycie silników ogromnie się nasiliło. W ciągu kilku sekund smuga miała pokonać ostatni odcinek drogi i zrzucić bomby w sam środek kompleksu nuklearnego.

Nagle, z miejsca znacznie bliższego od punktu obserwacyjnego, dobiegł ryk o takiej nieprzerwanej, ogłuszającej intensywności, że kruchy balkon zniszczonego minaretu przebiegło drżenie. Oczy wszystkich natychmiast zwróciły się w stronę źródła dźwięku. Ponad jasnopomarańczową kulą ognia eksplodował w niebo szczupły, srebrny stożek, ciągnąc za sobą żółtopomarańczowy płomień. Brastowa, który oglądał próby z SA-10 na Syberii, po raz kolejny uderzyła niewiarygodna szybkość, z jaką eksplodował nowy radziecki pocisk.

Pocisk - podłużne pasmo srebra - przeleciał łukiem ponad kompleksem reaktora, a następnie skręcił w dół z ogromną szybkością, niemal szybciej, niż oko było w stanie go śledzić. Biała smuga i srebrne pasmo zlały się w oślepiający krąg rozżarzonej bieli. Brastow mimowolnie osłonił dłonią oczy przed porażającym blaskiem. Kiedy potworny dźwięk dotarł do jego uszu, blask zniknął, nie pozostawiając śladu ani po pocisku, ani po odrzutowcu, ani po pilocie. Nic, tylko niesamowita zielona poświata, stopniowo gasnąca na tle jasnoblękitnego nieba. Aż i ona znikła całkowicie.

Eitan nie wierzył własnym oczom. W jednej sekundzie rozpoczynający akcję myśliwiec pędził na cel, gotów spuścić dwie tony trotylu na znieprawidzoną budowlę, w drugiej zniknął - rozpadł się, wyparował - w nagłym, wszechogarniającym błysku światła! Ari. Jego najlepszy pilot, najlepszy przyjaciel. Zginął! Biedny Ari!

Nie było żadnego uprzedzenia. Pierwsze podejrzenie pojawiło się wraz z blaskiem w pobliżu celu, kiedy Ari już się szykował do zrzucenia bomb.

Eitan pomyślał, że to jeden z przestarzałych pocisków SA-6. Za późno. Znacznie za późno. Nigdy nie dogoni Ariego. A potem ta cienka linia srebra niknąca po niebie z niewiarygodną szybkością; początkowo sądził, że to niegroźny pocisk smugowy wystrzelony z jednego z nieskutecznych stanowisk przeciwlotniczych. I wtedy, nagle, odrażająca eksplozja, rozwiewająca wszelkie wątpliwości, potwierdzająca złe przeczucia towarzyszące mu w ciągu prawie całego lotu.

Wytłumaczenie zmroziło mu krew w żyłach. Irakijczycy ich oczekiwali. Z pomocą rosyjskich przyjaciół zorganizowali komitet powitalny, którego gościem honorowym była jakaś nowa radziecka superbroń o niespotykanej mocy.

Judi! Judi był następny w kolejce; miał zbombardować cel po Arim. To byłoby samobójstwo! Trzeba go powstrzymać! Eitan nacisnął lewą dłonią guzik mikrofonu, prawą manewrując tak, by mieć przed sobą cel.

- Judi! - krzyknął. - Wycofuj się, Judi, wracaj!

Nie usłyszał w słuchawkach odpowiedzi. Kompleks brązowych budynków, stojących w równych odstępach na planie litery H, pojawił się znowu w szybie Eitana; ujrzał biały odrzutowiec z czarnymi oznakowaniami mknący nad ziemią w stronę reaktora.

- Wycofuj się, Judi! Rozkazuję ci. Zawracaj!

Jednak rozpędzony odrzutowiec nie słuchał. Eitan patrzył bezradnie, czekając, aż na południe od celu błysnie zdradziecki płomień. Mijały sekundy, a Irakijczycy nie reagowali.

Uda mu się! pomyślał. Judi to zrobi! Błysk wystrzelił nagle, z innego punktu na ziemi, i tym razem Eitan znowu wiedział, że jest za późno. Nie dla szybkiego jak błyskawica pocisku, ale dla jego pilota.

Jak człowiek pogrążony we śnie, odliczał sekundy po odpaleniu, będąc świadkiem dokładnej powtórki spotkania Ariego z nieznaną bronią. Zanim doliczył do czterech, było po wszystkim. Zamknął oczy, gdy zajaśniał blask eksplozji. Kiedy je otworzył, niesamowita pustka lśniącego punktu na horyzoncie, gdzie jeszcze kilka sekund wcześniej znajdował się samolot, sprawiła, że przeszedł go dreszcz.

Dobry Boże! Judi także zginął! Co mieli robić? Co można było poradzić na taką broń? Zagłuszarki najwyraźniej na nią nie działały. Czy istniał sposób, by ją ominąć?

W jego słuchawkach rozległ się gwar komentarzy innych pilotów, wszystkich mówiących jednocześnie, wstrząśniętych tym, co widzieli. Prosił o instrukcje. Musiał ich wycofać, porzucić pierwotny plan, przegrupować formację; trzymać ich z dala od niebezpieczeństwa, aż do opracowania nowej strategii. W niektórych głosach brzmiała panika. Wiedział, co myśleli. Nadszedł czas, by ustąpić i zaatakować kiedy indziej. W dniu, w którym nowa broń zostanie rozpracowana przez izraelskie komputery, zidentyfikowana i zanalizowana przez ich niezrównany zespół ekspertów, którzy wykryją jej wady i opracują nową taktykę. Jednak takich uprawnień Eitan nie posiadał. Miał wyraźne rozkazy.

- Dowódca do eskadry. Szyfr Alef Zero. Powtarzam: Alef Zero. Spotkanie w punkcie zbornym jedenasta czterdzieści dwie.

Wycofają się i przegrupują. Miał dokładnie trzy minuty na opracowanie alternatywnego planu ataku. Był zdany tylko na siebie; kontakt radiowy z bazą macierzystą urwał się tuż przed przekroczeniem przez eskadrę granicy irackiej. Zresztą i tak nic by mu on nie dał. Eitan wiedział, jaki rozkaz usłyszałby od dowódcy:

- Znajdź sposób na wykonanie zadania. Nie wracajcie, zanim Tamuz 17 nie zamieni się w dymiące zgliszcza.

Czy istniał sposób? Jakie miał możliwości działania? Nowy pocisk zademonstrował już swoją zabójczą moc na małą odległość, przeciwko celom lecącym małej wysokości, jednak maksymalny zasięg pocisku pozostawał nieznanym. Mogliby spróbować nadlecieć na dużej wysokości i stamtąd rzucić bomby, zawracając natychmiast, by umknąć przed nim. Jednak dokładność zrzutu uległaby wtedy zmniejszeniu; szanse bezpośredniego trafienia w reaktor znacznie by zmalały. Poza tym mieliby do czynienia z pociskami SA-6. To właśnie sprawdzona ich skuteczność działania na dużych wysokościach zadecydowała, że wybrano niski pułap.

Nie, istniała tylko jedna sensowna strategia. Przedrzeć się przez obronę

wroga, pokonać ją. Nadlecieć ze wszystkich kierunków jednocześnie. Zmusić wroga do oddania jak największej liczby strzałów w jak najkrótszym czasie. W ten sposób niektórzy z atakujących mieli szansę się przeżyć. A inni? Nie pozwolił sobie na myślenie o innych.

Jego eskadra potrafiła zastosować taką taktykę. Był to jeden z manewrów, które praktykowali regularnie, nawet demonstrowali na pokazach lotniczych - niezwykle widowiskowy manewr, wymagający ścisłej współpracy i dokładnego wyliczenia czasu. Nazywano go żartobliwie ich „Numerem Irlandzkim”, taktyką „Czterolistnej Koniczyny”.

Jego odrzutowce nadlecą nad cel na poziomie wierzchołków drzew z czterech kierunków jednocześnie. Zostało dziewięć Eagle Strike; osiem, nie licząc jego. Ustawi po dwa na każdym liściu koniczyny, osiem myśliwców nadlatujących na cel z czterech stron jednocześnie. Eitan zaobserwował w dole dwie odrębne baterie nowych superszybkich pocisków; modlił się, żeby nie było ich więcej. Każda z nich zostanie zmuszona do uporania się z czterema Eagle równocześnie. Znajdą się pod ostrzałem na kilka sekund, zanim znikną za horyzontem na pełnym dopalaczu. Na taką taktykę nie mógł nic poradzić żaden chyba system broni.

W dole pojawił się punkt zborny, samotna wieża ciśnień, przy której piaszczysta droga przecinała tory kolejowe na zupełnym pustkowiu. Eitan wykonał ciasny zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i ruszył z powrotem pierwotnym kursem. Eskadra zaczęła ponownie ustawiać się na prawo od dowódcy. Wtedy ogłosił nowy plan ataku.

- Dowódca do eskadry. Wracamy, szyfr Tet Cztery. Wszyscy znacie tę procedurę; ćwiczyliście ją dostatecznie wiele razy. Stworzymy cztery ćwiartki koła, z prowadzącym i skrzydłowym na każdym wierzchołku. Eli, zajmiesz miejsce Ariego w trzeciej ćwiartce. Jakow, będziesz jego skrzydłowym. Potwierdźcie, kiedy wywołam wasze ćwiartki.

Odczytał listę, by upewnić się, za każdy pilot zna swe zadanie. Kiedy wszyscy odpowiedzieli twierdząco, sprawdził godzinę.

- Skontaktuję się z wami znowu o jedenastej czterdzieści siedem. Do tego czasu powinniście znaleźć się na miejscu. Pierwszy zespół rusza za

siedem sekund. Sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden, zero.

Dwa Eagle na końcu formacji oderwały się od grupy i pomknęły ku wschodniemu horyzontowi. Eitan skręcił w lewo, a eskadra ruszyła za nim. Manewr okrążający umożliwił tamtym odrzutowcom zajęcie na czas miejsca po drugiej stronie celu. Dla bezpieczeństwa eskadra musiała go okrążyć.

Wychodząc ze zwrotu o trzysta sześćdziesiąt stopni, Eitan wystął dwie kolejne pary, jedną na lewo, drugą na prawo, po czym zatoczył kolejny pełny obrót. W minutę później ostatnia para myśliwców ruszyła w stronę czwartego liścia koniczyny. Po powolnym wznoszeniu się łukiem znalazł się w punkcie obserwacyjnym parę kilometrów ponad celem, daleko poza zasięgiem pocisków. Obniżył prędkość do minimum. Druga wskazówka jego zegarka dochodziła do godziny jedenastej czterdzieści siedem. Nadszedł czas.

- Wszystkie jednostki na pozycjach? - Wywołał każdego z pilotów po imieniu, uzyskując pozytywne odpowiedzi. - A zatem zaczynam końcowe odliczanie. *Szalom*, przyjaciele, i lećcie z prędkością światła! Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden, start!

Z czterech wierzchołków wymagowanej irlandzkiej koniczyny pary błyszczących w słońcu punkcików ruszyły ku celowi, znacząc na niebie smugi spalin z dopalaczy. Eitana uderzyło piękno widowiska; poczuł dumę. To była zgrana ekipa - najlepsza - i to on ją wyszkolił.

Zaledwie trzydzieści sekund miało im zająć dotarcie do punktu zrzucania bomb, około pięciuset metrów ponad celem. Plan przewidywał jednocześnie dotarcie wszystkich samolotów, zrzucenie bomb i zwrot w prawo, by uniknąć przelatywania nad celem. Nawet biorąc poprawkę na błędy czasowe, szesnaście bomb powinno zostać spuszczone w odstępie kilku sekund, dzięki czemu dym nie mógł zdążyć przesłonić celu innym pilotom. Ekipa Eitana wielokrotnie z powodzeniem wykonywała ten manewr, ale nigdy z prawdziwymi bombami. I nigdy pod ostrzałem.

Niczym szprychy koła, szare smugi spalin znaczyły lot odrzutowców ku wspólnej piaście. Przebyli już ponad połowę drogi. Za kilka sekund znajdą

się w obszarze zagrożenia, gdzie ukształtowanie terenu przestanie ich osłaniać przed radarem kontrolującym baterie pocisków. Eitan wstrzymał oddech, patrząc to na jeden, to na drugi punkt na ziemi, tak głęboko wyryte w jego pamięci; punkty, z których eksplodował żółto-pomarańczowy płomień, gnający w niebo zabójcze stożkowate głowice. Zdawało się, że czas stanął w miejscu; oczekiwanie ciągnęło się bez końca. Nic się nie działo.

Eagle Strike zbliżały się do celu; znajdowały się zaledwie kilka sekund od punktu zrzutu. Eitana ponownie zalała fala euforii, przekonanie, że jego chłopcom udało się przedrzeć, zrzucić ładunek i bezpiecznie wrócić. Powinien był już wiedzieć, że to wrażenie jest ulotne.

Dwa punkty, które obserwował, jednocześnie eksplodowały ogniem. Tym razem jednak po obydwu stronach rozległy się dalsze wybuchy, jakby jakaś niewidzialna dłoń odpaliła łańcuch petard. W trzecim punkcie, na wschód od kompleksu reaktora, nastąpiła eksplozja towarzysząca, a Eitan patrzył z przerażeniem, jak nad każdym stanowiskiem szybują w niebo lśniące, metaliczne strzały. W kilka sekund niebo pokryło się zabójczymi smugami srebra, zbliżającymi się jak pociski śladowe do jego nieszczęśliwych pilotów, z prędkością, przy której myśliwce sprawiały wrażenie wiśniętych w powietrzu. Ile ich wystrzelono? Stracił rachubę; krzyżujące się trajektorie były zbyt mylące.

- Spuśćcie bomby! - krzyknął, wiedząc, że jest już za późno, nawet jeśli go usłyszeli. - Wycofujcie się! Uciekajcie!

W chwilę później pierwszy pocisk trafił w cel; miniaturowe słońce rozjaśniło niebo, by zaraz rozwiać się w zieloną poświatę nicości. Proces ten powtarzał się wciąż na nowo, aż Eitan, zasłaniając oczy przed upiornym widowiskiem, naliczył osiem eksplozji.

Odjął dłonie od twarzy, modląc się o pomyłkę w liczeniu, by choćby jednemu z samolotów, jednemu z jego nieocenionych pilotów udało się przedrzeć. Opustoszałe niebo ponad nietkniętym Tamuzem 17 potwierdziło jego najgorsze obawy. Nie zrzuciono ani jednej bomby. Ani jeden z ośmiu Eagle Strike nie ocalał.

Dobry Boże! - zawył Eitan w pustkę po drugiej stronie radia. - Jakim Bogiem jesteś, skoro pozwalasz na coś takiego?

Nie był głęboko religijnym człowiekiem; religijny Żyd nigdy nie zwróciłby się do swego Boga po imieniu, nie mówiąc już o zadawaniu mu bluźnierczych pytań. Jednak nieznośny ciężar tego, co właśnie widział, potworne poczucie straty i winy, kazały Eitanowi zwrócić się do Najwyższej Istoty, która mogła zapobiec tragedii.

Jego poczucie winy wynikało nie tylko ze świadomości, że wysłał lotników na śmierć, ale także z haniebnego uczucia ulgi, że on nie zginął, że wciąż żył. Nagle uświadomił sobie boleśnie, że sytuacja mogła się zmienić. Pograżając się w rozpacz po straconych lotnikach przestał myśleć o własnym bezpieczeństwie. Znalazł się niebezpiecznie blisko pola ostrzału. Na obecnej wysokości tysiąca czterystu metrów stanowił łatwy cel nawet dla pocisku SA-6.

Instynktownie wcisnął pedał prawego steru, pociągając drążek do tyłu. W połowie obrotu przez skrzydło, zawieszony bezwładnie nad ziemią, przez osłonę kabiny z przerwaniem ujrzał pocisk odpalany z ziemi. Czy to SA-6, czy jeden z tych nowych, zabójczych? Cokolwiek to było, tym razem leciało na niego. Wyrównując ster, pociągnął drążek do brzucha, a siła grawitacji momentalnie odprowadziła krew z jego głowy. Miał tylko jedną szansę. Zlecieć szybko nad ziemię, gdzie zgubi radar. Przerwać magiczne porozumienie między tropiącą a naprowadzającą funkcją radaru.

Ustawił drążek w pozycji neutralnej i otworzył szeroko przepustnicę, nurkując ku ziemi. Jeśli ścigała go kolejna srebrna smuga, mogła się nad nim pojawić razem ze swą śmiertelną główką w ciągu kilku sekund. Kątem oka obserwując wysokościomierz patrzył na zbliżający się żywy obraz bogatych, nawodnionych pól; poszczególne płachty na jadeitowej i szmaragdowej szachownicy rosły początkowo powoli, a potem wybuchły, kiedy krajobraz eksplodował przed szybą. Sto siedemdziesiąt metrów, sto trzydzieści!

Zamknął przepustnicę i pociągnął do siebie drążek; myśliwiec zareagował tak nagle, że krajobraz przemknął mu przed oczami, a Eitan poczuł, że

ma lekką głowę i kończyły jak z ołowiu. Jak bokser oszołomiony ciosem walczył ze sterami, wyrównując maszynę na wysokości zaledwie piętnastu metrów. Był zbyt pochłonięty sterowaniem, by zauważyć lśniący metaliczny stożek wielkości połowy jego samolotu, który przemknął obok lewego skrzydła; nie uświadamiał sobie, jak blisko otarł się o śmierć. Nie uświadamiał sobie tego do czasu, kiedy Eagle zakołysał wstrząs eksplozji, a wokół rozlała się bladozielona poświata.

Ocalał! Ten sam Bóg, który pozwolił zginąć reszcie eskadry, uratował mu życie. Czy mógł istnieć bardziej przekonujący dowód, że misja, która przywiodła go w to zapomniane przez Boga miejsce, stanowiła część jakiegoś wcześniejszego planu, jakiegoś wyższego przeznaczenia Eitana i jego narodu?

Jego własna rola w kształtowaniu tego przeznaczenia stała się nagle jasna. Oddał się jej z determinacją człowieka odrodzonego, któremu dane było ujrzeć pewną elementarną prawdę o życiu i wszechświecie. Z całej siły wcisnął przepustnicę, aż do dopalacza. Ostatni ocalały Eagle z mściwym rykiem wzbił się w niebo. Wiedział, że zapas paliwa ledwo wystarczy na drogę powrotną; użycie dopalacza uszczupli go dodatkowo. Powrót do domu miał teraz jednak drugorzędne znaczenie. Liczyło się tylko wyrównanie rachunku.

Eitan sprawdził broń zawieszoną pod skrzydłami szybko wznoszącego się myśliwca. Pośpieszne spojrzenie przez lewe ramię potwierdziło, że gładka, czarna bomba Mark 84 z toną materiału wybuchowego wisi mocno zawieszona na wsporniku, tuż obok stanowiska Sparrowa. I tak mu się już nie przyda; nigdy nie zbliżyłby się do celu na tyle, by mógł jej użyć. Spojrzał przez prawe ramię. Bomba podwieszona na prawym wsporniku, chociaż podobnych rozmiarów, znacznie różniła się wyglądem. Bardziej cylindryczna, miała krótkie skrzydła, złożone wokół jej kadłuba jak skrzydła drzemiącego nietoperza. Zamiast kończyć się ostrym czubem jak Mark 84, była z przodu zaokrąglona i gładka niczym szklane zwierciadło.

Była to zdalnie sterowana bomba ślizgowa, pierwszy egzemplarz z próbnej partii kupionej od Stanów Zjednoczonych, dotąd nie użytej w walce przez Izraelczyków. Amerykańskie siły zbrojne przekonująco zdemontowały jej wyższość nad bombami konwencjonalnymi; można ją

było spuszczać ze znacznie większej odległości i kierować z dużą dokładnością. Eitan był jedynym pilotem w jednostce, który odbył amerykański kurs obsługi nowej bomby ślizgowej. Kurs okazał się niezwykle krótki; Eitan nie miał nawet okazji, by zrzucić nowy rodzaj bomby. Mimo to zrobiła na nim wrażenie.

Jakiś szósty zmysł kazał mu poprosić o wyposażenie jego myśliwca w ten nowy rodzaj broni, chociaż był przekonany, że spotka się z odmową. Ku jego zdziwieniu polecono mu poinformować ni mniej, ni więcej tylko samego szefa sztabu, Igala Tuchlera, o możliwościach bomby ślizgowej. Tuchler zadał mu wiele dociekliwych pytań, nie tylko o nową bombę, ale także o nalot na Osirak; to był stary sprytny wróbel. Na koniec generał wyraził zgodę, aprobując użycie nowej broni w ataku na Osirak.

Eitan znał świetnie teoretycznie działanie bomby ślizgowej. „Szkłane” okno na czubie było w istocie żaroodpornym kwarcem. Za tym oknem znajdował się obiektyw specjalnej kamery telewizyjnej, rejestrujący wszystko, co się działo przed bombą - obszar, w kierunku którego ją wystrzelono. Przekaznik danych przesyłał obraz na ekran znajdujący się na pokładzie samolotu, umożliwiając pilotowi ustawienie celownika i nakierowanie bomby na cel, również za pomocą przekaznika. Przy sprzyjającej widoczności Amerykanie osiągnęli fenomenalne rezultaty dokładności, jeśli można wierzyć ich danym. Ale bomba ślizgowa miała też jedną wadę. Pozostawała w powietrzu znacznie dłużej niż bomba konwencjonalna; jej prędkość szczytowa była znacznie niższa. Tym samym mogła stać się celem baterii przeciwlotniczych.

Eitan w pełni uświadamiał sobie tę niedogodność, liczył jednak na element zaskoczenia. Irakijczycy i Rosjanie nie spodziewali się bomby ślizgowej, prawdopodobnie nie wiedzieli nawet, co to takiego. Kiedy wysokościomierz wskazał dziesięć tysięcy metrów, wyrównał samolot, skręcając w lewo, by ponownie ujrzeć cel. Znajdował się teraz dwadzieścia kilometrów od Tamuza 17, daleko poza zasięgiem lokalnej obrony. Mimo to widział wyraźnie teraz już dobrze znajome kwadratowe budynki, wzniesione na planie litery H.

Pstryknął włącznik na nowo dodanej tablicy rozdzielczej, tuż pod główną

tablicą uzbrojenia F-15, uruchamiając bombę ślizgową, włączając jej kamerę i uzbrajając głowicę. Na ekranie radaru pojawił się obraz telewizyjny, nieostry i zły jakości. Pokręło u dołu tablicy wyostrzyło go: oto pola, na które obecnie patrzyła kamera. Prawą dłonią zaczął manipulować małym joystickiem, wystającym z dodanej tablicy, a w prawym dolnym rogu ekranu pojawiła się replika kompleksu nuklearnego. Ostrożnie poruszając joystickiem, ustawił zespół budynków w centrum celownika.

Na tablicy rozbłysło światło sygnalizujące gotowość. Pędząc wciąż na dopalaczu, by nadać bombie jak największy impet, wcisnął guzik spustowy. Poleciała! Jego niespodzianka była w drodze! Dał bombie kilka sekund na oddalenie się od samolotu, zamknął częściowo przepustnicę i nacisnął hamulce, by nie wyprzedzić bomby.

Czuł, jakby wpał na ścianę. F-15 zatrząsł się, Eitana rzuciło na tablicę rozdzielczą, pas unieruchomił go, wpijając mu się w ramię. Obraz na ekranie zniknął; widział tylko tło telewizyjne. Kiedy jednak ustawił samolot, powrócił obraz przesyłany przez kamerę, a gdy spojrzął w dół, zobaczył bombę ślizgową zgrabnie mknącą przed nim.

Manipulując joystickiem, ponownie ustawił obiekt w celowniku. Teraz nie musiał już śledzić bomby wzrokiem, toteż skręcił w prawo, by ominąć zabójczą strefę ostrzału pocisków z Osiraku. Ponownie zerknął na ekran, upewniając się, że bomba wciąż leci wytrwale do celu. Patrzył, jak przedmiot jego tłumionego gniewu powoli rośnie i nabiera kształtów; nieostry obraz zespołu budynków w środku celownika ustawiał się stopniowo w literę H.

Starannie poprawił obraz, aż celownik pokrył się z poziomą kreską litery H; nie przestawał dokonywać drobnych poprawek, podczas gdy bomba mknęła krętą drogą do celu. Musiało jej to zająć jeszcze co najmniej minutę, zakładając, że nic nie wystrzeli z dołu, by ją przechwycić. Pełna napięcia, dręcząca minuta, która wyda mu się raczej godziną.

Długa chwila milczenia zapanowała wśród obserwatorów zebranych na wysokim balkonie opuszczonego meczetu. Potem realność niewiarygodnego

widowiska, które właśnie się przed nimi rozegrało, dotarła do świadomości i wybuchła wrzawa. Okazując emocje, jakie Brastow nieczęsto u nich widywał, Irakijczycy obejmowali się, płacząc z radości i wdzięczności. Rosjanin został zasypywany gratulacjami i wylewnymi poklepywaniami po plecach, do których przyłączył się nawet drobny zadufany dyrektor wywiadu.

Jego żołądek nie doszedł jeszcze do siebie po szoku izraelskiego ataku, który nastąpił tak nieoczekiwanie. Zaledwie przed dwiema minutami schylili głowy w przerażeniu, kiedy dwa izraelskie Eagle Strike przeleciały nad nimi z hukiem tak nisko, że Brastow mógł przeczytać numery obok gwiazd Dawida, a nawet przez moment widzieć pilota w szklanej bańce nad białym kadłubem. W uszach wciąż mu dzwoniło od grzmotu plujących ogniem silników odrzutowych; w tym momencie myśliwce zdawały się niezwykle groźne, niepokonane. Serce zamarło mu na widok kolejnych maszyn nadlatujących na cel ze wszystkich stron. Kiedy wyrzutnia SA-10 położona najbliżej minaretu wreszcie odpowiedziała, Brastow był już niemal gotów uznać się za pokonanego.

Jednak widok, jaki później ujrzał, kazał mu zmienić zdanie. Zamiast pojedynczego srebrnego stożka eksplodującego w niebo, wystrzeliły jednocześnie cztery, z niewiarygodnym przyśpieszeniem, jakie widział podczas poprzednich prób. Po kilku sekundach, w których osiągnęły wierzchołek ponad Tamuzem 17 i zaczęły lot w dół, ujrzał, jak dołączają się do nich siostrzane pociski z innych stanowisk. Na niebie zapanował chaos: krzyżujące się smugi srebra, błyskające punkty bieli oraz szaroczarne linie spalin odrzutowców spletały się w oszałamiającym widowisku.

Z zamartwym sercem czekał na pierwszy z makabrycznych zielonych błysków, sygnalizujących zwycięstwo - zwycięstwo jego nowo ujawnionego rodzaju pocisków, a klęskę i śmierć nieustraszonego pilota. Kiedy się pojawił, zaraz po nim nastąpiły niezliczone dalsze błyski, przypominając Brastowowi scenę z Syberii, kiedy *aurora borealis* przemieniła niebo w panoramę migotliwych, jarzących się światła. To jednak były światła stworzone przez człowieka, światła ludobójcze; zaczynały już blaknąć na niebie,

gdy Rosjanin usłyszał potworny odgłos wybuchu. Z niedowierzaniem patrzył na roziskrzony fragment nieba nad nietkniętym reaktorem, nieba, które jeszcze przed chwilą roilo się od rozpędzonych metalowych maszyn, niektórych prowadzonych przez ludzi. Teraz niebo było zupełnie puste, wywołując w jego wnętrznościach podobne uczucie pustki, drętwyoty, której nie mogły do końca rozpędzić nawet radość towarzyszy i jego własne podniecenie zwycięstwem.

Czy to koniec? Czy nadleci kolejna grupa? Obserwował zachodnie niebo. Według obliczeń Brastowa co najmniej dziesięć samolotów z pilotami zginęło od jego cudownej nowej broni; ośmiu w ostatnim skoncentrowanym ataku. Niewątpliwie ci izraelscy piloci, którzy ocaleli, rozumieją bezcelowość kontynuowania nalotu i zawrócą, jeśli tylko ktokolwiek ocalał; Brastow nie widział na niebie ani śladu myśliwca.

Jego towarzysze także wpatrywali się w niebo z niepokojem. Ali Mustafa i Amahl Zahadi okrążyli grupę i stanęli obok Brastowa.

- Po wszystkim - oznajmił minister obrony. - Wycofali się. Odnieśliśmy wielkie zwycięstwo. - Uścisnął dłoń Rosjanina. - Jeszcze raz gratuluję, towarzyszu generale. Twoja nowa broń jest naprawdę zdumiewająca.

Puls Brastowa się uspokajał. Podniecenie wywołało na pewno jeden pozytywny efekt: całkowicie wyparło z jego umysłu niepowodzenie akcji przeciwko AWACS-owi, a nie wątpił też, że sukces SA-10 wywrze ten sam wpływ na przełożonych, pomagając im przymknąć oczy na niezadowolający wynik jego planu związanego z AWACS-em.

Relacja z nalotu na Osirak została już wcześniej zaplanowana, nagłówki i szkice artykułów przygotowane; czekano tylko na potwierdzenie i szczegóły, których miał dostarczyć Brastow. „Prawda” i „Izwiestia” wyprzedzą resztę światowych gazet, z wyjątkiem, oczywiście, bagdadzkiej agencji prasowej, mającej niewielki zasięg poza Irakiem. To była duża rzecz, prawdziwa sensacja. Doniosą o niej gazety we wszystkich zakątkach świata. Te wszystkie zachodnie czasopisma specjalizujące się w graniu na nosie rosyjskiemu niedźwiedziowi. Brastow szczególnie gardził amerykańskimi tygodnikami „Time” i „Newsweek”, a także „Aviation Week”, który po

libańskiej kłęsce MiG-ów i SA-6 zamieścił szczególnie irytujący artykuł redakcyjny o niższości radzieckiej broni. Rosjanin nie mógł się doczekać, kiedy będą musieli zjeść tę żabę.

Prawda, cała prawda o radzieckich pociskach - a ta mogła nie wyjść na jaw przez wiele lat - byłaby jeszcze bardziej irytująca dla Amerykanów, gdyby się dowiedzieli, że zostali pokonani własną technologią. System naprowadzania, umożliwiający pociskom SA-10 atakowanie kilku celów jednocześnie, stanowił adaptację systemu pocisku Phoenix, który wchodził w skład uzbrojenia F-14 Tomcat, pierwszego amerykańskiego myśliwca startującego z lotniskowców. Natomiast napęd SA-10, kontrolowana eksplozja, tak szybko ustawiająca pocisk w pozycji przechwytywającej - klucz do szybkiego reagowania pocisku - stanowił prawie dokładną kopię zarzuconej amerykańskiej techniki antybalistycznej. W istocie nowy rosyjski pocisk, z jego stożkowatym, aerodynamicznym kształtem, był bliskim krewnym amerykańskiego pocisku Sprint, towarzyszącego antybalistycznemu pociskowi Spartan, większemu i o większym zasięgu. Produkcję obu tych rodzajów pocisków zarzucono po zlikwidowaniu programu ABM.

Była to stara rosyjska sztuczka; nie bez powodu radzieckich projektantów broni od dawna nazywano „papugami”. Brastow uśmiechnął się kwaśno. Na pewno takie głosy podniosą się znowu, kiedy prawda o pochodzeniu SA-10 wyjdzie na jaw. Niech gadają. W żadnym stopniu nie zmniejszy to satysfakcji Rosjan. Zastosowanie amerykańskich projektów było niczym pokonanie Amerykanów w ich własnej grze. Włączenie systemu ABM i techniki powietrze-powietrze w opracowanie nowego typu SAM było dziełem geniuszu. Sowieci dodali też sekretny składnik - klucz do ostatecznego sukcesu. Głowica. Urządzenie, które dosłownie rozbijało cel na proch; pocisk nie musiał nawet trafić, ponieważ niewielkie chybiecie także powodowało eksplozję. Głowica była taktycznym urządzeniem nuklearnym, którego moc równała się eksplozji dziesięciu ton trotylu.

Rosjanie rozwiązyali problem kontrolowanych eksplozji nuklearnych, tłumienia siły eksplozji uzyskanej z masy krytycznej materiału rozszczepialnego, przy minimalnym opadzie radioaktywnym. Wybuch głowicy

SA-10 stanowił zaledwie minimalny ułamek mocy pierwszej, najprymitywniejszej bomby atomowej, która zgładziła Hiroszimę, a mimo to kiedy rozniosą się pogłoski o jego potwornym działaniu, nowy pocisk wzbudzi lęk w sercach pilotów; zastanowią się dwa razy, zanim zapuszczą się w przestrzeń powietrzną kontrolowaną przez Rosjan.

Odstraszacz. W ten sposób Sowietci broniliby zastosowania taktycznej głowicy nuklearnej w nowym pocisku. SA-10, podobnie jak jego nieskończenie więksi, multimegatonowi bracia, nie był przeznaczony do detonacji, ale do odstraszania wrogów. Ten właśnie pogląd wziął górę podczas wewnętrznej debaty, toczącej się w zamkniętym kręgu radzieckich planistów wojskowych, na temat zasadności użycia tego rodzaju broni po raz pierwszy na świecie. Jeśli nikt się o nim nie dowie, twój odstraszacz nie spełni zadania. Musiał być ten pierwszy raz, kiedy całemu światu mogła zostać zademonstrowana jego potworna moc. A zatem czyż można sobie wyobrazić lepszą okazję niż ta? Syjonistyczne myśliwce były jawnymi agresorami, tysiąc kilometrów poza granicami swego kraju, naruszającymi przestrzeń powietrzną suwerennego państwa.

Nadszedł czas, by opuścić więź. Irakijczycy szykowali się do rozejścia, kiedy Ali Mustafa podszedł do rosyjskiego doradcy wojskowego, zamienić z nim ostatnie słowo.

- Proszę mi pozwolić dołączyć się do gratulacji, które już pan otrzymał.
- Najbliższy doradca prezydenta Husseina mrugnął z tajemniczym uśmiechem. - Mam nadzieję, że jeszcze dziś przekażę panu nowinę, która doda pikanterii naszemu wielkiemu zwycięstwu.

„Alternatywna misja” El Aurensa! Brastow kompletnie o niej zapomniał; wcześniejsza wzmianka Mustafy została wyparta przez oszałamiające wypadki. Czym było to tajemnicze zastępcze zadanie? Sądząc po minie Wielkiego Wezyra, musiało to być coś niezwykłego.

- Jakiego rodzaju nowinę?

Brastow miał to pytanie na końcu języka, ale nigdy go nie zadał. Zwrócił uwagę na obiekt, nie większy niż plamka na niebie, pozornie zawieszony nad Tamuzem 17. Śledząc go wzrokiem ujrzał, że punkt rośnie, powoli

zbliżając się ku reaktorowi. Pozostali, zmierzający do wyjścia, niczego nie widzieli, ale Mustafa zauważył niepokój na pulchnej twarzy Rosjanina i gwałtownie się odwrócił.

Na tle rozświetlonego słońcem nieba ujrzał coś, co przypominało niezdarnego, ociężałego ptaka, szybującego na komicznych krótkich skrzydłach ku kompleksowi brązowych budynków. Mustafa przetarł oczy z niedowierzaniem, po czym ostrzegł okrzykiem ministra obrony, który właśnie opuszczał balkon. Pozostali pospieszili za ministrem ku barierce balkonu, wpatrując się w dziwny, spadający obiekt, który nabierał prędkości, zmierzając wyraźnie ku centrum kompleksu nuklearnego.

- Czy oni tego nie widzą? - krzyknął generał lotnictwa. - Zasnęli? Cemu nie strzelają?

- Radar go nie widzi - wymamrotał Brastow monotonnym, apatycznym głosem, przeznaczonym tylko dla niego samego, jako że przeszedł na rosyjski. - To zbyt mały cel. Może także zbyt mały, by wyrządzić znaczne szkody.

Siła eksplozji wykluczyła podobne przypuszczenia. Kopuła centralnego budynku zawierającego reaktor rozpadła się na ich oczach; żelbetowe wsporniki poleciały w powietrze jak dziecięce klocki. Fala uderzeniowa tak mocno zatrzęsała ich zaimprovizowanym stanowiskiem dowodzenia, że Brastow miał przez chwilę wrażenie, iż balkon się zarwie albo nawet cały minaret runie. Kiedy wstrząs ustał, patrzył na sypiący się na ziemię gruz. Wydawało mu się, że widzi opadającą kartkę kalendarza własnego życia - kartkę, na której miało zostać zapisane jego najwyższe osiągnięcie, mające oświetlić ostatnie dni jego służby wywiadowczej, może nawet odsunąć emeryturę o kilka lat.

Ta kartka była już nieważna; musiała zostać zapisana od nowa. Kapryśny los zmienił zakończenie. Zniszczenie amerykańskich odrzutowców przez jego pociski w istocie nic nie znaczyło. Wygrał bitwę, ale przegrał wojnę. Mimo jego wysiłków, cel, który polecono mu chronić, został zniszczony.

Aż zbyt dobrze potrafił sobie wyobrazić stan reaktora atomowego; uczestniczył w inspekcji Tamuza 17 tuż po pierwszym zbombardowaniu

go przez Izraelczyków. Zabudowania obrócono w perzynę. Kilkumetrowej grubości betonowa podłoga głównego budynku, w którym znajdował się reaktor, wygięła się, rozrzucając olbrzymie kawały betonu; zasłane gruzem pomieszczenie nabrało groteskowego wyglądu topiącego się lodowca. Serce kompleksu nuklearnego, rdzeń reaktora z jego bezcennymi prętami wzbogaconego uranu - zużyte paliwo, mające stać się plutonem wykorzystanym do celów wojskowych - zostało rozbite w drobny mak, zamieniając się w śmiertcionośną stertę gorących odpadów radioaktywnych. Wiele miesięcy zajęło grupie francuskich i włoskich specjalistów pracujących w kombinezonach ochronnych usunięcie niebezpiecznych odpadów, zanim można było rozpocząć budowę od nowa. I oto historia się powtórzyła. Ze-gar cofnął się dla Irakijczyków do roku 1977. Musieli zaczynać od zera.

O tym samym myśleli stojący obok mężczyźni: na ich twarzach, z których jeszcze przed kilkoma minutami promieniowała radość zwycięstwa i niczym nie skrępowana duma, teraz malowało się przygnębienie. Patrzyli na dymiące rumowisko w cichym niedowierzaniu. Panowało głębokie milczenie, którego nikt nie chciał przerywać jako pierwszy. O czym tu można było mówić?

Wybiło południe; cisza została przerwana. Brastow drgnął razem z innymi, kiedy głośnik, zawieszony tuż za nimi, nad łukowatymi drzwiami balkonowymi, wyrzucił wezwanie do południowej modlitwy.

- *Alaa-aa-aa-aa-hu ak-bar!* - zawodził nagrany głos muezina, wznosząc się i opadając w drżącym zaśpiewie, by ponownie wnieść się ku ostatniej triumfalnej nucie. Muezin nie bez powodu powtarzał tę samą prawdę, nadawaną pięć razy dziennie i przypominającą muzułmanom o ich względnej znikomości:

- Allah jest największy!

11.

Dwaj mężczyźni i kobieta kucali za niskim parapetem okalającym płaski dach piekarni. Llewellyn przycisnął mały pistolet do boku drugiego mężczyzny, kładąc na ustach palec wskazujący w uniwersalnym geście nakazującym milczenie. Z ulicy w dole dobiegały głosy - jakieś obce mieszające się z tym, który już dobrze znali, a wyróżniającym się tonem groźby. Rzeźnik wezwał posiłki. Stali zaledwie kilka kroków od miejsca, gdzie drabinka przeciwpożarowa schodziła z dachu piekarni na chodnik.

Dawid wymienił spojrzenie z Danielą i wskazał jej dalszy koniec dachu. Ruszyła na czworakach, a Singer, ponaglony kolejnym szturchnięciem Dawida, niechętnie poszedł w jej ślady. Dach był pokryty grubym żwirem wgniecionym w papę, powierzchnia trudna do pokonania na delikatnych kolanach. Skrzywił się, kiedy ostry kamyk przebił mu nogawkę, tymczasem Daniela, której nogi chroniły wyłącznie pończochy, jakby nie zwracała na to uwagi i narzuciła szybkie tempo. Kiedy dotarli do skraju dachu, gdzie mogli stanąć bez obawy, że zostaną zauważeni, dostrzegł, że oba jej kolana krwawią, a pończochy podarły się w strzępy.

Martin popatrzył ponuro na zniszczone kolana nogawek swego garnituru.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz - syknął. - Stąd nie ma zejścia.

Dawid wyrzwał ponad niską mansardą. Około pięciu metrów pod sobą mieli bardzo twardą powierzchnię, beton zaułka. Połamane kości i ciężkie zwichnięcia zdawały się nieuniknione. Jednak w połowie wysokości, pod tylną ścianą piekarni, stał pojemnik na śmieci, pełen odpadków z okolicznych sklepów: tekturowe pudła, papier pakowy, a także śmieci bardziej

organicznej natury, sądząc po rojach much. Niezbyt przytulne gniazdko, ale przynajmniej złagodzi upadek.

Nie mieli czasu na rozmyślania. Jeśli rzeźnik i jego siepacze zaczną węszyć, znajdą ich. Dał znak Danieli, po czym pchnął Martina, aż stanęli nad samym pojemnikiem. Martin spojrział w dół z niesmakiem.

- Chyba nie oczekujesz, że w to wskoczę?

Dawid wręczył pistolet Danieli.

- Skoczę pierwszy i przepłoszę robactwo. - Założył nogę na metrowej wysokości murek okalający dach, podciągnął się bez trudu, po czym się zawahał. - Czy potrafisz się tu wspiąć?

Skinęła uspokajająco głową. Spuścił się w dół, zawisł na rękach, kołysząc się przez chwilę nad pojemnikiem. Potem, odpychając się obiema nogami, zwolnił uchwyt.

Odgłos jego upadku został w znacznym stopniu stłumiony przez śmieci. Wygrzebał się i wstał, bez szwanku, po pas w odpadkach. Nie miał do pokonania dużej wysokości; zwieszając się na rękach, skrócił spadek o około dwa metry i trzydzieści centymetrów. Danieli nie mogło pójść tak łatwo.

- Teraz Martin! - szepnął w stronę dachu, po czym wyskoczył z pojemnika. Za pomocą miniaturowego argumentu, Daniela zmusiła agenta CIA do posłuszeństwa. Udowodnił, że jest dobrym uczniem, doskonale naśladowając manewr Dawida.

Kiedy Martin podnosił się, złorzecząc, gramoląc się z cuchnącej sterty śmieci, Daniela rzuciła Dawidowi pistolet i podciągnęła się zręcznie na niski murek. Bez chwili wahania zwiesiła się nad pojemnikiem i odepchnęła od ściany. Dawid wstrzymał oddech - spadała na plecy, z głową niebezpiecznie blisko metalowej ściany pojemnika. Minęła ją o kilka centymetrów i spadła na plecy; bezpieczne i stosunkowo miękkie lądowanie.

Co za dzielne małe stworzenie! Pomógł Danieli wyjść z pojemnika, czyszcząc jej ubranie ze śmieci. Po chwili cała trójka szła na palcach ku przecznicy, gdzie Dawid, ponad godzinę wcześniej, zaparkował Simkę.

Prowadził ich ostrożnie wzdłuż ściany ostatniego domu, zbliżając się do ulicy, przy której znajdował się sklep mięsny. Nakazując pozostałym, by zaczekali, wyjrzał zza rogu. Samochód wciąż tam stał, ale rzeźnik i jego

ludzie także; deliberowali przed sklepem, pół przecznicy dalej, skąd wyraźnie widzieli zaparkowaną Simkę. Jeden z mężczyzn spojrzął w jego stronę i Dawid cofnął głowę. Czy powinni zaryzykować - puścić się biegiem - czy porzucić samochód i poszukać taksówki? Znalezienie taksówki w tej okolicy mogło zająć sporo czasu, a Dawid jak najszybciej pragnął skontaktować się z ambasadą, by dowiedzieć się, co się stało z AWACS-em i Richardem.

Znowu wyrzwał zza rogu. Rzeźnik i jego świta zniknęli, prawdopodobnie wewnątrz sklepu. Dał znak pozostałym.

- Droga wolna! Idziemy!

Jeszcze przed połową południowo-wschodniego pasa startowego lotniska Ben Gurion, gładka dwusilnikowa Cessna wzbiła się w powietrze, a skrzydła zaczynały się chować pod podwozie. Nabierając szybkości i wysokości, rozpoczęła wznoszący się skręt w lewo.

W kabinie jasnowłosy pilot w ciemnych okularach zakończył meldowanie się wieży kontrolnej. Oddał mikrofon mężczyźnie siedzącemu na miejscu drugiego pilota, który już zmieniał częstotliwość radia. Pasażerka siedząca w fotelu tuż za nim nachyliła się w przód, by krzyknąć mu coś do ucha. Wciąż trzymała mały pistolet z pięcioma nie wykorzystanymi nabojami.

- Mosad może już coś wiedzieć o AWACS-ie. Znam częstotliwość ich pasma. I tak muszę się z nimi skontaktować.

Dawid Llewellyn przytaknął, odchylając głowę tak, by ryk silników nie zagłuszał jego słów.

- Ale najpierw chcę spróbować połączyć się bezpośrednio. Istnieje szansa, że...

Radio było podobne do tego, które widzieli w kryjówce za sklepem mięsnym - wystarczająco mocne, by głos dotarł aż do Rijadu. Było jednym z argumentów, jakimi Martin skłonił ich do przyjęcia jego propozycji: obiecał, że zawiezie ich samolotem z Tel Awiwu do Jerozolimy, dzięki czemu zaoszczędzą czas, oraz że w drodze zapewni im łączność radiową, by mogli rozwiązać swój niepokój. Mimo obaw co do jego motywów oraz

niebezpieczeństwa, na jakie się narażali, oddając się w jego ręce, przystali na tę propozycję. Dawid pragnął za wszelką cenę dowiedzieć się, co z bratem; wydawało się, że nic innego go w tej chwili nie obchodzi. Daniela czuła podobnie silną potrzebę porozumienia się z centralą i złożenia raportu swemu przełożonemu. Poza tym nadal trzymali swego więźnia-szofera na muszce.

- AWACS C-103, tu Dawid Llewellyn w Tel Awiwie. Zgłoś się, proszę. Odbiór. - Nasłuchiwał, oczekując najgorszego, nie spodziewając się rzeczywiście usłyszeć odpowiedzi nieszczęsnego samolotu. Ale może jakaś siostrzana maszyna, z radiem na tej samej częstotliwości, odbierze sygnał i poda Dawidowi informację o wyniku starcia, o ewentualnych ocalałych.

Daniela patrzyła ze współczuciem na twarz odbitą w przedniej szybie i czekała z nadzieją, aż w jej słuchawkach rozlegnie się pozytywna odpowiedź. Nie liczyła na więcej niż Dawid. Jednak zdała sobie sprawę, że nie zazna ani chwili spokoju, póki nie usłyszy nowin o bracie, dobrych albo złych. W chwili obecnej jego myśli dotyczyły wyłącznie osobistej tragedii, jaką okazałoby się dla niego zniszczenie AWACS-a wraz z załogą. Po szaleńczej ucieczce ze szpiegowskiej kryjówki Daniela w pełni sobie uświadamiała inne potworne konsekwencje: uznanie ich winy i potępienie, jakie spadnie na czołowych polityków rządu Likudu, na premiera i ministrów, włącznie z jej zastępczym ojcem, Szymonem Kedarem. Jak rząd zdołałby przekonać podejrzliwy świat, na nowo rozwścieczony powtórny nalotem na Irak, że Izrael nie ponosi odpowiedzialności za czyn pilota izraelskiego lotnictwa, lecącego izraelskim myśliwcem? Daniela zmówiła cichą modlitwę, by słuchawki oznajmiły, że AWACS-owi i jego załodze nic się nie stało, że dwóm mężczyznom najbliższym jej sercu zostanie oszczędzona udręka.

Jednak w słuchawkach rozlegał się tylko szum. Dawid poprawił głośność, aż trzaski stały się nie do zniesienia, po czym ściszył znowu. Powtórzył wiadomość. Żadnej odpowiedzi. Spróbował po raz trzeci.

- Daj spokój - odezwał się w słuchawkach brutalny głos mężczyzny w okularach przeciwsłonecznych. - AWACS dostał. Nie miał najmniejszych szans.

El Aurens odwrócił głowę, by po raz ostatni spojrzeć na zdumiewający samolot z ogromnym talerzem zawieszonym nad kadłubem - cel, który jakimś cudem wyszedł cało z wytrwałego ataku, jaki przeprowadził za pomocą broni, która zapewniała mu zwycięstwo w znacznie trudniejszych sytuacjach. Czemu Sparrowy nie dały sobie rady z AWACS-em? Nadal czuł zdumienie, zmieszanie i gniew. Ostatnie bliskie spotkanie z samolotem było spowodowane wyłącznie furią i frustracją. Ani przez chwilę nie zamierzał go staranować. Nie mógł sobie na to pozwolić. Musiał ocaleć, by wykonać jeszcze ważniejsze zadanie.

Przynajmniej udało mi się napędzić im strachu, pomyślał z satysfakcją. Zanim przemknął pod samolotem, przez moment ujrzał w kabinie zaskoczone twarze załogi. Symulowany manewr taranujący dostarczył mu nieoczekiwanego dreszczu podniecenia. Zabawne, wciąż czuł swędzenie w całym ciele, podobne do efektu wstrząsu elektrycznego, jakiego kiedyś doznał, dotknąwszy przez nieuwagę gorącej końcówki transformatora.

Jednak oprócz podniecenia, nie wykonane zadanie zostawiło mu w ustach gorzki smak, nowy dla niego smak klęski. Nie był w stanie ocenić wpływu tego niepowodzenia na arabską walkę z syjonistami; to nie należało do niego. Jedyne, co miało dla niego znaczenie, to fakt, że po raz pierwszy w całej karierze nie potrafił wykonać rozkazu. Miał jednak jeszcze jedno zadanie do wykonania; nie mógł sobie pozwolić na markotne rozmyślenia. Muzułmanie mieli wyrażenie opisujące tę sytuację: *Insz' Allah*. Nie ma sensu kwestionować woli Boga.

Zataczając szeroki zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, skoncentrował się na misji, która pozostała do wykonania. Sprawdził poziom paliwa: pozostało nieco mniej niż połowa. Powinno wystarczyć, jeśli nie będzie używał dopalacza. Pierwotny plan przewidywał lądowanie na Synaju, ale zgodnie z nowymi rozkazami miał lecieć dalej na północ, co uszczuplił zapasy paliwa. Musiał zachować ostrożność.

Wpisał współrzędne nowego celu na tablicę nawigacyjną, współrzędne, które zapamiętał po odebraniu rozkazu. Instrukcje przekazano mu w dziwny

sposób. Po raz pierwszy nie skontaktowano się z nim osobiście, ale posłużono się szyfrem szachowym. Dodatkowy nakaz, by nie dzielił się treścią instrukcji z żadnym innym agentem, zdziwił go, a nawet, początkowo, wzbudził jego podejrzenia. Jednak rozkazy były autentyczne; zostały uprawomocnione na najwyższym szczeblu w centrali wywiadu w Bagdadzie.

Przypominając sobie kolejne wydarzenia, ponownie odczuł podniecenie, jakim napełniło go rozszyfrowanie wiadomości, kiedy zrozumiał charakter nowej misji. Przekraczała jego wszelkie wyobrażenia; atak na AWACS-a błądł przy niej niepomierne. Było to zadanie, któremu mógł się poświęcić całym sercem, mistrzowski cios wymierzony w imieniu całej republiki, wszystkich krajów arabskich, całego islamu - gdyby tylko mógł tego dokonać. A był przekonany, że mógł; strategia skryształizowała się już w jego umyśle. Najpierw jednak trzeba było się tam dostać.

Wyjrzał przez szybę na otaczającą go ponurą pustynię. Żadnych znaków rozpoznawczych. Dzięki Allanowi za inercyjny system nawigacji wbudowany w tę cudowną maszynę. Nad tablicą ISN, wbudowaną w prawą górną konsolę kabiny F-15, cyfrowy ekran stale wyświetlał aktualną długość i szerokość geograficzną.

Niedługo przed atakiem na AWACS-a, na końcu odcinka lotu na południe, dostrzegł jeden wiarygodny punkt orientacyjny: skrzyżowanie piaszczystych dróg, uwzględnione na jego mapie. Przelatując nad krzyżówką, wpisał jej współrzędne do komputera, pozwalając mu ustalić wpływ wiatru na kierunek lotu. W drodze powrotnej komputer automatycznie uwzględnił te same dane, kierując się teorią, że w tak krótkim odstępie czasu znaczne zmiany wiatru były mało prawdopodobne.

Współpracując z platformą inercyjną, komputer mógł wyświetlić właściwy kurs na ekranie „sterowniczym” nad tablicą ISN. Wszystko, co pilot musiał robić, to trzymać się wyznaczonego kursu. Dziecinna zabawa, nie wymagająca ani trochę myślenia.

Całe szczęście, pomyślał, sadowiąc się wygodnie w fotelu i szykując się do długiej drogi powrotnej. W chwili obecnej nie miał ochoty na żadne

skomplikowane operacje myślowe. Potwornie bolał go żołądek. To na pewno wynik ciężkiego izraelskiego śniadania, jakie zjadł rano w mesie oficerskiej.

SOS! SOS! Tu Eagle Jeden. Tu Eitan. Czy mnie słyszysz? Odbiór.

Po raz dziesiąty w ciągu ostatnich pięciu minut pilot samotnego myśliwca lecącego nad północną częścią Pustyni Arabskiej przycisnął guzik odbiornika i nadaremnie czekał na odpowiedź z bazy macierzystej. Czyżby jego radio szwankowało? Musiał się już przecież znajdować w zasięgu radiostacji bazy. Czemu nie odpowiadali? Jego położenie stawało się krytyczne.

W ciągu ostatnich trzydziestu minut prawie nie spuszczał wzroku ze wskaźnika poziomu paliwa. Zdawało mu się, że widzi, jak wskazówka stopniowo opada. Już teraz znajdowała się niebezpiecznie blisko czerwonego obszaru. Kiedy do niego dotrze, będzie musiał uruchomić zapas rezerwowo, który pozwoli mu na zaledwie dziesięć minut lotu, zanim zostanie zmuszony do śmiertelnie niebezpiecznego lądowania na wrogiej Pustyni Arabskiej. Niezbyt kusząca perspektywa. Dwusilnikowe Eagle były zbyt ciężkie i miały zbyt nieregularną budowę, by mogły sprawnie szybować. Kiedy traciły napęd, spadały jak kamienie. Eitan stracił w ten sposób bliskiego przyjaciela.

- O, Boże! - błagał. - Jeśli nie mam przeżyć, pozwól mi przynajmniej do nich dotrzeć, żebym mógł im powiedzieć!

Musiał z kimś porozmawiać, zdać sprawozdanie z tego, co się stało. Musiał podzielić się tym ciężarem; był zbyt wielki, by jeden człowiek mógł go zabrać do grobu.

Powrotowi z Osiraku towarzyszyło uczucie najwyższego osamotnienia, jakiego nie zaznał jeszcze nigdy w życiu. Wielokrotnie zerkał ku końcowi prawego skrzydła, wypatrując towarzysza, a mrożąca krew pustka miażdżyła go na nowo. Uświadamiał sobie ze zgrozą, że zginął Ari, że wszyscy zginęli, na zawsze i nieodwołalnie, cała jego eskadra. Jego rozkazy - jego ocena sytuacji lub jej brak - skazał ich na śmierć.

Ich twarze wracały do niego, przesuwwały mu się przed oczami. Judi, drugi najbliższy przyjaciel, zginął zaraz po Arim. Nierozłączni Nachum i

Jakow; Meir większy i mały Meir, mający tylko sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu - zadziorny i lekceważący, najlepszy pilot, jakiego kiedykolwiek szkolili. Eli i Joel, uparty, skory do gniewu Emanuel. I Lewi, który był takim maminsynkiem, kiedy Eitan wziął go pod swe skrzydła. Wszyscy byli mu tacy bliscy, w pewnym sensie pełnił rolę ich ojca. Czuł, jakby stracił całą rodzinę w jednej, niewiarygodnej katastrofie. Nie, gorzej. Dziesięć rodzin będzie opłakiwać swoich bliskich, winiąc go za ich śmierć.

Ich twarze, ich oskarżycielskie oczy! Nie mógł się od nich uwolnić, bez względu na to, jak bardzo próbował. Na ich twarze nakładał się niemożliwy do wymazania obraz przyjaciół pędzących ku swemu przeznaczeniu, upiorne widowisko zielonobiałych kul ognia, które pojawiły się nagle i pożarły wszystkich. A potem przeraźliwe pokłósie, dziwne iskrzenie w pustce nieba, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowały się solidne metalowe samoloty i ludzie z krwi i kości.

Czym wytłumaczyć to tajemnicze zjawisko? Skąd Irakijczycy wzięli tak niszczącą, diaboliczną nową broń? Na razie nie potrafił na to odpowiedzieć. Zostawi tę zagadkę ekspertom; niech poinformują go, kiedy wróci do bazy. Jeśli kiedykolwiek wróci.

Wskazówka poziomu paliwa zbliżała się do kreski oznaczającej pusty bak. Zdesperowany przełączył radio na kanał pomocniczy i ponownie nadał wołanie o pomoc. Natychmiastowa odpowiedź niemal go ogłuszyła; słowa rozbrzmiewały w słuchawkach zbyt głośno, by mógł je zrozumieć. Przeklinając własną głupotę, ściszył odbiornik i powtórzył wołanie. Tak bardzo pragnął się z nimi skontaktować, że nastawił głośność na maksimum, zapominając, że sygnał bazy mógł bez trudu do niego dotrzeć; to jego słaby sygnał nie dochodził do nich do tej pory.

- Eagle Jeden, tu Matka. Co cię zatrzymało? Jesteś znacznie spóźniony.

Co za ulga. To wieża kontrolna w Tel Nof. Nareszcie!

- To długa historia, Matko. Najpierw to, co najważniejsze. Muszę się napić. Czy macie pod ręką barmana?

- Zgoda, Eagle Jeden. „Barman” krąży we współrzędnych J-37. Czy możesz tam dotrzeć?

Eitan spojrział na mapę nawigacyjną, oceniając odległość dzielącą go od tankowca. Punkt J-37 znajdował się sto pięćdziesiąt kilometrów od jego obecnego położenia. Nigdy nie uda mu się tam dotrzeć.

- Matko, odpowiedź negatywna. Jestem już prawie na rezerwie. Zostało mi najwyżej piętnaście minut lotu.

- Eagle Jeden, spotkacie się po drodze. Barman wyleci ci na spotkanie. Randka przy K-38, na wysokości sześciuset trzydziestu metrów. Jego przewidywany czas przybycia: za dziesięć minut. Czy mnie zrozumiałeś?

- Tak, Matko.

Dziesięć minut. Zostanie pięć minut na zatankowanie paliwa. Spotkanie z dużym tankowcem musi nastąpić dokładnie co do minuty.

- Eagle Jeden - odezwała się znowu wieża kontrolna. - Podpułkownik Rabin chciałby cię teraz przepytac, w razie gdybyś nie... - Nastąpiła niezręczna przerwa.

- Rozumiem, Matko. Kontynuuj.

- Po pierwsze: cel. Czy operacja się udała?

Eitan się zawahał.

- Jeśli chodzi o zlikwidowanie celu, odpowiedź jest twierdząca. Zniszczenie wyglądało na całkowite. Odbiór.

- Wspaniale, Eitan, dobra robota! Gratulacje! - Głos podpułkownika rozbrzmiewał radością. Radością, która miała być krótkotrwała. Eitan przygotował się na pytanie, którego się bał, a które musiało paść.

- Pozostali, Eitan - gdzie są pozostali? Nikt z twojej eskadry jeszcze nie wylądował ani się nie zgłosił. Czy są z tobą?

- Obawiam się, że nie, generale. - Jego zaciśnięte zęby nie były w stanie stłumić łkania. - Obawiam się, że zostałem tylko ja.

Kiedy Eitan dostrzegł na ekranie radaru tankowiec, leciał już na rezerwowym zapasie paliwa. Odczytał odległość dzielącą go od, tankowca: jeszcze sto kilometrów, co oznaczało co najmniej pięć minut lotu! Czy da radę; czy utrzyma się w powietrzu dostatecznie długo, by przeprowadzić skomplikowany manewr tankowania?

Powodzenie tej operacji nagle nabrało dla niego nadrzędnego znaczenia.

Znużenie wynikające z poczucia winy i straty znikło, a jego miejsce zajął kipiący, wzmagający się gniew. Zrzucenie ciężaru podczas pięciominutowej rozmowy z podpułkownikiem okazało się innym rodzajem *katharsis*, niż się spodziewał.

Podczas gdy doniesienie o losie lotników wyraźnie wstrząsnęło dowódcą, nie padło ani jedno słowo wymówki pod jego adresem. Początkowo Eitan czuł zawód; jakaś część jego duszy pragnęła potępienia ze strony dowódcy, kary, która mogłaby częściowo odkupić winę za to, że ocalał, kiedy pozostali zginęli.

Jednak reakcja dowódcy odzwierciedlała szerszy obraz, dalej idące implikacje napotkania nowej broni. Podpułkownik poprosił o szczegółową relację z pojawienia się i zachowania pocisków. Dopiero po przedstawionym przez Eitana opisie niewiarygodnie niszczących eksplozji, które pochłonęły pilotów i ich odrzutowce, po opisanu zielonej poświaty, dowódca mu przerwał. Jego wypowiedź była zduszona, najwyraźniej nie przeznaczona do przekazu na falach radiowych. Mimo to Eitan usłyszał.

- Specjalne głowice! - wykrzyknął podpułkownik.

Oczywiście! Czemu nie przyszło mu to do głowy? Te pociski musiały być zaopatrzone w taktyczne głowice atomowe. To tłumaczyło wiele: dlatego zdawało się, że jego samoloty rozpylają się w powietrzu. Dosłownie wyparowały w wyniku działania sił rozszczepianego atomu. Jego biedni, nic nie podejrzewający piloci nie mieli najmniejszych szans. Zostali wystawieni, wpadli w pułapkę diabelskiej broni, o której nic nie wiedzieli; głowic zakazanych przez wszystkie cywilizowane kraje, włącznie ze Związkiem Radzieckim.

Związek Radziecki! To było jedyne wytłumaczenie; tylko z tego źródła mógł otrzymać taką broń zacofany arabski kraj, wciąż cierpiący w wyniku długiej wojny z krajem ościennym. W sercu Eitana wezbrała nienawiść do Sowietów i sposobu, w jaki traktowali Żydów, ich nieprzejednanego cynizmu wobec kraju, który nazywali Republiką Syjonistyczną. Nie wątpił, że zrobiliby wszystko, by przysporzyć Żydom kłopotów. Tym razem jednak przeszli samych siebie. Dostarczanie Arabom MiG-ów to jedno; dostarczanie

im głowic atomowych to czyn, który świat określi jako zbrodniczy i ludobójczy. Dopilnuje, żeby zapłacili! Zezna jako świadek na forum międzynarodowym, opowie o morderstwie z zimną krwią, jakiego dopuścili się na jego towarzyszach.

Jego przeniesienie poczucia winy i samopotępienia nie ograniczało się do Sowietów. On i jego piloci byli całkowicie nie przygotowani na spotkanie z nowym, rewolucyjnym rodzajem broni. Czemu nie ostrzeżono ich, nie wspomniano o takiej możliwości podczas narad i ćwiczeń poprzedzających operację „Ognisty Piec”? Rozmieszczenie nowego typu pocisków na obrzeżach kilkumilionowego miasta nie mogło pozostać nie zauważone. Gdzie był wtedy Mosad, wspaniała Centralny Instytut Wywiadowczy, według własnych ocen najlepsza tego typu organizacja na świecie? Co z Amanem, olbrzymim zespołem wywiadu wojskowego?

W uszach Eitana nadal rozbrzmiewały ostatnie słowa podpułkownika: - Nie obwiniaj siebie. Nie mogłeś wiedzieć. A jednak, wszyscy powinniśmy byli wiedzieć. - Sprzeczne, tajemnicze słowa. Teraz jednak wyczuwał ich znaczenie. Poczuł gorycz. Dwanaście lat wcześniej, w przeddzień wojny Jom Kipur, nic nie podejrzewający izraelscy żołnierze na granicy z Syrią i Egiptem zostali zaskoczeni i wymordowani przez hordy Arabów, którzy od tygodni przygotowywali się do natarcia. Mosad znacznie wcześniej wiedział o planowanym ataku i ostrzegł wywiad wojskowy. Jednak Aman, w swej kampanii zmierzającej do zdyskredytowania rywala, zignorował ostrzeżenie i nie powiadomił garnizonów. Teraz Eitan wyczuwał podobne świństwo; tym razem ofiarą padła mała, zżyta ze sobą rodzina pilotów.

Jeśli Centralny Instytut Wywiadowczy wiedział o rosyjskich pociskach, jeśli informacja została celowo zatajona, ktoś za to zapłaci! Nie spocznie, dopóki nie dojdzie prawdy, nie ujawni winnego. Do diabła z jego karierą wojskową! Zrezygnuje ze stanowiska, pójdzie prosto do gazet, do innych środków przekazu. Miał dług wobec przyjaciół i ich rodzin; ludzie musieli się dowiedzieć prawdy. Miał dług wobec swego kraju, małej wyspy w morzu wrogów, która w końcu zostanie zatopiona, jeśli wszystkie skłócone

frakcje i odłamy nie zjednoczą się w walce ze wspólnym przeciwnikiem.

- Eagle Jeden, tu Barman. - Głos w słuchawkach przywołał go do rzeczywistości i aktualnych kłopotów.

- Mów, Barmanie.

- Zbliżyłem się do K-38 na wysokości sześciuset trzydziestu metrów, kurs jeden-jeden-zero, szybkość trzy-pięć-zero. Czy masz mnie na radarze?

- Odpowiedź twierdząca, Barmanie. Jesteś teraz czternaście kilometrów ode mnie. Zachowaj obecną prędkość. Kiedy dotrzesz do K-38, rozpocznij stopniowy zwrot o dziewięćdziesiąt stopni w lewo. Zobacysz mnie przy swoim ogonie po około minucie.

Przymknął przepustnicę, zerkając niespokojnie na zegarek. Zapas paliwa pozwalał mu jeszcze tylko na pięć minut lotu! Walczył z ogarniającą go paniką. Nie mógł sobie pozwolić na zdenerwowanie czy zniecierpliwienie podczas operacji tankowania. Manewr wymagał, aby dłoń pilota działała tak precyzyjnie jak dłoń chirurga przeprowadzającego operację mózgu.

Punkt kontrolny pojawił się na ekranie i Eitan instynktownie ustawił go w środku okrągłej siatki, nakierowując samolot na ogon tankowca. Wpa-trywał się w szybę, rozglądając się za większym odrzutowcem. Mógł być nieco trudny do zauważenia; barwy ochronne stanowiły jego jedyną obronę przed wrogimi myśliwcami. Powinien tam być, na tej samej wysokości, mniej więcej w pozycji godziny dziesiątej.

Jest! Zauważył go. Teraz mógł się już kierować własnym wzrokiem. Zbliżał się do tankowca z prędkością ośmiu kilometrów na minutę; dzieląca ich odległość zmniejszała się szybko. Zaczął zamykać przepustnicę.

Teraz miała się zacząć „zabawna” część operacji. Zerkając kątem oka na szybkościomierz, nadal ostrożnie zamykał przepustnicę; ogon dużego odrzutowca rósł coraz bardziej. Zaczął na głos odliczać prędkość. Trzydzieści węzłów. Dwadzieścia. Piętnaście. Dziesięć. Znajdował się prawie nad nim! Pięć! Trzy! Dwa!

Niczym wciągane żądło jakiegoś gigantycznego skrzydlatego owada, spod podwozia tankowca wysunął się w stronę mniejszego odrzutowca

sztynny, cienki przewód. Eitan pstryknął przełącznik, otwierając zbiornik w górnej części dzioba Eagle. Wysięgnik tankujący sterowany przez operatora siedzącego na tyle tankowca zmierzał prosto do otworu.

Teraz spokojnie. Ostrożnie! Uspokoił drżące palce na przepustnicy i drażku, jednym okiem zerkając na zwalisty tankowiec zaledwie piętnaście metrów przed nim, a drugim na szybkościomierz. Wylot przewodu zwiślał zaledwie metr nad jego głową. Jeden fałszywy ruch i rozbije przednią szybę. Pot wystąpił mu na czoło; jak długo w ten sposób wytrzyma? Raczej poczuł, niż usłyszał brzęk metalu o metal, gdy przewód zetknął się z kadłubem Eagle. Wsuwał się do otwartego zbiornika. Był prawie u celu.

Eagle przechylił się na bok, zepchnięty z ustalonego kursu nagłym podmuchem wiatru. Eitan instynktownie schylił głowę, ponownie otwierając przepustnicę. Wysięgnik ześlizgnął się na lewo, odrywając się od dzioba Eagle. Eitan zaklął. Stracili cenny czas. Musieli zaczynać od nowa.

Znowu ustawił samolot, a operator wysięgnika powtórzył skomplikowaną operację wprowadzania końca cienkiego przewodu na miejsce. Kontakt! Wylot przewodu wsunął się w otwór na dziobie F-15. Teraz spokojnie. *Mazd tow!*

Z głuchym brzękiem wylot przewodu wskoczył na miejsce.

- Trafienie! - krzyknął Eitan do mikrofonu.

- Roger - zabrzmiała odpowiedź. - Otwieram zawór. Oto twój drink. Smacznego! Mam nadzieję, że to twój gatunek.

- Pod warunkiem, że to JP-4, to mój ulubiony.

Trzymając mocno stery, Eitan patrzył kątem oka na wskaźnik poziomu paliwa; wskazówka zaczęła się już przesuwac do góry. Jego bak rezerwowi musiał być prawie pusty. Wiedział, że nieco ryzykowne jest przechodzenie na główny bak podczas tankowania, jeszcze bardziej jednak ryzykowne było zostawanie na baku zapasowym, kiedy w każdej chwili mógł zgasać silnik. Zdecydował nie podejmować tego ryzyka. Patrzył, jak wskazówka podnosi się w górę, w miarę jak paliwo płynęło z tankowca do jego spragnionego odrzutowca. Jeszcze trzydzieści sekund i się rozłączy.

Jak para olbrzymich ważek w trakcie rytuału godowego, dwa samoloty

przylegały do siebie, szybując bez celu po bezchmurnym niebie, rzucając dziwaczny cień na ugór w dole. Eitan patrzył, jak dziwna, podwójna sylwetka sunie zgrabnie ponad płaską pustynią, doskonale dotrzymując kroku jego Orłowi szybującemu z wyłączonym silnikiem. Scena emanowała spokojem, stanowiącym upragnioną odmianę po lęku minionych godzin. Teraz już dobrze; uda mu się na pewno.

Spokój chwili został przerwany bez ostrzeżenia.

- Bandydzi, w pozycji godziny drugiej! - Krzyknął pilot tankowca. - Rozłączam się!

Wysięgnik wyskoczył z baku Eagle i zaczął się chować do ogona tankowca. Za szybą Eitana zaczęły rozbłykiwać rozżarzone do białości pociski smugowe. Nie miał czasu na zastanawianie się, czy były przeznaczone dla niego, czy dla tankowca. Wzbił się ostro w górę, instynktownie odwracając głowę w stronę niebezpieczeństwa. Przed jego dziobem przemknął MiG-21, a drugi tuż za nim, plując ogniem z końców skrzydeł.

Otwórz przepustnicę! Do góry! Do góry! Jego pierwszym impulsem była ucieczka. Musiał przeżyć, by opowiedzieć swą historię świata, pomścić pilotów, którzy zginęli męczeńską śmiercią, zmusić winnych do zapłaty. Nie było wątpliwości, że te kule zostały zaadresowane do niego. Tankowiec był powolny, stosunkowo niełatwy w manewrowaniu, bezbronny. MiG-i zdążą go później wykończyć. Teraz chodziło im o Eitana.

Rozważył możliwość porzucenia tankowca. Na dopalaczu mógłby uciec MiG-om, ale wtedy znowu wyczerpałoby mu się paliwo, a zestrzeliwując tankowiec, MiG-i pozbawiłyby Eitana szansy ponownego uzupełnienia zapasów. Podjął szybką decyzję. Całe szczęście, że nie pozbył się dwóch Sparrowów, w celu oszczędzenia paliwa. Nie miał na pokładzie karabinu; te dwa pociski stanowiły jego jedyne uzbrojenie.

Lecąc w górę, uruchomił pociski i rozejrzał się za MiG-ami. Skręcały na prawo, szykując się do kolejnego natarcia. Wzbij się wysoko, w słońce, gdzie cię nie zobaczą! O tak. Teraz skręć w prawo i daj im popalić!

Znajdował się trzysta metrów nad nimi, nadlatując od południa, od strony słońca. Tankowiec zawrócił w drogę powrotną, skręcając w lewo. MiG-i

chwilowo go ignorowały, wypatrując izraelskiego F-15, mniejszego samolotu, ale znacznie cenniejszego łupu. Mieli szansę, ale ją zmarnowali. Gdyby piloci byli bardziej doświadczeni, natychmiast wzbiliby się w górę, skręcając w lewo, zamiast w prawo, nie dając mu podwójnej przewagi w postaci blasku słonecznego i wysokości. Teraz jego kolej.

Fakt, że podczas pierwszego natarcia użyli karabinów, nie wykluczał posiadania pocisków. Pierwsza salwa mogła się okazać decydująca. Nie było czasu na konwencjonalną technikę odpalania Sparrowów; cel znajdował się zbyt blisko. Zanurkował prosto na nadlatujące MiG-i. Ustawił pierwszego w celowniku. Spokojnie, teraz spokojnie - ognia!

Wystrzelił pierwszego Sparrowa, czując, jak odrywa się od samolotu; widział zostawianą przez niego smugę spalin. Pokonał pragnienie, by wystrzelić drugiego i uciec. To jego jedyna broń. Musiał się powstrzymać; nie mógł tracić obu pocisków na jeden cel.

MiG-i zauważyły go, kiedy tylko na niebie pojawił się złowrogi pióropusz Sparrowa. Nie wyglądało na to, by chciały zrobić unik; leciały prosto na Eitana. Wstrzymał oddech. Pośpiesz się, mały Sparrowie, szybciej! Dość tam, zanim...

Za późno! Z końców skrzydeł wiodącego MiG-a błysnął ogień. Wystrzelił coś w jego kierunku. Eitan wiedział, że niektóre MiG-i były wyposażone w pociski reagujące na ciepło; mógł się tylko modlić, by nie miał teraz z takim do czynienia. W chwilę później wiodący MiG pochłonęła jasnopomarańczowa kula ognia. Maszyna runęła w dół jak meteor, ciągnąc za sobą płomień. Jednak to, co wystrzeliła, nadal musiało lecieć na Eitana.

Ustawił drugiego MiG-a w celowniku i odpalił ostatniego Sparrowa. Gdyby tylko był to reagujący na ciepło Sidewinder, Eitan mógłby teraz skręcić, unikając zbliżającego się podarunku zniszczonego MiG-a. Jednak Sparrow by zoczył, zgubiłby cel, gdyby Eitan przestał nakierowywać radar na drugą maszynę. Skoro nie mógł skręcić, mógł przynajmniej wykonać unik, sprawić, że jego Eagle stanie się trudniejszym celem. Zaczął kręcić drążkiem sterowniczym, wprawiając samolot w węzowe ruchy.

I nagle, nie mając czasu na reakcję, zobaczył je. Trach!

Wysyłając falę uderzeniową, trzęsącą pokrywą kabiny, którą minęły o włos, dwie miniaturowe komety przemknęły mu nad głową, ciągnąc za sobą ogony ognia. Wstrzymany oddech wydarł się z jego piersi i Eitan z ulgą zaczerpnął świeży haust powietrza. Rakiety MiG-a musiały być zwykłymi rakietami, nie reagującymi na ciepło. Wężowy manewr ocalił mu życie.

Pobiegł wzrokiem za śnieżnym szlakiem drugiego Sparrowa, mknącego ku pozostałemu MiG-owi, i ujrzał błyski strzałów na końcach jego skrzydeł. Pilot, świadom losu swego towarzysza, rzucił się nagle do ucieczki. Eitan wiedział, że to daremny wysiłek. Sparrow potrafił wykonać jeszcze ostrzejszy skręt; był w stanie przechytryć wszystko, co miało skrzydła. MiG był zgubiony.

Kiedy tylko Eitan ujrzał ognistą kulę pochłaniającą drugiego MiG-a, kopnął ster i wszedł w szybki zakręt. Ujrzał dwie rakiety przecinające jego szlak, ale nie wyrządzające mu krzywdy. Potem odwrócił się, by spojrzeć na wrak drugiego MiG-a kołujący ku pustyni, gdzie czarny słup dymu wzbijał się już ze szczątek jego towarzysza. Eitan nie widział spadochronów. Żaden z pilotów nie ocalał.

Kim byli; skąd się wzięli? Akcja nastąpiła tak szybko, atak został przeprowadzony tak błyskawicznie, że Eitan nie zdążył ich zidentyfikować, rozpoznać oznakowań. Musieli przylecieć z Iraku. Poza Syryjczykami i Egipcjanami, tylko Irakijczycy latali MiG-ami, a znajdował się daleko od Syrii i Egiptu. W walce z Irakijczykami nie kierował się chęcią zemsty; zwycięstwo nie uśmierzyło jego gniewu i nienawiści. Byli pilotami tak jak on; służyli tylko swemu krajowi. Z kim innym miał porachunki.

Czuł natomiast głęboką ulgę. Teraz mógł spełnić swe zadanie: powiadomić świat o zbrodniczym wymordowaniu jego towarzyszy przez sowieckie pociski atomowe, a także wyjawić niewybaczalny błąd izraelskiego wywiadu, w wyniku którego nie zostali przygotowani na taką ewentualność.

Z niewypowiedzianą wdzięcznością dla swego stwórcy zaczął rozglądać się za izraelskim tankowcem. Zdążył już zniknąć z pola widzenia. Eitan wykonał zwrot i ruszył za tankowcem, włączając radio.

- Barman, tu Eagle Jeden. Nasi nieproszeni goście zostali wyrzuceni. Dwa ptaki, które miałem, okazały się wystarczające.

- Załatwiłeś obu? Dobra robota, Eitan, dobra robota! - W głosie pilota tankowca brzmiała radość z powodu nieoczekiwanego wybawienia. - Przypuszczam, że chętnie napiłbyś się jeszcze raz.

- Zgadza się, Barmanie. Tylko teraz uważaj, jak mieszasz. Ten ostatni o mało mnie nie wykończył!

Daniela nie była w stanie dłużej patrzeć na odbicie twarzy w szybie Cessny; szerokie ramiona zgarbiły się w rezygnacji. Brak odpowiedzi na powtarzany sygnał, skierowany do AWACS-a numer C-103, potwierdził najgorsze obawy Dawida Llewellyna. AWACS nie znajdował się już w powietrzu; załoga nie mogła odpowiedzieć.

Wyregulował głośność, aż hałas przycichł, po czym wręczył Danieli mikrofon.

- Jaka jest częstotliwość Mosadu? Ustawię ci ją.

- Czekaj, Dawidzie! Słuchaj!

Tuż przed znizeniem głośności usłyszała jakiś dźwięk. Mogły to być także tylko trzaski, ale brzmiały trochę inaczej. Dawid błyskawicznie wzmościł sygnał odbioru.

Na tle zakłóceń w słuchawkach rozlegał się słaby głos, znany tylko jednemu z pasażerów Cessny. Jego akcent i barwę rozpoznałby zawsze i wszędzie, mimo iż brzmiał zbyt dojrzałe, zwłaszcza w porównaniu z młodzieńczą twarzą, jaką wywoływał w wyobraźni Dawida.

- Cześć, duży bracie! Dzięki za ostrzeżenie. Pewnie ocaliło nam życie.

Richy żył! Łzy napłynęły mu do oczu, a zaraz potem do oczu Danieli, która widziała, jaką zmianę wywołały te słowa w człowieku zajmującym miejsce drugiego pilota. Jednak reakcja mężczyzny pilotującego samolot była zupełnie przeciwna.

Zanim Dawid zdążył odpowiedzieć bratu, samolot skręcił gwałtownie w prawo. Nie przygotowani pasażerowie zostali wbici w fotele, unieruchomieni pasami bezpieczeństwa. Mikrofon wypadł z dłoni Dawida, który wyciągnął ręce, by powstrzymać się przed upadkiem na tablicę rozdzielczą.

Danieli udało się utrzymać pistolet; chwyciła się mocno oparcia fotela Dawida, podczas gdy horyzont za szybą Cessny przekrzywił się dziko. Uspokoił się na moment pod niebezpiecznie ostrym kątem, po czym zaczął uciekać w przeciwną stronę, kiedy samolot wyrównał kurs, wychodząc z gwałtownego skrętu.

- Co ty, do diabła, wyprawiasz? - Dawid zwrócił się z wściekłością do jasnowłosego pilota, którego twarzy nie widział, bo zasłaniały ją ciemne okulary. Jednak usta układały się w cienką, ponurą linię.

- Nastąpiła drobna zmiana planów i kierunku lotu.

- Akurat! Natychmiast zawracaj do Jerozolimy!

- Bo co? Każesz tej „Małej Pani Mosad” strzelić mi w plecy z dziecięcego pistoletu? - Singer zaśmiał się sardonicznie. - I co dalej? Które z was wyląduje, doświadczeni piloci?

Dawid wymienił spojrzenie z Danielą. Przed startem zastanawiali się, czy rozsądnie jest wsiadać do samolotu z Martinem. Uznali, że jego troska o własne bezpieczeństwo stanowi ich gwarancję. Nie przyszło im na myśl, że mógłby polecieć gdzie indziej niż do Jerozolimy. Stało się jasne, że, przynajmniej na razie, trzymał ich w szachu. Wybór miejsca lądowania należał do niego.

- Dokąd nas zabierasz? - Daniela wypowiedziała pytanie, które nurtowało ich oboje.

- Dowiedzie się wkrótce. To tylko godzina lotu.

Odpowiedź był zwięzła; Martin zaciskał szczęki. Dawid przypuszczał, że wiadomość o ocaleniu AWACS-a mocno nim wstrząsnęła. Potwierdzało to podejrzenia Dawida, że Martin siedział w spisku aż po swe niewinne, błękitne oczy. Czy stała za tym CIA, czy Martin działał na własną rękę, jak w przypadku Abernathy'ego? Ulga, jaką odczuł Dawid na wieść o bracie, nie zmieniła jego stosunku do byłego kolegi dyplomaty. Martin był wtyczką, którą polecono mu wykryć; miał obowiązek oddać go w ręce władz. Ważniejsi mieli ustalić, czy Martin został upoważniony do któregośkolwiek ze swych bezwzględnych czynów.

Próbując wydedukować kierunek lotu, lustrował teren przed nimi; sochrysta zieleń Morza Śródziemnego zaczynała już zajmować miejsce beżu i

cynamonowej barwy pustyni. To bez wątpienia skraj Pustyni Negew. Kompas wskazywał kurs stu osiemdziesięciu pięciu stopni. Po godzinie lotu znajdą się daleko poza granicami Izraela. W zależności od wiatru, mogli zmierzać ku południowej Jordanii, jakiemuś przygranicznemu miastu w Arabii Saudyjskiej lub, co bardziej prawdopodobne, ku egipskiemu półwyspowi Synaj. Wiedział, że znajduje się tam co najmniej jedna baza lotnicza, założona przez Izraelczyków, a obecnie obsługiwana przez Egipcjan.

To by się zgadzało. Na Synaju Martin znalazłby się poza jurysdykcją Izraela. Możliwe nawet, że udałoby mu się uniknąć aresztowania. Mało prawdopodobne, by Egipcjanie uwierzyli Amerykaninowi i Izraelce, świadczącym przeciwko innemu Amerykaninowi, legitymującemu się dokumentami CIA. Martinowi mogłoby się nawet udać odwrócić kota ogonem, oskarżając jego i Danielę o jakieś zmyślone przestępstwo.

Dawid postanowił sprawdzić swą teorię.

- A zatem: wielka tajemnica. Lecimy na Synaj, tak? Zawsze słyszałem, że Firma ma dużo do powiedzenia w Egipcie.

- Zdolny chłopiec. - Martin z nie zmienionym wyrazem twarzy wpatrywał się przed siebie, w zbliżającą się pustynię. - Jak słusznie zauważyłeś, CIA ma mocną pozycję w pewnych kręgach egipskich. Mamy pewną nie dokończoną sprawę w bazie lotniczej na Synaju. Pomyślałem, że wpadnę i dopilnuję, by doprowadzono ją właściwie do końca.

Bez względu na to, o jakiej sprawie mówił, Dawidowi wydawała się ona podejrzana. Jeszcze mogli mu przeszkodzić. Izraelskie myśliwce mogły zawrócić mały samolot Martina, zmusić go do lądowania w Izraelu. Podniósł z podłogi mikrofon, który spadł tam, gdy Martin przechylił gwałtownie samolot.

- Skontaktujmy się tylko z Mosadem, dobrze Danielo? Jakie to było pasmo?

Wpisał podaną przez nią częstotliwość i włączył nadajnik. W słuchawkach panowała cisza; nie rozległ się nawet dźwięk włączanego nadajnika. Pstryknął włącznikiem jeszcze kilka razy, po czym spojrzął na tablicę rozdzielczą radiostacji. Przełącznik mocy był włączony, ale lampka się nie paliła.

Mimo słuchawek na uszach usłyszał sardoniczny śmiech Singera.

- Profilaktycznie wykręciłem bezpiecznik - wyjaśnił. - Przez pewien czas radio nie będzie nam potrzebne. Kiedy zajdzie konieczność, wkręcę go z powrotem.

Dawid przeklął się za brak czujności. Nie sposób było zgadnąć, gdzie Martin ukrył maleńki bezpiecznik. Nie pozostawało im nic innego, jak lecieć razem z nim. Dawid wpatrzył się ponuro w przednią szybę, na coraz bardziej opuszczony krajobraz, usiłując ustalić położenie samolotu. Znaków topograficznych było niewiele. Pod prawym skrzydłem, równoległe do ich kursu biegnęły tory kolejowe. Daleko po lewej widniał ciemny przestwór, mogący być Morzem Martwym, jednak mgła spowijająca horyzont unieвозмоżliwiała definitywne rozpoznanie.

- Wiem, gdzie jesteśmy! - krzyknęła Daniela, uderzając go podniecona w ramię. - Tam w dole jest mój kibuc. Widzisz, gdzie tory przecinają drogę? To Sde Boker. To był też kibuc Ben Guriona.

- Ach, tak, twój pobyt na Negewie. - Martin, panujący teraz nad sytuacją, stał się nieco rozmowniejszy. - Czy spotkałaś osobiście tego wielkiego człowieka?

- Ben Guriona? Raczej nie. Byłam małą dziewczynką, kiedy umarł. Co roku, w dniu jego urodzin, w kibucu odprawiano uroczystość. Jak słusznie powiedziałaś, był wielkim człowiekiem, ojcem tego kraju.

- Był też ojcem czegoś innego: programu nuklearnego swego kraju. - Martin skinął ręką ku pustyni po lewej. - Jak dobrze znasz swoją pustynię Negew? Czy wiesz może, co leży zakopane pod niektórymi z tych wydm piaszczystych?

Zmarszczyła brwi.

- Chyba nie zamierzasz mi opowiadać tych starych bajduł o ukrytych tam bombach atomowych? Te pogłoski krążą od lat i zaprzeczał im każdy premier od czasów Ben Guriona. Tak się składa, że im wierzę.

- Oczywiście. - Szyderczy uśmiech wrócił na twarz Martina. - Oni zresztą mówili prawdę, z tym tylko, że niecałą. Technicznie rzecz biorąc, bomba nie jest bombą, zanim zostanie złożona i przygotowana do odpalenia. Pod tymi wydmami leżą niezliczone części, które można złożyć w ciągu paru minut, tworząc bomby i głowice o mocy wielu kiloton. Spoczywają w

tunelach wyłożonych ołowiem, wydrążonych pod piaskiem pustyni. Sprytne, nie sądzisz? Ołów zapobiega wykryciu przez przelatujące lub przejeżdżające pojazdy, a ruchome piaski skrywają wszelkie oznaki działalności ludzkiej. Martin wskazał na punkt po lewej, blisko horyzontu.

- Czy wiesz, jakie to miasto?

Daniela zmrużyła oczy, patrząc we wskazanym kierunku.

- Chyba Dimona.

- Zgadza się - potwierdził. - Starożytne biblijne miasto Dimona. Tu Ben Gurion postanowił zbudować reaktor atomowy. Od blisko dwudziestu lat wytwarza się tam pluton do bomb. Ten cały obszar pustyni jest ściśle strzeżony. Zakaz wjazdu nie upoważnionym pojazdom, zakaz przelotu samolotów. Gdybym zwariował na tyle, by przelecieć tamtędy Cessną, zestrzeliliby nas, zanim zorientowalibyśmy się, co nas trafiło. Mają tam ukryte stanowiska artylerii i pocisków przeciwlotniczych w pełnej gotowości bojowej.

- Po co nam to wszystko mówisz? - przerwała mu niecierpliwie Daniela. - Co chcesz udowodnić? Że ten izraelski arsenał atomowy, jeśli istnieje - w co wątpię - usprawiedliwia twoje brudne sprawki? Usprawiedliwia morderstwo i usiłowanie morderstwa? Nawet jak na twój spaczony umysł to lekka przesada.

Martin z trudem powstrzymywał się od podniesienia głosu.

- Ta sytuacja wyjaśniłaby kilka spraw każdemu, kto nie odwróciłby się od niej plecami. Na przykład dlaczego Arabom tak bardzo zależy na posiadaniu własnej broni atomowej; to jest powód, dla którego Saudyjczycy finansują nuklearne programy Pakistańczyków i Irakijczyków. Stałoby się też jasne, dlaczego należy jak najszybciej zlikwidować zagrożenie, pozbyć się obecnego rządu, a tym samym zatrzymać osadnictwo na Zachodnim Brzegu Jordanu i dojść do porozumienia w kwestii palestyńskiej, zanim cały Bliski Wschód zniknie w wielkim grzybie atomowym.

Dawid potrząsnął głową z niesmakiem. Martin puszczał tę samą starą płytę, o tym jak to cel uświęca środki - ostatnia wymówka szubrawców. Doprowadzały go do wściekłości i napawały obrzydzeniem wciąż ponawiane przez CIA próby obalania prawomocnych rządów, których działanie

i cele Agencja uznawała za sprzeczne ze swymi. W żaden sposób nie można było usprawiedliwić zabójstwa Abernathy'ego ani planowanego zabójstwa brata Dawida oraz niewinnej załogi AWACS-a. Llewellyn postanowił, że zrobi wszystko, by sprawcy, włącznie z poplecznikami Martina, zostali ukarani. W razie potrzeby skorzysta z osobistej znajomości z prezydentem.

Dokładnie w godzinę po starcie z lotniska Ben Gurion Martin wydobył bezpiecznik i umieścił go z powrotem w radiostacji. Musieli się zbliżyć do celu. Dawid spojrzał w dal, mrużąc oczy, i zobaczył dziwnie ukształtowaną konfigurację pasów startowych, jakby na piasku ktoś narysował dużym patykiem koślawą literę A.

Martin wyjął mały podręcznik z kieszeni na drzwiach, kartkował go, aż znalazł to, czego szukał. Nastawił radio na częstotliwość wieży lotniska, po czym przemówił do mikrofonu przerywanym arabskim. Po pół minuty usłyszeli w słuchawkach odpowiedź. Dawid spojrzał na Daniełę, chcąc wiedzieć, czy rozumiała.

- Myślę, że zezwolono nam na lądowanie. - Spojrzała na niego z niepokojem.

- Ukryj lepiej zabawkę - szepnęła jej do ucha. - Tam, gdzie nie będą raczej szukać.

- Może ty ją weź - odparła szeptem. - Izraelkę pewnie przeszukają dokładnie, zwłaszcza jeśli będą podejrzewać, że jestem agentką. Ciebie chroni immunitet dyplomatyczny.

- O ile go uszanują - odpowiedział Dawid. - Kto wie, co może się stać, kiedy Martin opowie swoją historię tutejszym sojusznikom CIA.

Wziął od niej mały pistolet i schował do dużego portfela w wewnętrznej kieszeni marynarki, zerkając z ukosa, by się upewnić, że Martin nic nie zauważył.

Jednak agent CIA był zajęty czym innym. Nie odrywał oczu od szyby, wpatrując się bacznie w zbliżające się lotnisko. Zdawało się, że czegoś szuka i, sądząc po pogłębiających się zmarszczkach na czole, nie znajduje. Dawid poszedł za jego spojrzeniem; kontury bazy lotniczej stawały się coraz wyraźniejsze. Smukłe sylwetki stojące na jednym z pasów startowych

były pewnie MiG-ami, pochodzącymi z czasów poprzedzających zerwanie stosunków między Egiptem a Związkiem Radzieckim.

Martin istotnie „czegoś szukał”. Egipskie samoloty przechwytyjące, tak równo stojące na przedpolu hangaru przed barakiem pełniącym funkcję centrum dowodzenia, powinny były już wystartować. Powinny były już się spotkać z samotnym izraelskim myśliwcem F-15, który miał skontaktować się z wieżą przez radio. Miały udać, że eskortują wrogi myśliwiec z powrotem do bazy, a w rzeczywistości zniszczyć go po drodze rakietami i pociskami. Nie wolno dopuścić, by pilot kiedykolwiek opowiedział swoją historię. Według obliczeń Martina, F-15 powinien być już spalonym wrakiem gdzieś pośród przesypujących się piasków. Rozkazy były wyraźne, nie pozostawiały wątpliwości. Co się stało?

Gdyby Martin Singer mniej koncentrował się na scenie w dole, zauważyłby może w górze pierzaste szarobiałe smugi, zostawiane przez odrzutowiec lecący z dużą prędkością w przeciwną stronę. Bliźniacze smugi dwóch silników nowoczesnego myśliwca. Leciał zbyt wysoko, by można go było zidentyfikować.

Egipcjanie patrzący w górę z lotniska nie zrobili nic, by go przechwytać. Przekroczyłyby granicę izraelską, zanim ich przestarzałe myśliwce zbliżyłyby się do niego na tyle, by móc go rozpoznać. Gdyby jednak im się to udało, ujrzeliby typ myśliwca F-15 o szerszym kadłubie, z izraelskimi oznakowaniami, którego jedyne widoczne uzbrojenie stanowiły dwie potężne czarne bomby podwieszane pod skrzydłami.

El Aurens czuł, jakby połknął kawałek słońca. Piekący żar we wnętrznościach smagał każdy nerw jego ciała ognistymi językami bólu, nasilającego się z każdym kilometrem.

W ostatnich minutach pragnienie wymiotowania stało się wszechogarniające. Opierał mu się tak długo, jak mógł, łykając ohydny smak, dusząc się, aż nie potrafił się dłużej powstrzymać. Z ust chlusnął mu cuchnący strumień, rozbrzgzując się na tablicy rozdzielczej, plamiąc przód kombinezonu i spodni. Kiedy torsje ustały, spojrzał w dół z niedowierzaniem. Plamy miały kolor ciemnopurpurowy. W tym momencie zrozumiał, że umiera.

Świadomość tego runęła na niego jak fala uderzeniowa bomby dźwiękowej. Przekonanie o własnej niezniszczalności stanowiło głupią fantazję; zaczarowane życie, jakie wiódł tak długo, nagle dobiegło kresu. Allah, jego obrońca we wszystkich poprzednich spotkaniach ze śmiercią, teraz go opuścił. Dlaczego? W jaki sposób stracił łaski?

Powrócił do niego obraz AWACS-a: moment tuż przed zderzeniem, do którego o mały włos nie doszło. Ponownie ujrzał symbol namalowany na białej lśniącej powierzchni: czerwone miecze skrzyżowane pod zieloną palmą daktylową - godło Arabii Saudyjskiej. Czy możliwe, że zgrzeszył, ponieważ próbował zniszczyć bratnie dusze i własność zaprzyjaźnionego narodu, narodu, którego opiece powierzono najświętsze miejsca islamu?

Nie znając sposobu jego działania, wyczuwał, że samolot naprowadzający stanowi źródło jego klęski, narzędzie jego zniszczenia. Obraz maszyny utrzymywał się w pamięci El Aurensa, świecąc tajemniczą aurą, jak malowidło przedstawiające archanioły odprowadzające Mahometa do nieba. To właśnie ta aura przeniknęła go w jakiś sposób, weszła w jego ciało, rozpłomieniając je; stanowiła źródło swędzenia, jakie odczuł, kiedy przez nią przelatywał. *Insz' Allah*. Taka musiała być wola Boga.

Czas, jaki mu pozostał na ziemi, musi poświęcić na ostatni akt odkupienia. Musi jakoś wytrzymać, chwycić się życia, które wypływało z niego o wiele za szybko, aż wypełni ostatnią misję dla islamu.

Zebrał się w sobie, wyprostował trochę, by spojrzeć w dół na pustkowie, w poszukiwaniu jakiegokolwiek znaku rozpoznawczego, jakiejś blizny zostawionej przez człowieka na niezmiennej powierzchni pustyni. Kilometr za kilometrem - pustka. Przed oczami przesuwiał mu się ten sam ponury, powtarzający się krajobraz; nic, tylko nie kończąca się panorama wydm, ciągnących się jak okiem sięgnąć, przerywanych gdzieś grzbietem skał oczyszczonych przez wiatr z piasku. Oko pilota nie dostrzegало żadnego znaku, świadczącego o tym, że po bezkresnym biblijnym pustkowiei kiedykolwiek stąpał boski twór, zwany człowiekiem.

Wyczerpany, zapadł się znowu w piankowy fotel pilota. Odór krwawych wymiocin przypominał śmierć. Czuł, jak życie go opuszcza; misja odkupienia osuwała się w dziedzinę beznadziejnych marzeń. Jak długo

jeszcze mógł wytrzymać? Rosło w nim pragnienie, by się poddać.

Najwyższym wysiłkiem woli zmusił oczy do skupienia się na małym ekranie tablicy ISN, oznaczonym Przewidywany Czas Przylotu. Odczytał wyświetlone cyfry i porównał z godziną na zegarku. Według inercyjnego nawigatora F-15 za piętnaście minut miał przelecieć nad celem. Musiał pozostać przy życiu przez piętnaście minut; wobec opuszczających go szybko sił, okres ten zdawał się wiecznością. To i tak beznadziejne. Wiatr na pewno zwał go nieco z kursu. Bez punktu rozpoznawczego, który mógłby odszukać na mapie rozłożonej na poplamionych krwią kolanach, nigdy nie uda mu się odnaleźć celu.

Jego oczy uciekły w stronę horyzontu, koncentrując się na nieskończoności, z którą miał się wkrótce zjednoczyć. Wtedy zauważył: niewyraźna linia wyrysowana na pofalowanej powierzchni pustyni. Linia prosta, której natura nie cierpiała. Ostatkiem energii uniósł się, by spojrzeć na jej fragment położony najbliżej samolotu. Jego wzrok był zbyt zamglony, by mógł coś dojrzeć. Zmusił oczy do zlikwidowania wilgoci zniekształcającej obraz na siatkówce. Zdolność widzenia powróciła na jedną krótką chwilę i rozpoznał. Były to tory kolejowe.

Poszedł wzrokiem za torami ku horyzontowi, dostrzegając jedyny poza nimi twór ludzki w okolicy. Nagle zrozumiał, gdzie się znajduje. Patrzył na lotnisko, którego trzy pasy startowe przecinały się w kształcie nierównego trójkąta.

Nagły przyływ adrenaliny zrównoważył wyczerpanie, jakie ogarnęło jego ciało. Odnalazł bazę lotniczą na mapie, oceniając, kierowany instynktem zrodzonym z niezliczonych godzin pilotażu, kurs oraz odległość między punktem orientacyjnym a jego celem. Dwadzieścia dwa stopnie, sto dziesięć kilometrów.

Wyłączył automatycznego pilota, przyciągnął do siebie drążek i wcisnął prawy ster. Doleci tam za niecałe dziesięć minut. Musi przeżyć dziesięć minut, żeby móc godnie umrzeć. Za swój kraj. Za swój naród. Ku większej chwale Allaha.

12.

Szlomo Cukermanowi, technikowi piątej kategorii, dzień upływał bez wydarzeń. Niczym się nie różnił od większości dni spędzanych na tym posterunku obserwacyjnym na obrzeżach cywilizacji. Zadaniem Cukermana było kontrolowanie ruchu powietrznego w pobliżu zakazanej strefy nad Dimoną. Rzadko miał tu miejsce jakikolwiek ruch.

Przez cały ranek jego ekran radaru zarejestrował tylko jedno światełko. Lekki samolot pasażerski, sądząc po słabej reakcji radaru. Znajdował się wiele kilometrów na zachód i nie przedstawiał żadnego zagrożenia dla strefy, którą Cukerman chronił. Patrzył, jak samolot powoli odlatuje na południe, aż zniknął z ekranu, zmierzając ku dalekim krańcom pustyni, gdzie Negew styka się z Synajem.

Przeciągnął się i ziewnął, a wraz z wydechem wymknął się słyszalny jęk. Oto najtrudniejsza część pracy: nie zasnąć po posiłku w środku dnia. Skwar pustyni zaczynał przenikać do małego pokoju u stóp platformy radaru. Dzień zapowiadał się upalnie, jak na tę porę roku. Jedynym urządzeniem przypominającym klimatyzację był duży wiatrak, który tylko bełtał gorące powietrze, a jego monotony szmer dodatkowo usypiał. Cukermana czekała zażarta walka ze snem.

Przynajmniej ona go dziś nie złapie, nawet gdyby się zdrzemnął. Jego przełożona, jedyny pracownik posterunku poza Cukermanem, pojechała dziś na doroczne badania lekarskie. Cóż za spokojny poranek - bez jej wywyższenia się czy innej ulubionej zabawy: droczenia się i prześladowania pulchnego, rudego podwładnego, który ustępował jej tylko jednym stopniem. Szoszana Liebfried, technik czwartej kategorii. Zguba jego

egzystencji, a także sekretny obiekt jego nieznośnych erotycznych marzeń na jawie.

Ona też miała rude włosy. Nie płomiennopomarańczowe jak Szlomo, ale o odcieniu ciemnokasztanowym. Stałe je czesała; lśniły i iskrzyły się w słońcu. Bezlitosne pustynne słońce, które zmieniło kolor jego skóry na jasnoróżowy, ściemniając i powiększając do brzydkich brązowych plam piegi pokrywające jego twarz i członki, wobec Szoszany okazało się znacznie bardziej uprzejme. Miała ten rodzaj cery, który opala się na złotobrązowo, jak skóra kurczęcia obracanego na rożnie nad małym ogniem. Długie, zgrabne nogi wysuwające się z wojskowych spodenek koloru khaki były gładkie i przybrązowione; od uda aż do kostki ani plamki. W fantazjach, które znaczyły monotonne godziny przy radarze, z oczami wlepionymi w pusty ekran, jego własne żalosne ciało przechodziło magiczną transformację, kiedy oplatały je te niezrównane nogi.

Jednak dzisiejsza popołudniowa fantazja, która zaczęła się tak obiecująco, ulegała nagłemu wypaczeniu. Stracił nad nią kontrolę; zgrabne złote ciało, które dopiero co rozebrał z krochmalonej bluzki i spodenek khaki, zaczynało pęcznieć przed jego oczyma. Patrzył bezradnie, jak nadyma się coraz bardziej, a na nieskazitelnej skórze pojawiają się okropne ciemne plamy. Przestał ją rozbierać, ze zgrozą myśląc o tym, co mógłby odkryć pod prostymi, gwałtownie powiększającymi się majtkami. Co się stało? Wytłumaczenie, polegające na tym, że zasnął, zakiełkowało w jego świadomości, a zaraz potem Szlomo został wyciągnięty na jawę przez szorstkie, pozbawione współczucia ręce.

- Co ja mam z tobą zrobić, Cukerman? - Stała nad nim w pozie oskarżycielskiej, biorąc się pod boki. - Tylko się odwróć, a ty zaraz mnie zawodzisz. Kiedy spałeś, banda syryjskich bombowców mogła zmieść z powierzchni ziemi nasz reaktor i bezkarnie uciec. Słucham, co masz na swoje usprawiedliwienie?

Patrzył na nią nic nie rozumując, zdziwiony, że widzi ją całkiem ubraną, czując ulgę, że obrzmiałe ciało i plamista skóra wróciły do stanu normalności. Z poczuciem winy spojrzął na ekran radaru, który, jak zwykle, nie

donosił o żadnych intruzach. Z powrotem spojrzął w oskarżycielskie oczy przełożonej. Wyglądało na to, że oczekuje ona pewnego wyjaśnienia.

- Sądziłem, że masz dziś badania lekarskie - wymamrotał, jak gdyby tłumaczyło to jego zaniechanie.

- Skończyły się wcześniej. Dobrze, że wróciłam. Mogłeś spędzić całe popołudnie w krainie snów.

- Wszystko dobrze, tak? - spytał troskliwie. Gdyby udało mu się podtrzymać rozmowę na jej temat, może dałaby spokój.

- Wyjątkowo dobrze. Lekarz oświadczył, że jestem w doskonałej formie.

Podkreśliła słowo „doskonałej”, osuwając dłonie wzdłuż ciała, muskając piersi po drodze do ud. Obserwowała, jak oczy Cukermana śledzą jej dłonie, widziała, jak przetyka ślinę. Czemu tak bardzo lubiła się z nim droczyć? No cóż, nie było w tym nic złego. Teraz, kiedy zganiła go za zaniechanie obowiązków, wprawiła się w ekspansywne nastrój.

- Ten lekarz był młody i przystojny. Kazał mi się całkiem rozebrać.

Znowu przełknęła ślinę, wpatrzony w smukłe uda, na których spoczywały dłonie Szoszany.

- Nienawidzę lekarzy i badań okresowych.

- Tak? - spytała zdziwiona. - Ten był raczej przyjemny. Miał takie delikatne dłonie. Silne, ale czułe. - Zaświtał jej w głowie nagły pomysł. - Założę się, że nie miałbyś nic przeciwko byciu lekarzem i badaniu rozebranych kobiet.

Ujrzała, że się zaczerwienił i to ją pobudziło.

- Sprawdźmy. Chciałabym, żeby mnie pan zbadał, doktorze Cukerman.

Sięgnęła do szyi i rozpięła bluzkę koloru khaki. Jak zwykle nie nosiła stanika; sutki rysowały się wyraźnie pod kwadratowymi wojskowymi kieszeniami koszuli. Ukazała się para doskonałych opalonych piersi; biała linia biegła przez środek, gdzie szczyt krótkiego bikini zagradzał drogę słońcu pustyni. Patrzyła, jak jego oczy rozszerzają się zafascynowane, jak źrenice śledzą każdy ruch roztańczonych piersi, gdy szła ku niemu wolno, przesadnie kołysząc biodrami.

Stała między Cukermanem a ekranem radaru.

- Ma pan badać moje piersi rękami, doktorze, szukać w nich guzów. Na pewno uczyli pana tego na studiach.

Uśmiechnęła się zachęcająco, ale Szlomo ani drgnął, najwyraźniej skostniały z przerażenia. Zbliżyła się gwałtownie, przestąpiła krótkie nogi wysunięte z obrotowego fotela bez oparć, po czym usiadła mu na kolanach. Ujęła grubą dłoń z krótkimi palcami, śledząc jego wyraz twarzy, podczas gdy Cukerman usiłował skoncentrować wzrok na jej drżącej piersi, teraz oddalonej najwyżej trzydziści centymetrów od jego oczu. Jeszcze bardziej rozszerzył oczy, które nabrały dziwnego wyrazu; jego usta próbowały coś wykrztusić.

- P-p-p...

- Piękne? To chcesz powiedzieć? Tak, doktorze, wiem, że są piękne. - Położyła sobie jego prawą dłoń na lewej piersi.

- P-p-p-patrz! - Jednocześnie oderwał dłoń, wskazał nią na ekran radaru i zerwał się z fotela. Szoszana Liebfried, technik czwartej kategorii, została bezceremonialnie zrzucona na podłogę; jej pośladki odziane w krótkie spodenki khaki boleśnie zetknęły się z surowymi deskami. Przez krótką chwilę oszołomienia siedziała bez ruchu. Potem, uświadamiając sobie utratę godności, otuliła piersi rozpiętą bluzką i wstała, odwracając głowę w stronę ekranu radaru, który spowodował tak niegrzeczne odrzucenie.

Daleko od krawędzi ekranu, w niebezpiecznej bliskości strefy zakazanej widniał słaby, ale wyraźny punkt świetlny. W miarę jak zanikał, nowy punkt pojawił się na powierzchni lampy elektronowej bliżej centrum, znacząc trasę lotu obiektu wychwyconego przez radar. Wprawnym okiem Szoszana Liebfried przedłużyła kurs ku centrum ekranu i wydała krótki okrzyk przerażenia. Nieznany samolot zmierzał prosto ku reaktorowi atomowemu w Dimonie.

Kiedy w pomieszczeniach oficerskich w hangarze Sektora 4 wybuchł alarm, porucznik Efraim Spasser leżał zupełnie nagi na plecach, zatopiony w tłumaczeniu angielskiego dreszczowca szpiegowskiego. Bohater, weteran wojny wietnamskiej, któremu wywiady amerykański i angielski zleciły

to konkretne zadanie, został właśnie przyłapany na gorącym uczynku, w chwili gdy kradł prototyp nowoczesnego radzieckiego myśliwca pod samym nosem Rosjan. Przerażliwy dźwięk syreny alarmowej, niemal dokładnie pokrywający się z alarmem w wymyślonym hangarze w środku Rosji, poderwał Efraima z miejsca.

Po chwili zrozumiał, że ma dokładnie dwie minuty na opróżnienie pęcherza, wskoczenie w kombinezon lotniczy, ześlizgnięcie się po przecie pożarowym i wdrapanie do kabiny swego F-15, którego silniki będą już wtedy uruchomione przez pełniącego służbę dowódcę. To była rzeczywistość, nie fikcja. Książka poleciała w górę, lądując w dalekim kącie pokoju, podczas gdy Efraim zrywał się z pryczy.

Dwie minuty i dziesięć sekund później ściany hangaru z aluminiowej blachy falistej zdrzały gwałtownie od uruchamianych bliźniaczych silników. F-15 pognął na dopalaczach prosto na pas startowy w pełnej gotowości bojowej. Po kilku sekundach znalazł się w powietrzu. Skrupulatny dowódca zdjął ochronne nauszники i spojrzął na zegarek. Nieźle. To jeden z ich rekordów. Chociaż pewnie i tak wszystko na darmo; kolejne ćwiczenia pożarowe albo fałszywy alarm.

W kabinie gwałtownie przyspieszającego myśliwca porucznika Spassera głos pracownika wieży kontrolnej mówił jednak co innego.

- Lis-Jeden, tu Lis-Matka. Mamy „nie zidentyfikowanego” w zakazanej strefie Dimony, siedemdziesiąt kilometrów na południe południowy-wschód od Dimony. Obecna wysokość dziewięć tysięcy, szybkość osiemset, kurs trzy-cztery-zero. Nie odpowiada na sygnały radiowe. Twój wektor to jeden-pięć-zero. Powtarzam, kurs jeden-pięć-zero. Przewidywany czas przylotu dwunasta pięćdziesiąt.

- Roger.

Spasser dokonał szybkiej poprawki, ustawiając samolot na podanym kursie. Włączył radar, spojrzął na zegarek i szybko obliczył w myślach. Cztery minuty na dotarcie do punktu przechwycenia i dokonanie wymaganej identyfikacji wzrokowej. W tym czasie i przy tej prędkości intruz znajdzie się w odległości zaledwie dwudziestu kilometrów od reaktora. Bardzo, bardzo ryzykownie. Gdyby okazało się, że to wróg, pozostałoby niezwykle

mało czasu na przygrywkę. Lepiej sprawdzić uzbrojenie, mieć je w pogotowiu.

Wcisnął główny przycisk na tablicy rozdzielczej uzbrojenia i upewnił się, że sprawne są wszystkie cztery pociski typu Sidewinder zawieszane pod skrzydłami Eagle. Następnie uruchomił stanowisko broni pokładowej i wystrzelił próbną serię z potężnego elektrycznego karabinu M-61 Gatling, od której zatrząsł się cały samolot. Był gotów.

W niecałą minutę później jego radar wytropił cel.

- Lisie-Matko, mam kontakt. Odległość czterdzieści kilometrów. Szybkość dziewięćset trzydzieści. Ustawiam sterowanie na najkrótszy czas przechwycenia. Odbiór.

- Roger, Lisie-Jeden. „Nie zidentyfikowany” utrzymuje poprzedni kurs, szybkość i wysokość. Damy ci znać o wszelkich zmianach.

Skoncentrował się na ekranie umieszczonym na poziomie oczu, na którym miały się pokazać wskazówki sterownicze. Na tle pustego nieba pojawił się zielony krąg fluorescencyjny, a obok niego jasny punkt świetlny. Manipulując drążkiem umieścił punkt wewnątrz kręgu. Lecąc tym kursem, znajdzie się na trawersie intruza, po czym przejdzie na sterowanie pościłowe, zbliży się do ogona tamtego, by rozpoznać typ samolotu, oznakowania - w razie potrzeby nawet numery na ogonie.

Manewr ten ćwiczył setki razy, podczas szkolenia i lotów próbnych, ale tylko dwukrotnie na serio. Za każdym razem intruz okazywał się samolotem pasażerskim, który zboczył z kursu w wyniku błędu w nawigacji; jeden był małym prywatnym samolotem, a drugi odrzutowcem linii El Al, który zboczył z kursu Kair-Tel Awiw. Efraim przypominał sobie oszołomiony wyraz twarzy kapitana odrzutowca, na widok w pełni uzbrojonego F-15 lecącego tuż obok jego skrzydła. Wystarczyło jedno machnięcie skrzydłami, by duży samolot wrócił na swój właściwy szlak powietrzny. Dla kapitana oznaczało to surową naganę i wysoką grzywnę. Mało prawdopodobne, by jeszcze kiedyś powtórzył ten sam błąd.

Przechwycenie za dwie minuty. Utrzymywał punkt świetlny w środku kręgu, co pewien czas sprawdzając na ekranie radaru odległość dzielącą go

od celu. Kiedy znalazł się w odległości dwudziestu dwóch kilometrów, ujrzał pierwsze smugi spalin, a w chwilę później sam obiekt. Stanowił tylko punkcik na niebie, zbyt odległy, by móc go zidentyfikować. Skupił na nim wzrok, podczas gdy dzieląca ich odległość zmniejszała się miarowo. Dziewiętnaście... osiemnaście, siedemnaście, szesnaście. Co kilka sekund o kilometr bliżej.

Teraz widział już podwójne dysze; intruz, podobnie jak jego własny samolot, był napędzany dwoma silnikami. Kiedy dystans zmniejszył się do trzynastu kilometrów, Efraim rozpoznał kanciastą sylwetkę ogona z wysokim pionowym statecznikiem. Czy raczej statecznikami, ponieważ dwa z nich wystawały tuż ponad wylotami dysz. Nawet z tej odległości sylwetka nie pozostawiała wątpliwości. Tropił inny myśliwiec F-15.

- Lisie-Matko, nawiązałem pierwszy kontakt wzrokowy. Odległość trzynaście kilometrów. „Nie zidentyfikowany” to Eagle F-15. Oznakowania jeszcze niewidoczne. Kontynuuję zbliżanie się w celu sprawdzenia z bliska. Odbiór.

- Roger, Lisie-Jeden. Jego pilot nie odpowiada. Generał Dawidów, dowódca obrony Sektora Czwartego, został powiadomiony i śledzi twoje ruchy. Leć dalej i podawaj stale swoją odległość od obiektu. Odbiór.

- Roger, Lisie-Matko. Obecna odległość osiem kilometrów. Przechodzę na sterowanie pościgowe.

Spasser pstryknął przełącznik i patrzył, jak punkt świetlny wyskakuje z kręgu. Przesunął drążek sterowniczy w lewo, po czym wcisnął lekko pedał lewego steru. Wykonując stopniowy zwrot, jego F-15 znalazł się na trawersie intruza i leciał za nim, po lewej i nieco w dół. Otwierając przepustnicę, zbliżał się do niego powoli.

- Odległość trzy kilometry.

Widział teraz, że kadłub i skrzydła intruza były prawie zupełnie białe, jak jego Eagle, z wyjątkiem ciemnych oznaczeń na dziobie i statecznikach, których nie potrafił jeszcze odczytać. Czarne kształty pod skrzydłami musiały być jakimś rodzajem broni powietrze-ziemia; nie przypominały żadnych znanych mu pocisków powietrze-powietrze. Mógł mieć do czynienia z jednym z „wilczych” myśliwców z Tel Nof.

- Odległość półtora kilometra.

Zaczął mieć wątpliwości co do swych wcześniejszych przypuszczeń. Kontury nieznanego samolotu miały w sobie coś zgoła nie-Eagle; wydawał się gładszy, szerszy. I wtedy Efraim przypomniał sobie fragment rozmowy, jaką usłyszał na ostatnim przyjęciu lotników. Dwaj piloci z bazy lotniczej w Tel Nof rozmawiali o nowej wersji Eagle z wbudowanymi w kadłub dodatkowymi zbiornikami paliwa. Jak one się nazywały? „Fastpaks”, to było to. Samolot, za którym leciał, musiał być jednym z nich.

Przyjrząwszy się intruzowi z bliska, utwierdził się w tym przypuszczeniu. Czarny emblemat wymalowany na ogonie stanowił największe, a co za tym szło, najwcześniej rozpoznawalne oznakowanie. Spasser ujrzał Gwiazdę Dawida. Nie potrafił jeszcze odczytać numeru widniejącego pod nią; w tym celu musiał się przybliżyć. Numer umożliwi wieży kontrolnej zidentyfikowanie zarówno maszyny, jak i pilota.

Połączył się z wieżą kontrolną.

- Dokonałem identyfikacji. Obcy to F-15 z izraelskimi oznakowaniami. Wygląda na myśliwiec-bombowiec z Tel Nof. Odległość osiemset metrów. Zbliżam się, by odczytać numer. Odbiór.

- Roger, Lisie-Jeden. Dowódca chce wiedzieć, jakie jest jego uzbrojenie. Odbiór.

- Wygląda to na dwie duże bomby pod skrzydłami. Nie widzę żadnej broni powietrze-powietrze. Potwierdzę to po dokładniejszym sprawdzeniu.

Przymykając przepustnicę, Spasser zmniejszył szybkość i zbliżył się do ogona dziwnie wyglądającego Eagle. Aby odczytać numer, musiał się zbliżyć na trzynaście, góra szesnaście metrów. Był to ryzykowny fragment manewru, podobny do latania w zwartej formacji, z tym że nieznanemu samolot nie odbywał manewrów i mógł w krytycznym momencie zmienić kurs. Ostrożnie manipulując drążkiem i przepustnicą usiadł tuż za ogonem tamtego, redukując prędkość względną do zera.

- Lisie-Matko, mam numer. To zero-sześć-osiem-siedem.

Powtarzam: zero-sześć-osiem-siedem. Sprawdzam uzbrojenie.

Pozwolił swemu F-15 opaść niżej, aż widział w górze podwozie obcego samolotu. Zobaczył podwieszane tam dwie największe bomby, jakie

kiedykolwiek widział. Efraim, myśliwiec z krwi i kości, nie znał się na uzbrojeniu bombowców. Sądząc jednak po ich rozmiarach, wydedukował, że to Mark 84.

- Lisie-Matko, mogę potwierdzić, że jedyne uzbrojenie stanowią te dwie bomby. Wyglądają na Mark 84, po dziewięćset kilogramów.

- Roger, Lisie-Jeden. Sprawdź, czy uda ci się nakłonić pilota do zmiany kursu, a my sprawdzimy numery. Znajduje się niecałe osiem kilometrów od punktu zero. Nasz czas się kończy.

Spasser poderwał samolot, aż znalazł się nieco powyżej obcego, potem zbliżył się do miejsca, skąd mógł zająrzeć do kabiny. Pilot najwyraźniej nie zauważył jego obecności. Siedział z pochyloną głową, a oczy miał zamknięte, jakby spał. Spasser zamachał skrzydłami, by zwrócić na siebie jego uwagę, ale bez skutku. Czyżby skończył mu się tlen? Mógł się znajdować w śpiączce, mógł być nawet martwy, a samolot prowadził pilot automatyczny.

Poczuł dreszcz na myśl o samolocie-widmie, którego pilot umarł za sterami. Na bladej twarzy tamtego rzeczywiście było jakieś znamię śmierci. Nagle Efraimowi wydała się znajoma!

- Lisie-Matko! Znam tego pilota! To jeden z naszych asów, Zew Lieb. Widywałem go, słuchałem. Wygląda na nieprzytomnego... albo gorzej. Myślę, że samolot prowadzi pilot automatyczny.

- Roger, Lisie-Jeden. Z Tel Nof właśnie otrzymaliśmy potwierdzenie jego tożsamości. - Głos dyżurnego z wieży kontrolnej jakby tracił wymuszony spokój. - Kończy nam się czas. Jeśli nie zmieni kursu w ciągu dziesięciu sekund, dowódca rozkazuje ci go zlikwidować.

- Zlikwidować? - krzyknął Spasser. - Nie mogę tego zrobić! To jeden z naszych - bohater narodowy. Czy skontaktowaliście się z jego dowódcą? Czy on się zgadza z waszym rozkazem?

- Słuchaj, Spasser! - W słuchawkach rozległ się inny głos, bardziej piśkliwy niż profesjonalny baryton dyżurnego, ale także bardziej autorytatywny. - Tu Mejer Dawidow. Nie możemy pozwolić, żeby te bomby jeszcze bardziej zbliżyły się do kompleksu w Dimonie. Masz natychmiast zestrzelić intruza. Czy wyrażam się jasno?

- Tak, panie generale.

Spasser przełknął ślinę. Rozkaz przyprawiał go o mdłości. Jego galopujące myśli szukały innej możliwości, podczas gdy Spasser zajął taką pozycję za ogonem intruza, w której mógł użyć karabinu. I w tym momencie sprawy wymknęły się spod jego kontroli.

Bez ostrzeżenia Eagle Strike znajdujący się w centrum pola widzenia Efraima wykonał nagły obrót podwoziem do góry. Zanim Spasser zdołał ustawić celownik, F-15 zanurkował w odwróconej pozycji prosto ku skupisku budynków rozmieszczonych wokół skrzyżowania torów kolejowych z szosą. Skupisku, w którym jeden budynek, wyższy i większy niż pozostałe, wyróżniał się niczym diament; słońce migotało na jego wysokiej, wielofasetowej kopule geodezyjnej.

- Czerwony Alarm! Czerwony Alarm! - krzyknął Spasser do mikrofonu, a jego ręce i nogi poruszały się same, naśladując manewr odwrócenia samolotu na grzbiet. - On nurkuje! Musiał symulować chorobę. Lecę za nim, ale uciekł mi poza zasięg strzału. Lepiej uprzedźcie baterie pocisków Jastrząb.

- Lisie-Jeden użyj swoich pocisków reagujących na ciepło! - Głos generała brzmiał jeszcze bardziej piskliwie. - Może zanurkować poniżej horyzontu Jastrzębi, zanim uda się nam wystrzelić. Nasza nadzieja to salwa z Sidewinderów.

- Roger, generale. Spróbuję, ale gorąca pustynia może stanowić problem dla Sidewindera.

Uczucie nieważkości wywołane negatywną grawitacją w przedłużającym się locie nurkowym ustąpiło miejsca zawrotom głowy, kiedy Spasser zaczął wyrównywać. Ustawił samolot w poziomie zaledwie kilkadziesiąt metrów nad pustynią. Drugi F-15 znajdował się ponad milę przed nim, pędząc z maksymalną prędkością w kierunku kompleksu Dimony. Co Lieb wyprawia? Czyżby zwariował? Tak czy inaczej trzeba go zatrzymać. Jastrzębie tego nie zrobiły, nie zamierzały tego robić. Lieb trzymał się ziemi, gdzie radar naprowadzający pocisków nie mógłby go wychwycić. Wszystko zależało od Sidewindera.

Na tablicy rozdzielczej uzbrojenia wybrał przycisk powodujący

natychmiastowe odpalenie obu pocisków. Będzie czas tylko na jedną salwę. Za dziesięć sekund zbuntowany F-15 ze swymi bombami znajdzie się nad Dimoną. Opadając najniżej jak tylko mógł, by dać czujnikom pocisków tło zimnego nieba, ustawił celownik na wciąż przyspieszającym Eagle. Początkowe wybuchy dźwięków staccato przeszły w dwa jednostajne tony o różnych wysokościach, potwierdzające, że oba pociski zostały wycelowane i przygotowane do odpalenia. Przycisnął.

Sidewindery były o połowę mniejsze od Sparrowów, ale i tak czuło się ich start. F-15 wierzgnął, jakby uderzony od przodu nagłym podmuchem wiatru, i Efraim zaczął zwalniać, by nie wyprzedzić celu, wznosząc się o kilkadziesiąt metrów dla lepszej widoczności. Nie za wysoko, powiedział sobie. Nie prowokuj tych Jastrzębi do uderzenia w niewłaściwy cel.

Bliźniacze pomarańczowe smugi zostawiane przez Sidewindery zmierzwały prosto do Eagle prowadzonego przez Lieba. Rozwinęły już maksymalną prędkość i zbliżały się do celu z szybkością dwukrotnie większą niż szybkość tamtego. Miał on jednak duże fory na starcie. Czy zdołają go dopaść, zanim rzuci bomby? Tak, wyglądało na to, że im się uda!

Jednak zrzucanie bomb najwyraźniej nigdy nie należało do planu zbuntowanego pilota. Kiedy pociski zbliżały się do jego rozgrzanych dysz, samolot zanurkował nagle po raz ostatni ku kopule migoczącej w dole jak klejnot: lot kamikaze, uzmysłowił sobie zdumiony Spasser. Lieb znajdował się zbyt nisko; nigdy nie udałooby mu się wyjść. Efraim, przerażony i zafascynowany, patrzył, jak jego dwa pociski na próżno próbują naśladować nagły manewr. Minęły szybko opadającego Eagle, wyładowując nagromadzone siły w grzmiącej eksplozji pośród wydym.

Jednak gwałtowność ich uderzenia była niczym w porównaniu z detonacją, która w chwilę później zakołysała samolotem Spassera. Kiedy pod niebezpiecznie ostrym kątem przechylił dygoczącego Eagle, by uniknąć nadlatujących odłamków, miał wrażenie, że cała wioska leci mu na spotkanie. Przez kilka sekund samolot spowijała gęsta chmura dymu i pyłu, w kabinie zrobiło się ciemno jak w nocy, a Efraim całkowicie stracił orientację. Wreszcie ujrzał horyzont, a jego zachwiane zmysły wydały drżącym

dłoniom i stopom polecenie wyrównania samolotu.

Myśliwiec stanął w poziomie, a Spasser spojrzął za siebie na obraz zniszczenia. Na ziemię wciąż spadał deszcz pyłu i odłamków, dym falował na gwałtownym wietrze spowodowanym potężną eksplozją. Tam, gdzie jeszcze przed kilkoma sekundami wznosiła się majestatyczna wielopiętrowa kopuła, teraz widział tylko gruzy.

Zniszczenie było całkowite. Najmniej nagłaśniana i najbardziej kontrolowana spuścizna, jaką Dawid Ben Gurion zostawił swemu młodemu krajowi, została usunięta - wymazana - przez te same amerykańskie bomby, które przeznaczono dla irackiego reaktora atomowego wzniesionego obok ruin Babilonu, osiemset kilometrów na wschód.

Zanim biało-niebieska Cessna zatrzymała się przed budynkiem administracyjnym bazy lotniczej na Synaju, Dawid Llewellyn miał okazję spojrzeć na komitet powitalny zgromadzony na asfalcie. Dwóch uzbrojonych żołnierzy egipskich stało po bokach umundurowanego oficera i mężczyzny w cywilnym ubraniu. Zdumiony, rozpoznał cywila. Takiej twarzy się nie zapomina. Co on tu, u diabła, robi?

Sir Roger Tawkesbury-Cream był nienagannie ubrany w jasno-brązowy garnitur gabardynowy bez jednej zmarszczki. W przeciwieństwie do spoczonego oficera i jego podkomendnych, wyglądał świeżo i zachowywał iście angielski chłód. Ruszył w stronę samolotu, szczerząc w nieprzeniknionym uśmiechu żółte zęby w obciążonej skórą czaszce. Posyłając zaledwie skinienie głowy Martinowi, wyciągnął kościstą dłoń do Dawida.

- Llewellyn, stary druhu! Kto by pomyślał! Drugie przypadkowe spotkanie w innym obcym kraju.

Przypuszczalnie równie przypadkowe jak pierwsze, pomyślał Dawid i ostrożnie ujął wyciągniętą dłoń, pamiętając o miazdzącej sile drzemiącej w tym szkielecie.

- Inny kraj muzułmański, Sir Rogerze. Wygląda na to, że to pańska specjalność. Co tu pana sprowadza aż z dalekiego Rijadu? Obowiązki czy przyjemność?

Z zapadniętej piersi wydobył się serdeczny śmiech.

- Przyjemność? Daję słowo. Proszę spojrzeć wokół siebie, mój drogi

Llewellyn. To niezupełnie Ritz Carlton, co? Ale istotnie, znajduję przyjemność w zawieraniu nowych znajomości, zwłaszcza z płcią piękną. - Sir Roger zgiął niezgrabne ciało w przesadnym ukłonie przed Danielą. - Chyba nie miałem zaszczytu.

Daniela wpatrywała się w zdumiewającego Anglika z niedowierzaniem. Jej początkowe obrzydzenie zabarwiła domieszka rozbawienia nieprzystawalnością jego formalnego sposobu wysławiania się i nienagannych manier. Dawid przedstawił ich sobie, rejestrując w pamięci, że brytyjski agent z pewnością uniknął odpowiedzi na pytanie o powód jego pobytu w Egipcie.

- Sir Rogerze Tawkesbury-Cream, niech mi będzie wolno przedstawić pannę Danielę Zadik, specjalną asystentkę izraelskiego ministra spraw zagranicznych. Sir Roger - dodał pospiesznie - pracuje dla brytyjskiego wywiadu.

- A panna Zadik pracuje dla Mosadu.

Martin odszedł wcześniej na bok, by zamienić kilka słów z oficerem egipskim, z którym teraz się zbliżał. Na dźwięk słowa „Mosad” oczy oficera stężyły. Spojrzał na Danielę z dezaprobatą.

- O, pułkownik Said. - Sir Roger chwycił oficera za rękę. - Niech mi będzie wolno przedstawić pannę Danielę Zadik z izraelskiego ministerstwa spraw zagranicznych i pana Dawida Llewellyna, specjalnego wysłannika amerykańskiego do Izraela. Pułkownik Said jest dowódcą egipskich sił bezpieczeństwa w tym sektorze.

Krótkiemu wojskowemu ukłonowi pułkownika towarzyszyło wyraźne stuknięcie obcasami z twardej skóry. Po angielsku mówił z silnym akcentem, ale znośnie.

- To jest egipska baza wojskowa. Obcokrajowcy nie mają tu wstępu, chyba że złożą specjalne podanie i uzyskają zgodę, jak to zrobili jego eks-celencja i pan Singer. - Przeniósł wzrok z Dawida na Danielę. - Osoby nie upoważnione, przybywające z Izraela muszą zostać zatrzymane do czasu uzyskania odpowiednich dokumentów. Macie paszporty? Wizy?

- Obawiam się, że nie, pułkowniku - odpowiedział Dawid za nich oboje. - W zasadzie nie planowaliśmy lądowania tutaj. Lecieliśmy do Jerozolimy. - Spojrzał ostro na Singera. - Jednak nasz pilot miał inne plany.

Pułkownik rzucił mu zdumione spojrzenie.

- Żadnych dokumentów. To niezwykle niefortunna okoliczność.

Sir Roger postanowił się za nimi wstawić.

- Mój drogi pułkowniku, mogę osobiście poręczyć za pana Llewellyna. Jego listom uwierzytelniającym nie można niczego zarzucić. Jestem też pewien, że izraelskie ministerstwo spraw zagranicznych potwierdzi, że panna Zadik...

Pułkownik przerwał mu machnięciem ręki.

- Obawiam się, że to nie jest takie proste. We wszystkich tego rodzaju przypadkach obowiązuje pewna procedura. Nie upoważnione osoby muszą zostać zatrzymane.

Czy Singer miał pułkownika w kieszeni? Dawid postanowił wy badać grunt.

- Chwileczkę, pułkowniku Said! To nie był nasz pomysł, żeby tu przylatywać. Lecieliśmy do Jerozolimy, kiedy ten człowiek, Martin Singer, uprowadził samolot. Przylecieliśmy tutaj wbrew własnej woli. Po powrocie zostanie przeciwko niemu wysunięte oficjalne oskarżenie.

- Pan Singer twierdzi, że stało się odwrotnie, że to wy go uprowadziliście, kiedy leciał tutaj, by znaleźć schronienie.

Egipcjanin wydał nagły ostry rozkaz. Dwaj żołnierze podskoczyli do Llewellyna, łapiąc go za ręce.

Sprawnym ruchem pułkownik przeszukał marynarkę Dawida, wyjmując z wewnętrznej kieszeni pistolet małego kalibru.

- A zatem pan był uzbrojony, a pan Singer nie. Skłaniam się do uwięzienia raczej jemu niż panu. Aresztuję was do czasu wyjaśnienia sprawy.

Pułkownik dał znak dwóm żołnierzom, którzy zdejmując z ramion karabiny maszynowe szybko stanęli na baczność przy Dawidzie i Danieli. Dawid poczuł, jak Daniela zaciska dłoń na jego ramieniu. Była to chwila pełna napięcia; ona musiała to bardziej przeżywać - samotna Żydówka porzuciona nagle w tej obcej i wrogiej arabskiej enklawie, podejrzana o szpiegostwo.

Spojrzał na oficera zdumiony.

- Czy aby pan nie przesadza, pułkowniku? Zarówno panna Zadik jak i

ja jesteśmy w służbie dyplomatycznej naszych krajów, które utrzymują bliskie stosunki z rządem egipskim. Legitymujemy się odpowiednimi dokumentami. Przysługuje nam immunitet dyplomatyczny. Jeśli nas pan zamknie, naruszy pan prawo. Znajdzie się pan w poważnych kłopotach.

Przemowa Dawida nie wywarła na pułkowniku żadnego wrażenia.

- Wręcz przeciwnie, to wy jesteście w kłopotach. Złamaliście nasze prawo wdzierając się nielegalnie na teren naszego kraju, wchodząc bez pozwolenia na teren wojskowy i wnosząc ukrytą broń. To poważne zarzuty, przed którymi nie chroni immunitet dyplomatyczny. Mogę też dodać... - spojrział na Danielę z lekką pogardą - że jeśli ta młoda dama okaże się szpiegiem z północy, zarzuty będą jeszcze cięższe.

Odwracając się na pięcie, pułkownik dał znak żołnierzom. Dawid poczuł na karku luźną karabinu. Wyglądało na to, że wpadli. Martin Singer wrobił ich wspaniale.

Uścisnął dłoń Danieli, chcąc jej przekazać spokój, którego jemu samemu brakowało. Odwzajemniła uścisk, zdobywając się na słaby uśmiech. Znał ją zbyt dobrze, by sądzić, że troszczyła się tylko o własne bezpieczeństwo. Zrozumiał, że za wszelką cenę pragnęła skontaktować się ze swą centralą, by przekazać informacje zdobyte podczas tego szalonego piątku - informacje, które mogły się okazać nieocenione dla jej rządu w przygotowaniu reakcji na rzucone mu wyzwanie.

- Wolno nam będzie zadzwonić do naszych miejsc pracy, poinformować o tym, gdzie się znajdujemy. - Jej wypowiedź nie zakończyła się znakiem zapytania; było to stwierdzenie prawa tak fundamentalnego, że nie podlegającego wątpliwości. Jednak odpowiedź pułkownika Saida nadała wypowiedzi Danieli charakter pytania.

- Oczywiście, we właściwym czasie.

- Co to znaczy?

- Mamy prawo zatrzymać was w izolacji na czterdzieści osiem godzin, prowadząc w tym czasie dochodzenie.

- Czterdzieści osiem godzin? - Daniela wpatrywała się w pułkownika z pełnym niedowierzaniem i zaskoczeniem. Llewellyn był wściekły. Wychudzona dłoń Sir Rogera ścisnęła go za łokieć.

- Proszę się nie martwić, drogi przyjacielu. Porozumiem się z twoją ambasadą. Wyciągniemy was stąd, zanim się spostrzeżecie.

Pułkownik Said rzucił mu ostre spojrzenie, na co Anglik odsunął się od Dawida i stanął parę kroków za agentem CIA. Na czym polegała jego gra? Czemu tak afiszował się przyjaźnią z nimi? Llewellyn zaczynał się domyślać, co tu robił brytyjski agent. Najwyraźniej uczestniczył w zbrodniczej operacji CIA, która sprowadziła Singera do tej odległej bazy lotniczej na Synaju i która obejmowała haniebną atak na saudyjskiego AWACS-a. Czy Anglik uczestniczył w tej samej rozgrywce, czy prowadził własną grę?

Drzwi budynku administracyjnego otworzył dyżurny, który zasalutował pułkownikowi Saidowi, podczas gdy wprowadzano więźniów. Zaraz potem drzwi się zamknęły; Singer i Sir Roger zostali na zewnątrz. Już pewnie gadają, pomyślał Dawid. Wiele by dał za możliwość podsłuchiwania.

Ledwo drzwi się zamknęły, Singer chwycił wysokiego Anglika za wychudzone ramiona.

- Ten iracki pilot - co się z nim, u diabła, stało? - syknął. - Czemu nie wypełniono moich rozkazów?

- Spokojnie, przyjacielu, spokojnie. - Sir Roger wyswobodził się z nadzbyt gorliwego uścisku i wygładził zmięte rękawy marynarki. - Mieliśmy wszystko przygotowane, komitet powitalny był w pełnej gotowości. - Skinął ręką ku egipskim myśliwcom przechwytyjącym, zaparkowanym na przedpolu hangaru; pociski i rakiety wisały pod ich kadłubami jak sztylety. - Po prostu się zbuntował. Najwyraźniej miał inne plany.

- Jakie inne plany? Gdzie on jest, do cholery?

Anglik mrugnął do Singera.

- Przypuszczam, że za kilka minut wyląduje w swej bazie w Izraelu. Egipcjanie wciąż czekali na to, aż się zgłosi przez radio, kiedy nagle pojawił się dziesięć kilometrów nad nami, pędząc na północ, jakby się paliło. - Podniósł wzrok do góry.

- Sądziłem, że go zauważyłeś. Przeleciał na kilka minut przed twoim przybyciem.

Twarz Singera wyrażała mieszaninę furii i niedowierzania.

- Chryste! Musiał dostać cynk albo poczuć pismo nosem. Ale czemu miałby wracać do bazy? Kiedy tylko wyjdzie na jaw sprawa ataku na AWACS-a, Izraelczycy dobiorą mu się do skóry. Zostanie aresztowany i powieszony jako szpieg. Cała ta cholerna sprawa się wyda - nasz udział, twój. Boże! To katastrofa!

- Jak najbardziej. - Obojętna mina Sir Rogera odzwierciedlała jego brytyjski stoicyzm. - Najwyraźniej spartaczył sprawę z AWACS-em. Usiłowanie morderstwa to znacznie cięższy zarzut, co? Słyszałeś chyba o tym? Tak, widzę, że słyszałeś.

- To nie miałyby sensu - zastanawiał się na głos Singer.
- Czemu wracałby w ręce kata?
- Być może ma jakiś plan awaryjny - podsunął Sir Roger.
- Być może...

Jego słowa zagłuszył potężny grzmot gdzieś na pustyni poza nim. Sir Roger odwrócił się błyskawicznie i spojrzał za Singerem w kierunku, z którego dobiegał odgłos. Na północnym niebie nie było ani chmurki. Wstrząs, jaki potem nastąpił, wykluczał możliwość zjawiska naturalnego. Miała tam miejsce eksplozja spowodowana przez człowieka, i to potężna. Po niej nastąpiły kolejne wybuchy, a ziemia nadal trzęsła się pod ich stopami.

- Dimona! - wykrztusił Singer.

W miejscu, gdzie znajdował się reaktor, wysoko ponad horyzont wzbil się słup czarnego dymu. Martin patrzył na to oniemiały, jakby się spodziewał, że słup zamieni się w olbrzymi grzyb atomowy.

Agent MI-6 odwrócił się i spojrzał w oczy współpracownikowi z CIA.

- Czy myślisz to samo, co ja?

- Pilot iracki! - wybuchnął Singer. - Ci przekłęci Irakijczycy! Te nieufne sukinsyny musiały wyznaczyć mu drugi cel, o którym mnie nie powiadomiono!

- Trudno to nazwać po prostu drugim celem. - Anglik spojrzał znowu na rozprzestrzeniające się piekło. - Jeśli trafił w reaktor, to katastrofa na skalę państwową dla Izraelczyków. Jeżeli nas z tym połączy, cena będzie wysoka. Nie potraktują tego lekko. Zechcą nas oskalpować.

Singer już nie słuchał. Jego niebieskie oczy były rozbiegane jak zwykle, kiedy myślał intensywnie.

- Katastrofa na skalę państwową - powtórzył cicho. - Masz rację. Może się udać. To może być incydent, na który czekaliśmy: głośna sprawa, która sprawi, że koalicyjny rząd Likudu utraci poparcie Knessetu i przepadnie w nowych wyborach! - Jego oczy błyskały ogniem, odbijającym się w martwych, zapadniętych źrenicach, którymi Anglik obserwował go chłodno. - Może nie potrzebowaliśmy wcale incydentu z AWACS-em! Może jesteśmy już w domu!

- Być może. - Sir Roger skinął głową. - Mimo to wstrzymałbym się jeszcze ze świętowaniem zwycięstwa. Pilot mógł w końcu chybić. Miejmy też nadzieję, że nie przeżyje, by opowiedzieć całą historię. W przeciwnym wypadku będziemy świętować w pudle.

- To już trup - zauważył sucho Singer. - Jeśli nie dosięgły go myśliwce, załatwią to pociski. Dimona to jedna z najsilniej strzeżonych nieruchomości na świecie. To cud, że się przedarł i zrzucił bomby.

Sir Roger nie był przekonany.

- Jeśli trafił w reaktor, Izraelczycy zechcą zachować go przy życiu, przesłuchać. Ujawnić siły odpowiedzialne za spisek.

- Mówię ci, zapomnij o pilocie. Nawet jeśli przeżyje, nie zna naszych nazwisk. Nie może nas obciążyć. Są jednak inni, którzy mogą. - Singer zerknął z ukosa w stronę budynku, z którego wysypywał się personel, chcący zobaczyć kłęby dymu na północnym niebie.

- Llewellyn? Dziewczyna? Wiedzą?

- Nie wszystko. Wiedzą jednak dość, by dodać dwa do dwóch, zacząć zadawać kłopotliwe pytania i wnosić niezwykle przykre oskarżenia w niewłaściwych miejscach.

Uśmiech na twarzy Sir Rogera ustąpił miejsca zmarszczkom, które wydobły pełne zasoby groźby drzemiące w masce śmierci.

- Nie możemy do tego dopuścić.

- Oczywiście. Nie musisz się obawiać. Myślę, że wiem, jak się do tego zabrać. Potrzebna mi jednak twoja pomoc.

Plan zaczął kiełkować w umyśle Singera już w chwili, gdy Cessna dotknęła kołami lotniska w tym odległym zakątku pustyni. Jeśli się powiedzie,

Llewellyn i Daniela nie opuszczą Synaju żywi. A najlepsza część polegała na tym, że Singer uniknie wszelkich kłopotliwych reperkusji. Cała wina spadnie na Egipcjan.

W małym pokoju panował zaduch; upał sączący się z górnych pięter baraków wojskowych wypełniał pomieszczenia do spania właśnie wtedy, kiedy nadchodził czas spoczynku. Dawid Llewellyn, tylko w krótkich spodenkach, przewracał się z boku na bok, nie mogąc zasnąć. Zlewał się potem. Na próżno usiłował otworzyć pojedyncze małe okno nad wojskową pryczą, która zajmowała większą część podłogi. Pokój przypominał celę więzienną. „Niezupełnie Ritz”, skomentował to miejsce Sir Roger. Nawet jak na Anglika, był to mistrzowski eufemizm.

Miał za sobą długi, wyczerpujący dzień, pełen napięcia, ruchu i zagrożenia. Dał mu się we znaki. Zmęczenie wreszcie wzięło górę. Ogarnęła go błoga senność; uczył, jak odpywa.

Prask! Coś biegło mu po plecach. Dawida zbudził jego własny refleks, z jakim klepnął obce ciało. Usiadł i zapalił światło. Jego dłoń była wilgotna. Wierzchem drugiej zbadął plecy. To pewnie tylko kropla jego własnego potu.

Zgasił światło i położył się znowu na wilgotnym materacu. Musi się przespać; zmęczenie nie pozwalała mu jasno myśleć. Jutrzejszy dzień zapowiada się równie trudny, a trzeba znaleźć sposób na wydostanie się wraz Danielą z tej opresji; musi być w pełni sił.

Senność powoli wróciła. Znowu znalazł się na krawędzi snu, kiedy poczuł, jak coś mu biegnie po ręce. Druga kropla potu. Spróbował ją zignorować. Nie udało mu się jednak zignorować ukąszenia, które potem nastąpiło. Au! Prask! Ponownie zapalił światło.

Pluskwy! To była kropla, która przepełniła miarę. Do ręki przykleił mu się krwawy zewłok tej, którą zabił. Z obrzydzeniem zrzucił ją na podłogę. Tam gdzie była jedna, znajdują się i inne, cała rodzina. Sen nie wchodził już w grę.

Wstał i zaczął krążyć po pokoju, próbując myśleć. Wymiary pomieszczenia nie sprzyjały spacerowaniu; dwoma krokami przemierzał odległość

od ściany do ściany. Rozumiał, skąd brała się klaustrofobia w takich klitkach. Świadomość, że jest więźniem, zaczynała dawać mu się we znaki. Zamknięto go w tej ciasnej norze zaraz po wieczornym posiłku, kiedy rozdzielono go z Danielą i zaprowadzono na spoczynek. Biedna Daniela. Siedziała zamknięta gdzieś w tym samym barako-więzieniu; przechodząc pewnie podobne katusze.

Jednak jej położenie było potencjalnie znacznie gorsze niż jego; groziło jej więcej niż tylko pluskwy. Mogli ją tu trzymać przez czas nieokreślony jako izraelskiego szpiega, nawet skazać w jakimś sfigowanym procesie. Przeklął własną głupotę, która nie pozwoliła mu przewidzieć strategii Martina, jego nagłego przejęcia samolotu i wylądowania w tej zapadłej egipskiej dziurze. To Dawid ją w to wpakował i on też musiał ją wyciągnąć. Nie mogli liczyć na żadną pomoc z zewnątrz. Nikt w Izraelu nie wiedział, że tu byli, a Dawid nie łudził się, że Sir Roger dotrzyma obietnicy powiadomienia ambasady. Agent MI-6 najwyraźniej współpracował ze swym „kuzynem” z CIA.

Myśl o makabrycznym Angliku przypomniała mu ich niedawną nocną wizytę w domu saudyjskiego księcia i presję, z jaką Sir Roger chciał nakłonić Dawida do szpiegowania na rzecz Saudyjczyków. Wysoce kłopotliwe i potencjalnie kompromitujące wydarzenie, za które winą obarczył wtedy Abernathy'ego, pewien, że tamten go zrobił. Teraz Dawidowi przyszło na myśl, że zamordowany pracownik wywiadu dyplomatycznego nie miał z tym nic wspólnego. To nie nieszczęsny Abernathy współpracował z saudyjskim szefem wywiadu zagranicznego i agentem MI-6; przez cały czas był to Singer. Tajny agent CIA usiłował na odległość manipulować swym przyjacielem i dawnym współpracownikiem. W jakim celu? Jaki udział w tym wszystkim mieli Saudyjczycy?

Bez względu na to, co zamierzał Martin, jego plan spalił na panewce. Przypadkowe spotkanie go na lotnisku w Tel Awiwie, kiedy wracał z Rijadu, doprowadziło do zdemaskowania agenta CIA. Teraz musiał albo uciekać, albo oddać się w ręce władz. Zatrzymanie jego głównych oskarżycieli do czasu wyjaśnienia, podczas gdy władze izraelskie i amerykańskie o niczym nie wiedziały, dawało Singerowi doskonałą sposobność ucieczki.

Cholera! Gdyby tylko udało się skontaktować z Mosadem, zanim Martin wykręcił z radia bezpiecznik. Dawid samolubnie uznał za ważniejszy los swego brata na pokładzie AWACS-a. Przynajmniej wiedział, że Richy żyje. Gdyby tylko udało mu się znaleźć sposób ucieczki.

Nalał do szklanki wody z dzbanka, który dyżurny przyniósł przed odejściem. Była letnia, ale w smaku niezła; to pewnie woda ze studni. Zmusił zmęczony umysł do zaatakowania problemu, do podjęcia wątków pomysłu, jaki zaczął kiełkować, kiedy siedział naprzeciwko Danieli w opustoszałej mesie, dziobiąc niesmaczne jedzenie. Dwaj stojący za nimi żołnierze nie spuszczali ich z oczu; nie mówili pewnie po angielsku, ale nierozsądnie byłoby ryzykować. Chociaż więc musieli mówić aluzjami, udało im się porozumieć co do najważniejszego: ucieczka przy pierwszej sposobności. Dawid napomknął też, że ma plan.

„Plan.” To trochę za dumnie powiedziane. Miał w głowie zarys działania. Przekształcenie go w prawdziwy plan ucieczki wymagało niemałego wysiłku myślowego. Wątpił, czy jego wyczerpany umysł jest zdolny do takiej pracy.

Kluczem był biały Mercedes. Dawid zauważył go na placu, kiedy prowadzono ich do mesy. Zauważył? Trudno go było przeoczyć. Wyróżniał się jak róża pośród chwastów; jego wypolerowana karoseria jaśniała wśród brudnych towarzyszy - zbieraniny wysłużonych ciężarówek, gazików i wozów personelu, pomalowanych na maskujący ciemnooliwkowy kolor. Szybka ocena tej pstrokatej kolekcji utwierdziła Dawida w przekonaniu, że pod względem szybkości Mercedes nie miał tu godnych przeciwników - żaden z wozów nie dogoniłby go, gdyby tylko biały samochód wystartował z choćby najmniejszym wyprzedzeniem.

Wiedział sporo o klasycznych Mercedesach; w Stanach miał taki wóz. Ten, który zobaczył, stanowił prawdziwą perłę dla kolekcjonerów: oryginalny egzemplarz z końca lat trzydziestych. Rozpoznał go jako „Grossera 770”, typ wozów z odkrytym dachem, używanych przez faszystowskie grube ryby i generałów podczas parad i przeglądów wojskowych.

Co taki samochód robił na placu w bazie wojskowej? Dawid nie miał kogo spytać, a nawet gdyby miał, nie zrobiłby tego, bojąc się zdradzenia w

ten sposób własnych planów. Mógł się tylko domyślać, że był to prywatny samochód dowódcy, używany może w czasie wizyt ważnych osobistości albo podczas przeglądów wojskowych. To bez znaczenia. Istotne było, w jaki sposób mógłby się do niego dostać.

Jego spekulacje uzyskały nową pożywkę w czasie drogi powrotnej z mesy. Pewien żołnierz pracowicie polerował nieskazitelną karoserię; najprawdopodobniej szofer, sądząc po prawdziwie miłosnej trosce, jaką okazywał maszynie. Kiedy Daniela i Dawid przechodzili obok w otoczeniu strażników, zobaczył, jak żołnierz siada za kierownicą i uruchamia silnik. Pod lśniącą klapą rozległ się ochryply warkot i pojazd podjechał do pompy paliwowej w rogu placu. Ostatnią rzeczą, jaką Dawid sobie przypominał, był widok szofera napełniającego bak. Budujące. Oznaczało to, że biała piękność jest gotowa do drogi, gotowa odjechać z dowódcą albo kimkolwiek, kto ją uruchomi i wyjedzie przez szeroko otwartą bramę.

Uruchomienie wozu nie stanowiło problemu, nawet jeśli kluczyki nie tkwiły w stacyjce. Z mesy udało mu się wynieść nóż, ukryty w rękawie. Jako broń był bezużyteczny - tępy nóż kuchenny. Wystarczyłby jednak do połączenia przewodów rozrusznika i zapłonu Mercedesa. Minięcie głównej bramy mogło przedstawiać pewien kłopot, jednak ogrodzenia większości baz wojskowych były dość kruche; potężny samochód dałby sobie pewnie z nimi radę.

Gdyby tylko wyjechali z bazy, nikt by ich już nie złapał. Poprzedniego popołudnia miał okazję obserwować z okna Cessny zarówno główną autostradę, jak i drogę wojskową, odchodzącą od niej i biegnącą około dwudziestu kilometrów do bazy. Obie drogi były w dobrym stanie; podobnie jak autostrada prowadząca do granicy izraelskiej, droga wojskowa asfaltowana i względnie gładka. Na żadnej z dróg nie zauważył prawie żadnego ruchu. Co najważniejsze, między bazą a granicą z Izraelem widział tylko kilka małych wiosek - żadnych wojskowych zabudowań ani dużych skrzyżowań, na których mogliby zostać zatrzymani. Największe niebezpieczeństwo czyhałoby na egipskim posterunku granicznym. Musiałby polegać na swych dokumentach dyplomatycznych.

Podstawowe pytanie brzmiało jednak: jak się wydostać z tej pułapki na karaluchy. Kiedy tylko eskortujący go żołnierze odeszli, Dawid sprawdził drzwi. Ani drgnęły, zamknięte od zewnątrz. Opukiwanie nie ujawniło żadnych pustych miejsc, przez które mógłby się przebić. Twarde drewno, zbyt grube do pokonania, nawet gdyby miał odpowiednie narzędzie. Otworzenie zamka czy usunięcie bolców z zawiasów nie wchodziło w grę. Celę zaprojektowano z rozmysłem: zarówno zamek jak i zawiasy znajdowały się na zewnątrz.

Małe okno przedstawiało się równie mało obiecująco jako droga ucieczki. Szybę mógłby wybić drewnianym krzesłem, jedynym meblem w celi poza wojskową pryczą, ale co potem? W zewnętrznej ścianie tkwiły mocno grube sztaby. Wydawało się, że drzwi to jedyna możliwość. Pomyślał o posłużeniu się metalową pryczą jako taranem. Mogłoby się powieść, ale narobiłby potwornego hałasu. A jednak, gdyby na zewnątrz nie stał strażnik... Odkąd dyżurny przyniósł mu wodę około godziny temu, Dawid nie słyszał na korytarzu żadnych odgłosów.

Postanowił spróbować; kiedy nadarzy mu się lepsza okazja? Wykluczono, by miał spędzić kolejną noc pośród pluskiew. Postawił pryczę na boku i złożył jej nogi, by uczynić ją bardziej poręczną. Podniósł, obejmując rękami w środku. Wydawała się dostatecznie ciężka, by spełnić zadanie; była chyba z litego żelaza. Wycelował nią w środek drzwi, tam gdzie powinien znajdować się zamek i zaczął na próbę kołysać w tył i w przód, nie dotykając pryczą drzwi. Powinien doprowadzić do tego, by zamek ustąpił albo pękł. Mogło się to udać, jeśli był stary, źle utrzymany lub po prostu słaby. Stopniowo zaczął powiększać amplitudę, aż ciężka prycza zbliżyła się do samych drzwi. Wziął głęboki wdech. Teraz!

Włożył w cios całą masę swego ciała, przygotowując się na zderzenie z solidnymi drzwiami. Jednak prawie żadne zderzenie nie nastąpiło; rozległ się tylko ostry dźwięk, kiedy metal uderzył w drewno, zamek ustąpił bez trudu, a drzwi się otworzyły. Siła bezwładu wyrzuciła go za drzwi i runął na framugę pryczy, która opadła z trzaskiem na podłogę. Przez chwilę leżał oszołomiony, nasłuchując odgłosu kroków lub innych oznak poruszenia wywołanego nagłym hałasem i jego zdumiewająco nagłą ucieczką.

Panowała cisza; mroczny korytarz świecił pustkami. Podniósł się, patrząc z niedowierzaniem na zamek. Był starego typu: metalowy bolec przekładany przez solidną metalową obręcz, obie części grube i ciężkie. Nie został złamany, ani nawet naruszony. Ktoś go w ogóle nie zamknął.

Ciemny zarys gazika był ledwo dostrzegalny, kiedy samochód przetożył się bezgłośnie przez otwartą bramę ze zgaszonymi światłami i silnikiem na jałowym biegu. Zatrzymał się na pierwszym wolnym miejscu na parkingu, po czym silnik zgasł. Nie otwierając drzwi, kierowca przerzucił nogę przez bok otwartego samochodu i zręcznie zeskoczył na ziemię. Schylił głowę i przywarł bezszelestnie do gazika, rozglądając się i nasłuchując.

- Tss! Tutaj! - Chrypiący szept dobiegł z cienia za niskim garażem. Postać kuczająca przy gaziku wyprostowała się i ruszyła wolno w tamtą stronę, przyspieszając kroku, kiedy trzeba było przejść przez smugę światła rzuconego przez pojedynczą żarówkę nad wejściem do garażu. Zanim człowiek ponownie utonął w cieniu, w świetle ukazało się to, co było dla niego najbardziej charakterystyczne: żywe błękitne oczy w twarzy okolonej lnianymi włosami.

- Zadanie wykonane?

Martin Singer skinął milcząco w stronę wyszeptanego pytania i kucnął obok drugiego mężczyzny.

- A twoje?

- Drobnostka, przyjacielu. Po prostu wyjąłem bolec. Właśnie wróciłem.

Było zbyt ciemno, by dostrzec wiele poza zarysem czaszki, ale Singer wyobraził sobie niemożliwy do naśladowania grymas żółtych zębów, który uchodził za uśmiech.

- Ktoś cię widział?

Czaszka wykonała przeczący ruch.

- Ani żywej duszy. Żadnych strażników. Muszę powiedzieć, że to pożalowania godne niedopatrzenie. - Sir Roger pozwolił sobie na stłumiony chichot.

- Doskonale! A zatem nasz człowiek spisał się na medal - udało mu się odciągnąć strażników. Poleciałem mu też, by dopilnował, żeby więźniowie

mieli okazję dobrze się przyjrzeć samochodowi. Oby tylko Llewellyn pokłnął przynętę. Czy słyszałeś ze środka jakieś odgłosy, czy on spał?

- Światło było zgaszone - odparł Anglik - ale słyszałem, że się kręcił. Nie spał, przynajmniej jeszcze nie.

- Dobrze. Spróbuj dziś w nocy. Muszą. Llewellyn nie jest typem wyczekującym, podobnie jak Daniela.

- Jeśli inne rzeczy zawiodą, insekty powinny ich przekonać - zachichotał Sir Roger. - Nigdzie na świecie nie ma bardziej bojowego gatunku. Mogę to udowodnić ukąszeniami. - Roztargnionym ruchem podrapał się w lewe ramię. - Posłuchaj, czy nie będą mieli problemów ze sforsowaniem głównej bramy?

- Już nie. - Teraz Singer chichotał. - Kiedy wchodziłem, wrzuciłem strażnikowi pigułkę do kawy. Obudzi się jutro rano z potężnym kacem.

- Trochę podejrzone, nie sądzisz? Żadnych strażników, drzwi od celi Llewellyna otwarte.

- Nie będą się nad tym zastanawiać. Wszystkie myśli skupią na ucieczce. - Jasnowłosy agent ziewnął. - To może trochę potrwać. Zdrzemnę się chwilkę. Przyjeżdż po mnie gazikiem, kiedy tylko dobiorą się do Mercedesa. - Wstał, wręczając drugiemu mężczyźnie kluczyki.

- Poczekaj! Nie zdradziłeś mi reszty planu. Jak ta twoja pułapka ma się zamknąć? Nigdy nie dogonimy ich gazikiem, jest stanowczo za wolny.

- Dogonimy ich, nie ma obawy. - Singer zaśmiał się cicho. - Nie chcę teraz wchodzić w szczegóły. Po prostu uwierz mi na słowo. Opowiem ci resztę, kiedy zaczniemy ich ścigać. - Odwrócił się i odszedł.

Rozczarowanie nadało dziwny wyraz melancholii pozbawionym brwi oczom tkwiącym ponad zapadłymi policzkami. Sir Roger jednak zbyt dobrze znał agenta CIA, by domagać się wyjaśnień. Wzruszył ramionami, wrzucając kluczyki do gazika do kieszeni spodni.

- A zatem dobrej nocy. - Groteskowy uśmiech powrócił na twarz chudzielca. - Nie daj się pluskwom.

Llewellyn najciszej jak potrafił podniósł metalową pryczę z podłogi i wstawił z powrotem do pustego pomieszczenia. Wyślizgnął się natychmiast, zamykając za sobą drzwi i przekładając boleć przez obręcz.

Kto otworzył zamek? Jedyne, co mu przyszło na myśl, to Daniela! W jakiś sposób udało jej się wydostać z zamknięcia i teraz czekała na niego na zewnątrz w cieniu. Natychmiast jednak odrzucił tę myśl. Gdyby to była Daniela, weszłaby do środka, by omówić plan ucieczki. Nie, nadal musi siedzieć w celi, gdzieś w tym samym budynku. Musiało istnieć inne wytłumaczenie.

Może dyżurny przez nieuwagę nie zamknął drzwi po przyniesieniu wody pitnej. Ale przecież sprawdzał drzwi po odejściu dyżurnego, prawda? Dawid był prawie pewien, choć dokładnie nie pamiętał. Nieważne. Problem polega na odszukaniu Daniela, uwolnieniu jej i ucieczce.

Popatrzył w głąb ciemnego korytarza w kierunku, w którym strażnik odprowadził Daniellę, zamknawszy Dawida w celi. Llewellyn słyszał wtedy ich oddalające się kroki. Hol biegł przez całą długość parterowego budynku; po każdej ze stron znajdował się tuzin albo więcej drzwi. Daniela musiała się znajdować daleko w głębi korytarza; kroki ucichły w oddali, a potem nie rozległy się już żadne odgłosy, takie jak otwieranie czy zamykanie drzwi. Zaczął ostrożnie iść korytarzem ku przeciwnej stronie baraków.

Ale jak miał ją znaleźć? Nie mógł przecież pukać do wszystkich drzwi. Gdyby zauważył go ktoś, podniósłby się alarm i straciliby okazję ucieczki. Pod jego stopą zaskrzypiała deska i Dawid zamarł. Stara rudera! Nie sposób chodzić cicho po tych obluźwanych klepkach. Stał bez ruchu, nasłuchując poruszeń świadczących o tym, że skrzypienie dotarło do czyichś uszu.

Najwyraźniej tak. W głębi korytarza rozległo się ciche stukanie. Ruszył powoli, krok za krokiem, nasłuchując pilnie. Ktoś stukał kostkami palców w wewnętrzną stronę drzwi. Stukanie było rytmiczne. Długie, dwa krótkie; przerwa; dwa długie, dwa krótkie. Potem od nowa. Da-dit-dit. Przerwa. Da-da-dit-dit. Międzynarodowy alfabet Morse'a. D-Z. Daniela Zadik!

Do diabła ze skrzypiącymi klepkami. Porzucił ostrożny chód, biegnąc w stronę dźwięku, aż dotarł do drzwi, zza których rozlegało się stukanie.

- Daniela? - szepnęła ochryple.

- Tutaj, Dawidzie! - W tym momencie żaden dźwięk nie mógł mu się wydać piękniejszy niż jej głos. Wysunął bolec i otworzył drzwi.

- Och, dzięki Bogu! - Dziewczyna stojąca w progu niczym nie przypominała opanowanej agentki Mosadu., Wyglądała krucho, drobno i bezradnie; rzuciła mu się w objęcia z łkaniem, które mówiło wszystko.

- Och, Dawidzie, Dawidzie. - Szeptąta gwałtownie, z ustami przy jego uchu; na szyi czuł krótkie, gorące wybuchy jej oddechu. - Zaczynałam sobie wyobrażać rozmaite rzeczy. Dopóki byliśmy razem, wszystko było w porządku. Ale to odosobnienie, ten okropny pokój. - Poczuł, jak przeszedł ją dreszcz. - Nie sądzę, żebym zniosła zamknięcie w izolatce. Chybabym oszalała!

- Óóó, już dobrze - pocieszał ją, rozkoszując się dotykiem jej ciała Ignącego do niego w poszukiwaniu ciepła i bezpieczeństwa. Pragnął trzymać ją tak dalej, ale wiedział, że nie może sobie na to pozwolić. Odsunął się trochę i delikatnie pocałował w usta. - Już dobrze - powtórzył. - Uciekamy stąd. Natychmiast.

Spojrzała mu w oczy.

- Samochód - ten obok mesy? Widziałam, że mu się przyglądasz. Jak go uruchomisz?

Z lewego rękawa wyjął nóż kuchenny.

- Za pomocą tego połączę przewody zapłonu. W Ameryce nazywa się to gorącym kablem. Każdy dzieciak z ulicy zna tę sztuczkę.

- Byłeś kiedyś złodziejem samochodów? - spytała oszołomiona.

- Nie. - Dawid roześmiał się. - Ale moi przyjaciele ze szkoły, owszem. Kiedyś jeden z nich „pożyczył” sobie mój samochód bez kluczyków, a potem pokazał mi, jak to zrobił. To całkiem proste. Chodź. Musimy ruszać!

Wyszli z budynku od strony celi Daniela, unikając drogi powrotnej przez skrzypiący korytarz. Stanęli na oświetlonym tarasie, zbiegli kilka stopni i ukryli się w cieniu za barakami.

Stali tam przez chwilę, oceniając sytuację, przyzwyczajając oczy do niemal całkowitej ciemności. W pobliżu nic się nie poruszało; poza wszechobecnymi świerszczami żaden dźwięk nie zakłócał ciszy pustynnej nocy.

Dawid ruszył pierwszy wzdłuż baraków, idąc nisko pochylony i nie

wychodząc z cienia. Doszli do końca budynku i się zatrzymali. Latarnia stojąca na rogu oświetlała przestrzeń między barakami a sąsiednim budynkiem, przylegającym do placu z samochodami. Wyglądało na to, że droga jest wolna. Odwrócił się i szepnął jej na ucho:

- Jak dobra jesteś w sprincie na pięćdziesiąt metrów?

- Lepsza niż w maratonie - odparła szeptem.

- W takim razie zrób kilka głębokich oddechów i biegnij za mną. - Puścił się pędem ku końcowi sąsiedniego budynku, a Daniela za nim. Występując w szkolnej drużynie pokonywał ten dystans w niecałe sześć sekund; tej nocy zdawało mu się, że bieg trwa całe minuty. Dopadł bezpiecznego cienia budynku, przywarł do ściany, odwrócił się i złapał w ramiona Daniellę, która przybiegła w chwilę po nim. Uklękli w cieniu, łapiąc oddech i wyglądając pogoni.

- To niesłychane! - szepnął. - Żadnych strażników przy budynkach ani na ulicach. Nigdy nie widziałem takiej bazy wojskowej.

- Nasi strażnicy - wykrztusiła, wciąż dysząc po biegu. - Słyszałam, jak rozmawiali w mesie. Skarżyli się na dodatkowe godziny służby, jakie im ostatnio wyznaczono. Wygląda na to, że w bazie jest niedobór personelu; ma to jakiś związek z dużymi manewrami wojskowymi niedaleko Suez. Może to jest powód.

- Może.

Dawid nie wydawał się przekonany. Jego zegarek wskazywał dziesięć minut po północy. Światła zgaszono pewnie przed ponad dwiema godzinami, ale oficerowie i pewni członkowie personelu mieli chyba prawo poruszać się swobodnie po bazie po godzinie ciszy nocnej, tymczasem na uliczkach nie widzieli dotąd żywej duszy. Bardzo dziwne.

Budynek, za którym się kryli, był wyższy niż baraki i nie tak długi. Zauważył parę wydobywającą się z otworu wentylacyjnego na drugim końcu; to pewnie pralnia. W środku paliły się światła, wskazując na jakąś działalność; może nocna zmiana. Musieli poruszać się ostrożniej.

Bezszelestnie prześliznęli się wzdłuż ciemnej strony budynku, schylając głowy, ilekroć mijali okno, w którym paliło się światło. Usłyszeli szum

lekkich maszyn i chlupot wody; rzeczywiście pralnia. Doszedłszy do końca budynku, zamarli nagle w miejscu. Tuż przed nimi otworzyły się drzwi i wyszło dwóch mężczyzn w roboczych kombinezonach.

Dawid ukrył się głębiej w cieniu, pociągając za sobą Danielę. Przypadli do ziemi. Dwaj mężczyźni z pralni, stojący zaledwie pięćdziesiąt metrów od nich, nie zauważyli zbiegów. Stali na schodach niskiej tylnej werandy, ocierając pot z czoł, oddychając chłodnym powietrzem nocy. Najwyraźniej wyszli na papierosa. Jeden wyjął z kieszeni na piersi zmiętą paczkę i poczęstował towarzysza. Zapalili jedną zapałką.

Dawid wstrzymał oddech. Jemu i Danieli brakowało nieco do niewidzialności. Kiedy tylko oczy żołnierzy przywykną do mroku, zostaną zauważeni; to kwestia kilku sekund. Zaczął się desperacko rozglądać za kryjówką. Nie znalazł żadnej. Byli ugotowani!

Poprawka. Istniała jedna kryjówka, tuż pod nosem żołnierzy. Dając znak Danieli, żeby ruszyła za nim, zaczął się czołgać ku werandzie, na której stali mężczyźni. Teraz ostrożnie, żadnych gwałtownych ruchów, blisko ziemi. Posuwał się na łokciach i kolanach w stylu komandosów, Daniela za nim, naśladując węzowe ruchy Dawida i tak jak on zerkając co chwila na dwóch żołnierzy.

Na szczęście zdawali się czymś bardzo zajęci. Jeden opowiadał, a drugi słuchał z uwagą. Potok arabskiego zaczął płynąć szybciej, kiedy zbiegowie dotarli do werandy. Wciąż nie byli jeszcze bezpieczni. Gdyby któryś z żołnierzy tylko zerknął za barierkę, zostaliby odkryci.

Opowiadanie osiągnęło punkt kulminacyjny i obaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem. Narrator rozpoczął nową opowieść. Dawid ścisnął dłoń Danieli; zdawało się, że czekanie nigdy się nie skończy. Ile czasu potrzeba na wypalenie jednego małego papierosa?

Odpowiedź pojawiła się w postaci żarzącego się niedopałka, który przeleciał tuż obok jego ucha. Chwała na wysokości, przerwa na papierosa dobiegła końca. Jednak szelest celofanu nad ich głowami wskazywał na coś przeciwnego. Och, nie! Mieli zamiar zapalić drugiego!

Zanim druga zapalka zdążyła się rozjarzyć, drzwi pralni otworzyły się z trzaskiem, wypuszczając na zewnątrz snop światła i potok arabskich obelg. Drzwi pozostawały otwarte; smuga światła stanowiła niemal namacalne przypomnienie bezbronności zbiegów. Gdyby nowo przybyły spojrzął przypadkowo za barierkę... Przywarli mocniej do ziemi, chcąc się w nią wtopić.

Rozległo się szuranie stóp, drugi niedopałek poleciał w mrok, a mężczyźni weszli po schodach z powrotem do budynku. Drzwi zatrzasnęły się za nimi, a okolice werandy ponownie utonęły w prawie zupełnej ciemności. Cudownej, kryjącej wszystko ciemności.

Mogli ruszyć dalej. Okrążyli szybko werandę i ukryli się pod ścianą pralni. Dopadli rogu, ostrożnie wyglądając.

Ich oczom ukazał się piękny widok. W odległości około stu metrów w pełni widoczny był plac samochodowy. Oświetlała go tylko pojedyncza żarówka nad drzwiami garażu w sąsiednim warsztacie naprawczym. W jej blasku lśnił biały Mercedes, silny, gotowy i zapraszający. W pobliżu nie widzieli ani śladu strażników czy kogokolwiek.

Dawid zlustrował teren. Z wyjątkiem kilku małych szop, przestrzeń między nimi a placem była całkowicie otwarta. Musieli się niebezpiecznie odsłonić, ale nie mieli innego wyjścia. Dawid chwycił Danielę za ramię.

- Idziemy!

Podbiegli do pierwszej szopy, ukryli się w jej cieniu i szybko przekradli na drugi koniec. Druga szopa znajdowała się blisko. Dopadli jej szybko, znikając w cieniu i przygotowując się do kolejnego wypadu. Ostatnia szopa, jedyna kryjówka przed celem znajdowała się znacznie dalej. Pomknęli i padli zadyszani w jej cieniu.

Przez chwilę łapali oddech i planowali kolejny ruch. Ze swej kryjówki widzieli cały plac. Brama w ogrodzeniu z drucianej siatki była otwarta na oścież. Ani śladu człowieka.

To wyglądało zbyt pięknie, by było prawdziwe.

- W garażu może siedzieć strażnik - szepnął. - Musimy zaryzykować, uwinąć się szybko i mieć nadzieję, że ruszymy, nim nas zauważy.

- Co mam robić?

- Nie pokazuj się. Chcę, żebyś wsiadła do samochodu i nie podnosiła głowy, póki go nie uruchomię. Jesteś gotowa?

- Tak!

Popędzili do bramy, minęli ją i podbiegli do luksusowego białego sedana. Otworzył tylne drzwiczki po stronie kierowcy, a Daniela skoczyła do środka, kładąc się na siedzeniu. Zamknawszy cicho drzwiczki wsiadł, nie otwierając przednich i przywarł szybko do podłogi. Otwarcie drzwiczek uruchomiłoby światło; nie miało sensu wysyłanie sygnału ostrzegawczego, który mógłby zwrócić czyjąś uwagę.

Kłęcząc na czworakach szukał stacyjki na kolumnie kierownicy. Fotel kierowcy znajdował się w cieniu. Nie widział nic; był zdany wyłącznie na dotyk. Jego palce szukały po prawej stronie, tuż pod kierownicą. Nie mógł jej znaleźć. Musiała tam być! Czy na pewno? To był stary, oryginalny model Mercedesa, nie spotykany w Stanach. Czy stacyjka mogła się znajdować na tablicy rozdzielczej?

Przesunął palcami, wyczuwając najróżniejsze zegary i przełączniki, ale ani śladu stacyjki. Musiała gdzieś być! Ponownie sięgnął do kolumny kierownicy. Czego by nie dał za latarkę! Nagle jego palce coś wyczuły. Eureka! Była to stacyjka, znacznie niżej, niż się spodziewał.

Wyjął z rękawa nóż i umieścił jego tępe ostrze między tulejką zamka a ruchomą obwódką. Zręczny ruch noża powinien poluzować zamek, wydobywając na wierzch przewody, przez połączenie których można było uruchomić silnik. Swego starego Forda zapalał właśnie w ten sposób śrubokrętem.

Jednak stary Mercedes okazał się twardszym orzechem do zgryzienia niż Ford, a nóż kuchenny mniej skuteczny niż śrubokręt. Bez względu na to, jak kręcił czy napierał, obwódka zamka ani drgnęła; ostrze noża wyślizgiwało się z wąskiej szpary, zanim zdążył pchnąć z dostateczną siłą. Czoło Dawida pokryło się kroplami potu. Próbował posłużyć się zaokrągloną stroną ostrza - bez rezultatu.

Nie da rady! Jedynym wyjściem było znalezienie przewodów zapłonu w miejscu, gdzie wchodziły do kolumny kierownicy, odarcie ich z izolacji i połączenie.

Położył się na podłodze, przekręcając się na plecy, z głową pod kierownicą. Była to niewygodna pozycja, nie dająca mu swobody ruchów; wyrzucenie skrzyni biegów w podłódze wbijało mu się boleśnie w żebra. Jego palce szybko znalazły miejsce, gdzie wiązka przewodów wchodziła do przegrody komory silnika. Namacał punkt, gdzie przewody łączyły się z tabliczką zaciskową z tyłu tablicy rozdzielczej. Które z nich szły do kolumny kierownicy? Jego dalszym poszukiwaniom przeszkodziła plastikowa osłona pod tablicą rozdzielczą. Zdarł ją nożem.

Macając palcami poszedł za przewodami wychodzącymi z tabliczki zaciskowej, wybierając te, które biegły przez plastikową rurkę wzdłuż kolumny kierownicy. Było ich osiem. Za dużo! Szukał tylko dwóch, przewodów zapłonu. Pozostałe musiały uruchamiać światła, migacze i wycieraczki. Gdyby połączył niewłaściwe przewody, mógłby spowodować zwarcie całego systemu elektrycznego. Wiedział, że muszą być oznaczone kolorami, ale ciemność uniemożliwiała mu ich rozpoznanie. Boże! Co za męka! Czuł się jak ślepiec!

Do diabła z ryzykiem; musi zapalić światło. Sięgnął do klamki, nacisnął lekko, aż zamek ustąpił. Uchylił nieco drzwi. Żadnego światła. Cholera! Zapalenie krótkich świateł przednich oświetliłoby tablicę rozdzielczą, ale ogłosiłoby też ich obecność całemu światu. Mimo to może nie miał innego wyjścia. Nie! Mógłby najpierw spróbować czegoś innego. Schowek na dokumenty - w takim luksusowym modelu na pewno było tam światło.

Namacał rączkę schowka. Przy jego szczęściu okaże się pewnie zamknięty i będzie musiał wyważyć zamek. Schowek był otwarty; drzwiczki uchyliły się natychmiast, kiedy przycisnął zaczep. Jednak w środku nie zapaliło się żadne światło. Jęk zawodu dotarł do uszu Daniela.

- Co się stało, Dawidzie? - Ton niepokoju w jej głosie zdradzał napięcie wywołane koniecznością bezczynnego czekania. - Czemu to tak długo trwa?

- To te piekielne ciemności - mruknął. - Czuję się jak ślepiec, który po raz pierwszy w życiu próbuje odczytać alfabet Braille'a. Myślałem, że w schowku na dokumenty znajdę światło, ale go tam nie ma. Muszę zaryzykować i włączyć przednie światła. Schyl lepiej znowu głowę.

Nie wiedząc dokładnie, czemu to robi, Daniela sięgnęła do otwartego schowka. Jej dłoń zbadała ciemne wnętrze, po czym wysunęła się, trzymając jakiś przedmiot.

- Czy to do czegoś się przyda? - Upuściła dzwoniący przedmiot na przednie siedzenie.

- Kluczyki! Leżały tam przez cały czas! Co za idiota ze mnie!

Pierwszy kluczyk, który wypróbował, wsunął się gładko do stacyjki. Rozległ się ryk włączonego silnika, dźwięk tak kontrastujący z ciszą, do której ich uszy zdążyły się przyzwyczaić. Nie zapalając przednich świateł przejechał przez plac, pędząc ku głównej bramie.

Z cienia na tyłach garażu wyszedł mężczyzna. Popatrzył za oddalającym się Mercedese, kiwając łysą głową, lśniąca w blasku żarówki nad wejściem do garażu.

- Na Jowisza, wreszcie odjechali. Przez chwilę bałem się, że nie dadzą rady.

Sir Roger Tawkesbury-Cream podszedł szybko do pobliskiego gazika, wsiadł i pojechał po pasażera.

13.

Podjeżdżając do bramy, gazik zwolnił, a silnik zawył w ostrym proteście, kiedy kierowca zredukował biegi. Potem, widząc, że brama jest otwarta na oścież i nie strzeżona, kierowca ponownie przyspieszył. Pojazd minął bramę, nabierając prędkości. Sir Roger siedzący za kierownicą spojrział w bok na towarzysza.

- Mają dobre osiem kilometrów przewagi - ostrzegł.

- Sądzę, że co najmniej tyle - zgodził się Singer z obojętnością podkreśloną ziewnięciem.

- Sadysta - mruknął Anglik pod nosem. - Trzyma mnie w niepewności do ostatniej chwili. - Wołał skonać, niż błagać tamtego.

Skupił się na prowadzeniu. Jechali wciąż na krótkich światłach, które ledwo wystarczyły, by odróżnić rozwijającą się przed nimi asfaltową wstęgę od ciemności spowijającej bezkسیężycowy krajobraz. Na szczęście droga była prosta i stosunkowo równa. Wjechali na małe wzniesienie i daleko w przodzie ujrzeli światła pojazdu.

- Na Jowisza! Oto oni! - krzyknął agent MI-6. Jediną reakcją jego towarzysza było sięgnięcie do tablicy rozdzielczej i przełączenie świateł na długie.

- Ależ oni nas zobaczą! - zaprotestował Anglik. - Poznają, że są ścigani i przyspieszą.

- O to mi chodzi - odparł spokojnie Singer. - To część planu.

- Co jeszcze obejmuje ten plan, jeśli wolno spytać? - W głosie Sir Rogera dała się słyszeć irytacja. Droczenie się trwało już dostatecznie długo.

- Co jeszcze? - zaśmiał się agent CIA. - Między innymi *wadi*.

- Co takiego?

- *Wadi* - powtórzył Singer. - Wiesz, wąwóz, kotlina, w której płynie woda. Nie wiem, jak to nazywacie w Anglii. W Ameryce mówimy na nie zleby.

- Oczywiście, że wiem, co to jest *wadi* - odparł niecierpliwie Anglik. - Pytałem o jego związek z naszą misją.

- No tak - zreflektował się Amerykanin. - Nigdy jeszcze nie jechałeś tą drogą, co? Mniej więcej piętnaście kilometrów przed nami drogę przecina *wadi*. Nie widzisz go, dopóki nie znajdziesz się na szczycie. Droga po prostu spada w dół i oto masz: dno potoku pełne ostrych odłamków skalnych i wielkich głazów. Pojazdy muszą zwalniać do ślimaczej prędkości i przekraczać strumień wąskim korytarzem między skałami.

- Co za cholerna niewygoda, daję słowo - zauważył Sir Roger. - Jak miejscowi sobie z tym radzą?

- Sądzę, że po prostu przywykli. W każdym cywilizowanym kraju przerzucono by tam most. Izraelczycy najwyraźniej nie dotarli do tego miejsca przed wycofaniem się z Synaju. Tak czy inaczej, wszelki ruch pojazdów wojskowych odbywa się tylko w dzień, kiedy widać drogę. W przeciwnym razie byłoby to niebezpieczne, zwłaszcza jeśli pędzisz ponad sto na godzinę, nie wiesz o istnieniu *wadi*, a znak ostrzegawczy zniknął.

Anglik nagle pojął.

- A więc to kombinowałeś dziś wieczorem! Co za słodki plan. - Pełen podziwu chichot wydobyl się z podwójnego garnituru żółtych zębów wyszczerzonych w niemożliwym do naśladowania uśmiechu, a zapadnięte oczy wyrażały szacunek. Już potrafił sobie wyobrazić cennego białego Mercedesa dowódcy rozbitego w drobny mak na głazach opisanych przez Singera; odłamki, wraz z pasażerami, rozrzucone po dnie potoku. - I oczywiście, bez żadnych wątpliwości, zdarzył się wypadek. To najcudowniejsza część planu. - Zastanowił się chwilę. - Ale, przypuśćmy, że wypadek nie był śmiertelny.

- Właśnie po to tam jedziemy, żeby się upewnić. Jesteśmy ekipą porządkową. - Singer wyjął żelazny nakładacz do opon, który zabrał z bagażnika gazika. - To musi wyglądać na wypadek. Taki rodzaj ran, jakie mogłyby odnieść na skałach ciała wyrzucone z samochodu jadącego z dużą szybkością. - Wymownie postukał nakładaczem w ścianę gazika.

Sir Roger wstrząsnął się, mając nadzieję, że porządki nie okażą się potrzebne. Kolejny kilometr przejechał w milczeniu, rozważając sytuację. Przyszła mu do głowy inna niepokojąca myśl.

- Llewellyn i dziewczyna lecieli razem z tobą. Czy któreś z nich nie mogło zauważyć z góry *wadi* i mieć się teraz na baczności?

- Możliwe. - Agent CIA rozważał tę kwestię przez sekundę lub dwie. - Ale wątpię. *Wadi* nie jest tak widoczny z lotu ptaka. Żeby go zauważyć, musiałbyś się znaleźć dokładnie ponad nim, a podczas lotu wąwóz był po mojej stronie. Zresztą, to bez znaczenia. Nawet gdyby jakimś cudem udało się im przejechać cało przez te skały, nigdy nie dostaną się na główną autostradę. Po drodze czeka ich inna mała niespodzianka, której nie sposób się wymknąć. To zasadzka, którą dla nich przygotowałem.

- Zasadzka? - powtórzył Anglik. - Materiały wybuchowe?

- Mówiąc dokładniej, miny. Widzisz, wjazd na drogę wojskową, w miejscu gdzie łączy się ona z główną autostradą, został zaminowany. - Singer wtajemniczył wreszcie towarzysza w plan, który ukrywał przed nim przez cały wieczór. - Zrobili to Egipcjanie, wkrótce po przejściu półwyspu od Izraelczyków. W razie kolejnej wojny arabsko-izraelskiej, chcieli przeszkodzić izraelskiej kolumnie opancerzonej w dotarciu do bazy lotniczej. W czasie pokoju zaminowany fragment drogi jest zamknięty przez barykadę wzmocnioną drutem kolczastym, a wyraźne znaki drogowe nakazują objazd. Kiedy pojawia się niebezpieczeństwo wojny, barykada zostaje rozebrana, a znaki zdjęte, dzięki czemu powstaje pułapka na Izraelczyków.

Singer zaśmiał się znowu.

- Wczoraj wieczorem w imieniu Arabów wypowiedziałem wojnę.

- Daję słowo, jesteś diabłem wcielonym! Sam rozebrałeś barykadę?

- Deska po desce. Musiałem ją praktycznie rozłożyć na części pierwsze, posługując się tym nakładaczem jako łomem. - Amerykanin potarł się ponuro po krzyżu. - Stare dobre lędźwie mogą już nigdy nie być takie jak dawniej.

- Scylla i Charybda - mruknął z podziwem Anglik. - Jeśli nie załatwi ich jedno, zrobi to drugie. - Zastanowił się przez chwilę. - Chociaż to może nie najszcześniejsze porównanie. Ostatecznie Ulissesowi udało się wymknąć obu

potworom, prawda? Pomimo gniewu bogów sprzyjających Troi.

- Ci twoi bogowie powinni byli dodatkowo się zabezpieczyć - dorzucił Singer. - Nie popełnimy tego samego błędu.

Odłożył nakładacz i wyjął spod siedzenia długi, wąski przedmiot. W słabym świetle tablicy rozdzielczej Sir Roger rozpoznał karabin maszynowy dużego kalibru, z magazynkiem pod komorą i jakimś dużym celownikiem teleskopowym.

- Oto moja polisa ubezpieczeniowa: karabin snajperski z noktowizorem pracującym na podczerwieni. Jeśli twemu „Ulissesowi” dopisze szczęście i uda mu się ominąć obydwie pułapki, będziemy mu siedzieć na karku. Zdejmujemy go tym, a potem upozorujemy wypadek.

- Na Jowisza! - wykrzyknął Roger. - A sądziłem, że my, ludzie z Whitehall, jesteśmy dokładni! Wygląda na to, że przygotowałeś plan na każdą ewentualność.

Singer zamilkł. Nie lubił słowa „ewentualność”. Sugerowało coś nieprzewidzianego, a nieprzewidziane, z definicji, opiera się wszelkim planom.

Poszło nam zbyt łatwo, prawda? - Daniela, siedząca obok Dawida na przednim siedzeniu, czekała na jego reakcję.

Skinął twierdząco głową, wpatrując się w mrok najdalej jak potrafił. Potężny silnik pracował na pełnych obrotach; jechali na długich światłach. Niebezpieczeństwo z tyłu minęło; musieli się martwić o to, co leżało przed nimi.

Tak, poszło zbyt łatwo. Ktoś chciał, żeby wzięli ten samochód i uciekli z bazy. Ktoś zadał sobie wiele trudu, żeby do tego doprowadzić. Pokazanie mu Mercedesa, dwa spacerki przez plac, by zaszczyć plan w jego umyśle. Tajemnicze otwarcie od zewnątrz drzwi jego celi, brak strażników, kluczyki od samochodu w schowku. I ostatni „zbieg okoliczności”: strażnik przy głównej bramie pogrążony we śnie, dzięki czemu mogli po prostu otworzyć i uciec.

Kto za tym wszystkim stał? Czyżby mieli tajnego sprzymierzeńca, izraelskiego agenta działającego na terenie bazy lotniczej? A może wroga,

mającego w stosunku do nich inne plany - plany, którym nie sprzyjało przedłużające się dochodzenie prowadzone przez egipskie władze wojskowe?

Gdyby wiedział „dlaczego”, odpowiedź „kto” nasunęłaby się sama. Na terenie bazy istniała tylko jedna osoba idealnie pasująca do roli wroga. Ale to bez sensu. Czemu Martin Singer miałby im pomagać w ucieczce? To on sprawił, że zatrzymano ich do wyjaśnienia w tym odległym zakątku Synaju, dzięki czemu miał czas na ucieczkę przed izraelskim i amerykańskim wymiarem sprawiedliwości. Teraz był już pewnie gdzieś daleko, zmierzając w nieznanym kierunku. Czy na pewno? Dawid poczuł zimny dreszcz. Z tego, co wiedział, on i Daniela byli jedynymi świadkami zbrodni i współudziału Martina. Gdyby się ich pozbył, nie groziłoby mu żadne dochodzenie, nie musiałby uciekać.

Mógł się gdzieś tam kryć, czyhać na nich przy drodze; zorganizować blokadę lub pułapkę. Dawid zwolnił, patrząc, jak strzałka szybkościomierza spada od ponad stu kilometrów na godzinę do osiemdziesięciu. Musieli zachować ostrożność; Llewellyn postanowił czuwać. W razie niebezpieczeństwa - innego pojazdu nadjeżdżającego z naprzeciwka czy przeszkody na szosie - był gotów zatrzymać się i zawrócić. Lepiej wrócić do egipskiej bazy lotniczej jako więźniowie niż jako trupy.

Daniela wyglądająca z tyłu pogoni, odwróciła się, kiedy samochód gwałtownie zwolnił.

- Co się stało, Dawidzie? Widzisz coś z przodu?

- Po prostu jestem ostrożny. - Po co przedwcześnie ją niepokoić? - Nikt nas nie ściga. Nie ma sensu ryzykować na obcej drodze.

Nie dała się tak łatwo zbyć.

- Spodziewasz się kłopotów, prawda? Egipcjanie - oczekujesz, że spróbują nas zatrzymać?

- To nie Egipcjanie mnie martwią. - Wpatrywał się prosto przed siebie, gdzie wiązki przednich świateł zlewały się w jedno.

- Martin? - W jej głosie zabrzmiało niedowierzenie. - Sądziś, że Martin pomógł nam uciec, żeby potem... - Nie zdołała wypowiedzieć odrażającej myśli.

- Niewątpliwie ma motyw. Wygląda na to, że tylko my możemy świadczyć przeciwko niemu. Wraz z nami zniknęłyby jego wszystkie kłopoty.

- Nie, Dawidzie. Nie wierzę, że Martin mógłby... - Urwała, najwyraźniej tracąc pewność.

- Jestem pewien, że znasz go lepiej niż ja. - Słowa te po prostu wyrwały się z jego ust. Nie chciał, żeby tak zabrzmiały, zmuszając ją do tłumaczenia się z czegoś, co stanowiło już zamknięty rozdział. Daniela jednak nie odebrała w ten sposób jego wypowiedzi.

- Martin wydaje się teraz taki... zmieniony. To inny człowiek, niż ten, którego znałam, którego oboje znaliśmy. Jest bardziej zdystansowany... pozbawiony uczuć. Ale zawsze miał sumienie, głęboką, niezachwianą moralność. Nie wierzę, że ta część osobowości może ulec zmianie. Jak ktoś taki może popełnić morderstwo z zimną krwią?

- Przekonując samego siebie o tym, że jego cel jest najświętszy, że usprawiedliwia wszelkie zbrodnie popełnione w jego imieniu. Stara bajka o celu uświęcającym środki, dla dobra ludzkości i całej reszty. Słyszałaś, co wygadywał w samolocie. Nie zapominaj też, że widzieliśmy z bliska efekt jego pracy. Krew Abernathy'ego była bardzo, bardzo zimna.

Daniela umilkła, pogrążona we własnym świecie. Zastanawiał się, czy myśli o Martinie, o tym, jak było, kiedy oni...? Przystań, rozkazał sobie. To się działo wieki temu. P.D., przed Dawidem. Liczyła się teraźniejszość i przyszłość. I wyplątanie jej z tej kabały.

Tak intensywnie koncentrował się na drodze przed nimi, że przestał patrzeć w lusterko wsteczne. Teraz pojawiły się w nim dwa światła, na widok których poczuł nagły przyptyw adrenaliny. Ktoś ich ścigał! Skoro potrafił rozróżnić dwa światła, samochód mógł ich wkrótce wyprzedzić! Jak mu się udało zbliżyć niepostrzeżenie?

Spojrzał na szybkościomierz. Nic dziwnego! Wskazówka opadła do siedemdziesiątki. Pozwolił sobie na roztargnienie i nadmierne zwolnienie.

Nacisnął pedał gazu i Mercedes wystrzelił do przodu. Daniela otrząsnęła się z zadumy, rzucając mu pytające spojrzenie.

- Obejrzyj się.

Odwrociła się, a Dawid usłyszał, jak gwałtownie chwyta powietrze.

- Och, Dawidzie! Powinam była patrzeć. Doganiają nas! Czy uda nam się uciec?

- Zaraz się przekonamy. - Patrzył, jak wskazówka mija linię stu kilometrów na godzinę. Sto dziesięć... sto trzydzieści... sto sześćdziesiąt kilometrów. Mknęli teraz połykając prostą, płaską asfaltową drogę tak szybko, jak tylko przednie światła potrafiły ją oświetlać. Poza różnymi grzechotami i lekkim drżeniem kierownicy, stary samochód spisywał się bez zarzutu.

Wpatrywał się przed siebie, pozostawiając Daniela obserwowanie pościgu. Przy tej szybkości nie mógł sobie pozwolić na zerkanie w lusterko.

- Ktokolwiek to jest, zostaje w tyle. Chyba nie zdoła nas dogonić. - Spojrzała z niepokojem na szybkościomierz. - Jedziemy okropnie szybko. Jak długo możemy to utrzymać?

- Tak długo, jak będziemy musieli. - Dotknął jej dłoni. - Nie bój się, to dobry samochód. I dobra droga.

Widok drogi rozwijającej się przed nimi, tej samej, którą widział poprzedniego dnia z okna Cessny, dodał Dawidowi otuchy. Biegła prosto jak strzała, bez śladu zakrętu. Jeszcze lepiej zdążył się z góry przyjrzeć głównej autostradzie, wtedy kiedy przez kilka minut lecieli równolegle do niej. Dwa szerokie pasy, najwyższej jakości asfalt, jasnożółta linia pośrodku. Kiedy na nią wjadą, nic ich nie powstrzyma.

- Zostali daleko w tyle - zameldowała Daniela. - Ledwo widzę ich światła. - Wciąż niepokoiła się ich prędkością. - Czy nie moglibyśmy teraz trochę zwolnić?

- Jeszcze nie. Chcę dojechać najdalej jak tylko... - Jego uwagę przykuł pewien aspekt terenu wydobytego z mroku przez światła. W najdalszym punkcie oświetlanego fragmentu drogi, w asfalcie, była jakaś anomalia. Instynktownie zdjął nogę z gazu. Wtedy zobaczył, czym różniła się droga w miejscu, do którego zbliżał się z dużą prędkością. Nie było jej! Niecałe pięćdziesiąt metrów przed nimi droga po prostu zniknęła.

Naciskając hamulec, poczuł chwilowe *déjà vu*. Inna noc, pół życia temu; studenci, przerwa semestralna. Inna droga, piaszczysta droga w Meksyku, prosta i płaska jak ta, z wyjątkiem jednego miejsca, gdzie nagle się

urywała, znikając kierowcy z oczu. Wąwóz, niewidoczny aż do ostatniej sekundy, połykał drogę; dno strumienia zasłane ogromnymi głazami, oświetlone tuż przed nim.

Hamulce zaskoczyły. Mercedes zatoczył się z przeraźliwym piskiem opon, grożąc przewróceniem się na dach. Zwolnił hamulec i skręcił kierownicę w prawo, w stronę poślizgu, by odzyskać kontrolę nad pojazdem. Przechylająca się maszyna zachwiała się niebezpiecznie, potem wyszła z poślizgu. Wziął jednak zbyt dużą poprawkę i duży samochód skręcił w prawo i przeleciał przez drogę, grożąc zaryciem się w nagim zboczu, które wydobyły właśnie z mroku światła. Skręcił kierownicą w przeciwną stronę.

Ciężki sedan zatoczył się na skraju drogi, a prawe koła zabuksowały na miękkim, piaszczystym poboczu. Stoczy się! Gdyby się to stało, byłoby po nich; stary pojazd nie został wyposażony w zabezpieczenia.

Mercedes balansował przez pełną napięcia chwilę, z lewymi kołami całkowicie w powietrzu. Nisko położony punkt ciężkości w końcu przeważył i maszyna z trzaskiem opadła na drogę. Jednak w świetle przednich świateł jawił się upiorny widok.

Uczucie *déjà vu* trwało, a Dawid przeżył całe zdarzenie na nowo. U stóp ostrego urwiska, gdzie droga opadała w dół *wadi*, jej asfaltową powierzchnię przerywał strumień. W blasku świateł ujrzeli poszarpane skały wystające z płytkiej wody. Mercedes toczył się w tamtą stronę, grożąc rozbiciem siebie i pasażerów o wielkie głazy.

Ze wszystkich sił naciskając na hamulec, ponownie znalazł się w Meksyku. Jego zdumieni towarzysze, tak bezceremonialnie zbudzeni z drzemki na tylnym siedzeniu, wciąż leżeli na podłodze, gdzie zrzuciła ich siła pierwszego rozpaczliwego hamowania. Ciężki Mercedes wszedł w kolejny poślizg, opony piszczały nieprzerwanie, podczas gdy maszyna wykonała pełny półobrót w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Dawid opadł w tył, tracąc resztki orientacji; wszystko, co mógł, to przyciskać pedał hamulca do podłogi i trzymać się kierownicy z całej siły. Czuł się zupełnie bezradny. Mercedes kierował się sam; Llewellyn stracił nad nim wszelką kontrolę, a jego gorączkowe ruchy kierownicą nie przynosiły żadnych rezultatów.

Z nie wyjaśnionej przyczyny duży sedan zaczął się kręcić w przeciwną stronę. Przednie światła znowu znalazły drogę, a potem, kilka kroków przed nimi wyrosły śmiercionośne zwały granitu, na które siła bezwładu pchała ciężki samochód. Przez wysoki pisk opon dobiegł jego uszu okrzyk Danieli, która zasłoniła twarz ręką w oczekiwaniu na zderzenie.

Nigdy nie nastąpiło. Przedłużający się poślizg zakończył się sam, a świrujący pisk opon urwał się równie nagle, jak się zaczął. Silnik również zgasł, a nagle, prawie całkowita cisza wydała się Dawidowi szokująca i niemal niewiarygodna. Stali nieruchomo, nie w Meksyku, ale na środku pustyni Synaj. Na bezkłęzycowym niebie lśniły jasno gwiazdy, a jedynym dźwiękiem był cichy plusk fal uderzających o przednie opony Mercedesa. Te same wody obmywały najbliższe z wielkich głazów, znajdujących się bliżej niż na wyciągnięcie ramienia od miejsca, gdzie koła się zatrzymały.

Dla dowódcy strażników alarm w środku nocy nie był zaskoczeniem. Ta wątpliwa atrakcja stanowiła nieodłączną część życia na całym tym terytorium, a godziny po zmierzchu były specjalną domeną dowódcy. Chociaż miał obowiązek strzec bazy lotniczej Szibh Jazirat przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, to dzień upływał zazwyczaj spokojnie. Jeśli zdarzało się coś niefortunnego, najczęściej miało to miejsce w nocy.

Zazwyczaj było to coś trywialnego: żołnierz bez przepustki, próbujący się przekraść z powrotem do bazy, bójka w jednym z baraków, drobna kradzież wśród żołnierzy. Raz szeregowiec znajdujący się pod wpływem haszyszu włamał się do prywatnej centrali telefonicznej. Najpoważniejszym incydentem podczas jego rocznej służby w bazie było niemal śmiertelne zranienie oficera nożem przez niezrównoważonego żołnierza. Ofiara wróciła do zdrowia. Teraz jednak coś w głosie sierżanta mówiło dowódcy, że sprawa jest poważniejsza.

W pełni ubrany, z wyjątkiem butów, usiadł na łóżku i zaczął ich szukać. Nie znalazł, więc machnął ręką i zapalił światło, mrużąc oczy.

- Mówcie, sierżancie. Już się obudziłem.

- To tych dwoje więźniów, sir - nielegalni, których pułkownik Said wczoraj internował. Uciekli!

Dowódca strażników szczyił się umiejętnością zachowywania spokoju w sytuacjach stresowych. Naprawdę nie było się czym ekscytować. Z tego, co wiedział, jedynym wykroczeniem internowanych było wejście na teren bazy bez odpowiedniego zezwolenia.

- Zaczynjcie od początku, sierżancie - polecił dowódca.

Sznurował buty, słuchając relacji o ucieczce bez słowa komentarza. Sierżant przedstawił ją pospiesznie, tak jak go uczono, szkicując tylko sytuację; później dowódca dopyta się reszty. Słyszając o ucieczce ukochanym Mercedesem komendanta, dowódca przerwał wiązanie butów i podniósł gwałtownie wzrok. Niech Allah się zmiłuje! Starego trafi szlag!

- Odzyskamy ten samochód! - wybuchnął. - Kiedy to wszystko się stało? Jakie kroki podjęliście, żeby ich dogonić?

Sierżant postanowił odpowiedzieć najpierw na drugie pytanie.

- Na placu stoi samochód służbowy z oddziałem żandarmerii, gotowy do wyruszenia. Potrzebna jest tylko pańska zgoda, sir.

Dowódca strażników podniósł słuchawkę i wykręcił numer placu.

- Tu kapitan Barrani - warknął. - Ruszajcie! Za nimi!

Rzucił słuchawkę na widełki.

- Jaką mają przewagę?

Sierżant miał zakłopotaną minę.

- Obawiam się, że nie wiemy, sir. Nie znaleźliśmy nikogo, kto słyszał, jak Mercedes odjeżdżał.

- To niewiarygodne! A co ze strażnikiem przy bramie?

- Spał, sir. Twierdzi, że mu czegoś dosypano.

- Ktoś musiał ich widzieć! - wściekał się dowódca. - Czy przestuchałeś wszystkich strażników?

- Tak, sir. Znamy tylko godzinę odjazdu gazika. Jeden ze strażników słyszał, jak trzynaście minut po północy jechał w stronę głównej bramy.

- Ukradli także gazik? - Brwi Barraniego ściągnęły się w zdumieniu. - Po co mieliby to robić? - Spojrzał na zegarek.

- Dwadzieścia minut przewagi. Ten samochód służbowy nigdy ich nie dogoni.

- To prawda, sir - zgodził się sierżant.

- Helikopter! Poślemy za nimi helikopter! - wykrzyknął dowódca.

- Obawiam się, że nie, sir. Jest jeszcze w Kairze, z generałem.

Zapadła niezręczna cisza. Sierżant unikał wzroku Barraniego, z szacunkiem czekając na decyzję przełożonego.

Niezdecydowanie gościło na twarzy dowódcy tylko przez chwilę. Chwycił swą kurtkę lotniczą i ruszył do drzwi.

- Trudno. Idziemy. Musimy obudzić pułkownika.

Pułkownik Said podszedł znacznie mniej filozoficznie do przerwania mu nocnego odpoczynku niż dowódca strażników. Otworzył drzwi w jedwabnej piżamie i z wyrazem twarzy, który mówił Barranemu, że jego stopień jest poważnie zagrożony, jeśli powód nocnego najścia nie okaże się dostatecznie poważny. Przypuszczając, że najcięższe gromy gniewu przełożonego spadną na człowieka, który przynosi złe wieści, Barrani rozkazał sierżantowi złożyć raport.

W miarę jak ten przedstawiał skróconą wersję wydarzeń, zmarszczki pułkownika pogłębiały się, a oczy rozszerzały się w niedowierzaniu. W chwili gdy Said usłyszał, jak to duma i radość generała, Mercedes, wyjechała przez bramę razem z więźniami, stracił panowanie i runął w równym stopniu na obu niefortunnych podwładnych.

Tyrada nie cichła; sierżant i kapitan stali na baczność, ze wzrokiem wbitym przed siebie, czekając, aż pułkownikowi zabraknie tchu. Niewybaczalne zaniechanie ochrony, grzmiał Said. Ludzi, którzy ponoszą odpowiedzialność, spotka zasłużona kara; strażnik pełniący służbę przy bramie zostanie rozstrzelany za niewywiązanie się z obowiązków. Pułkownik przerwał nagle, pojmując, że on sam znajdzie się w niemałych kłopotach, jeśli więźniowie nie zostaną schwytani, a cenny pojazd nie wróci w całości do bazy. Generał właśnie dzisiaj miał wrócić z Kairu!

- Co robicie w związku z tym? - Spytał oskarżycielskim tonem, patrząc to na jednego, to na drugiego. - Czemu ich nie ścigacie?

Na taką przerwę czekał kapitan. Szybko wyjaśnił, że uciekinierzy mieli zbyt dużą przewagę nad żołnierzami w samochodzie służbowym, który już wysłano.

- Nasza jedyna szansa, żeby ich zatrzymać, to posterunek wojskowy na granicy. Grupa pościgowa mogłaby im zajechać drogę od drugiej strony szosy dojazdowej do bazy, zanim dotrą do głównej autostrady. W tym celu pan musiałby osobiście zadzwonić do pułkownika, który dowodzi posterunkiem granicznym. Mam tu numer, sir.

Pułkownik Said wyrwał kartkę papieru z dłoni kapitana, po czym zaczął się jej przyglądać, mrużąc oczy, nie mogąc bez okularów odczytać cyfr. Kapitan, który zdążył nauczyć się numeru na pamięć, wyrecytował go pułkownikowi.

- Czy mam go dla pana wykręcić, sir? - Rzuciwszy mu miażdżące spojrzenie, pułkownik obrócił się na pięcie i ruszył przez ciemny pokój. Kapitan Barrani dał znak sierżantowi, żeby nie ruszał się z miejsca, po czym poszedł za Saidem do sypialni.

Dopiero po kilku minutach udało im się połączyć z egipskim posterunkiem granicznym koło Al Qusayman. W tym czasie pułkownik wypowiadał kąśliwe uwagi na temat bezdennej nieodpowiedzialności tamtejszych żołnierzy. Barrani nie mówił nic, dzieląc czas między wpatrywanie się w sufit, a obserwowanie szybkiego ruchu sekundnika na swym zegarku. Wreszcie głos po drugiej stronie przedstawił się jako żołnierz pełniący nocną wartę.

- Najwyższy czas! - ryknął pułkownik. - Tu pułkownik Said, szef bezpieczeństwa bazy lotniczej Szibh Jazirat. Mamy tu pilną sprawę. Dwoje ważnych więźniów uciekło właśnie osobistą limuzyną komendanta bazy i jadą w waszą stronę. Natychmiast muszę mówić z waszym dowódcą.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

- Poruczniku! - krzyknął Said do słuchawki. - Jest pan tam? - Z wściekłością nacisnął kilkakrotnie rozłącznik.

- Tak, sir - odezwał się głos. - Jestem tu, sir. Po prostu nie chciałbym budzić pułkownika Mitli o tej godzinie. Może to nie jest konieczne. Jeśli poda mi pan opis uciekinierów, mogę zawiadomić straż graniczną.

- Obawiam się, że to nie wystarczy, poruczniku. Nie mamy gwarancji,

że przekroczą granicę na waszym przejściu przy głównej autostradzie. - W głosie pułkownika zabrzmiał protekcyjny ton; konieczność tłumaczenia się przed niższym rangą oficerem najwyraźniej sporo go kosztowała. - Ukradli także gazik. Mogą zjechać z drogi. Istnieje ze sto miejsc, w których mogą przekroczyć granicę izraelską. Musicie natychmiast wysłać oddział żołnierzy i schwytać zbiegów.

- To niemożliwe, sir. - Tym razem porucznik odpowiedział bez wahania. - W żadnym wypadku nie mógłbym tego zrobić bez wiedzy pułkownika, a wątpię, czy on by wyraził zgodę.

- Wobec tego natychmiast poproś pułkownika do telefonu! - zagrział Said. - To rozkaz! Nie ma chwili do stracenia!

Przeklinając z powodu opóźnienia, Said zaczął chodzić po małej sypialni ze słuchawką przyciśniętą do ucha. Kapitan patrzył na uciekające sekundy; wyobrażał sobie, jak Mercedes i gazik mkną bez przeszkód ku granicy izraelskiej. Teraz powinni się znajdować w okolicach *wadi*; będą musieli zwolnić, żeby przejechać przez strumień, ale potem znowu dodadzą gazu. Oczekiwanie ciągnęło się i ciągnęło, jednak ze zdziwieniem zauważył, że upłynęły zaledwie dwie minuty, zanim po drugiej stronie rozległ się niski głos dowódcy posterunku.

- Tu Mitla. Z kim mam przyjemność mówić? - Jego ton wskazywał wyraźnie, że pobudki w środku nocy stanowią dla niego wszystko, tylko nie przyjemność.

Pułkownik Said przedstawił się, niechętnie złożył pospieszne przeprosiny, po czym powtórzył polecenie, by niezwłocznie wysłano grupę pościgową. Pułkownik Mitla nie pozwolił się popędzać. Ku irytacji Saida, zażądał dokładnego opisu sytuacji i zaczął zadawać dodatkowe pytania.

- Nie ma czasu! - krzyknął sfrustrowany oficer bezpieczeństwa. - Oni uciekają!

- Mój drogi pułkowniku - odparł uprzejmie dowódca posterunku - nie mogę zorganizować blokady na głównej autostradzie bez porozumienia z wyższymi władzami. Potrzebowałbym zgody mego przełożonego generała, i to na piśmie.

Said zacisnął palce na słuchawce.

- Mój generał przewyższa twojego stopniem - przypomniał - a ponadto ma wybuchowy charakter. Jeśli zlekceważysz tę prośbę o pomoc, nie chciałbym się znaleźć w twojej skórze. Słuchaj teraz uważnie. Jeśli zaczniecie działać natychmiast, nie ma potrzeby organizowania blokady na głównej autostradzie. Wyślij ciężarówkę z oddziałem, to zajedziecie im drogę, zanim wjadą na autostradę. Sprawuję pełną władzę nad drogą dojazdową z autostrady do bazy lotniczej. Jeśli chcesz dokumentu, wyślę ci jutro rano upoważnienie na zorganizowanie blokady na naszej drodze, ale musicie działać natychmiast, póki nie jest jeszcze za późno!

Said usłyszał po drugiej stronie przyciszone głosy. Wreszcie pułkownik Mitla odpowiedział.

- Zrobimy tak, jak radzisz, pułkowniku Said, ale w razie wszelkich komplikacji, ty ponosisz odpowiedzialność. Nagrałem całą naszą rozmowę. A teraz, co się tyczy działania, którego się domagasz. Wysłałem właśnie transporter z sześcioma ludźmi. Będziemy z nimi w kontakcie radiowym. Potrzebny mi opis obydwu pojazdów, zbiegów i ich dane.

Wilgotne, przejmujące powietrze utrzymywało się w tym zagłębieniu pustyni, potęgując działanie wzmagającego się chłodu pustynnej nocy. Nie wiedział, czy dreszcz, który nią wstrząsnął, był wynikiem spadku temperatury, czy opóźnioną reakcją na katastrofę, która o mały włos nie zakończyła się tragicznie. Ogarnął ją mocniej ramieniem i drzenie ustało.

- Już nic nam nie grozi. Już dobrze.

- Dawidzie, jak możesz to mówić. - Odsunęła się od niego i odwróciła, by spojrzeć na drogę w górze. - Ktokolwiek nas ścigał, teraz na pewno nas dogoni. Jesteśmy tu uwięzieni!

- Spojrzała na beznadziejny labirynt ciężkich głazów i skał na dnie strumienia, blokujących im drogę.

- Może nie. Musi istnieć jakieś wyjście. To jedyna droga do bazy. Wczoraj widziałem na niej ruch.

Wskazał na prawo, w kierunku przednich świateł.

- Widzisz, że skały są tam mniejsze i rzadsze? To musi być wejście do kanału, który przekopano przez *wadi*.

Z powątpiewaniem poszła za jego spojrzeniem.

- Tak, myślę, że wiem, o czym mówisz. Ale to i tak wygląda bardzo niebezpiecznie. A jeśli przejście nie biegnie prosto? Jak chcesz kierować w ciemności? Jeśli tam utkniemy, będzie po nas. - Nerwowo obejrzała się przez ramię, ale na szczycie wzgórza, gdzie droga opadała ku *wadi*, wciąż nie było widać żadnych świateł.

- To twoja rola. Będziesz moim przewodnikiem. - Wskoczył z samochodu i otworzył jej drzwiczki.

- Chcę, żebyś usiadła na masce. Szybko! - Podsadził ją. - Usiądź na masce, ze stopami na zderzaku. O tak.

Włączył krótkie światła.

- Czy widzisz teraz stąd wodę?

- Tak, ale jak chcesz...

- Będziesz mi dawać znaki rękami. Tak zrobiliśmy w Meksyku.

Jej zdumioną odpowiedź zagłuszył warkot uruchamianego silnika. Kiedyś, kiedy to wszystko się skończy, będzie jej musiał opowiedzieć o na wpół zapomnianej meksykańskiej przejażdżce sprzed wielu lat, która o mały włos nie skończyła się tragicznie. O wydarzeniu, które przypomniał sobie tak wyraźnie tej nocy i dzięki któremu teraz wyszli cało z bardzo podobnej opresji, choć na innej pustyni, oddalonej od tamtej o trzystaście tysięcy kilometrów.

Mercedes sunął naprzód. Kiedy Dawid skręcał stopniowo w prawo, gdzie, jak mieli nadzieję, znajdował się przejazd pośród skał, koła prawie natychmiast zanurzyły się po dekle w wodzie. Ciężki samochód kołysał się w górę, w dół i na boki, podczas gdy koła walczyły z nierównym dnem strumienia.

Ze swego punktu obserwacyjnego na masce Daniela wpatrywała się bacznie w mętną wodę. Poruszała ustami, a warkot motoru zagłuszał jej słowa. Jednak Dawid nie miał kłopotów z odczytywaniem gestów jej rąk. „Jedź dalej”, mówiła prawa ręka. „Trochę bardziej w prawo”, nakazywała lewa. „Z powrotem w lewo. Wolniej!”

Napotkawszy szczególnie wyboisty fragment dna, Mercedes zatrzęsł się gwałtownie na swych starych resorach. Daniela musiała trzymać się mocno zakrzywienia maski, by uniknąć wylądowania w strumieniu.

Zahamował i gwałtownie stanęli. Dała znak, żeby jechał dalej. Znajdowali się już prawie w połowie strumienia; woda stawała się głębsza, sięgając niemal przedniego zderzaka. Z coraz większym trudem dostrzegała dno. Tuż przed nimi wyrósł duży głaz, z grzbietem nad samą powierzchnią i Daniela zamachała gorączkowo, nakazując mu stanąć, zanim zdecyduje, z której strony powinni ominąć przeszkodę.

Zwolnił do ślimaczego tempa, nie chcąc zatrzymywać się zupełnie, w obawie, że utkną. Wiedział, że powierzchnia wody znajduje się tuż pod nisko zawieszonym silnikiem. W ostatniej chwili Daniela zauważyła, że przejazd ponownie skręca w prawo i nakazała mu ostry zwrot w tamtą stronę. Lewy błotnik otarł się z przeraźliwym odgłosem, słyszalnym mimo warkotu silnika, o wielką skałę. Minęli jednak zakręt szczęśliwie, a Daniela nakazała mu skręt w przeciwną stronę, ponieważ morderczy przejazd odbijał znowu w lewo.

Z ulgą zauważył, że woda staje się płytsza; zaczęli wyjeżdżać ze strumienia. Dno sprawiało wrażenie gładszego, a Daniela dała znak: „cała naprzód”. Przycisnął pedał gazu i duży samochód nieco przyspieszył. Zbliżali się do punktu na przeciwległym brzegu, gdzie asfalt wyłaniał się ze strumienia. Jeszcze dziesięć metrów, jeszcze osiem.

Nagle przednie prawe koło zapadło się i dał się słyszeć przykry dźwięk metalu ocierającego się o skałę. Daniela nie zauważyła głębokiej dziury. O mały włos nie spadła z maski, ale jakoś udało jej się przytrzymać karoserii. Mercedes zatrzęsł się i zdawało się, że stanie, jednak siła bezwładu ciężkiego samochodu przepchnęła przednie koło przez dziurę, a Dawid przycisnął pedał gazu, by pomóc tylnemu kołu. Wóz znowu gwałtownie przechylił się w prawo i rozległ się kolejny trzask, kiedy tylne prawe koło utknęło w tym samym otworze.

Tym razem Danieli nie dopisało szczęście. Została bezceremonialnie wyrzucona ze swego miejsca na masce i przekoziołkowała nad prawym przednim błotnikiem. Instynktownie zahamował; bez rezultatu, ponieważ hamulce zostały całkowicie zalane wodą. Niezgrabna maszyna przetoczyła się jeszcze kilkadziesiąt centymetrów, po czym stanęła bez ruchu w wodzie.

- Daniela! - krzyknął, gotów biec jej na ratunek, ona jednak parszkając

wychynęła momentalnie na powierzchnię i stanęła w wodzie sięgającej jej zaledwie do kolan.

- Nic mi nie jest - krzyknęła uspokajająco, wytrząsając wodę z uszu. - Jedź dalej!

Postawiła nogę na zderzaku, szykując się do ponownego zajęcia miejsca na masce. Kiedy zaczęła się wdrapywać, coś przykuło jej uwagę.

- Dawidzie! Światła! Widzę ich przednie światła! Zbliżają się!

Wdrapała się na maskę, a Dawid ruszył. Samochód sunął potwornie wolno po nierównym dnie strumienia. Dała mu znak, żeby przyspieszył i Dawid ostrożnie spełnił polecenie. Powierzchnia pod kołami zdawała się wygładzać, podskakiwanie stawało się mniej gwałtowne. Dodał nieco gazu.

Przednie koła Mercedesa wjechały nagle na suchy teren. Udało się im! Przekroczyli strumień i znaleźli się po drugiej stronie.

Daniela schodziła właśnie ze zderzaka, kiedy nad horyzontem po przeciwnej stronie *wadi* rozbłysły dwa światła. Dawid otworzył jej drzwiczki i, kiedy wskoczyła do środka, przyspieszył. W kilka sekund później omiotły ich przednie światła drugiego samochodu, podczas gdy Mercedes sunął nabrzeżem, nabierając szybkości.

Usłyszał głośny wystrzał, a prawie w tym samym momencie kula zadzwoniła ostro o karoserię.

- Na dół! - krzyknął, chwytając ją prawą ręką i popychając w przód. Rozległa się szybka seria z karabinu, wybijając metaliczny rytm na tyle przyspieszającego Grossera 770. Jednak licząca pół wieku płyta pancerna, chroniąca dawniej jakiegoś faszystowskiego dostojnika, spisała się bez zarzutu. Minęli grzbiet wzniesienia i wjechali w bezpieczną ciemność bezksiężycowej pustynnej nocy.

Niemożliwe, żebym chybił! Miałem bak w samym środku celownika!

- Martin Singer patrzył z niedowierzaniem na przeciwny brzeg *wadi*, gdzie w światłach gazika nadal unosiły się siwe kłęby spalin - jedyny ślad po Mercedesie.

- Nie chybiłeś, przyjacielu. - Grymas przylepiony do twarzy Sir Rogera uwydatnił błysk zapadniętych oczu ponad wychudzonymi policzkami.

Najwyraźniej przygotowania jego współnika z CIA nie były tak dokładne, jak twierdził. - Po prostu celowałeś w niewłaściwe miejsce.

- Co to ma znaczyć? - Amerykanin opuścił dymiący AK-47 i spojrział przez spaliny na Anglika. - W co powinienem być celować?

Agent MI-6 zmarszczył nos i odpędził dłonią gryzący dym.

- Sądzę, że w opony. A może w głowy.

Amerykański agent wciąż nie pojmował i nie był w nastroju do zabawy. Ci cholerni Angole uwielbiają wszystko owijać w bawełnę.

- Do czego zmierzasz? - warknął.

- Nie jesteśmy wielbicielami starych samochodów, co? - Sir Roger nie mógł się powstrzymać od stłumionego chichotu. - Tak się składa, że skradziony Mercedes to Grosser 770. Zaledwie kilka takich wozów przeżyło swych poprzednich właścicieli, kiedy szczęście odwróciło się od faszystów. Swoją drogą, ciekawe jak jeden z nich trafił aż tu, do Egiptu.

Anglik najwyraźniej bawił się kosztem towarzysza. Cierpliwość Singera była na wyczerpaniu. Sir Roger zauważył niebezpieczny błysk w jego oczach i szybko przeszedł do sedna sprawy.

- Te samochody konstruowano w fabryce w Stuttgarcie, według dokładnych wskazówek Wehrmachtu. Używali ich marszałkowie, generałowie SS, wysocy dygnitarze partyjni. Sam Hitler miał do dyspozycji kilka takich wozów.

- Płyta pancerna! - wykrzyknął Singer.

- Płyta pancerna - zawtórował Anglik. - Ponad centymetrowej grubości stalowa płyta wokół całego samochodu. Podciągane okna ze szkła kuloodpornego. Ten Mercedes w swoim czasie ocalił pewnie skórę kilku faszystom.

- A teraz kolejnej parce - zauważył sucho Singer. - Ale nie na długo. - Wyskoczył z gazika i przeszedł na stronę kierowcy.

- Posuń się. Ja poprowadzę. Wiem, gdzie jest przejazd. Możesz mi świecić reflektorem.

Sir Roger pospiesznie spełnił polecenie, patrząc niechętnie na mętłą wodę najeżoną groźnymi skałami. Poczul ulgę; nie uśmiechało mu się prowadzenie samochodu na tym nieznanym terenie. Obniżył reflektor gazika,

tak że snop światła padał na wodę tuż przed krótką maską.

Pojazd mający napęd na cztery koła skoczył do przodu, zanurzając się w wodzie. Podskakiwał jak zabawka na nierównym dnie, a Anglik musiał się trzymać obiema rękami, żeby nie wypaść. Singer prowadził jak szaleniec, z pochyloną głową, z oczami wpatrzonymi w wodę, obracając kierownicą to w jedną stronę, to w drugą.

- Wciąż nie mogę uwierzyć - mruczał. - Jak przejechali tędy w ciemności bez oznakowań? W jaki sposób uniknęli rozbicia o skały? Kiedy przed nami uciekali, musieli jechać dobrze ponad sto na godzinę!

Nagły podskok wyrzucił jego towarzysza z siedzenia; opadł z powrotem ze wstrząsem. Zdawało się, że Singer nic nie zauważył; nadal utrzymywał zawrotną szybkość.

- Daję słowo, po co ten pośpiech? - zaprotestował Anglik. - Może uciekli przed Scyllą, ale Charybda wciąż na nich czeka. Z tego, co mi mówiłeś, nie uda im się stamtąd wyjechać, nie mówiąc już o wyjściu.

- Chcę tam być - odparł Amerykanin przez zaciśnięte zęby, kiedy gazik wyjechał na równiejszy grunt i zaczął się wspinać na brzeg po drugiej stronie. - Chcę być na tyle blisko, żeby widzieć, żeby się upewnić. Kiedy wjadą na to pole minowe, będzie zabawa jak Czwartego Lipca - największe ognie sztuczne na wschód od Disneylandu. Nie mam zamiaru tego przepuścić.

Wyjechali z płytkiej wody i gazik stanął.

- Ty prowadzisz - rozkazał Amerykanin, przeskakując drzwiczki i biegnąc na drugą stronę. Anglik przesunął się na miejsce kierowcy.

- Gaz do dechy! - krzyknął agent CIA, wskakując do wozu. Krótki pojazd zatrząsł się jak zmoczony pies, po czym skoczył do przodu, wspinając się na nabrzeże. Na grzbiecie wzgórze powitało ich dziwne półświatło. Księżyc wreszcie wzeszedł; tłuczniowa droga biegła w stronę horyzontu, hebanowa linia przecinająca oblane księżycowym blaskiem wydmy pustyni Synaj.

- Nie będą ci już potrzebne - zauważył Singer, sięgając do tablicy rozdzielczej. - Od tego miejsca droga jest prosta i płaska. - Wyłączył światła

i bliźniacze żółte smugi rozplynęły się w srebrzystym księżycowym krajobrazie.

Singer umilkł, wpatrując się prosto przed siebie, ku trudno dostrzegalnej linii, oddzielającej niebo od pustyni. Jak dotąd ani śladu ich światła. Musieli jechać bardzo szybko. To dobrze, wjadą na pole minowe na pełnej prędkości. Przy *wadi* dopisało im szczęście. Tego rodzaju fart zazwyczaj się nie powtarza, ale na wszelki wypadek...

Wysokie wycie motoru gazika dochodzącego do swej maksymalnej szybkości prawie zagłuszyło odgłos nowego magazynka umieszczanego w karabinie maszynowym trzymanym przez agenta CIA.

Lewellyn włączał i wyłączał przycisk ogrzewania. Silnik potężnego Mercedesa pracujący na pełnych obrotach musiał wytwarzać mnóstwo ciepła, jednak żadna jego część nie wydobywała się z otworów wentylacyjnych pod tablicą rozdzielczą. Urządzenie ogrzewcze miało pewnie tyle lat co samochód, ale najwyraźniej nie opiekowano się nim z równą troską.

Martwił się o Danielę. Po nie planowanej porannej kąpieli w strumieniu przemarzła do szpiku kości. Przekonał ją, by zdjęła przemoczony żakiet i bluzkę, po czym otulił ją własną marynarką. Nie mógł zrobić wiele więcej. Bose stopy, uwolnione od mokrych butów i pończoch, podwinęła pod siebie. Jego chustka leżała na wilgotnych, rozczochranych włosach Daniela.

Kiedy zaczęła kichać, zwolnił, by osłabić powiew zimnego nocnego powietrza. Już wcześniej podciągnął boczne okna najwyżej, jak mógł, ale chłodne powietrze wpadało górą.

- Nie, Dawidzie - zaprotestowała. - Nie musisz zwalniać. Nic mi nie będzie. Już się ogrzałam.

Zziębnięta przytuliła się do niego mocno, spragniona zarówno jego siły, jak i ciepła. Incydent w *wadi*, kulminujący gradem pocisków wysyłanych przez ścigający ich pojazd, dał się Danieli we znaki. Nigdy wcześniej do niej nie strzelano; pierwszy kontakt z bronią maszynową strzelającą z małej odległości był przerażający.

Najgorsze ze wszystkiego było jednak podejrzenie, które teraz zamieniło się w pewność, uciskając nieprzyjemnie żołądek. Niewidoczny napastnik,

nieznany wróg czający się za nimi, okazał się nikim innym, jak jej byłym kochankiem. Czowała to raczej, niż wiedziała; czowała to tam, patrząc w oślepiające światło, uniemożliwiające jej rozpoznanie strzelca, którego twarz pojawiła się nagle w jej wyobraźni.

Otworzyła oczy i spojrzała na mężczyznę, którego kochała, na jego twarz ledwo widoczną w słabym świetle półksiężyca, który właśnie wszedł. Wyglądała jak karykatura, namalowana przez zdolnego i spostrzegawczego artystę, który potrafił uchwycić charakterystyczne rysy w kilku prostych liniach. Były to mocne linie; inteligencja zaznaczona pociągnięciami pędzla, które naszkicowały oczy, długi, prosty nos, wysokie czoło, wysunięty podbródek i kształt szczęki wskazujący na wewnętrzną siłę i determinację. Podziwiała pomysłowość, jaką okazał, opanowanie, jakie zachował pod gradem kul. Jeśli ktokolwiek potrafił wyciągnąć ich z tego koszmaru, to właśnie on.

Llewellyn poczuł, że Daniela potrzebuje otuchy. Mocno uściśnął jej dłoń.

- Nie widać ani śladu światła. Myślę, że zostawiliśmy ich z tyłu.

Wyswobodziła się z jego uścisku, przesunęła dłonią po jego rękę, wślizgnęła się pod rozpiętą koszulę, dotykając bicepsów, gładząc palcami jego mocne mięśnie.

- Dawidzie - szepnęła, rozkoszując się brzmieniem tego imienia. - Dziękuję ci za moje życie, Dawidzie.

- Ty mi pomogłaś - przypomniał jej. - Bez ciebie nigdy nie przejechalibyśmy przez *wadi*. Sądzę, że oboje powinniśmy dziękować Bawarczykom za to, że zbudowali samochód jak czołg. Tamte kule były bez wątpienia przeznaczone dla nas.

Dla niego to Mercedes był prawdziwym bohaterem. Tylko ten wspaniały zabytek ratował ich dotychczas przed siłami pragnącymi ich zniszczyć. Uspokajający, równy warkot motoru pod długą maską dodawał Dawidowi otuchy. Uzmysłował sobie nagle, że zaczął o nim myśleć nie jako o rzeczy, ale jako o człowieku, posiadającym własny charakter i cechy osobowości. Miał styl; postępował z werwą, nieustępliwością i determinacją. Cokolwiek czy ktokolwiek ich ścigał, miał niełatwe zadanie.

- Jesteśmy już bezpieczni - powiedział. - Już nas nie złapią. Za kilka

minut wjedziemy na autostradę do Ber Szewy.

Oczy Daniela wskazywały, jak bardzo pragnęła mu wierzyć, ale na twarzy wciąż widniał cień wątpliwości.

- Zobaczysz - ciągnął. - Za pół godziny będziesz z powrotem w swoim kraju.

Daleko po prawej ujrzał nagle błysk światła, które równie nagle zgasło. Pojawiło się znowu i zniknęło, bawiąc się z nim jak jakiś pustynny błędny ognik.

Inne światło mrugnęło do niego z innego miejsca, a Dawid poczuł, jak napięcie zaczyna go opuszczać. Zrozumiał, na co patrzy. Tajemnicze światła były światłami samochodów na autostradzie Ber Szewa-Ismailia biegnącej po prawej; ich migotanie powodowały wydmy. Musieli być już blisko!

Przybliżające się, migoczące światła po prawej stały się silniejsze i bardziej wyrównane. O tej godzinie na autostradzie nie panował duży ruch; tylko kilku podróżnych. Jednak znaki życia poza egipską bazą wojskową dodały Dawidowi otuchy. Poczuł, jakby wracał na ziemię z obcej, wrogiej planety. Ścisnął dłoń Daniela i skinął głową.

- Spójrz tam, na prawo.

Podniosła głowę z jego ramienia i spojrzała we wskazanym kierunku.

- Dawidzie! To autostrada, prawda? Och, wygląda tak... bezpiecznie! - Wkrótce na nią wjedziemy. Skrzyżowanie musi być już niedaleko.

Zaczął zwalniać, szykując się do skrętu, wypatrując w mroku poza zasięgiem ich świateł znaków skrzyżowania.

Nagle ta część krajobrazu utonęła w blasku. Bliźniacze smugi światła przecięły ich drogę, kiedy pojazd zmierzający na południe skręcił z głównej autostrady na szosę prowadzącą do bazy.

- Och, nie. Kłopoty! - Ostrzegł Dawid, natychmiast gasząc światła i zwalniając. Nie zrobił tego jednak dostatecznie szybko. Kierowca najwyraźniej ich zauważył. Nadjeżdżający pojazd zjechał na ich pas, mrugając ostrzegawczo światłami. Cokolwiek to było, było duże; po obu stronach i na dachu miało światła obrotowe, jak pojazd opancerzony czy naczepa.

Poczuł, jak ciało Daniela tężeje.

- Och, Dawidzie! Co to jest?

- Nie wiem. Sprawdźmy. - Tamci już ich zauważyli, nie mieli więc nic do stracenia. Ponownie włączył światła i zaczął zwalniać.

Snop światła wydobył z mroku strome boki i ostre kandy transportera opancerzonego.

- Żołnierze! - wykrztusił Dawid. Potwierdziły się jego najgorsze obawy. W egipskiej bazie lotniczej zauważono ich zniknięcie i ostrzeżono posterunek graniczny. Wysłano zbrojny patrol, który miał ich zatrzymać.

Jego pierwszą reakcją była chęć zawrócenia i ucieczki. Kiedy nacisnął hamulec, transporter zwolnił i zaczął odwracać się bokiem, by zablokować drogę; jego światła omiatały łukiem teren po lewej stronie autostrady.

Wydarzenia następowały tak szybko, że nie było prawie czasu na myślenie. W światłach transportera Dawid ujrzał pobrużdżoną drogę objazdową, biegnącą równolegle do asfaltowej szosy. Błyskawicznie podjął decyzję, skręcając kierownicę w lewo i dodając gazu. W tym momencie Mercedeseśm zakotłosała potężna eksplozja. W przedniej szybie ujrzeli oślepiający błysk, a transporter uniósł się na chwilę w powietrze, po czym opadł i stanął w płomieniach.

- O, mój Boże! - powiedział głos, który nie brzmiał jak jego własny, ale musiał nim być. Jakimś cudem utrzymywał trzęsący się samochód na piaszczystej drodze, wdzięczny za głębokie koleiny, dzięki którym koła nie zjeżdżały na bok.

Przemknęli obok płonącego transportera, a fala gorąca po prawej stronie Mercedesa była tak intensywna, że Daniela przypadła do podłogi. Minęli wojskowy pojazd, wjechali z powrotem na szosę i zbliżali się do znaku stopu, który oznaczał skrzyżowanie z autostradą prowadzącą na północ do Izraela.

Daniela podniosła się powoli z podłogi i zaszokowana z niedowierzaniem patrzyła za siebie na płonący wrak.

- Jakie to potworne! Żołnierze w środku... wszyscy musieli zginąć! - Nie otworzyły się żadne drzwiczki i nie było śladu ocalałych. - Co to było, Dawidzie? Czemu on tak wybuchł?

- Miny. Tamta część drogi musiała być zaminowana. Przypuszczam, że ktoś zapomniał im o tym powiedzieć.

Ten sam człowiek, który zapomniał nam powiedzieć, dodał w myślach. Ktoś, kto zaplanował wydarzenia dzisiejszej nocy, kto chciał, żeby to biały Mercedes, a nie transporter wojskowy, stanął w płomieniach. Ktoś, kto nadal ich ścigał i był pewnie blisko. Człowiek legitymujący się dokumentami CIA. Człowiek o nazwisku Martin Singer.

Nie widzieli innych pojazdów. Minął znak stopu, wjechał na gładką nawierzchnię autostrady, ustawił samochód równolegle do jasnożółtej środkowej linii i przycisnął pedał gazu do oporu.

Czas. Wszystko było kwestią czasu. I szczęścia. Spojrzał na zegarek. Minęła prawie godzina, odkąd uciekli z egipskiej bazy lotniczej. Gdyby przyjechali Mercedeseem tylko minutę wcześniej, zwęglone ciała leżące na końcu wojskowej drogi, to byłiby oni.

Szkoda! - Sir Roger zwolnił i obydwaj mężczyźni patrzyli na płonący jasno stos około półtora kilometra przed nimi, gdzie zaledwie przed kilkoma sekundami nastąpił wybuch. - Ten Llewellyn wyglądał na świetnego gościa, a dziewczyna była prawdziwą pięknoscią. Nie mieliśmy jednak wyjścia, co?

Jego towarzysz nie odpowiedział od razu.

- Szkoda, że nie udało się nam go przekabacić - ciągnął Anglik - skapotać go na naszą stronę, tak jak miałeś nadzieję. Książę Turki robił, co mógł. Byłem pewien, że Llewellyn skłania się we właściwą stronę.

- Nigdy nie udałooby się nam go przeciągnąć - odparł lakonicznie Singer. - Nabrałem tej pewności dopiero jakieś dwie godziny temu. - Sięgnął do kieszeni marynarki. - To przyszło do ciebie. Znalazłem to, kiedy wróciłem do baraków, żeby się zdrzemnąć. Pozwoliłem sobie przeczytać.

Rzucił towarzyszowi zmiętą kopertę. Sir Roger wyglądził ją, na ile potrafił, dłonią nie zajęętą prowadzeniem i wyjął kartkę z koperty. Zmrużył oczy. Była to zaszyfrowana depesza. W samochodzie było zbyt ciemno, by móc ją odczytać. Spojrzał pytająco na towarzysza.

- Llewellyn był wyszkolonym agentem kontrwywiadu. Przesłano go tu, by odkrył źródło przecieków ściśle tajnych informacji z ambasady.

- Dobry Boże! - Anglik rozdziawił usta. - To znaczy, że przez cały czas węszył za tobą!

- Tak. A zatem, jak słusznie zauważyłeś, nie mieliśmy wyboru. - Agent CIA jak w transie wpatrywał się w widowisko przed sobą, a migoczące błyski ognia odbijały się w jego szklistych oczach. Potem odwrócił głowę. - Skończone - stwierdził beznamiętnym głosem. - Możemy wracać do pracy.

- Tak. Ale powiedz, czy nie będzie żadnych konsekwencji? Kiedy odnajdą ciała, mogą podejrzewać...

- Nie będą, jeśli ustawimy barierkę z powrotem tak jak stała i przedstawimy znaki objazdowe. Będzie wyglądało, jakby zjechali z piaszczystej drogi w ciemność, w jakiś sposób wrócili na brukowaną drogę i wjechali na jedną z min. Egipcjanie zostaną obwinieni o zaminowanie publicznej drogi w czasie pokoju i nierozmieszczenie odpowiednich znaków ostrzegawczych.

- Skoro tak twierdzisz. - Anglik nie wyglądał na przekonanego. - Niepokoi mnie pułkownik Said. Jeśli odkryje, że...

Dłoń chwytająca go za ramię przerwała mu w pół zdania. Singer patrzył na drogę, poza płonącym pojazdem, gdzie para świateł zmierzała w stronę skrzyżowania.

- To oni! - wykrztusił agent CIA. - Uciekają! Za nimi!

Na twarzy Anglika malowało się zdumienie.

- Jak to możliwe? - spytał, patrząc to na oddalające się światła, to na płonący wrak. - Są uwięzieni w płonącym Mercedesie. Oni nie żyją!

- To nie Mercedes, ty głupcze! To jakaś wojskowa ciężarówka, która się tam zaplątała, nie widzisz? - Singer sięgnął po karabin. - Ruszaj! Jeszcze ich złapiemy!

Podniósł z podłogi potężny karabin maszynowy wyposażony w noktowizor.

- Tym razem celuję w opony. Jeśli uda nam się zatrzymać ich samochód, już jest po nich.

Sir Roger niepewnie przycisnął pedał gazu.

- W jaki sposób ominę tę płonącą stertę? W pobliżu mogą się znajdować inne miny. - Zbliżali się szybko ku wciąż płonącym szczątkom transportera.

- Nie widzisz objazdu? - rzucił niecierpliwie Singer. Pragnął trafić w i

Mercedesa, kiedy ten zwolni przed wjazdem na główną autostradę, stając

się prawie nieruchomym celem. Po prostu wjedź na tę piaszczystą drogę i trzymaj się jej!

- Gdzie? - spytał Sir Roger z niepokojem. - Po której stronie?

Kierowca nigdy nie usłyszał odpowiedzi Amerykanina. Uwagę Sir Rogera przykuła groteskowa postać, wydobyta nagle z mroku przez światła, rozpaczliwie machająca rękami, prosząca o pomoc: Stał dokładnie na drodze gazika, jego mundur wojskowy płonął, a twarz miał zwęgloną w żalospną maskę.

Nie było czasu na postój. Anglik zareagował typowo, jak człowiek przyzwyczajony do ruchu lewostronnego. Skręcił kierownicę w prawo, o włos minął żalospnego żołnierza i gazik zjechał na prawe pobocze brukowanej drogi.

- Nie! - krzyknął Singer, gestykulując gorączkowo. - W lewo, mówiłem ci, trzymaj się lewej!

Sir Roger skręcił kierownicę w przeciwną stronę. Jednak gazik nie zareagował od razu; prawe koła ugrzęzły w miękkim piasku pobocza i zaczęły buksować. Płonący transporter znajdował się teraz dokładnie na jego drodze, blokując całą szosę; Anglik zobaczył, że nie zdąży go już minąć po lewej. Jego jedyną szansą uniknięcia zderzenia było wyjście z poślizgu na prawo od drogi. Tak też zrobił.

Gazik wyszedł z poślizgu i skoczył do przodu, tak blisko mijając płonącego wrak, że Anglik poczuł żar na twarzy i ramionach. Kiedy starał się zjechać rozpędzonym pojazdem z pobocza z powrotem na szosę, ku bezpiecznej piaszczystej drodze biegnącej równoległe do niej, nagle wzrosło mu ciśnienie w uszach. W ułamek sekundy później stało się tak wysokie, że rozsadzało wprost głowę. Jego płuca walczyły o powietrze. Miał to być jego ostatni wdech.

Gazik wyleciał w powietrze, jakby zjechał z niewidzialnej rampy; droga pod nim zamieniła się w czarną chmurę drobno sproszkowanego asfaltu. Drzwiczki wypadły na zewnątrz; wyrwane z zawiasów przez siłę eksplozji, zaczęły kołować w nieładzie z powrotem ku ziemi. Kiedy gazik przeokółkował w powietrzu, koła oderwały się, jedno po drugim, odpadając

pod dziwaczными kątami. Jedno, z całą oponą, toczyło się może pięćdziesiąt metrów, podskakując drogą jak coś żywego, zanim padło w piach.

Ciała pasażerów nie poleciały tak daleko; martwy ciężar stawia duży opór. Spadły na ziemię całkiem blisko wraku gazika egipskich sił powietrznych, gdzie kilka minut później znalazł je kierowca ciężarówki przejeżdżającej główną autostradą. Zaparkował pojazd i pobiegł przez piach, by obejrzeć ogień.

Kiedy na nich wpadł, najadł się porządnego strachu. Jedno z ciał leżało na plecach, z wyszczerzonymi zębami, z bezwłosą głową odwróconą ku nocnemu niebu. W słabym świetle wciąż tłącego się ognia, kierowca zauważył niesamowite podobieństwo głowy do ludzkiej czaszki.

14.

ODBUDOWANY IRACKI

REAKTOR ATOMOWY ZMIECIONY Z POWIERZCHNI ZIEMI! krzyczały pięciocentymetrowe nagłówki. Anglojęzyczna gazeta leżała podparta na stoliku nocnym, gdzie nie mógł jej przeczytać. Dawid Llewellyn usiadł na łóżku i starł sen z oczu, mrugając na widok obcego pomieszczenia. Nagle sobie przypomniał. Znajdował się w mieszkaniu Daniela w Jerozolimie. Przyjechali tu wczesnym rankiem, kiedy miasto dopiero zaczynało się budzić.

Hałas naczyń w kuchni powiedział mu, że musiała tam być, niewątpliwie szykując śniadanie. Czy może obiad; było chyba późno. Bardziej zgłodniały wiadomości niż jedzenia chwycił gazetę, a jego wzrok przykuł nagłówek wiodącego artykułu: ZAKAZANE SOWIECKIE GŁOWICE ATOMOWE NISZCZĄ DZIESIĘĆ MYŚLIWCÓW W ŚMIERTELNEJ PUŁAPCE!

Co, u licha? Pożarł wzrokiem kolumny druku, zawierające relację naczynego świadka incydentu w Osiraku, pułkownika Mosze Eitana, jedyne- go, który ocalał z dowodzonej przez siebie siły uderzeniowej. Jedy- ny, który ocalał! To niewiarygodne! Dziesięciu pozostałych pilotów z eskadry zginę- ło, razem ze swymi specjalnie przystosowanymi myśliwcami-bombowcami typu Eagle. Zostali zniszczeni przez jakieś fantastyczne sowieckie pociski nowego typu, które oparły się wszelkim próbom przechytrzenia lub wymi- nięcia. Według zdumionego dowódcy, pociski te były wyposażone w gło- wice atomowe, co sprawiło, że samoloty eskadry dosłownie wyparowały. Mimo to ten sam pułkownik Eitan zdołał zniszczyć iracki reaktor atomowy jednym pociskiem wystrzelonym z powietrza, o czym artykuł mówił tylko ogólnikowo.

Druk zamazał się przed oczami Dawida, kiedy uzmysłowił sobie powagę konsekwencji. Pierwszy przypadek użycia broni atomowej w czasie pokoju! To wprawdzie małe główce taktyczne, nie główce strategiczne, ale co mogli planować Rosjanie, skoro zainstalowali taką broń w państwie arabskim? Była to bezprecedensowa eskalacja zimnej wojny.

Przewrócił stronę. Atak na saudyjskiego AWACS-a - czy będzie jakkolwiek wzmianka? Singer wyjawiał, że atak ten zaplanowali Izraelczycy, aby samolot zwiadowczy nie wykrył ich siły uderzeniowej i nie podniósł alarmu. Na pierwszej stronie nie znalazł żadnej wzmianki o tej operacji. Druga i trzecia strona zawierały głównie zdjęcia; Eitan na konferencji prasowej, Eitan obok swego myśliwca-bombowca typu Eagle Strike, rysunek nowego sowieckiego pocisku wykonany zgodnie z opisem Eitana.

U dołu trzeciej strony znalazł krótki, prawie niewidoczny artykuł pod nagłówkiem SAUDYJCZYCY DONOSZĄ O ATAKU NA AWACS-a. Przeczytał go szybko; nie było tego wiele. Korespondent agencji Reutera donosił, że samolot typu AWACS odbywający lot zwiadowczy na północ od Rijadu został zaatakowany w saudyjskiej przestrzeni powietrznej przez nieznanego samolot, który wystrzelił w jego stronę dwa pociski. Żaden z pocisków nie trafił, ale AWACS doznał uszkodzeń podczas uników i został zmuszony do powrotu do bazy. Nikt z załogi nie odniósł poważnych obrażeń. Członkowie załogi oświadczyli, że nieznanego samolot zaatakował bez ostrzeżeń i że zidentyfikowali go jako amerykański myśliwiec F-15 z izraelskimi oznakowaniami. Wszelkie próby porozumienia się z pilotem przez radio spęły na niczym.

Ponieważ Arabia Saudyjska nie utrzymuje stosunków dyplomatycznych z Izraelem, czytał dalej Dawid, rząd saudyjski nie wystosował żadnego formalnego protestu, jednak książę Bandar, saudyjski minister obrony, oświadczył, że jego rząd zamierza przedstawić ten incydent na forum Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Dawid był rozczarowany zwięzłością notatki; nie padła żadna wzmianka o tym, że na pokładzie znajdowali się Amerykanie. Cóż, jedno istotne: artykuł potwierdzał, że samolot wylądował bez przeszkód, że nie było ofiar,

że Richy jest bezpieczny. Przerzucił kolejną stronę. Na stronie czwartej, jeszcze niżej niż poprzedni artykuł, widniała krótka notatka: KATASTROFA LOTNICZA W DIMONIE. REAKTOR USZKODZONY. A więc ogień, który widzieli w oddali z bazy lotniczej na Synaju, to była jednak Dimona! Zaledwie minutę zajęło mu przeczytanie artykułu w całości.

Wczoraj po południu niezidentyfikowany samolot spadł w zakazanej strefie Dimony, powodując uszkodzenia reaktora atomowego. Pilot zginął na miejscu. Zakres uszkodzeń nie jest jeszcze znany. Władze kompleksu atomowego nie potrafiły wyjaśnić, w jaki sposób samolot zdołał się przebrzeć przez skomplikowany system zabezpieczeń, oraz odmówiły snucia domysłów na temat tożsamości samolotu i pilota. Zapytany, czy katastrofa mogła być celowym samobójczym atakiem, przeprowadzonym w odwecie za nalot na Irak, rzecznik rządu odmówił komentarzy.

Oczko w głowie pierwszego prezydenta Izraela, Chaima Weizmanna, reaktor w Dimonie został w roku 1957 potajemnie zakupiony od Francji przez rząd Ben Guriona. Zarówno ten rząd, jak i wszystkie kolejne konsekwentnie opisywały reaktor jako miejsce badań jądrowych. Mimo to ścisły system zabezpieczeń otaczający Dimonę kazał niektórym obserwatorom przypuszczać, że kompleks ten stanowi kluczową rolę w tajnym programie produkcji broni atomowej.

Czy rzeczywiście Izrael posiadał arsenał atomowy, jak twierdził Singer? Dawid przypomniał sobie posępny wyraz twarzy prezydenta, kiedy mówił o groźbie wybuchu wojny jądrowej na Bliskim Wschodzie, oraz jego słowa: „Obie strony ją mają lub są o krok od jej uzyskania”. Domysły snute przez autora notatki o Dimonie mogły być słuszne. Samobójczy atak arabskiego fanatyka? W dzisiejszych czasach zdarza się wiele podobnych wypadków. Czy może misja podjęta na własną rękę przez jeden z arabskich krajów, pragnących doprowadzić Izrael do ruiny? W obydwu przypadkach samolot byłby pełen materiałów wybuchowych.

- Jak bardzo został uszkodzony reaktor w Dimonie? - zastanowił się na głos.

- Poważnie. Niewiele z niego zostało.

Nie słyszał, kiedy weszła do pokoju. Stała w nogach łóżka, trzymając

tacę z bułeczkami i parującą filiżanką kawy. W bluzce podkreślającej jej figurę, wsuniętej w świeżo wyprasowaną spódnicę, niczym nie zdradzała ciężkich przejść minionej nocy. Umyte i uczesane włosy lśniły hebanowym blaskiem. Tylko wyraz ust sugerował, że świat Danieli nie był tak spokojny, jak jej wygląd zewnętrzny.

- Zastanawiałam się, kiedy się obudzisz. Przespałeś cały dzień. Już prawie wieczór. - Jej twarz złagodniała, kiedy stawiała tacę na stoliku. - Musisz umierać z głodu.

- Skąd wiedziałaś? - spytał, biorąc łyk kawy. - O Dimonie, o tym, że reaktor zrównano z ziemią.

- Przez ponad godzinę rozmawiałem przez telefon z moim szefem. Z obydwojema szefami - z ministrem spraw zagranicznych i moim przełożonym z Mosadu. To nie do wiary, co przytrafia się mojemu krajowi.

- Wiem - skinął głową, wskazując na gazetę. - Czytałem o tym.

- Nie wiesz - poprawiła go. - To, co tu piszą, to tylko czubek góry lodowej. Przed nami jeszcze wiele. Mamy kryzys. Rząd...

- Prrr! - przerwał jej. - Po kolei. Zacznij od Dimony.

Przygryzła wargę.

- To była bomba. Duża bomba zwana „łamaczem ścian”, a raczej dwie, podwieszono pod samolotem. Samolot zanurkował prosto na kopułę i wpadł do reaktora, detonując bomby. Kilku pracowników zginęło na miejscu. I naukowiec, jeden z naszych czołowych fizyków.

- A więc to był atak samobójczy! - Zmarszczył brwi, wciąż zdziwiony, jak taki atak mógł zostać przeprowadzony przeciwko dobrze przygotowanym Izraelczykom. - Czy ktoś przyznał się do nalotu? Może to ta samobójcza grupa szyicka, „Islamski Dżihad”?

Potrząsnęła głową.

- To najgorsza część. Bomby były nasze. Podobnie jak samolot i pilot.

- Co? - wykrztusił. - Chcesz powiedzieć, że to izraelski pilot... zdrajca?

- Tak na pierwsze pytanie i nie na drugie. - Widząc jego zdumioną minę, dodała szybko: - Został zidentyfikowany jako kapitan Zew Lieb, jeden z najlepszych izraelskich pilotów myśliwców. Jednak wczoraj Mosad otrzymał od pewnego agenta CIA wiadomość, która jest chyba zgodną z

prawdą. Lieb był tajnym agentem irackim. Przez ponad trzy lata grał rolę izraelskiego pilota.

- Dobry Boże! Wydział bezpieczeństwa waszego lotnictwa został całkowicie skompromitowany. Ci biedni dranie, którzy nigdy nie wrócili z Iraku... Bagdad musiał zostać uprzedzony! Jeśli gazety się o tym dowiedzą...

- Już się dowiedziały. United Press International podała tę wiadomość przed godziną. Mówili już o tym w wiadomościach telewizyjnych. Za moment pojawią się specjalne dodatki do gazet. Mówi się, że rząd jest winny poważnego zaniedbania, że nasz kontrwywiad miał mnóstwo czasu na wykrycie wtyczki. Premier znalazł się pod silną presją. Partie opozycyjne domagają się jego ustąpienia i rozpisania nowych wyborów.

- To nic nowego. Robią to stale od lat. Szamir nie traktuje tego chyba poważnie?

- Nie ma innego wyjścia. Już dzwonią do niego niektórzy z ostatnich sojuszników. Protestują, że nikt ich wcześniej nie informował, nikt się z nimi nie konsultował, wyrzekają się wszelkiej odpowiedzialności za to, co środki przekazu zaczynają nazywać „źle zaplanowanym, źle przeprowadzonym nalotem na Osirak”.

- Niezupełnie źle przeprowadzonym. Przecież zniszczyli reaktor, prawda?

- I stracili w odwecie nasz.

- Ale nie ustalono żadnego związku między... - Zobaczył w jej oczach coś, co kazało mu przerwać. - Poczekaj! Mówiłaś, że samolot, który zniszczył Dimonę, należał do was. Czy był to może F-15?

- Tak - odparła, patrząc, jak światło zapala się w jego oczach.

- W takim razie słyszeliśmy go, prawda? To jego głos rozległ się w radiostacji Singera. Mówił, że odłącza się od eskadry, symulował kłopoty z silnikiem. Potem udał się prosto do Arabii Saudyjskiej, na spotkanie z AWACS-em. Dokładnie tak, jak powiedział nam Singer, z jednym małym wyjątkiem. Ten pilot nie był Izraelczykiem. Wasi ludzie nic o tym nie wiedzieli.

Przytaknęła, czekając, aż podejmie rekonstrukcję zdarzeń.

- Tylko że akcja nie potoczyła się tak, jak zaplanowano. AWACS-owi udało się uciec. Może pomogło ostrzeżenie, które nadałem. Tak więc pilot skierował się ku celowi alternatywnemu, który poznał pewnie świetnie, odbywając wielogodzinne loty nad Negewem. Nadal miał też bomby, te tonowe olbrzymy przeznaczone dla Osiraku.

Potrząsnął z podziwem głową.

- To by wyjaśniało, jak udało mu się przelecieć przez linie obrony. Nie chcieli zestrzelić jednego ze swych asów lotniczych.

- Tak się najwyraźniej stało - potwierdziła Daniela. - Inny F-15, wysłany w celu przechwycenia intruza, zdołał zbliżyć się do niego na tyle, by go zidentyfikować. Poznał w pilocie izraelskiego bohatera wojennego. Jego opór przed zestreleniem go umożliwił wtyczce zanurkowanie prosto na reaktor.

- Dziennikarze mają i ten fragment historii? - spytał i zobaczył, że znowu kiwnęła głową. - Co za afera. Zaczynam rozumieć, jak twardy orzech do zgryzienia ma premier. Co zamierza teraz zrobić? Jest zbyt waleczny, żeby się poddawać.

- Nie ma wielu możliwości. Wiesz, jak krucha jest koalicja Likudu w Knesecie. Wystarczy kilka głosów, a tracą większość. Jest tylko jedna szansa na uniknięcie nowych wyborów: ktoś musi zapłacić. Premier przygotowuje po cichu przemówienie, w którym złoży rezygnację. Prosi też gabinet o udzielenie ministrowi spraw zagranicznych poparcia jako nowemu szefowi rządu.

- Twój szef, Szymon Kedar? - Dawid przypomniał sobie, jak duże wrażenie wywarł na nim minister spraw zagranicznych podczas pierwszego spotkania. - To wspaniały kandydat na premiera!

- Tak, i ja tak sądzę - odparła z dumą. - Ale on nie jest tak dobrze znany. Mało prawdopodobne, by Knesset go zaakceptował, nawet jeśli zrobi to gabinet. Możliwe, że nowe wybory są nieuniknione.

- Proces demokratyczny, co? Chyba nie powinniśmy się o nim źle wyrażać. - Powoli pokręcił głową. - Co za ironia, nie sądzisz? Spisek przeciwko AWACS-owi się nie udał, ale ludzie, którzy za nim stali, i tak postawili na swoim. Zmiana rządu, do której dążyli w sposób tak fanatyczny. Singer

dusi się teraz pewnie ze śmiechu, gdzieś w jednym z krajów arabskich, gdzie wasz rząd nie może go dopaść.

Na jej twarzy odmalowało się chwilowe zdumienie, potem zrozumienie.

- No tak, ty nie wiesz. Martin nie żyje, Dawidzie. Zginął od miny na Synaju. Niedawno zameldował o tym jeden z naszych agentów.

Dawid był oszołomiony.

- A więc to jednak Singer nas ścigał. Ten drugi wybuch, który słyszeliśmy za nami...

- Tak. To musiało się stać wtedy.

Jego reakcja na wiadomość o śmierci Martina zdziwiła Danielę. Z ponurą miną kręcił głową, jakby nie chciał uwierzyć.

- Może to i lepiej, Dawidzie - powiedziała. - Oszczędziło mu to zdemaskowania, publicznego zniesławienia.

- Nie rozumiesz. Mieliliśmy dowiedzieć się pewnych rzeczy, zadać mu podstawowe pytania, na które teraz nie ma odpowiedzi.

Zawiodłem, myślał. Miałem upoważnienie prezydenta i spartoliłem.

- Rozumiem może więcej, niż ci się wydaje. - Usiadła przy nim na łóżku. - Muszę coś ci wyznać, Dawidzie. Wiem o twojej „innej pracy”, o twojej działalności kontrwywiadowczej.

Ujrzała w jego oczach chwilowy błysk zdziwienia, który zaraz ustąpił miejsca pustce, za jaką starał się ukryć zaskoczenie.

- Dowiedziałam się przez Mosad. Niepokoiły ich pogłoski o przeciekach z ambasady ściśle tajnych informacji dotyczących bezpieczeństwa izraelskiego. Kiedy prezydent wysłał cię tutaj, dowiedzieli się o twojej przeszłości w kontrwywiadzie i dodali dwa do dwóch.

- Dlatego polecili ci przylepić się do mnie jak klej, z nadzieją, że wywęszą, jakie materiały są wynoszone i dokąd.

Skinęła głową, spuszczać wzrok.

- Do tego się to sprowadza. Proszę cię, nie patrz z takim obrzydzeniem. Na początku odmówiłam, ale potem nie miałam wyboru.

- Mogłabyś oszczędzić sobie wielu kłopotów. O mały włos nie zginęłaś, i w imię czego? Dowiedzieliśmy się tylko, że Martin był wtyczką w ambasadzie. Nie wiemy, co wynosił ani komu to przekazywał.

Coś go nagle tknęło.

- Czemu nagle mówisz mi to wszystko? Czy nie łamiesz jakiejś przysięgi, złożonej przed najświętszym Mosadem?
- To był pomysł mojego szefa. Miał nadzieję, że zgodzisz się współpracować i powiesz nam wszystko, co wiesz o tym: jakie dokumenty wyniesiono i komu mogły zostać przekazane.
- Powiedziałem ci - odparł z niecierpliwością. - Ta tajemnica przepadła razem z Martinem. Abernathy mógł znać część prawdy, ale on też nie żyje. Wygląda więc na to, że straciliśmy jakąkolwiek szansę.
- Czy przed wyjazdem z Waszyngtonu nie zostałeś wprowadzony w sytuację? Może to mogłoby rzucić nieco światła na rodzaj wykradzionych dokumentów?
- Tajne informacje, potencjalnie szkodliwe dla izraelskiego bezpieczeństwa, kłopotliwe dla Stanów Zjednoczonych, to wszystko, co mi powiedziano. Moje zadanie polegało na wykryciu wycieczki, aby można go było przesłuchać, naprawić szkody, zatamować przeciek.
- Mnie także nie powiedziano wiele - przyznała. - Wiem tylko, że dokument, którym Mosad interesuje się przede wszystkim, dotyczy ściśle tajnego programu broni atomowej.
- Program broni atomowej! - wykrzyknął Dawid. - Wasz rząd nie dzieliłby się tego rodzaju materiałami z żadnym krajem, nawet ze Stanami Zjednoczonymi.
- Nie dzieliliśmy się nimi. W każdym razie nie z własnej woli. Nikt nie wie, jak się to stało, ale nasza Agencja Planowania Wojskowego sporządziła dwie kopie tych tajnych dokumentów i złożyła w ambasadzie amerykańskiej na ręce szefa bezpieczeństwa.
- Abernathy!
- Tak. Mosad już od pewnego czasu podejrzewał, że on nas śledzi. Nie mieliśmy jednak dowodów. Kiedy pomyłka wyszła na jaw, natychmiast odebraliśmy kopie i wszczęto dochodzenie. Cała biurokratyczna strona w Agencji Planowania była bez zarzutu, zgadzały się wszystkie podpisy ludzi, którzy wyrazili zgodę. Nadal nie wiemy, jak Abernathy tego dokonał. On oczywiście zaprzeczył wszystkiemu, twierdząc, że tylko przechowywał dokumenty i nie zapoznał się nawet z ich treścią. Wciąż znajdowały się w oryginalnych zapieczętowanych kopertach.

- Wtedy właśnie do Mosadu dotarły pogłoski o przecieku, o włamaniu się do akt ambasady.

Daniela skinęła głową.

- A twój przyjazd utwierdził ich w przekonaniu, że pogłoski mogą być prawdziwe.

A więc o to chodziło! Nic dziwnego, że prezydent był tak zakłopotany. Mosad złapał szpiega z Departamentu Stanu na gorącym uczynku! Czemu prezydent nie wyjawiał mu całej historii? myślał gniewnie. Jednak na to pytanie sam potrafił sobie odpowiedzieć. To typowe dla cholernych tajniaków, którzy na pewno kręcili w całej tej sprawie, by jak najmniej zdradzać swoim pracownikom.

Ujął Danielę za ramię.

- Wspominałaś o skopiowaniu dwóch dokumentów. Jaki był drugi?

- Nie jestem pewna. Coś, co miało związek z ropą naftową - mój szef tylko tyle mógł mi powiedzieć. Pewien rodzaj planu awaryjnego.

- Powiedziałaś „plan awaryjny”? - Llewellyn uderzył się dłonią w czoło, a jego mózg był gotów wybuchnąć w nagłym olśnieniu. Miał to przez cały czas pod samym nosem. Dokument księcia Turkiego, izraelski plan awaryjny zajęcia saudyjskich pól naftowych! Był po prostu zbyt ślepy, by to zobaczyć; zaślepiony oznaczeniami widniejącymi na dokumencie. To one spowodowały, że potraktował plan jako oficjalny dokument CIA, a nie coś, co wykradł jeszcze nie zdemaskowany agent-wtyczka. Powinien był się domyślić, kiedy dowiedział się o związkach Martina Singera z CIA. Powinien był przejrzeć na oczy, kiedy zobaczył Martina w towarzystwie tego nieziemskiego Anglika, który uczestniczył w przygodzie Dawida pod tytułem „Arabskie Noce”. Spotkanie z saudyjskim księciem ukazało mu się teraz w nowym świetle, wszystko pasowało. Po włamaniu się do sejfu Abernathy'ego i sporządzeniu kopii tajnego izraelskiego planu awaryjnego, Singer przygotował angielskie tłumaczenie, które uwierzył numerem CIA, po czym przybił pieczętkę Agencji zarówno na hebrajskim oryginale, jak i na angielskiej wersji. Jedna z kopii została przekazana saudyjskiemu dyrektorowi wywiadu zagranicznego przez współnika Singera z MI-6, niejakiego Rogera Tawkesbury-Creama.

A misterna próba skaptowania go, posłużenie się księciem krwi oraz

kompromitującym izraelskim planem inwazji? To była robota Singera. Stracił dostęp do ambasady; potrzebował pośrednika, który dobrałby się do sejfu Abemathy'ego. Plan awaryjny mógł stanowić sensację z propagandowego punktu widzenia, nie zawierał jednak żadnych konkretów na temat izraelskiej gotowości atomowej. Znajdowała się tam jednak o niej wzmianka. Informacja o akcji zwanej operacją „Jasne Słońce”, zawierającej, jak twierdził książę Turki, groźbę szantażu nuklearnego. „Izraelski program broni atomowej”, słowa, którymi Daniela opisała drugi dokument skradziony przez Abemathy'ego. Singer i jego współpracownicy musieli się dowiedzieć, że dokument dotyczący „Jasnego Słońca” także znajduje się w sejfie Abemathy'ego.

- Co takiego? Co sobie przypomniałeś? - Dla Daniela stało się jasne, że jej słowa naprowadziły Dawida na jakiś ważny trop.

- Pewien dokument, który niedawno widziałem - odparł. - Sądzę, że okaże się jednym z tych, które podprowadził Abernathy, a potem Singer. Zła wiadomość polega na tym, że dał go Saudyjczykom, co pewnie oznacza, że teraz każde państwo arabskie posiada kopię.

Ujrzał niepokój w jej oczach.

- Dobra nowina jest taka, że to nie na tym dokumencie twoim ludziom zależy przede wszystkim. To ten drugi, plan awaryjny. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że Martin nigdy nie dostał w ręce drugiego dokumentu, tego, który według ciebie dotyczy ściśle tajnego programu broni atomowej.

Na twarz Daniela wrócił wyraz ulgi, ale ślad wątpliwości nie zniknął.

- Czy masz coś konkretnego, jakieś szczegóły, które mogłabym im podać? Mój szef zażąda dowodów.

- Nie w tej chwili. Będę musiał złożyć sprawozdanie, podać fakty i szczegóły, które mam. Departament Stanu naprawi szkody, jakie poniósł wasz kraj, ale to zajmie sporo czasu. Przekaż swemu szefowi moje słowa. Tyle mogę na razie zrobić.

To samo powiem też prezydentowi, dodał w myślach. Poczuł nagle uniesienie. Ostatecznie jednak nie spartolił misji. Dzięki pomocy Daniela wykrył wtyczkę; nie będzie już więcej przecieków. A teraz, znowu dzięki jej wskazówkom, zdołał zidentyfikować wykradzony dokument i ustalić, w czyje się dostał ręce. Okazało się, że stanowili całkiem zgrany zespół.

Sięgnął po kawę, którą dla niego naląła.

- Już wystygła - zaprotestowała. - Przyniosę ci świeżą.

Wstała z łóżka i podniosła tacę.

- Nie, w porządku. - Wziął łyk. - Nie odchodź. Chcę wznieść toast za twoje zdrowie - za nas - za tajny zespół, któremu się powiodło, mimo że działaliśmy w tajemnicy przed sobą nawzajem.

Zdobyła się na słaby uśmiech.

- Nie gniewasz się już na mnie za to, że cię oszukiwałam?

- Gniewam się strasznie. - Zrobił ponurą minę. - Ale możesz mi to jakoś wynagrodzić. Wymyślę sposób.

Zmarszczył brwi, drapiąc się przez chwilę w czoło.

- Wymyśliłem. Chodź tutaj.

Pocałował ją delikatnie w usta, a potem pociągnął na łóżko.

- Niech tajny zespół ukryje się pod prześcieradłami.

- Dawidzie! - Zarzuciła mu ramiona na szyję. - Och, kochanie, tyle czasu już minęło od soboty!

Bluzka i spódnica pofrunęły na podłogę. Wskoczyła do łóżka. Ich usta się odnalazły; jej piersi przyłgnęły do jego silnego torsu niecierpliwie, z żądaniem.

Bezdzusny aparat stojący na nocnym stoliku wybrał ten właśnie moment, by wydać przenikliwy, natarczywy dźwięk. Przebrzmiało kilka niecierpliwych dzwoneczków, nim bardzo zajętej dłoni udało się wyswobodzić i podnieść słuchawkę.

- Halo - wymamrotał. - Do widzenia! - Tak trzasnął słuchawką na widelki, że chyba trwale uszkodził słuch tamtego.

Tamten jednak nie poddawał się tak łatwo. Prawie natychmiast telefon zadzwonił znowu. Dawid z jękiem podniósł słuchawkę i rzucił ją na stolik nocny.

- Halo! - odezwał się surowy, autorytatywny głos. - Dawid! Dawid Llewellyn! Jesteś tam? - Ten głos rozpoznałby wszędzie. Przewrócił się na bok i chwycił słuchawkę.

- Panie prezydencie?

- To ty, Dawidzie? Nie jestem przyzwyczajony do tego, że ludzie rzucają słuchawkami, kiedy dzwonię.

- Przepraszam, panie prezydencie. Gdybym wiedział, że to pan, nie...
- Czy w czymś przeszkadzam? - W głosie zabrzmiał żartobliwy ton aluzji; wyobraził sobie błysk w oku prezydenta.

- Nie, sir. - Daniela usiadła na łóżku i osłaniała prześcieradłem piersi, jak gdyby telefon miał oczy. Napotkał jej wzrok. - To znaczy nic, czego nie mogę podjąć później. - Ruch jej głowy mówił, żeby nie był taki pewien.

- Dawidzie, mój chłopcze, niepokoję cię, ponieważ nie mogę się doczekać, żeby ci osobiście pogratulować. Właśnie rozmawiałem przez telefon z królem Fahdem o ataku na saudyjskiego AWACS-a. Powiedział, że to dzięki twojej interwencji, dzięki ostrzeżeniu załogi AWACS-a, udało im się uciec. Uniknięto w ten sposób katastrofy na miarę międzynarodową. Nie mam pojęcia, jak ci się to udało, ale gratuluję. Otrzymasz oficjalną pochwałę prezydencką.

- Dziękuję, panie prezydencie. Brak mi słów. Prawdę mówiąc, myślałem tylko o moim bracie...

- A, tak, mały Richy. Młodzik, którego bujałem na kolanie, najwyraźniej dorósł. Na pewno ucieszy cię wiadomość, że Richard został także wyróżniony przez Saudyjczyków i zostanie uhonorowany przez króla podczas specjalnej uroczystości. Pilot samolotu przypisuje Richardowi główną zasługę za uniknięcie tych pocisków wystrzelonych przez izraelskiego pilota.

- Nie słyszałem o tym, panie prezydencie. Nie miałem okazji porozmawiać z Richym. Tyle się działo, o tylu sprawach muszę panu powiedzieć. Na przykład ten izraelski myśliwiec, o którym pan wspomniał. To wcale nie był izraelski pilot. To był...

- Wiem o wszystkim - przerwał mu prezydent. - Dlatego właśnie rozmawiałem z królem Fahdem. Izraelski premier poprosił mnie, żebym pośredniczył w imieniu jego kraju. Wyjaśniamy tę sprawę. Izraelczycy dostarczają niezbitych dowodów dotyczących prawdziwej tożsamości tego pilota, które nasz ambasador przedstawi królowi.

Dawid nigdy nie słyszał, żeby prezydent mówił z takim zapalem; to było zdumiewające. Musiał przecież słyszeć o Osiraku, o zniszczeniu, jakie spowodowały nowe sowieckie pociski.

- Panie prezydencie - wtrącił - czy słyszał pan o nalocie na Bagdad, o zastosowaniu przez Sowietów nowych pocisków z głowicami nuklearnymi?

- Tak, mój chłopcze, słyszałem. To był gruby błąd z ich strony i już tego żałują. Przyjdzie im słono zapłacić. Prasa i inne środki przekazu na całym świecie wieszają psy na Sowietach. Zostali prawie jednogłośnie potępieni przez wszystkie rządy, z wyjątkiem krajów arabskich i własnych satelitów. To największy skandal od lat, większy nawet niż zestrzelenie samolotu koreańskiego. Podczas nowych negocjacji rozbrojeniowych w Genewie znajdują się na fatalnej pozycji. Wreszcie będą zmuszeni pójść na ustępstwa.

- Dobrze móc to wszystko zobaczyć z szerszej perspektywy, panie prezydencie. Tu panuje obecnie spore zamieszanie, związane ze stratą izraelskiego reaktora i rewelacjami na temat człowieka, który to zrobił, irackiego szpiega. Czy o tym także pan wie?

- Owszem, mój chłopcze. Rozumiem też reakcję Izraelczyków. Na dłuższą metę jednak może to zmniejszyć ryzyko wybuchu wojny atomowej w tym regionie. Cała ta sprawa nuklearna ujrzała światło dzienne, możemy więc nad nią pracować.

- Mam nadzieję, że ma pan rację, panie prezydencie. Jednak reperkusje dla obecnego rządu są nieuniknione. Muszę o tym z panem porozmawiać, a także o specjalnej misji, którą mi pan wyznaczył. Szczerze mówiąc, sądziłem, że właśnie w tej sprawie pan dzwoni.

- Tak też było. Potrzebny mi twój ustny raport w tej sprawie. W tym celu musimy skorzystać z bezpiecznej linii z magnetofonem. Zadzwoń może do mnie z ambasady, w ciągu godziny. I, Dawidzie...

- Tak, sir?

- Myślę, że powinieneś wrócić na kilka dni do domu. Osobiście odbierzesz pochwałę i porozmawiamy o przydzieleniu cię do kraju, który bardziej przypadnie ci do gustu. Możliwe, że wkrótce zwolni się pewne stanowisko. Trzeba będzie rozważyć twoją kandydaturę.

- Wyjechać teraz, panie prezydencie? - Dawidowi zrzęda mina. - Ale, sir, chyba nie zdaje pan sobie sprawy z powagi tutejszej sytuacji. Może nastąpić kryzys, prawie na pewno zmieni się rząd, rozpisane zostaną nowe wybory. To nie jest właściwy moment na wyjazd, choćby nawet na kilka dni. Poza tym...

Przerwał mu serdeczny śmiech prezydenta. Pierwszy człowiek w państwie dokończył zdanie za Dawida.

- Poza tym zmieniłeś zdanie, czy tak? Czy rozmawiam z tym samym człowiekiem, który jeszcze kilka tygodni temu tłumaczył mi w Gabinetcie Ovalnym, że Izrael to ostatni kraj, do którego chciałby się udać? Doskonale, mój chłopcze, zostań i kontynuuj pracę, którą ci wyznaczyłem. Mówisz, kryzys rządowy? Jak najszybciej przedstaw mi raport w tej sprawie. Dziś rozmawiałem z ambasadorem, który o niczym takim nie wspominał. Widocznie nastąpił dalszy rozwój wydarzeń, a może ty jesteś lepiej poinformowany.

- Chyba trochę i jedno, i drugie, sir. Przede wszystkim...

- Nie teraz, mój chłopcze. Obawiam się, że muszę kończyć. Zadzwoń do mnie później z bezpiecznego telefonu w ambasadzie. I jeszcze jedno, Dawidzie.

- Tak, sir?

- Przekaż moje pozdrowienia pannie Zadik. Musi być kimś naprawdę wyjątkowym.

Prezydent się rozłączył.

- Tak, sir - powiedział Dawid do głuchej słuchawki - w pełni się z panem zgadzam. - Uzmysłował sobie, że prezydent nie stracił zbyt wiele. W umyśle wciąż dźwięczały mu słowa o „zmianie zdania”. Czyżby oszalał, przepuszczał okazję awansu?

Daniela usłyszała tylko koniec rozmowy.

- Prezydent wzywa cię z powrotem. Wysła cię na inną placówkę. - Narzuciła szlafrok i usiadła przed lustrem, czesząc włosy. Jej głos stracił całą melodyjność i nawet nie patrzyła na Dawida.

- On mnie tylko... sprawdzał - odparł.

Odwróciła się momentalnie, nie wiedząc, jak ma interpretować jego odpowiedź; na jej twarzy malowała się nadzieja.

- To znaczy, że zostajesz?

- Podoba mi się tutaj.

Widział, jak rumieńce wracają na jej policzki, a w oczach zapala się światło. Wstał z łóżka i wziął spodnie z oparcia krzesła.

- Muszę natychmiast jechać do ambasady. Prezydent chce, żebym do niego zadzwonił z bezpiecznego telefonu i poinformował o wszystkim.

- Właśnie teraz? Musisz wyjść w tym właśnie momencie? - Nigdy nie wyglądała piękniej, bardziej pociągająco; jasnozielony szlafrok z weluru splotywał jej luźno z ramion, odsłaniając zagłębienie pomiędzy bliźniaczymi wzgórkami. Ten sam szlafrok miała na sobie pierwszego wieczoru, kiedy...

Przypomniawszy sobie, jak chodził na czworakach po podłodze jej sypialni, pomagając zbierać części garderoby wyrzucone z szuflad przez niechlujnego włamywacza. Ujrzał ją, klęczącą przed nim, jej nagi kark, któremu nie sposób się oprzeć; znowu poczuł dreszcz przebiegający jej ciało pod wpływem pocałunku, który zaczął się u nasady szyi i wędrował wzdłuż kręgosłupa.

Zapinał spodnie, patrząc na nią.

- Co... co ty robisz?

Wstała, wysunęła z komody dwie szuflady i wyciągnęła ku niemu. Jednym zręcznym ruchem przewróciła je do góry dnem, wysypując zawartość na dywan.

- Dawidzie, zanim wyjdiesz do ambasady, chciałabym, żebyś mi pomógł w jednej małej sprawie.

Richard Llewellyn wyjął chustkę i otarł pot z czoła. Był ciepły, wilgotny poranek, a oni stali już kwadrans lub dłużej pod bezlitosnym saudyjskim słońcem, czekając na przyjazd króla. Tęsknie spojrzawszy na kuszący cień wewnątrz namiotu, rozbitego dla jego wysokości, i zastanawiając się, ile jeszcze będą musieli czekać. Pewnie długo. Królowie sami ustanawiają reguły.

Jego wzrok przykuł blask słońca odbity od obiektywu aparatu fotograficznego. Fotograf usadowił się na dachu dwupiętrowego budynku lotniska, skąd mógł objąć całe widowisko. Ruchy usiłował sobie wyobrazić to zdjęcie: różnorodność przepysznych, orientalnych dywanów w barwach od ciemnego kobaltu do czerwieni żurawiny, porozkładanych na asfalcie; musiały pokrywać chyba pół akra. Tradycyjny beduiński namiot pustynnych nomadów rozbity pośród dywanów; pasiasty baldachim biegnący od namiotu do punktu na morzu dywanów, gdzie królewska limuzyna już dawno powinna się była pojawić.

I kontrastujące tło: duży, lśniący, nowoczesny samolot stojący równolegle do budynku lotniska; amerykańskie oznakowanie wojskowe E-3A, numer ogona C-103. Saudyjski AWACS, który wyszedł cało ze spotkania z najnowocześniejszym myśliwcem świata; cała załoga ustawiona dumnie przed swą maszyną, czekająca na odebranie pochwały z ust króla saudyjskiego.

No, prawie cała załoga. Brakowało tylko jednej osoby: niejakiego Julesa Bergera, zwanego też Julisem Bergstromem, byłego agenta izraelskiego. „Rybat” zwinął manatki w dzień po incydencie i wrócił do Stanów, ze strachu, że jego prawdziwa tożsamość wyszła na jaw. Richy'emu brakowało drobnego człowieczka, którego dowcipy w chwilach takich jak ta rozbawiały i relaksowały innych Amerykanów. Jego potężnie zbudowany akolita był nadal obecny. Jednak stojący obok Richarda Tłuścioch nie był tym samym człowiekiem bez swej drugiej połowy. Kręcił się niespokojnie i nie miał nic do powiedzenia.

Na zasadzie kontrastu saudyjscy członkowie załogi stojący w pozycji spoczynnej w świeżo wyprasowanych jasnobrązowych mundurach z gabardyny wyglądali na zrelaksowanych i spokojnych. Zachowywali pełne szacunku milczenie, przepojeni powagą chwili.

- Chryste! Ile jeszcze mamy, kurwa, czekać? - Mimo że wypowiedziane cichym głosem, słowa Hausera sprawiły, że kilku Saudyjczyków odwróciło głowy z dezaprobatą. Pot lał się już strumieniami z tego potężnego mężczyzny, który zmienił swój tradycyjny mundur roboczy na jedyny garnitur, jaki przywiózł do Arabii Saudyjskiej; źle dopasowany strój, którego ciemny materiał wchłaniał promienie słońca jak gąbka. - Stać na pierdolonym słońcu jak banda cholernych debili! Topię się we własnym pieprzonym pocie!

Jego uwagi były chyba skierowane pod adresem szefa grupy amerykańskiej, Hansona, spokojnego i wytwornego w szytym na miarę jasnozielonym garniturze samodzielnym.

- Uspokój się, Hauser! - syknął Hanson. - Wychodzi z ciebie ta cała woda, którą wychlałeś w nocy. Założę się, że w pocie wykryto by sto procent. Gdybyś nie usiłował osobiście rozprawić się z każdą butelką, którą przemyciliśmy na przyjęcie...

- Proszę o ciszę! - Upomnienie nadeszło od strony pedantycznego saudyjskiego urzędnika państwowego, który przed godziną przyjechał na lotnisko, by nadzorować całą uroczystość. To on domagał się, by załoga zawczasu ustawiła się przed samolotem.

- Pierdol się, dupku! - mruknął pod nosem Hauser. Tym razem Richy zgadzał się z wybuchowym inżynierem z IBM. Mogli czekać spokojnie w chłodzonym wnętrzu AWACS-a, a kiedy przyjechałaby już królewska limuzyna, w ciągu minuty stanęliby przed samolotem.

Spojrzał ukradkiem w lewo, gdzie samotnie stała Roxana, dziesięć kroków od nich, w plisowanym białym kostiumie, który wypełniała we wszystkich właściwych miejscach. Jej odłączenie od reszty było kolejnym głupim pomysłem zadufanego urzędnika. Zakłopotany obecnością kobiety pośród załogi, kręcąc głową, przyglądał się z dezaprobatą jej odsłoniętej szyi. Dopiero po interwencji kapitana samolotu zezwolił jej na uczestniczenie w uroczystości, pod warunkiem że stanie osobno, a szyję i ramiona zasłoni białą chustą.

Richy zdawał sobie sprawę, że próbowała zwrócić na siebie jego uwagę. Od tamtego lotu, który o mały włos nie zakończył się tragicznie, dwukrotnie usiłowała z nim porozmawiać. Zaraz po bezpiecznym wylądowaniu podeszła do niego, a w jej oczach widział wyraz szacunku. Richy pośpiesznie odszedł, tłumacząc się zmęczeniem. Następnego dnia rano przysłała do niego i zapukała do drzwi. Nie odpowiedział; nie miał jej nic do powiedzenia. Jej szybki romans z Hansonem ubódł go do żywego. Teraz jednak przestał już odczuwać ból i pragnął, żeby tak zostało. Chciał się rozstać w spokoju.

Aż dopiero dziś rano, właśnie kiedy sądził, że sprawa została zakończona, poczuł nieoczekiwane ukłucie, widząc jej pociągające kobiece ubranie zamiast tradycyjnej męskiej koszuli i džinsów. Stojąc tak samotnie, oddzielona od reszty grupy, wyglądała smutno i była w niej bezbronność, której nigdy wcześniej nie zauważył. Hanson oczywiście puszczał ją kantem; pierwszym samolotem z Rijadu wracał do żony.

Pracownik Boeinga wpadł do Richy'ego poprzedniego popołudnia, kiedy ten sprzątał pokój i kończył się pakować. Wieczorne przyjęcie miało

być ostatnim występem Amerykanów. Ich kontrakt wygaś i za kilka dni mieli wracać do domu. Hanson wcześniej zaczął się bawić; już był nieco pijany. Powiedział, że wpadł, ponieważ słyszał, że Richy nie wybiera się na przyjęcie i postanowił go namówić.

Richard istotnie nie zamierzał iść, ale nikomu o tym nie wspomniał. Albo Hanson potrafił czytać w myślach, albo przyszedł w jakimś innym celu. Powód wizyty wkrótce się wyjaśnił; Hanson zaczął mu dziękować za uratowanie im życia na pokładzie AWACS-a. Stał się tak wylewny, że Richy poczuł zażenowanie i na próżno usiłował mu przerwać. Podczas gdy Hanson bełkotał dalej, Richy przypomniał sobie jedną scenę z tamtego krytycznego dnia: Hanson i Roxana zamknięci we dwoje w kabinie, kiedy to Richy wytężał umysł, by ocalić ich z opresji.

Potem sprawy wydostały się spod wszelkiej kontroli. Hanson objął Richarda i zaczął bełkotać przeprosiny za Roxanę.

- Nie mogłem się opanować. Jezu, nie chciałem cię zranić. Nie zdawałem sobie sprawy, co do niej czujesz.

- Ja też nie - odparł Richy. - Pomogłeś mi się dowiedzieć. Dlatego nie przepaszaj. Wyświadczyłeś mi przysługę.

W końcu udało mu się wyprosić Hansona z pokoju, obiecując, że spotkają się na przyjęciu. Obietnicy nie dotrzymał.

Widok limuzyny Srebrna Chmura marki Rolls-Royce jadącej powoli po asfalcie lotniska przywołał go do rzeczywistości. Wśród załogi AWACS-a rozległ się szmer podniecenia i ulgi; oczekiwanie dobiegło końca. Wydłużony Rolls zatrzymał się przy baldachimie, szofer wyskoczył, otworzył tylne drzwiczki i wyprężył się na baczność.

Wszyscy wypatrywali króla, ale człowiek, który wysiadł, miał na sobie ciemnoniebieski mundur Królewskich Powietrznych Sił Zbrojnych Arabii Saudyjskiej. Richy poznał dużą głowę księcia Bandar al Faisala, jego ciemne włosy i wystający, gładko wygolony podbródek pod małym wąsikiem. Już kiedyś widział księcia. Pośród zgromadzonych rozległ się szmer zawodu. Czyżby król zmienił plany i wysłał w zastępstwie bratanka?

Książę stanął przy drzwiczkach limuzyny, czekając z szacunkiem, aż wysiądzie drugi pasażer, wyższy, nieco masywniejszej budowy. Ubrany w

prostą czerwonawobrazową szatę sięgającą do kostek, na głowie miał tylko tradycyjną białą *kafiję* z czarną przepaską. Richy nigdy nie widział króla osobiście, tylko na zdjęciach. Starannie przystrzyżone czarne wąsy i kozia bródka stanowiły niewystarczające znaki rozpoznawcze, ponieważ nosili je praktycznie wszyscy męscy członkowie rodziny królewskiej. Jednak Richy był pewien, że ma przed sobą Fahda; człowieka tego otaczała aura ogromnej energii. Król życia, geniusz administratorski, nałogowiec pracy, Fahd rządził praktycznie krajem od roku 1975, czyli od wstąpienia na tron jego brata Khalida.

Na szczęście dla osób odznaczanych medalami, stojących na słońcu już blisko pół godziny, uroczystość była krótka. Nie wygłoszono żadnych przemówień. Najpierw udekorowano saudyjskich członków załogi, którzy zostali kolejno ucałowani w oba policzki, najpierw przez Fahda, potem przez Bandara. Richy zaczął się zastanawiać, jakie to uczucie być ucałowanym przez króla i czy zarost królewski okaże się miękki czy kłujący. Kiedy jednak dekorujący doszli do Amerykanów, rytuał został zmieniony: miejsce królewskich całusów zajęły uprzejme uściski dłoni.

Nadeszła jego kolej i Richy pochylił się, kiedy saudyjski monarcha założył mu na szyję ciężki medal na aksamitnej wstążce. Przez krótką chwilę patrzył prosto w ciemne oczy, oddalone od niego zaledwie o kilka centymetrów - energiczne, niespokojne oczy, twarde jak stal.

- Gratuluję, dobra robota - powtórzył Fahd mechanicznie, praktycznie bez żadnego wyrazu czy emocji, po czym zaczął się odwracać. Królewski uścisk dłoni okazał się rozczarowująco słaby. Czy to już wszystko? zastanawiał się Richy. Księżę Bandar zamruczał coś po arabsku, a król odwrócił się do Richarda z błyskiem zainteresowania w rozbieganych oczach.

- A więc to pan jest tym Amerykaninem, o którym wspominał nam kapitan Zamani. Twierdzi, że to pan uratował jego samolot od katastrofy. Proszę przyjąć moje osobiste gratulacje i podziękowania od wszystkich członków rodziny królewskiej.

Bandar, który otrzymał nową gwiazdkę generalską, przyłączył się do gratulacji.

- Właśnie skończyłem czytać pański raport ze spotkania z izraelskim

Eagle. Strategia, którą pan zastosował, jest niezwykle pomysłowa. Zdumiewająca ucieczka mimo wszystkich przeciwności.

Królewska grupa ruszyła dalej. Roxana otrzymała medal jako ostatnia. Gratulacje były pobieżne, a uściski dłoni pospieszne. Richy patrzył, jak królewska para odwraca się szybko i idzie do namiotu. Czy zauważył w oczach wuja i bratanka błysk uznania dla wdzięków Roxany, czy mu się tylko zdawało?

Członkowie załogi ruszyli za Fahdem i Bandarem na uroczysty poczęstunek. Roxany nie zaproszono. Wielka mi rzecz! pomyślał Richy. Okazało się, że „poczęstunek” to filiżanka przesłodzonej arabskiej kawy. Fahd zamienił kilka słów z kapitanem i jego załogą, pomijając Amerykanów.

Szybkie wychylenie małych filiżanek i uroczystość wyglądała na zakończoną. Bez formalnego pożegnania czy fanfar król i księżę wyszli z namiotu pod baldachim, skąd uniósł ich w dał współczesny latający dywan, Srebrna Chmura. Richy utwierdził się w przekonaniu, że rzeczy, które słyssał o Fahdzie, były prawdziwe. Król nie dbał zbyttnio o Amerykanów, czuł się dotknięty zależnością swego kraju od Ameryki pod względem dostaw broni i bezpieczeństwa. Ciężki medal wiszący na jego szyi wydał mu się nagle śmieszny; zdjął go i wrzucił do kieszeni marynarki.

To by było na tyle, pomyślał. Pewna era dobiegała końca: saga AWACS-a i jej ostatni rozdział, kampania saudyjska. Pojawiło się nieuniknione uczucie zawodu. Pożegnał się szybko z saudyjską załogą, jego przyjaciel radiooperator klepnął go w plecy, po czym Richy opuścił namiot.

Ostatni rzut oka. Podszedł do drabinki i wszedł na pokład AWACS-a. W środku nie było nikogo. Wyglądało na to, że naprawiono większość zniszczeń spowodowanych gwałtownym manewrem podczas spotkania z myśliwcem. Ciemnym korytarzem pełnym konsol kontrolerów Richy ruszył na tył samolotu. Wszedł do swej kabiny radarowej i osunął się na fotel obrotowy, twarzą do rozmaitych zegarów i urządzeń kontrolnych, ale znajome otoczenie tylko wzmogło jego depresję; czuł się tak pusty, jak martwe, wyłączone zegary.

Z tyłu samolotu rozległ się cichy warkot, a konsoleta przed którą siedział, ożyła; jej liczne ekrany rozbłysły jarzeniowym światłem. Ktoś włączył prąd.

- Wróg w pozycji godziny szóstej! - Odwrócił się razem z fotelem. W progu stała Roxana, słabo oświetlona jarzeniowym światłem konsolet. - Czy mogę wejść?

- Czemu nie? To teraz twoje stanowisko radarowe, twój fotel.

Zaczął wstawać, ale powstrzymała go, popychając mocno z powrotem.

- Muszę z tobą pomówić. Tęskniłam za tobą na przyjęciu.

- Tak. No cóż, nie chciałem ci przeszkadzać w pożegnaniu z Dużym Szefem.

Zrozumiała sarkazm; pogładziła go dłonią po twarzy.

- Zraniłam cię, prawda? Nie chciałam.

Odsunął głowę.

- Nie schlebiaj sobie.

Roxana wzięła go za rękę.

- Nie gniewaj się na mnie. Co mam zrobić, żebyś mnie zrozumiał? Dobrze, lubię przygody, łatwo zawieram przyjaźnie i czasem mnie ponosi. Ta sprawa z Hansonem - skończyła się właściwie, zanim się zaczęła. Ten rodzaj zdawkowej znajomości nic dla mnie nie znaczy.

- Wiem - odparł śmiejąc się gorzko. - Zdążyłem się przekonać.

- Nie! - zaprzeczyła, znowu kładąc mu dłonie na ramionach i popychając go na fotel. - Nie wiesz... nie rozumiesz. Nie mówiłam o tobie, o nas. Właśnie to ci przysłałam powiedzieć. Jesteś bardzo wyjątkowy - zrozumiałam to dopiero kilka dni temu. Tam, w powietrzu, objąłeś dowodzenie, nie straciłeś głowy, kiedy wszyscy po prostu umierali ze strachu i nie wiedzieli, co robić. Uratowałeś nas wszystkich. Zaslugujesz na nagrodę, na coś lepszego niż ten głupi medal.

Richy nie wiedział, co powiedzieć. Patrzył, jak odwija z ramion długą białą chustę. Zarzuciła mu ją na szyję, potem uklękła i zmysłowo zaczęła pocierać jego skórę jedwabiem. Chusta przeniosła jej zapach; Roxana zaczęła ją delikatnie przyciągać, przysuwając jego głowę do swych piersi.

Usta Richarda dotknęły zagłębienia między piersiami.

- Czego ode mnie chcesz? - jęknął.

Ujęła jego głowę nagimi, chłodnymi dłońmi.

- Urządźmy przyjęcie, żeby nadrobić to, które straciłeś. Nasze własne przyjęcie w twojej kabinie. Pożegnajmy się należycie. Możemy się już

nigdy więcej nie spotkać, ale mam zamiar dopilnować, żebyś nigdy o mnie nie zapomniał. Dziś w nocy, kiedy polecisz do Jerozolimy, część mnie odleci stąd razem z tobą.

Wyswobodził się z jej objęć i odsunął, spoglądając na Roxanę podejrzliwie.

- A więc wiesz o tym. Czy wiesz też, dlaczego tam lecę?

Przytaknęła, ponieważświe zdając sobie sprawę z tego, że się zdradziła.

- Oczywiście. Wszyscy to wiedzą. W przyszłym tygodniu twój brat się żeni, a ty jesteś jego świadkiem. Uroczystość odbędzie się w ambasadzie amerykańskiej. Wielki bal z samymi ważnymi osobistościami.

Patrzył na nią w milczeniu, na jej rozszerzone oczy wpatrzone w dal, wyobrażające sobie galę, niewątpliwie z Roxaną w centrum uwagi wszystkich.

- Och, proszę, proszę! Weź mnie ze sobą. Wszyscy wyjeżdżają, zostawiają mnie. Muszę chociaż na kilka dni opuścić to przygnębiające miejsce. Będziemy się świetnie bawić. Uszczęśliwię cię!

Wpatrywał się w nią z niedowierzaniem.

- Roxano - powiedział łagodnie - wiesz, że to niemożliwe. Uzyskanie wizy izraelskiej przez obywatela saudyjskiego wymaga aktu Boga.

- Twój brat mógłby to załatwić przez kanały dyplomatyczne. Zrobił to dla ciebie. Zna mnie. On...

- Nic z tego, Roxano. Nawet gdybym się zgodził i gdyby on się zgodził, nie mielibyśmy dosyć czasu. - Ujrzał zawód w jej oczach; widział, jak stara się opanować, odzyskać spokój. Wstał.

- Muszę się zbierać. Muszę kupić prezent ślubny i...

- Nie, Richardzie, proszę! - Wstała, łapiąc go za ramię. - Mówiłam poważnie... o naszym własnym małym przyjęciu, o prawdziwym pożegnaniu. Mamy na to dość czasu. Twój samolot odlatuje dopiero wieczorem.

Dyszała cicho, jej pełne piersi podnosiły się i opadały. Bładozielony blask zegarów rzucał na jej twarz czarodziejską siatkę światła i cieni, uwydatniając kości policzkowe, nadając tajemniczości jej zmysłowej postaci. Była boginią, czarodziejką. Nigdy nie wyglądała bardziej kusząco.

Czemu nie? spytał siebie. Strzemiennego. Cóż w tym złego?

Ujęła jego dłoń w swoje, przycisnęła do piersi, uśmiechając się zachęcająco.

- Czemu nie? - spytała przymilnie, powtarzając pytanie, które zadał sobie w myślach.

Jedyna odpowiedź, jaką potrafił wymyślić, była stara jak świat. Tak odpowiadają tysiące rodziców, chcąc wyjaśnić decyzje oczywiste dla nich, ale niezrozumiałe, niepojęte dla ich dzieci.

- Po prostu dlatego, Roxano. Po prostu dlatego...

Zegar na minarecie meczetu Szejk el-Galami wskazywał czwartą czterdzieści. Zmierzch zbliżał się szybkimi krokami. O tej godzinie w Bagdadzie tradycyjnie panuje największy ruch uliczny, a ten dzień nie był wyjątkiem.

Podczas gdy wynajęta na lotnisku prywatna limuzyna sunęła przez zatłoczone ulice, Siergiej Brastow rozparł się na miękkim siedzeniu, usiłując uspokoić wzburzone nerwy. Jest mnóstwo czasu, przypominał sobie. Choć godziny odlotów były w Bagdadzie nie do przewidzenia, można było mieć pewność co do jednego: samoloty zawsze startowały znacznie później niż planowano. Tak czy inaczej wszelkie odloty nastąpią dopiero po zmroku, by uniknąć groźby zestrzelenia przez irańskie myśliwce.

Ostatnie dni były dla radzieckiego doradcy wojskowego koszmarem. Reperkusje klęski w Osiraku okazały się burzliwe i gorzkie. Mimo usilnych prób rządu, by zatuszować sprawę, cała historia przedostała się do środków przekazu, włącznie z informacją o tym, jaką rolę odegrały tajne radzieckie pociski. Pomimo ich błyskotliwego zastosowania przeciwko izraelskim myśliwcom, lokalna prasa i opinia publiczna obarczały Rosjan winą za stratę reaktora atomowego. Z powodu niemożności uporania się z pojedynczą, zdalnie sterowaną bombą ślizgową, która przedarła się przez linie obrony i zniszczyła iracki reaktor, fantastyczna nowa broń okryła się nieślawą.

Najsilniejsza krytyka skrupiła się na Brastowie, jako na najstarszym stopniem członku sowieckiej grupy. Jego byli koledzy i współpracownicy z armii irackiej odcięli się od niego całkowicie. Minister obrony Zahadi

przestał z nim rozmawiać i nie odbierał jego telefonów.

Cios, jaki spotkał Irakijczyków, został nieco złagodzony powodzeniem ich nalotu na reaktor izraelski. Pod jeszcze większymi nagłówkami, niż zaledwie kilka godzin wcześniej pisano o Osiraku, gazety bagdadzkie obwieściły zwycięstwo w Dimonie. Irak miał nowego bohatera narodowego, co prawda uznanego dopiero pośmiertnie - Adnana Ibrahima al Amiriego, pseudonim El Aurens, tajnego agenta, który przez trzy lata, zanim zadał śmiertelny cios ich reaktorowi atomowemu, z powodzeniem grał rolę oficera izraelskiego lotnictwa.

Dzisiejsza gazeta kontynuowała relacjonowanie losów dzielnego repatrianta. Wśród ludzi, w przeważającej mierze szyitów, panowało przekonanie, że męczeńska śmierć w Dimonie zapewniła El Aurensowi wysokie miejsce w niebie. Przedstawiano historię jego życia, poznaną z relacji przede wszystkim tych Irakijczyków, którzy brali udział w jego szkoleniu. Znacznie bardziej fragmentaryczne informacje dotyczące jego wcześniejszego życia w Hajfie były swobodnie upiększane przez wyobraźnię autorów. I znowu kolejny artykuł redakcyjny, potępiający Rosjan za ich niewystarczającą obronę Osiraku.

Przed wyjazdem na lotnisko Brastow zmiął gazetę i cisnął gniewnie na podłogę swego wysprzątanego mieszkania. Jak mogli być tak niewdzięczni, tak potwornie nieuczciwi? Gdyby nie jego plan z AWACS-em, nigdy nie mogliby się chlępić zwycięstwem w Dimonie. Jednak Irakijczycy nie podziękowali mu za ten wkład. Podczas gdy wina za porażkę spadła na Rosjan, zasługi za wyjątkowy sukces w Dimonie przyznano Saddamowi Husseinowi.

Chociaż reakcja Irakijczyków dotknęła go bardzo, była niczym wobec odprawy, jaka czekała go na Kremlu. Politbiuro, w sposób zupełnie dla siebie nietypowy, podjęło jednomyślną decyzję już po kilku dniach. Brastow został w trybie przyspieszonym odwołany z placówki w Iraku i wezwany do Moskwy w cełh złożenia wyjaśnień. Nowe ostre rozkazy zaszkodziły go, zwłaszcza dlatego, że początkowo dochodziły do niego pomyślne wieści od wojskowego kontyngentu w Politbiurze. Wojskowi w Moskwie nie kryli zadowolenia z powodu zwycięstwa odniesionego przez

ich nowe pociski nad izraelskimi myśliwcami, przy czym nic ich nie obchodziła porażka, jaką poniósł iracki program atomowy.

Kiedy jednak sowieccy przywódcy spotkali się z nieoczekiwaną ostrą, powszechną krytyką opinii światowej, wojskowi szybko się wycofali i zmienili ton. Na zasadzie spóźnionego refleksu stwierdzili, że rozmieszczenie pocisków SAM z głowicami atomowymi było błędem. Z wyjątkiem państw bloku radzieckiego oraz państw arabskich, świat zgodnie potępiał Rosjan za rażące łamanie zakazu używania broni atomowej w czasie pokoju. Ignorując protesty, że głowice były małe, o czysto obronnym, niestrategicznym charakterze, że to ostatecznie Izraelczycy okazali się agresorami, środki przekazu na całym świecie wystąpiły z nagonką na Związek Radziecki.

Prasa zachodnia przedstawiała izraelskich pilotów jako męczenników, schwytych w pułapkę i wymordowanych z zimną krwią za pomocą siły atomu, wobec której nie mieli żadnych szans. Potępienie Sowietów nie ograniczało się do Zachodu; nawet kraje Trzeciego Świata i niezaangażowane w niezwykle ostrych słowach krytykowały Rosjan.

Dla Brastowa gorzką pigułką był fakt, że wezwano go na dywanik za sponsorowanie planu, który przecież popierało samo Politbiuro. Gdyby powiódł się atak na AWACS-a, to nie Sowietci, ale Izrael spotkałby się z publicznym potępieniem. Brastow wciąż nie miał pojęcia, co się nie powiodło, w jaki sposób potężnych rozmiarów bezbronny cel zdołał umknąć. Mimo tego niepowodzenia jego informator izraelski donosił o oznakach chwiania się zniechęconego rządu Likudu; w świetle zajść w Osiraku i Dimonie jego przyszłość rysowała się w najlepszym razie niepewnie.

Kiedyś doprowadzenie do upadku tego rządu stanowiło nadrzędny cel wszystkich machinacji Brastowa. Teraz zdawało się mieć niemal marginalne znaczenie; nawet gdyby w ciągu kilku dni rząd upadł, i tak by go to nie ocaliło. Politbiuro potrzebowało kozła ofiarnego, a Brastow nie miał wątpliwości, że ta rola przypadła w udziale właśnie jemu.

Nie zamierzał się z nią pogodzić. Nie po to przez całe życie walczył za ojczyznę, wkładał w pracę całe swe serce i duszę, żeby zakończyć karierę

wracając do kraju w niesławie i przyjmując wyrok skazujący go na zesłanie. Jeśli banicja była nieunikniona, sam wybierze miejsce i nie będzie to jakaś zimna, zapadła miejscina na Syberii czy na Archipelagu Gułag.

Prawą dłonią sięgnął do kieszeni spodni i dotknął pojedynczego klucza w skórzanym futerale: jego gwarancja bezpieczeństwa, as w rękawie. Klucz do sejfów w podziemiach banku w Zurichu. Znacznie czystsza sprawa niż konto w szwajcarskim banku, znacznie bardziej bezosobowa. Sam pokazywałeś klucz, sam otwierałeś sejf, sam wyjmowałeś to, czego potrzebowałeś.

Zawartość sejfów w zupełności zaspokoi jego potrzeby; pozwoli mu żyć wygodnie do końca dni. Kariera podwójnego agenta mogła być bardzo intratna, pod warunkiem że nie wpadałeś. Jeśli postępowałeś z najwyższą skrupulatnością i dyskrecją, nie ufałeś nikomu i nie dawałeś się ponieść chciwości, wówczas miałeś szansę. Zakładając, że wiedziałeś, kiedy jest czas, żeby się wycofać. Dla Siergieja Siergiejewicza Brastowa ten czas właśnie nadszedł.

Czule przesuwał grubymi palcami po ząbkowanej krawędzi klucza, wyobrażał sobie moment otwarcia sejfów: paczki amerykańskich dolarów, szeleszczące banknoty o wysokich nominałach, oczy dawno zmarłych prezydentów wpatrzone w niego. Pasza kapitalizmu, symbol wszystkiego, czego od najmłodszych lat uczono go unikać i nienawidzić. A przecież Brastow nie odczuwał winy; miał czyste sumienie. Nie zdradzał swej ojczyzny dla tych pieniędzy. Robił tylko to, co i tak zrobiłby dla dobra własnego kraju. Był też na tyle rozsądny, że brał za to pieniądze od najbogatszej agencji wywiadowczej na świecie.

Fakt, że polityka zniechęconej CIA wobec Izraela w sposób nie wyjaśniony pokryła się z radziecką, nie martwił go ani przez chwilę. Znał wiele przypadków z przeszłości, kiedy działania CIA były Sowiecom na rękę; po prostu miał teraz do czynienia z kolejną sytuacją tego typu. Kiedy dowiedział się, że gotowi są zapłacić hojnie za gambit, który doprowadziłby do upadku radykalnego rządu izraelskiego, Brastow nie zaprzętał sobie głowy pytaniem dlaczego. Agent CIA, z którym się kontaktował, znany mu tylko jako „Mały Brat”, zaakceptował jego plan ataku na AWACS-a. Do Bagdadu szybko przybył kurier z wysoką zaliczką. Pieniądze nie śmierdzą; nie

było się nad czym zastanawiać.

Powolna jazda zatłoczonymi ulicami wreszcie dobiegła końca. Znaleźli się na obrzeżach miasta; limuzyna jechała gładko i szybko. Zaczął padać lekki deszcz. Światła nadjeżdżających z naprzeciwka samochodów lśniły złościście na mokrym asfalcie: Złota Droga do Zurichu.

W tylnej szybie zaświeciły nagle inne światła. Odruchowo spojrzął za siebie. Samochód znajdował się niebezpiecznie blisko. Z niepokojem poznał, że to ten sam, który jechał za nimi w mieście. Uspokój się, odezwał się wewnętrzny głos; gdyby cię śledził, nie podjeżdżałby tak blisko. Nie ma nic niezwykłego w spotkaniu się dwóch samochodów na tej drodze. Ostatecznie wiele osób jechało na lotnisko.

Tak czy inaczej, jego plan powinien zmylić wszelką potencjalną pogoń. Zarezerwował miejsce w samolocie Aeroflotu, odlatującym do Moskwy o siódmej wieczorem. Załatwi formalności przy okienku Aeroflotu, odda paszport, bilet i bagaż, po czym wtopi się w tłum krążący wśród sklepów i restauracji lotniska. Kiedy przekona się, że zgubił niepożądanych tropicieli, przejdzie na inne stanowisko, skąd o szóstej trzydzieści miał odlecieć odrzutowiec linii Swissair do Zurichu. W prawej kieszeni marynarki spoczywał bilet na ten samolot, wystawiony na Helmuta Sorge, zachodnioniemieckiego biznesmena; w tej samej kieszeni znajdował się paszport Republiki Federalnej Niemiec na to samo nazwisko, z fotografią zdradzającą silne podobieństwo do Nikity Chruszczowa.

Jego bagaż zostanie oczywiście załadowany na pokład odrzutowca Aeroflotu, ale zanim ktokolwiek zdąży się zorientować, że właściciel nie ma zamiaru mu towarzyszyć, Brastow będzie już bezpiecznie leciał na zachód pod nowym nazwiskiem. Strata bagażu to niska cena. Jedyнным bagażem, jakiego w tej chwili potrzebował, był mały mosiężny klucz w skórzanym futerale.

Zapaść już niemal całkowity zmrok. W zmoczonej deszczem dali widział słaby niebieski blask świateł jednego z pasów startowych. Limuzyna skręciła w prawo, na drogę dojazdową do wejścia na lotnisko. Spojrzął za siebie; ani śladu drugiego samochodu; nigdy nie stanowił on zagrożenia. Podjeżdżając na rampę dla odlatujących, kierowca zwolnił. Limuzyna zatrzymała się przed znakiem Aeroflotu, a szofer wyszedł, by otworzyć mu

drzwiczki. Wyładował też bagaż i wręczył go jednemu z młodych arabskich bagażowych, którzy pojawili się nagle, z nadzieją na hojny napiwek, jaki obiecywała prywatna limuzyna. Zarówno szofera jak i bagażowego miał spotkać zawód; Brastow nie dawał dużych napiwków. Szofer patrzył pogardliwie na swój jednodinarowy dodatek, podczas gdy Rosjanin odwrócił się na pięcie i ruszył za bagażami do środka.

Wnętrze lotniska, zauważył z zadowoleniem, kipiało życiem. Pomimo bliskości przeciągającej się wojny z krajem ościennym, Bagdad stał się w ciągu ostatnich kilku lat prężnym centrum handlowym i przemysłowym; hotele oraz przylatujące i odlatujące samoloty były niemal zawsze zajęte do ostatniego miejsca. Dużą poczekalnię oraz sąsiadujące z nią kawiarnie i sklepy wypełniał tłum podróżnych, głównie płci męskiej, których stroje tworzyły zdumiewającą mieszaninę stylów zachodnich i tradycyjnych. Nie powinno być trudno zgubić się w tym tłumie.

Kolejka do okienka Aeroflotu nie była długa; przyjechał dość wcześnie. Młody Irakijczyk wziął od niego bilet i paszport bez komentarza, potem spojrział na Rosjanina z nagłym szacunkiem.

- Czy woli pan miejsce przy oknie czy przy przejściu, generale Brastow? - spytał w znośnym rosyjskim. Brastow, jak zwykle, poprosił o fotel przy oknie.

- Życzę miłego lotu, sir. - Urzędnik wręczył mu kartę przekroczenia granicy, zatrzymując bilet i paszport. - Obiad zostanie podany zaraz po starcie.

- A kiedyż to może być? - spytał szorstko Brastow, grając rolę wyniosłego generała. - Czy spóźnicie się jak zwykle?

- Nie, sir - odparł Irakijczyk tonem obrony. - Wyświetlona została planowana godzina odlotu.

Brastow prychnął. Aeroflot nigdy nie informował podróżnych o opóźnieniach, nawet kiedy wiadomo było, że przed starcem wynikła nieprzewidziana naprawa czy przegląd techniczny. Gdyby sądzić po tablicach informacyjnych, to samoloty Aeroflotu startowały i lądowały zgodnie z planem. Oczekując co najmniej godzinne opóźnienie, przeszedł na drugą stronę poczekalni, gdzie małe stoisko z książkami stanowiło doskonały punkt

obserwacyjny. Mógł stać niewidoczny za szybą, udawać, że przegląda książki, lustrując jednocześnie całą poczekalnię, w poszukiwaniu podejrzanych osób czy oznak obserwowania z ukrycia. Odbicie w szybie umożliwi mu też baczenie na wnętrze małej księgarni.

Wybrał z półki najgrubszą książkę w miękkiej oprawie, która okazała się arabskim tłumaczeniem „Wojny i pokoju”, i zaczął ją kartkować, zerka-
jąc spod opuszczonych powiek. Należało zwracać uwagę na pewne szczególne znaki: głowy schylone za gazetami, niczym nie zajętych ludzi, przy-
kutyh do jednego miejsca lub przechadzających się tam i z powrotem bez celu, pracownika lotniska zamiatającego czystą podłogę, kogoś zbyt długo oglądającego wystawę sklepową. Kiedy dziesięć minut obserwacji nie wy-
kazało żadnych podejrzanych czynności tego typu, odłożył Tolstoja na miejsce i poszedł do męskiej toalety.

Nie zabawił tam długo, w sam raz tyle, żeby opróżnić pęcherz. Toalety publiczne w krajach muzułmańskich nie zawsze należały do miejsc, gdzie miło się poociągać. Wyszedłszy z toalety ruszył przez halę południowego lotniska, zachodząc cło wszystkich jej kątów. Minął kilka wystaw sklepo-
wych, zatrzymując się na moment, by zbadać odbicie w szybie. Jego kolej-
nym przystankiem była kawiarnia, gdzie usiadł i wypił filiżankę gęstej jak syrop arabskiej kawy. Wstał, ruszył z powrotem do poczekalni, zjechał windą na niższe piętro, gdzie w kantorze wymienił trochę dinarów na ruble. Wrócił windą na górę, po czym wszedł do jednego z największych i naj-
bardziej ruchliwych sklepów z pamiątkami. Wmieszał się w tłum kupują-
cych, dotykając rozmaitych drobiazgów, które turyści uwielbiają nabywać, a które zawsze kończą żywot, zbierając gdzieś kurz na półce.

Jak na razie ani śladu wrogich znaków, przynajmniej żadnych, które po-
trafiłby dostrzec. Grając na zwłokę ruszył przez rząd stoisk, na pozór po-
chłonięty kupowaniem upominków. Spojrzał na zegarek. Dochodziła szósta piętnaście. Wkrótce będzie musiał wykonać ruch.

Duży hałaśliwy tłum, pewnie jakaś grupa turystyczna, zaczął wychodzić z poczekalni na długi korytarz, prowadzący do północnego budynku oraz wyjść po drodze. Musi ich być co najmniej pięćdziesiąt osób, ocenił, w tym kilka kobiet. Kiedy przechodzili obok sklepu z upominkami, nastawił uszu,

by rozpoznać język, którym mówili.

Niemiecki. Doskonale! Wyślizgnął się ze sklepu innymi drzwiami niż te, którymi wszedł, po czym wmieszał się w grupę.

- Skąd jesteście? - spytał nieskazitelnym wysokoniemieckim.

- *Aus Hamburg* - odpowiedziało kilka osób.

- *Sie gehen jetzt nach Hause?* - Tak, odparli z wyraźnym podnieceniem; wracali do domu.

Szedł razem z nimi korytarzem jeszcze kawałek, aż dotarli do małej poczekalni przed wyjściem na pas, skąd miał startować ich samolot Lufthansy. Zostali, a on szedł dalej, czując się nagle nagi i odsłonięty.

- *Auf wiedersehen.* - Pomachali mu na pożegnanie.

- *Wiedersehen* - odrzyknął, przyspieszając kroku.

Minął ostatnie wyjście z budynku południowego. Nadchodził moment krytyczny; teraz każdy, kto by go obserwował, zobaczyłby, że zmierza do budynku północnego. Kończył mu się czas; w każdej chwili zapowiedzą odlot samolotu Swissair. Zapragnął po raz ostatni spojrzeć za siebie, ale stłumił ten impuls. Kości zostały rzucone; nie było czasu na zabawy.

Kiedy mijają pierwsze wyjście z budynku północnego, korytarz zapełnił się ludźmi nadchodzącymi z naprzeciwka. Poczuł ulgę; w razie potrzeby, znowu będzie mógł się zgubić. Przejście zwęziło się i wkrótce zatłoczyło napływającymi ludźmi. Ktoś go potrącił, jakaś kobieta z parasolką. Kiedy ustąpił jej z drogi, wpadł na niego mężczyzna w tradycyjnym stroju. Z kieszeni Brastowa wypadło coś na posadzkę.

Jego niemiecki paszport! Po pierwszej panicznej reakcji przyszło mu do głowy, że mężczyzna mógł być kieszonkowcem, który spartaczył robotę. Ale nie, ten człowiek nie uciekał. Zatrzymał się, mamrocząc słowa przeprosin i schylił, by podnieść paszport. Kiedy odwrócił się, żeby go oddać, ich oczy spotkały się na moment i Brastow zdał sobie sprawę, że zna tego człowieka.

- Tysiące przeprosin, sir! - Kiedy Brastow wziął od niego paszport, tamten szepnął nagłaco: - Zajrzyj do środka!

- Poczekaj! - krzyknął Brastow, ale mężczyzna zniknął, uniesiony przez tłum. Opierając się fali ludzi, otworzył paszport. Na pojedynczej kartce papieru widniały dwie kolumny ręcznego pisma. Ruchy szachowe; szyfr

szachowy! Odczytał go momentalnie. *Uważaj. Oni wiedzą.* Tylko tyle. Spojrzał wzdłuż korytarza, na morze oddalających się pleców. Ani śladu mężczyzny w czarno białej *abaji*. W nagłym przebłysku przypomniał sobie, gdzie już kiedyś widział jego twarz. Miało to miejsce w zdecydowanie przyjemniejszych okolicznościach. Ten mężczyzna przedstawił mu się wtedy jako Raszid, także pewnie pseudonim. Był kurierem, który dostarczał pieniądze od CIA.

Jak, u diabła, Raszid go tu znalazł? Czemu kurier, czy też pracodawca usiłował go ostrzec? Szukał w myślach wyjaśnienia, żałując, że wiadomość okazała się tak skąpa. Potrafił odpowiedzieć na pytanie „kto” - KGB. Ale ile wiedzieli?

Nie było czasu na rozmyślanie. Musiał zdążyć na samolot. Kolejne wyjście przeznaczono dla pasażerów linii Swissair; widział nad drzwiami swój numer lotu. Większość pasażerów już weszła do samolotu, kilku maruderów schodziło wąskimi schodkami na płytę lotniska. Wręczył swój paszport i bilet.

- *Willkommen, Herr Sorge.* - Młody człowiek w mundurze Swissairu wręczył mu kartę przekroczenia granicy z numerem fotela, który wcześniej zarezerwował.

- Startujemy punktualnie? - spytał Brastow.
- *Jawohl* - nadeszła uspokajająca odpowiedź.

Jego miejsce przy oknie znajdowało się w tyle samolotu. Fotel obok był pusty. Miał nadzieję, że ta sytuacja się nie zmieni; miło będzie się wyciągnąć podczas długiego lotu do Zurichu. Z westchnieniem wcisnął obszerne ciało w wąski fotel; jego biodra przylegały ściśle do piankowego obicia. Zapiął pas bezpieczeństwa i ponownie spojrzął na zegarek. Za dwie minuty drzwi powinny się zatrzasnąć, a silniki cicho zawyć. Odliczał sekundy, zerkając niespokojnie na drzwi; bicie serca akompaniowało rytmicznie wskazówce sekundnika.

Jednak okazało się, że na rozkładzie lotów Swissairu nie można polegać bardziej niż na Aeroflocie. Po dziesięciu minutach agonii, podczas których Brastow spodziewał się, że Bóg wie co sięgnie po niego przez otwarte drzwi, główny steward złożył krótkie oświadczenie. Pasażerowie zostali poinformowani po niemiecku, że odlot opóźni się nieco z powodu trudności

proceduralnych, będących poza zasięgiem linii lotniczych.

W tym czasie pasażerom zostanie udostępniony bar. Ogłoszenie powtórzone po francusku, włosku i arabsku.

Czoło Brastowa pokryło się potem. Jeśli samolot do Moskwy miałby odlecieć pierwszy, mogą się zacząć kłopoty. Odkryją, że nie wsiadł na pokład, i zaczną go szukać w innych samolotach. To czekanie było nie do zniesienia; odpiął pas i wstał, nie wiedząc, co robić. Kiedy się wahał, steward zatrzasnęła i zamknęła dokładnie ciężkie drzwi do samolotu.

Usiadł z powrotem, zamówił dwie wódki u ładnej jasnowłosej stewardessy i zaczął się nieco rozluźniać. Dobrze było wrócić do świata, w którym atrakcyjne młode kobiety mogły nosić krótkie spódniczki i pokazywać nogi. Sącząc lodowatą wódkę, powrócił do snucia dalekosiężnych planów, które przerwały mu pospieszne przygotowania do odlotu.

Stać go było na życie wszędzie, gdzie zechce. Gdzieś w Europie Zachodniej. Najlepiej władał niemieckim i francuskim; podróżował po Niemczech, Francji, Szwajcarii i we wszystkich tych krajach czuł się stosunkowo wygodnie. Były jednak drogie. Jego pieniądze starczą mu na dłużej w Hiszpanii, Portugalii czy Grecji. Tam też panował cieplejszy klimat, bardziej sprzyjający jego starym kościom. Przez pewien czas będzie podróżował, sprawdzi każdy z krajów, dopiero wtedy podejmie decyzję. Miał mnóstwo czasu.

Szkoda, że musi się rozstać z Katią i dziećmi, z najmłodszym wnukiem, którego nigdy nie zobaczy, ale Katia da sobie radę; chłopak i dziewczyna dopilnują tego. Zostali właściwie wychowani; zaopiekują się matką. Zarówno syn, jak i mąż córki mieli dobre posady i...

Co oni robią? Znowu otwierają drzwi! Serce podskoczyło mu do gardła i osunął się w fotel, oczekując, że zobaczy w drzwiach dwóch zwalistych agentów KGB, którzy przyszedli go aresztować. Jednak drzwi zatrzasnęły się zaraz znowu, a jedynym człowiekiem, który wszedł, był Arab w czarnej *abaji*, niemłody, sądząc po zgarbionej postawie i powolnym kroku. Przeprosiwszy wylewnie stewarda za spóźnienie, z wysiłkiem ruszył do wolnego miejsca obok Brastowa.

Pierwszy silnik włączył się z przenikliwym wyciem, a wkrótce potem zawtórowali mu towarzysze na drugim skrzydle i ogonie. Brastow wziął

głęboki wdech i zatrzymał go; za moment ruszą, ustawiając się w pozycji do startu, startu ku jego nowemu życiu. Powoli wypuścił powietrze, odwracając głowę, by spojrzeć na sąsiada.

Arab wyjął spod *abaji* małe kwadratowe pudełko z drewna. Przyjrząwszy się bliżej, Brastow rozpoznał w nim szachownicę z otworami na figury.

- Grasz w szachy, Wujku? - spytał Brastow po arabsku.

Arab zwrócił twarz w jego stronę i skinął głową z szerokim uśmiechem, ujawniającym brak zęba trzonowego.

- Ty też? - spytał z radością. - Może rozegramy małą partyjkę?

Brastow wzruszył ramionami. Czemu nie? Nie będzie to może groźny przeciwnik, ale przynajmniej zabiją czas.

- Świetnie. W takim razie rozstawię figury. - Stary człowiek pochylił się i nacisnął guzik w pudełku, zwalniając szufladkę. Kiedy pochylił się nad szachownicą, kaptur *abaji* zsunął mu się z głowy. To dziwne, pomyślał Brastow, pod wierzchnim luźnym ubiorem widniał kołnierzyk marynarki garnituru. Poniewczasie zauważył też, że rysy odsłoniętej twarzy wcale nie były typowo arabskie. Były raczej... rosyjskie!

Dłonie trzymające szachownicę poruszały się niezwykle szybko jak na starca. Przedmiot, który wyjęły z szachownicy, w niczym nie przypominał żadnego rodzaju figur szachowych. Mężczyzna trzymał lśniący czarny pistolet automatyczny Graz-Burja, ulubioną lekką broń KGB.

Z odgłosem przypominającym powietrze uchodzące z balonu silnik na prawym skrzydle przestał pracować, wysokie wycie turbiny opadło gwałtownie o kilka oktaw, a dwa pozostałe silniki poszły w jego ślady. W ciszy, jaka zapanowała, głos mężczyzny, który przemówił w chrapliwym, słowiańskim języku, zabrzmiał szczególnie głośno i drażniąco, powodując, że pasażerowie odwrócili głowy w stronę tylnej części samolotu.

- Siergieju Siergiejewiczu Brastow, jest pan aresztowany za zbrodnie przeciwko narodom radzieckim. Proszę wstać. Samolot do Moskwy czeka. Pójdzie pan ze mną.